

*Bestsellerowa powieść z cyklu
o MAJOR KAMIŃSKIEJ*

ALEKSANDRA
MARININA

**SPRAWIEDLIWY
OPRAWCA**



**SPRAWIEDLIWY
OPRAWCA**

ALEKSANDRA
MARININA
SPRAWIEDLIWY
OPRAWCA

Przekład
Aleksandra Stronka



Tytuł oryginału: *He meuaïme palacy*
Copyright © Aleksandra Marinina, 1996
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2019
Copyright © for the Polish translation by Aleksandra Stronka, 2019

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk
Redakcja: Paulina Jeske-Choińska
Korekta: Alicja Laskowska
Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Łamanie: Teodor Jeske-Choiński
Fotografie na okładce: © Werner Lerooy/Shutterstock
© Astroette/Shutterstock
Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66278-32-5

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Część 1
Powrót

Rozdział 1

– Wiesz na ten temat więcej ode mnie, więc nie rozumiem, po co ci moja pomoc.

Wysoki, zwały mężczyzna w generalskim mundurze wstał zza biurka i zaczął miarowo, nieśpiesznie przechadzać się po swoim przestronnym gabinecie. Jego rozmówca siedział w fotelu, założywszy nogę na nogę, ale niewymuszona poza i luźno spoczywające na poręczach ręce stwarzały tylko pozory spokoju i pewności siebie. Anton Andriejewicz Minajew miał nerwy napięte jak postronki, chociaż rozmawiał nie z przeciwnikiem czy z szefem, ale ze starym dobrym znajomym z czasów studenckich. Przyszedł wprawdzie prosić o przysługę i pomoc, ale to przecież kolega... Rangą też są równi, mają nie tylko ten sam stopień, ale i stanowisko, mimo że w różnych resortach.

– Co ma do tego moja wiedza? W tym wypadku stanowi tylko przeszkodę – odparł Minajew. – Chodzi o to, że chłopak nie dojedzie do Moskwy, bo go dopadną, gdy tylko wyjdzie za bramę kolonii karnej. Służby operacyjne już mi nie podlegają, a występowanie z prośbami do kierowników innych wydziałów grozi zniweczeniem całej operacji. Proszę cię, żebyś zrobił tylko dwie rzeczy: skieruj zapytanie do administracji kolonii, niech ci przekażą informacje operacyjne na jego temat, i pomóż mu dotrzeć do Moskwy. To, co się wydarzyło dwa lata temu, pozwala mi sądzić, że dużo osób będzie zainteresowanych tym człowiekiem, ja zaś chcę pierwszy się z nim spotkać. I to wszystko. Potem niech sam decyduje, gdzie i jak będzie żył i dla kogo pracował, jeśli w ogóle będzie żył i pracował, a nie zginie i nie trafi do kostnicy.

– Czemu on cię w ogóle obchodzi? Weź pod uwagę, Antonie, że jeśli

zamierzasz się mieszać do polityki, to droga wolna, ale beze mnie. Nie bawię się w te gierki. Mogę spełnić twoją prośbę, mimo że będzie wymagała sporo zachodu, ale nawet nie kiwnę palcem, póki mi nie wytłumaczysz, po co ci ten skończony drań Saulak.

– Powodów jest wiele, Sasza – bardzo poważnie, a nawet z pewnym smutkiem odparł Anton Andriejewicz. – Ale najważniejszy jest jeden. Saulak był agentem Bułatnikowa i trafił za kratki właściwie zaraz po jego śmierci. Chyba pamiętasz, jak zginął Władimir Wasiljewicz Bułatnikow? Chcę się dowiedzieć, kto ukrył chłopaka i dlaczego. Czy po to, żeby go chronić? Czy przeciwnie, żeby zmusić do milczenia? Jeżeli to prawda, Saulak powinien dać mi namiary tych, którzy wiedzą, jak i dlaczego zginął Bułatnikow. Zrozum, Sasza, Bułatnikow był moim mentorem, stał na czele wydziału, do którego trafiłem jako starszy inspektor, pod jego kierownictwem i przy jego wsparciu doszedłem do stanowiska zastępcy naczelnika wydziału. Potrzebuję Saulaka, bo tylko on ma wiedzę, czym się zajmował Władimir Wasiljewicz, gdy nagle zginął, i to w tak dziwny i niedorzeczny sposób. Poza tym jedynie Saulak wie, z jakiego powodu znalazł się w więzieniu.

– Przekonujące. – Aleksander Siemionowicz kiwnął głową, nie przestając miarowo przemierzać gabinetu. – Kiedy twój chłopak kończy odsiadkę?

– Dokładnie nie wiem, powinien wyjść między pierwszym a piętnastym lutego.

– No cóż, mamy czas, przynajmniej dziesięć dni. Zobaczę, co da się zrobić, Antonie. Nie obiecuję niczego konkretnego, sam chyba rozumiesz, że takie rzeczy należy planować wcześniej, w ciągu dziesięciu dni nic sensownego się nie wymyśli. Wyślemy zapytanie do służby więziennej, ale nie mogę ręczyć za jakość i rzetelność odpowiedzi. Pomyślimy też, jak go do ciebie przewieźć. Przepraszam, Antonie, spotkajmy się nie tutaj, lecz w domu. Już pięć po trzeciej, a na trzecią wyznaczyłem naradę, ludzie czekają.

Generał Minajew od razu wstał z niskiego fotela, poderwał się lekko i bez żadnego wysiłku, co świadczyło o tym, że przez cały czas miał napięte wszystkie mięśnie.

Kończąc naradę, Aleksander Siemionowicz Konowałow zastanawiał się, jak spełnić prośbę przyjaciela, by nie obarczyć podwładnych zbyt wieloma dodatkowymi zadaniami. Wykorzystując swoje stanowisko, bez trudu był w stanie zdobyć informacje na temat więźnia Saulaka, ale przewiezienie go z Samary mogło stanowić spory kłopot. Jeżeli Minajew mówił prawdę i Saulak był rzeczywiście agentem samego Bułatnikowa, pojawi się sporo chętnych, żeby go dopaść zaraz po opuszczeniu kolonii. Generał lejtnant Władimir Wasiljewicz Bułatnikow był postacią równie wpływową, co nikomu nieznaną, z wyjątkiem, ma się rozumieć, jego kolegów. Tylko nieliczni wiedzieli, że stał za prawie wszystkimi rozradami na wysokich stanowiskach w rządzie od sierpnia 1991 do października 1993 roku, za ujawnieniem skandali, a także za wszystkimi ważnymi wydarzeniami w tamtym czasie. Nikt nie wiedział dlaczego, nikt nie potrafił rozszyfrować mechanizmów, które uruchamiał. Istniało jedynie wąskie grono osób, które wiedziało: jak będziesz w potrzebie, wal do Bułatnikowa. On może wszystko.

Tak przynajmniej widział to Anton Minajew, choć nie wiadomo, czy należało mu wierzyć. Aleksander Siemionowicz raczej nie zastanawiał się nad tym, jak pomóc przyjacielowi, przepracował w organach spraw wewnętrznych tyle lat, że przyzwyczał się myśleć najpierw o sprawie, później o interesach swojego resortu i własnych, a dopiero na końcu o przyjaźni. Jeżeli Anton nie przesadzał i niczego nie przeinaczył, ktoś może Saulaka albo porwać, albo kropnąć, gdy tylko wyjdzie za bramę kolonii. Jeśli zginie – pal go lichem, nie jest żadną osobistością, deputowanym, artystą ludowym czy dziennikarzem znanym z ujawniania skandali. Nikt nawet nie zauważy, że go zabito. Ale jeśli zostanie porwany, to nie wiadomo w jakim celu. A także jak dużo wie. Przez dwa lata, które spędził w więzieniu, milczał i siedział jak mysz pod miotłą, a to znaczy, że nie próbował kupić sobie wolności za cenę gorzkiej wiedzy. Z tego wniossek, że dobrowolnie nie puści farby, gdy znajdzie się po drugiej stronie więziennej bramy. To oczywiste, że musi mieć jakieś powody, żeby trzymać język za zębami. Bogu niech będą dzięki, że je w ogóle

ma. Ale jeśli ktoś zechce wykorzystać te informacje, będzie musiał go porwać i skłonić do mówienia. Następstwa z jednej strony trudno przewidzieć, ale z drugiej łatwo je sobie wyobrazić, bo rozpoczyna się przedwyborczy wyścig. Prezydent obiecał, że najpóźniej piętnastego lutego oznajmi, czy będzie się ubiegał o reelekcję. A zatem do tego czasu można jeszcze wpłynąć na jego decyzję. Czy nie znaleźli się czasem chętni, żeby wykorzystać dawnego agenta jako kartę przetargową?

Narada skończyła się koło piątej, o wpół do siódmej do instytucji znajdującej się w obwodzie samarskim i mającej skomplikowany kod literowo-cyfrowy wysłano zaszyfrowany telegram. Generał Konowałow postanowił zaczekać na odpowiedź, zanim podejmie dalsze działania.

≡

Odpowiedź na zaszyfrowany telegram przyszła trzy dni później i nie spodobała się Aleksandrowi Siemionowiczowi. Zdania były okrągłe, rutynowe, zwyczajne, nic nie przykuwało oka ani uwagi. Podczas odbywania wyroku Paweł Dmitrijewicz Saulak, rok urodzenia 1951, skazany w marcu 1994 roku z artykułu 206, ustęp 3 KK RFSRR, na karę dwóch lat pozbawienia wolności w kolonii karnej, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Nie należał do grupy podżegaczy, ale też nie współpracował ze służbą więzienną. Harował w szwalni, gdzie skazańcy tworzyli niedoścignione dzieła sztuki krawieckiej – brezentowe rękawice i namioty. Nie naruszał regulaminu, nie dostawał paczek ani listów, nikt go nie odwiedzał. Nie występował z wnioskiem o warunkowe zwolnienie przedterminowe, zresztą nie było ku temu żadnych podstaw. Przestrzegał wprawdzie dyscypliny, ale nic nie świadczyło o tym, że uświadomił sobie swoją winę, żałował popełnionego czynu i odkupił go pracą. Zamknięty, nietowarzyski, nie nawiązywał kontaktów ani z więźniami, ani ze strażnikami. Aresztowano go czwartego lutego 1994 roku, a zatem okres kary pozbawienia wolności liczył się, odkąd trafił do aresztu, i mijał trzeciego lutego 1996 roku.

Generał Konowałow przeczytał lakoniczny tekst i wzruszył

ramionami. Dobrze wiedział, że takie rzeczy się nie zdarzają. Przebywający w kolonii więzień nie może spokojnie i pilnie pracować, nie mieć żadnych zatargów i z nikim się nie kontaktować. Albo chroni go służba więzienna, albo wchodzi w skład grupy skupionej wokół jakiegoś lidera, tak zwanej „rodziny”. W każdym innym przypadku konflikty i kontakty są nieuniknione, Saulak powinien był przynajmniej ze dwa albo trzy razy obić komuś głowę, w dodatku dotkliwie, żeby się od niego odczepiono, i trafić za to na piętnaście, a może nawet trzydzieści dni do karceru. Jednakże w odpowiedzi nadesłanej z kolonii czarno na białym napisano, że nie odnotowano przypadków naruszenia regulaminu przez Saulaka, że skazany nie wchodzi w zatargi ze współwięźniami, co podsunęło generałowi smutną myśl, że albo funkcjonariusz służby więziennej sporządzający odpowiedź nie ma pojęcia o swojej pracy, albo coś tutaj nie gra. Anton Minajew chyba ma rację, tego Saulaka trzeba przypilnować.

Przez cały następny dzień Aleksander Siemionowicz zastanawiał się, kto mógłby podjąć się ochrony zagadkowego agenta chuligana. Do trzeciego lutego pozostawało siedem dni. To za mało, żeby należycie przygotować operację, którą trzeba przecież jeszcze wymyślić... W końcu generał Konowałow skontaktował się z człowiekiem, którego darzył pełnym zaufaniem. Zadzwoił do wydziału kryminalnego GUWD [\[1\]](#) Moskwy, żeby porozmawiać z naczelnikiem sekcji do walki z przestępczością przeciwko życiu i zdrowiu, z pułkownikiem Wiktorem Gordiejewem.



Nastia Kamieńska już od dawna nie marzyła tak okropnie jak tej zimy. W ciągu paru ostatnich lat temperatura w sezonie zimowym oscylowała wokół zera, błoto chlupotało pod nogami, buty przemakały, a lufciki w pokojach mogły być otwarte przez okrągłą dobę. W tym roku przyroda się opamiętała i postanowiła pokazać, jak naprawdę wygląda zima, żeby ludzie nie zapomnieli.

Wysuwając rano stopy spod kołdry, Nastia czuła dotkliwie zimno, co stanowiło dodatkowe źródło cierpienia, bo poranne wstawanie było

dla niej dramatycznym przeżyciem, zwłaszcza gdy za oknem panowała jeszcze ciemność. Prosto z łóżka biegła do kuchni, zapalała gaz pod wszystkimi palnikami, po czym pędziła do łazienki i przez dziesięć, piętnaście minut stała pod gorącym prysznicem, czekając, aż organizm raczy się zbudzić, a w kuchni zrobi się ciepło. Stojąc codziennie pod strumieniem parzącej wody, za każdym razem myślała to samo: Za co mnie to spotyka? Czemu muszę się męczyć? Chcę się położyć, oczy mi się zamykają, nogi uginają, w ogóle nie kontaktuję, kręci mi się w głowie. Nie mogę wstawać o wpół do siódmej, nie mogę, nie mogę. Ale codziennie wychodziła z łazienki, wypijała kubek mocnej kawy i szklanekę lodowatego soku i już kwadrans później życie wydawało jej się całkiem znośne, a niedawne gorzkie narzekania głupie i bezsensowne. Najtrudniejsze były pierwsze chwile, wymagały niesłychanej siły woli, żeby je przetrwać i się nie poddać. Nikt nie wiedział, dlaczego organizm Nasti Kamieńskiej funkcjonował w ten sposób, ale wszyscy do tego przywykli, nawet ona sama.

Dzisiaj stała pod prysznicem i zgodnie z obowiązującym porządkiem dnia użalała się nad sobą, gdy zza drzwi dobiegł ją głos męża.

– Zrobić ci grzanki na śniadanie?

– Nie trzeba – odparła zbolalym głosem.

– A co chcesz? Jajecznicę?

– Nic nie chcę. Tylko umrzeć.

– Jasne. – Aleksiej uśmiechnął się za drzwiami. – A więc grzanki.

Możesz już przestać się wygłupiać, w kuchni panują tropikalne klimaty.

Nastia zakręciła kran i od razu poczuła, jak do nagrzanej łazienki napływa zimne powietrze, podstępnie wciskając się przez szparę pod drzwiami. Pośpiesznie się wytarła, zawinęła w długi, gruby szlafrok i ruszyła w stronę kuchni, gdzie czekało na nią zbawienne ciepło.

– Niektórym się powodzi – wybąkała z żartobliwą zazdrością, wbijając zęby w soczysty kawałek podsmażonego pszennego chleba z roztopionym serem. – Nie muszą biec o świcie do pracy, no i zrywają się rano bez bólu i wysiłku, jakby czekały ich same przyjemności.

- Uhm - potwierdził mąż. - Niektórym powodzi się z mężami. Cierpliwi, kochający, co rano wstają, żeby przygotować żonie śniadanie, robią też zakupy, no i godzą się z trudnym charakterem małżonki. Dlaczego ty masz takiego męża, a ja nie mam takiej żony?

- Bo nie umiesz wybierać. - Nastia wzruszyła ramionami. - W ciągu piętnastu lat, gdy się o mnie starałeś, zdążyłbyś sobie znaleźć kogoś lepszego. Czy to moja wina, że uparłeś się jak osioł i za żadne skarby świata nie chciałeś ze mnie zrezygnować? Nawiasem mówiąc, po co zerwałeś się tak wcześnie? Zdaje się, że zamierzałeś pracować dzisiaj w domu.

- Zaraz zabieram się do roboty. Zrobiło mi się żal leniwej żony, więc wstałem, żeby przygotować jej śniadanie.

- Dziękuję, słoneczko, doceniam to. - Nastia uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Kiedy obiecano wam wypłacić pensje?

- Nikt nam tego nie obiecuje, szefostwo zwyczajnie milczy i nie płaci - burknął Aleksiej. - Odkąd w listopadzie nic nie dostaliśmy, wszyscy nabrali wody w usta. A czemu, szykują się problemy?

- Jeszcze nie wiem, choć to niewykluczone. Nam też nie zapłacono za styczeń, ale przynajmniej karmią nas obietnicami z dnia na dzień. Jeśli chodzi o nasz budżet domowy, to mamy jeszcze uciulane trzysta tysięcy, wystarczy na tydzień życia, tylko co zrobimy potem?

- Nie zawracaj sobie tym głowy, Asieńko. - Aleksiej się skrzywił. - W tym tygodniu mam cztery płatne wykłady, a w przyszłym trzy. Damy sobie radę.

- Ale przez to, że nie dostajesz pensji od listopada, Loszyk, wydaliśmy pieniądze za twój ostatni podręcznik, zwyczajnie zjedliśmy go od początku do końca, razem z wprowadzeniem, zakończeniem i okładką. Żyjemy jakoś nie po kolei, nie wypracowaliśmy strategii, jak zarabiać pieniądze i jak je wydawać. Chyba pamiętasz, że planowaliśmy odłożyć honorarium za podręcznik na rocznicę ślubu, żeby gdzieś pojechać? Jutro przejemy twoje wykłady, a co zrobimy pojutrze, gdy ani ty, ani ja nie dostaniemy pieniędzy? Zaczniemy sprzedawać prezenty, które mi kupiłeś?

- Asiu, prowadzenie tej rozmowy, zwłaszcza w pośpiechu, nie ma sensu, skoro nie proponujesz konkretnego rozwiązania. Lepiej jedz

szybciej, bo się spóźnisz do pracy.

– Mam pomysł i chcę, żebyś go przemyślał. Wspominałeś, że podczas ostatniej konferencji złożono ci ciekawą propozycję...

– Asiu! – Aleksiej gwałtownie wstał i podszedł do okna. – Przecież nie zamierzasz ze mną pojechać. Wiem, że jest ci zupełnie obojętne, gdzie jestem, z tobą czy na drugim końcu świata, w Kanadzie, bo nic nie widzisz prócz swojej pracy. Ale nie chcę cię zostawiać, bez ciebie się nudzę, tęsknię za tobą, już nieraz omawialiśmy tę kwestię.

– Nie unoś się, Loszeńka! Co mamy zrobić? Zdechnąć z głodu? To nie nasza wina, że pracownikom budżetówki wstrzymano pensje, nic nie możemy na to poradzić. To ponad nasze siły. Ktoreś z nas dwojga musi zarobić pieniądze, nie ma innego wyjścia. Gdybyś pojechał na trzy miesiące do Kanady z cyklem wykładów, moglibyśmy przynajmniej przez rok nie myśleć o naszych wynagrodzeniach.

– Nie pojedę. – Aleksiej uparcie pokręcił głową. – Tutaj też zarobię, nie umrzemy z głodu.

Nie pokłócili się, o nie, Nastia i Aleksiej właściwie nigdy się nie kłócili, ale po rozmowie pozostał niesmak, więc Nastia zjawiała się w pracy w nie najlepszym humorze. W pokoju było zimno, toteż nawet nie potrafiłaby powiedzieć, co ją bardziej irytowało – zimno i dreszcze, które wciąż nią wstrząsały, czy wspomnienie porannej rozmowy z mężem. Myśl, że Loszka ma po trosze rację, była nieprzyjemna. To prawda, że Nastia całkiem spokojnie przyjęłaby fakt wyjazdu Aleksieja na trzy miesiące. Tak się przyzwyczaiła żyć samotnie, nikogo nie potrzebując, że osiem miesięcy małżeństwa nie zaszczerpiło jej jeszcze strachu przed rozłąką z mężem.

O dziesiątej miała się stawić u naczelnika na porannej odprawie, ale za dziesięć dziesiąta do jej pokoju zajrzał Kola Siełujanow i oznajmił, że odprawy nie będzie.

– Niby czemu? – zdziwiła się Nastia. – Coś się stało?

– Nie mam pojęcia. – Siełujanow pokręcił głową. – Pączka nie było od samego rana, a pięć minut temu zadzwonił i powiedział, że przyjedzie najprędzej o dwunastej.

– Całe szczęście, że nie jest chory. – Nastia uśmiechnęła się z ulgą.
– Z resztą nieprzyjemności jakoś sobie poradzimy.

Pracy było jak zawsze bez liku. Nastia dzwoniła gdzieś, pytała o coś, zasięgała informacji, sprawdzała to i owo, kreśliła schematy, robiła notatki, chmurzyła się, prychała, piła kawę, paliła papierosa za papierosem, ale wieczorem poczuła, że trochę jej się rozjaśniło w głowie. Dwukrotnie w ciągu dnia musiała przerwać swoje zajmujące dociekania, bo przychodzili świadkowie, z którymi należało porozmawiać. Polecenia otrzymywała od naczelnika sekcji pułkownika Gordiejewa, zwanego Pączkiem, toteż gdy o ósmej wieczorem znowu usłyszała jego głos w telefonie, uznała, że zjawił się jeszcze jeden świadek, którym nie ma kto się zająć, z wyjątkiem frajerki Kamińskiej.

– Wpadnij do mnie – rzucił krótko Gordiejew, a jego głos nie wydał się Nasti dobroniosny. Ciekawe, kiedy zdążyła coś przeszkrobać? Przecież nie dalej jak dwie godziny temu Wiktor Aleksiejewicz rozmawiał z nią spokojnie i po przyjacielsku, nazywał dzieckiem i chwalił za znalezienie trafego rozwiązania.

Wbrew oczekiwaniom naczelnik wcale nie wyglądał na rozgniewanego albo zdenerwowanego.

– Siadaj. – Kiwnął głową na widok Nasti. – I postaraj się niczemu nie dziwić. Powiedz, proszę, czy chociaż czasami czytasz gazety?

– Czasami – przytaknęła z uśmiechem. – Ale to „czasami” zdarza się bardzo rzadko.

– I nie oglądasz telewizji?

– Oglądam, ale też nie za często.

– A więc nie interesujesz się polityką?

– Ani trochę – zapewniła stanowczo.

– To niedobrze. Będę musiał przeszkolić cię od podstaw.

– Może da się inaczej, Wiktorze Aleksiejewiczu? – poprosiła Nastia żałosnie. – Nie przepadam za tym.

– Nie da się, dziecko, w przeciwnym razie nic nie zrozumiesz.

– To aż tak skomplikowane? – Uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

– Dla mnie nie, ale ja w odróżnieniu od ciebie czytam gazety. No więc tak, Stasienko. Był sobie kiedyś generał lejtnant Bułatnikow, zaczął pracę w KGB, skończył ją w tej samej instytucji, tylko o innej nazwie. Bułatnikow miał swojego zaufanego człowieka, agenta Pawła Dmitrijewicza Saulaka. W dziewięćdziesiątym trzecim

roku, tuż po październikowych wydarzeniach, generał lejtnant zginął w niewyjaśnionych okolicznościach, a krótko potem Pawłowi Saulakowi wytoczono sprawę sądową, po czym trafił prosto do kolonii karnej.

– Nieszczęśliwy wypadek? – zapytała Nastia. – Czy maczał w tym palce?

– Któż to może wiedzieć prócz samego Pawła Dmitrijewicza. – Gordiejew rozłożył ręce. – Ale za tydzień, trzeciego lutego, Saulak kończy odbywanie kary i wychodzi na wolność. Jeśli chodzi o niego, to na razie wszystko. Wróćmy do Bułatnikowa. Dzisiaj ważne są dla nas dwie rzeczy. Po pierwsze, Władimir Wasiljewicz Bułatnikow cieszył się opinią człowieka, który dużo może, bardzo dużo robi, ale jeszcze więcej wie. A po drugie, miał ucznia, którym opiekował się przez wiele lat, pomagał mu piąć się po szczeblach kariery, uczył fachu i w końcu zrobił swoim zastępcą. Ów człowiek nazywa się Anton Andriejewicz Minajew. Po śmierci Bułatnikowa jego miejsce zajął ktoś inny, zastępca wywodzący się z otoczenia generała nie przypadł mu do gustu, więc Minajew musiał przejść do innej służby, ale w tym samym resorcie. A ponieważ jest człowiekiem, który nie zapomina dobrych uczynków, myśl o niejasnej śmierci jego opiekuna i mentora wciąż nie dawała mu spokoju.

– I chce zadać parę pytań Pawłowi Dmitrijewiczowi?

– Zgadza się. – Gordiejew kiwnął głową.

– No to w czym problem? Nie potrafi ich zadawać? Czy nie chce wyjść z ukrycia i spotkać się z tym typem?

– Chce i potrafi. Tylko widzisz, dziecko, boi się, że Saulak najzwyczajniej w świecie do niego nie dotrze.

– Jak to?

– No tak, podejrzewałem, że będę musiał tłumaczyć ci wszystko od a do zet. Czyżbyś nie wiedziała, kim jest Saulak?

– Nie, nie wiem. Co niby powinnam wiedzieć prócz tego, że to agent wywiadu? Fakt, że tuż po śmierci Bułatnikowa znalazł się za kratkami, dowodzi tylko tego, że za dużo wie, w dodatku bez względu na to, z czyjej inicjatywy tam trafił, swojej czy kogoś innego. Powód był tylko jeden, i to oczywisty.

– No proszę, a mówisz, że nie wiesz. Musisz więc zdawać sobie

sprawę, że Saulak pokona najwyżej sto metrów od bramy kolonii. Jeśli przejdzie owe sto metrów i umilknie na zawsze, to jeszcze pół biedy, jakkolwiek nieprzyjemnie to zabrzmiałoby. Drugie rozwiązanie przysporzy nam większych nieprzyjemności.

– Myśli pan, że ktoś będzie chciał go porwać i wyciągnąć z niego wszystko, co wie?

– Muszę tak myśleć. Widzisz, dziecko, do ucznia Bułatnikowa, generała majora Minajewa, dotarła informacja, że trzy albo cztery miesiące temu ktoś zaczął się bardzo interesować skazanym za chuligaństwo Pawłem Dmitrijewiczem. Minajew ma wszelkie podstawy, by przypuszczać, że jacyś ludzie zaczynają dobierać się do Saulaka, i to nie z jednej strony, ale z dwóch, a może nawet z trzech. Saulak pracował dla Bułatnikowa i po pierwsze, może wiedzieć, kto sprzątnął generała, a po drugie, może znać rzeczy, które okażą się bardzo przydatne w zbliżającym się wyścigu przedwyborczym. Tutaj, jak sama wiesz, panuje wolna amerykanka, każdy działa według własnego uznania. Jeden zacznie piętnować szefów sukinsynów za to, że nie wypłacają zaległych pensji i emerytur, drugi będzie udowadniał, że wymyślił skuteczny sposób zakończenia kampanii czeczeńskiej, a jeszcze inny poruszy niebo i ziemię, żeby skompromitować rywala i jego ugrupowanie.

– No to świetnie. Nadal nie rozumiem, w czym problem. Czyżby generał Minajew nie mógł zapewnić ochrony Saulakowi? Dlaczego raptem to pańskie, a nie jego zmartwienie?

– Dlatego, że Anton Andriejewicz Minajew nie zawiaduje służbami operacyjnymi i nie chce rozgłosu. Dlatego, że zwrócił się ze swoim problemem do starego druha Aleksandra Siemionowicza Konowałowa, a on z kolei zrzucił go na moje barki. No i dlatego, że nie ma sensu chronić Saulaka. Ilość przerodzi się w jakość, ale rezultat będzie ten sam. Jeżeli Saulaka będzie ochraniał jeden człowiek – obaj zostaną zabici albo porwani. Jeśli przydzielić mu pięć osób – przed bramą kolonii zjawi się z dziesięciu zbirów, żeby osiągnąć cel. Jeżeli postawić kompanię – będzie konieczna operacja wojskowa, żeby go dopaść. Mimo to go dopadną, możesz mi wierzyć. Przez dwa lata milczał, nie zdradził żadnych informacji, ale to wcale nie oznacza, że nie ma nic do powiedzenia. Ci, którzy się nim teraz

interesują, chcą je z niego wyciągnąć i wykorzystać w politycznych rozgrywkach.

– No to niech wykorzystują. – Nastia wzruszyła ramionami. – Czy to nasze zmartwienie? Po to są rozgrywki, żeby się bawić.

– Nic nie rozumiesz. – Gordiejew zwany Pączkiem pokręcił łysą głową. – Po pierwsze, dostałem rozkaz od generała Konowałowa i nie mogę go nie wykonać. Generał otrzymał informacje operacyjne, że szykuje się zabójstwo albo porwanie człowieka, więc każe mi zapobiec zbrodni. I na tym koniec, dziecko, nie mam nic do gadania. Po drugie, ty i ja – major i pułkownik – jesteśmy cichymi, szarymi ludźmi, oni zaś są w randze generałów, to przyboczni jego wysokości. Obaj potrzebują Saulaka, bo są pewnie w czyjejsz ekipie. Dobrze, jeśli w jednej. Bo jeśli w różnych, to dadzą nam jeszcze popalić. No więc pytam cię, dziecko: czy wiesz, co trzeba zrobić, żeby przetransportować bez szwanku Pawła Dmitrijewicza Saulaka z kolonii w obwodzie samarskim do stolicy?

– Wiem – odparła. – Wiem, co trzeba zrobić. Tylko nie mam pojęcia, jak to zrobić.



Zachowywał spokój i uzbroił się w cierpliwość. Do końca kary pozostało zaledwie sześć dni, ale się tym nie przejmował, bo wciąż nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. Odkąd znalazł się w kolonii, codziennie czytał gazety, żeby się zorientować, czy niebezpieczeństwo minęło, ale nic mu to nie dało. Raz miał wrażenie, że może wyjść, bo nic złego już mu się nie przytrafi, innym razem znowu zaczynały się zawirowania w polityce wewnętrznej, więc dochodził do wniosku, że lepiej poczekać. Ponieważ nie miał na swoim koncie żadnego naruszenia regulaminu i stale przekraczał normy wydajności w warsztacie, w każdej chwili mógł pójść do naczelnika oddziału i powiedzieć, że chce rozpocząć starania o warunkowe albo przedterminowe zwolnienie. Nie było powodu, żeby odrzucić wniosek, więc sąd z pewnością przychyliłby się do jego prośby. Paweł Saulak nie skorzystał jednak z tego rozwiązania. Nie miał pewności, że tam, na zewnątrz, na wolności, będzie bezpieczny.

Co go czeka za sześć dni? Może powinien wykręcić jakiś numer, póki nie jest za późno, i załatwić sobie dodatkowy wyrok? Czy lepiej wyjść?

W pracy Saulak kierował się własnymi zasadami, jedną z nich był zakaz powtarzania tego samego chwytu, jeśli to mogło spowodować dekonspirację. Pierwszy raz, dwa lata temu, umyślnie popełnił przestępstwo i trafił za kratki, czuł się tu pewnie i bezpiecznie. Ale jeśli jacyś ludzie go obserwują i czekają, aż wyjdzie na wolność, od razu się domyślą, że się ich boi, skoro parę dni przed uwolnieniem zrobi wszystko, żeby zostać w kolonii. To tania i stara sztuczka. Na razie może udawać, że nic właściwie nie wie, że dwa lata temu naprawdę się upił i dopuścił chuligańskiego czynu, w końcu to nic nadzwyczajnego, więc nawet mu nie przyjdzie do głowy, że ktoś może na niego polować, bo stanowi łakomy kąsek. Dlaczego nie przyjdzie do głowy? Ano dlatego, że nie ma w niej nic ciekawego, wyłącznie same głupstwa. Jeśli jednak okaże strach, to jakby się przyznał: tak, mili państwo, wiem sporo, i to na takie tematy, od których włosy stają dęba i krew ścina się w żyłach. Wtedy już po nim. Dopadną go w każdej kolonii, zadbają o wszystko, nie pożałują pieniędzy na łapówki, byle tylko dorwać.

Paweł przewrócił się na pryczy i poczuł ból w boku (odezwała się wątroba), więc usiadł, spuścił nogi na podłogę. Barak spał albo udawał, że śpi. Saulak wiedział, że w tej złudnej ciszy ciągle coś się dzieje...

Wciągnął buty i pomaszerował ku wyjściu, bez hałasu, mimo że wcale się o to nie starał. Krok miał sprężysty i lekki, więc bez najmniejszego trudu poruszał się niemal bezszelestnie.

– Ty dokąd, Trzonek? – rozległ się głos z tyłu. – Uważaj, bo się doigrasz.

Paweł nawet nie odwrócił głowy. Wiedział, że jedynym człowiekiem, który nie chce, żeby opuścił kolonię, był świeżak Kola, skazany za głupią kradzież, gdy był jeszcze niepełnoletni, i przeniesiony do kolonii dla dorosłych po ukończeniu osiemnastego roku życia. Kola trafił za kratki całkiem niedawno, ze dwa miesiące temu, i jego niewysokie, ładnie zbudowane ciało od razu znalazło wielu amatorów. Na początku, ze względu na własne bezpieczeństwo,

Saulak przyrzekł sobie, że z nikim nie będzie zadzierał, ale teraz musiał złamać obietnicę, bo zrobiło mu się żal chłopaka. Kątem ucha łowił urywki rozmów, „jakby Kolkę zgrabnie wyruchać”, i cierpliwie czekał, aż opryszki przystąpią do realizacji swojego planu. Nie trwało to zbyt długo, prowodyrzy w końcu ustalili kolejność. Saulak nie spuszczał oczu z chłopaka i gdy się domyślił, że „już się zaczęło”, cicho podszedł do drzwi, za którymi skryli się gwałciciele. Na straży stali dwaj mięśniacy, którym obiecano, że będą mogli wygrzmocić Kolę po elicie, oni jednak nie stanowili przeszkody dla Pawła. Już dawno, miesiąc po tym, jak znalazł się w kolonii, wszyscy się przekonali, że nie należy wchodzić mu w drogę. Nie warto. Toteż na widok poruszającej się bez wydawania dźwięku, niemal bezcielesnej postaci Trzonka myśleli tylko o tym, żeby nie napotkać jego wzroku.

Okazało się, że drzwi są zamknięte. Saulak bez słowa wyciągnął rękę i z satysfakcją poczuł, że w dłoni spoczął ciepły metalowy klucz, posłusznie wsunięty przez jednego z mięśniaków. Stanowczym ruchem obrócił go w zamku i szarpnął drzwi. Nic się jeszcze nie stało, zdążył. Kola stał pochylony do przodu, czterech drabów trzymało go za ręce i nogi, a ten, który był pierwszy w kolejce (wyłoniony w losowaniu albo na podstawie umowy), stał już z opuszczonymi spodniami i dowcipkując, demonstrował zebrany swój interes w pełnej gotowości bojowej. Widok był przerażający, bo pod skórą imponującego członka miał wszyte kuleczki – przedmiot wyjątkowej dumy głupkowatego bandziora. Saulak przez chwilę wyobrażał sobie potworny ból, jaki poczułby biedny chłopak, gdyby ten straszliwy narząd rozerwał mu odbyt, ale owa chwila wystarczyła, by wszystko się skończyło. Hardo uniesiony gruby, długi członek nagle się skurczył i sflaczał, jak balonik, z którego spuszczone powietrze. Wszyscy stali w milczeniu, chociaż tak naprawdę nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Zjawił się przed nimi nie umrzyk, który powstał z trumny, ale Trzonek, taki sam zek jak oni. Wszyscy wiedzieli, że Trzonek nie wyda, nie zakapuje. W ciągu dwóch lat napatrzył się na niejedno, nawet go prowokowano, żeby zakablował, licząc, że pęknie i będzie mu można z czystym sumieniem dać potem nauczkę, ale się nie doczekano.

Mimo to wszyscy znieruchomieli, gapiąc się w podłogę. Saulak wziął Kolę za ramię i wyprowadził na zewnątrz. Chłopak głośno szlochał, nawet nie próbując ukryć łez, przestraszony nie na żarty.

– Nie becz – rzucił Paweł oschle. – Już po wszystkim. To się więcej nie powtórzy.

– Skąd wiesz? – chlipnął Kola. – Jesteś ich prowodyrem?

– Nie. Ale wiem.

– Przyjmiesz mnie do swojej rodziny? – nieśmiało poprosił chłopak.

– Nie mam rodziny. Jestem sam.

– Mogę być z tobą? Będziemy razem. Chłopaki mówią, że nie dostajesz paczek i nikt cię nie odwiedza, a mnie mama przysyła i przywozi paczki, to będę się z tobą dzielił.

– Nie trzeba, wystarcza mi to, co dostaję.

– Jak może wystarczać, skoro wyglądasz jak szkielet! – oburzył się Kola. – Nie bez powodu mówią na ciebie Trzonek, możesz się schować za trzonkiem od łopaty.

– Powiedziałem: nie trzeba.

Paweł przerwał rozmowę. Nie pozwolił Koli zbliżyć się do siebie, ale bez przerwy czuł jego spojrzenie pełne wdzięczności i nieśmiałego zachwyty. A teraz, butnie maszerując ku wyjściu z baraku i słysząc dobiegający z tyłu szept, doskonale wiedział: każdemu z jego brygady może zależeć na tym, żeby się nie „doigrał”, bo każdy chce, żeby nienawistny, nieodgadniony i przedstawiający mgliste, ale realne niebezpieczeństwo Trzonek wreszcie się wyniósł. Nikt nie chce, żeby zaledwie parę dni przed opuszczeniem kolonii wpakował się w kłopoty, naruszając regulamin. Chyba tylko mały Kola wolałby, żeby jeszcze został, bo się boi, że straci wsparcie. Cała reszta nawet we śnie szuka sposobu, jakby się go skutecznie pozbyć. Za naruszenie regulaminu nikt go tu oczywiście nie zatrzyma, nie ma takiego prawa, żeby samowolnie przedłużyć karę nałożoną przez sąd, ale gdyby parę dni przed uwolnieniem Trzonek wpadł we wściekłość, życie mieszkańców baraku zamieniłoby się w piekło. W to akurat nikt nie wątpił.

Saulak otworzył drzwi na korytarz i cicho ruszył w stronę umywalni. Zapalił światło, niczego się nie obawiając, odkręcił kran, opłukał twarz lodowatą wodą, podniósł głowę i przyjrzał się swojemu

odbiciu w popękany, zamglonym lustrze. Prawie się nie zmienił przez dwa lata. Nawet nie schudł, bo nie miał kilogramów do zrzucenia, zawsze był chudy jak patyk. Wąskie kości obciągnięte gładką, delikatną skórą. Mocno zapadnięte policzki, wysokie czoło, małe oczy w obramowaniu krótkich, niewidocznych rzęs, prawie zupełny brak brwi, nos cienki i garbaty, ale zbyt długi dla tego kształtu twarzy. Na głowie parę kosmyków, już zresztą siwych. W tym roku Paweł skończy czterdzieści pięć lat. Wiek zdradza tylko uczesanie, bo wcześniej zacząłłysieć – włosy wyraźnie się przerzedziły, gdy miał trzydziestkę. Gdyby nie to – wysoki, zgrabny chłopak, ani grama tłuszczu pod skórą, a mięśnie wyglądają tak, jakby nie były napakowane. Bo rzeczywiście nie były. Saulak miał silne, szczupłe, wytrzymałe nogi biegacza, ale ręce i ramiona chude i wężkie.

Na korytarzu rozległy się kroki, do umywalni zajrzał Kostiec, który starał się o przedterminowe zwolnienie i dlatego zapisał się do sekcji porządkowej. No proszę, zerwał się w środku nocy. Trzonek dał się wszystkim we znaki, nikt go nie może ścierpieć.

– Chory jesteś? – z troską zapytał Kostiec. – Może zawołać Facjatę, żeby przyprowadził lekarza?

Facjatą nazywano jednego z dyżurnych zastępców naczelnika kolonii, w skrócie DPNK^[2], który akurat dzisiaj miał zmianę. Wychodzenie z baraku w niedozwolonym czasie było zakazane, a nawet jeśli ktoś wyszedł, daleko nie zaszedł, bo każdy barak ogrodzono siatką, furtkę zaś zamykano na klucz. Nie można było wyjść bez naczelnika oddziału albo DPNK. Gdy więc ktoś potrzebował lekarza, musiał prosić o pomoc DPNK.

Saulak nawet się nie odwrócił, tylko patrzył w milczeniu na chłopaka, który odbijał się w lustrze. Lustro było nie tylko zamglone, ale też krzywe, więc krzepki i masywny Kostiec wyglądał w nim, jakby był wychudzony i mizerny.

– Nie trzeba – wycedził w końcu przez zęby.

– Położyłbyś się, Trzonek – nieśmiało rzekł Kostiec. – Zaraz będzie obchód baraków.

– Zamknij się – powiedział Saulak spokojnie i niemal serdecznie.

Kostiec się wycofał. Paweł wsłuchał się w siebie – bok ćmił, ale ból

był do zniesienia. Byleby tylko nie skoczyła temperatura. Na wolności zrobiłby oczywiście wszystko, co trzeba. Wypiłby trochę oleju roślinnego z cytryną albo butelkę podgrzanej wody mineralnej Jessentuki 17 z ksylitolem i położyłby się do łóżka z gorącym termoforem pod bokiem. Najlepszy sposób profilaktyki i jeśli go w porę zastosować, można uniknąć ataku.

Wrócił i położył się na pryczy. Zostało tylko sześć dni. Co potem?

⋮

– Zostało tylko sześć dni – powiedział okazały mężczyzna w szarym garniturze, a w jego głosie zabrzmiały stalowe nuty. – A co potem? Przecież on wie o wszystkim i w każdej chwili może puścić farbę.

– Nie jest typem gaduły. Przez te dwa lata, które spędził w kolonii, informacje nigdzie nie wyciekły. To znaczy, że trzyma język za zębami i nie zamierza wykorzystywać zdobytej wiedzy. Dlaczego pan myśli, że po wyjściu na wolność zacznie mówić? Skąd ta pewność?

– Stąd, że zbyt dobrze wiem, co to jest wolność i czym się różni od więzienia. Gdy był pod kluczem, na co mógł liczyć, rozgłaszając tajemnice, które posiadał? Tylko na popularność. Ujawniona tajemnica nie ma wartości. Przebywając w kolonii, nie można szantażować kogokolwiek na zewnątrz. Stąd nie da się zadzwonić, poczta jest kontrolowana. Za to na wolności można sprzedać swoją wiedzę, i to bardzo drogo. Mam nadzieję, że rozumiesz, o co mi chodzi. Saulak musi umrzeć, zanim otworzy gębę. Zrozumiałeś? Nikt nie powinien dopatrzeć się w jego śmierci czegoś dwuznacznego. Najlepsze rozwiązanie to pijacka bójka na jakiejś budowie albo na pustkowiu. Menele zalały się w sztok. Dobrze wiem, że Saulak znajduje się pod obserwacją, że ktoś na niego czeka i nie odpuści, póki się nie dowie, co facet ma w głowie. I pod żadnym pozorem nie próbuj się go pozbyć w sposób, który dałby powód do krzyku, że się go pozbyto.

– Dobrze, Grigoriju Walentinowiczu, wszystko zrozumiałem.

⋮

– Trzydzieści sześć samodzielnych ugrupowań wysunęło do tej pory trzydziestu kandydatów, ale dopiero później się okaże, który z nich zgodzi się ubiegać o prezydencki fotel – mówiła urocza czarnowłosa prezenterka telewizyjna.

Na ekranie zaczęły się pojawiać fotografie znanych polityków. Wiaczesław Jegorowicz Sołomatin uśmiechnął się krzywo, widząc znajome twarze. Oto gdzie ich wszystkich ma, pomyślał, bezwiednie zerkając na zaciśniętą pięść. Wszystkich. Co do jednego. Wszyscy są unurzani, nie ma wśród nich ani jednego naprawdę niezależnego człowieka. Za każdym stoi kapitał kryminalny, bo ten uczciwie zarobiony, pozbawiony znamion kryminalnych, nie ma skąd się wziąć. Prawo ekonomii. Duże i uczciwe pieniądze w jednych rękach to kwestia odległej przyszłości, tak odległej, że jej nie doczekamy.

Wołodka Bułatnikow mógłby dużo opowiedzieć o politykach prezentowanych teraz w telewizji, szkoda, że go nie ma, ktoś się go przestraszył i zamknął mu usta. Nie szkodzi, jest jeszcze jego pomocnik, Paweł Saulak. Wie oczywiście mniej, ale to też wystarczy, żeby skrócić kark tym pożał się Boże prezydentom. Jest tylko jeden prezydent w tym kraju, naród już raz go wybrał i na razie nie potrzebuje drugiego. Żeby wyeliminować z walki wszystkich rywali, Sołomatin musi znaleźć Paszę Saulaka.

Wiaczesław Jegorowicz ani przez chwilę nie wątpił, że się dogada z pomocnikiem nieżyjącego generała Bułatnikowa. Przecież każda umowa to w gruncie rzeczy kwestia pieniędzy i gwarancji. Jeśli chodzi o pieniądze, Sołomatin ma ich w bród, no a gwarancje może dać każde.

[1] GUWD (Gławnoje uprawlenije wnutriennich dieł) – Główny Urząd Spraw Wewnętrznych (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] DPNK (dieżurnyj pomoszcznik naczalnika kołonii) – dyżurny zastępca naczelnika kolonii.

Rozdział 2

Trzeci lutego wypadł akurat w sobotę, więc o ósmej rano droga ze stacji do kolonii świeciła pustkami. Zrobiło się już jasno, okolice były dobrze widoczne, toteż Nastia pomyślała: Chyba to nawet lepiej, że Saulak wychodzi w sobotę. Jeżeli Pączek Gordiejew ma rację i ktoś zamierza zapolować na tego agenta chuligana, to w sobotni poranek niełatwo mu będzie niezauważenie przemknąć przez wieś.

Dwa dni temu po przyjeździe do Samary chciała skontaktować się ze służbą więzienną i dowiedzieć się, o której Saulak wyjdzie za mury. Ale po krótkim namyśle zrezygnowała. Jeżeli generał Minajew się nie myli, ktoś zaczął się interesować Pawłem Dmitrijewiczem, i to bardzo. A zatem będzie działał najprawdopodobniej przez administrację kolonii. Skoro tak, to ona, major milicji Anastazja Kamieńska, nie powinna się ujawniać. Kto wie, który funkcjonariusz został przekupiony. Przecież zgodnie z prawem Murphy'ego, Nastia trafi akurat na niego.

Koło wpół do dziewiątej znalazła się pod budynkiem administracji więziennej i usiadła na ławce. Brama, przez którą miał wyjść Saulak, była pięć metrów dalej. Nastia położyła obok siebie lekką, ale pojemną torbę, wsunęła ręce w kieszenie i przygotowała się na długie czekanie. Już w pociągu zmarzły jej nogi, więc siedząc na ławce, apatycznie poruszała palcami w butach, żeby krew zaczęła zwawiej krążyć i żeby choć trochę się rozgrzać.

O dziewiątej piętnaście pod budynek zajechała szara wołga. Kierowca zatrzymał się tuż przy bramie, ale na polecenie pasażera, który obejrzał się na Nastię i skrzywił z niezadowoleniem, znowu ruszył i odjechał jakieś pięćdziesiąt metrów dalej – tam, gdzie powinien pójść wypuszczony na wolność więzień Saulak.

Pierwsi już się stawili, z satysfakcją odnotowała Nastia. Ciekawe, czy przyjechali wcześniej, tak jak ja, czy może wiedzą, o której wyjdzie Saulak. Jeżeli im powiedziano, to znaczy, że mają swoich ludzi w kolonii. Zobaczymy.

Nieśpiesznie wstała z ławki i podeszła do bramy. Cokolwiek się zdarzy, musi być pierwszą osobą, którą zobaczy Saulak. I co najważniejsze, muszą ją też zobaczyć ci, którzy się interesują Pawłem Dmitrijewiczem.

O dziewiątej dwadzieścia pięć na zakręcie prowadzącym ze stacji pojawił się młody mężczyzna w puchowej kurtce i dużej czapce z wilczego futra. Na widok szarej wołgi zatrzymał się w odległości dwustu metrów. Nastia zauważyła, że pasażer i kierowca zamienili parę słów, po czym samochód znowu zaczął manewrować, jakby szukając lepszego miejsca. Tylko nie wiadomo, czemu inne miejsce miało okazać się lepsze. Chłopak w czapce postął ze trzy minuty, w zamyśleniu obserwując pętle zataczane przez auto, po czym wrócił na gościniec.

Osaczają nas ze wszystkich stron, pomyślała Nastia. Pięknie, bez dwóch zdań. A przeciwko całej tej różnorodnej bandzie głupiutka, naiwna Kamińska, bez broni i legitymacji służbowej. No dalej, Saulak, wychodź, dłużej nie mogę czekać, cała zdrętwiałam z zimna.

Dziesięć po dziesiątej Nastia usłyszała metalowy zgrzyt po drugiej stronie bramy i domyśliła się, że ktoś pokonuje kolejne odcinki ogrodzenia ochronnego. Zgadza się, żelazne skrzydło bramy odjechało w bok i pojawił się Paweł Dmitrijewicz Saulak we własnej osobie. W ciągu ostatnich sześciu dni Nastia tyle razy oglądała jego zdjęcie, że od razu go poznała. Wysokie czoło z zakolami sięgającymi prawie ciemienia, małe oczka, twarz bez brwi z mocno zapadniętymi policzkami, cienkimi ustami i długim, garbatym nosem. Widząc przed sobą tę twarz, nie wiedzieć czemu poczuła się nieswojo.

– Musi mnie pan wysłuchać – powiedziała szybko, biorąc Saulaka pod rękę. – Szara wołga przyjechała po pańską duszę, ale ja chcę pana uratować, chociaż nie jestem pewna, czy dam radę. Usiądźmy na ławce.

Saulak posłuchał w milczeniu. Nastia wyciągnęła z torby termos z gorącą kawą i dwa plastikowe kubki.

– Ma pan ochotę?

Saulak pokręcił głową.

– Jak pan chce. A ja się napiję. Okropnie zmarzłam, czekając na pana. No więc, Pawle Dmitrijewiczu, ktoś na pana poluje. Nie wiem, kto i dlaczego chce pana dopaść, ale moje zadanie polega na tym, żeby dowieźć pana bez szwanku do Moskwy. W tym celu mnie wynajęto i za to mi zapłacono. Nie wiem, co z pana za ptaszek i kogo tak przypiliło, żeby pana dopaść, ja jednak muszę wykonać swoje zadanie. Do tej pory wszystko jasne?

Saulak kiwnął głową.

– Halo, Pawle Dmitrijewiczu, umie pan mówić? Czy udaje głuchoniemego?

– Słucham panią. Proszę kontynuować – odezwał się w końcu.

– Dobrze. Chcę, żeby zrobił pan parę rzeczy, i to nie z grzeczności dla mnie, ale dlatego, że to naprawdę konieczne. Po pierwsze, proszę od razu powiedzieć: chce pan dotrzeć żywy do Moskwy, czy ma pan jakieś inne plany w tym względzie?

– Chciałbym. – Saulak lekko się uśmiechnął.

– W takim razie druga prośba: niech mi pan wierzy i mnie słucha. Mam pomysł, jak względnie bezpiecznie dowieźć pana na miejsce, ale na razie nie zdradzę szczegółów. Ustalmy jedno: sam pan nie dojedzie, a z moją pomocą ma pan szansę, więc proszę pozwolić mi ją wykorzystać. Zgoda?

– Nie jestem pewien, ale na razie przyjmę to jako aksjomat.

– W porządku, to mi odpowiada – stwierdziła Nastia beztrąsko. – Powiedzmy, że na razie, potem zobaczymy. No i wreszcie trzecia kwestia: poznajmy się jak należy. Mam na imię Anastazja, może mnie pan nazywać Nastią i dla dobra naszej wspólnej sprawy proszę mi mówić po imieniu. Nie podaję panu ręki, pasażer z wołgi zbyt uważnie nas obserwuje, nie chciałabym, by się domyślił, że właśnie przed chwilą się poznaliśmy i coś uzgodniliśmy.

– Może mnie pani nazywać Pawłem. I proszę mi nalać kawy.

– Przecież prosiłam, żeby mówił pan do mnie po imieniu – z wyrzutem powiedziała Nastia, podając mu kubeczek z ciemnym parującym płynem.

– Potrzebuję czasu. Muszę się przyzwyczaić. Boże, jak może pani

pić to świństwo!

Ze wstrętem upił parę łyków i się skrzywił.

– Kawa jest dobra – zauważyła Nastia. – Dziwne, że panu nie smakuje.

– Nie znoszę kawy, nigdy jej nie piję.

– Sam pan przecież prosił...

– To dla pasażera w wołdze. Jeżeli rzeczywiście po mnie przyjechał.

– Sądzę, że tak. Ale łatwo to sprawdzić. Zaraz wsiądziemy do pociągu i pojedziemy do Samary. Zatrzymamy się w hotelu, a jutro rano polecimy do Jekaterynburga.

– Po co? Przecież zamierza pani zabrać mnie do Moskwy, prawda?

– Zgadza się. Dlatego polecimy do Jekaterynburga. Dobrze pan widzi pasażera?

– Owszem.

– A kierowcę?

– Też.

– Rozpozna pan ich w innych warunkach?

– Bez trudu.

– W takim razie ruszajmy na stację. I jeszcze raz proszę: przejdźmy na „ty”.

– Nie obiecuję. Nie widzę potrzeby.

– W porządku. – Nastia ustąpiła. – Zostawmy to. Tak jest nawet lepiej.

Wsunęła termos z powrotem do torby, zarzuciła długi pasek na ramię i wstała.

⋮

W wagonie Saulak od razu zajął miejsce w rogu, ulokował się wygodnie i zamknął oczy.

– Śpi pan? – zapytała Nastia półgłosem.

– Nie – odparł, nie otwierając oczu.

– O nic nie chce mnie pan zapytać?

– Nie.

– A odpowie pan na moje pytania?

– Nie.

A żeby cię licho wzięło, bez złości pomyślała Nastia. Przecież w ogóle się nie zdziwiłeś, gdy cię zagadnęłam. Od razu się zorientowałeś, o co chodzi. A więc to wszystko prawda. Naprawdę dużo wiesz i masz podstawy, żeby się obawiać o swoje życie. Ciekawe, jak długo uda mi się mącić w głowie tobie i twoim prześladowcom.

Otworzyła torbę, wyjęła termos i z przyjemnością wypila jeszcze jeden kubek kawy. Miała wielką ochotę na papierosa, ale bała się wyjść do przedsionka i zostawić Pawła samego. Wyjęła papierosa i zapalniczkę, zaczęła je niepewnie obracać w dłoniach, zastanawiając się, co zrobić. Chyba nikt z pasażerów w wagonie nie stanowi zagrożenia, ale ona, Nastia, w ogóle nie zna trasy i nie wie, kiedy będzie następna stacja. Na niej do wagonu może wejść każdy, nie mówiąc już o tym, że Saulak może zbiec.

– Chodźmy. – Usłyszała.

Saulak wciąż siedział z zamkniętymi oczami, skrzyżowawszy ręce na piersiach i założywszy nogę na nogę.

– Dokąd?

– Do przedsionka. Przecież chce pani zapalić i nie wie, co ze mną zrobić.

– Dziękuję – odparła, usiłując ukryć zdziwienie.

Mężczyzna wstał i ruszył pierwszy ku rozsuwanym drzwiom. W zimnym przedsionku oparł się o ścianę, wsunął ręce w kieszenie i znowu zamknął oczy. Nastia miała wrażenie, że śpi na stojąco.

– A pan nie pali? – zapytała, łapczywie zaciągając się dymem.

– Nie.

– I nigdy pan nie palił?

– Nie.

– Czy w ogóle nie jest pan ciekaw, co zamierzam zrobić, żeby dowieźć pana do Moskwy?

– Nie.

– Ale może pan chociaż obiecać, że będzie mnie słuchać?

– Tak. Mogę.

Resztę drogi do Samary spędzili w milczeniu. Saulak nadal siedział z zamkniętymi oczami, a Nastia patrzyła przez okno i snuła rozważania. Ludzie z szarej wołgi ją zobaczyli, to dobrze, teraz

wiedzą, że na pewno zapamiętała zarówno ich, jak i numer rejestracyjny samochodu. A więc bez względu na to, jakie mają zamiary wobec Pawła, muszą zdawać sobie sprawę, że ona jest niebezpiecznym świadkiem, którego należy się pozbyć. Zanim jednak to zrobią, muszą się dowiedzieć, kim jest. A nuż się okaże, że jej zabójstwo postawi na nogi całą milicję w kraju. To właśnie legło u podstaw planu Nasti. Saulak jest bezpieczny, póki polujący na niego ludzie nie zorientują się, kim jest kobieta, która mu towarzyszy, i co właściwie się dzieje.

Drogę od stacji do hotelu pokonali pieszo, mimo że Nastia nie czuła nóg z zimna.

– Nie zapomniała pani, że nie mam dowodu? – odezwał się wreszcie Saulak, gdy od hotelu dzieliło ich tylko parę kroków.

– Nie.

Weszli do przytulnego holu, zastawionego donicami z kwiatami i z palmami, wspięli się po schodach na drugie piętro. Recepcjonistka podniosła głowę i na widok Nasti uśmiechnęła się życzliwie.

– Doczekała się pani? Proszę. – Wsunęła rękę do szuflady w biurku i wyjęła klucz do pokoju. – Pewnie państwo zmarzli?

– Bardzo – przyznała Nastia.

– Włączę samowar. Zanim się rozbierzecie, woda akurat będzie gorąca. – Kobieta się zakrzętnęła.

– Dziękuję – powiedziała Nastia i ruszyła korytarzem w stronę pokoju.

Miała dwupokojowy pól apartament z lodówką i z telewizorem. W dużym pokoju, który pretendował do miana salonu, znajdował się zestaw mebli wypoczynkowych, w jego skład wchodziła kanapa i dwa głębokie fotele. Mały pokój był sypialnią z dwoma łózkami, dwoma szafkami nocnymi i szafą wnękową z dużym lustrem po wewnętrznej stronie drzwi.

– Co najpierw – kąpiel czy jedzenie? – zapytała Nastia, zdejmując kurtkę i buty.

– Kąpiel, ale nie mam w co się przebrać.

– To żaden problem.

Podeszła do telefonu i zadzwoniła do recepcjonistki na piętrze. Ta pojawiła się chwilę później z gorącym samowarem.

– Woda właśnie się zagotowała – oznajmiła. – Napijcie się państwo gorącej herbaty, żeby się rozgrzać.

– Jelizawieto Maksimowno, Paweł potrzebuje ubrania. Da się coś załatwić?

– Oczywiście. – Recepcjonistka skinęła głową. – Poproszę o listę, niedaleko jest sklep, można w nim wszystko kupić.

Nastia szybko sporządziła wykaz najpotrzebniejszych rzeczy i wręczyła Jelizawiecie Maksimownie kartkę wyrwaną z notesu oraz pieniądze. Kobieta posłała Pawłowi zaciekawione spojrzenie, on jednak stał z boku i milczał, jakby nie chodziło w ogóle o niego, a ubranie było potrzebne komuś innemu.

Gdy za recepcjonistką zamknęły się drzwi, Saulak w milczeniu przeciął pokój i skrył się w łazience. Nastia usłyszała, jak odkręcił wodę, i nasłuchiwała, kiedy szczęknie zasuwka przy drzwiach. Ale się nie doczekała. Po pewnym czasie szum wody ustał i Nastia się domyśliła, że Saulak leży już w wannie. Podeszła do drzwi i delikatnie zapukała.

– Paweł, wszystko w porządku?

– Tak – usłyszała w odpowiedzi.

– Zamknął się pan?

– Nie.

– Dlaczego?

– Dlatego. Pani przecież tutaj nie wejdzie.

– Nie wejdę – przyznała. – A zresztą nie wiem. Może wejdę. Nie przeszkadza to panu?

– Wcale. Nie zobaczy pani niczego nowego ani niezwykłego.

– To prawda. – Nastia się uśmiechnęła. – Wszyscy faceci wyglądają tak samo. Zresztą kobiety też. Wie pan, w dzieciństwie często chorowałam, rodzice wciąż zabierali mnie do różnych lekarzy, a ja zupełnie przestałam się wstydić, że rozbieram się przy nieznanym mężczyznom, bo bardzo szybko zrozumiałam, że żaden nie zobaczy nic nowego. Aha, nie zdążyłam panu powiedzieć, że na półce są dwie butelki, na pierwszy rzut oka identyczne, ale w jednej jest szampon, a w drugiej balsam – niech się pan nie pomyli.

– Umiem czytać.

- Ale napisy nie są po rosyjsku.
- Nie szkodzi, przeczytam.
- Szczęściarz z pana. A ja nie znam języków obcych. Ma pan ochotę napić się czegoś?
- Nie.
- Jak pan chce.

Nastia wróciła do pokoju, zrobiła sobie kawę i usiadła na kanapie z podwiniętymi nogami. Ciężka sprawa z tym Saulakiem, zamknięty, nierozmowny, nic go nie interesuje. To ostatnie jest najgorsze. Cała operacja opiera się na tym, że on i jego prześladowcy okażą zwyczajną ciekawość, że zaintryguje ich to, co niezrozumiałe i nieznane. Wygląda jednak na to, że ciekawość jest obca naturze Saulaka.

No cóż, można się trochę odprężyć. Póki Jelizawieta nie przyniesie ubrania, Paweł nie wyjdzie z wanny. Nastia wyciągnęła się na kanapie, umieszczając popielniczkę na piersi i sięgając po papierosa. Pieniądze mają czarodziejską moc! Sto dolarów wsunięte zarządcy hotelu sprawiło, że Nastia dostała dwupokojowy półapartament. Kolejny banknot trafił do rąk Jelizawiety, dzięki czemu kobieta nie robiła przeszkód, żeby w pokoju Nasti zamieszkał jej znajomy, nie dopełniając żadnych formalności. Saulak chyba będzie słono kosztował generała Minajewa. Niejedno jeszcze przed nimi... Szykują się niemałe wydatki.

Nastia zerknęła na zegarek – wpół do pierwszej. Pora zadzwonić do Korotkowa. Miał siedzieć kamieniem w swoim pokoju i czekać na jej telefon.

- No i jak? – zapytał z niepokojem.
- Na razie w porządku. Odebrałam i przywiozłam.
- Ktoś się nim interesował?
- I to jeszcze jak. Na mój gust dwie ekipy. Para w samochodzie i jakiś ciekawski, który przyszedł pieszo. Odprowadzili nas aż do hotelu.
- Gdzie on teraz jest?
- W łazience. Moczy się.
- Co to za typ?
- Skomplikowany. Boję się, że sobie z nim nie poradzę.

- Ale nie domyślił się, kim jesteś?
- Mam nadzieję, że nie. Najdziwniejsze jest to, że w ogóle go to nie interesuje. Chyba mu wszystko jedno.
- To niemożliwe.
- Wiem. Dobra, spotkamy się w restauracji za dwie godziny. Wtedy go sobie obejrzysz.

Jelizawieta Maksimowna przyniosła solidnych rozmiarów paczkę z zamówionym ubraniem.

- Proszę, jest wszystko, o co pani prosiła - powiedziała. - I reszta.
- Nie trzeba. - Nastia się uśmiechnęła. - Proszę zatrzymać.
- Dziękuję. - Kobieta błysnęła złotymi zębami, pośpiesznie chowając pieniądze do kieszeni. - Może załatwić coś jeszcze?
- Na razie dziękuję.

Nastia zamknęła za nią drzwi i zapukała do łazienki.

- Paweł, jest już ubranie. Kładę paczkę pod drzwiami.

- Dobrze - rozległo się w odpowiedzi.

Nastia umieściła paczkę na podłodze i ruszyła do sypialni. Ona też musi się przebrać. Otworzyła torbę podróżną, wyjęła kosmetyczkę, pantofle i ładny puszysty sweter, z wieszaka w szafie zdjęła klasyczne czarne spodnie i mimo woli się skrzywiła. Najlepiej czuła się w džinsach i adidasach, ale sprawa to sprawa, nie ma wyjścia. Wciągnęła spodnie i sweter, wsunęła nogi w modne wąskie pantofle i zajęła się twarzą. Dobiegające z salonu odgłosy świadczyły o tym, że Paweł wreszcie wyszedł z łazienki. Ciekawe, czy prześladowcy już dotarli do Jelizawiety. Pewnie dotarli i teraz z niedowierzaniem trawią informację, którą z niej wyciągnęli: Pawła odebrała zwariowana milionerka. Nie szkodzi, niech trawią, to zajmie im trochę czasu.

Nastia z satysfakcją obejrzała się w lustrze. Teraz tylko mgliście przypomina tamtą zmarzniętą kobietę z czerwonym nosem, która czekała na Pawła za murami kolonii. Ciepło oraz umiejętnie nałożony róż sprawiły, że twarz lekko się zarumieniła, a podkreślone oczy stały się duże i wyraziste. Poprawiła włosy i zdecydowanym krokiem wyszła z sypialni.

- Jak ubranie? - zapytała. - Wszystko pasuje?

Saulak też wyglądał lepiej. Wydawał się mniej znużony, nowe

spodnie doskonale leżały na wąskich biodrach. Stał przy oknie plecami do Nasti i nawet się nie odwrócił na dźwięk jej głosu.

– Tak, dziękuję.

– Za pół godziny zejdziemy na obiad. Jest pan głodny?

– Nie.

– A ja zjadłabym konia z kopytami. Nadal nie ma pan żadnych pytań?

– Nie.

– Za to ja mam pytania. I będę musiała je zadać, nawet gdyby nie miał pan ochoty odpowiadać.

– Niech pani spróbuje.

Wciąż stał tyłem, ale Nastia odniosła wrażenie, że w jego głosie zabrzmiała kpina.

– Chcę, żeby dobrze mnie pan zrozumiał. Zadaję pytania nie z prostej ciekawości. Wynajęto mnie, żebym wykonała swoją pracę, nie interesuje mnie tło sytuacji, chcę tylko wykonać zadanie i dostać pieniądze. Ale żeby ją wykonać, muszę to i owo wiedzieć. Miał pan wrogów w kolonii?

– To nie ma znaczenia – odparł spokojnie.

– Przeciwnie, ma. Więc proszę, żeby pan odpowiedział.

– Dobrze. Nie miałem wrogów.

– To niemożliwe. Mówi pan nieprawdę i chciałabym wiedzieć dlaczego.

Odwrócił się do niej twarzą, ale wzrok utkwił gdzieś ponad jej głową.

– Więc co ostatecznie chce pani wiedzieć? Czy miałem wrogów w kolonii, czy dlaczego mówię nieprawdę?

– I jedno, i drugie. Zbyt dobrze znam prawa kolonii. Wiem też, że więzień nie może nie mieć wrogów.

– Skąd ta pewność? Była tam pani?

– Byłam. Niech pan zrozumie, że pańskie kłamstwa mi przeszkadzają.

– A za co pani siedziała, jeśli można wiedzieć?

– Można. Za oszustwo. Nie przynosi mi to chluby w pańskich oczach? Chce pan powiedzieć, że prawdziwy oszust nie powinien wpaść, inaczej żaden z niego oszust?

– Tego nie powiedziałem. Przesadza pani.
– Dobrze. – Nastia westchnęła. – Powiedzmy, że popełniłam błąd. Ale to było dawno temu. Domyśla się pan, kto może na pana polować?

– Nie.

– Znowu pan kłamie.

– Oczywiście. Ma mnie pani zawieźć do Moskwy, więc proszę się tym zająć. I na miłość boską, niech mnie pani zostawi w spokoju.

Znowu się odwrócił i wbił wzrok w okno. Nastię ogarnęła złość, ale się opanowała. Usiadła w fotelu, zapaliła papierosa. Dotknęła dłonią samowaru i z żalem pomyślała, że woda już ostygła, a ona chętnie wypiłaby jeszcze jeden kubek kawy.



Nastia dobrze pamiętała i ten hotel, i tę restaurację, bywała tutaj w połowie lat osiemdziesiątych, gdy Samarę nazywano jeszcze Kujbyszewem. W ciągu dziesięciu lat wszystko się zmieniło, hotel ma teraz właściciela, pokoje są czystsze i przytulniejsze, a restauracja zaczęła przypominać prawdziwą restaurację, a nie dworcową jadłodajnię, jak dawniej. Już przedwczoraj Nastia zawarła znajomość z maître d'hôtel oraz kelnerką, więc przez dwa dni, podczas których się tu stołowała, udało jej się stworzyć żądany wizerunek. Zwariowana milionerka.

Ledwie pchnęli szklane drzwi i znaleźli się w sali obiadowej, maître – niziutki, ale pełen godności Herman Walerjanowicz – dosłownie rzucił się na ich spotkanie.

– Dzień dobry, dzień dobry – powtarzał, drepcząc koło nich i prowadząc do najlepszego stolika. – Państwa stolik już czeka, przygotowaliśmy wszystko zgodnie z pani życzeniem.

Podsunał Nasti krzesło, zaczekał, aż oboje usiądą. Na stoliku prócz sztuców był też wazon z olbrzymim bukietem różowych goździków. Żadnego innego stołu nie udekorowano kwiatami.

– Lubi pan goździki? – zapytała Nastia Pawła.

– Nie.

– Ja też. Wręcz ich nie znoszę. Zwłaszcza różowych.

– Niech pani powie, żeby je zabrano.

– O nie. Wczoraj specjalnie poprosiłam, żeby na moim stoliku znalazły się różowe goździki.

– Po co?

Nastia z satysfakcją zauważyła, że w jego głosie pojawiło się źle skrywane zdumienie. No proszę, Paweł Dmitrijewicz Saulak wcale nie jest taki oziębły, na jakiego pozuje. Niepodobny do innych, to prawda, osobliwy, pod pewnymi względami wyjątkowy, ale jego też można dotknąć i rozruszać.

– Po to. Obecność negatywnego bodźca pomaga utrzymać formę. Czemu pan tak siedzi? Proszę otworzyć menu i coś sobie wybrać.

– Nie jestem głodny.

– Znowu pan kłamie? Jak może nie być pan głodny?

– Powtarzam pani...

– Dobrze, dobrze – pośpiesznie przerwała Nastia. – Nie jest pan głodny, rozumiem. Nie trzeba trzy razy mi powtarzać. Ale ponieważ się umówiliśmy, że będzie mnie pan słuchał, proszę, żeby pan coś zamówił.

– Wszystko mi jedno, niech pani sama wybierze.

– Czego się pan napije?

– Niczego.

– Na nic nie ma pan ochoty?

– Na nic.

– Dobrze, w takim razie campari.

Nastia umyślnie wybrała ten stolik dwa dni temu. Stąd doskonale widziała całą salę i dwoje drzwi – do holu i na zaplecze. Również o drugiej zjawił się Jura Korotkow i usiadł tam, gdzie siedział wczoraj i przedwczoraj. Wszystko było częścią przedstawienia. Korotkow uważnie rozejrzał się po sali, odszukał wzrokiem Nastię, wstał i się uklonił. Nastia ostentacyjnie prychnęła i wzruszyła ramionami.

Kelnerka przyniosła przystawki i butelkę campari.

– Proszę jeść – powiedziała Nastia. – Następny posiłek będzie nieprędko. Niech pan spróbuje, to smaczne.

Saulak leniwym gestem odkroił nieduży kawałek języka wołowego i nieśpiesznie wsunął do ust. Na jego twarzy nie malowały się żadne

uczucia, nie wyglądał na osobę, która za wszelką cenę walczy z głodem, nie mając ochoty jeść posiłku opłaconego przez nieznaną kobietę. Raczej sprawiał wrażenie, że naprawdę nie jest głodny.

Do stolika znowu podbiegł żwawy Herman Walerjanowicz, tym razem z butelką szampana Yves Roche.

– Pani wielbiciel już przyszedł – oznajmił, uśmiechając się porozumiewawczo. – Prosił, żeby podać pani szampana.

– Że też mu się nie znudzi! – rzuciła Nastia z irytacją, w dodatku głośno i dobitnie, żeby było słychać w całej restauracji.

Saulak siedział bez ruchu, nawet nie odwrócił głowy, żeby podążyć wzrokiem za spojrzeniem Nasti. Ona zaś wstała, chwyciła butelkę i wolno ruszyła przez salę ku stolikowi, przy którym siedział Korotkow. W restauracji było ze trzydzieści osób i wszyscy bez wyjątku obserwowali wysoką, szczupłą kobietę w czarnych spodniach i błękitnym puszystym swetrze, która płynnie lawirowała między stolikami z butelką francuskiego szampana w ręce.

Podszedłszy do Korotkowa, Nastia z rozmachem, aż zadrżały naczynia na stoliku, postawiła przed nim butelkę.

– Nie pijam szampana – powiedziała głośno. – Niech mi pan go więcej nie przysyła. Czy to jasne?

– A co pani pije? – tak samo głośno zapytał Korotkow, nie ruszając się z miejsca. – Chciałbym zrobić pani jakąś przyjemność.

– Jeśli pan chce, może mnie pan pocałować, tu i teraz, ale tylko raz i pod warunkiem że nigdy więcej nie będzie mi się pan naprzykrzał.

– Wiedźma z ciebie – szepnął Korotkow, rozciągając usta w uśmiechu.

Nastia wiedziała, co go zirytowało. Był od niej nieco niższy, ale pantofle na obcasach sprawiły, że różnica znacznie się powiększyła. Nastia uśmiechnęła się na myśl, że wszyscy im się przyglądają, pochyliła się, zdjęła pantofle i od razu zmaląła, niemal zrównując się z Korotkowem, który był w zimowych butach na grubej podeszwie. Mężczyzna postąpił ku niej, objął ją jedną ręką przez plecy, drugą położył na jej karku. Jego twarz zbliżała się powoli i nagle Nastia zapragnęła zacisnąć powieki i się wycofać. Było już jednak za późno. Jego wargi okazały się twarde i chłodne i mimo nedorzeczej

dwuznaczności (albo dwuznacznej niedorzeczności?) sytuacji, Nastia nie mogła nie przyznać, że Jurka całuje po mistrzowsku. Mój Boże, znali się od ośmiu lat, pracowali w tym samym wydziale, Korotkow nieraz odwiedzał Nastię i Aleksieja, wypłakiwał się jej na ramieniu, zwierając z miłosnych zawodów. A teraz, setki kilometrów od Moskwy, w restauracji prowincjonalnej restauracji, całują się na oczach zdumionych gości tylko dlatego, że ktoś poluje na zwolnionego z kolonii Pawła Saulaka. Niezbadane są koleje milicyjnego losu!

Korotkow oderwał się od jej ust, szarmancko pocałował w rękę i spokojnie usiadł. Nastia nieśpiesznie włożyła pantofle na siedmiocentymetrowych obcasach, uśmiechnęła się czarująco i ruszyła w drogę powrotną do swojego stolika.

Saulak siedział bez ruchu, obracając w rękach widelczyk do deseru i nie spuszczać z niego oczu. Nastia zerknęła na jego talerz i zauważyła, że prawie nic nie zjadł, z wyjątkiem owego jednego kawałeczka mięsa.

– Rozumiem, Pawle, że ma pan swoje zasady i racje, ale musi pan coś zjeść. W końcu to, co nas czeka, nie jest spacerem po parku, nie wiadomo, gdzie i kiedy będziemy mogli się posilić następnym razem. Nie chciałabym, żebyśmy wpadli w kłopoty przez pańskie niemądre kaprysy i wygłupy.

– Skąd pewność, że pani wygłupy nie będą źródłem problemów? – zapytał, nie odrywając wzroku od srebrnego lśniącego widelczyka.

No proszę! To znaczy, że zauważył. A siedział jak posąg, nawet nie odwrócił głowy, gdy rozmawiała z Korotkowem.

– Moje wygłupy to mój problem, jasne? Pana to w ogóle nie dotyczy. Ale jeśli zacznie pan niedomagać, to pana stąd nie wyciągnę. Nawiasem mówiąc, ten mężczyzna też się panem interesuje, chociaż za wszelką cenę udaje, że chodzi mu o mnie. Ja zaś udaję, że mu wierzę. Więc może jednak raczy pan odłożyć na bok swoje zasady i wyjaśni mi przynajmniej w ogólnym zarysie, kto tak wytrwale próbuje pana dopaść?

Saulak podniósł na nią oczy i nagle Nastię oblała fala gorąca. Nie mogła się poruszyć, ręce i nogi zrobiły się ciężkie jak z ołowiu, powieki zaczęły opadać. W tej chwili było jej wszystko jedno, czy

Saulak odpowie na pytanie i czy w ogóle zareaguje. Nie obchodziło jej, czy ona sama zdoła wykonać zadanie i czy dowiezie Pawła do Moskwy, do generała Minajewa. Ogarnęła ją nieprzeparta senność...

Zebrała wszystkie siły i otrząsnęła się z odrętwienia. Odniosła nawet wrażenie, że wszystko to jej się przywidziało. Saulak siedział naprzeciwko, obracając w palcach srebrny widelczyk, ze wzrokiem utkwionym na powrót w lśniącym kawałku metalu.

– Chodźmy stąd – powiedziała ostro, wstając.

Wyjęła z wazonu różowe goździki, podeszła do stolika Korotkowa i rzuciła mu kwiaty w twarz. Zmierzając ku wyjściu, znowu czuła na sobie spojrzenia, jedne kpiące, inne potępiające, jeszcze inne pełne zachwyty. Doskonale jednak wiedziała, że przynajmniej jedna para oczu patrzy za nią z niespokojnym zdumieniem.

≡

– Kim ona jest? Skąd się wzięła? – nerwowo wykrzykiwał Grigorij Walentinowicz Czincow. – Udało się panu czegoś dowiedzieć?

– Dowiedziałem się wielu rzeczy, Grigoriju Walentinowiczu – zameldował asystent Czincowa – ale informacje są tak sprzeczne, że trudno powiedzieć, które są prawdziwe. Nazywa się Saulak, Anastazja Pawłowna Saulak. Jest chyba jego żoną albo krewną. Jej dane wyciągnąłem z recepcji hotelu w Samarze, ale nie zdążyłem sprawdzić. Ci, co ją obserwują tam na miejscu, twierdzą, że ma forsy jak lodu i że szasta nią na prawo i lewo. Chyba miała jakiś zatarg z Saulakiem, bo nie padli sobie w objęcia, gdy wyszedł z kolonii. Ona wyraźnie się usprawiedliwiała, a on łaskawie słuchał. Widocznie się nie spodziewał, że po niego przyjedzie. Kobieta jest bez wątpienia niezrównoważona i egzaltowana, zdolna do ekscentrycznych wyskoków. Krótko mówiąc, nie sposób przewidzieć jej zachowania. Sądzę więc...

– No dalej – zachęcił asystenta Czincow – mów, jakie masz pomysły.

– Sądzę, że może być jedną z tamtych...

– Tak?

Czincow zachmurzył się, w zamyśleniu potarł nos, potem nalał

wody mineralnej do szklanki z grubego szkła i upił parę dużych łyków.

– Skąd ta myśl?

– Zachowuje się jakoś dziwnie. A zresztą jeśli są spokrewnieni, to tym bardziej możliwe. Sam pan wie, co się przekazuje w genach. Więc pomyślałem, Grigoriju Walentinowiczu, że jeśli ta kobieta nic nie wie, moglibyśmy ją wykorzystać. W swoim czasie Bułatnikow wykorzystał Pawła, my zaś wykorzystamy ją. Tylko musimy się dowiedzieć, jak dużo wie i czy pozostawienie jej przy życiu nie okaże się dla nas niebezpieczne.

– Myślisz nie o tym, o czym powinienes – odparł Czincow z gniewem. – Najpierw musimy rozważyć nie to, czy należy jej się pozbyć. Jesteś jak dziecko, które na widok cukierka zapomniało, że ma odrobić lekcje. Nasze obecne zadanie polega na tym, żeby uciszyć Pawła na zawsze. A ta ślicznotka płacze nam się pod nogami, zapamiętała samochód – numery były wprawdzie lewe, ale gęby naszych ludzi prawdziwe. Dlatego nie możemy lekceważyć jej jako świadka. Musimy podjąć decyzję, czy sprzątnąć ją razem z Pawłem, czy poczekać, aż się pożegnają. A ty zamiast to rozważyć, zacząłeś kombinować, jak ją wykorzystać. Nie będziemy jej wykorzystywać, niechże to wreszcie dotrze do twojego zakutego łba. Musimy uciszyć Pawła. To wszystko.

– Dobrze, Grigoriju Walentinowiczu.



Aż do kolacji nie opuszczali apartamentu, w ogóle się do siebie nie odzywając. Nastia leżała na kanapie w salonie ze wzrokiem wbitym w sufit, a Paweł skrył się w sypialni i kobieta nie miała pojęcia, co tam robi. O siódmej wstała i bez pukania weszła do środka. Saulak stał przy oknie i uważnie obserwował ulicę, mimo że było już ciemno. Ciekawe, czego tam wypatruje?

– Musimy zejść do restauracji – oznajmiła zimno. – Pora na kolację.

– Okropny żarłok z pani. – Paweł się uśmiechnął.

– A pan dalej odmawia jedzenia?

– Nie jestem głodny.

– Proszę nie zawracać mi głowy – odparła ze znużeniem. – Jeśli chce pan pozować na supermena, który może nie jeść i nie pić tygodniami, to pańska rzecz, byleby tylko nie ucierpiała sprawa, którą mamy załatwić. Niech mi pan pozwoli odwieźć się do Moskwy, potem może pan głodować po wsze czasy.

– À propos naszej sprawy. Jak zamierza pani wprowadzić mnie na pokład samolotu, skoro nie mam dowodu osobistego?

– Polecą pan na podstawie zaświadczenia. Dostał pan przecież zaświadczenie o zwolnieniu.

– Ale to tak, jakbym sobie przypiął na piersi kartkę: Nazywam się Saulak. Tymczasem pani chce mnie dowieźć bez szwanku, jeśli się nie mylę?

– Nie pańska sprawa, czego chcę – odparła Nastia niegrzecznie. –

Polecą pan na podstawie zaświadczenia. Dość mam pańskich humorów, w końcu płacą mi za pracę, którą wykonuję, a nie za to, żebym znosiła pańskie kaprysy. Prawdę powiedziawszy, żeby wyciągnąć stąd pana żywego, musiałam zrezygnować z roli, o której dawno marzyłam. Ale pan chyba nie jest wart tego poświęcenia.

– Zrezygnowała pani z roli? Jest pani aktorką?

– Niech pan sobie wyobrazi, że tak. Nie dość, że przestępczyni, to jeszcze aktorka. Zresztą aktorką zostałam, zanim mnie zapuszkowano.

– Sądziłem, że jest pani prywatnym detektywem albo kimś w tym rodzaju.

– No proszę, okazuje się, że głodowanie pobudza szare komórki. Wciąż pan o czymś myśli. A ja, żeby pana lichem wzięło, myślę tylko o tym, jak zamydlić oczy pańskim prześladowcom i nie pozwolić, by podnieśli na pana rękę. Byłoby nieźle, gdyby pan też rozmyślał właśnie o tym, a nie o moim smutnym życiu. Nawiasem mówiąc, proszę pamiętać, że w dowodzie mam wpisane pańskie nazwisko.

– Dlaczego? Co pani chce przez to osiągnąć?

– Niech się pan zastanowi. Skoro jest pan tak zasadniczy i nie chce niczego jeść, to niech się pan przynajmniej zastanowi. A teraz proszę opuścić sypialnię, bo muszę się przebrać.

Paweł ruszył do salonu. Nastia szybko ściągnęła spodnie i sweter, wyjęła z szafy rajstopy, krótką spódniczkę i bawełnianą bluzkę

z głębokim dekoltem. W tym stroju wyglądała jak tania puszczańska, ale nic na to nie mogła poradzić. Wyjęła kosmetyczkę i poprawiła spokojny dzienny makijaż, by stał się ostrzejszy.

Saulak nie skomentował jej wyglądu i Nastia była mu wdzięczna za powściągliwość, wystarczyło, że sama czuła do siebie obrzydzenie. Gdy tylko pokazali się w restauracji, Herman Walerjanowicz wyrósł jak spod ziemi. Wieczorem klientela była inna. Oprócz gości hotelowych, którzy zeszli na kolację, można było wypatrzeć i „twardzieli”, i „prywaciarzy”, i miejscowe prostytutki – pełen przekrój restauracyjnej menażerii średniego sortu. W sali panował zgiełk, ale Nastia wiedziała, że o ósmej na podium wkroczą muzycy i wtedy już nie będzie ratunku przed wrzawą i hałasem. Musi to jednak wytrzymać, tak jak wytrzymywała do tej pory.

Poprosiła kelnerkę o menu i podała je Pawłowi.

– Niech pan będzie tak uprzejmy i złoży zamówienie.

– Przecież nie znam pani gustu – zaoponował, próbując zwrócić jej kartę.

– A ja nie znam pańskiego. Proszę się nie sprzeczać. Zdaje się, że zawarliśmy układ.

Kelnerka stała obok, trzymając w pogotowiu notes i ołówek, i Nastia złośliwie pomyślała, że w jej obecności Saulak nie będzie się popisował. Ma wprawdzie nieustępliwy, trudny charakter, ale jako agent generała wywiadu musi doskonale wyczuwać granicę, za którą nie wolno mu się posuwać i obnosić ze swoją niezależnością i oryginalnością, bo może to być ze szkodą dla sprawy. Obecność osoby postronnej – kelnerki – stanowiła ową granicę. Paweł złożył zamówienie, prawie w ogóle się nie zastanawiając, zamknął menu i oddał je kelnerce.

– Teraz proszę nie mieć mi za złe, jeśli coś będzie nie tak – powiedział, gdy dziewczyna zniknęła. – Musi pani zjeść to, co przyniosą.

– Zjem. – Nastia wzruszyła ramionami. – W odróżnieniu od pana nie jestem wybredna i kapryśna. Aż dziw bierze, że po dwóch latach pobytu w kolonii jedzenie nie robi na panu wrażenia. Może pan zobaczyć, gdzie się podziewa mój Romeo? Jeszcze go nie ma?

– Nie – odparł Saulak bez wahania.

Wpadłeś, pomyślała Nastia. Powinieneś rozejrzeć się po sali, żeby zachować pozory. Teraz wiem, że wypatrywałeś Korotkowa, odkąd tutaj weszliśmy.

Tym razem Saulak zjadł wszystko, co mu przyniesiono, ale robił to z taką miną, jakby cierpiał prawdziwe męki. Może rzeczywiście nie czuł głodu albo udawał, ale Nastia nie potrafiła odgadnąć, co chciał w ten sposób uzyskać.

Równo o ósmej na estradę wkroczyli muzycy. Wokalistka ubrana w ekstrawagancką czarną suknię z metalowymi nitami podniosła do ust mikrofon i zaczęła śpiewać po rosyjsku znaną francuską piosenkę. Miała słabiutki głosik i operowała nim nie najlepiej, ale popularna melodia zrobiła swoje i na parkiecie od razu zawirowały pary. Przyglądając im się w zamyśleniu, Nastia paliła papierosa i nuciła półgłosem tę samą piosenkę, tylko po francusku.

– A mówiła pani, że nie zna języków obcych. – Saulak nie wytrzymał.

Druga wpadka, stwierdziła w myślach Nastia. Wyraźny postęp.

– Nie powiedziałam prawdy – odparła, patrząc na Pawła z niefrasobliwym uśmiechem. Usiłowała pochwycić jego wzrok, on jednak wciąż gdzieś nim błędził.

– Ale po co? Jaki sens miało to kłamstwo?

– To mnie bawi. Ma pan coś przeciwko?

– Cała reszta też jest kłamstwem? Wyrok za oszustwo, nowa rola?

– Tego panu nie zdradzę. W każdym razie nie teraz. Wygląda na to, że jeszcze się pan nie nauczył odróżniać prawdy od kłamstwa.

– A pani się nauczyła?

– Dawno temu. – Nastia się roześmiała. – Jeśli jest pan ciekaw, kiedyś opowiem, jak to się robi. A teraz zatańczymy.

– Nie tańczę – szybko odparł Saulak.

– To mnie nie interesuje. Może pan to mówić dziewczynie, która się panu nie podoba, ale chce, żeby pan z nią zatańczył. Gdy ja pana proszę, ma pan wstać i zaprowadzić mnie na parkiet. W dodatku musi pan być czuły, i to tak, żeby rzucało się w oczy. Jasne?

– Wykluczone. Nawet niech pani nie prosi.

– Coś się panu pomyliło, Pawle Dmitrijewiczu – powiedziała Nastia lodowatym tonem. – Niebezpieczeństwo grozi panu, nie mnie. To pan

powinien mnie słuchać, a nie odwrotnie. Powiem panu, co teraz zrobimy. Zatańczymy, później mnie pan obejmie i pocałuje, a ja wymierzę panu policzek, po czym spokojnie wrócimy do stolika, tam jeszcze raz mnie pan pocałuje, żeby wszyscy widzieli. Dopiero potem usiądziemy. Wszystko pan zapamiętał?

– Nie zrobię tego – głucho odparł Saulak, odchylił się na oparcie, skrzyżował ręce na piersi i zamknął oczy.

– Zrobi pan, bo to konieczne. Jeśli pan nie rozumie, czemu to ma służyć, będę musiała panu wytłumaczyć, chociaż to wręcz nieprzyzwoite – tłumaczyć tak elementarne rzeczy komuś z pańskim doświadczeniem.

– Co pani chce powiedzieć? – zapytał, nie otwierając oczu. – Jakie doświadczenie ma pani na myśli?

– Doświadczenie nabyte podczas pracy z Bułatnikowem.

– Nie zamierzam tego omawiać. Zwłaszcza z panią.

– Doskonale. Ja też nie chciałabym poruszać tego tematu, ale mnie pan zmusił. Więc gdy tylko skończy się przerwa, pójdziemy zatańczyć i urządzimy przedstawienie.

– Nie pocałuję pani.

Świetnie. To znaczy, że zgadzasz się zatańczyć. Jeszcze jeden krok do przodu.

– Będzie pan musiał.

– Nie.

Nastia wyciągnęła rękę i delikatnie pogłaskała jego palce. Powieki mu drgnęły, ale oczy pozostały zamknięte.

– Paszeńka – powiedziała cichym i niespodziewanie łagodnym głosem. – Zrób to, mój kochany. Dla mnie. Bardzo cię proszę.

Powieki się uniosły, między rzadkimi rzęsami błysnęły białka, policzki zapadły się jeszcze bardziej, ale wargi ledwie zauważalnie się poruszyły, układając się w coś na kształt uśmiechu.

– Dobrze. Chodźmy.

Orkiestra znowu zagrała, na parkiecie zrobiło się tłoczno, więc można było tańczyć tylko w mocnym uścisku. Nastia objęła Pawła za ramiona, a wtedy on dość ordynarnym gestem umieścił swoje dłonie na jej pośladkach obciążonych minispódniczką.

– Ej, nie tak ostro – poprosiła cicho. – Nazbyt się pan wczuwa

w rolę.

– Wcale nie żartuję. Sama pani tego chciała.

– Wcale nie tego chciałam, doskonale pan wie. Musi pan wiedzieć.

– Popatrz na mnie – zażądał i Nastia, nieprzyjemnie poruszona, zauważyła, że wreszcie mówi jej „ty”.

Uniosła głowę i napotkała jego spojrzenie.

– Chciałaś tego – cicho i dobitnie powiedział Paweł, coraz mocniej ściskając jej pośladki. – Przecież tego właśnie chciałaś, prawda? Od chwili gdy całowałaś się tutaj ze swoim kochaniem. Robiłaś to i chciałaś, żebym to ja znalazł się na jego miejscu. Teraz też tego chcesz. No przyznaj się, przyznaj, od razu ci ulży. Powiedz, że mnie pragniesz.

Nastia wpadła w odrętwienie podobne do tego, które ją ogarnęło podczas obiadu. Ręce od razu stały się ciężkie i bezwładne, wydawało jej się, że nie utrzyma w nich nawet długopisu. Słowa już tłukły się w głowie, cisnęły na wargi i była pewna, że zaraz powie: „Tak, pragnę cię”, po czym od razu poczuje ulgę, bo wszystko okaże się piękne i cudowne. Jego cichy, monotony głos ją urzekał, ciągnął w jakąś straszliwą otchłań bierności, zimne palce już ścisnęły jej biodra pod spódnicą...

Ostatnim wysiłkiem woli wyrwała się i wymierzyła mu policzek. Nikt nie zwrócił na nich uwagi, muzyka grała głośno, pary były zajęte sobą. Paweł lekko schwycił ją za rękę i tak mocno ścisnął nadgarstek, że napłynęły jej łzy do oczu. Zrobił jeszcze jeden prędko, ledwo dostrzegalny ruch, ucisnął wrażliwe miejsce, wskutek czego Nastia osunęła się na kolana, tracąc równowagę. Teraz już wszyscy na nich patrzyli, rozstępując się, a w drzwiach pokazały się głowy ochroniarzy, którzy czekali tylko na znak, żeby wpaść do środka i zrobić porządek. Paweł podał jej rękę i pomógł wstać. Odprowadzani zdumionymi spojrzeniami dotarli do stolika i usiedli w milczeniu. Kątem oka Nastia dostrzegła Korotkova. Podniosła rękę, przywołując kelnerkę.

– Zawołaj Hermana – rzuciła, nie patrząc na dziewczynę.

Parę minut później podbiegł do nich usłużny maître d'hôtel. Nastia otworzyła torebkę i wyjęła z niej trzy banknoty, każdy wartości pięćdziesięciu tysięcy.

– Niech pan pośle kogoś po kwiaty. Różowe goździki dla mnie i żółte na tamten stolik, przy którym siedzi mój wielbiciel. Tylko szybko.

Herman chwycił pieniądze i znikł.

– Nie rozumiem pani – powiedział Saulak.

Nareszcie, z ulgą pomyślała Nastia. Nareszcie pierwszy zacząłeś rozmowę, nie odpowiadasz już tylko na moje natarczywe pytania. Nareszcie czegoś nie rozumiesz. Sprawa ruszyła z miejsca, ale Bóg widzi, ile mnie to kosztowało... Będę teraz miała siniaka na rękę.

– Czego pan nie rozumie? – zapytała ze znużeniem, bezwiednie rozmasowując bolący nadgarstek.

– Dlaczego kupuje pani kwiaty, które się pani nie podobają?

– Dlatego że nigdy nie kupuję kwiatów, które mi się podobają. Dostaję je od osób, które chcą mi zrobić przyjemność.

– To nie jest odpowiedź.

– Innej nie będzie.

– A żółte goździki się pani podobają?

– Nie. Nie lubię żadnych goździków.

– A więc lubi je pani Romeo?

– Skąd mam wiedzieć, co on lubi? – Nastia obojętnie wzruszyła ramionami.

– W takim razie dlaczego...

– Nie wiem – przerwała Pawłowi. – Bez powodu. Przecież nie pytam, dlaczego zrobił pan to, co zrobił na parkiecie. Taki miał pan kaprys albo uznał za konieczne, oto i cała odpowiedź. Nie mam prawa żądać, żeby się pan wytłumaczył, dlaczego postąpił tak czy inaczej. Zrobił pan to, co uznał za stosowne, i koniec.

– No cóż, muszę przyznać, że jest pani niesłychanie liberalną osobą.

– Niestety nie. Jestem anarchistką, zwolenniczką absolutnej wolności. Mam na myśli przede wszystkim wolność podejmowania decyzji. Dlatego nie zadręczam pana pytaniami i nie zamierzam składać wyjaśnień z powodu kwiatów. Jeśli już się pan najadł, możemy wrócić do pokoju.

– A co z kwiatami? Jeszcze ich przecież nie dostarczono.

– Przyniosą je do pokoju.

Nastia uregulowała rachunek, po czym wspiełi się znowu na drugie piętro. Za sto dolarów Jelizawieta Maksimowna odnotowała w księdze gości, że półapartament zajmują dwie osoby, więc nowa recepcjonistka, która przejęła dyżur, o nic nie zapytała, tylko odprowadziła Nastię niezyczliwym spojrzeniem.

– Będzie pan spał w sypialni – oznajmiła Nastia tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Saulak nic nie odrzekł, tylko skinął głową. Nastia szybko zabrała swoje rzeczy i ruszyła do łazienki, żeby się przebrać. Ze wstrętem namydliła twarz, zmywając nazbyt jaskrawy makijaż, po czym stanęła pod prysznicem. Po kąpieli znowu wciągnęła ulubione dżinsy, koszulkę oraz sweter i od razu poczuła się o niebo lepiej.

Gdy weszła do pokoju, od razu zauważyła olbrzymi bukiet na ławie. Paweł siedział w fotelu i Nastia w ogóle się nie zdziwiła, że znowu zamknął oczy, skrzyżował ręce na piersi i założył nogę na nogę. Była to chyba jego ulubiona pozycja, tylko tak czuł się dobrze i było mu wygodnie.

– Kładźmy się – powiedziała. – Jest pan pewnie zmęczony.

– Nie.

– A ja się zmęczyłam. I chcę się położyć.

Saulak wstał i bez słowa ruszył do sypialni. Nastia podążyła za nim, zdjęła pościel z jednego łóżka, po czym wróciła do salonu i przygotowała sobie poślanie na kanapie. Zgasiała światło, zdjęła buty i sweter i zanurkowała pod kołdrę w dżinsach i koszulce. Kto wie, co się jeszcze wydarzy, a nuż będzie musiała się zerwać i pognać gdzieś na złamanie karku.

Wiedziała, że raczej nie uda jej się zasnąć, gdy tuż obok, parę metrów dalej, znajduje się mężczyzna, nad którym unosi się niezrozumiała, ale dobrze wyczuwalna aura niebezpieczeństwa. Powinna jednak poleżeć i spokojnie się zastanowić. Odtworzyć w pamięci dzisiejsze wydarzenia, krok po kroku, słowo po słowie, żeby wyrobić sobie zdanie na temat Pawła Saulaka.

W sypialni było cicho, widocznie jej towarzysz nawet się nie przewracał z boku na bok. Nagle usłyszała skrzypienie, potem rozległy się ledwo słyszalne kroki i otworzyły się drzwi prowadzące z sypialni do salonu.

- O co chodzi? – zapytała półgłosem.
- Chcę pani zadać jedno pytanie. Mogę?
- Proszę.
- Bardzo się pani przestraszyła w restauracji?

Ach, ty draniu! – niemal z rozczuleniem pomyślała Nastia. Czyżbyś poddał mnie eksperymentowi, łobuzie? A teraz umierasz z ciekawości, bo nie wiesz, czy się udało. Ciekawość do tego stopnia cię zżera, że rezygnujesz ze swoich cholernych zasad i pierwszy zadajesz pytania. Tak bardzo cię to dręczy, że nie możesz zasnąć.

- Raczej się zdziwiłam – odparła całkiem życzliwie. – Nagle zaczął pan zwracać się do mnie per „ty”, mimo że nie dalej jak dzisiaj rano kategorycznie się przed tym wzbraniał. Właściwie spodziewałam się czegoś w tym stylu, w końcu spędził pan dwa lata w kolonii karnej, więc to zupełnie naturalne, że w pewnej chwili mógł pan zareagować dość ostro. Ale się nie gniewam.

- A więc w ogóle się pani nie bała?

- Oczywiście, że nie. Czego pańskim zdaniem miałam się bać? Myśli pan, że nigdy nie spałam z facetami?

- Przepraszam. Dobranoc.

Drzwi znowu skrzypnęły. Paweł znikł w sypialni.

Oczywiście, że się przestraszyłam, myślała Nastia, zwinąwszy się w kłębek pod cienką hotelową kołdrą. – Pierwszy raz przy obiedzie. Straszny z ciebie człowiek, Pawle Saulaku. Boże, chciałabym odstawić cię do Moskwy i nigdy więcej nie spotkać.

Rozdział 3

A jednak nie udało jej się zasnąć. W sypialni było cicho, nie dobiegał stamtąd najłżejszy szmer, ale Nastia była pewna, że Saulak nie śpi. Również o szóstej wstała i zapukała do drzwi.

– Paweł, pobudka.

Saulak niemal natychmiast stanął na progu, jak gdyby nie tylko nie spał, ale też wcale się nie rozbierał.

– Śniadanie zjemy na lotnisku, tutaj wszystko jest jeszcze zamknięte o tak wczesnej porze – powiedziała, szybko pakując rzeczy do torby.

Saulak ruszył do łazienki, nie odzywając się słowem.

Na lotnisko dotarli autobusem podmiejskim. Nastia oparła się pokusie, żeby wezwać taksówkę, bo autobus wydał jej się bezpieczniejszy. Zatrzymanie samochodu na pustej szosie bladym świtem i wygarbowanie skóry dwojgu nieuzbrojonym pasażerom to żadna sztuka, a z autobusem taki numer nie przejdzie. Nastia nawet nie wyglądała przez okno, żeby wypatrzyć prześladowców. Co za różnica, są czy nie? Plan i tak nie ulegnie zmianie. Paweł milczał przez całą drogę, więc chwilami udawało jej się zapomnieć o jego obecności. Dopiero gdy wyjęła bilety z torby, posłał jej pytające spojrzenie, ale się powstrzymał i jak zwykle o nic nie zapytał.

Załatwili formalności związane z odprawą i ruszyli do hali odlotów. Zebrał się już spory tłum i nie było miejsc siedzących, więc dobre czterdzieści minut musieli stać, póki stewardesa nie otworzyła w końcu bramki i nie poprosiła pasażerów do autobusu. Przez cały czas Saulak stał z zamkniętymi oczami, oparty o ścianę, skrzyżowawszy ręce na piersiach, a Nastia dyskretnie się rozglądała. Naprzeciwko zauważyła Korotkowa, a tuż obok, zaledwie parę

metrów od niej, znajomą twarz chłopaka w futrzanej czapce. Pasażerowie szarej wołgi jeszcze się nie zjawili, była jednak pewna, że gdzieś tu są.

Do samolotu pojechali ostatnim autobusem i stanęli na końcu kolejki przy schodach. Gdy znaleźli się na pokładzie, Nastia z satysfakcją odnotowała, że większość pasażerów zajęła już miejsca. Zmierzając ku swojemu fotelowi, mogła zlustrować każdą twarz. Kupując bilety, zadbała o to, żeby miejsca były w ostatnim rzędzie. Proszę, oto futrzana czapka. I Korotkow. A także tamci z samochodu. Siedzą osobno, nie wyparowali. Wszyscy w komplecie. Można lecieć.

– Są tutaj? – zapytał Saulak, gdy Nastia zajęła miejsce i zapięła pasy.

– Owszem. – Skinęła głową. – Nie zauważył pan? Przecież prosiłam, żeby zapamiętał pan twarze.

– Zapamiętałem.

– I co, nie zwrócił pan uwagi, przechodząc?

– Zwróciłem.

– Więc czemu pan pyta?

– Sprawdziałem panią.

– Jasne. Pewnie się pan boi, że powierzył życie aktorce oszustce?

– Boję się, gdy nie rozumiem, co i dlaczego robi osoba, której zawierzyłem.

– No to niech się pan nie krępuje i pyta – poradziła Nastia pogodnie.

A jednak go przycisnęła! Popisywał się i panował nad sobą, pozując na człowieka mądrego i przenikliwego, który nie potrzebuje żadnych wyjaśnień, lecz w końcu musiał skapitulować. Okazało się, że nie potrafi jej rozgryźć.

– Po co lecimy do Swierdłowska?

– Do Jekaterynburga – poprawiła. – Żeby ich zgubić. W Samarze jesteśmy jak na dłoni, pańscy dręczyciele deptali nam po piętach od bramy kolonii aż do samolotu. Do Jekaterynburga przylecimy koło południa, w ciągu godziny odlecą stamtąd cztery samoloty – do Wołgogradu, Petersburga, Irkucka i Krasnojarska. Dostaniemy nowe dokumenty i polecimy, a oni niech sobie łamią głowy dokąd.

– Ale dlaczego akurat do Jekaterynburga? Mają tam inny plan lotów?

– Plan lotów się nie różni, ale na lotnisku Kolcowo jest dużo ciekawych przejść i wyjść, które dobrze znam. Ma pan jeszcze jakieś pytania?

– Chciałbym wiedzieć, kto panią wynajął.

– W tej kwestii musimy się potargować.

– To znaczy?

– Powiem panu, kto mnie wynajął, a w zamian pan mi zdradzi, dlaczego mnie wynajęto.

– Czyżby pani nie wiedziała?

– Nigdy o to nie pytam. Właśnie dlatego dostaję zlecenia. Przyzna pan, że to bardzo wygodne, gdy można powierzyć zadanie, niczego nie tłumacząc. Jeżeli będę okazywać nadmierną ciekawość, zostanę bez pracy.

– No to niech pani nie okazuje.

– Dobrze – łatwo ustąpiła Nastia. – Wycofuję się. Uznajmy, że nie ubiliśmy interesu.

– Dokąd polecimy z Jekaterynburga?

– Nie wiem. – Wzruszyła beztrąsko ramionami. – Polecimy tam, gdzie dostaniemy bilety.

– A jeśli na żaden z czterech lotów nie będzie biletów?

– Wykluczone. – Uśmiechnęła się. – To nie do wiary, że jest pan tak bojaźliwy, Pawle Dmitrijewiczu.

Samolot nabrał wysokości i leciał teraz równo, wstrząsany tylko niewielkimi drganiem. Bezsenna noc dała o sobie znać i Nastia poczuła, że morzy ją sen. Powieki zaczęły jej opadać, ale za wszelką cenę próbowała oprzeć się chęci, by zamknąć oczy i się zdrzemnąć. Nie żeby bała się zostawić Pawła bez nadzoru, z samolotu przecież nie ucieknie, zresztą Jura Korotkow też jest tutaj, nie spuszcza ich z oczu. Saulak ją jednak niepokoił, i to coraz bardziej. Unosiła się nad nim niezrozumiała aura niebezpieczeństwa, spanie przy nim oznaczało opuszczenie rąk i zdanie się na łaskę wroga.

Wciąż od nowa powtarzała w pamięci etapy zbliżającej się operacji „pozbycia się ogona” na lotnisku Kolcowo, gdy nad głowami pasażerów rozległ się melodyjny głos stewardesy.

– Szanowni państwo! Na skutek niesprzyjających warunków pogodowych panujących na lotnisku Kolcowo nasz samolot nie może podejść do lądowania w Jekaterynburgu. Wylądujemy w Uralsku. Załoga samolotu bardzo przeprasza za zaistniałe niedogodności.

A to dopiero! Sen jak ręką odjął. Co oni poczną w Uralsku? Nastia nikogo tam nie zna, jest tylko Korotkow, ale pożytku z niego... Dokumenty czekają na nich w Jekaterynburgu. Nie ma sensu wyjeżdżać z Uralska z dokumentami na nazwisko Saulak. To znaczy wyjechać oczywiście można, ale to tylko strata czasu, sił i pieniędzy. Bo nie pozbędą się ogona. Bez pomocy pracowników lotniska nie uda im się wsiąść na pokład samolotu, żeby się nie zdekonspirować.

Odwróciła głowę i zerknęła na Pawła. Nadal siedział z zamkniętymi oczami, ale gałki oczne pod cienką skórą powiek szybko się poruszały.

– Słyszał pan? – zapytała.

– Tak.

– Zaczynają się kłopoty.

– Rozumiem.

– Cieszę się, że jest pan tak pojętny – oznajmiła z nagłą złością. – Dla bezpieczeństwa nas obojga byłoby lepiej, gdybym wiedziała nieco więcej.

– A co właściwie chce pani wiedzieć?

– Na przykład jak potężni są ludzie, którzy nie odstępują nas od samej kolonii, no i czego można się po nich spodziewać.

– Mogą wszystko. Pytanie tylko, jak daleko zechcą się posunąć – odparł bardzo cicho, nadal nie otwierając oczu.

– Co może ich sprowokować?

– Strach przed zdemaskowaniem. Przed rozgłosem. Wybrała pani słuszną taktykę. Póki się nie dowiedzą, kim pani jest, będą się obawiali nas ruszyć. Dlaczego zrobiła sobie pani dowód na moje nazwisko?

– Niech myślą, że jesteśmy spokrewnieni. Przynajmniej na pewien czas zbije ich to z tropu.

– Igra pani z ogniem. I popełniła błąd.

– Czemu? Bycie pańską krewną jest niebezpieczne?

– I to bardzo. Nawet się pani nie domyśla, jakie to może okazać się

groźne.

– No to niech mnie pan oświeci. Właściwie już drugi dzień próbuję to z pana wyciągnąć.

– Nie musi pani wiedzieć. Niech pani jedynie pamięta, że popełniła błąd.

Też mi nowina, pomyślała Nastia z irytacją. Wiedzieć, że zrobiłam coś nie tak, ale nie mieć pojęcia, gdzie się pomyliłam. Gorzej nie można. Mściwy sukinsyn.

– Z kim pani jest związana, z milicją czy ze światem przestępczym?
– niespodziewanie zapytał Saulak.

– A dlaczego tylko z nimi? Sądzi pan, że człowiek, który mnie wynajął, musi być koniecznie albo milicjantem, albo przestępcą?

– Ma pani lewy dowód. To mogą zrobić tylko milicjanci albo kryminaliści.

– Nie tylko. – Uśmiechnęła się. – Świat poszedł naprzód w ciągu dwóch lat. Fałszywy dowód można kupić na każdym bazarze, kosztuje, rzecz jasna, słono, za to nie ma z nim żadnych problemów. Trzeba tylko znaleźć odpowiedniego człowieka, wręczyć mu forszę, podyktować nazwisko i dać swoje zdjęcie. Następnego dnia zamówienie jest gotowe do odbioru.

– I właśnie tak pani zrobiła?

– Zgadza się.

– To znaczy, że to był pani pomysł, by podszyć się pod moją krewną? Sama pani na to wpadła i zamówiła dowód?

– Owszem.

– A pani zleceniodawca nic o tym nie wie?

– Nie składam mu szczegółowego raportu, liczy się wynik, sama decyduję, jak go osiągnąć.

– Miała pani kiepski pomysł.

– Co robić? Błędów nie popełnia tylko ten, kto nic nie robi. Jest pan pewien, że mój zleceniodawca nie popełniłby tego błędu?

– Nie wiem, kim on jest. Może by nie popełnił. Ale mógł popełnić, gdyby nie był wystarczająco poinformowany.

Nasti zrobiło się nieswojo. Generał Minajew został wprowadzony w plan operacji, wiedział, że Nastia załatwiła sobie dowód na nazwisko Saulak. Ale jej nie powstrzymał. To znaczy, że jest

niewystarczająco poinformowany? Niedobrze. W takim razie mogą na nią czyhać różne nieprzyjemne niespodzianki. A jeśli ten cholerny Minajew wiedział, że nie należy tego robić? Dlaczego milczał? Jaka grę prowadzi? Z godziny na godzinę robi się coraz mniej ciekawie.

Samolot podszedł do lądowania, Nastia poczuła ucisk w uszach i rozboleła ją głowa. Z powodu słabego krążenia źle znosiła zarówno start, jak i lądowanie, w dodatku niedobre przeczucia sprawiły, że dostała okropnych mdłości.

Gdy tylko podwozie samolotu dotknęło ziemi, najbardziej niecierpliwi pasażerowie zerwali się z miejsc i zaczęli ubierać. Gdzieś z przodu mignęła głowa Korotkowa. Jura wstał i wciągając kurtkę, odwrócił się przodem do Nasti. Ona zaś ledwo dostrzegalnie wzruszyła ramionami, co oznaczało: brak nowych pomysłów oraz instrukcji, w głowie pusto, działaj według uznania i na własne ryzyko.

– Ilu ich jest? – rozległ się szept Pawła.

– Czterech. Dwaj osobno i dwaj razem.

– Adorator i dwaj faceci z samochodu. Kim jest czwarty?

– Ma miejsce w środku – chłopak w czapce z futra wilka. Był wczoraj rano koło kolonii, ale na widok wołgi się ulotnił. Nie wiem, może jest razem z tamtymi.

– Który z nich wydaje się pani najniebezpieczniejszy?

– Wszyscy. Nie jestem wróżką, nie potrafię czytać w myślach.

Saulak gwałtownie się ku niej odwrócił i Nastię znowu oblała fala gorąca.

– Jest pan hipnotyzerem? – zapytała, uśmiechając się z wysiłkiem.

– Nie. Skąd ten pomysł?

– Ma pan dziwne spojrzenie...

– Jakie?

– Nieprzyjemne. Niech pan wstaje, musimy się ubrać.

– Jest pani zbyt nerwowa. Zresztą słyszałem, że podobno wszystkie aktorki w mniejszym lub w większym stopniu są histeryczkami.

– Zespół h-igrekowy – wybąkała, wyciągając torbę spod siedzenia.

– Co takiego?

– O takich jak ja psychiatrzy mówią, że mamy nadmiernie rozwinięty zespół h-igrekowy. „H” oraz „igrek” to dwie pierwsze litery

słowa „histeria” w wielu językach.

– A więc jest pani również psychiatrą? – Saulak się uśmiechnął.

– Nie, ale skończyłam kurs psychodiagnostyki.

– Moim zdaniem taka z pani aktorka jak ze mnie mistrz kickboxingu.

– Ja też tak sądzę. Ruszajmy do wyjścia. I nie kłóćmy się, dobrze?

Lotnisko w Uralsku było małe, ciasne, brudne i byle jakie. Precisnąwszy się przez tłum pasażerów stojących w kolejce do odprawy i do kontroli dokumentów, Nastia i Paweł wyszli na zewnątrz. Na dworze było o wiele zimniej niż w Samarze, przenikliwy wiatr nawiewał do oczu drobne, kłujące płatki śniegu. Pasażerom rejsu zaproponowano, żeby przenocowali w hotelu na lotnisku, biorąc bowiem pod uwagę prognozy synoptyków, loty do Jekaterynburga planowano wznowić najwcześniej nazajutrz. Niewiele osób skorzystało z uprzejmego zaproszenia, bo do Jekaterynburga kursowały pociągi i pokonywały trasę w ciągu dziesięciu godzin. Jednakże Nastia doskonale wiedziała, że podróż pociągiem nie wchodzi w grę. Nawet jeśli przez cały czas Korotkow będzie w pobliżu, nic nie poradzą, w razie gdyby ich natrętni przyjaciele zapragnęli zrobić jakieś świństwo. W pociągu nikt nie jest do końca bezpieczny. Lepiej już tkwić tutaj, w Uralsku, i cierpliwie czekać na samolot. Poza tym Nastia potrafiła wymknąć się prześladowcom tylko na lotnisku Kolcowo, tam na nią czekano, tam dostanie nowe dokumenty. A więc za wszelką cenę musi tam dotrzeć, i to nie od strony ulicy, tylko z hali przylotów.

W hotelu zaproponowano im miejsca leżące w osobnych sześćcioosobowych pokojach – męskim i damskim. Nastia kategorycznie odrzuciła to rozwiązanie, sięgnęła po jeszcze jeden studolarowy banknot, na którego widok recepcjonistka uśmiechnęła się promiennie i dała jej klucz do dwuosobowego pokoju z telefonem i z łazienką. Był to prawdopodobnie pokój o najwyższym standardzie.

W środku Nastia cisnęła torbę na podłogę, ściągnęła kurtkę i padła na łóżko. Saulak starannie powiesił ubranie do szafy i usiadł w fotelu. Nastia nie widziała go ze swojego miejsca, ale dałaby sobie głowę uciąć, że znowu siedział ze skrzyżowanymi rękami

i zamkniętymi oczami.

– Zamierza pan kontynuować głodówkę? – zapytała z ironią.

– A pani znowu jest głodna? – odparował. – Żeby panią wyżywić, potrzeba fury pieniędzy.

– Mam normalny apetyt zdrowego człowieka, którego nie dręczą wyrzuty sumienia – wesoło odparła Nastia. – Tymczasem patrząc na pana, można by pomyśleć, że jedzenie staje panu w gardle. Ze strachu?

– Podziwiam pani optymizm. Zresztą nie bez powodu powiadają, że ogrom trosk jest wynikiem zbyt dużej wiedzy.

– No to niech się pan podzieli ze mną swoją smutną wiedzą, wtedy może ja też stracę apetyt. Zaoszczędzimy na jedzeniu.

Paweł nie odpowiedział, ale Nastia z satysfakcją pomyślała, że nie wypowiada się tak lakonicznie jak wczoraj. Z czasem się rozkręci, należy tylko uzbroić się w cierpliwość i wykazać pomysłowością. Jedną cechę Pawła Saulaka już odkryła: nie potrafi błyskawicznie zmieniać sposobu bycia. Wczoraj w restauracji, gdy nagle nazwała go Paszeńką i odezwała się czułym, proszącym głosem, zrezygnował z surowych zasad, które przyjął. Nie dlatego że jej uległ, ale dlatego że się stropił. Tym właśnie można wytłumaczyć jego zachowanie podczas tańca. Ten mężczyzna traci zimną krew, gdy czegoś nie rozumie. No cóż, to właśnie trzeba wykorzystać.

Przez pewien czas leżała w milczeniu z uniesionymi dłońmi, uważnie studiując manikiur. Potem przewróciła się na brzuch, oparła brodę na rękach i wbiła wzrok w Pawła. Ten w ogóle nie zareagował, nawet się nie poruszył, jak gdyby skamieniał.

– Pańskim zdaniem oni siedzą na dole czy pilnują nas na ulicy? – zapytała.

– Najprawdopodobniej jeden siedzi na dole, a drugi w holu na naszym piętrze. Przecież przed sobą też się ukrywają.

– Tutaj nie Moskwa, długo się nie da. Musimy ich gdzieś wyciągnąć, niech się spotkają.

– Chce pani poeksperymentować? – Uchylił powieki, ale nie odwrócił głowy.

– Czemu nie? Tylko panu wolno? Lubię się rozerwać, nuda mnie przygnębia i pozbawia chęci do pracy. Kompan z pana żaden,

a skoro nie mogę zabawić się ze współnikiem, spróbuję wykorzystać do tego wrogów. Co pan na to?

– Ten, kto panią wynajął, jest chyba zupełnym idiotą – wycedził Saulak. – Ciekawe, skąd panią wystraszył?

– Niech pan nie będzie niegrzeczny, Pawle Dmitrijewiczu. Gdybym nie odebrała pana przy bramie pańskiego dobroczyнного zakładu, już by się pan poniewierał w przydrożnym rowie, a drobny lutowy śnieżek przysypałby pana martwe ciało. Może to prawda, że nie mam dość doświadczenia, by bezpiecznie odstawić pana na miejsce, ale przynajmniej podarowałam panu dodatkowy dzień życia. Więc choćby za to mógłby mi pan podziękować.

– Nie ma dodatkowych dni życia, podobnie jak pieniędzy.

– No proszę, pan jeszcze filozofuje! Godny pozazdroszczenia spokój. Wie pan, że ktoś na pana poluje, powierzył pan życie niedoświadczonej i głupiej histeryczce, więc ma pan jakieś trzydzieści procent szans na to, że ocaleje. A pan się wyklóca o drobiazgi, liczy pieniądze, które wydaję na jedzenie, nawiasem mówiąc, nie z pańskiej kieszeni, i dywaguje na temat marności życia. Brawo! No cóż, Pawle Dmitrijewiczu. Albo przestanie pan odgrywać samowystarczalnego pyszałka i zaczniemy wreszcie normalnie rozmawiać, albo idę na obiad do miasta. Niech się pan rozkoszuje wyniosłą samotnością, zobaczę, jak długo pan wytrzyma, gdy do pokoju zaczną się dobijać pańscy życzliwi znajomi. Jest ich co najmniej czterech, niewykluczone, że już się poznali i działają ramię w ramię. A pan nie ma nawet broni.

– Czyżby pani ją miała?

– Ja też nie mam. Mam za to tajemnicę, która mnie otacza. Póki jej nie odgadną, nie ruszą pana w mojej obecności, bo musieliby wyrządzić mi krzywdę, a jeszcze nie wiedzą, czy mogą to zrobić. Gdy tylko się pożegnamy, sytuacja diametralnie się zmieni. Beze mnie będzie pan całkiem bezbronny.

– O co pani chodzi? Czego pani ode mnie chce?

– Chcę wykonać swoje zadanie. W tym celu muszę co nieco wiedzieć. Przyzna pan, że niezwykle ciężko pracować po omacku. Skoro pan, Pawle Dmitrijewiczu, odmawia rozmowy na tematy, które mnie interesują, będę popełniać błąd za błędem, narażając siebie

i pana na niepotrzebne ryzyko. Przecież mogę zaraz pójść na komisariat i oznajmić, że zginął mi dowód. Podam milicjantom swoje prawdziwe dane, oni zaś wyślą zapytanie do Moskwy, potwierdzą moją tożsamość i wydadzą mi zaświadczenie, w którym będzie figurować prawdziwe nazwisko, a nie Saulak. Jestem gotowa to zrobić, jeśli mi pan wytłumaczy, dlaczego nie powinnam posługiwać się pańskim. Ale pan przecież milczy, skryty i nieprzystępny. Traktuje mnie pan jak idiotkę, która płacze się pod nogami i przeszkadza wrócić do Moskwy albo tam, gdzie planował pan udać się na wolności. Owszem, to prawda, że mam niewielkie doświadczenie i nie jestem gigantem myśli, ale plan, który próbuję wdrożyć, pozwolił nam przetrwać już ponad dobę, więc chyba nie jest głupi. Dlaczego nie przyzna pan choćby tego?

– Już w samolocie powiedziałem, że wybrała pani słuszną taktykę. Chce pani, żebym ją chwalił co pięć minut?

– Naturalnie! – Roześmiała się. – Jestem kobietą, a to mówi samo za siebie, jeśli oczywiście w ciągu dwóch lat nie zapomniał pan, co to takiego. Kobiety odbierają otaczający świat za pomocą werbalnych komunikatów, nie zwracają uwagi na czyny. Mężczyzna może przynosić pensję, robić prezenty, nie upijać się i nie zdradzać żony, ale jeśli nie będzie jej trzy razy dziennie powtarzał, że ją kocha, ona uzna, że źle ją traktuje. I odwrotnie, mąż może zachowywać się skandalicznie, zdradzać żonę na prawo i lewo, a nawet ją bić, ale jeśli bez przerwy będzie jej mówił, że jest najpiękniejsza i jedyna, ona będzie przekonana, że ją ubóstwia, i przebaczy mu każdą podłość.

– Na szczęście nie jestem pani mężem, więc niech pani nie oczekuje ode mnie komplementów.

– Z czego się pan cieszy? Nawiasem mówiąc, bycie moim mężem wcale nie jest złe. Zarabiam przecież przyzwoicie, wikłając się w afery podobne do tej. Nie narzekam na brak klientów. A właśnie, może zechce mnie pan wynająć.

– Po co mi pani? Zdaje się, że już pani zapłacono za mój bezpieczny przejazd. Chce pani upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu?

– Ależ skąd. Mogę na przykład się dowiedzieć, kto się na pana wziął. Mój obecny zleceniodawca chyba dobrze to wie. A pan?

– Obejdę się bez pani usług.

- Jak pan chce. Pytam po raz ostatni: idzie pan ze mną do miasta?
- Wolałbym inne rozwiązanie.
- No to niech je pan zaproponuje.
- Możemy coś kupić i zjeść tutaj, w pokoju.
- Nie ma sprawy.

Oczywiście, że nie ma sprawy, pomyślała Nastia. W końcu się rozgadałeś. Nawet gdybyś mi zaproponował, żebyśmy poszli kupić gazety i wytapetowali nimi pokój, też bym się zgodziła. Najważniejsze to zmusić cię, żebyś włączył się w proces analizy i zaczął wyrażać własne zdanie – krótko mówiąc, rozwiązać ci język. Zasugerowałeś kompromisowe rozwiązanie – okazuję gotowość pójścia na ustępstwo. Musimy się zaprzyjaźnić, Pawle Dmitrijewiczu, inaczej poniesiemy fiasko. Musisz się zniżyć do mojego poziomu, ja zaś, mimo że głupia i ograniczona, jestem uparta i kuta na cztery nogi. Dopiero gdy poczujesz nade mną przewagę, to się otworzysz. Jeżeli będziesz widział we mnie silnego przeciwnika, nic nie zdziałamy. Swoją ambicją mógłbyś obdzielić z dziesięć osób, a dumą z tuzin. Ale nie masz w sobie żyłki hazardzisty, w przeciwnym razie silny przeciwnik rozpaliby ci krew w żyłach, on zaś cię drażni. A może budzi w tobie strach? Może brakuje ci pewności siebie? Ciekawe. Bez względu na to, jaka jest prawda, powoli zaczynam cię rozumieć. A to już nieźle.



Grigorij Walentinowicz Czincow nade wszystko w świecie lubił knuć intrygi. Nie mógł bez tego żyć, usychał z nudów bez choćby niewielkiej, drobnej manipulacji. Teraz otwierała się przed nim wspaniała perspektywa, bo zbliżała się kampania przed wyborami nowego prezydenta Rosji. W końcu będzie mógł rozwinąć skrzydła, pokaże, na co go stać, i otworzy się przed nim niebo.

Czincow nie był bojownikiem, walczył o to, by napchać własne kieszenie, toteż łatwo wikłał się w różne afery, jeżeli zapowiadały zyski. Dzisiaj prowadził intrygę w interesach ugrupowania, które wysunęło kandydata w wyborach prezydenckich. Za ugrupowaniem stał kapitał kryminalny, więc w razie zwycięstwa kandydat miał

zablokować przyjęcie niekorzystnych dlań praw i dekretów na co najmniej cztery lata. Dzięki temu człowiekowi pojawi się na przykład gwarancja, że ulgi podatkowe i celne będą przysługiwać głównie podmiotom kontrolowanym przez ów kapitał.

Kandydat miał gotową własną ekipę składającą się z szefów ministerstw siłowych, ministra gospodarki i finansów oraz dyrektora Centrobanku^[3]. Jeżeli zdobędzie władzę i obsadzi nimi stanowiska, w ciągu czterech lat zagarną w swoje ręce, co zechcą. Na przeszkodzie stał tylko pewien drobiazg: w niedalekiej przeszłości zarówno ugrupowanie wysuwające i popierające kandydata, jak i sam kandydat wraz ze swoją ekipą prowadzili ożywione kontakty z generałem lejtnantem Bułatnikowem. Z niektórych rejonów Rosji uczynili swoją ostoję i uprawiali tam potępiany przez kodeks karny proceder nielegalnego handlu bronią i narkotykami. Z tego właśnie względu w wybranych rejonach musieli powołać zaufanych gubernatorów, dowódców garnizonów wojskowych, naczelników urzędów spraw wewnętrznych i prokuratorów. Zanim jednak zostaną mianowani nowi, należało pozbyć się starych. W tej śliskiej kwestii generał lejtnant Bułatnikow okazał się człowiekiem nie do zastąpienia.

Wszystkie przesunięcia i zmiany odbyły się, by tak rzec, zgodnie z planem, swoi ludzie zajęli kluczowe stanowiska, po czym Bułatnikow stał się zbędny i niebezpieczny. Sprzątnięto go, rzecz jasna. Ale najbliższy współpracownik generała zdołał się wymknąć. Wtedy nie zaprzęтали sobie tym głowy, bo wiedzieli, że skoro ukrył się w kolonii karnej, to znaczy, że się boi. A skoro się boi, nikogo nie zaatakuje, pod warunkiem że sam nie będzie atakowany. To ich uspokoiło.

Jednakże jakiś czas temu Grigorij Walentinowicz dowiedział się, że współpracownikiem nieżyjącego generała nagle zainteresowali się zwolennicy obecnego prezydenta. To już było niebezpieczne. Zeznania Pawła Saulaka mogły zniszczyć większą część kandydatów, w tym naturalnie tego, dla którego pracował teraz Czincow. To oczywiste, że należy usunąć z drogi współpracownika Bułatnikowa. Czincow jak zwykle liczył na MWD^[4] i bardzo się rozczarował, gdy zwrócił się do dwóch czy trzech starych znajomych. Po czerwcowych

wydarzeniach w Budionnowsku ministra spraw wewnętrznych zdymisjonowano, a nowy pojawił się z nową ekipą, do której Czincow nie miał doświadczenia. Okazało się, że nowy minister jest wojskowym, a nie milicjantem, więc Grigorij Walentinowicz nie miał kompromitujących go materiałów, które mógłby wykorzystać, by rozwiązać swoje problemy. Jedyne, co udało mu się zrobić, to dowiedzieć się, w której kolonii przebywa Saulak i kiedy wyjdzie na wolność. Wysłał ludzi, żeby go przejęli, ale sprawy ni z tego, ni z owego się skomplikowały. Po pierwsze, nie tylko oni przyjechali po Pawła. Pojawił się jakiś chłopak, który kręcił się pod bramą. Pojawił się jeszcze jeden typ, który kręcił się koło Pawła w hotelu. I co najważniejsze, pojawiła się kobieta, prawdopodobnie krewna Saulaka. Niewykluczone, że żona. Pomieszła Czincowowi szyki, więc teraz musiał czekać, aż sytuacja się wyklaruje.

Tak wyglądał obraz jeszcze wczorajszego wieczoru. Jednakże pewne wydarzenia sprawiły, że Czincow musiał zweryfikować strategię. Prezydent publicznie oznajmił, że w najbliższym czasie zrobi, co w jego mocy, żeby wypłacić zaległe uposażenia. Jasne, ma trzy instrumenty, których może użyć w przedwyborczej walce: zabawić się w demokrację, rozwiązać problem czeczeński i zagwarantować wypłaty pensji i emerytur. To oczywiste, że likwidacja zadłużeń finansowych może nastąpić tylko drogą uruchomienia maszyn drukarskich. Wybitni ekonomiści kategorycznie się temu sprzeciwiają. Ale czy prezydent ich posłucha? Posłucha, ma się rozumieć, że posłucha, ale potem mu się znudzi i zrobi po swojemu. Prosty ludzi utrzymujących się z pensji albo z emerytur nie interesują żadne argumenty, na nic im się zdadzą wywody na temat inflacji i nadciągającej zapaści ekonomicznej, to dla nich puste słowa, bo już dzisiaj nie mają czym karmić dzieci, a inflacja i zapaść to sprawa dalekiego jutra. Jeżeli prezydent wywiąże się z zobowiązań, zdobędzie wdzięczność społeczeństwa. A więc trzeba zrobić wszystko, żeby tak się nie stało. Jaki jest układ sił? Niezależni ekonomiści przeciwni uruchomieniu maszyn. I zależni doradcy, w tym finansowi, na których można wyrzucić presję. Czincow dobrze wiedział, że nie tylko jego obecni przyjaciele korzystali z pomocy generała lejtnanta Bułatnikowa. Cały

kraj z niej korzystał. Więc może wśród doradców prezydenta znajdzie się człowiek, którego będzie można przycisnąć rękami Saulaka? Znajdzie się, i to niejedyn. Co z tego wynika? Ano to, że trzeba przejąć Pawła Saulaka. Nie likwidować od razu, jak na początku planowano, ale potrząsnąć nim jak należy, zmusić do współpracy, wyciągnąć wszystko, co wie. A potem się zobaczy.

Tylko ta kobieta wchodzi w paradę... Kim ona jest? Może przyda się w grze? Nie, nie wolno ich ruszać, nie wolno, póki sprawa się nie wyjaśni.



Wiaczesław Jegorowicz Sołomatin w odróżnieniu od Czincowa był oddany idei. Jego poświęcenie dla prezydenta nie miało wręcz granic. Gotów był na wszystko, żeby go wesprzeć i mu pomóc.

Sposób rozumowania Sołomatina był właściwie taki sam jak Czincowa. W kwestii trzech instrumentów i niemożności przeoczenia choćby jednego z nich. Ale przed Wiaczesławem Jegorowiczem stało nieco inne zadanie.

Znalazł się łajdak, który podsuwa prezydentowi niebezpieczny pomysł utworzenia dwóch komisji do opracowania sposobu rozwiązania kwestii czeczeńskiej! Prezydent jeszcze nie podjął decyzji, ale wszystko wskazuje na to, że skłania się ku tej propozycji. W jednej z nich będą pracować członkowie Rady Prezydenckiej, w drugiej szefowie ministerstw siłowych. Bez względu na to, komu prezydent przyzna rację, nastawi przeciwko sobie znaczną część społeczeństwa. Jeśli zrobi tak, jak proponują doradcy, narazi się zwolennikom żelaznej ręki, których, jak pokazały niedawne wybory do Gosdumy^[5], w Rosji nie brakuje. Jeśli przyjmie rady ministrów, zaprotestują demokraci. I szczerze mówiąc, będą mieli słuszość. Jedyne, co może uratować prestiż prezydenta w patowej sytuacji, to niezależna decyzja, odmienna od propozycji obu komisji. Ale skąd ją wziąć?

W obu zespołach nie zasiądą głupcy, ich zadaniem będzie przeanalizowanie istniejących sposobów wyjścia z kryzysu czeczeńskiego i zaproponowanie najbardziej optymalnego. To

oczywiste, że członkowie komisji poruszą niebo i ziemię, zaangażują dostępnych analityków i strategów, zatrudnią instytuty naukowe, odszukają najbardziej doświadczonych ekspertów. Cały kraj dołoży starań. Nie ma mowy, żeby nikt nie wpadł na jakieś rozwiązanie. Ono musi się znaleźć. Koniecznie. Inaczej prezydent straci twarz i nie wygra wyborów.

W grubej ścianie, którą komisje wzniosą z cegiełek swoich pomysłów, musi znaleźć się szpara. Nieduża. Wielkości jednej cegiełki. Z tą właśnie cegiełką obecny prezydent godnie przystąpi do zbliżających się wyborów. Zdaniem Wiaczesława Jegorowicza Sołomatina zadanie polegało na tym, żeby dostarczyć prezydentowi tę cegłę, owo jedyne rozwiązanie, dzięki któremu będzie mógł nie poprzeć żadnej komisji i udowodnić, że jest samodzielnie myślącym politykiem. W związku z tym Sołomatin na gwałt potrzebował Pawła Dmitrijewicza Saulaka.

Mimo zbieżności rozumowania i wybranej taktyki istniała pewna różnica między Grigorijem Walentinowiczem Czincowem a Wiaczesławem Jegorowiczem Sołomatinem. Sołomatin wiedział znacznie więcej na temat Pawła Saulaka. Dlatego nie zamierzał go porwać ani użyć jakiegokolwiek środka przymusu. Wiedział, że pod żadnym pozorem nie należy tego robić. Chciał spróbować dogadać się z byłym współpracownikiem generała lejtnanta Bułatnikowa. Z tego powodu jego ludzie tylko obserwowali Pawła, rejestrowali jego ruchy, próbując zarazem ustalić, kim jest kobieta, która odebrała go z kolonii. Dziwna para! Mieszkają w jednym pokoju, noszą to samo nazwisko, a w towarzystwie mówią sobie per „pan” i „pani”. Chcą ukryć bliską znajomość czy nawet pokrewieństwo? Czyżby uważali innych za kompletnych idiotów? Kto uwierzy, że mężczyzna i kobieta noszący to samo nazwisko i wynajmujący jeden pokój w hotelu, ledwo się znają! A może nie próbują nikogo oszukać, tylko są ze sobą skłóceni. Przecież w restauracji ona go nawet uderzyła, a on wykręcił jej rękę, aż upadła. Widocznie mają ze sobą na pieńku. Możliwe, że w grę wchodzi zazdrość. Ludzie Sołomatina zameldowali, że kobieta otwarcie flirtowała z jakimś gościem hotelowym i nawet całowała się z nim na oczach Saulaka. Nic dziwnego, że tamten wpadł we wściekłość. Ale po co to zrobiła? Wszędzie same zagadki.



Jedną ze zdobyczy reformy ekonomicznej stało się zacieranie różnic między stolicą a prowincją w kwestii zaopatrzenia mieszkańców w towary i usługi. W sklepach Uralska było dużo artykułów spożywczych, których asortyment pozwolił Nasti przygotować przyzwoity obiad w hotelowych warunkach. Włoskie sałatki w plastikowych pudełkach, zupy w kubeczkach, które należało tylko zalać gorącą wodą i zostawić na trzy minuty, rozmaite jogurty i słodkie desery, a nawet francuskie sery pokrojone w cienkie plastry. Pieniądzy otrzymanych od generała Minajewa było sporo, więc Nastia bez wahania wkładała wybrane artykuły do plastikowego koszyka.

– Ma pani wielkopańskie nawyki – zauważył Paweł, z dezaprobatą patrząc na kolejną jaskrawą paczuszkę orzechów, która trafiła z półki do koszyka.

– Nic podobnego – zaproponowała. – Po prostu jestem z natury leniwa, stąd moja zapobiegliwość. Kto wie, jak długo będziemy tkwić w tym mieście, póki nie polecimy do Jekaterynburga. Nie będziemy przecież biegali do sklepu za każdym razem, gdy zgłodniejemy. Jaki ser pan woli, śmietankowy, z krewetkami czy z szynką?

– Wszystko jedno.

– Ale one mają przecież zupełnie inny smak. Naprawdę nie ma to dla pana znaczenia?

– Żadnego. W ogóle nie lubię sera, więc niech pani wybiera według własnego uznania.

– Dobrze. A co pan lubi? Niech się pan nie krępuje, mój klient nie zbiednieje przez pana.

– Nic. Wszystko mi jedno.

– Do licha, zakupy z panem to żadna przyjemność – burknęła Nastia. – Kto widział takiego nudziarza? Trzeba korzystać z przyjemności życia, pan zaś pozbawia się drobnej ziemskiej radości w postaci smacznego jedzenia. Zawsze ma pan taki wisielczy humor?

– Proszę wyświadczyć mi grzeczność i zostawić mój humor w spokoju.

– Dobrze. W takim razie niech się pan rozejrzy, co porabiają nasi przyjaciele. Przynajmniej będzie z pana jakiś pożytek.

Już stali w kolejce do kasy, gdy Nastia zauważyła Jurę Korotkowa przy wejściu. Futrzaną czapkę dostrzegła, gdy opuszczali hotel, a pary z wołgi w ogóle nie widziała. Ciekawe, gdzie oni zniknęli?

– Wszyscy są na miejscu – oznajmił Saulak. – Biorą z pani zły przykład i też robią zakupy.

– A wielbiciel?

– Już się obkupił i czeka na ulicy.

– Może zaprosimy go na obiad? Byłaby jakaś rozrywka.

– Niech pani przestanie mnie dręczyć swoim pędem do zabawy. Jest pani w pracy, no to niech pani pracuje. Ja tutaj nie widzę nic zabawnego.

– To znaczy, że jeszcze pan nie wie, czym jest prawdziwy strach.

– Co ma pani na myśli? – Saulak się zachmurzył.

W tej samej chwili stojąca przed nimi kobieta zabrała resztę i się odsunęła. Teraz była ich kolej, więc Nastia postanowiła nie odpowiadać. Jeżeli Paweł naprawdę jest ciekaw, co miała na myśli, z pewnością o to zapyta. Zignoruje swoje idiotyczne zasady i odezwie się pierwszy. A wtedy będzie go można przycisnąć.

Zawartość zielonego plastikowego koszyka pochłonęła sporą sumę i Nastia, uśmiechając się, pomyślała, że z jej pensją nie może sobie pozwolić na tak drogie rzeczy, których w zasadzie wystarczy tylko na obiad i kolację. Tyle, ile zapłaciła teraz, wydawali z Loszą w tydzień.

W drodze powrotnej do hotelu przechodzili koło kiosku z gazetami. Paweł zwolnił nieco kroku, a Nastia domyśliła się, że chce kupić gazety, ale nie potrafi poprosić jej o pieniądze. Był bez grosza. Nastia miała tylko chwilę na podjęcie decyzji. Okazać szlachetność i nie zmuszać go, żeby się poniżał? Czy udać, że nie zauważyła, żeby poczuł się od niej zależny? Jak postąpić, żeby nie oddać za jednym zamachem z trudem zdobytych pozycji?

– Czyżby poczuł pan pociąg do słowa drukowanego? – zapytała z kpiną, przekładając torbę z jednej ręki do drugiej. – Kupię panu gazety tylko dla zasady. Może znajdzie pan w którejś rubrykę dotyczącą savoir-vivre'u i ze zdziwieniem przeczyta, że mężczyzna nie powinien pozwalać damie dźwigać toreb z zakupami. Nikt pana tego

nie uczył?

Paweł w milczeniu wziął od niej torbę, usta zacisnął jeszcze mocniej, aż utworzyły wąską kreskę. Nastia kupiła parę gazet, zarówno ogólnokrajowych, jak i lokalnych, a także ciekawą broszurę z krzyżówkami.

– Jeżeli będzie pan wciąż pozował na obrażonego królewicza, porozwiązuję sobie krzyżówki. Kim pan jest z wykształcenia? – zapytała, upychając gazety do torby.

– Technikiem – rzucił krótko.

– Wspaniale. Będzie mi pan pomagał odgadywać słowa, których nie znam.

– A jakie pani ma wykształcenie?

– Uniwersyteckie, matematyczno-fizyczne.

– Coś podobnego! Otworzyli tam wydział dla aktorów?

– Raczej nie. Skąd to pytanie?

– Przecież mówiła pani, że jest aktorką.

– Coś podobnego! – zawołała Nastia, przedrzeźniając Pawła i łobuzersko się uśmiechając. – A mnie się zdaje, że nic takiego nie mówiłam. Chyba się panu zdawało.

Jego twarz natychmiast zastygła, oczy na chwilę się zamknęły, jak gdyby próbował odzyskać poczucie rzeczywistości i się opanować. Rozgniewał się, pomyślała Nastia. To dobrze. Niech mnie uważa za głupią, najważniejsze, żeby nie rozumiał. Jeśli będzie sądził, że jestem głupia, na pewno zechce się dowiedzieć, co mi siedzi w głowie. Dlaczego wczoraj mówiłam jedno, a dzisiaj co innego? Czy tylko kłamię i nie zapamiętuję swoich bajeczek, łamiąc starą zasadę, że oszust musi mieć dobrą pamięć? A może plotę, co mi ślina na język przyniesie? Paweł musi się mną zainteresować. To sprawa zwyczajnej ludzkiej ciekawości, której nie powstrzymuje strach przed ewentualnymi kłopotami. Strach przed niepowodzeniem może sprawić, że przestanie być ciekaw. Nie ma duszy hazardzisty. Jeśli nie będzie czuł strachu, jeśli nie dostrzeże we mnie złożonej osobowości, na pewno zapagnie rozebrać mechanizm, żeby zobaczyć, jak działa. Wtedy cię przyłapię i „nigdzie przede mną nie czmychniesz, mój kochany”, jak mówiono w pewnym znanym serialu telewizyjnym. Chyba w *Wiecznym zewie*.

W pokoju Nastia od razu włączyła grzałkę, żeby zrobić sobie kawę, i zajęła się szykowaniem obiadu. Tym razem Saulak nie powiedział, że nie jest głodny, i nie odmówił poczęstunku, ale Nastia widziała, że jedzenie rośnie mu w ustach. Czyżby nie miał wcale apetytu? To dziwne. Może coś go boli, żołądek albo wątroba?

– Nie ma pan problemów zdrowotnych, Pawle Dmitrijewiczu? – zapytała, pochłaniając sałatkę z krewetkami i grzybami. – Prawie w ogóle pan nie je.

– Nic mi nie jest.

Jak to nic? – skomentowała w myślach Nastia. Przez ostatnią dobę przywykła prowadzić z Pawłem milczące rozmowy. – Wczoraj nie zamknąłeś drzwi, gdy się kąpałeś. Typowe zachowanie sercowca, który się boi, że robi mu się słabo w gorącej kąpiel. Sama też nigdy się nie zamykam w łazience, wystarczy, że zawołam, a Loszka przybiegnie. Bo zanim wyłamię drzwi, może być za późno. Jeśli nie chorujesz na serce, na pewno toczy cię jakaś choroba. Nie chcesz mówić? Udajesz twardziela? No to udawaj, udawaj.

Po obiedzie położyła się, wsuwając poduszkę pod plecy, i zabrała do rozwiązywania krzyżówek. W pokoju zaległa cisza, przerywana tylko szelestem gazetowych stron – Paweł studiował prasę.

– Jeśli interesują pana wiadomości polityczne, może pan włączyć telewizor – powiedziała Nastia, nie odrywając oczu od krzyżówki. – To mi nie przeszkadza.

– Bardzo pani uprzejma – odparł Saulak spokojnie, ale w jego głosie znowu zabrzmiała ledwo zauważalna ironia. Świetnie, to znaczy, że budzi się ze swojej śpiączki, zaczyna okazywać emocje.

Włączył telewizor piętnaście minut później, gdy na kanale ORT zaczął się program informacyjny. Nie powiedziano w nim nic ciekawego, była niedziela – dzień niezbyt bogaty w sensacje i polityczne skandale. Paweł poklikał pilotem i znalazł lokalny kanał z jakimś programem publicystycznym. Dziennikarz próbował ożywić dyskusję prowadzoną przez dwóch zaproszonych urzędników, z których jeden reprezentował merostwo, a drugi Dumę Miejską. Ale dyskusja szła opornie, obaj mówili o tym samym i przyznawali sobie rację. Chodziło o to, w jakiej mierze władze miejskie powinny ponosić odpowiedzialność za działania organów administracji oraz

ich szefów. Gospodarz programu dwoił się i troił, przejęty zapewne laurami znanego dziennikarza telewizyjnego, którego goście – dwaj ważni politycy omal się nie pobili na wizji. Straciwszy nadzieję na to, że uda mu się rozkręcić debatę, wyciągnął asa z rękawa, widocznie uznając, że zmuszeni do obrony rozmówcy okażą się agresywniejsi.

– Jak państwu wiadomo – zaczął, zwracając się do widzów – w naszym mieście już od dwóch lat działa stowarzyszenie rodziców, których dzieci padły ofiarami zbrodni. Do tej pory przestępcy nie ujęto i nie ukarano za jego zbrodnię. Członkami stowarzyszenia są ojcowie i matki nie tylko z naszego miasta, ale też z niektórych sąsiednich miejscowości, gdzie działał przestępca. Rodzice mają wyrobione zdanie na temat odpowiedzialności władz miejskich za stan walki z przestępczością. Zobaczmy nagranie.

Na ekranie pojawiła się jakaś sala konferencyjna, kamera pokazała z bliska siedzących i zaczęła przesuwać się po twarzach uczestników zebrania. Wszystkie były młode, najwyżej czterdziestoletnie, naznaczone piętnem tragizmu.

– Dzisiaj ci ludzie zebrali się razem nie po to, żeby potępić bezczynność organów ścigania – mówił głos za kadrem. – Nie liczą już na milicję i prokuraturę, pragną zrobić, co tylko możliwe, żeby tragedia, która ich spotkała, nigdy więcej się nie powtórzyła. Chcą zapobiec nowym ofiarom i ocalić życie naszych małych obywateli. Dzisiaj omawiają kwestię zdobycia funduszy na przygotowanie i wydanie broszury „Jak pomóc dziecku, żeby nie padło ofiarą przestępstwa”. Grupa założycielska podpisała umowę ze znanym specjalistą do spraw przeciwdziałania przestępstwom przeciwko dzieciom, który gotów jest podzielić się swoją wiedzą i udzielić praktycznych porad oraz wskazówek zarówno rodzicom, jak i dzieciom.

Teraz na ekranie ukazała się twarz kobiety z oczami pełnymi gniewu.

– Chcemy zrobić, co tylko w naszej mocy, żeby podobne przypadki już się nie powtórzyły. Nie daj Boże, żeby ktoś musiał przeżyć to, co przeżyliśmy ponad trzy lata temu. Nasze stowarzyszenie istnieje zaledwie od dwóch lat, bo najpierw liczyliśmy, że milicja coś zrobi i złapie w końcu tego zwyrodnialca. Dopiero rok później do nas

dotarło, że się nie doczekamy, że zbrodniarz wciąż pozostaje na wolności, więc postanowiliśmy się zrzęczyć, by ocalić inne dzieci, bo naszym już nic nie pomoże...

Przerwała, oczy zaszyły jej łzami, kamera powoli się oddaliła, po czym pokazała grupę, która z ożywieniem omawiała coś przy samym podium. Nagranie się skończyło, na ekranie znowu pojawił się gospodarz programu i zaproszeni urzędnicy. Nastia oderwała się od krzyżówki. Wiedziała o tych przestępstwach. Ponad trzy lata temu w okolicy zabito jedenastu chłopców w wieku od siedmiu do dziewięciu lat. Ciała nie nosiły jakichkolwiek oznak przemocy seksualnej, ale na piersi każdego z chłopców wycięto prawosławny krzyż. Zabójcy rzeczywiście nie znaleziono, sprawę nadzorowało ministerstwo, ale to nie pomogło ująć okrutnego szaleńca.

Nagle ekran zgasł, Paweł wyłączył telewizor i znowu usiadł w fotelu, szeleszcząc gazetą.

– Nie chce pan posłuchać o zabójcy? – zapytała Nastia z irytacją.

– Już o nim słyszałem. Teraz wszyscy zaczną dyskutować na temat odpowiedzialności i spychać ją jeden na drugiego. To mnie nie interesuje. Ale jeśli chce pani posłuchać, mogę włączyć.

– Nie trzeba – odparła oschle.

W gruncie rzeczy miała wielką ochotę posłuchać, ale nie mogła tego pokazać. Wszystkich interesuje zabójca, to zrozumiałe i nie wzbudza podejrzeń. Tyle że dyskusja na temat władzy, kierowania walką z przestępczością i odpowiedzialności za organizację pracy może interesować major milicji Anastazję Kamieńską, a nie ograniczoną, ale odnoszącą sukcesy arogantkę. Dlatego zrobiła obojętną minę i znowu zabrała się do wpisywania liter w kratki krzyżówki. Po pewnym czasie uświadomiła sobie, że nie słyszy szelestu stron. Odwróciła się w stronę fotela. Paweł siedział nieruchomo z zamkniętymi oczami. Twarz miał szarą jak popiół, na czole krople potu. Wyglądał staro i sprawiał wrażenie ciężko chorego.

– Co panu jest? – Nastia się przestraszyła. – Źle się pan czuje?

– Wszystko w porządku – wycedził Saulak, prawie nie poruszając wargami.

– Na pewno? Nie jest pan chory?

– Przecież powiedziałem, że nic mi nie jest. Zdaje się, że chciała się pani rozerwać? No to się przejdźmy po mieście.

Nastia z nieukrywanym zdumieniem zerknęła na Pawła i wstała.

– Dobrze. Chce mi pan zrobić przyjemność? Doceniam pańskie staranie.

– Chcę się po prostu przejść – odparł, podnosząc się z fotela.

[3] Centrobank (Centralny bank) – Bank Centralny.

[4] MWD (Ministerstwo wnutriennich dzieł) – Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

[5] Gosduma (Gosudarstwiennaja duma) – Duma Państwowa.

Rozdział 4

Korotkow dostał miejsce w czteroosobowym pokoju, razem z trzema facetami z Workuty, którym też nie udało się dotrzeć do Jekaterynburga, więc teraz osuszali butelkę za butelką. Ten fakt ucieszył Jurę. Spędziwszy pół godziny w pokoju przesiąkniętym wonią przetrawionego alkoholu, cebuli, czosnku i dymu z papierosów, ze skruszonym uśmiechem stanął przed recepcjonistką dyżurującą na piętrze.

– Nie będzie pani miała nic przeciwko, jeśli posiedzę tutaj i pooglądam telewizję? – zapytał.

Kobieta kiwnęła głową ze współczuciem.

– Pan z trzysta drugiego?

– Tak. Chyba się pani domyśla...

– Ma się rozumieć. Tam nawet karaluchy zdychają. Co poradzić, loty do Jekaterynburga zostały wstrzymane już trzeci dzień z rzędu, więc mężczyźni się zabawiają. Już im wspominaliśmy, że pociągiem dotarliby szybciej i bez problemu, ale na wszystko mają tę samą odpowiedź: kupili bilety na samolot, więc zamierzają polecieć. A pieniądze, za które nabyliby bilety na pociąg, wolą przehulać. No więc sobie hulają. Nie ma na nich rady.

Jura ulokował się w fotelu i wbił wzrok w ekran, od czasu do czasu popatrując na szerokie schody. Nastia miała pokój piętro wyżej, więc gdy zechce opuścić hotel, będzie musiała zejść koło niego po schodach, bo windy tutaj nie było.

Korotkow poszedł za nią i Saulakiem do sklepu, ale kupił tylko cukierki i herbatniki, bo dzięki przychylności recepcjonistki mógł w każdej chwili skorzystać z zaproszenia na herbatę, tym bardziej że nie zamierzał siedzieć w hałaśliwym i dusznym pokoju. Koło ósmej

Nastia i Saulak minęli go, idąc na dół. Jura wstał jak gdyby nigdy nic, wciągnął ciepłą kurtkę z kapturem, której przezornie nie zostawił w pokoju, po czym nieśpiesznie za nimi ruszył, wyjaśniając recepcjonistce, że zamierza poszukać w mieście przytulnej knajpki, żeby zjeść kolację.

Wieczorem mocno się ochłodziło i zerwał się wiatr, więc Jura z niepokojem myślał, że nawet jeśli lotnisko w Jekaterynburgu zostanie otwarte, nie uda im się opuścić Uralska. Ależ wdepnęli z tym Saulakiem! Musieli jednak dotrzeć do Kolcowa. Ostatnimi czasy przygotowanie operacji przeszło z poziomu rozkazów i decyzji administracyjnych na poziom osobistych kontaktów. Istotną rolę w tej zmianie odegrało uświadomienie sobie smutnego faktu korupcji i nieuczciwości w milicyjnych szeregach. Jeśli wiadomo, że nikomu nie można zaufać, każdą operację trzeba budować głównie w oparciu o przyjaciół i dobrych znajomych. Jura miał ich na lotnisku Kolcowo. A w Uralsku nie. Dlatego musieli czekać, aż pogoda się zlituje.

Dogonił Nastię i Saulaka na przystanku autobusowym. Trasa kończyła się na dworcu kolejowym, ludzi było dużo, bo większość osób podróżujących samolotami próbowała wydostać się pociągiem z Uralska. Korotkow postanowił jednak nie ryzykować. Nie wiadomo, co Anastazja naplotła Saulakowi. Nie powinien niepotrzebnie pchać się w oczy. Szybko zatrzymał prywatne auto i wcisnął kierowcy historyjkę o niewiernej ukochanej i podstępny rywalu. Chłopak od razu przyznał, że nie warto rzucać się do bitki, ale nie zawadzi poobserwować, co i jak. Na tym stanęło.

– To ona zjechała tutaj do swojego kochasia? – zainteresował się litościwy właściciel samochodu.

– Nie, leciała z nim do Jekaterynburga. Ona niby w delegację, a on dla towarzystwa. Teraz utknęli u was nie wiadomo na jak długo. Leciałem za nimi następnym samolotem, żeby mnie nie zauważyli. Wiedziałem, gdzie ją wysłano, więc szybko bym znalazł. Ale mój samolot też tutaj zatrzymano, więc depczemy sobie po piętach w tym samym hotelu.

– Obiecujesz, że nie dojdzie do mordobicia i porachunków? – na wszelki wypadek zapytał kierowca o imieniu Wiktor.

– No pewnie, nie martw się. W razie potrzeby zdążę mu jeszcze obić głowę. Ale właściwie nie jestem zwolennikiem brutalnych działań – uspokoił go Korotkow. – Ja też na niejedno sobie pozwalam, nie jestem święty. Sam rozumiesz, korzystam z równouprawnienia. Ale chcę wiedzieć.

– To oczywiste – przyznał Wiktor. – Masz rację. Wiedza to siła. O, przyjechał autobus.

Upewnili się, że Nastia i Saulak wsiedli do środka, po czym za nimi ruszyli. Jakieś piętnaście minut później byli już w centrum miasta, koło każdego przystanku musieli zwalniać, żeby nie przegapić pary. Wreszcie Korotkow dostrzegł Nastię w tłumie wysiadających pasażerów. Saulak wysiadł pierwszy, ale nie podał jej ręki. Jura nie zwrócił na to uwagi, jednakże spostrzegawczy Wiktor dopatrywał się nielogiczności.

– Że też twoja ślicznotka znalazła sobie takiego łachudrę. – Pokręcił głową z dezaprobatą. – Nawet nie pomógł jej wysiąść. A wygląda, jakby z trumny wstał! Nie, baby nie da się zrozumieć. Może facet jest chociaż dziany?

– Nie wiem, jeszcze nie zasięgałem języka. Chcę się uważniej przyjrzeć i dowiedzieć, co on ma takiego, czego ja nie mam. Jak sądzisz, dokąd oni mogą pójść?

– Tutaj? – Wiktor się rozejrzył. – Sklepy już wszystkie zamknięte, więc najwyżej do jakiejś restauracji albo kawiarni. Zobacz, ruszyli w stronę bulwaru, tam w ogóle niczego nie ma, same kioski.

– A dalej?

– Za skrzyżowaniem z prospektem Mira są dwie restauracje i parę barów.

– No to podjedźmy tam i popilnujmy, skoro mówisz, że nigdzie indziej nie mogą pójść – postanowił Korotkow.

– Tak jest, szefie. – Wiktor wzruszył ramionami, ruszając.

Wyprzedzili Nastię, która wlokła się u boku Saulaka, po czym pokonali jeszcze z pięćset metrów. Po pewnym czasie Nastia i Saulak zrównali się z samochodem, zwolnili kroku, rozglądając się i o czymś dyskutując, potem skręcili w prawo, akurat tam, gdzie jak mówił Wiktor, znajdowały się restauracje i bary. Prospekt był jasno oświetlony, więc Korotkow dobrze widział, że minęli obie restauracje

i zniknęli za niepozornymi drzwiami.

– Co tam jest? – zapytał Wiktora.

– Piwiarnia. Czyżby twoja ślicznotka lubiła piwo?

– Nie znosi.

– A więc poświęca się dla niego. No to co, szefie, czekamy czy się zwijamy?

– Czekamy – zdecydował Korotkow. – Za wszystko zapłacę, niech cię o to głowa nie boli. Za parę minut zajrzysz tam, dobrze?

– A ciebie zostawię w samochodzie? – prychnął Wiktor.

– Weź kluczyki, skoro mi nie ufasz. Jak chcesz, dam ci mój dowód. Bez niego nie mam po co się stąd ruszać.

– Co prawda, to prawda – przyznał tamten.



Korotkow się nie mylił. Nastia naprawdę nie znosiła piwa. Ale pomyśl, żeby wpaść do piwiarni, należał do Pawła, ona zaś uznała, że nie będzie oponować. Niech Saulak wie, że nie jest małostkowa i że można się z nią dogadać, jeśli się ją traktuje życzliwie.

W brudnym barze panował tłok i zgiełk. Z trudem znaleźli miejsca przy stoliku, przy którym ulokowali się już dwaj podejrzani osobnicy rozmawiający w jakimś nieznanym języku. Wsłuchawszy się, Nastia doszła do wniosku, że przypomina węgierski, więc mężczyźni byli prawdopodobnie mieszkańcami Udmurcji.

Serwowano tu parę gatunków piwa, a także gorące kiełbaski oraz solankę z kwaszonej kapusty i olbrzymich różowych krewetek. Nastia zauważyła, że Paweł trochę się ożywił, więc dla dobra sprawy gotowa była wypić ohydne piwo i zjeść mocno pikantne kiełbaski polane obficie sosem z szaszłyków. Paweł pałaszował krewetki, zręcznie wyjmując ze skorupki delikatne, soczyste mięso.

– Nigdy nie potrafiłam się tego nauczyć – przyznała Nastia, patrząc, jak Saulak szybko i zwinnie operuje widelczykiem. – Połowa mięsa zawsze zostaje mi w środku.

– To dlatego że ma pani długie paznokcie, które przeszkadzają.

– Chyba tak. – Nastia westchnęła. – Muszę ponosić ofiarę z powodu manikiuru.

– A kto pani każe cierpieć? Kobiety same wyszukują trudności, a potem zmagają się z nimi i chcą, żeby im wszyscy współczuli.

– Uhm. – Uśmiechnęła się. – Chcemy. Przecież staramy się dla was, dla mężczyzn. To wy żądacie, żebyśmy były piękne i zadbane, a nam to potrzebne jak dziura w moście. Czemu się pan tak rozgląda? Szuka pan kogoś?

– Naszych obserwatorów. Jest pani tak pochłonięta jedzeniem, że nie pamięta o swoich obowiązkach, więc musiałem je przejąć.

Nastia milczała, udając, że za pomocą tępego noża i krzywego widelca walczy zażarcie z kiełbaską. Już dawno „sfotografowała” wszystkich z wyjątkiem Korotkowa, który nie zjawił się w piwiarni. I dałaby sobie głowę uciąć, że Paweł nie powiedział prawdy. Wcale ich nie wypatrywał. Chłopak w futrzanej czapce wpadł na krótką chwilę, upewnił się, że Nastia i Saulak nieśpiesznie popijają piwo, i znikł z pola widzenia, pewnie marznie teraz na ulicy, czekając, aż wyjdą. Para z szarej wołgi siedziała daleko, za plecami Nasti, więc żeby ich obserwować, Paweł nie musiał kręcić głową, wystarczyło jedynie podnieść oczy. Kogo więc wypatrywał? Ciekawe.

– Nawiasem mówiąc, obiecała pani, że zdradzi, jak odróżnia prawdę od kłamstwa – rzekł nagle Saulak.

Robi się coraz ciekawiej. Co mu jest? Skąd ta gwałtowna zmiana? Wczorajem drugiego dnia nagle postanowił być miły i rozmowny? Uważaj, Nastazjo, ostrzegła się w duchu. Paweł Dmitrijewicz coś kombinuje. Albo na odwrót, do tej pory wyczuwał jakieś niebezpieczeństwo i się mobilizował, a teraz sądzi, że jest bezpieczny, więc się uspokoił. Co się wydarzyło? Co? Myśl, moja kochana, myśl, i to szybko, bo spotka cię kolejna niespodzianka.

– Powiem – obiecała. – A co w zamian?

– A co by pani chciała?

– Żeby pan też coś mi powiedział.

– Jest pani nieprzyzwoicie interesowna.

– Bynajmniej. – Pokręciła głową, śmiejąc się. – Po prostu lubię negocjować. Ale w drodze wyjątku za darmo podzielę się z panem doświadczeniem. Czuję do pana sympatię, Pawle Dmitrijewiczu, chociaż tak naprawdę jest pan okropnym mrukiem. Najpierw proszę mi jednak przynieść jeszcze jedną kiełbaskę. Jak słusznie pan

zauważył, jestem nie tylko interesowna, ale też łakoma. Proszę, oto pieniądze.

Paweł bez słowa wstał i ruszył w stronę kontuaru. Nastia z przerażeniem myślała o jeszcze jednej porcji piekielnie ostrego dania. Bardzo jej jednak zależało, żeby Paweł się przeszedł, bo musiała sprawdzić swoje podejrzenia. Chciała go poobserwować. No tak, zgadza się, szukał kogoś, w dodatku nie wśród gości, tylko wśród obsługi. Gdy znalazł się przy kontuarze, parę razy zerknął w stronę kuchennego zaplecza, skąd co rusz wyłaniali się mężczyźni w różnym wieku, ubrani w białe kitle nie pierwszej świeżości, zbierali puste kufle i brudne talerze ze stolików, przynosili olbrzymie tace z czystymi naczyniami i umieszczali je na kontuarze, roznosili zamówione dania. Po co Paweł przyprowadził ją do tego baru? Ma tutaj wspólników, którzy pomogą mu się jej pozbyć? Mało prawdopodobne. Znaleźli się w tym mieście przypadkiem. Ale bywają przecież zbiegi okoliczności... Może Saulak akurat tutaj ma kumpli. Przecież to on zaproponował, żeby się wybrali na spacer. I żeby wysiedli na tym przystanku. Pomysł, by zajrzeć do tego baru, też był jego. No cóż, Nastazio, szykuj się na nieprzyjemności. Pozostaje mieć tylko nadzieję, że Korotkow jest gdzieś w pobliżu i w razie czego pomoże.

Paweł wrócił i postawił przed nią talerz z ohydną parówką.

– Wilczy apetyt wpędzi panią w kłopoty – stwierdził. – Opycha się pani byle czym. Nie boi się pani o swoją wątrobę?

Aha, to znaczy, że ma problemy z wątrobą. Uruchomił się mechanizm projekcji, jak powiedzieliby psycholodzy. Gdyby cierpiał na wrzody albo na niestrawność, zapytałby o żołądek. Każdy ma na myśli to, co go boli.

– Boję się – potwierdziła, nie mijając się wcale z prawdą. Wędzone mięso w pikantnym sosie budziło w niej strach. – Ale co na to poradzę, że lubię jeść ostro?

Tutaj skłamała. Nie lubiła ostrych dań. Właśnie dlatego że bała się ataków niestrawności. Ale w barze nie serwowano niczego dietetycznego, a ona musiała koniecznie posłać Pawła do kontuaru.

– Uczciwie zapracowałem, teraz pani kolej.

No proszę, zaczyna być dowcipny! Siedmiomilowymi krokami

idziemy drogą postępu. Ale to się nie uda, pomyślała Nastia.

– Widzi pan, Pawle Dmitrijewiczu, większość ludzi robi błąd, próbując ocenić czyjąś wypowiedź. I zawsze się zastanawia, czy zawiera prawdę. Takie podejście nie jest słuszne.

– Czyżby? A jakie jest słuszne?

– Zaraz wytłumaczę. Trzeba oceniać nie słowa, lecz fakty. Prawda polega na tym, że ktoś uznał za konieczne coś powiedzieć. Dostrzega pan różnicę?

– Niezupełnie.

– W takim razie podam przykład. Spotyka się pan z kobietą, flirtuje z nią albo ona z panem, no i pewnego dnia ona mówi, że pana kocha. Jak większość mężczyzn, chce się pan przekonać, czy to prawda. Nie ma bardziej jałowego i bezużytecznego zajęcia. Niech pan popatrzy na to z drugiej strony. Kobieta uznała za konieczne i słuszne wyznać panu miłość. Niech pan spróbuje odgadnąć, dlaczego to zrobiła. Motywy leżące u podstaw jej czynu ujawnią prawdę. A ona w danym wypadku jest taka, że kobieta chce, by pan myślał, że go kocha. Czemu jej na tym zależy? Żeby zdobyć pana przychylność i coś od pana dostać. Żeby pana wzruszyć. Zaciągnąć do łóżka. Nakłonić, by pan dla niej coś zrobił. Albo przeciwnie, nic nie robił. Spektrum motywów, którymi może się kierować, jest bardzo szerokie, pańskim zadaniem jest ustalenie owego motywu. Jeszcze raz podkreślam, że nie ma żadnego znaczenia, czy ona pana naprawdę kocha. Ważne jest tylko to, że w pewnych okolicznościach podjęła decyzję, by panu o tym powiedzieć. Teraz jasne?

– Okazuje się, że jest pani nie tylko łakoma, ale też cyniczna. – Saulak się uśmiechnął. – Imponujący zbiór zalet.

– Nie jestem cyniczna, tylko trzeźwo myślę – zaoponowała Nastia. – Weźmy inny przykład. Znamy się już od dwóch dni. Przez ten czas nie rozpieszczał mnie pan długimi rozmowami, zadał mi niewiele pytań, a na moje odpowiadał oszczędnie, jednym słowem. Sądzi pan, że wyciągnę z tego wniosek, iż jest pan człowiekiem nierozmownym, niekontaktowym i nietowarzyskim? Nic podobnego. Byłabym głupia, gdybym tak pomyślała.

– Więc jaki wniosek pani wyciągnęła?

– Uznałam, że chce pan zrobić wrażenie człowieka zamkniętego

i nierozmownego. Teraz muszę odgadnąć, jaki cel panu przyświeca. Gdy się dowiem, poznam prawdę.

– Ma pani jakieś hipotezy?

Na twarzy Pawła pojawiło się zaciekawienie. Nie udawane, tylko prawdziwe.

– Mnóstwo. Hipoteza pierwsza. Zdecydowanie się panu nie podobam, coś pana we mnie irytuje i woli pan ze mną nie rozmawiać. Pragnie pan, żebym nie narzucała się z rozmową i nie zadawała głupich pytań. Hipoteza druga. Nie ma pan nic przeciwko mnie, ale źle się pan czuje i ciężko panu rozmawiać. Nie chce się pan przyznać do niedyspozycji, ponieważ jestem dla pana całkiem obcą osobą, a pańskie dobre wychowanie plus męska duma nie pozwalają uskarżać się przed obcą kobietą na dolegliwości. Hipoteza trzecia. Chce mnie pan sprowokować, zdenerwować oschłością, zdawkowością i zagadkowością, zmusić, żebym się uniosła i straciła panowanie nad sobą. Ta hipoteza może być słuszna w sytuacji, gdyby mi pan nie ufał, uważał, że pana oszukuję, bo nie jestem osobą, za którą się podaję, i wyczuwał niebezpieczeństwo. Hipoteza czwarta. Jest pan rzeczywiście mrukiem. To nie koniec hipotez, są jeszcze inne. Ale myślę, że tego, co powiedziałam, wystarczy, by zrozumiał pan istotę sprawy. Ważne są nie słowa, lecz stojące za nimi motywy i pobudki.

– A w której hipotezie pani zdaniem kryje się prawda?

Wyraz jego twarzy nieco się zmienił, ale Nastia nie potrafiła powiedzieć, na czym to polegało. Może rozmowa rzeczywiście go zainteresowała i maska zimnej obojętności niepostrzeżenie opadła, ustępując miejsca zwyczajnej ciekawości. A może Saulak sprytnie udaje, żeby Nastia nie zauważyła innej zmiany, która w nim zaszła. Może któraś z hipotez okazała się bliska prawdy, którą chciał ukryć, i to go przestraszyło?

– Jeszcze nie wiem – odparła, starając się przybrać niefrasobliwy ton. – Żeby się tego dowiedzieć, musiałabym pana poobserwować albo przeprowadzić pewne czynności kontrolne. Nie będę się tym zajmować. Muszę tylko dostarczyć pana we wskazane miejsce. Gmeranie w pańskiej duszy mnie nie pociąga.

– Czy zgodnie z pani metodą powinienem w podobny sposób

podejść do pani wykształcenia? Najpierw oznajmia pani, że jest aktorką, potem twierdzi, że skończyła wydział matematyczno-fizyczny. Mogę więc wysnuć wniosek, że specjalnie mnie pani dezinformuje i zmusza, bym łamał sobie nad tym głowę.

– To tylko jedna hipoteza. Nie ma pan innych?

– Jest pani głupia, niedoświadczona i nie zapamiętuje własnych łgarstw.

– Brawo! Co jeszcze?

– Jest pani rzeczywiście aktorką, ale kiedyś studiowała pani na uniwersytecie.

– Zdolny z pana uczeń, Pawle Dmitrijewiczu. Niech pan przyjmie wyrazy uznania. No i gdzie leży prawda?

– Tego akurat mogę się łatwo dowiedzieć. Ma pani ołówek albo długopis?

Nastia wyjęła z torebki długopis i mu go podała. Paweł sięgnął po serwetkę i napisał na niej długie równanie.

– Proszę udowodnić swoją znajomość matematyki – powiedział, wręczając ją Nasti.

Kamieńska szybko przestudiowała długi rząd symboli i cyfr, potem wzięła długopis i poprawiła jeden symbol na inny.

– Jeśli dobrze pamiętam, pański przykład powinien wyglądać właśnie tak. To przecież zadanie z książki Pólyi *Matematyka i prawdopodobne wywody*, prawda? Rozwiązywałam je ze sto razy. Napisać panu przebieg wywodu czy uwierzy mi pan na słowo?

– Wierzę. – Saulak zgniótł serwetkę i wsunął do popielniczki. – Teraz muszę tylko sprawdzić, czy naprawdę jest pani aktorką.

– To już trudniejsze wyzwanie. – Nastia się roześmiała. – Ponieważ ma pan wykształcenie techniczne, kwestię matematyki rozwiązał pan w prosty sposób. A jak zamierza pan sprawdzić moje aktorskie mistrzostwo?

– Zastanowię się. Może już pójdziemy, skoro pani skończyła?

Jasne. W barze nie ma człowieka, którego Paweł szuka. Teraz zaprowadzi ją w inne miejsce.

– Dokąd? – zapytała niewinnie. – Na dworze jest trzydziestostopniowy mróz. Sądzi pan, że mój aktorski talent potrafi sprawić, że będę umierać z gorąca na takim zimnie? Nie pomoże mi

nawet metoda Stanisławskiego.

– Chodźmy gdzie indziej. Znudziło mi się tutaj. Poszukajmy innego baru.

Oboje wstali, zapięli kurtki i zaczęli się przeciskać do wyjścia. Dwaj mężczyźni z wołgi też się podnieśli. Mieli jeszcze po pół kufła piwa, Nastia kątem oka dostrzegła, że pośpiesznie dopijają dużymi łykami bursztynowy płyn. No pewnie, czemu miałoby przepaść tyle dobra, skoro za nie zapłacili?

Po opuszczeniu gorącej, dusznej piwiarni panujący na dworze mróz wydał się ożywczy i świeży. Pokonali zaledwie parę metrów, Nastia nawet nie zdążyła jeszcze zmarznąć, gdy Paweł skręcił i pchnął drzwi do kolejnego baru. Tym razem nie była to piwiarnia. Lokal wyglądał bardziej cywilizowanie, było w nim ciszej i czystiej, znalazł się nawet wieszak na kurtki. Gości wprowadzie też było sporo, ale udało im się znaleźć wolny stolik.

– Po co tutaj przyszliśmy? – ze zdumieniem zapytała Nastia, gdy usiedli. – Przecież nie pije pan kawy ani alkoholu. A tutaj niczego innego nie ma.

– Można zamówić sok. A pani lubi kawę, więc niech ją pani pije na zdrowie. Jest też campari.

– Czyżby chciał mi się pan przypodobać?

– Nie chcę nadużywać bezinteresownej uprzejmości. Wytłumaczyła mi pani, jak odróżnić prawdę od kłamstwa, więc muszę się zrewanżować, jeśli nie pieniędzmi, to przynajmniej dogadzając pani życzeniom.

– Jest pan cudowny, Paszeńka. – Nastia parsknęła śmiechem.

Pierwszy raz w ciągu dwóch dni po jego twarzy przemknęło coś na kształt uśmiechu.

– Doceniłem pani ofiarne wysiłki związane z moim ocaleniem i wyrażam skruchę. Nie chcę, żeby mnie pani uważała za niewdzięcznika. Jestem naprawdę zobowiązany, że pani przyjechała, chociaż pewnie tego po mnie nie widać. Co pani przynieść?

– Kawę, martini i ciastko. Jeżeli nie będzie martini, to campari.

Wręczyła mu parę banknotów.

– I niech pan nie zapomina o sobie. Wiem, że wolałby pan nie brać ode mnie pieniędzy, ale będzie pan musiał się z tym pogodzić. Niech

pan weźmie pod uwagę, że pochodzą z kieszeni mojego zleceniodawcy, a nie mojej. On zaś tak naprawdę płaci panu, a nie mnie za ładne oczy. Potrzebuje pana i nie liczy się z kosztami. Ma pan więc takie samo prawo do tych pieniędzy jak ja.

Saulak nieznacznie skinął głową i ruszył w stronę kontuaru. Nastia nie spuszczała z niego oczu. Zgadza się, znowu zaczął się rozglądać, wpatrywał się przy tym nie w wejście, ale raczej w drzwi służbowe. To oczywiste, że kogoś szuka. Kogoś, kto jego zdaniem powinien pracować w niedrogim barze w tej okolicy. Barman? Pomywacz? Kucharz? Szatniarz? Kelner? Kierowca? Może właściciel? Ciekawe, czy dużo jest podobnych lokali na tym prospekcie. Czy to znaczy, że będą chodzić od jednego do drugiego? Niech to licho porwie. Ale nie ma rady, Nastia musi udawać, że wierzy w szlachetne porywy Saulaka. Nie może być zbyt mądra i domyślna. Jej dotychczasowe zachowanie pasuje do sposobu rozumowania osoby z matematycznym wykształceniem. Musi się poruszać w tych granicach.

Paweł wrócił i Nastia od razu odgadła, że coś się stało. Czoło znowu miał pokryte kroplami potu, usta zaciśnięte w wąską kreskę, oczy przymknięte. Znalazł tego, którego szukał?

Przyniósł jej kubek kawy, eklera i kieliszek martini, sobie zaś butelkę pepsi. Biorąc od niego kubek, Nastia przypadkiem dotknęła jego palców. Były lodowate.

– Paszeńka, zaczyna mi się podobać sytuacja, w której okazuje mi pan swoją wdzięczność – powiedziała jak gdyby nigdy nic. – Co jeszcze mam zrobić, żeby nie przestał pan być tak miły?

Saulak nie odpowiedział. Znowu siedział z założonymi na piersiach rękami i zamkniętymi oczami. Twarz mu poszarzała i przybrała bolesny wyraz, podobnie jak niedawno w hotelu.

– Pawle Dmitrijewiczu, słyszy mnie pan? Źle się pan czuje?

Podniósł powoli powieki i pokręcił głową.

– Nic mi nie jest.

– Wygląda pan na ciężko chorego. Co się dzieje?

– Przecież powiedziałem, że nic.

Znowu – po raz kolejny – na nowo! Przed chwilą był całkiem normalnym rozmówcą, nawet zaczął żartować, jeszcze chwila

i zacząłby się uśmiechać. I nagle diametralna zmiana. Ręce zacisnął w pięści, aż zbielały mu kostki, gotowe przebić zaraz cienką skórę.

– Jak pan chce. – Nastia wzruszyła ramionami, odgryzając kawałek eklera. – Będzie pan nadal odgrywał księcia na wygnaniu?

Saulak małymi łykami popijał pepsi, niewidzące oczy utkwiał w rogu sali. Nastia odwróciła się, ale nie zobaczyła nic ciekawego. Nagle przyszło jej na myśl, że zapomniała sprawdzić, co z prześladowcami. Dwa dni pokazały, że Saulak miał rację: wybrała właściwą taktykę. Przeciwnicy nie zastosują radykalnych środków, przynajmniej na razie. Ale nie wiadomo, co się stanie w Moskwie. Dlatego trzeba zachować czujność i kontynuować podjętą grę do zwycięskiego końca, póki Paweł nie znajdzie się u generała Minajewa.

– Ma pani rację. – Saulak nagle odstawił szklanekę i wstał. – Rzeczywiście kiepsko się czuję. Muszę wyjść.

– Na powietrze?

– Do toalety. Może pani być spokojna, nigdzie nie ucieknę. Jeżeli długo mnie nie będzie, niech się pani nie martwi, to mi się zdarza.

– Nie mogę puścić pana samego.

– Przecież powiedziałem, że nigdzie nie ucieknę.

– A pańscy prześladowcy? Zapomniał pan, że tu są?

– Niech ich pani czymś zajmie. Podobno jest pani wielką aktorką.

Nastia widziała, że Paweł naprawdę źle się czuje. Bez niej stanie się jednak łatwym celem. Co powinna zrobić? Może oczywiście stanąć przy drzwiach do toalety, ale jeżeli tamci mężczyźni zechcą wtargnąć do środka, nie zdoła ich powstrzymać.

– Niech pan idzie. – Kiwnęła głową, wstając.

Razem dotarli do wyjścia. Paweł przeciął hol i ruszył w stronę toalety, a Nastia zawróciła i podeszła do stolika, przy którym siedzieli dwaj mężczyźni z szarej wołgi.

– Chłopcy, pomóżcie mi wygrać tysiąc dolarów – oznajmiła, opadając na wolne krzesło i bez pytania wyciągając papierosa z paczki leżącej na blacie.

– Co proszę? – Starszy mężczyzna, siedzący wczoraj w samochodzie na miejscu pasażera, uniósł brwi.

Drugi, młodszy, pstryknął zapalniczką i podsunął jej ogień. Nie

spuszczał przy tym wzroku z drzwi, za którymi znikł Saulak.

– Paszka twierdzi, że widział was wczoraj w Samarze, w dodatku parę razy, i że lecieliście tym samym samolotem co my. A ja mówię, że cierpi na manię prześladowczą. Sami rozumiecie – zniżyła głos i zachichotała głupio – on nie najlepiej się czuje, ma przywidzenia. No więc założyliśmy się o tysiąc dolarów, że was tam nie widział.

– Oczywiście, że nie widział – szybko powiedział starszy mężczyzna.

– Nie byliśmy w Samarze, musiało mu się wydawać.

– To prawda, jesteśmy miejscowi – przytaknął drugi.

– No właśnie. Mówię mu, że powinien się leczyć, a on wciąż swoje. Myśli, że chcę go wpakować do psychiatryka. Podejrzewa, że czyham na jego pieniądze. Po co mi one? Mam dość swoich milionów, nie wiem, co z nimi zrobić. A przy okazji, kolego – sięgnęła do torebki, wyjęła portmonetkę i podała młodszemu banknot – idź no i przynieś mi coś do picia. Resztę zatrzymaj za fatygę. Przynieś martini, tylko uważaj, żeby nie było wytrawne, ale bianco. Tylko się nie pomył, synku.

– Paszka to pani mąż? – od niechcienia zapytał starszy.

– Na głowę upadłeś? – prychnęła Nastia.

Odpowiedź była niewyszukana, ale w tej sytuacji jedynie słuszna. Ani tak, ani nie, myśl sobie, co chcesz.

– Od dawna jest taki podejrzliwy?

– Diabli go wiedzą. – Machnęła wymownie ręką. – Nie widziałam go dwa lata, odsiadywał wyrok. Dopiero wczoraj wyszedł. Słuchaj, ojczulku, twój synuś to miły chłopak. Wychowany, kulturalny. Chętnie bym się z nim zabawiła. Ile ma lat?

– Dwadzieścia sześć.

– U-u-u – wycedziła z rozczarowaniem. – Za stary dla mnie. Sądziłam, że ma najwyżej dwadzieścia. Starsi mnie nie interesują.

– A pani ile ma? – Rozmówca nie potrafił powściągnąć uśmiechu.

– Sporo, ojczulku. Prawie tyle co ty. Ty zaś chyba dobiegasz czterdziestki, hę? No więc ja jestem w tym samym wieku.

„Synek” wrócił i postawił przed nią kieliszek martini. Nastia upiła łyk i zrobiła zadowoloną minę.

– Tego mi było trzeba. Dziękuję, kochanie. A zatem liczę na was, chłopcy. Jeżeli Paszka znowu zacznie przynudzać, podejdę z nim do

was, a wy potwierdzicie, że mu się przywidziało, zgoda? Bo mam już wyżej uszu tej jego manii prześladowczej.

– Jasne. – Obaj skinęli głowami. – Potwierdzimy, niech się pani nie martwi.

Paweł wciąż nie wracał i Nastia zaczęła się denerwować. Nie miała już powodu, by siedzieć przy ich stoliku, ale póki z nią rozmawiali, miała przynajmniej pewność, że nie rzucą się na jego poszukiwania.

– Słuchaj, przyjacielu – zwróciła się do „synka”. – Ile ty właściwie masz lat? Naprawdę dwadzieścia sześć?

Chłopak wbił w nią zdumiony wzrok, potem spojrzał na swojego kompana.

– Pani powiedziała, że jej się bardzo podobasz, tylko nie odpowiada jej twój wiek.

– Nawiasem mówiąc, na imię mi Anastazja – wtrąciła Nastia. – A ty, kochanie? Może się poznamy z racji takiej okazji.

– Jakiej okazji? – zapytał tamten tępo.

– Okazji zakładu o tysiąc dolarów. No więc jak masz na imię?

– Sierioża – po krótkim wahaniu odparł zmieszany. – A on się nazywa Kola.

– O niego nie pytałam – oznajmiła Nastia łagodnie. – Czemu się pchasz przed starszych, synku? On jest już duży, sam się przedstawi, gdy zechce albo gdy go zapytam.

A jednak wciągnęła ich w rozmowę, udając wulgarną, podchmieloną i nieco zwariowaną babę, głaskała Sieriożę po ręce i mrugała sprośnie do Nikołaja, sięgała po papierosy z ich paczki, odliczając w myślach minuty. Gdzie jest Paweł? Dlaczego tak długo go nie ma?

Wyczuła, że rozmówcy otrząsnęli się z pierwszego zaskoczenia, odzyskali równowagę i próbują się teraz dowiedzieć, kim ona jest. Podsuwała im nieprawdziwe informacje, robiła, co mogła, żeby zamącić im w głowie, nie pozwalając przerwać rozmowy, by nie odkryli prawdziwego celu jej obecności przy stoliku. Wreszcie w drzwiach pojawił się Paweł.

– O! – Natychmiast oderwała palce od dłoni Sierioży. – Jest Paszka. No to na razie, chłopcy. Miło było was poznać.

Paweł wyglądał strasznie. Poruszał się chyba nadludzkim

wysiłkiem.

– Z tobą chyba całkiem kiepsko? – zapytała z niepokojem.

Kiwnął głową.

– Wychodzimy?

– Tak będzie chyba lepiej.

Nawet nie wrócili do stolika, na którym stał kubek z niedopitą kawą i kieliszek z resztką martini. Podeszli do wieszaka, zdjęli kurtki i ruszyli ku wyjściu.

– Możemy pojechać samochodem? – zapytał Saulak przytłumionym głosem.

– Oczywiście. Chłopcy za nami nie pognają. Teraz będą się starali trzymać z daleka i nie zbliżać.

Nastia stanęła na krawędzi chodnika i podniosła rękę. Parę minut później udało jej się zatrzymać przejeżdżający samochód.

– Na lotnisko – powiedziała, nachylając się ku opuszczonej szybie.

– Ile?

– Ile chcesz. Nie jestem stąd, nie znam taryfy.

– Pięćdziesiąt zielonych.

– W porządku.

Usiadła z przodu koło kierowcy, Saulak ulokował się z tyłu. Całą drogę spędzili w milczeniu. Bez słowa wysiedli z auta przed hotelem, weszli do środka i wspięli się na swoje piętro. Dopiero w pokoju Nastia dała upust emocjom.

– Może pora skończyć te dziecinne zabawy? – zapytała ze złością, patrząc, jak Paweł zeszywniałymi palcami próbuje rozpiąć zamek w kurtce. – Co się z panem dzieje, Pawle Dmitrijewiczu? Muszę pana zawieźć do Moskwy, a pan wygląda, jakby lada chwila miał wyzionąć ducha. Dlaczego nie chce mi pan powiedzieć, na co pan choruje i jak panu pomóc, w razie gdyby poczuł się pan jeszcze gorzej?

Znowu omijał ją wzrokiem. Właściwie nie patrzył jej w oczy nawet wtedy, gdy rozmawiał życzliwie. W końcu poradził sobie jakoś z zamkiem, rozebrał się i nie mówiąc ani słowa, położył się na łóżku.

– Albo natychmiast mi pan powie, o co chodzi, albo wzywam pogotowie. Nie uśmiecha mi się perspektywa dostarczenia do Moskwy nieboszczyka.

– Niech się pani nie martwi – powiedział cicho, nie otwierając oczu.

– Nic mi nie będzie. To zaraz minie. Nic mnie już nie boli.

– A co bolało?

– Nic. Przecież powiedziałem, żeby się pani nie martwiła. Wszystko będzie w porządku, obiecuję.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć – odparła już spokojniej. – Naprawdę czuje się pan lepiej? Nie kłamie pan?

– Nie.

Było już całkiem późno, Nastia powinna się położyć, ale z jakiegoś powodu nie odstępowało jej uczucie, że gdy tylko zgasi światło, Pawłowi na pewno coś się stanie. Zdjęła buty i sweter, po czym w dżinsach i w koszulce wsunęła się pod kołdrę.

– Dlaczego nie wyłączyła pani światła? – zapytał.

– Żeby pana widzieć. Przynajmniej zauważę, gdy poczuje się pan gorzej.

– Nie poczuję się gorzej, już mówiłem. Niech pani wyłączy światło i się prześpi. Musi pani odpocząć.

– Niepotrzebna troska! – burknęła, zawijając się w kołdrę.

– Niech pani wyłączy światło. Proszę – powiedział.

Coś w jego tonie sprawiło, że Nastia posłusznie wstała i pstryknęła wyłącznikiem. Teraz pokój rozjaśniał tylko blask latarni ulicznych i reflektorów lotniska. Ciekawe, czy ktoś by zasnął w takiej sytuacji, pomyślała z irytacją. Samoloty huczą wprost nad głową, a na sąsiednim łóżku leży ciężko chory człowiek. Świetne warunki do odpoczynku.

Paweł leżał tak cicho, że Nastia zaczęła powoli się uspokajać. Gdy kogoś coś boli, zwykle nie może leżeć bez ruchu, przewraca się z boku na bok, próbując znaleźć pozycję, w której ból będzie mniej dotkliwy. Udało jej się nieco odprężyć, a ponieważ wiedziała, że hałas nie pozwoli jej zasnąć, postanowiła uporządkować myśli. Metodycznie, minuta po minucie przeglądała miniony dzień, przypominała sobie każde słowo Pawła, każdy jego gest i każde spojrzenie. Co nowego i ważnego dowiedziała się o nim dzisiaj?

– Nastiu – dobiegł ją głos z sąsiedniego łóżka.

Zerwała się jak oparzona. W ciągu dwóch dni po raz pierwszy odezwał się do niej po imieniu. Widocznie jest ledwo żywy. Żeby tylko wiedzieć, co mu dolega.

– Jestem tutaj – odparła tak samo cicho.

– Nie śpisz?

– Nie.

– Posiedź ze mną.

Już na ty! Nieźle pana przycisnęło, Pawle Dmitrijewiczu. Chciałabym wiedzieć, co się z tobą dzieje.

Pośpiesznie przesunęła kołdrę i usiadła na krawędzi jego łóżka. Lodowate palce dotknęły jej dłoni.

– Zimno ci? – zapytała z troską. – Dlaczego nie przykryjesz się kołdrą?

– Nie trzeba, wszystko w porządku. Tylko posiedź ze mną.

– Dobrze, oczywiście.

Lekko ścisnęła jego palce, ale chwilę później Paweł wyswobodził dłoń. Mijały minuty, Nastia zaczęła marznąć, ale bała się poruszyć. Nie miała pojęcia, co się dzieje, była jednak pewna, że nie wolno jej naruszyć owej kruchej równowagi zaufania-obcości, która się między nimi pojawiła.

– Niech będę przeklęty, gdybym miał kiedykolwiek cię skrzywdzić – nagle powiedział Paweł, a jego słowa zabrzmiały głośno i wyraźnie.

Nastia z trudem powstrzymała się od komentarza. Znalazła tylko w ciemności jego rękę i delikatnie pogłaskała zimne palce.

– Kładź się – powiedział już ciszej. – Nie zwracaj na mnie uwagi, plotę bzdury. Kładź się.

Wstała w milczeniu i ruszyła do swojego łóżka. Aż do samego rana Paweł już się nie odezwał.

⋮

Przed ósmą ożył i zachrypiał stojący na szafie głośnik, podłączony do sieci transmisyjnej lotniska.

– Uwaga! Pasażerowie rejsu dwieście siedemdziesiąt sześć Samara–Jekaterynburg proszeni są o stawienie się w budynku lotniska przy stanowiskach odprawy. Powtarzam. Zaczyna się odprawa biletowo-bagażowa pasażerów podróżujących rejssem dwieście siedemdziesiąt sześć Samara–Jekaterynburg. Odlot o dziesiątej pięćdziesiąt.

Zerwali się z łóżek i zaczęli pakować rzeczy.

– Jak pani sądzi, zdążę jeszcze wziąć prysznic? – zapytał Paweł.

Oho, znowu „pani”, zauważyła Nastia. Wstydzi się własnej słabości, którą okazał wczoraj wieczorem? To się zdarza. No cóż, nie będziemy się opierać, pójdziemy na jego pasku.

– Oczywiście – odparła. – Ma pan do dyspozycji jakieś dwadzieścia minut.

Saulak ruszył do łazienki, ale znowu się nie zamknął. Wrócił piętnaście minut później, gładko ogolony, i nie wyglądał już jak chodząca śmierć. W każdym razie patrząc na niego, nikt by nie powiedział, że w przeddzień dostał ostrego ataku jakiejś choroby.

Dalej wszystko poszło nad podziw sprawnie. Samolot rzeczywiście wyleciał z Uralska o jedenastej, a koło wpół do drugiej mieli już nowe dowody i bilety na rejs Jekaterynburg–Wołgograd. Gdy późnym wieczorem znaleźli się na pokładzie samolotu, którym mieli dotrzeć z Wołgogradu do Moskwy, Nastia odsapnęła – zdaje się, że wszystko idzie w dobrym kierunku. W pobliżu nie zauważyła żadnej znajomej twarzy, znikł nawet Korotkow. No tak, Saulak nie powinien wątpić, że udało im się wymknąć, a przecież Nastia przedstawiła Jurę jako jednego z prześladowców.

– Jak pan widzi, Pawle Dmitrijewiczu – powiedziała, gdy stewardesa oznajmiła, że samolot podchodzi do lądowania – jeszcze tylko jeden mały wysiłek i wszystko się skończy.

– Ktoś nas odbierze na lotnisku?

– Obawiam się, że nie. Będę musiała sama odstawić pana na miejsce.

– Już późno, komunikacja nie działa. Chyba że w ciągu dwóch lat rozwiążaliście ten problem w Moskwie?

– Na parking przy lotnisku powinien być samochód.

– Może przynajmniej teraz mi pani powie, do kogo mnie wiezie?

– Nie mogę. – Pokręciła głową. – A nuż to się panu nie spodoba? Jeszcze pan ucieknie. Będzie mi przykro, gdy po tych wszystkich perypetiach zgubię pana na ostatnich metrach. Jak dojedziemy, sam pan zobaczy. Tak czy inaczej, może pan być pewien, że ten człowiek nie nosi się z niecnym zamiarem, by się pana pozbyć, inaczej nie próbowałby przeszkodzić tym, którzy chcą to zrobić. A zatem w najbliższej perspektywie pana życiu nic nie grozi.

– To bardzo pokrzepiające. – Uśmiechnął się. – Niech pani poda rękę.

– Po co? – zdziwiła się. – Chce mi pan powróżyć?

– Pomóc. Przecież kiepsko znosi pani lądowanie.

– Skąd pan wie?

– Łatwo to zauważyć. Nie po raz pierwszy siedzimy razem w samolocie. Proszę się nie bać i dać mi rękę.

Nastia posłusznie wyciągnęła dłoń. Tym razem palce Pawła były ciepłe. Dwoma rękami obmacał jej nadgarstek, znalazł jakiś punkt i mocno nacisnął. W pierwszej chwili Nastia drgnęła z bólu, ale niemal od razu poczuła, że mdłości zaczęły ustępować. Saulak nie wypuszczał jej ręki ze swoich dłoni i Nastia ze zdziwieniem stwierdziła, że jego dziwne sztuczki odnoszą skutek. Ustąpił nawet ucisk w uszach. Przymknęła oczy i odprężona odchyliła się w fotelu. Ręce i nogi zrobiły się ciężkie jak z ołowiu, nie spała już trzecią noc z rzędu, lecz dopiero teraz poczuła potworne zmęczenie. Ogarnęła ją senność, zrobiło jej się ciepło i błogo, zapragnęła, żeby to się nigdy nie skończyło. Siedziałyby tak w fotelu rozgrzana, spokojna i zrelaksowana, o nic by się nie martwiła...

– Pobudka. – Usłyszała nad uchem głos Pawła. – Przylecieliśmy.

– O Boże! – zawołała przestraszona. – Czyżbym zasnęła?

– Owszem. Nawet jęczała pani przez sen.

– Ale przynajmniej nic nie mówiłam?

– Mówiła pani. I zdradziła mi wszystkie sekrety.

Nastia wiedziała, że Paweł żartuje, ale twarz miał, o dziwo, poważną, a nawet chyba zagniewaną. Do licha, że też zasnęła, siedząc tuż koło obiektu wysokiego ryzyka, za jaki nie bez powodu uważała swojego towarzysza podróży! Coś podobnego! To niewybaczalne.

Pasażerowie już schodzili po trapie, a ona nie miała siły, żeby wstać. Paweł też siedział, trzymając ją wciąż za rękę. Nastia pokonała rozleniwienie.

– Chodźmy – powiedziała stanowczo, wstając z fotela.

Na parkingu koło budynku lotniska odszukała auto, które zostawiła tutaj parę dni temu. Na szczęście pogoda w stolicy ostatnio była łagodna, bez silnych mrozów, więc Nastia nie miała problemu,

żeby otworzyć samochód i uruchomić silnik.

Jechali w milczeniu. Nastia miała nieprzyjemne uczucie, że została wykorzystana jak pionek w grze. Nie udało jej się przecież dowiedzieć, co ukrywa Paweł Saulak oraz kto i po co go śledzi. Trzeba jednak przyznać, że nie miała takiego zadania. Generał Minajew wiedział wszystko na temat Pawła, a ją, Anastazję Kamińską, potraktował jak darmową siłę roboczą, wykorzystując przyjaźń z jednym z szefów MWD i prosząc go o przewiezienie Saulaka z Samary do Moskwy.

O trzeciej w nocy droga do miasta była całkiem pusta. Nastia miała minąć przystanek autobusowy za posterunkiem GAI^[6], trzysta metrów dalej powinien czekać samochód. Zgadza się, oto i on, mercedes, stoi z włączonymi światłami. Nastia zwolniła i zatrzymała się tuż koło niego. Z ciemności wyłonił się mężczyzna, podszedł do auta i otworzył drzwi od strony Pawła.

– Niech pan wysiądzie, Pawle Dmitrijewiczu – powiedział.

Ten jednak ani drgnął, nawet nie odwrócił głowy.

– Nastiu – powiedział półgłosem.

Drugi raz odezwał się do niej po imieniu.

– Tak?

– Dziękuję pani.

– Nie ma za co. Zrobiłam, co do mnie należy.

– Niech pani nie zapomni tego, co powiedziałem. Do widzenia.

– Do widzenia, Pawle.

Wysiadł, starannie zamykając drzwi, i ruszył w stronę mercedesa, ale po kilku krokach nagle się zatrzymał. Nastia odniosła wrażenie, że chce jej coś jeszcze powiedzieć. Szybko wyskoczyła z samochodu. Dzielili ich ze trzy metry. W ciemności nie potrafiła dostrzec wyrazu jego twarzy, ale jedno wiedziała na pewno – patrzył jej w oczy. I znowu oblała ją fala gorąca, poczuła się miękka i podatna jak topniejący воск.

Saulak skinął jej lekko głową, po czym gwałtownie się odwrócił i wszedł do samochodu. Trzasnęły drzwi, rozległ się warkot silnika, mercedes nabrał szybkości i znikł z pola widzenia.

Nastia usiadła za kierownicą, ale nie potrafiła się zmusić, żeby przekręcić kluczyk w stacyjce. Zupełnie opadła z sił.

[\[6\]](#) GAI (Gosudarstwiennaja awtomobilnaja inspekcija) – kontrola drogowa.

Część 2

Operacja Stella

Rozdział 5

Anton Andriejewicz Minajew zawiózł Pawła do swojego domku letniskowego. Był on ciepły, wygodny i pieczołowicie urządzony, Anton Andriejewicz chętnie spędzałby w nim cały rok, gdyby nie żona i córka, które wolały mieszkać w mieście, bo uroki życia na wsi wcale ich nie pociągały.

– Chyba jest pan znużony i chce odpocząć – powiedział Minajew, otwierając dom i włączając ogrzewanie. – Proszę się rozgościć. I nie martwić, że jest zimno, zaraz zrobi się gorąco. Rozmowę odłożymy na później.

– Wolałbym najpierw porozmawiać – odrzekł oschle Saulak. – I od razu wyjaśnić sytuację. Niewykluczone, że wycofa pan propozycję gościny.

– No cóż, skoro pan nalega... – Minajew rozłożył ręce, zadowolony w głębi ducha. Rzeczywiście lepiej od razu się rozmówić i zrzucić ciężar z serca. – W takim razie postawię wodę na herbatę, bo czeka nas długa rozmowa.

Zaparzył świeżą, mocną herbatę, umieścił na stole cukier, konfitury i miseczkę z cukierkami, nakroił sera i chleba, które przezornie ze sobą przywiózł: gość z drogi na pewno jest głodny.

– Wie pan, kim jestem? – zapytał Pawła, gdy wszystko było gotowe.

– Jeśli się nie mylę, mam do czynienia z pułkownikiem Minajewem. Czy może już z generałem?

– Z generałem – potwierdził Anton Andriejewicz. – A zatem chyba pan wie, że przez wiele lat pracowałem z Bułatnikowem, dosłużyłem się stanowiska jego zastępcy.

– Owszem. – Saulak kiwnął głową. – Wiem.

– W takim razie musi pan zdawać sobie sprawę z dwóch rzeczy.

Pierwsza: wiem, kim pan jest i czym się zajmował. Oraz druga: nie są mi obojętne okoliczności śmierci Bułatnikowa i chcę je poznać. Jest mi pan do tego potrzebny, Pawle Dmitrijewiczu. Powiem więcej: podejrzewam, że ci, co zlikwidowali Władimira Wasiljewicza, przyłożyli również rękę do tego, żeby pozbawić pana wolności i wtrącić do kolonii karnej.

– Tutaj się pan myli. – Paweł nieznacznie się uśmiechnął. – Trafiłem do kolonii bez niczyjej pomocy, z własnej winy i na własne życzenie.

– A czego było więcej, winy czy chęci?

– Jedno wynikało z drugiego.

– Ach tak – w zamyśleniu wycedził Minajew. – To nieco zmienia sytuację. Ale nie radykalnie.

Generał nie był szczery. Bardzo liczył na to, że wzbudzi w Pawle pragnienie zemsty na ludziach, którzy wpakowali go do więzienia. Skoro jednak tak nie jest, sytuacja ulega zmianie, i to znaczącej. Czy Saulak zechce rozprawić się z zabójcami Bułatnikowa? Raczej nie. Gdyby tego pragnął, nie zaszyłby się w więzieniu, tylko wykopał topór wojenny i porachował się z przeciwnikiem. Nie zrobił tego, więc to raczej bardzo mało prawdopodobne, że po dwóch latach zapala żądzą zemsty. Emocje, nawet najprawdziwsze, mają to do siebie, że stygną.

– Jakie zadanie Bułatnikowa wykonywał pan w chwili jego śmierci?

– Doskonale pan wie, że tego nie zdradzę – spokojnie odparł Saulak.

– Ale z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że zabójców Władimira Wasiljewicza należy szukać wśród osób, z którymi był związany przed śmiercią. Czy to znaczy, że odmawia pan pomocy?

– Zgadza się. Bułatnikow był związany z wieloma potężnymi i wpływowymi ludźmi, każdy z nich mógł zorganizować na niego zamach. Pański zamysł nie ma sensu i szansy na powodzenie.

– Jest pan w błędzie – gorąco zaproponował generał. – Przez wiele lat pracowałem z Bułatnikowem, więc muszę poznać prawdę na temat jego śmierci i przywrócić sprawiedliwość. To mój obowiązek, rozumie pan? Obowiązek ucznia, współpracownika i zastępcy.

Paweł milczał, nieśpiesznie popijając aromatyczną gorącą herbatę.

Jedzenia nie tknął, włożył tylko łyżeczkę konfitur do herbaty. Generał pomyślał, że skoro motyw zemsty zawiódł, warto posłużyć się strachem. Jeśli on też nie skutkuje, pozostaje jeszcze uczucie wdzięczności. Minajew za wszelką cenę pragnął zmusić Saulaka do współpracy. Potrzebował go, by zrealizować to, co sobie zaplanował. Nikt inny się nie nadawał. Nikt prócz Pawła nie potrafi tego zrobić.

– Wie pan, dlaczego zapewniłem panu ochronę? – zapytał.

– Domyślam się. Oprócz kobiety, którą pan przysłał, kręcili się koło mnie jeszcze czterej mężczyźni. No właśnie, kim oni są?

– Stawia mnie pan w trudnym położeniu, Pawle Dmitrijewiczu. –

Minajew lekko się uśmiechnął. – Odkryję przed panem wszystkie karty, pod warunkiem że nawiążemy współpracę. Jeśli jednak los Bułatnikowa jest panu obojętny i nie chce mi pan pomóc, nie mam prawa niczego panu zdradzać. Ja też mam swoje tajemnice zawodowe.

– Pańskie sekrety nie są wiele warte. I bez nich wiadomo, że ludzie, którym Bułatnikow robił przysługi, boją się teraz rozgłosu. Władimir Wasiljewicz miał szeroką agenturę, ale tylko mnie powierzał pewne zadania. Więc jestem im potrzebny, żebym niczego nie wygadał. To nawet dziwne, że było ich zaledwie paru. Nie byłbym wcale zaskoczony, gdyby przy bramie kolonii zebrało się pół Rosji. Jeśli nie chce mi pan powiedzieć, kto mnie szuka, nie trzeba, niech pan nie mówi. To i tak nic nie zmieni. Wiem, że ktoś na mnie czyha, nie ma jednak znaczenia, kto to jest, bo i tak podejmę środki ostrożności.

– A więc wcale się pan nie boi?

– Ależ skąd, boję się. Co jednak nie znaczy, że ze strachu ujawnię panu sprawy Władimira Wasiljewicza. Był pan jego zastępcą i uczniem, więc chyba ma pan o nim sporą wiedzę, po co panu moje sprawozdanie? A jeśli o czymś panu nie wiadomo, to widocznie tak sobie życzył Bułatnikow. Wie pan tyle, ile pozwolił, żeby pan wiedział, nie zamierzam postępować wbrew jego woli.

– Mógłbym zapewnić panu bezpieczne schronienie – zauważył Minajew.

– Dziękuję. Czego pan oczekuje w zamian?

– Niech mi pan pomoże znaleźć zabójców Bułatnikowa. To dla mnie bardzo ważne, Pawle Dmitrijewiczu, proszę mi wierzyć. Nie ma

w tym żadnej polityki, to czysto ludzkie uczucie. Właściwie nie chciałem panu tego mówić, ale... Widzi pan, to i owo rzeczywiście wiem. Władimir Wasiljewicz prawdopodobnie ukrywał przede mną pewne sprawy, ale gwarantuję panu, że tylko niektóre. Wiem, czym się pan zajmował, wiem też o grupie, którą pan prowadził. Może nie zostałem wprowadzony we wszystkie pańskie zadania, ale nawet to, co wiem, w zupełności wystarczy, by nawarzyć panu piwa. Nie zamierzam tego robić, nie chcę umyślnie wyrządzać panu krzywdy, ale jeśli odmówi pan pomocy, obawiam się, że będę musiał nagłośnić pewne fakty. Powtarzam, nie po to, żeby panu zaszkodzić, ale po to, żeby zniszczyć tych, którzy mają na sumieniu śmierć Bułatnikowa.

– Elegancki szantaż? To nie przysparza panu chwały, generale.

– Nie dbam o to, majorze. Tak, tak, wiem, kim pan był, zanim został agentem Bułatnikowa. Wiem też, że w czasach, gdy nosił pan naramienniki majora, nazywał się pan inaczej. Wiem, w jakich okolicznościach stracił pan stopień i stanowisko. No więc, majorze, nie zależy mi na chwale, skoro będę musiał żyć ze świadomością, że zabójcy mojego mentora, przyjaciela i dowódcy pozostają na wolności. Rozumie pan? Ta sytuacja też nie przysparza mi chwały. Jestem oficerem i mężczyzną, jeśli te słowa dla pana coś znaczą.

– W takim razie jestem zmuszony stwierdzić, że pan kłamie, Antonie Andriejewiczu. Skoro wie pan o mnie aż tyle, na pewno wie pan i to, kto zabił Bułatnikowa. Nie wierzę, że jest inaczej.

Minajew milczał, ze skupieniem mieszając łyżeczką herbatę w kubku. Gdy w końcu spojrzał na Saulaka, jego oczy były ciemne i przepastne.

– Przyznaję, Pawle Dmitrijewiczu, że skłamałem. Wiem, kto to zrobił. I chcę, żeby mi pan pomógł zlikwidować tych ludzi. Widzi pan, wyłożyłem wszystkie karty. Nie chcę, żeby ci ludzie zniknęli jedynie z powierzchni ziemi, chcę, żeby ich nazwiska okryły się hańbą po wsze czasy.

– Rozumiem. – Paweł skinął głową. – Ale nie podzielam pańskich uczuć. Nie ukrywajmy przed sobą prawdy, Antonie Andriejewiczu, skoro nie potrafimy wyznać jej innym. To, co robił generał Bułatnikow, a także to, co robiłem ze swoimi ludźmi, wykonując jego rozkazy, nosiło znamiona przestępstwa, łagodnie mówiąc.

Wszystkich nas należało rozstrzelać za to, co robiliśmy. Łącznie z panem, bo wiedział pan i milczał. A teraz chce pan ukarać innych za czyny, których dopuszczał się też Bułatnikow? To znaczy, że on mógł, a oni nie? Podwójny rachunek, podwójna moralność? Dla pana Władimir Wasiljewicz to dowódca, przyjaciel i mentor. Ale dla ogromnej większości jest zwyczajnym zabójcą i bandytą. Więc jeśli chce się pan zemścić za jego śmierć, to wyłącznie pańska sprawa. Nie może pan nikogo w to wciągać i żądać pomocy.

– Nawet od pana?

– Nawet ode mnie.

– Czyżby nie pozostała w panu krztyna ciepłych uczuć wobec Bułatnikowa? Nigdy w to nie uwierzę.

– Nie zależy mi na tym. Jestem panu wdzięczny, że przysłał pan agentkę, która nie pozwoliła mi zdechnąć zaraz po wyjściu za bramę kolonii i dowiozła żywego do Moskwy. Wiem, że wydał pan na to grube pieniądze. Jeszcze raz powtarzam, że jestem panu wdzięczny. Ale niech pan nie żąda więcej.

– Cóż za uparciuch z pana! – z uniesieniem zawołał Minajew.

Saulak mu się wyslizgiwał. A on tak bardzo na niego liczył! Jeżeli Paweł nie pomoże, nikt tego nie zrobi. Trzeba go przekonać za wszelką cenę.

– Niechże pan zrozumie – podjął przejęty generał. – Gadki o czystych rękach są dobre dla pionierów. Był pan kadrowym oficerem, służył w naszym resorcie, więc musi pan zdawać sobie sprawę, że są czasem takie cele i zadania, które zmuszają nas, byśmy odrzucili zasady moralności i etyki. Praca operacyjna to jedno wielkie gówno, tak było, jest i będzie. Nie ma pan prawa wyrzucać Władimirowi Wasiljewiczowi, mnie i sobie, że nasze działania naruszały pewne normy i komuś szkodziły. To nieuniknione, tego wymagał cel. Co pan chce osiągnąć, rwąc sobie włosy z głowy i przyznając się do popełnionych grzechów? To nic nie zmieni. Generał Bułatnikow dopuszczał się pewnych czynów w imię akceptowanego społecznie celu, a ci, którzy go zabili, zrobili to wyłącznie dla własnej korzyści. Czyżby nie zauważał pan różnicy?

– No cóż, Antonie Andriejewiczu – powiedział Saulak, nie patrząc na generała. – Zostawmy wywody na temat moralności i etyki. Łączą

nas relacje usługowo-handlowe, więc w ramach naszej transakcji jestem gotów zrobić to, czego pan ode mnie żąda. Zapewnił mi pan bezpieczeństwo na drodze z kolonii do Moskwy, nie poskąpił pieniędzy, więc niezależnie od tego, co panem kierowało, muszę spłacić dług wdzięczności. I jeszcze jedno. Przez pewien czas będzie mnie pan chronił, załatwi nowe dokumenty i mieszkanie. Przydałaby się też zgrabna historyjka na początek. Innymi słowy, będzie mnie pan wspierał w okresie adaptacji do nowych warunków życia. W zamian spełnię pańskie oczekiwania. Chce pan wyrównać rachunki z zabójcami Bułatnikowa? Gotów jestem udzielić panu wsparcia. Jeszcze raz podkreślam: nie zamierzam mścić się za śmierć Władimira Wasiljewicza, chcę tylko zrewanżować się za pomoc, której już mi pan udzielił i której udzieli w przyszłości. Umowa stoi?

Minajew z trudem powstrzymał westchnienie ulgi. No nareszcie! Już zaczynał się bać, że nie zdoła znaleźć wspólnego języka z tym mężczyzną.

– Ma się rozumieć, Pawle Dmitrijewiczu, że stoi. Bardzo się cieszę. Jestem też gotów przyznać, że nie miałem racji, próbując nakłonić pana do zaakceptowania moich argumentów. Mój stosunek do Bułatnikowa i do jego śmierci to rzeczywiście moja osobista sprawa, nikt nie ma obowiązku mnie w tym wspierać. No cóż, proponuję, żeby chociaż przez parę godzin pan odpoczął, niedługo zacznie świtać. A jutro zabierzemy się do roboty, jeśli nie ma pan nic przeciwko.

Paweł wstał i na widok jego kamiennej, surowej twarzy Anton Andriejewicz pomyślał, że Saulak nie zamierza mu odpowiadać. Uznał, że rozmowa skończona.



Generał Minajew nie miał wątpliwości, że w zamachu na Władimira Wasiljewicza Bułatnikowa maczali palce ludzie, w których interesie przeprowadził najbrudniejszą i najokrutniejszą operację. Minajew znał ich nazwiska, prawie dwa lata zajęło mu skompletowanie listy. Teraz, gdy tożsamość i zdjęcie jednego z nich pojawiły się na ekranie

telewizora i na stronach gazet, domyślił się, że grupie z kapitałem kryminalnym zrobiło się ciasno. Jej członkowie pragną rozmachu, chcą wypłynąć na szerokie wody. Potrzebują swojego prezydenta, który zadba o wydanie pożądaných dekretów, podpisanie stosownych dokumentów i podjęcie niezbędnych decyzji przez swoich ministrów. Oprócz prezydenta jest jeszcze oczywiście Duma, ale tam udało się już wepchnąć marionetkowych deputowanych, którzy będą wyłazić ze skóry, żeby nie dopuścić do przyjęcia niewygodnych ustaw. Traf chciał, że wybory do Dumy i wybory prezydenckie odbędą się w przeciągu pół roku, dzięki temu grupa łatwiej zrealizuje swój plan.

Paweł poprosił Minajewa, żeby dał mu trzy dni.

– Muszę zaleczyć zapalenie wątroby – wyjaśnił. – W przeciwnym razie mogę nagle dostać ataku. Poza tym muszę się wyspać i odzyskać siły.

Anton Andriejewicz był gotów do ustępstw, chętnie godził się na wszelkie warunki Pawła, byleby tylko ten się nie wycofał. Ale Paweł chyba nie zamierzał zmieniać swojej decyzji.

Trzy dni później oznajmił:

– Mogę zacząć pracę.

Wyglądał o wiele lepiej niż wtedy, gdy po raz pierwszy znalazł się w domku letniskowym Minajewa. Cera nabrała zdrowego wyglądu, była wprawdzie nieco blada, ale różowa, a nie ziemistoszara. Paweł nie siedział już godzinami w fotelu z zamkniętymi oczami i rękami założonymi na piersiach, tylko przechadzał się po domu i po ogrodzie, zaczął się też gimnastykować. Pewnego dnia Minajew przypadkiem zobaczył, jak trenował za domem, i zdumiał się, że był w stanie zrobić zaledwie pięć pompek, za to że dwadzieścia minut skakał na skakance, i to tak szybko, że Anton Andriejewicz nie potrafił dostrzec sznura, mimo że wyteżał wzrok. Potem się domyślił, że każdemu skokowi towarzyszą dwa obroty skakanką. Takie dwudziestominutowe ćwiczenie wymagało niesłychanej koncentracji i dobrze wytrenowanych nadgarstków.

W ciągu trzech dni generał znalazł Pawłowi nowe mieszkanie i załatwił dokumenty na nazwisko Aleksandra Władimirowicza Kustowa, a także paszport, z którego wynikało, że wrócił niedawno

z Belgii, gdzie spędził dwa lata, pozostając w związku małżeńskim z uroczą Belgijką, ale niezgodność charakterów pokonała w końcu pragnienie prowadzenia dostatniego życia, więc rozstał się z żoną i wrócił do ojczyzny. Dwuletnia nieobecność znakomicie tłumaczyła pewną, by tak rzec, niewiedzę pana Kustowa na temat na przykład ceny żetonu do metra albo miejsca sprzedaży biletów na przejazd środkami naziemnej komunikacji miejskiej. Nic też dziwnego, że po dwuletnim pobycie za granicą nie miał własnego biznesu, a nawet stanowiska w państwowej firmie. Miał wprawdzie jeszcze pieniądze, więc przez pewien czas mógł sobie pozwolić na to, żeby nie pracować.

Na liście, którą generał Minajew przygotował dla Saulaka, figurowało siedem nazwisk. Godność obecnego kandydata na prezydenta znalazła się na pierwszym miejscu, a Czincowa w ogóle na niej nie było. Anton Andriejewicz wybrał tylko te osoby, które były bezpośrednio zaangażowane w organizowanie transportów broni i narkotyków, osobiście uczestniczyły w podejmowaniu decyzji, przygotowaniu konkretnych operacji i w podziale zysków. Czincow był wówczas drobną płótką, chłopcem na posyłki, wykorzystywanym do prostych rzeczy – wymyślał intrygi i wdrażał je w życie. Wtedy, trzy albo cztery lata temu, kontakt z Bułatnikowem utrzymywali dwaj przywódcy szajki, a miejsce Czincowa w hierarchii, jak powiedzieliby grypsery, było „koło kibla”. Minajew wiedział, że teraz sytuacja uległa zmianie, Czincow trafił do ekipy kandydata na prezydenta i został jego prawą ręką. Interesował się też Pawłem i próbował wyciągnąć o nim informacje z MWD.

– Nie chcę niczego przed panem ukrywać – powiedział Minajew, trzymając w ręce listę kandydatów do likwidacji. – Mam tutaj listę ludzi, którym najbardziej zależało na śmierci Władimira Wasiljewicza i którzy sprawili, że umilkł na zawsze. Ale wiem też, że oni zainteresowali się panem, Pawle Dmitrijewczu. Dowiadywali się o pana w MWD, więc nie wykluczam, że wysłali swoich ludzi do Samary, by pana zabili. Musi pan zacząć operację z otwartymi oczami, nie zamierzam nakłaniać pana do gry w ciemno i do niepotrzebnego ryzyka. Żeby wywiązać się z warunków naszej umowy, będzie pan musiał wejść w paszczę wroga, który przez cały

próbuję pana dopaść i przed którym ledwie udało mi się pana ocalić w drodze do Moskwy.

Minajew miał wielką ochotę dodać jeszcze: „Nie powinien się pan koło nich kręcić, Pawle Dmitrijewiczu, ale od czego ma pan grupę? Niech pan znajdzie swoich ludzi i włączy ich do pracy. Ludzie Czincowa znają pana, ale nie ich. Nikt prócz pana nie ma pojęcia o ich istnieniu”. Jednakże Anton Andriejewicz nie powiedział tego na głos. Bał się, że zniszczy operację, którą z takim trudem zaaranżował i której nadał prostą, nic nieznaczącą nazwę Stella. Łacińskie słowo oznaczało gwiazdę, ale nie miało aluzyjnego charakteru. W młodości Minajew został zaproszony na zamknięty pokaz filmów, gdzie zobaczył włoski obraz z życia miejskiej biedoty, drobnych złodziejasków, chuliganów, sutenerów i prostytutek. Była tam tylko jedna przyzwoita dziewczyna o imieniu Stella. Wydawała się tak niewinna, szczerą i bezpretensjonalną na tle owych odszczepieńców, mętów i łajdaków, że Minajew, wtedy jeszcze starszy lejtnant, omal nie wzruszył się do łez, a potem wpadł we wściekłość, gdy filmowy bohater zmuszał biedną Stellę do pracy na ulicy i wydawał zarobione przez nią pieniądze na alkohol. Od tej pory słowo Stella stało się dla Antona Andriejewicza synonimem czegoś czystego, słusznego i sprawiedliwego.

Saulak wziął listę od generała i szybko ją przejrzał. Były tam nie tylko nazwiska, adresy i telefony, ale też krótkie informacje na temat wykonywanych zajęć oraz sytuacji rodzinnej.

– Życzy pan sobie, żebym zaczął od kogoś konkretnego, czy mogę działać według własnego uznania? – zapytał.

– Daję panu wolną rękę. Nie ma znaczenia, kogo pan najpierw wybierze. Ile pieniędzy potrzebuje pan na początek?

– Nie wiem, nie orientuję się w dzisiejszych cenach. Niech mi pan da tysiąc dolarów, zobaczę, na jak długo wystarczą. Czy może żądam za dużo?

– Ależ nie – pośpiesznie odparł generał, wyjmując portfel. – To naprawdę niewiele. Zresztą sam pan się przekona.

W ciągu trzech dni, które Paweł spędził w domku letniskowym, generał Minajew załatwił mu wszystkie niezbędne dokumenty i przez podstawione osoby sprzedał jego samochód, od dwóch lat stojący

w strzeżonym garażu. Następnie dołożył parę tysięcy dolarów i kupił Pawłowi nowe auto, znacznie bardziej pasujące do wizerunku mężczyzny, który wrócił z zagranicy i nie musiał pracować. Trzeba przyznać, że poprzedni samochód Saulaka był o wiele lepszy, za jego niepozornym, a nawet wzbudzającym współczucie wyglądem kryła się niesłychana moc i wytrzymałość, niemal wszystkie części pod maską wymieniono i udoskonalono. Zalety auta zostały uwzględnione, rzecz jasna, przy sprzedaży, toteż jego cena okazała się dość wysoka. Teraz zamiast rozwijającego zawrotną prędkość dalekobieżnego żiguli Paweł miał czarnego saaba, ale w ciągu minionych dwóch lat zagraniczne wozy na ulicach stolicy stały się tak popularne, że nowe auto wydawało się równie niepokazne i nijakie jak stare.

Paweł pojechał do Moskwy. Minajew odprowadził go do furtki i długo za nim spoglądał, póki szczupła i prosta jak trzcina sylwetka nie znikła za zakrętem prowadzącym na dworzec. Wolnym krokiem wrócił do domu, zamknął drzwi na klucz i zajął się przygotowaniem kolacji. Wiedział, że teraz co najmniej przez tydzień będzie się zmagał z atakami nagłego rozdrażnienia i złości, więc musi unikać kontaktów z tymi, których nie chce obrazić. Działo się tak za każdym razem, gdy etap żmudnego opracowania i starannego przygotowania operacji przechodził w stadium realizacji. Na etapie przygotowań można było coś jeszcze zmienić, przeprojektować czy zaplanować. Można było zrezygnować z obranego celu i przyjąć inny albo zatrudnić innych wykonawców. Przesunąć termin, gdy istniała obawa, że nie wszyscy są gotowi i nie ma dostatecznej synchronizacji. Zanim doszło do realizacji, wszystko dawało się jeszcze poprawić. Gdy jednak rozpoczynała się operacja, generał miał wrażenie, że traci kontrolę nad sytuacją. Ludzie zaczęli postępować zgodnie z otrzymanymi poleceniami, uruchamiały się przygotowane mechanizmy, plan był wdrażany, operacja nabierała rozpędu i w każdej chwili mogło dojść do jakiejś niespodzianki grożącej dużymi nieprzyjemnościami, a nawet katastrofą. Można stworzyć najdoskonalszą aparaturę, ale gdy zostanie puszczona w ruch, nikt nie ma już nic do powiedzenia i nie zatrzyma pędzącej maszynery. Bez względu na to, jak starannie przygotować operację,

nie sposób przewidzieć wszystkich ewentualności. Ponieważ generał Minajew nie miał żadnego wpływu na bieg wydarzeń oraz na ich następstwa, opanowywało go niemiłe uczucie braku pewności siebie i utraty kontroli. Nie pozwalało mu ono spać, pozbawiało apetytu i zatruwało życie. Po jakimś tygodniu mijało.



Początek lutego okazał się ładny, bo mimo że chwycił mróz, było słonecznie i bezwietrznie. Słoneczna pogoda irytowała jednak Jewgienija Szabanowa. Komputer w gabinecie stał w takim miejscu, że w dni pełne słońca nie dało się przy nim pracować: wszystko się odbijało w monitorze. Szabanow nieraz się zastanawiał, jak przestawić meble, żeby promienie słoneczne nie padały na komputer, ale nic nie wymyślił. Pokój był długi i wąski, więc gdyby obrócić biurko, zajęłoby całą szerokość pomieszczenia, on zaś musiałby siedzieć tyłem do drzwi. Szabanow nie uważał się za osobę szczególnie nerwową, ale drzwi za plecami drażniłyby go i nie pozwalałyby normalnie pracować.

Do piętnastego lutego został równo tydzień. W tym dniu prezydent obiecał przyjechać do rodzinnego miasta, żeby publicznie oznajmić, czy będzie się ubiegał o następną kadencję. Jewgienij Szabanow miał mu przygotować wystąpienie. Zadanie potraktował w dość oryginalny sposób, ponieważ siedział w kieszeni rywala prezydenta.

„Dużo myślałem...” W tym miejscu Szabanow się zawahał. Bardzo obiecujący początek, trzeba go dobrze wykorzystać. Wszyscy znają styl prezydenta – mówi krótkimi zdaniami, robi długie, wymowne pauzy, nie potrafi modulować głosu i czarować nim słuchaczy, z czego słynął pierwszy prezydent ZSRR, który wygłaszał przemówienia bez kartki, patrząc zebranym w oczy. Obecny jest pozbawiony tego daru. W dodatku nie chce się uczyć. Więc co? To oczywiste, zdanie powinno nabrać bardziej osobistego charakteru. „Dużo myślałem – wystukał Szabanow na klawiaturze – nie spałem po nocach, zadawałem sobie pytania...” Wspaniale! Wyobraził sobie, jak zwalisty, barczysty prezydent, górując na trybunie, będzie odczytywał tekst swoim bezbarwnym, szorstkim głosem. Trudno

wymyślić coś niedorzeczniejszego. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że dzięki temu zdaniu straci parę punktów.

Tekst był już właściwie gotowy, zredagowało go paru doradców. Szabanow, będąc specem od wizerunku, wprowadzał ostatnie poprawki. Musiał pozaznaczać akcenty i pauzy, jednym słowem, wyreżyserować wystąpienie. Jeszcze raz przebiegł wzrokiem linijki tekstu, dotarł do słów: „od marca problemy z wynagrodzeniami się skończą” i zaznaczył ostatnie słowo, sugerując, że należy je wypowiedzieć głośno, wyraźnie, najlepiej skandując. Opóźnienia wypłat stały się już przedmiotem powszechnej dyskusji, nawet głupiec wie, że problem nie zniknie w marcu. Ciekawe, co za mędrak wymyślił, żeby włączyć pustą obietnicę do tekstu przemówienia. Tak czy inaczej, stało się. No więc niech prezydent złoży ją przy świadkach. Do marca niedaleko, niech odcisnie się na nim piętno niespełnionej obietnicy. Cały kraj usłyszy, że „problemy się skończą”, niech no potem spróbuje się wyprzeć.

Doradcy obecnego prezydenta pozjadali oczywiście wszystkie rozumy. Nawet zagorzały wróg nie wyrządzi tak wielkiej szkody jak bezmyślny doradca. Szabanow nie miał nawet wyrzutów sumienia, że zajmuje się jedynie wymyślaniem sposobów, jak prezydent może stracić punkty wyborcze. Gdyby na jego miejscu znalazł się ktoś ślepo oddany liderowi, mistrz w swoim fachu, on też nie potrafiłby naprawić szkód, które przynoszą byle jacy doradcy. Oto na przykład harmonogram pierwszego dnia pobytu prezydenta w rodzinnym mieście. Na dworze sroży się mroźny i wietrzny luty, tymczasem spotkania z mieszkańcami i pracownikami zaplanowano na otwartej przestrzeni. Komu to przyszło do głowy? Prezydent dostanie przecież chrypki, to oczywiste. Albo zmarznie i zechce się rozgrzać jak każdy Rosjanin. A wiadomo, czym od niepamiętnych czasów rozgrzewają się ludzie w Rosji. Więc albo zjawi się na trybunie z bolącym gardłem, albo... I tak, i siak niedobrze. To znaczy dla niego, Jewgienija Szabanowa, to akurat dobrze. Nawet bardzo dobrze.

Skończył pracę o dziesiątej wieczorem, wyłączył komputer i przeciągnął się, aż mu chrupnęło w stawach. Można wracać do domu. Już zapinał płaszcz, gdy zabręczała komórka na biurku.

– Tak, słucham – niecierpliwie rzucił do słuchawki, pragnąc jak

najszybciej wsiąść do samochodu i odjechać.

– Jeżeli interesuje pana człowiek, który przyjechał z Samary – rozległ się nieznajomy kobiecy głos – to niech pan będzie za godzinę na rogu ulic Profsojuznej i Butlerowa.

– Kto mówi? – zapytał oszołomiony Szabanow, ale kobieta się rozłączyła.

Czy interesuje go człowiek, który przyjechał z Samary?! I to jak. Po pierwsze, dlatego że interesują się nim jego, Szabanowa, protektorzy. A po drugie, dlatego że chce go dopaść Sołomatin, jeden z zagorzałych zwolenników i sympatyków prezydenta. Szabanow nie wiedział, po co jego opiekunom człowiek z Samary, ale wiedział, że na gwałt go potrzebują. A o tym, że szuka go też Sołomatin, dowiedział się zupełnym przypadkiem, podsłuchując rozmowę nieprzeznaczoną dla jego uszu. To jednak bardzo ciekawe, kto do niego dzwonił.



Rita była najbardziej opanowana i zdyscyplinowana z całej grupy. Może dlatego że nie miała takich predyspozycji jak reszta. Ale do pewnych zadań jej zdolności wystarczały, było ich aż nadto. Paweł bardzo lubił z nią współpracować, ponieważ nie była krnąbrna ani kapryśna, nie zadawała zbędnych pytań i zawsze postępowała ściśle według instrukcji. Musiały być tylko szczegółowe, bo sympatyczna trzydziestoletnia kobieta nie miała drygu do improwizacji.

Rita była pierwszą osobą, którą Paweł odwiedził po okresie rekonwalescencji w domku letniskowym generała Minajewa. Znalazłszy się w jej mieszkaniu, od razu się domyślił, że przez dwa lata nie pracowała. To znaczy, owszem, miała jak dawniej jakąś posadę, ale pensja starczała jej tylko na artykuły pierwszej potrzeby. Paweł baczny wzrokiem omiółł pomieszczenie, ale nie zauważył ani jednej nowej rzeczy, telewizor był wciąż ten sam, podobnie jak meble i wykładzina na podłodze. Wtedy, dwa lata temu, po śmierci Bułatnikowa, gdy uznał, że musi się ukryć i przeczekać, jak najsurowiej zabronił członkom grupy dorabiać i chałturzyć.

– Muszą wam wystarczyć pieniądze, które zarobiliście. Zaczekajcie,

aż wrócę, inaczej będziecie zgubieni – uprzedzał, w głębi ducha podejrzewając, że żadne z nich nie wytrzyma. Przecież popyt na ich usługi jest dziś olbrzymi!

Był pewien chyba tylko Rity. I nie pomylił się, dziewczyna go nie zawiodła i posłuchała.

Otworzyła mu drzwi i długo stała w milczeniu, wpatrując się w jego postarzałą twarz. Paweł jak zwykle nie patrzył jej w oczy, żeby się nie speszyła. Wreszcie poczuł, jak runął niewidzialny mur, który Rita wzniosła, gdy go zobaczyła.

– Wróciłeś – powiedziała i się rozplakała. – Boże, nareszcie wróciłeś.

– Przecież obiecałem. – Paweł uśmiechnął się lekko. – Daj spokój, kochanie, nie płacz, wszystko w porządku. Wróciłem i znowu weźmiemy się do pracy. Pewnie już nie masz pieniędzy.

– Nie o to chodzi, Pasza. Do diabła z pieniędzmi. Bałam się, bardzo się bałam. Przecież straciłam cel i sens. Dawniej wiedziałam, po co żyję. Była sprawa, miałam pracę, na której się koncentrowałam. A potem zniknąłeś i wszystko się zawaliło. Mogłam się czymś zająć, ale zabroniłeś...

– Mądra dziewczyna – powiedział Saulak łagodnie. – Dobrze, że mnie posłuchałaś. Teraz to ci się opłaci. Zaufaj mi, wszystko się ułoży. Już dzisiaj wrócisz do pracy. Jesteś gotowa?

– Nie wiem. – Pokręciła głową z powątpiewaniem. – Od dawna tego nie robiłam. Może już nie potrafię.

– Potrafisz – zapewnił ją Paweł. – Tylko uwierz w siebie i nastaw się pozytywnie, a wszystko będzie w porządku. Musisz zadzwonić do tego człowieka i umówić się z nim na spotkanie.

Wręczył jej kartkę, na której zapisał telefon Szabanowa.

– Umów się na rogu Profsojuznej i Butlerowa za godzinę. Pojedziemy tam razem, ty z nim porozmawiasz, a ja go poobserwuję.

Rita posłusznie sięgnęła po telefon.

– A jeśli się nie zgodzi? – zapytała, wciskając klawisze. – Mam go przekonywać?

– W żadnym razie. Wyznacz spotkanie i się rozłącz. Jeśli mnie potrzebuje, na pewno przyjedzie. A jeśli nie, to trudno. Widocznie się pomyliłem.

Dwadzieścia minut później jechali w stronę dzielnicy Jugo-Zapadnaja. Paweł nie zabawiał Rity rozmową, pozwalał zebrać myśli i się skupić. Dopiero koło stacji metra Kałużskaja przerwał wreszcie milczenie.

– Wszystko zapamiętałaś? On musi ci powiedzieć, kto mnie szuka i po co. A ty jemu, że zgadzam się dla nich pracować, jeśli zapewnią mi bezpieczeństwo. Stąd pójdziesz pieszo. Po spotkaniu przejdź na drugą stronę Profsojuznej i idź do skrzyżowania z ulicą generała Antonowa. Nie będą mogli cię śledzić, bo musieliby jechać pod prąd. Jasne?

– Tak, Pasza – odparła.

Jej głos był wyprany z emocji, więc Paweł domyślił się, że Rita szykuje się do pracy. Wysadził ją koło metra, pojechał nieco dalej, zaparkował, zamknął samochód i ruszył na miejsce spotkania z Szabanowem.

Nie przypadkiem polecił wyznaczyć spotkanie w tym punkcie. Nie brak tu przejść i zakamarków, które idealnie nadają się do obserwacji. O, Rita akurat podeszła do kiosku i udaje, że coś ogląda. Umówiona godzina minęła, Szabanow powinien się zjawić lada chwila, jeśli w ogóle się zjawi. Paweł oparł się plecami o drzewo i jak zwykle skrzyżował ręce na piersiach. Musi zachować czujność, żeby przyjść Ricie z pomocą, gdyby się okazało, że dziewczyna jej potrzebuje. Chociaż to raczej mało prawdopodobne. Nie ma w tym nic trudnego, setki razy wykonywała podobne zadania, tylko dwa razy nawaliła. Pierwszy raz z dziesięć lat temu, na początku współpracy z Pawłem. Podczas rozmowy, którą prowadziła tak jak teraz na ulicy, potrącił ją jakiś samochód. Straciła równowagę, przestraszyła się i już nie mogła się skupić. Drugi razem doszło do tego jakieś trzy lata później. Rita wykonywała zadanie z wysoką temperaturą, złapała ciężką gripę. Paweł wiedział, że chory człowiek nie powinien pracować, więc gdyby Rita mu powiedziała, że źle się czuje, za nic by jej nie wysłał. Ale ukryła przed nim chorobę, za co potem surowo ją skarcił. Dzisiaj była jednak zdrowa, więc pozostawało mieć nadzieję, że nie wydarzy się nic nieprzewidzianego.

Nagle Paweł zauważył samochód, który zatrzymał się naprzeciw kiosku. Wytężył wzrok, wpatrując się w mężczyźnię za kierownicą.

Zgadza się, starszy partner z tamtej pary, która deptała mu po piętach. Jak on się nazywa? Nastia mówiła, że Nikołaj. Młody ma na imię Sierioża. Ale go nie widać.

Z auta wysiadł okazały mężczyzna, w ciemności Paweł oszacował, że mógł mieć koło czterdziestki. Rita zrobiła ledwie zauważalny gest, pokazując, żeby się oddalili od kiosku. Mężczyzna ruszył jej śladem. Rita odprowadziła go parę metrów w bok, ale tego miejsca nie było już widać z samochodu – uniemożliwiały to stojące rzędem kioski. Saulak wsunął do ucha miniaturową słuchawkę.

– Czy to pani do mnie dzwoniła? – rozległ się głos mężczyzny.

– Nie. Ale wysłano mnie na spotkanie z panem. Interesuje się pan mężczyzną, który przyjechał z Samary, tak?

Zapadła cisza i Paweł domyślił się, że Rita przystąpiła do pracy. Dawniej nigdy nie zaczynała od razu, na ogół przez jakieś dziesięć minut prowadziła zwyczajną rozmowę, usiłując wybadać rozmówcę i skłonić go do szczerości, dopiero potem uruchamiała swoje niezwykle umiejętności. Dzisiaj się denerwowała, co było zrozumiałe: nie pracowała od dwóch lat, odzwyczaiła się, więc chciała jak najprędzej skończyć. Chyba nawet się bała, co dawniej nigdy się nie zdarzało.

Cisza się przeciągała. Wreszcie ze słuchawki dobiegł matowy i dziwnie obojętny głos mężczyzny.

– Tak, Saulak nas bardzo interesuje.

– Do czego jest wam potrzebny?

– Na początku chcieliśmy się go pozbyć.

– A potem?

– Potem pojawił się pomysł, żeby go wykorzystać. I się dogadać.

– Jak zamierzacie go wykorzystać?

– Może wyrzucić presję na pewnych ludzi. Zastraszyć ich i zmusić do zmiany decyzji. Dużo wie na ich temat.

– To znaczy, że chcecie go wykorzystać do szantażu?

– Owszem.

– Tylko do szantażu? Czy do czegoś jeszcze?

– Nie, tylko do tego.

– Niech pan przekaże kolegom, że on się zgadza, ale pod warunkiem że zapewnicie mu swobodę ruchów. Nie próbujcie go

szukać, niech mi pan poda telefon, on zadzwoni.

– Dobrze... trzydzieści siedem pięćdziesiąt trzysta sześć.

– A nazwisko?

– Czincow.

– Imię?

– Grigorij Walentinowicz.

– Co jeszcze?

Znowu zapadła cisza. Potem rozległ się głos Rity.

– Przecież nie powiedział mi pan wszystkiego. Niech pan mówi.

– Tak... Jest jeszcze kobieta...

– Jaka kobieta?

– Ta, która z nim była. Jego krewna. Nią też się interesują.

– Niech im pan powie, żeby o niej zapomnieli. Ona nie ma z tym nic wspólnego. Zapamięta pan? Niech o niej zapomną.

– Dobrze.

– Kto jeszcze szuka Pawła?

– N-nie wiem...

– Nieprawda. Niech się pan zastanowi i powie, kto jeszcze się nim interesuje.

– Sołomatin.

– Kto to taki?

– Człowiek z otoczenia prezydenta.

– Jak ma na imię?

– Wiaczesław Jegorowicz.

– Po co mu Paweł?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

– Widzi mnie pan?

– Tak... Widzę.

– Jak wyglądam?

– Średniego wzrostu. Blondynka. Krótkie jasne futro.

– Ile mam lat?

– Ze trzydzieści.

– Nieprawda. Jestem wysoką brunetką koło czterdziestki. W długim futrze z norek. Na dolnej wardze mała blizna, widoczna, ale mnie nie szpeci. Trochę się jąkam. Ale tylko trochę. Jasne?

– Tak, dobrze...

- Kto na pana czeka w samochodzie?
- Partner.
- Imię?
- Nikołaj.
- Będą go o mnie pytać?
- Nie wiem. Chyba tak.
- Niech mu pan powie, że niewysoka kobieta w krótkim jasnym futrze to przypadkowa osoba, którą poprosiłam, żeby pana zagadnęła przy kiosku. Ale rozmawiał pan ze mną, tamta kobieta od razu sobie poszła, w ogóle mnie nie zna. Wszystko pan zapamiętał?
- Tak.
- Pójdę już, a pan zaczeka tutaj jeszcze parę minut. Proszę wolno policzyć do trzystu, a potem wrócić do samochodu. Niech pan przekaże Czincowowi nasze warunki. Paweł zadzwoni do niego jutro o dziesiątej. I niech pan pamięta: gotów jest współpracować, ale jeśli spróbujecie go oszukać, gorzko tego pożałujecie. Paweł nie należy do osób gadatliwych, ale jest mściwy.
- Dobrze, wszystko przekażę.
- W takim razie do widzenia. Niech pan zacznie liczyć.

Rita przeszła niemal tuż koło Pawła. Ścisłe trzymała się instrukcji, więc nie minęła auta, w którym siedział Nikołaj, tylko ruszyła chodnikiem za kioskiem. Szabanow posłusznie stał w ciemności i Saulak z satysfakcją zauważył, że Rita nie utraciła swoich zdolności. Poradziła sobie doskonale.

Spoglądał w ślad za nią, póki nie zapaliło się zielone światło i nie przeszła na drugą stronę Profsojuznej, po czym stąpając lekko i bezszelestnie, dotarł do swojego saaba i pojechał prosto, żeby zawrócić na ulicę generała Antonowa i zabrać Ritę.



- Zmęczona? – zapytał troskliwie, gdy wsiadła do samochodu.
- Trochę. – Rita lekko się uśmiechnęła. – Chyba się odzwyczaiłam.
- To nic, kochanie, jesteś bardzo dzielna, świetnie ci poszło. Niepotrzebnie się bałaś. Zaraz odwiozę cię do domu, to sobie odpocznesz.

– A jutro?

W jej głosie zabrzmiał strach.

– Co jutro?

– Jutro też będę pracować?

– A co, nie chcesz? Boisz się?

– Nie, skąd... Boję się, że znowu znikniesz. Bez ciebie zupełnie...

– Co, kochanie?

– Nie wiem, co robić. Czuję się bezużyteczna.

– Nadal pracujesz w kasie oszczędnościowej?

– Teraz to bank. Tak, ciągle w tym samym miejscu.

– Nudzi cię ta praca?

– Oczywiście. Ale przywykłam.

Saulak nagle pomyślał, że Rita musi być bardzo samotna. Przyjął ją do grupy dziesięć lat temu i trochę się obawiał, że dziewczyna zacznie szaleć, zażąda wolności, zechce założyć rodzinę i urodzić dzieci. Cieszył się, gdy tak się nie stało. Rita była posłuszna i obowiązkowa, nie wysuwała żadnych roszczeń. Wtedy nie do końca ją rozumiał i nieskromnie uważał, że pracuje z nim wyłącznie z wdzięczności za to, że wyciągnął ją ze szpitala psychiatrycznego, do którego trafiła przez podłych sąsiadów. Paweł nie tracił głowy dla kobiet, nie szukał emocjonalnych więzi i duchowej bliskości, był powściągliwy i chłodny. Toteż przyjął za pewnik, że ona jest taka sama, dlatego nie żąda wolności, nie wiąże się na stałe z mężczyzną i nie myśli o małżeństwie. Saulak przypomniał sobie, jak się rozplakała, gdy go zobaczyła na progu swojego mieszkania. I zrozumiał, że przez wszystkie te lata miał klapki na oczach. Zupełnie jej nie znał. A ona go przecież kocha.

Jeszcze wtedy, dziesięć lat temu, zdołał jej wmówić, że powinna być dumna ze zdolności, którymi obdarzyła ją nieprzewidywalna natura. To one stanowią o jej wartości, wyróżniają ją spośród innych, powinna więc strzec tego daru i go szlifować. Bo tylko dzięki niemu jej życie nabierze sensu, wypełni się sensowną, ciekawą i potrzebną pracą. Rita mu uwierzyła. Przez wszystkie te lata był w jej oczach jedynym człowiekiem, który mógł ją docenić i pochwalić. Rita nie знаła Bułatnikowa i nigdy go nie widziała, tylko on, Saulak, był jej szefem. W dodatku nie znała też innych członków

grupy, nie miała pojęcia o ich istnieniu. Paweł sądził, że gdy będzie podkreślał jej wyjątkowość i oryginalność, dziewczyna nie straci zainteresowania pracą. Nigdy jej zatem nie wspomniał, że oprócz niej są jeszcze trzy inne osoby, o wiele bardziej uzdolnione i biegłe w tym fachu. Budzenie w kobietach zazdrości bywa niebezpieczne, nawet jeśli to dotyczy nie ukochanego mężczyzny, tylko pracy. Rita jedynie z Pawłem mogła szczerze porozmawiać na swój temat, niczego nie skrywając, mogła mu się poskarżyć na strach albo zmęczenie, jedynie od niego słyszała słowa uznania i zachwytu. Więc gdy zniknął na dwa długie lata, poczuła się samotna, zdradzona, porzucona i nikomu niepotrzebna. Biedna dziewczyna! Teraz się boi, że on znowu zniknie jej z oczu, a ona pozostanie bez pracy, dzięki której czuje się przydatna i pomocna. Znowu nie będzie miała nic prócz nudnego zajęcia w banku, pustego mieszkania i dojmującej samotności.

Dotarli do domu i razem wspięli się po schodach do jej mieszkania. Rita nieśmiało zaproponowała kolację, a gdy Paweł się zgodził, jej twarz się rozpromieniła.

– Nie mam co prawda żadnych frykasów – zaczęła się usprawiedliwiać. – Zjawiłeś się zupełnie niespodziewanie.

– Nie szkodzi, kochanie, wiesz przecież, że nie jestem wybredny.

– Chcesz, to podsmażę ziemniaki?

– Dobrze. – Paweł skinął głową. – Pomóc ci?

– Nie, nie, usiądź, sama sobie poradzę.

Po kolacji wypili herbatę i zjedli drożdżówki. Było już grubo po północy, a Paweł wciąż nie wychodził. Wahał się, czy powinien zostać. Bardzo chciał wrócić do siebie, bliskość Rity nie była mu potrzebna ani przedtem, ani obecnie. Ale bał się, że w ciągu dwóch lat wiele się zmieniło i Rita może okazać się jedyną osobą, która go nie zawiedzie. Musi więc mocniej ją do siebie przywiązać.

– Już dawno chciałem ci coś powiedzieć – zaczął niezdecydowanie.

– Tak, Pasza?

– A raczej zapytać... Nie, to nie tak. Powiedz, kochanie, widzisz we mnie tylko swojego szefa? Czy jestem dla ciebie kimś więcej?

Nieśmiały uśmiech rozjaśnił subtelną twarz.

– Oczywiście, Pasza. Bardzo dużo dla mnie znaczysz. Sądziłam, że

znacznie wcześniej się tego domyśliłeś.

– Wyobraź sobie, że nie. Musiałem spędzić dwa lata z dala od ciebie, żeby to zrozumieć. Bardzo za tobą tęskniłem. Bardzo. A ty?

– Niewiele brakowało, a umarłabym bez ciebie – wyznała szczerze.

– Gdzie byłeś przez te dwa lata?

– Daleko. Teraz już nie ma znaczenia gdzie. Najważniejsze, że wróciłem. I już cię nie zostawię.

– Nawet dzisiaj?

– Nawet dzisiaj. Chodźmy do łóżka, kochanie.

Rozdział 6

Czincow z niecierpliwością czekał, aż wybije dziesiąta. Ale się porobiło! Zwierz wyszedł prosto na myśliwego. Właściwie nie ma się czemu dziwić, kto by chciał klepać biedę, Saulak postanowił sobie dorobić. No cóż, chwalebny zamiar. Żywy partner jest oczywiście lepszy od martwego wroga, żywy przynajmniej do czegoś się przyda. Skoro proponuje usługi, to znaczy, że nie zamierza bruździć. No to zobaczymy. Trzeba go należycie wykorzystać, a potem pomyśleć, co dalej. Może uda się go zwerbować do zespołu.

Wczoraj późnym wieczorem zadzwonił do niego Szabanow i powiedział, że zaraz przyjedzie. Czincow od razu się domyślił, że coś się stało, ale nawet mu do głowy nie przyszło, jaką nowinę przywiezie Jewgienij. Najbardziej zainteresowała go kobieta. Czy to czasem nie krewna, która odebrała Saulaka z Samary?

– Szczupła blondynka, tak? – zapytał Szabanowa.

– Nie. – Tamten pokręcił głową. – Przystojna brunetka, lekko się jąka. Na dolnej wardze ma małą bliznę.

– To nie ta. – Czincow westchnął z rozczarowaniem. – Warto byłoby znaleźć tamtą krewną. Może by się przydała. Coś ty taki osowiały, Żenia? Golnąłeś sobie dla kurażu?

– Nawet nie zajrzałem do kieliszka. – Szabanow się skrzywił. – Kiepsko się dziś czuję. Sam nie wiem, co mi jest, ledwo stoję na nogach.

– Może coś złapałeś?

– Może. – Szabanow zrobił nieokreślony ruch dłonią. – W głowie mi się kręci, jakbym nie spał trzy noce.

– No dobrze, tak czy siak, jutro zadzwoni Saulak. Mądry z niego gość, postępuje słusznie. Nikołaj mówił, że przyuważyli go z Sieriożą.

To znaczy, że podjął rozsądną decyzję: zamiast przed nami czmychać, woli się z nami zbratać. Tak będzie lepiej i dla niego, i dla nas.

Szabanow się pożegnał, a Grigorij Walentinowicz spędził bezsenną noc, zastanawiając się, jak powinna wyglądać rozmowa z nieuchwytnym Saulakiem. Wiadomo, że facet zażąda forsy za swoje usługi. Więc może go trochę postraszyć, żeby obniżył stawkę? Albo udawać, że nic szczególnego o nim nie wie, i uspić jego czujność? Lepiej chyba zapłacić, ile zażąda, za to potem będzie go można zniecka dopaść.

Czincow zerwał się z łóżka o świcie i pobiegł do kuchni, żeby przygotować śniadanie dla żony i córki. Wcale nie dlatego że był miłośnikiem życia rodzinnego i kochającym mężem. Chciał tylko, żeby panie nie marnowały czasu, jak najszybciej zjadły śniadanie i się wyniosły. Bo wiecznie się guzdrzą, szykują przez dwie godziny, przygotowanie jajecznicy zabiera im ze czterdzieści minut. Córka jest studentką, ale czasy bezpłatnej nauki już minęły, kiedyś za opuszczanie zajęć regularnie wyciągano konsekwencje, niekiedy nawet odbierano stypendium. Teraz o bezpłatnych uczelniach można tylko pomarzyć, a w prywatnych nikt nie zwraca uwagi na dyscyplinę. Zapłaciłeś za semestr, no to rób, co chcesz, możesz w ogóle nie chodzić na zajęcia, kogo to obchodzi, bylebyś tylko zaliczył sesję. Córka nie lubiła wcześniej wstawać i szła dopiero na drugie zajęcia, niekiedy nawet na trzecie. Żona też nie grzeszyła punktualnością w pracy. Tymczasem Grigorij Walentinowicz nie chciał, żeby podczas rozmowy z Saulakiem ktoś kręcił się po mieszkaniu i nastawiał uszu. To było niepotrzebne.

– Ojej, Grisza! – ze zdumieniem zawołała żona, wchodząc do kuchni w szlafroku, spod którego wystawała flanelowa koszula nocna. – Czyżbyśmy mieli dzisiaj jakieś święto?

– Ależ skąd – odparł Czincow z udawaną beztroską. – Nie chciało mi się spać, więc wstałem wcześniej. Idź się umyć, bo wszystko już gotowe.

Żona zniknęła w łazience, a on poszedł obudzić córkę. Nie było to łatwe zadanie i wymagało sporego uporów. Rozpieszczona i kapryśna Lena nie siliła się na uprzejmość wobec starszych, nawet gdy byli

nimi rodzice.

– Daj mi spokój – wymamrotała ze złością, odwracając się twarzą do ściany.

– Wstawaj, Leno. Już ósma.

– Powiedziałaś, żebyś mi dał spokój. Wynoś się stąd.

– Wstawaj, do kogo mówię! – Czincow podniósł głos.

– A idź w cholerę...

Gwałtownie się odwróciła, odchyliła kołdrę, bezwstydnie odsłaniając nagie ciało, i wrzasnęła na całe gardło:

– Wynocha stąd! Odczep się! Wstanę, jak zechcę.

– Ależ z ciebie wywłoka! – krzyknął Grigorij Walentinowicz, łapiąc kołdrę i ciskając ją w najdalszy róg pokoju. – Wstawaj natychmiast! I narzuć coś na siebie, rozmawiasz z ojcem, a nie ze swoim chłoptasiem! Kogo ja wychowałem! Płacę za twoją naukę, więc bądź łaskawa się uczyć, bo jak nie, to jazda do roboty. Kretynka!

Lena w milczeniu wciągnęła koszulkę sięgającą połowy bioder, minęła ojca umyślnie chwiejnym krokiem i wyszła z pokoju.

Podobne awantury nie były rzadkością w rodzinie Czincowów, bezczelna i niegrzesząca rozumem córka regularnie dostarczała powodów do głośnych dyskusji. Matka w takich wypadkach stawała po stronie męża, wiedziała, że dziecko jest trudne, uważała pretensje Grigorija Walentinowicza za zasadne i wciąż miała nadzieję, że uda się jakoś wpłynąć na rozpieszczone i aroganckie dziecię.

Przy śniadaniu córka siedziała nadąsana, co jednak nie miało żadnego wpływu na jej wilczy apetyt. Tymczasem Czincow nie mógł niczego przełknąć, wypił tylko trzy kubki herbaty. Włączył nawet żelazko i wyprasował żonie spódnice, byleby tylko ta jak najszybciej wyszła. Miał wrażenie, że czas pędzi jak oszalały, a kobiety wciąż się guzdrzą, wciąż czegoś szukają, po dziesięć razy zmieniają a to bluzkę, a to biżuterię. Jakby się szykowały na przyjęcie w ambasadzie amerykańskiej! Wreszcie za dwadzieścia dziesiątą drzwi się za nimi zamknęły i Czincow odetchnął z ulgą. Teraz może rozmawiać.

Wiaczesław Jegorowicz Sołomatin nie wiedział, co się z nim dzieje. Nogi i ręce miał ciężkie jak z ołowiu, w całym ciele czuł bezwład, a słowa dobiegały doń jakby z oddali.

– Po co panu Paweł? – pytała go niewysoka blondynka w krótkim jasnym futerku.

– Żeby pomógł – odparł, z trudem poruszając wargami.

– Kto potrzebuje jego pomocy?

– Prezydent.

– Czy prezydent wie o tym, że potrzebuje pomocy?

– Nie. Ja wiem. Chcę mu pomóc.

– Dlaczego pan sądzi, że Paweł może się przydać?

– Nie wiem... Mam nadzieję. Na nikogo więcej nie mogę liczyć.

Wszyscy dokoła są kupieni, wszyscy się sprzedali...

– Czy Paweł wie coś, co mogłoby panu zaszkodzić?

– Nie. Nic takiego nie ma. Nic nie zrobiłem.

– Wydaje się panu niebezpieczny?

– Nie. Mam nadzieję... Nie zrobiłem mu nic złego. I nie zamierzam.

Chcę tylko, żeby mi pomógł.

– Widzi mnie pan, Wiaczesławie Jegorowiczu?

– Tak.

– Jak wyglądam?

– W futerku... Niewysoka, z jasnymi włosami. Szczupła. Jest ciemno, nie widzę oczu...

– Myli się pan – powiedziała kobieta. – Jestem postawna i tęga. Farbowana blondynka, włosy krótko przystrzyżone. Zielony płaszcz puchowy. Twarz z jaskrawym makijażem. W uszach brylanty. Zgadza się?

– Owszem – posłusznie przytaknął Sołomatin.

No bo rzeczywiście, skąd mu przyszło do głowy, że ona jest niewysoka i szczupła? Przecież to potężna baba w zielonym płaszczu. Wydaje się w nim jeszcze masywniejsza. Ma też kolczyki w uszach, co prawda w ciemności nie widać, z jakimi kamieniami, ale nie ulega wątpliwości, że to brylanty. Coś mu się zrobiło ze wzrokiem...

– Paweł zadzwoni do pana jutro rano i wtedy wszystko ustalicie. Zaraz pana zostawię, proszę odczekać parę minut, a potem wrócić do domu. Nie będzie pan niczego pamiętał, jedynie to, że z panem

rozmawiałam i obiecałam, że Paweł zadzwoni. Prawda, Wiaczesławie Jegorowiczu?

– Tak – wyszeptał zdრętwiałymi wargami.

Kobieta zrobiła parę kroków do tyłu i zniknęła w ciemności, jakby się rozpułnęła w wieczornej mgle. Sołomatin posłusznie czekał, ogarnięty dziwnym odrętwieniem. Powoli zaczął czuć się lepiej, nieznośny ciężar przestał go przygniatać, odzyskał władzę w rękach i w nogach. Co się z nim dzieje? Co tutaj robi? Ach tak, rozmawiał z kobietą, tęgą, farbowaną blondynką w zielonym płaszczu. Na temat Pawła. Obiecała, że Saulak jutro zadzwoni. Boże! – nagle zreflektował się Sołomatin. Skąd on wiedział, że go szukam? Czyżby Wasilij popełnił błąd? Kazałem mu z daleka go śledzić, nie zbliżać się i nie kontaktować. Waśka się zaklinał, że Saulak go nie zauważył, a jego zniknięcie na lotnisku w Jekaterynburgu było spowodowane tym, że próbował uwolnić się od tamtych facetów, którzy przyjechali wołgą pod bramę kolonii. Czyżby Waśka kłamał? A może to kolejna sztuczka Saulaka? Bułatnikow mówił, że Paszka z każdego wyciągnie prawdę.

Wiaczesław Jegorowicz oprzytomniał i popatrzył na zegarek. Wpół do jedenastej, już dawno powinien być w domu, a tymczasem stoi tutaj, w Kuncewie, na ulicy Griszyna... Chyba sam diabeł maczał w tym palce!

Stąpając wolno i ostrożnie, dotarł do samochodu, upewnił się, że nogi ma znowu sprawne, i zdecydowanie usiadł za kierownicą.

∴

Dzisiaj Rita spisała się lepiej, odzyskała pewność siebie, więc jej dar objawił się z całą mocą. Paweł nie od razu odjechał, polecił jej wsiąść do samochodu, a sam stał w ciemności, w cieniu drzew, i obserwował Sołomatina. Tym razem Rita nie kazała mu liczyć do trzystu, zażądała, żeby chwilę odczekał, ale Wiaczesław Jegorowicz ocknął się dopiero dwadzieścia trzy minuty później, Saulak umyślnie spoglądał na zegarek. Brawo, Rito! Paweł obawiał się, że po nocy, którą z nim spędziła, opadnie z sił albo nie będzie mogła się skupić, tymczasem okazało się, że nic z tych rzeczy. Zaczęła pracować lepiej.

Może w tym tkwił szkopuł? Rita była najślabsza w grupie, nie powierzał jej skomplikowanych zadań, ale może chodziło jedynie o to, że brakowało jej pozytywnych emocji? Jeżeli tak właśnie było, jest nadzieja, że jej talent się rozwinie. Jeżeli będzie oddana Pawłowi, nikt więcej nie będzie mu potrzebny. Trzeba sprawdzić, co się dzieje z resztą. Jeśli naruszyli zakaz i się ujawnili, pał ich sześć. Na szczęście nikt z nich nie zna Rity, żadna nic nie doprowadzi ich do niej, nawet jeśli się okaże, że coś z nimi nie tak.

Rita wyglądała na wycieńczoną, na skroniach perliły się krople potu. Paweł z dziwną czułością pomyślał, że pewnie się przyłożyła do zadania, zaangażowała w rozmowę z Sołomatinem, bo nie chciała, żeby on, Paweł, poczuł się rozczarowany. W jego życiu nigdy nie było kobiety, która przejmowałaby się jego zdaniem i bała się go rozczarować. Nagle przypomniał sobie chwilę, w której zobaczył Ritę po raz pierwszy. Malutka, szczuplutka, z trupio bladą twarzą, w długim ohydny szpitalnym szlafroku, słała się z osłabienia po silnych zastrzykach. Miała zaledwie dziewiętnaście lat i wyglądała jak upiór. Najpierw trafiła na komisariat, bo sąsiadka z komunalnego mieszkania oświadczyła, że Rita regularnie kradnie i wylewa do zlewu wódkę, którą tak samo regularnie kupuje niestroniący od alkoholu mąż sąsiadki. Dzielnicowy chciał załatwić sprawę ugodowo, ale sąsiadka (Paweł był tego pewien) wsunęła mu do kieszeni pewną sumkę, żeby zatrzymał Ritę za chuligaństwo, dzięki czemu ona i jej mąż mogliby się ubiegać o większą powierzchnię mieszkalną z uwagi na zwolniony pokój. Ritę odwieziono na komisariat, po czym do śledczego wpłynął wniosek o wszczęcie sprawy karnej, uzupełniony o odpowiednio spreparowane materiały. Na przesłuchaniu Rita, chodząca naiwność, ni z tego, ni z owego oświadczyła:

- Oni sami wylewali wódkę, ja jej nie ruszałam.
- Czy ty wiesz, dziewczyno, co mówisz? – zdumiał się śledczy. – Jak mogli sami wylewać wódkę? Takie rzeczy się nie zdarzają.
- Zdarzają – z uporem stwierdziła Rita. – Bardzo chciałam, żeby ją wylali, więc to robili.

Nie udzieliła żadnych rozsądnych wyjaśnień, więc podjęto mądrą decyzję: dziewczynę należy poddać obserwacji sądowo-

psychiatrycznej. Ponieważ wciąż się upierała, że nie ruszała butelek, a sąsiedzi wykonywali tylko jej wolę, lekarze z lekkim sercem uznali ją za niepoczytalną i znalazła się w szpitalu psychiatrycznym. Dobrze, że Bułatnikow w porę się zorientował i Paweł zdążył ją stamtąd zabrać, zanim końskie dawki leków zrobiły swoje. Pieczę nad wszystkim trzymał oczywiście generał, Pawła w tym czasie zwolniono z KGB, więc nie miał żadnych możliwości, ale to on przyjechał do szpitala po Ritę. Władimir Wasiljewicz kierował się twardą zasadą: kontaktował się wyłącznie z Pawłem. Sam szukał ludzi do jego grupy, ale żadna osoba nie mogła wiedzieć o jego związku z Pawłem ani o tym, że to Bułatnikow jest prawdziwym szefem. Członkowie grupy powinni mieć kontakt tylko ze swoim opiekunem – Saulakiem.

Rita już nie wróciła do komunalnego mieszkania, Bułatnikow polecił Pawłowi przenieść ją do małej kawalerki, podleczyć i przeprowadzić procedurę werbunku. Paweł potrzebował trochę czasu, by dziewczynę przekonać, że tylko nawiązując z nim współpracę, może pozostać na wolności i prowadzić spokojne życie. W przypadku odmowy on przestanie się nią opiekować, więc będzie musiała wrócić do komunalnego mieszkania z przemiłymi sąsiadami i historia z milicją oraz szpitalem psychiatrycznym niechybnie się powtórzy. Rita była tak przestraszona tym, co się stało, że nie chciała powtórki. Poza tym uważała Pawła za swojego wybawcę i dobroczyńcę, co w efekcie doprowadziło do tego, że popełniła dość powszechny błąd niedoświadczonych dziewcząt, zakochując się we wspaniałym księciu, który ją uratował. To jednak Paweł zrozumiał dopiero teraz. I nie mógł się nadziwić, że Rita zdawała się nie widzieć jego twarzy, znacznie odbiegającej od ideału męskiej urody.

Dzisiaj Saulak wysadził ją przed wejściem i nie wszedł do środka. Zamierzał wrócić do swojego nowego mieszkania, żeby się wyspać, zebrać siły i się zastanowić. Musi za wszelką cenę załatwić pewną sprawę. Pracuje dla trzech zleceniodawców – generała Minajewa, ekipy kandydata na prezydenta i Sołomatina, zwolennika obecnego prezydenta – tylko po to, żeby odegnać od siebie niebezpieczeństwo i zapewnić sobie swobodę ruchów, co pozwoli mu doprowadzić do końca tę najważniejszą dlań sprawę.



Przed mieszkaniem Michaiła stała kolejka. Najprawdziwsza, mimo że krótka – zaledwie cztery osoby. Paweł od razu się domyślił, co to oznacza, i zaklął w duchu. A jednak Misza zerwał się z łańcucha, nie umiał pokonać nudy i zerwać z przyzwyczajeniem do dużych pieniędzy. Otworzył prywatną praktykę, drań.

– Kto ostatni? – zapytał Saulak, omiatając wzrokiem cztery kobiety. Były w różnym wieku, ale miały ten sam wyraz twarzy.

– A pan na którą? – zapytała najstarsza.

– Na piętnastą trzydzieści – odparł bez wahania.

– To niemożliwe – stwierdziła kobieta stanowczo. – Ja jestem umówiona na piętnastą trzydzieści. Zapisywałam się dwa tygodnie temu.

– No to wejdę po pani – ugodowo zaproponował Paweł.

– Nie, po niej ja wchodzę – wtrąciła się młodsza kobieta. – Mam wizytę o szesnastej.

– Żaden problem, dziewczyny. Najpierw wy, potem ja.

Panie popatrzyły na niego z dezaprobatą, ale nic nie powiedziały.

– Prawdę mówiąc, nie jestem umówiony – wyznał Paweł. – Ale mam pewną sprawę... Bardzo pilną. Same rozumiecie. Nie, nie denerwujcie się, nie wepchnę się bez kolejki, najpierw was przepuszczę. Tylko mnie nie wydajcie, gdyby przyszedł ktoś jeszcze, dobrze?

Kobieta, która była umówiona na czwartą, zerknęła nań ze współczuciem.

– Pewnie to coś poważnego – powiedziała. – Nie wygląda pan najlepiej. Proszę się nie bać, po panu już nikt nie przyjdzie, Michaił Dawidowicz przyjmuje do piątej, ostatnia wizyta jest o szesnastej.

Paweł nic nie odrzekł, zszedł na półpiętro i przysiadł na parapecie. A więc Misza przyjmuje klienta co pół godziny. Nieszczęsny chałturnik. Czy w ciągu trzydziestu minut można kogoś zahipnotyzować i mu wmówić, że wszystko się ułoży? Do tego potrzeba co najmniej dwóch godzin. A może Misza nie stosuje hipnozy, to świetny fachowiec, zadziwiający twór natury. Jest tylko

nazbyt chciwy. Kiedyś go to zgubi.

Saulak cierpliwie czekał, myśląc, że Michaił wprowadzie uprawia chałturę, ale wyróżnia się sumiennością: co pół godziny do mieszkania wchodziła kolejna kobieta. Wśród osób, które wyszły z seansu, był też jeden mężczyzna. Wreszcie o wpół do piątej w drzwiach pojawiła się kobieta, która była umówiona na szesnastą, i Paweł zdecydowanie wspiał się po stopniach i wszedł do ciemnego przedpokoju.

– Michaile Dawidowiczu! – zawołał głośno. – Przyjmie pan nagły przypadek?

– Niech pan wejdzie – rozległ się z głębi mieszkania znajomy głos.

Paweł wszedł do małego pokoju i z ulgą stwierdził, że Michaił naruszył wprowadzie zakaz, ale przynajmniej nie udawał wróżbity. Żadnych świec, krzyży, talizmanów oraz innych atrybutów, które miałyby sugerować klientom związek jasnowidza z siłami wyższymi i duchami z tamtego świata. Michaił siedział przy zwyczajnym biurku, ubrany w zwyczajny garnitur i jasną koszulę z krawatem. Nie wyglądał jednak na biznesmena, tylko raczej na kogoś z bohemy: kręcone włosy sięgały ramion, na nosie widniały okulary z przyciemnianymi szklami, a brzusek jeszcze bardziej się zaokrąglił i stał widoczny.

– Paweł Dmitrijewicz! – sapnął.

– Nie spodziewałeś się? – powiedział Paweł ze złością. – Sądziłeś, że nie dowiem się o twoich wyczynach? Prawie cała Moskwa o tobie trąbi, pod drzwiami ustawia się kolejka.

– Ależ, Pawle Dmitrijewiczu – wybąkał Michaił – to nic takiego... Zwyczajna psychoterapia, bez wygłupów. Przysięgam, że nikt nie wie.

– No to czym się zajmujesz na tych wizytach, hę? Zdejmujesz uroki? Zmuszasz niewiernych kochanków do powrotu, sukinsynie?

– Co też pan mówi?! – Tamten zamachał rękami. – Po prostu rozmawiam z ludźmi, pomagam im pokonać stres. Tłumaczę, że nie należy przejmować się tym, co zatruwa życie. Zna pan zasadę? Jeśli nie możesz zmienić sytuacji, zmień swój stosunek do niej. No więc uczę ich, jak mają zmienić nastawienie do niepokojącej sytuacji. Robię to oczywiście wbrew ich woli, ale przysięgam panu, że nie są

tego świadomi. Nie mają o niczym pojęcia. Niechże się pan postawi w moim położeniu, Pawle Dmitrijewiczu! Wyjechał pan i nie powiedział, na jak długo, no a jakoś trzeba żyć. Co miałem robić? Szlifować bruki do śmierci?

– Dobra, dosyć tego jęczenia. Wróciłem, jesteś mi potrzebny.

– Naturalnie, naturalnie, Pawle Dmitrijewiczu – wybąkał Michaił z radością, widząc, że mu przebaczone. – Jestem gotów, przez cały czas trenowałem, właśnie po to otworzyłem gabinet, żeby nie stracić wprawy...

– Mogłeś stracić nie wprawę, tylko życie – rzucił Saulak z gniewem.

– Chyba jesteś obrany z rozumu! Przecież cię uprzedzałem.

Ale złość już mu przeszła i teraz myślał tylko o tym, jak najlepiej wykorzystać Michaiła.

≡

Jula Trietiakowa stawiała pierwsze kroki w dziennikarstwie. Marzyła o sławie, rzecz jasna, o publikacjach na temat szokujących skandali i o demaskatorskich wywiadach, których udziela jej najbardziej znani ludzie w kraju, a może nawet na całym świecie, ale na razie powierzano jej tylko zbieranie materiału do rubryki „Z ostatniej chwili”.

Dzisiaj w jednym z rejonowych komisariatów dyżurował jej znajomy i Jula zamierzała pokreć się koło niego do południa, żeby na piątą przynieść do redakcji notatki na temat rabunków i rozbojów, a jeśli się uda, na temat okrutnych zabójstw. Po prasówce wyszła z redakcji i ruszyła już w stronę metra, gdy podszedł do niej okazały tęgawy mężczyzna w przyciemnianych okularach, z długimi kręconymi włosami.

– Poświęci mi pani chwilę? – odezwał się przyjemnym głosem.

Jula nerwowo się obejrzała, potem pomyślała, że budynek redakcji jest tuż obok, w najgorszym razie zawsze można tam wrócić. Niewykluczone, że mężczyzna okaże się kimś... No, krótko mówiąc, nie powinna rezygnować z takich rozmów. A nuż dowie się jakiejś sensacji.

– Słucham pana – powiedziała, życzliwie się uśmiechając.

– Mam dla pani propozycję. Ale wolałbym nie rzucać się w oczy pani kolegom. Może się trochę przejdziemy?

Jego słowa ją zaintrygowały, chociaż w głębi ducha poczuła niezrozumiały strach. No, ale jest przecież dziennikarką! Nie ma prawa się bać, skoro jest okazja, by zdobyć gorący materiał.

Mężczyzna ruszył w stronę podwórza i Jula posłusznie za nim pomaszerowała. Na podwórzu usiedli na ławce, zbyt niskiej dla dorosłych.

– Poznajmy się – zaczął mężczyzna. – Mam na imię Grigorij, a pani?

– Jula. No więc, Grigoriju, słucham pana.

– Widzi pani, Juleńko, już od dawna panią obserwuję. Zwróciłem na panią uwagę parę miesięcy temu i proszę sobie wyobrazić, że od razu się zakochałem. Ależ tak, proszę się nie śmiać, nawet w naszych cynicznych komercyjnych czasach to się jeszcze czasami zdarza. Od tamtej pory często przychodzę pod budynek redakcji i czekam, aż się pani zjawi. Niech się pani nie obawia, nie mam złych zamiarów. Jest pani wyjątkowa, mógłbym podziwiać panią z daleka i uważać się za szczęściarza. Ale pojawiła się okazja, żeby wyświadczyć pani przysługę. Właśnie dlatego postanowiłem panią zagadnąć.

– O jakiej przysłudze pan mówi?

– Dzięki mnie cały świat dziennikarski będzie o pani mówił.

– Ma pan sensacyjny materiał? – Jula od razu się zapaliła.

– Jeszcze nie. Ale mogę mieć, jeśli pani tego zechce.

– Nie rozumiem. – Dziewczyna się zachmurzyła.

– Wy tłumaczę. Mogę przeprowadzić wywiad z Ratnikowem.

– Co też pan wygaduje! – jęknęła dziennikarka. – Nie, nie wierzę panu. Już od dwóch lat Ratnikow nie pozwala się zbliżyć dziennikarzom. Odkąd znalazł się w ekipie prezydenta, nikomu nie udało się przeprowadzić z nim wywiadu.

– No właśnie. – Grigorij uśmiechnął się czarująco. – Nikomu. Ani jednego wywiadu w ciągu dwóch lat. Za to w prasie i telewizji regularnie pojawiają się informacje, że Ratnikow nie chce rozmawiać z dziennikarzami. Wyobraża pani sobie, jaki szum się podniesie, gdy stanie się pani jedyną osobą, dla której niedostępny Ratnikow zrobił wyjątek?

- Ale on tego nie zrobi – stwierdziła niepewnie.
 - Zrobi. Jeżeli się pani zgodzi, za trzy dni gazeta, dla której pani pracuje, opublikuje wywiad. Chce pani?
 - Ale nie rozumiem... Nie, nie wierzę panu.
 - Nie pytam, Juleńko, czy mi pani wierzy. Pytam, czy pani tego chce.
 - Boże, no oczywiście, że chcę. Co za pytanie! Ale jak pan to zrobi?
 - Sam przeprowadzę z nim wywiad. Ma pani rację, on pani nie wpuści, podobnie jak nikogo z dziennikarskiej braci. Ale ja mogę to zrobić. I przekażę pani kasetę z nagraniem rozmowy. A pani przygotuje materiał do publikacji pod swoim nazwiskiem.
 - Przecież to oszustwo! – obruszyła się Jula. – Które natychmiast wyjdzie na jaw. Ratnikow przeczyta gazetę i publicznie oznajmi, że udzielił wywiadu mężczyźnie imieniem Grigorij, a nie Julii Trietiakowej.
 - To już mój problem. Daję pani słowo, że nic takiego się nie zdarzy. To jak, Juleńko? Proszę decydować.
 - Czemu panu na tym zależy? – zapytała podejrzliwie, walcząc z pokusą, żeby natychmiast się zgodzić.
 - Chcę zrobić dla pani coś miłego. – Nowy znajomy uśmiechnął się rozbijająco. – Bardzo mi się pani podoba. Nie liczę na bliską znajomość, wiem, że tak piękna i utalentowana dziewczyna na pewno ma kogoś, kogo kocha, kto jest jej drogi i którego nie porzuci dla takiego oryginała i dziwaka jak ja. Wcale nie bujam w obłokach, jak mogłaby pani podejrzewać, chociaż jestem zdolny do silnych uczuć i prawdziwego oddania. Byłaby to dla mnie prawdziwa przyjemność, gdybym mógł się pani przydać. Oto moja motywacja.
 - Co z gwarancjami? Skąd mam wiedzieć, że na taśmie będzie głos Ratnikowa? A jeśli mnie pan oszuka?
 - Skoro się pani boi, mogę zrobić nagranie wideo. Nie zna pani jego głosu, no ale twarz...
- Jula miała kompletny mętlik w głowie. Chciała zrobić ten materiał, i to bardzo. Byłby to pierwszy krok na drodze ku sławie, i to olbrzymi! Zyska opinię dziennikarki, dla której nie ma zamkniętych drzwi. Wielu starych wyjadaczy połamało sobie zęby na Ratnikowie, każdego odprawił z kwitkiem, a ona dała radę! Sytuacja była jednak

dziwna... Niespodziewana.

Nagle rozjaśniło jej się w głowie, wszystko wydało się proste i oczywiste. Nad czym się tutaj zastanawiać? Taka szansa zdarza się raz w życiu, musiałyby być kompletną kretynką, żeby z niej nie skorzystać.

– Dobrze – powiedziała stanowczo. – Zgadzam się.

– No to świetnie. Pojutrze o tej samej porze będę czekał na panią na tym podwórzu. Przekażę pani wideokasetę z wywiadem.

– Czego oczekuje pan w zamian?

– Ależ, Juleńko! – zawołał Grigorij z oburzeniem. – Czyżby nie wierzyła pani w bezinteresowność?

– No cóż, w takim razie z góry dziękuję – powiedziała, wstając. – Mam nadzieję, że mnie pan nie zawiedzie i nie oszuka.

Razem wyszli przez bramę. Jula skręciła w stronę metra, a jej nowy znajomy przeszedł na drugą stronę ulicy i wsiadł do wiśniowego volva.

⋮

Michaił już dawno nie wykonywał tak trudnych zadań. Wprawdzie zapewniał Pawła, że stale trenował, ale czy wmawianie różnych rzeczy histerycznym i gotowym uwierzyć we wszystko kobietom, roztrzęsionym na skutek wiecznych problemów i nieszczęść, można porównać z tym, co go czekało tym razem? Dzisiaj miał pracować z silnymi, zdrowymi mężczyznami, którzy nikomu nie wierzą i w każdym widzą wroga. Ale Michaił wiedział, że musi to zrobić, musi za wszelką cenę wykonać zadanie, inaczej Paweł urwie mu głowę. Nawiasem mówiąc, nie da mu też pieniędzy.

Zamknął samochód, zarzucił na ramię solidną torbę z kamerą video, po czym westchnął głęboko, przymknął na chwilę oczy, żeby się skoncentrować, i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę wieżowca z cegły na Starokoniuszennym. W drzwiach nie było domofonu, nic w tym jednak dziwnego, skoro pilnował ich barczysty, napakowany ochroniarz z rozpiętą kaburą na boku.

– Pan do kogo? – zapytał surowo, zagradzając drogę Michaiłowi.

Ten w milczeniu spojrzał mu w oczy i wyciągnął z kieszeni

plastikową legitymację dziennikarską, na której było napisane: „Julia Trietiakowa, korespondent”. Ochroniarz miał silną wolę, więc Michaił przez dłuższą chwilę musiał przesyłać impulsy, żeby złamać opór. Wreszcie tamten sięgnął po legitymację.

– Muszę pana zapisać – powiedział apatycznym głosem.

– Oczywiście – przytaknął Michaił.

Wszystko idzie jak po maśle, na to liczył. W razie kontroli w księdze znajdzie się adnotacja, że była tutaj Julia Trietiakowa. Ochroniarz zapisał niezbędne dane i zwrócił legitymację. Michaił wsunął ją do kieszeni i dziarsko ruszył ku windom. Pierwsza przeszkoda została pokonana. Teraz trzeba dostać się do mieszkania i zmusić Ratnikowa, żeby udzielił wywiadu. Czy Michaiłowi nie zabraknie sił? No cóż, chyba nie zabraknie, nie może tylko stracić czujności i dopuścić do głosu tchórzliwych myśli.

W windzie znowu zamknął oczy, próbując się skupić. Automatyczne drzwi rozsunęły się płynnie na boki i przed Michaiłem stanął kolejny ochroniarz, który pilnował już nie wszystkich lokatorów, a wyłącznie doradcy prezydenta zajmującego całe piętro. Tym razem potrzebny był znacznie intensywniejszy wysiłek, bo ochroniarz tkwił nieruchomo przy windzie, nie użył jednak siły, co było dobrym znakiem. Odsuń się, nakazał mu w myślach Michaił. Zrób trzy kroki do tyłu, odwróć się, podejdź do drzwi Ratnikowa i zadzwoń. Gdy usłyszysz: „Kto tam?”, odezwij się. Odsuń się, odwróć się, zadzwoń. Odsuń się.

Ochroniarz posłusznie zrobił trzy kroki w tył i zadzwonił do mieszkania. Chwilę później Michaił już rozmawiał z żoną doradcy, która okazała się łatwą zdobyczą, bo była zupełnie nieprzygotowana na opór. Miło się uśmiechając, poprowadziła go długim korytarzem w głąb mieszkania.

– Sasza, masz gościa – powiedziała, otwierając drzwi do gabinetu męża.

Michaił poczuł falę gniewu bijącą od Ratnikowa. Nie spodziewał się żadnych gości, zwłaszcza dziennikarzy, którzy mieli kategorię zakaz wstępu do mieszkania.

– Kim pan jest? Dlaczego pana tutaj wpuszczono? – zapytał z irytacją.

– Aleksandrze Iwanowiczu – zaczął łagodnie Michaił...

Był mokry z wysiłku, krople potu spływały mu po plecach, długie, kręcone włosy przylgnęły do wilgotnej szyi. Gdy zadanie było trudne, nie mógł nosić okularów, bo szkła rozpraszały i zatrzymywały impulsy, więc niezbyt wyraźnie widział to, co się znajdowało w odległości ponad trzech metrów. Ten stan rzeczy go drażnił, ale usiłował nie zwracać na to uwagi i koncentrował się wyłącznie na stłamszeniu woli doradcy prezydenta. Jednakże ponaddwuletnia przerwa w pracy dała o sobie znać. Michaił zdążył już zapomnieć, jak niesłychanie ciężka jest prawdziwa praca.

Ale dwadzieścia minut później poczuł, że całkowicie panuje nad sytuacją. Ratnikow siedział odprężony w fotelu przy biurku i patrząc prosto w kamerę, opowiadał o różnicach poglądów w ekipie prezydenta. Co pewien czas Michaił zadawał pytania i jego głos też się nagrywał. Ale nie szkodzi, w razie potrzeby można w tych miejscach usunąć dźwięk i podłożyć głos Juli Trietiakowej. Najważniejsze, że Michaiła nie było w kadrze, bo stał przed Ratnikowem z kamerą na ramieniu.

Wywiad się skończył. Michaił wyłączył kamerę, schował ją do torby i podszedł do doradcy.

– Dobra robota – powiedział cichym, niemal pozbawionym intonacji głosem. – Gdy ktoś pana zapyta, komu udzielił pan wywiadu, proszę powiedzieć, że odwiedziła pana sympatyczna młoda dziewczyna, Julia Trietiakowa. Proszę, zostawiam panu wizytówkę, żeby pan nie zapomniał, jak się nazywa i z jakiej jest gazety. A mnie nigdy pan nie widział, prawda?

– Owszem. – Ratnikow markotnie skinął głową.

Oczy miał utkwione w jeden punkt – tam gdzie jeszcze niedawno paliło się czerwone światełko kamery. Był pod wpływem silnej hipnozy, teraz można mu było wmówić wszystko i zablokować każde wspomnienia.

– Do widzenia, Aleksandrze Iwanowiczu – powiedział Michaił. – Nie musi mnie pan odprowadzać, znajdę wyjście. Gdy tylko usłyszy pan, że trzasnęły drzwi, odzyska pan świadomość. I wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. Zrozumiał pan?

- Tak. - Doradca znowu kiwnął głową.
- W takim razie niech się pan ze mną pożegna.
- Do widzenia... Jula.

Michaił powoli opuścił gabinet i ruszył na palcach do przedpokoju. Bez trudu udało mu się otworzyć parę zamków, w które wyposażono drzwi do mieszkania. Znalazłszy się na klatce schodowej, z całej siły nimi trzasnął, żeby Ratnikow usłyszał sygnał i wyszedł z transu. No bo co by było, gdyby żona weszła do gabinetu, a on siedziałby z wytrzeszczonymi oczami i z nieprzytomnym wyrazem twarzy...



Michaił Dawidowicz Łarkin dobrze wiedział, komu i dlaczego zawdzięcza swój dobrobyt, nie miał co do tego żadnych złudzeń. Jego niezwykły dar ujawnił się w okresie dojrzewania i w ogóle go nie przeraził. Misza natychmiast go wykorzystał, żeby zapewnić sobie dobre oceny w szkole. W ten sam zuchwały sposób dostał się na uczelnię techniczną, bo na początku lat siedemdziesiątych spokojni żydowscy chłopcy nie mieli czego szukać na prestiżowych uczelniach humanistycznych. Z fizyką i matematyką radził sobie słabo, ale otrzymywał całkiem niezłe oceny na egzaminach, dzięki czemu mógł żyć ze stypendium. Musiał tylko wchodzić na egzaminy ostatni, żeby żaden kolega nie słyszał bzdur, które wygadywał. Dyplom nie zapewnił mu wiedzy, więc po otrzymaniu przydziału do KB[7] życie Michaiła stało się całkiem nijakie. Szefowie go wyzywali, koledzy ze zdumieniem wruszali ramionami na widok jego beznadziejnych projektów, przy każdej okazji przenoszono go z miejsca na miejsce, żeby uwolnić się od ciężaru i zwolnić stanowisko dla bystrzejszego inżyniera. Nie pomagały nawet jego niezwykle zdolności, bo żadne hipnotyczne oddziaływania nie potrafiły sprawić, żeby zaprojektowana przezeń aparatura zaczęła działać.

Misza miał jednak szczęście, ponieważ jego mama była krawcową w teatrze, który często występował za granicą. Mamy wprowadzie ze sobą nie zabierano, w teatrze pracowali kostiumerzy z lepszą ankieta osobową. Ale Iraida Isaakowna była duszą teatralnych kulis, cały zespół ją uwielbiał, dzielono się z nią radościami i kłopotami,

wyplakiwano na jej ramieniu, przekazywano szeptem plotki i nowiny. Już w dzieciństwie Misza lubił odwiedzać matkę w pracy. Aktorzy rozpieszczali kędzierzawego, puciołowatego aniołka, brali go na kolana, częstowali cukierkami i pomarańczami. Gdy miał osiem lat, zagrał nawet niewielką rolę w spektaklu. Będąc już dorosły, nadal zaglądał do teatru, gdzie zawsze był mile widziany, bo wciąż kochano Iraidę Isaakownę i przenoszono sympatię oraz zaufanie na jej syna. Nikt więc się nie krępował omawiać swoich prywatnych spraw w jego obecności.

Pewnego dnia, gdy Misza pięć albo sześć razy zmienił już pracę, kazano mu się stawić u kierownika działu. W pokoju był jeszcze jakiś nieznamy mężczyzna.

– A oto i nasz Michaił Dawidowicz – z dziwną radością oznajmił kierownik, wstając. – Zostawię panów, porozmawiajcie sobie, nie będę wam przeszkadzał.

Gość okazał się funkcjonariuszem KGB, który w uprzejmy i kulturalny sposób zaproponował Łarkinowi, żeby uważnie przysłuchiwał się rozmowom prowadzonym przez aktorów oraz innych pracowników teatru, zwłaszcza przed wyjazdem za granicę. Czy ktoś nie zamierza czasem przemyścić czegoś cennego? Czy nie kupuje waluty, żeby wydać ją potem w zachodnich sklepach? Nie zdradza strasznego zamiaru pozostania na obczyźnie?

– Chyba pan rozumie, Michaił Dawidowiczu – łagodnie mówił mężczyzna z KGB. – Jest pan kiepskim inżynierem, prędzej czy później straci pan pracę. Przenoszą pana z biura do biura, z działu do działu i nikt nie wie, co z panem zrobić. W końcu znajdzie się bezwzględny szef, który nie zawaha się zwolnić pana za brak profesjonalizmu, a z taką adnotacją w książeczce pracy nigdzie pana nie przyjmą. Chyba że jako dozorcę. Ale pan przecież nie chce zostać dozorcą?

– To prawda – odparł Misza szczerze. – Nie chcę.

– No widzi pan. Ale jeśli będzie nam pan pomagał, dział kadr otrzyma odpowiednie dyspozycje i nikt już pana nie ruszy. Nawet nie będzie pan musiał chodzić codziennie do pracy. Będzie pan mógł zabierać projekty do domu, a już nasza organizacja zadba o to, żeby wyglądały należycie. Nawiasem mówiąc, zdradzi pan, jak to się stało,

że skończył pan uczelnię i zdobył dyplom inżyniera, dysponując tak skromną wiedzą? Dawał pan łapówki wykładowcom?

– Jakże znowu łapówki?! – Michaił roześmiał się serdecznie i nagle, pod wpływem niespodziewanego impulsu, wyznał agentowi, w jaki sposób zdobywał oceny na egzaminach.

W głębi ducha podejrzewał, że funkcjonariusz KGB mu nie uwierzy i uzna jego opowieść za zgrabną historyjkę, ten jednak, o dziwo, poważnie potraktował wyznanie Miszy.

– To bardzo ciekawe – powiedział w zamyśleniu. – Może wpadłby pan do mnie do pracy i porozmawialibyśmy bardziej rzeczowo?

Misza nie miał pojęcia, o co chodziło agentowi, ale bez wahania się zgodził. Uważał, że związek z tak potężną organizacją jak KGB może stać się istotnym wsparciem dla spokojnego żydowskiego chłopca bez zdolności do nauk ścisłych i tak naprawdę bez żadnego fachu w ręku, no i w ogóle bez niczego z wyjątkiem dyplomu nieidącego w parze z wiedzą.

Mężczyzna polecił, żeby przyjechał na dalsze negocjacje i zostawił mu kartkę z adresem. Misza zdziwił się, że w adresie nie figurowała Łubianka, ale o nic nie zapytał. Skoro postanowił, że powinien się zaprzyjaźnić z organizacją, nie wypada, by od pierwszej chwili był podejrzliwy i zadawał niepotrzebne pytania.

Nazajutrz udał się pod wskazany adres. Na miejscu stwierdził, że to zwyczajna kamienica. Gdy zadzwonił do drzwi mieszkania, na progu stanął nie wczorajszy znajomy, tylko zupełnie inny mężczyzna, który się przedstawił jako Paweł Dmitrijewicz. Rozmawiał z Łarkinem nie o teatrze, wyjazdach za granicę i o donoszeniu, tylko o jego niezwykłym darze. Pierwszego dnia skończyło się na rozmowie, ale Paweł Dmitrijewicz oznajmił, że konieczna jest seria prób, i poprosił, żeby Misza przyszedł nazajutrz.

Następnego dnia w mieszkaniu zjawiała się jakaś para – mężczyzna i kobieta. Paweł Dmitrijewicz zaproponował, by Łarkin zaprezentował swoje umiejętności. Żeby eksperyment był wiarygodny, najpierw miał zapisać na kartce to, co zamierzał zasugerować parze, a potem przystąpić do działania. Po zakończeniu eksperymentu Paweł Dmitrijewicz wyjął kartkę z zaklejonej koperty i porównał tekst z rezultatem. Był bardzo zadowolony. Odprawił

mężczyznę i kobietę, a Miszę poprosił, żeby jeszcze został.

– Proponuję panu, Michaile – powiedział – by zapomniał pan o dotychczasowym życiu i rozpoczął nowe. Żadnych projektów i rysunków, żadnych reprimend od szefów i przenoszenia się z miejsca na miejsce. Niech pan zamknie ten rozdział. Proponuję panu prawdziwe męskie życie, w którym nie będzie wisiało nad panem widmo zwolnienia wynikającego z pańskiego ubożego wykształcenia i narodowości. Musi pan przyznać, że w naszym społeczeństwie to nie bagatela.

– Co miałbym robić? – skwapliwie zapytał Misza.

– Otrzyma pan skromną posiadłość, bo nawet my nie możemy uchronić pana przed karą za pasożytnictwo. Ale obiecuję, że praca będzie łatwa i nieuciążliwa, a co najważniejsze, niewymagająca specjalistycznej wiedzy. Będzie pan miał dużo wolnego czasu, w którym czasami, podkreślam – tylko czasami, będzie pan wykonywał moje zadania związane z pańskimi niezwykłymi zdolnościami. Tylko my będziemy wiedzieli o naszej współpracy, więc jeśli obawia się pan o swoją reputację, zapewniam pana, że wszystko będzie w porządku. A wykonywanie zadań bardzo się panu opłaci. Bardzo – powtórzył znacząco.

– Jaki charakter będą miały te... zadania? – nieśmiało zapytał Misza, czując, jak ziemia usuwa mu się ze strachu spod nóg.

Nigdy nie marzył o prawdziwym męskim życiu, nie pociągały go westerny ani filmy akcji, chciał być syty, poważany i bogaty, to wszystko. Tymczasem teraz pewnie będzie musiał biegać, strzelać, uczestniczyć w pościgach samochodowych... Z wufu zawsze miał trójkę, którą dostawał nie za zadowalające wyniki w biegach i skokach, lecz za sumienny udział w zajęciach na sali gimnastycznej i na stadionie.

– Już panu mówiłem, że zadania będą się wiązały z wykorzystaniem pańskiego wrodzonego daru.

– Żadnych zasadzek i pościgów? – nieufnie zapytał Łarkin.

– Czyżby miał pan ochotę sobie postrzelać? – Paweł Dmitrijewicz lekko się uśmiechnął. – Możemy to zorganizować.

– Ależ nie. – Misza się przestraszył. – Wprost przeciwnie. Nie mam na to najmniejszej ochoty.

– No to świetnie. Decyzję musi pan podjąć zaraz. Niech się pan zastanowi i powie, czy się zgadza. Proszę jednak wziąć pod uwagę następujące okoliczności. Po pierwsze: odmawiając, skazuje się pan na wieloletnie gnuśnienie w rozmaitych biurach, skąd będzie pan wciąż usuwany. Po drugie: wyrażając zgodę, zapewni pan sobie spokojną i dostatnią egzystencję. I po trzecie: jeżeli pan odmówi, przez całe życie będzie pan sobą gardził za to, że dostał dyplom właściwie nielegalnie, będzie się pan wstydził, w jaki sposób wykorzystał swój dar. Tymczasem współpracując z nami, będzie się pan czuł potrzebny i pomocny, wszyscy będą pana szanować i cenić, bo jest pan wyjątkową osobą. Pańska wyjątkowość pozwoli panu nie tylko żyć w luksusie, ale też być z siebie dumnym. A teraz niech się pan zastanowi, a ja zaparzę kawę.

Paweł Dmitrijewicz poszedł do kuchni, zostawiając Łarkina w pokoju. Niespodzianki, które w krótkim czasie spotkały Miszę, sprawiły, że poczuł zamęt w głowie. Z jednej strony jakieś dziwne zadania... Ale z drugiej, mógł już na zawsze rozstać się z deską kreślarską i nie chodzić do nienawistnego KB. No i pieniądze... Krótko mówiąc, Misza Łarkin nie zastanawiał się długo, najwyżej dziesięć minut. I już dwa tygodnie później pożegnał się z działalnością inżynierjno-konstrukcyjną. Teraz pracował w biurze przepustek w jakiejś zamkniętej instytucji. Zajęcie nie wymagało żadnego wykształcenia. Misza przyjmował informacje od urzędników, a gdy oczekiwany przez nich petent się zjawiał, wypisywał mu przepustkę, sprawdzając uprzednio dowód. To była cała jego robota, zero problemów. Wynagrodzenie wynosiło co prawda dziewięćset rubli, ale przecież Paweł Dmitrijewicz obiecał, że należność za wykonanie zadań będzie zupełnie inna.

Paweł Dmitrijewicz dotrzymał słowa, i to niebawem. Pokazał Miszy pewnego mężczyznę, podał mu jego nazwisko i kazał z nim „popracować”. Misza zrobił, co należało, poszedł z nim do restauracji, zmusił, żeby ten otworzył dyplomatkę, pozwolił mu przeczytać wszystkie znajdujące się w niej dokumenty i wnieść do nich poprawki. Następnie do ich stolika przysiedli się dwaj nieznajomi. Jeden miał aparat fotograficzny, więc Misza sfotografował całą trójkę z kieliszkami wina w rękach podczas

przyjacielskiej rozmowy. Dwa dni później upadła gruba sprawa karna dotycząca wielomilionowych przywłaszczeń i łapówek, dowody okazały się wątpliwe i wszyscy aresztowani znaleźli się na wolności. Misza domyślił się, że śledczego, z którym „pracował”, zastraszone zdjęciami, na których rozbawiony popijał alkohol w drogiej restauracji w towarzystwie podejrzanychmacherów. A nazajutrz Paweł Dmitrijewicz przekazał Michaiłowi kopertę z taką sumą, która mu się nawet nie śniła, chociaż lubił pomarzyć, zwłaszcza przed snem.

Upewniwszy się, że wrodzony dar może mu przynieść wymierną korzyść, Michaił zajął się eksperymentowaniem, ponieważ podejrzewał w sobie istnienie ukrytych rezerw. Z pasją oddał się temu zajęciu, nie żałował czasu ani wysiłków i po pewnym czasie rzeczywiście odkrył rezerwy. I to jakie! Na przykład po półgodzinnym leżeniu pod kwarcówką potrafił znaleźć starannie ukryty przedmiot w nieznanym pomieszczeniu, jeśli obok była osoba, która chociaż raz go dotykała. Efekt uzyskany dzięki lampie kwarcowej utrzymywał się przez dwie doby, potem mijał. Ale jeśli w tym czasie Michaił przyjmował antybiotyki, zyskiwał zdolność sugestii myślowej. Mimo że nie mówił nic na głos, obiekt jego oddziaływań robił wszystko, co mu zasugerował. Ciągłe eksperymentowanie z lekami sprawiło, że Łarkin dostał alergicznej wysypki na plecach, ale dokładnie ustalił, które tabletki i w jakich dawkach musi przyjmować, żeby obiekt zaczął słyszeć głosy i Bóg wie co jeszcze. Michaił nie ustawał w wysiłkach i już dwa lata później był jasnowidzem i hipnotyzerem najwyższej klasy.

Zadania stawały się coraz trudniejsze, ale wynagrodzenie było coraz wyższe. W osiemdziesiątym szóstym połała się pierwsza krew w wyniku jego działania... On jednak wpadł już w nałóg. Przestał się bać.

Rozdział 7

Grigorij Walentinowicz Czincow aż podskakiwał z zadowolenia, siedząc przed telewizorem i słuchając dziennikarzy, którzy komentowali opublikowany w dzisiejszej gazecie wywiad z Aleksandrem Ratnikowem, doradcą prezydenta. Wywiad był wręcz idealny, wypowiedzi odpowiadały życzeniom Czincowa. Cokolwiek by mówić, ten Saulak to bezcenny nabytek. Jak mu się udało to zrobić?

– Ratnikow twierdzi, że prezydent złożył solenną obietnicę, iż nie zgodzi się na dodatkową emisję pieniędzy – mówił popularny komentator. – Ale ponieważ nie ma innego sposobu, żeby rozwiązać kwestię zaległych wynagrodzeń, to w najbliższym czasie zaległości najprawdopodobniej nie zostaną uregulowane. Co ciekawe, doradca prezydenta zapewnił dziennikarkę Julię Trietiakową, że członkowie najbliższego otoczenia głowy państwa są jednomyślni w tym względzie. Innymi słowy, wszyscy, włączając samego prezydenta, doskonale wiedzą, że nie uda się spłacić zaległości w ciągu najbliższych miesięcy. Cytuję: „Jeśli z ust prezydenta albo kogoś z jego otoczenia usłyszy pani uroczyste zapewnienie, że w marcu, najdalej w kwietniu zostaną wypłacone zaległe wynagrodzenia, których mieszkańcy Rosji nie otrzymują od września ubiegłego roku, może być pani pewna, że to kłamstwo. Prezydent nie zamierza dodrukowywać pieniędzy”. Koniec cytatu. Te słowa powiedział człowiek, który już od dwóch lat nie udzielił wywiadu żadnemu dziennikarzowi. Co spowodowało, że naruszył śluby milczenia? Pozwolę sobie na sugestię, że w obozie władzy pojawiły się rozbieżności co do treści przedwyborczych obietnic. Jedna grupa doradców nalega, by w programie przedwyborczym prezydenta znalazły się tylko realne obietnice, do tej grupy niewątpliwie należy

Aleksander Ratnikow, druga z kolei najwyraźniej uważa, że w walce o elektorat wszystkie chwytaki są dozwolone, nawet wierutne kłamstwo. Fakt, że nieosiągalny dla dziennikarzy doradca postanowił jednak wypowiedzieć się publicznie, świadczy o kryzysie polityki prezydenta i o tym, że jego otoczenie nie jest zupełnie przygotowane do kampanii wyborczej, a w razie zwycięstwa do wspierania go przez następne cztery lata. Jeśli doradcy prezydenta są jednomyślni w ocenie sytuacji, ale mają inne zdanie w kwestii informowania społeczeństwa, trudno to uznać za przejaw pluralizmu opinii. Chodzi raczej o to, w jakim stopniu są pozbawieni zasad. Pozostaje tylko czekać, której grupy posłucha głowa państwa.

Ach, co za wypowiedź! Grigorij Walentinowicz aż zatarł ręce z radości. Prezydent na dobre stracił jeden z trzech atutów. Bez względu na to, co obieca w kwestii zaległych wynagrodzeń, nikt mu nie uwierzy. A jeśli nie zechce zasłynąć jako kłamca, nie będzie mógł pokazywać narodowi tego słodkiego cukierka. Doskonale, po prostu doskonale!

Grigorij Walentinowicz sumiennie obejrzał do końca program informacyjny, łącznie z wiadomościami sportowymi oraz prognozą pogody, i dopiero potem zadzwonił do swojego chlebodawcy Malkowa, kandydata na nowego prezydenta.

– Słyszałeś? – zapytał z uśmiechem.

– Brawo – pochwalił Malkow i z jego tonu Czincow się domyślił, że szef jest zadowolony. – Świetna robota. Należy ci się nagroda.

– Może potrzeba czegoś jeszcze? – zainteresował się Grigorij Walentinowicz. – Sam widzisz, że to chłopak z najwyższej półki. Trzeba go wykorzystać.

– Na razie zaczekaj, niech sobie odpocznie. Bo jeszcze pomyśli, że chcemy go wziąć do galopu. Im więcej będzie dla nas robił, tym bardziej będziemy od niego zależni, chyba rozumiesz. Tymczasem on i tak dużo wie, więc nie można go denerwować. Wyplać mu honorarium, jak obiecałeś, i niech się wczasuje. Powiedz, żeby zjawił się za tydzień, ale go nie naciskaj. Zrozumiałeś, Grisza? Nie naciskaj.

– Zrozumiałem, zrozumiałem.

– Boję się go – rzekł Malkow w zamyśleniu. – To niebezpieczny

gość, Grisza.

– Daj spokój. – Czincow się skrzywił. – Nie ma w nim nic groźnego. To normalny facet, dba o swoje korzyści. Gdyby był niebezpieczny, toby się ukrył i z nami nie gadał. Przecież wie, że nie tylko on nam zagraża, my jemu też, nie przypadkiem wymknął się naszym chłopcom w Jekaterynburgu. I pierwszy zaproponował współpracę, bo zdaje sobie sprawę, że wprawdzie ma wiedzę, my jednak jesteśmy silniejsi, a nie wiadomo, co jest gorsze.

– Tak sądzisz? – z powątpiewaniem zapytał Malkow.

– Możesz mi wierzyć. Wiem, co mówię.

– Uważaj, Grisza. Jak się pomylisz, wiesz, co z tobą zrobię.

– Spokojna głowa, nie pomyłę się – hardo zapewnił Grigorij Walentinowicz.

No cóż, robota została wykonana, pomyślał z satysfakcją. Żeńka Szabanow należycie przygotowuje wizytę prezydenta w rodzinnych stronach, dołoży wszelkich starań. Dobrze, że udało się go wkręcić do prezydenckiej ekipy. Z takimi pomocnikami, jakich ma obecny lider, nie są mu potrzebni żadni wrogowie.

⋮

Na liście, którą generał Minajew wręczył Pawłowi, figurowało siedem nazwisk. Pierwszy był Malkow. Jewgienij Szabanow, obecny spec od wizerunku prezydenta, znajdował się pod numerem czwartym. Ostatni był prezes firmy mającej siedzibę w jednym z czarnomorskich regionów kraju. Nazywał się Oleg Iwanowicz Jurcew. Właśnie przez tę część nabrzeża, którą kontrolował Jurcew, odbywał się transport broni i narkotyków między Rosją, Gruzją, Abchazją i Turcją.

Oleg Iwanowicz był mężczyzną statecznym i światowym, hojnie sponsorował różne festiwale oraz pokazy i dlatego miał szerokie kontakty w moskiewskim świecie biznesu i kultury. Korzystając z pomocy Minajewa, Paweł bez trudu się dowiedział, że aby spotkać się z Jurcewem, wcale nie musi jechać na południe, facet często zjawia się w stolicy. Akurat w najbliższym czasie będzie gościem kolejnej wspaniałej imprezy, na którą wyłożył sporą sumę.

Paweł powierzył Michaiłowi pracę z Jurcewem. W odróżnieniu od Rity Łarkin był najbardziej uzdolniony w jego grupie i co najważniejsze, nie miał żadnych zasad. Saulak uznał, że podczas gdy Michaił Dawidowicz zajmie się Olegiem Iwanowiczem, on sam będzie mógł wybadać, co się stało z pozostałymi dwoma członkami grupy.

Odwiedziny u Asaturiana sprawiły mu przyjemność. Garik zwijał się jak w ukropie, bez przerwy coś kupował i sprzedawał. Było to jego ulubione zajęcie, odkąd wyrósł z pieluch. Do Pawła trafił na początku lat osiemdziesiątych, gdy z lisim sprytem spekulował ikonami, antykami i brylantami. Dane operacyjne wskazywały, że chociaż obroty były nieduże, interes przynosił krociowe zyski, więc przez dłuższy czas go nie zatrzymywano, chodzono za nim krok w krok, usiłując odgadnąć, jak mu się to udaje. Funkcjonariusze logicznie zakładali, że można upłynnić na przykład brylantowe kolczyki z przebitką góra pięćdziesięciu procent od sumy, za którą zostały nabyte, ale licząc w ten sposób, Asaturian żadną miarą nie mógł zarabiać tyle, ile zarabiał. Stąd wniosek, że liczba prowadzonych przezeń transakcji musiała być o wiele większa niż ta, którą odnotowano podczas rozpoznania operacyjnego. Garikiem zajmowali się kagebiści, a nie milicjanci, bo handlował głównie z obcokrajowcami albo z obywatelami radzieckimi wyjeżdżającymi za granicę.

Funkcjonariuszom nie udało się dowiedzieć, skąd u kutego na cztery nogi Asaturiana tak ogromne zyski, ale w końcu go aresztowano i umieszczono w celi z prowokatorem, licząc na to, że wreszcie się wygada. Przez parę dni specjalnie nie wzywano go na przesłuchania, czekając, aż agent w celi podsunie śledczemu jakąś informację, która będzie się mogła stać punktem zaczepienia. Ale się nie doczekano. Garik szybko się zaprzyjaźnił z agentem, niczego przed nim nie ukrywał, dzielił się doświadczeniem, ale podczas szczerych rozmów nie wyszły na jaw żadne dodatkowe transakcje. Śledczy już zaczynał tracić cierpliwość, gdy od naczelnika aresztu wpłynęło zawiadomienie, że strażnik, zajrzawszy do celi, w której siedział Asaturian, zobaczył dziwną scenę. Agent leżał na łóżku (w więzieniu KGB zawsze panował większy komfort niż w Butyrkach,

w każdym razie były tam łóżka, a nie prycze), a więzień Asaturian stał nad nim i wykonywał jakieś zagadkowe ruchy. Naczelnik, który wpadł do celi wezwany przez strażnika i był od niego lepiej wykształcony i odczytany, od razu się domyślił: Asaturian hipnotyzuje swojego towarzysza z celi.

– Co ty wyprawiasz?! – wrzasnął. – Natychmiast przestań!

– Nie mogę – odparł Garik zimno. – Nie wolno go tak zostawić. Trzeba go wyprowadzić z transu.

– Wyjdź – szepnął naczelnik do strażnika.

Zamknawszy za nim drzwi, ruchem dłoni przywołał Asaturiana.

– Naprawdę to potrafisz?

– Chyba widać. – Garik się obraził. – Niech pan się dobrze przyjrzy, skoro mi nie wierzy.

– Co on miał zrobić zahipnotyzowany?

– Kazałem mu opowiedzieć, jak pierwszy raz całował się z dziewczyną.

– Po co? – zdziwił się naczelnik. – Interesują cię takie rzeczy?

– Pewnie, że nie. Ale on mi nie wierzy, że to potrafię, więc uzgodniliśmy, że go zahipnotyzuję i każę opowiedzieć to, o czym nie wiem. Jak się potem ocknie, powiem mu, czego się dowiedziałem podczas hipnozy, i wtedy się przekona. Bo przecież tylko od niego mogłem się dowiedzieć o tej dziewczynie.

– Czekał no – powiedział podekscytowany funkcjonariusz – a możesz go zapytać...

– Nic z tych rzeczy, naczelniku – od razu przerwał mu Garik, chytrze się uśmiechając. – Nie robi pan ze mnie wtyki. Eksperyment – bardzo proszę, ale nie zamierzam dla pana pracować.

Nazajutrz wezwano Garika na przesłuchanie. Śledczego widział po raz pierwszy, więc oczywiście nie mógł wiedzieć, że to żaden śledczy, tylko generał Bułatnikow. Wybór, który dano Asaturianowi, był prosty: albo kolonia karna i wieloletni wyrok, albo wolność i niezłe pieniądze. Więc się nie wahał. Wybrał wolność, rzecz jasna. A w ramach wdzięczności za zniszczenie akt sprawy karnej opowiedział swojemu wybawcy, w jaki sposób osiągał tak znaczne dochody. Okazało się, że podsuwał ceny zarówno sprzedającym, od których skupował cenne rzeczy, jak i klientom, którym je zbywał. Wszyscy

długo potem nie mogli się nadziwić i próbowali pojąć, dlaczego bez mrugnięcia okiem sprzedali temu sympatycznemu facetowi brylantową kolię za tysiąc rubli, skoro była warta pięćdziesiąt tysięcy. Nabywcy zaś, wyłożywszy za tę samą kolię sześćdziesiąt tysięcy, byli zdania, że zrobili dobry interes. Tymczasem Garik drogą nieskomplikowanych obliczeń dochodził do satysfakcjonującego wniosku, że zwyczajnie włożył sobie kolię do kieszeni, wzbogacając się o sumę równą jej pełnej wartości, i zarobił na transakcji dodatkowe dziewięć tysięcy, nikogo wprost nie okradając i nie krzywdząc.

Praca z Garikiem była najłatwiejsza, bo akta jego sprawy zostały zlikwidowane, jak to się mówi, tylko *de iure*, a *de facto* spoczywały w sejfie dobroczyńcy i w każdej chwili można je było stamtąd wyciągnąć, wznawiając postępowanie. O ile Misza Łarkin, współpracując z KGB, zapewniał sobie zamożne życie, niezwiązane z nienawistnym zawodem, i w pewnych okolicznościach mógł zrezygnować ze współpracy, o tyle Garik Asaturian walczył o swoją wolność i pod żadnym pozorem nie mógł z niej zrezygnować. Dlatego chętnie wykonywał wszystkie zadania, nie żądając wyjaśnień nawet w najbrudniejszych sprawach. Jego głównym motywem było pragnienie nietrafienia za kratki, w dodatku z dużym wyrokiem.

– Pał-Dmicz[8]! – zawołał z radością na widok Saulaka. – Wreszcie się pan zjawił.

Paweł zerknął na niego uważnie i się uśmiechnął. Niewykluczone, że facet się ucieszył. W jego sytuacji stały kontakt z kuratorem i systematyczne wykonywanie zadań stanowiły gwarancję, że przeklęty sejf nie zostanie otwarty. Zniknięcie Pawła, co prawda nie nagłe, tylko zapowiedziane z góry i przedstawione jako wyjazd, sprawiło, że Garik poczuł pewien dyskomfort, który przerodził się z czasem w paniczny strach, że w każdej chwili „wszystko się zacznie”. Gdzie jest Paweł? Gdzie akta? Gdzie ten okropny sejf, w którym jest gabinecie? A nuż doszło do przetasowań w organizacji, ktoś otworzył sejf, wyjął akta i szuka Garika? Pawła nie ma, więc nikt go nie ochroni. Może należałoby znaleźć tamtego typu, który go zwerbował, ale nie wiadomo, kim jest i jak się nazywa...

– Można by pomyśleć, że się stęskniłeś – burknął Paweł, świdrując

go wzrokiem.

Asaturian był nadal zgrabny i filigranowy, w ciągu dwóch lat nie roztył się jak Michaił, co zresztą nie zdziwiło Pawła – Misza prowadził spokojny i raczej siedzący tryb życia, podczas gdy Garik biegał jak fryga, zajmując się tym, czym się zajmował przed werbunkiem i po nim, co prawda już za zgodą kuratora. Jedynym warunkiem, który zawsze stawiał mu Paweł, był zakaz wykorzystywania niezwykłych zdolności podczas transakcji. „Nikt nie powinien wiedzieć, że to potrafisz” – nie przestawał mu powtarzać.

– Zdaje się, że miałeś jakieś znajome w Metropolu? Nie poprzytykałeś się z nimi czasem? – zapytał Garika.

– Jak pan może, Pał-Dmiczu? – Asaturian rozpląnął się w uśmiechu. – Kobieta to świętość, nie wolno się z nią kłócić. Trzeba jej strzec.

– Masz rację. – Paweł kiwnął głową. – Pojutrze jest impreza w Metropolu, będziesz pracował.

– Zawsze do usług! – gorliwie zawołał Garik i podniósł rękę w geście pionierskiego pozdrowienia.

⋮

Ostatnią osobą, którą odwiedził Saulak, był Karl Fridrichowicz Rifinius, mężczyzna w średnim wieku, który już w młodości odgrywał rolę posępnego amanta. Karl był lepszy niż Rita, ale nie tak dobry jak Misza Łarkin. Uzdolniony podobnie jak Garik Asaturian, lecz jak powiedzieliby aktorzy, różnił się od niego warunkami zewnętrznymi. Słusznego wzrostu, okazały, z wczesnie posiwiąłą czupryną i czarnymi gorejącymi oczami, doprowadzał kobiety do szaleństwa, nie musiał nawet stosować hipnozy. Gdy miał koło dwudziestki, przybrał wizerunek tragicznego bohatera i w wieku pięćdziesięciu czterech lat nadal go nie zmienił.

Karl Fridrichowicz był profesjonalistą, lekarzem psychoterapeutą i w leczeniu pacjentów na szeroką skalę stosował hipnozę. Miał jednak pewną wadę, a raczej nie wadę, tylko cechę. Chciał, żeby go kochano. Sam zaś nie czuł potrzeby, żeby kogoś kochać. Nigdy nie

skarżył się na brak zakochanych kobiet, z niektórymi się wiązał, od większości trzymał z daleka, nie przestając robić im nadziei i czynić awansów, żeby żadna nie zerwała się z haczyka. Nie mógł się też powstrzymać od flirtów z pacjentkami, w dodatku ze wszystkimi bez wyбору, a nie tylko z ładnymi. Każda zakochana w nim kobieta dawała mu nowy zastrzyk energii, dodawała sił, dzięki niej życie nabierało smaku.

No i kobiety go zgubiły. Pewna zakochana po uszy pacjentka po paru miesiącach czekania, aż wreszcie przystojny doktor przejdzie od komplementów do czynów, napisała donos do prokuratury, z którego wynikało, że doktor Rifinius, wprowadziwszy ją w hipnotyczny trans, wykorzystał stan nieświadomości, w którym przebywała, i zgwałcił nieszczęsną. Sprawa skończyłaby się na niczym, gdyby nie brak rozwagi ze strony Karla Fridrichowicza: pracował bez asystenta, chociaż to niedozwolone. Nie było świadków smutnego zdarzenia, ale nie znaleziono też takich, którzy mogliby potwierdzić, że Rifinius nie dotknął pacjentki nawet palcem. Tymczasem ofiara twierdzi, że owszem, dotykał, i to nie tylko palcem... Jakby tego było mało, mąż pacjentki okazał się partyjną szyczą, więc doktor Rifinius ze smutkiem pojął, że nie będzie mógł dłużej prowadzić praktyki lekarskiej. Nie jest mu to pisane.

Mógł oczywiście walczyć, udowodniać, udzielać wywiadów, zarzucać kobiecie kłamstwo... Mógł, gdyby historia wydarzyła się trzy albo cztery lata później, gdy zaczęto już mówić o demokracji, pluralizmie i wolności druku. Jednakże wszystko to wydarzyło się w roku osiemdziesiątym piątym, więc Karl Fridrichowicz nie miał żadnych szans na zwycięstwo. W dodatku dano mu jasno i dobitnie do zrozumienia, żeby wyniósł się po dobroci ze stolicy do jakiejś głuszy, albowiem dla łajdaków i zбочeńców takich jak on nie ma miejsca tam, gdzie mieszkają i pracują najlepsi ludzie kraju, jego duma, intelekt i sumienie. Karl westchnął i zajął się zamianą moskiewskiego mieszkania na duży dom gdzieś w środkowej Rosji. Był samotny, jak zresztą wszyscy, których werbowano do grupy Pawła Saulaka. Wielodzietnych nie potrzebowano.

I nagle zjawił się mężczyzna, który oznajmił, że Rifinius może zostać w Moskwie, jeśli przystanie na pewne warunki. Były one trzy:

miał ostatecznie zamknąć praktykę lekarską, zmienić nazwisko i miejsce zamieszkania, świadczyć usługi owemu mężczyźnie i wykonywać jego zadania. Karl nie był głupi i naiwny, sposób rozwiązania problemu powiedział mu, że ma do czynienia z potężną organizacją, i szybko się zorientował, o jakie usługi i zadania chodzi. Nie potrzebował pieniędzy, zarobił już dość, żeby żyć tak, jak mu się podobało. Ponieważ jego pacjenci byli szczególnie, z wdzięczności za leczenie dostał wszystko, o czym marzył, płacąc niewielkie pieniądze, dostępne nawet zwyczajnemu inżynierowi. Nie miał się czego bać, nie popełnił żadnego przestępstwa, a o to, czego nie zrobił, już go oskarżono. Pałał jednak nienawiścią. Do tej opasłej, niezaspokojonej idiotki, która odważyła się zemścić za to, że jej nie przeleciał. Nienawiścią do jej wyniosłego męża impotentą, którego nawiasem mówiąc, też leczył parę lat temu. Nienawiścią do wszystkiego, co wiązało się z rozsądkiem, honorem oraz sumieniem, z którymi zabroniono mu żyć w tym mieście.

Paweł dał mu nowe dokumenty, z jego zdjęciem, ale na nazwisko Konstantina Fiodorowicza Riewienki. Saulak wybrał tożsamość, pamiętając o zachowaniu inicjałów, w przeciwnym razie Rifinius musiałby wymyślić nowy podpis, a tak wystarczyło, żeby tylko trochę zmienić stary, do którego przywykł. Musiałby też wyrzucić chusteczki do nosa, na których zakochane panie wyszywały jego inicjały, a szkoda, w końcu to przecież naturalny batyst, nie jakiś chiński syntetyk. Nowo objawiony Riewienko zmienił miejsce pobytu i rozplynął się w wielomilionowej Moskwie.

Pracował nie z wdzięczności czy z miłości jak Rita, nie z chciwości jak Misza Łarkin i nie ze strachu przed więzieniem jak Asaturian. Współpracował z Pawłem z pobudek ideowych, jako że nienawidził całego świata, zwłaszcza tych, przeciwko którym najczęściej pracował. Paweł nie miał złudzeń co do motywów, którymi kierował się dawny lekarz, i przydzielał mu odpowiednie zadania. Działacze partyjni, funkcjonariusze organów ścigania, ważni dygnitarze. Saulak dbał o to, żeby za każdym razem podczas wykonywania zadania Karl czuł słodki smak zemsty.

Rifinius był uzależniony emocjonalnie, nie materialnie. Rita bała się szpitala psychiatrycznego, Łarkin biedy, Garik więzienia, a Karl

nie bał się niczego, więc należało szybko coś z tym zrobić. Jedno z pierwszych zadań, które otrzymał Rifinius-Riewienko, polegało na tym, że miał skłonić do samobójstwa młodą dziewczynę, studentkę pierwszego roku. Pewni bardzo bogaci, ale będący na bakier z prawem ludzie interesowali się jej ojcem, on jednak, rok po śmierci żony, z uporem odrzucał korzystne propozycje i powtarzał: „Jestem gotów zaryzykować, ale jeśli coś się nie uda i wpadnę, co się stanie z moją córką? Jak będzie żyć ze świadomością, że jej ojciec jest przestępcą?”. Jednym słowem, dziewczyna stała na przeszkodzie, a tatusia za wszelką cenę należało zwerbować, bo nikt prócz niego nie miał prawa podpisywać dokumentów, których potrzebowali owi ludzie. Zaraz po tym jak córka ni z tego, ni z owego wyskoczyła z balkonu jedenastego piętra, ojca złamano i namówiono do przedsięwzięcia, co zaowocowało gigantycznymi zyskami. Ważkie dowody udziału Karla w śmierci dziewczyny trafiły do rąk Pawła. Dzięki nim trzymał go w ryzach.

Przez dwa lata, które Saulak spędził za kratkami, Karl vel Konstantin prowadził ciche i spokojne życie. Nie osiągnął jeszcze wieku emerytalnego, ale pracując dla Pawła, zarobił tyle, że mógł się nie martwić o dochody. Miał przestronne mieszkanie, sprawił sobie dwa psy – setery irlandzkie, jeździł na polowania. Czasami przyprowadzał kobiety, ale żadnej nie pozwalał zostać dłużej. Po półgodzinnej rozmowie z Rifiniusem Paweł ze smutkiem stwierdził, że nienawiść lekarza wypaliła się i zgasła, jego jedynym motywem był strach przed zgromadzonymi dowodami udziału w śmierci tamtej nieszczęsnej dziewczyny. Motyw był oczywiście silny, nie da się zaprzeczyć. Podobny sprawa, że Garik pracuje znakomicie i będzie pracował jeszcze parę lat, póki sprawa się nie przedawni. Ale Garik jest młody, nie ma jeszcze czterdziestki, więc brak mu należytej ostrożności i rozsądku. Rifinius jest o wiele starszy i kto wie, czy nie machnął ręką na niewesołą perspektywę trafienia przed sąd. Tym bardziej że materiały obciążające Garika miały o wiele większą wagę niż słabe poszlaki w sprawie Karla.

– Cieszę się z naszego spotkania – powiedział Karl Fridrichowicz, wydmuchując dym z papierosa, ale Saulak widział, że to nieprawda. Rifinius wcale się nie cieszy. Przez dwa lata żył sobie jak u Pana

Boga za piecem i pewnie chciałby, żeby tak było dalej. Po co mu kłopoty?

– Potrzebuję pańskiej pomocy, Karlu Fridrichowiczu, ale obiecuję, że to ostatni raz. Rozumiem, że chce pan spokoju i jest pan mną zmęczony. Doceniam wszystko, co pan dla mnie zrobił do tej pory, a zrobił pan sporo. To była wyczerpująca praca, więc ma pan pełne prawo do odpoczynku. Proszę wyświadczyć mi osobistą przysługę – mówił łagodnie Saulak, starając się nie napotkać wzroku dawnego psychoterapeuty. – Niech mi pan pomoże po raz ostatni, więcej żadnych zadań. Pańskie wysiłki, rzecz jasna, zostaną należycie wynagrodzone.

– Dobrze – odparł Rifinius z westchnieniem. – Zrobię, co trzeba.

Nasza współpraca dobiega końca, przemknęło przez myśl Pawłowi. Jeszcze ten raz i do widzenia.



Sala bankietowa restauracji Rossija błyszczała i mieniła się światłami, na pierwszy rzut oka trudno było stwierdzić, co lśniło bardziej: kryształowe żyrandole czy brylanty, którymi były obwieszane zaproszone panie. Odbywająca się impreza wiązała się z biznesem naftowym, który jak wiadomo pociąga za sobą morze krwi i wiele zgonów, za to tym, którzy pozostają przy życiu, przynosi ogromne zyski.

Oleg Iwanowicz Jurcew był na przyjęciu honorowym gościem, jako że wielu zebranych pożyczył kiedyś pieniądze na własny interes. Ponadto z własnej inicjatywy zaproponował organizatorom, że opłaci przejazd i trzydniowy pobyt niektórym zagranicznym biznesmenom, skwapliwie korzystającym z wszelkich gratisów. Sami nie wydaliby pieniędzy na to, żeby się tutaj znaleźć, tymczasem dla wielu osób ich przyjazd mógł się okazać wielce pożyteczny z punktu widzenia prestiżu, a także umocnienia handlowych i przyjacielskich relacji.

Goście na sali byli sprawdzeni, toteż ochroniarze nie mieli tutaj prawa wstępu, zresztą nawet bez nich panował ścisk. Stojąc przed obficie nakrytym stołem, Jurcew chętnie sięgał po wyszukane przystawki, popijając drogie białe wino z wąskiego, wysokiego

kieliszka. Organizatorzy, zgodnie z panującą modą, przygotowali bufet, żeby zapewnić gościom możliwość swobodnej rozmowy. Po prawej stronie Jurcewa stał smagły, krzepki mężczyzna z wyraźnie zarysowanymi pełnymi wargami – biznesmen z Emiratów Arabskich, który przyjechał za jego pieniądze, a z lewej – przystojna dama w wieku jakichś trzydziestu pięciu lat, sądząc po minie, kobieta biznesu, pewnie referent w jakiejś dużej firmie. Oleg Iwanowicz przywiózł, ma się rozumieć, swoją kochankę do Moskwy, ale na bankiecie jej nie było, bo godzinę przed wyjściem z hotelu znowu się pokłócili, po czym Jurcew opuścił apartament, trzaskając drzwiami. Dlatego musiał jak najprędzej upatrzeć sobie obiekt do flirtu, żeby nie wyglądać na dziwaka, ponieważ wszyscy zaproszeni mężczyźni przyszli z paniami. Przystojna sąsiadka nie pociągała Jurcewa, nie lubił kobiet zajmujących się biznesem, uważał, że są dobrymi partnerkami w interesach – rzetelne, obowiązkowe, nieskore do podejmowania niepotrzebnego ryzyka, ale był zdania, że nie nadają się do flirtu, nawet najbardziej niewinnego. Miały zbyt męski charakter, nie było w nich za grosz powabu, frywolności i fantazji. On zaś najbardziej lubił właśnie takie młode sikorki, lekkomyślne i kapryśne.

Odstawił talerz i z kieliszkiem w ręce zaczął wolno przechadzać się po sali, co chwilę się uśmiechając i wymieniając ukłony ze znajomymi. Miał pewną sprawę do załatwienia, ale postanowił się nie śpieszyć. Niech mężczyzna, który jest mu potrzebny, odpręży się, naje do syta i wychyli parę kieliszków, dopiero potem Jurcew przystąpi do interesów. Raz po raz zatrzymywał wzrok na długich, krągłych nóżkach albo zgrabnych nagich plecach jakiejś sikorki i leniwie szacował, czy nie wziąć jej na bok i nie zabawić się luźną, niezobowiązującą rozmową, ale potem uznawał, że chyba jeszcze poszuka. W pewnej chwili poczuł się nieswojo, nawet przebiegł mu dreszcz po plecach. Szybko się rozejrzył, ale nic szczególnego nie zauważył, więc się uspokoił.

Zaraz potem zagadnął go stary znajomy pracujący w moskiewskim przedstawicielstwie amerykańskiej kompanii naftowej, jednakże dziesięć minut później Jurcew nagle pomyślał: Co za idiota! Po co marnuję z nim czas? I złapał się na tym, że nawet nie słucha jego

słów. Grzecznie przeprosił, udał, że musi pilnie podejść do kogoś na drugim końcu sali, i się oddalił.

Nagle oblała go fala gorąca, od razu spocił się pod pachami i bezwiednie sięgnął do krawata, żeby rozluźnić za ciasny węzeł. Ale zaraz potem poczuł dreszcze. Co się ze mną dzieje? – pomyślał przestraszony. Czyżbym zachorował? Dreszcze minęły tak samo nagle, jak się pojawiły, i Oleg Iwanowicz znowu poczuł się normalnie. Jak większość mężczyzn panicznie bał się wszelkich dolegliwości i nie potrafił cierpliwie znosić bólu. Muszę gdzieś usiąść, postanowił, ruszając ku wyjściu. W holu znajdowały się miękkie sofy i fotele, ale wszystkie były zajęte, więc Jurcew poszedł dalej, w kierunku toalet, licząc, że znajdzie wolne miejsce w jakimś kąciaku. Miał szczęście. Skręcił na prawo w długi korytarz, po czym zobaczył jeszcze jedną sofę z fotelami i ławą, siedział tam tylko jeden mężczyzna – przy kości, z długimi kręconymi włosami, w okularach z przyciemnianymi szklami.

Jurcew usiadł w fotelu, wyciągnął nogi i z ulgą odchylił się na oparcie. Dreszcze ustąpiły, za to głowa zrobiła się ciężka i zaczęła boleć z tyłu. Chyba naprawdę jestem chory, pomyślał. Coś podobnego, całkiem nie w porę. Jak jutro wrócę do domu?

– Boli pana głowa? – zapytał ze współczuciem kędzierzawy mężczyzna w okularach.

– Owszem... A czemu pan pyta, czyżby to było widać?

– Oczywiście. Jest pan bardzo blady. To przez duchotę. Pewnie ma pan problemy z krążeniem.

– I co powinienem teraz zrobić? – zapytał Jurcew, krzywiąc się, bo każde słowo pulsowało mu w czaszce.

– To nic strasznego. – Mężczyzna się uśmiechnął. – Co trzecia osoba po trzydziestym piątym roku życia cierpi na tę dolegliwość, tylko większość nie zwraca uwagi, a szkoda. Później człowiek się dziwi, że dostaje zawału. Ja też wyszedłem z sali z tego powodu. Zażyłem tabletkę i po pięciu minutach wszystko przeszło. Jak pan chce, mogę się podzielić. Zawsze mam przy sobie spory zapas.

Ból głowy się nasilał, Jurcew odniósł nawet wrażenie, że robi mu się ciemno w oczach.

– Ale nie mam czym popić, a nie mogę wrócić do sali. Brak mi sił.

– Nie trzeba jej popijać. Niech pan włoży pod język, błyskawicznie się rozpuści. Za to efekt jest prawie natychmiastowy.

Mężczyzna wręczył Olegowi Iwanowiczowi buteleczkę, do połowy wypełnioną małymi białymi tabletkami.

– Niech pan zażyje, od razu panu ulży, przekona się pan. Po co się męczyć?

No rzeczywiście, po co mam się męczyć? Mój Boże, cóż za nieznośny ból! A nuż dostanę zawału? – ze strachem pomyślał Jurcew, wytrząsając małą tabletkę na dłoń.

Mężczyzna schował buteleczkę i znowu się uśmiechnął.

– Nie zdąży pan nawet doliczyć do stu, gdy poczuje się lepiej. To bardzo dobre lekarstwo, żona przywozi mi je z Kanady.

Jurcew zamknął oczy i właściwie nie wiedząc po co, zaczął liczyć do stu. Ból mijał tak szybko, że się zdziwił. Przy liczbie „osiemdziesiąt sześć” poczuł się wręcz wspaniale. Nieprzyjemne objawy ustąpiły jak ręką odjął.

– Jest pan doprawdy cudotwórcą – powiedział z wdzięcznością. – Chciałbym zapisać nazwę tego lekarstwa.

– A diabli wiedzą. – Kędzierzawy rozmówca niefrasobliwie machnął ręką. – Żona je kupuje, więc to ją należałoby zapytać.

– Nie ma nazwy na buteleczce?

– To nie jest oryginalna butelka, tabletki są sprzedawane w olbrzymich słojach, których nie sposób ze sobą dźwigać. No wie pan, specjalne opakowanie dla szpitali, nieprzeznaczone do detalicznej sprzedaży w aptekach. Odsypuję po trochu do małych buteleczek, żeby się mieściły w kieszeni. Chce pan, to się z panem podzielę.

– Niezręcznie mi pana okradać. – Jurcew uśmiechnął się ze zmieszaniem.

– Niech się pan nie martwi, to głupstwo. Mam jeszcze sporo, a niedługo żona znowu leci do Kanady, więc przywiezie nową porcję. Do czego panu nasypać? Ma pan jakąś kartkę?

Jurcew sięgnął do kieszeni, wyjął notes i wyrwał z niego stronę.

– Wspaniale. – Mężczyzna kiwnął głową zadowolony. – Niech ją pan zwinie.

Znowu wyciągnął na światło dzienne małą ciemną buteleczkę,

odkręcił plastikową zakrętkę i wsypał garść tabletek do miniaturowej torebki.

– Proszę. I jeszcze moja rada: niech pan nie czeka, aż atak przybierze na sile. Gdy tylko pan poczuje, że głowa zaczyna boleć, od razu tabletkę pod język. Jak się u pana zaczyna atak? Robi się panu gorąco?

– Zgadza się – ze zdziwieniem przytaknął Jurcew.

– A potem od razu zimno, prawda?

– Owszem.

– To normalne, ze mną jest tak samo. Niech pan wierzy doświadczonemu choremu, nie trzeba czekać, aż głowa zacznie boleć. Gdy tylko poczuje pan dreszcze, proszę od razu zażyć lekarstwo. Od dawna pan na to cierpi?

– Pierwszy raz mi się przytrafiło. Przedtem nic mi nie doskwierało.

– A ja się męczę od czterech lat – westchnął mężczyzna.

– Niech pan powie... Jak często to się zdarza?

– Zależnie od sytuacji. W duchocie i w dużym skupisku ludzi co trzydzieści, czterdzieści minut. Ale gdy prowadzę normalny tryb życia, mniej więcej raz w miesiącu, czasem nawet rzadziej. Wszystko zależy od pogody, obciążenia nerwowego, wysiłku w pracy. Ale niech się pan nie martwi. Od razu tabletkę pod język i koniec, po sprawie.

– Dziękuję – powiedział serdecznie Jurcew, wstając z fotela. – Bardzo mi pan pomógł.

– Głupstwo. – Mężczyzna niefrasobliwie machnął ręką. – Cała przyjemność po mojej stronie.

Jurcew wrócił na salę, rześki, wesół i pełen sił.

Tabletki tego kudłatego okularnika mają cudowne działanie. A właściwie dlaczego kudłatego okularnika? Nie jest wcale kudłaty, tylko krótko, schludnie ostrzyżony i nie nosi okularów. Chyba coś poplątałem, pomyślał Oleg Iwanowicz. Wczoraj widziałem kudłatego okularnika w hotelu, siedział w holu na podobnej sofie w towarzystwie atrakcyjnej długonogiej brunetki. Ten z tabletkami jest zupełnie inny. Coś takiego, ból głowy sprawił, że jeden obraz nałożył się na drugi.

W sali Jurcew od razu zaczął szukać mężczyzny, z którym chciał porozmawiać, czekając, aż tamten się naje i napije. Znalezienie go

w tłumie nie było łatwe, więc Oleg Iwanowicz krążył wolno, znowu kiwając głową, uśmiechając się i wymieniając pozdrowienia ze znajomymi. Wreszcie znalazł tego, którego szukał, i bez trudu nawiązał rozmowę. Chciał otrzymać kredyt na preferencyjnych warunkach. Jednakże bankier okazał się nad wyraz nieustępliwy, Oleg Iwanowicz użył całego swojego czaru oraz elokwencji, z irytacją myśląc, że chyba się pośpieszył z rozmową. Jego towarzysz jeszcze za mało wypił. Nagle znowu oblała go fala gorąca i poczuł, że w sali zrobiło się nieznośnie duszno. Muszę zażyć lekarstwo, przemknęło mu przez głowę. I to jak najprędzej, zanim ból stanie się nie do wytrzymania...

Przeprosił bankiera, odszedł na bok i wyjął z kieszeni torebkę z tabletkami. Prędzej, prędzej wsunąć tabletkę pod język, póki nie zaczął się atak...

Chciał schować torebkę z powrotem, ale palce wciąż błędziły i nie trafiały do kieszeni. Nie mógł złapać tchu, poczuł silne zawroty głowy, torebka wysunęła mu się z palców, które kurczowo chwyciły węzeł krawata. Obraz przed oczami zaczął się rozmazywać. Jurcew niezgrabnie machnął rękami i wytrącił kieliszek szampana z rąk stojącej obok kobiety. Zanim pogrążył się w zupełnej ciemności, resztkami gasnącej świadomości zdążył ze zdziwieniem zarejestrować, że nie słyszy huku rozbijającego się szkła.



Mężczyzna figurujący na liście generała Minajewa pod numerem szóstym jadł kolację z żoną w Metropolu, świętując dwudziestą rocznicę ślubu. Garik Asaturian, zapewniwszy sobie pomoc znajomej kelnerki, cierpliwie czekał, aż w polu jego widzenia zjawi się obiekt – deputowany Dumy Państwowej Izotow. Kelnerka miała dać mu znać, gdyby Izotow wyszedł do toalety czy do holu, żeby zadzwonić albo coś załatwić. Garik nie chciał wchodzić na salę, ale nie zamierzał też sterczeć przy wejściu i zwracać na siebie uwagi. Pokazał Izotowa swojej znajomej, a teraz siedział w kąciaku, skąd nie było widać wejścia na salę, za to jego też nikt nie mógł dojrzeć. Na wszelki wypadek umówił się z przyjaciółką, że ta pod byle

pretekstem poprosi deputowanego, żeby wyszedł.

Pretekst nie był jednak potrzebny. Izotow wyszedł do toalety. Gdy tylko wstał od stolika i ruszył ku drzwiom, kelnerka zajrzała przez służbowe drzwi do siedzącego jak mysz pod miotłą Asaturiana.

– Wyszedł – rzuciła w biegu i wróciła do swoich zajęć.

Garik poderwał się i szybkim krokiem ruszył w stronę Izotowa. Gdy tamten wszedł do toalety, Asaturian podążył za nim, zaczekał, aż mężczyzna opuści kabinę, i delikatnie chwycił go za ramię.

– Leonidzie Michajłowiczu, możemy zamienić dwa słowa?

– Co, tutaj? – Deputowany wyniośle uniósł brwi.

– Nie, dlaczego? Wyjdźmy.

Gdy wyszli, Asaturian ruchem głowy pokazał miejsce, gdzie spędził trzy długie, męczące godziny. Wiedział, że tutaj prawie na pewno nikt im nie przeszkodzi.

– No? O co chodzi? – niecierpliwie rzucił Izotow, zerkając na zegarek.

Garik się skoncentrował. Obserwował Izotowa niemal przez pół dnia, zanim ten zjawił się z żoną w restauracji, i zdążył zauważyć, że Leonid Michajłowicz zalicza się do grupy tak zwanych kinestetyków, którzy odbierają otaczający świat, w tym swoich rozmówców, za pomocą gestów. Praca z kinestetykami wymagała specjalnej metody, odmiennej od stosowanej w pracy z innymi grupami – słuchowcami i wzrokowcami, na których oddziaływano werbalnie albo wizualnie. Asaturian już odkrył, jakie gesty i pozy Izotowa oznaczają zaufanie i podległość, i umiejętnie je odtwarzał, wygłaszając przy tym przygotowany wcześniej tekst, który sugerował, że chce się umówić z deputowanym na obszerny wywiad, jednakże zgrabnie wplecione słowa klucze miały na celu zapanowanie nad jego wolą. Parę minut później Garik poczuł, że Izotow „jest gotów”.

– A teraz, od tej chwili – powiedział wolno, nie zmieniając intonacji – będzie pan słuchał tylko mnie. Nie będzie pan miał własnych myśli ani pragnień, będzie pan słyszał tylko mój głos i robił to, co panu każe.

W odróżnieniu od Michaiła, szcodrzej obdarzonego przez naturę, Garik musiał wypowiedzieć całą formułę, żeby wprowadzić Izotowa w trans hipnotyczny, co zajęło sporo czasu. Wreszcie przystąpił do

sedna.

– Zaraz wróci pan do żony i będzie się zachowywał, jakby nic się nie stało. Gdy zapyta, co pana zatrzymało, powie jej pan, że spotkał starego znajomego, kolegę z pracy. Posiedzi pan w restauracji jeszcze pół godziny, a potem pójdzie do domu. Jeżeli żona zaproponuje, żeby wziąć taksówkę, to się pan nie zgodzi. Sporo pan wypił, w sali jest siwo od dymu z papierosów, boli pana głowa i chce się pan przespacerować do metra Twerskaja. Nieśpiesznie ruszy pan w tamtą stronę. I nie wolno się panu denerwować, wszystko będzie dobrze. Gdy dotrze pan z żoną do Pizzy Hut, powie, że się rozmyślił i chce pojechać autem. Wyjdzie pan z żoną na jezdnię i wepchnie ją pod pędzący samochód... Potem się pan ocknie, ale nigdy nie przypomni sobie ani mnie, ani naszej rozmowy. Nie przypomni pan sobie i nikomu nie powie.

Teraz pozostawało czekać. Izotow wrócił na salę, a Garik zajrzał do pomieszczenia, w którym przebierały się kelnerki, wziął swój płaszcz i wyszedł na ulicę. Po intensywnym wysiłku głowa nieco mu ciążyła, więc z przyjemnością przechadzał się chodnikiem, wdychając suche, mroźne powietrze. Małżonkowie zjawili się trzydzieści pięć minut później i Asaturian z satysfakcją zauważył, że na razie wszystko idzie zgodnie z planem, a więc użył słusznej formuły.

– Złapmy taksówkę – dobiegł go głos żony deputowanego.

– Lepiej się przejdźmy – odparł Izotow. – Tak rzadko spacerujemy razem. Głowa mi pęka od alkoholu.

– Dobrze – chętnie zgodziła się kobieta, biorąc męża pod rękę.

Szli wolno w kierunku stacji metra Twerskaja, a Garik Asaturian ich nie odstępował, zachowując bezpieczną odległość. Zrównawszy się z budynkiem, na którym świecił neon Pizzy Hut, para nagle się zatrzymała. Teraz Izotow stał przodem do Garika, więc Asaturian się nie zbliżał, odsunął się w cień i przyczaił. Stąd nie słyszał, o czym małżonkowie rozmawiają, ale z ich mimiki wywnioskował, że się kłócą. Izotow nalegał, jego żona stała tyłem do Garika, lecz z gwałtownego gestu, którym przewiesiła torebkę z jednego ramienia na drugie, Asaturian się domyślił, że jest niezadowolona z niespodziewanej decyzji męża. W końcu wyszli razem na jezdnię, omijając samochody zaparkowane przy chodniku. Do skrzyżowania

było daleko, więc kierowcy nie zwalniali na tym odcinku. No dalej, zachęcał go w myślach Garik. Popchnij ją, czemu zwlekasz?! Teraz!

Miał wrażenie, że czas się zatrzymał, chociaż tak naprawdę od chwili, gdy Izotowowie zeszli z chodnika, minęły najwyżej cztery sekundy. Garik wiedział, że deputowany, posłuszny instrukcjom, czeka na odpowiedni samochód, który przejedzie tuż obok. Asaturian odwrócił się i zmrużył oczy, pełne napięcia oczekiwanie zawsze wywoływało niemal fizyczny ból.

W tej samej chwili rozległ się głuchy łoskot i pisk hamulców, po czym podniosły się przeraźliwe krzyki przechodniów.



Paweł powierzył Ricie najłatwiejsze zadanie. Przejrzawszy listę Minajewa, wybrał mężczyznę, który nie wymagał dużego wysiłku. To aż dziwne, myślał Saulak, że ten typ wciąż żyje. Już dawno powinien się przenieść na tamten świat.

Mężczyzna nie miał żadnych zasad, nawet elementarnych: ich przestrzegania nakazuje nie prawo, ale instynkt samozachowawczy. Na okrągło siadał po pijaku za kierownicą i jeździł z szaleńczą prędkością, palił papierosy na stacjach benzynowych i robił mnóstwo innych głupich i niebezpiecznych rzeczy. Był też nad wyraz bezwolny i niestały, łatwo ulegał wpływom, dawał się wciągać w awantury, uwielbiał robić zakłady i nie umiał bronić własnego zdania, ustępował pod naciskiem oponenta i przechodził na jego stronę, we wszystkim mu potakując. Był człowiekiem, który w odpowiedzi na najbardziej zaskakującą propozycję wolał powiedzieć „tak”, niż się nie zgodzić i podać powód odmowy. Wszelki wysiłek umysłowy był mu obcy. Praca intelektualna wydawała mu się tak samo trudna i niewyobrażalna jak podnoszenie gołymi rękami stukilogramowego ciężaru.

– Niech między szóstą a siódmą po południu skręci na pełnym gazie z Pierścienia Sadowego na Srietienkę i przejedzie pięćset metrów – poinstruował Paweł Ritę. – Potem niech się zatrzyma, wysiądzie z samochodu i zaczeka, aż ktoś do niego podejdzie.

Rita jak zwykle nie zadawała żadnych pytań. Skoro mężczyzna ma

wysiąść i zaczekać, widocznie to konieczne. Paweł wie lepiej.

– Wyczyścić mu pamięć?

– Oczywiście. Będziesz z nim rozmawiała wcześniej, więc mógłby się komuś wygadać o waszym spotkaniu. Osoby zainteresowane mają myśleć, że zjawił się na Srietience z własnej inicjatywy, a nie na czyjąś prośbę.

Rita posłusznie kiwnęła głową.

Mężczyznę, który figurował na liście Minajewa pod numerem piątym, złapała, gdy wychodził z domu kochanki. To jej odpowiadało, bo koło biura mogli ich zauważyć znajomi i pracownicy. Paweł siedział w samochodzie zaparkowanym niedaleko i czuwał przy miniaturowym nadajniku.

– Muszę z panem porozmawiać. – Usłyszał jej życzliwy głos. – Możemy wsiąść do samochodu?

– Ależ proszę. – Głos mężczyzny był pewny, leniwy i przyjazny.

Widocznie wizyta u kochanki się udała, pomyślał Saulak, lekko się uśmiechając.

– W czym mogę pomóc czarującej nieznajomej?

– O, jest parę rzeczy. – Rita się roześmiała. – Po pierwsze chcę, żeby pan mi się przyjrzał.

– A co, powinienem panią poznać? Gdzieś już się spotkaliśmy?

– Najpierw niech mi się pan przyjrzy, a potem wszystko wytłumaczę.

Zapadło milczenie, Rita pracowała, patrząc mężczyźnie prosto w oczy. Bez trudu wprowadzała go w trans, umiejętnie wykorzystując wzrok i mimikę, nie ustępowała w tym nawet Miszy Łarkinowi. Jej słabość polegała na tym, że nie potrafiła zmusić rozmówcy, by przekroczył pewne granice. Bywają czyny, które wymagają przekroczenia pewnej bariery i bynajmniej nie każdy potrafi to zrobić dobrowolnie. Żeby zmusić do tego obiekt, należy koniecznie zapanować nad jego wolą i zablokować samokontrolę. Bardzo trudno zmusić człowieka, by kogoś zabił, a jeszcze trudniej, żeby popełnił samobójstwo. Misza Łarkin to potrafił, podobnie jak Garik czy Karl. Ale Rita nie potrafiła. Nie miała dość sił.

– Nie musi pan wracać do biura – rozległ się w słuchawce jej głos. – Zaraz wysiądę, a pan pojedzie w jakieś zaciszne miejsce, zatrzyma

się i będzie siedział w samochodzie do za dziesięć szósta. Do za dziesięć szósta. Potem wyjedzie pan na Pierścień Sadowy, dotrze do placu Suchariewskiego i na pełnym gazie skreći w Srietienkę. Przejedzie pan pięćset metrów, zatrzyma się i wysiądzie. Ktoś do pana podejdzie i powie, co dalej...

Parę minut później Rita była już w aucie Pawła. Nie wyglądała na zmęczoną, obiekt rzeczywiście nie sprawił jej żadnego kłopotu.

– Teraz odwożę cię do domu, kochanie – łagodnie powiedział Saulak.

– A ty?

– Mam jeszcze coś do załatwienia. Odpocznij, przyjadę wieczorem.

Przed szóstą zajął stanowisko przy metrze Suchariewskaja. Kwadrans po szóstej nowiutkie, błyszczące bmw wypadło na pełnym gazie z Pierścienia Sadowego na Srietienkę i wszystko utonęło w huk i zgrzycie metalu.

Srietienka była jednokierunkowa, ruch odbywał się tylko w stronę Pierścienia Sadowego, nie w przeciwną. Wypadek był nieunikniony. Ale Rita nie musiała o tym wiedzieć.

[8] Skrócona forma imienia i patronimiku Paweł Dmitrijewicz.

Rozdział 8

Prezydent utworzył jednak dwie komisje do opracowania sposobów wyjścia z kryzysu czeczeńskiego, więc Wiaczesław Jegorowicz Sołomatin był dumny ze swojej przezorności, bo już zawczasu zaczął szukać „osobistego rozwiązania prezydenta”. Saulak obiecał zrobić, co w jego mocy. Sołomatinowi nie udało się z nim zobaczyć, bo Paweł unikał spotkań, ale w rozmowie telefonicznej powiedział:

– Rozumiem pańską troskę i pobudki. Słabo orientuję się w polityce, zwłaszcza że przez dwa lata byłem odcięty od świata. Ale cenię sobie stabilizację i przyzwyczajenia. Nie mam nic przeciwko obecnemu prezydentowi, nie zależy mi na zmianie kursu politycznego i nie pragnę przemian społecznych. Dlatego jestem gotów panu pomóc, żeby wszystko pozostało jak dotąd.

Sołomatin ucieszył się z obietnicy i nie zdradził Saulakowi swoich prawdziwych pobudek ani prawdziwej skali zatroskania.

Tragedia Wiaczesława Jegorowicza polegała na tym, że zajmując w hierarchii pozycję kogoś w rodzaju dozorca, miał duszę sługi i ambicję szarej eminencji. Kiedyś, dawno temu, podczas sobotniego czynu społecznego, chłopak ze starszej klasy, przewodniczący Komsomołu, podszedł do szóstoklasistów, którzy gorliwie pucowali okna na szkolnym korytarzu, obrzucił wymagającym wzrokiem front robót i się skrzywił.

– Ale z was lenie! Pracujecie, jakbyście to robili nie dla siebie. Przecież tutaj się uczycie, spędzacie dużo czasu w tym budynku, więc powinno wam zależeć, żeby było przyjemnie i żeby okna lśniły. A wy? Tylko rozsmarowujecie brud. Spójrzcie na tamtego kolegę. On naprawdę się stara, pracuje jak przykładowy pionier, a wy się objacie. Bierzcie z niego przykład.

Sława Sołomatin zrobił się czerwony jak burak. W klasie zawsze go wyśmiewano, nazywano maminsynkiem, bo nie miał ojca, mama pracowała na dwa etaty, a siostra była jeszcze całkiem mała, więc Sławik bez przerwy biegał na zakupy, odprowadzał siostrę do przedszkola, mył podłogi i okna w mieszkaniu. Okropnie się tego wstydził i kiedy koledzy go wołali, żeby pograł z nimi w piłkę albo poszedł do kina, odmawiał, mówiąc, że mama mu nie pozwala. Tak naprawdę mama zawsze była w pracy, ale Sławik nie mógł się przełamać, żeby powiedzieć: „Nie mogę iść, bo muszę obrać ziemniaki, przekręcić mięso przez maszynkę, a potem odebrać siostrę z przedszkola”. Niech lepiej chłopcy myślą, że ma surową mamę. Z tego właśnie powodu został uznany za maminsynka. I nagle ktoś go pochwalił, i to nie po cichu, gdy nikt nie słyszy, ale publicznie, na głos, pochwalił za to, czego się tak wstydził. Sławik czuł na sobie zaciekawione spojrzenia kolegów i z jeszcze większym zapałem mył okna, a dusza mu radośnie śpiewała. Pierwsza nie wytrzymała dziewczyna, która podobała mu się od drugiej klasy, ale z którą bał się nawet usiąść w jednej ławce: była prymuską i córką dyrektora fabryki.

– Pokaż mi, jak to robisz – poprosiła. – Bo szoruję i szoruję, ale wciąż zostają smugi.

– Weź gazetę – zdradził jej szeptem swój sekret. – Ona najlepiej nadaje się do polerowania, musisz tylko zmyć pierwszy brud. O, zobacz, bierzesz gazetę, mocno ją gnieciesz, a potem polerujesz. I żadnych smug.

– A skąd ją wzięłeś? – zapytała dziewczyna też szeptem.

– Przyniosłem z domu. Wczoraj przecież zapowiedziano, że nasze zadanie to okna na pierwszym piętrze.

– A nie podzieliłbyś się ze mną?

Sława podzielił się, rzecz jasna, i to nie tylko wiedzą, ale też przyniesionymi starymi gazetami.

A w poniedziałek na porannym apelu podsumowywano wyniki czynu społecznego i ten sam komsomolec z dziesiątej klasy w obecności całej szkoły pochwalił głośno pracowitość i sumienność Sławika Sołomatina, stawiając go za wzór. Ależ ten przewodniczący Komsomołu był piękny! Słusznego wzrostu, barczysty, brwi wysoko

uniesione ku skroniom, gęste i proste włosy odrzucone do tyłu odsłaniały czoło. Sławik spoglądał na niego zakochanymi oczami i myślał, że nigdy nie zdoła mu się odwdziżyć za to, co ten dla niego zrobił, w ogóle tego nie podejrzewając. Od tamtej pory już nikt nie dokuczał Sławikowi i nie nazywał maminsynkiem. Zupełnie niespodziewanie wybrano go do rady grupy pionierów. Pochwalono na zebraniu z rodzicami. Mamy co prawda na nim nie było, poszła jak zwykle do pracy, ale byli sąsiedzi, których dzieci uczyły się w tej samej klasie co Sławik. Dwa dni po zebraniu mama, przygotowując mu rano śniadanie, nagle powiedziała:

– Dziękuję ci, synku.

– Za co? – zdziwił się Sławik, zastanawiając się, co zdążył przeskrobać.

– Ciocia Luba z czwartego piętra powiedziała, że bardzo cię chwalono na zebraniu, stawiano za wzór wszystkim dzieciom. Wiesz, jak mi było miło? Bo przecież kiedy ktoś cię chwali, dla mnie to też pochwała i nagroda. To znaczy, że wychowuję cię na dobrego i uczciwego człowieka. Więc mogę być z ciebie dumna.

– Mówisz poważnie? – zapytał Sławik z powątpiewaniem. – Naprawdę jesteś ze mnie dumna?

– Oczywiście, synku. Oby tak dalej, nie zawieź rodziny.

Mama jest z niego dumna. Koledzy go akceptują. Sławik Sołomatin był w siódmym niebie. A gdy doszła do tego jeszcze przyjaźń z dziewczyną, która mu się od dawna podobała, powiedział sobie: Jeśli trzeba będzie oddać za niego życie, zrobię to bez wahania. Bo to najlepszy człowiek na świecie. Chodziło, rzecz jasna, o komsomolca z dziesiątej klasy, który w mgnieniu oka stał się dla Sławika światłem w tunelu, ideałem, liderem. O właśnie, Liderem. I to pisany wielką literą.

Dwa lata później Sławik spotkał swojego bożyszczka w rajkowie [9](#) Komsomołu. Całą klasę wezwano na rozmowę, zanim rozdano wszystkim komsomolskie znaczki. Bożyszczko Sławika się dowiedziało i nawet raczyło zażartować.

– Widzę wśród was chłopaka, który potrafi nie tylko ślęczeć nad książkami, ale też pracować. Pamiętam, że radziłem wszystkim brać z niego przykład. No dalej, przyznajcie się, kto z was nauczył się myć

okna tak jak on?

Wszyscy się domyślili, że instruktor żartuje, i zaczęli się przymilnie uśmiechać. Jednakże już tydzień po przyjęciu do Komsomołu Sławik otrzymał propozycję objęcia szefostwa biura WŁKSM^[10] w szkole.

– W rajkowie cię znają – powiedziano mu tonem nieznoszącym sprzeciwu – więc będzie ci łatwiej rozwiązywać problemy.

Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby odmówić. Charakterystyka, w której będzie napisane, że pełnił funkcję przewodniczącego szkolnej organizacji komsomolskiej, otworzy mu drogę na każdą uczelnię. Nie musi się też bać wojska. Mama będzie dumna z syna studenta. A on poszuka sobie jakiejś pracy, którą będzie mógł wykonywać w czasie wolnym od nauki, żeby wspierać rodzinny budżet. Siostra jest już duża, poszła do szkoły, co roku trzeba jej kupować mundurek, bo szybko rośnie, poza tym tornister, zeszyty i długopisy, nie mówiąc już o skarpetkach czy wstążkach. Jemu też zaczynają rosnać wąsy. Jakoś jeszcze przebiedują dwa lata, zanim Sławik skończy szkołę, ale potem może zabraknąć pieniędzy. Nie będzie już mógł chodzić w szkolnym mundurku, wszystko trzeba będzie kupić. Siostra też podrośnie... Jednym słowem, Sławik nie będzie mógł pójść do wojska, więc musi zrobić wszystko, żeby się dostać na uczelnię. Dlatego aż do egzaminów wstępnych harował w Komsomole.

Niekiedy spotykał w rajkowie Lidera, ale z nim nie rozmawiał. Ten go mijał, stawiając muskularnymi nogami szybkie, długie kroki i tylko kiwał mu głową. Ale Sławikowi nic więcej nie było potrzebne do szczęścia.

W przededniu egzaminów końcowych wezwano go do rajkomu. W ogóle się tym nie przejął, bo sądził, że ukończenie nauki w szkole oznacza koniec działalności w biurze WŁKSM, więc będzie musiał złożyć sprawozdanie z wykonanej pracy i przekazać dokumenty swojemu następcy. Jednakże okazało się, że chodzi o coś zupełnie innego.

– Jakie masz plany? – zapytał go znajomy instruktor. – Co zamierzasz robić po szkole? Pewnie pójdziesz do pracy?

– Chcę spróbować zdawać do instytutu – wyznał zmieszany Sława.

– Tak? – Instruktor wyraźnie się ożywił. – A do którego?

– Do samochodowego.

– Do samochodowego? – z rozczarowaniem powtórzył funkcjonariusz Komsomołu. – A dlaczego właśnie tam? Ktoś ci poradził?

– Nie, sam wybrałem. To zgodne z moimi zainteresowaniami.

– Posłuchaj, Sołomatin. – Głos instruktora stał się przypochlebny i wymowny. – Wszyscy wiemy, że jesteś osobą poważną, z wysokim poczuciem obowiązku. Zawsze wyciągasz pomocną dłoń do towarzyszy, prawda?

Sława wzruszył ramionami, nie mając pojęcia, do czego instruktor zmierza. On zaś, płacząc się, żeby nie powiedzieć za dużo, a jednocześnie nie zgubić sedna, wyjaśnił, że Lider odchodzi na wyższe stanowisko do gorkomu^[11], gdzie powierzono mu zadanie zorganizowania pracy komsomolskiej w miejskich uczelniach. W każdej z nich potrzebuje ludzi, na których będzie mógł liczyć. Ludzi, którzy staną się filarem odnowionych organizacji komsomolskich w instytutach i na uczelniach wyższych. W samochodowym są tacy ludzie. Ale jeśli chodzi o budowlany... Dlatego byłoby bardzo dobrze, gdyby komsomolec Wiaczesław Sołomatin został studentem instytutu budowlanego, a nie samochodowego. W końcu co za różnica? To też uczelnia techniczna. A przy tym ogromna pomoc dla ich wspólnej komsomolskiej sprawy.

Jestem mu potrzebny! – Radośnie śpiewało serce siedemnastoletniego Sołomatina. – On i sprawa mnie potrzebują. Wezwał mnie, więc muszę zrobić wszystko, czego ode mnie oczekuje. Wierzy we mnie. Liczy na mnie. Ufa mi. Nie zawiodę swojego Lidera!

Skąd miał wiedzieć, że Lider nie pamięta nawet jego nazwiska. Rzeczywiście awansował do gorkomu i nadzorował teraz uczelnie w mieście, więc potrzebował zaufanych ludzi, którym mógłby powierzyć pracę w Komsomole. Ale zbieranie zespołu zlecił swojemu przybocznemu, bo miał ważniejsze sprawy na głowie. Przyboczny, długo się nie zastanawiając, popędził do rajkomu, gdzie dotąd pracował Lider, żeby zasięgnąć języka. Dowiedział się, że Sława Sołomatin jest obowiązkowy, sumienny, systematyczny, spokojny i opanowany. I co najważniejsze, Lider zna go osobiście, parę razy widziano, jak się witali.

Sława zdał egzaminy do instytutu budowlanego, w którym natychmiast odebrano telefon z gorkomu z rekomendacją: macie teraz na pierwszym roku studenta Wiaczesława Sołomatina, dobrze byłoby go zrobić komsorgiem^[12] i wciągnąć do biura WŁKSM instytutu. Telefon z gorkomu potraktowano jak polecenie, więc Sława od razu przystąpił do pracy zgodnie z wytycznymi od Lidera, zbierając w ogromnej auli wszystkich aktywistów z miejskich uczelni.

Życie Wiaczesława Sołomatina potoczyło się dalej według tego samego wzoru. Lider awansował i za każdym razem potrzebował zespołu oddanych i pewnych ludzi, na których mógł liczyć. Ale bynajmniej nie każdy pragnął mu towarzyszyć. On bowiem zmieniał stanowiska i obwody, a ci, których za sobą ciągnął, nie chcieli zmieniać posady i miejsca pobytu, idąc za Liderem, który pisał się w górę. Nie wszyscy oczywiście odmawiali, niektórzy zgadzali się mu towarzyszyć i zaczynać wszystko od nowa. Ale po dwóch czy trzech przeprowadzkach albo zmianach pracy rezygnowali. Tylko Sołomatin trwał przy nim. Odkąd trafił na uczelnię, wszyscy wiedzieli, że jest z jego ekipy. Przy kolejnym awansie przyboczny, co prawda już inny, znowu odszukał Sołomatina. Potem już zawsze to robiono, bo każdy wiedział, że przyszedł z ekipą Lidera na tamto stanowisko, a później na to, więc to człowiek Lidera.

Tymczasem Lider nadal nie pamiętał jego nazwiska i nawet przestał go poznawać. Decyzje dotyczące przydziału stanowisk przygotowywali służalczy zastępcy, a Lider, mając do nich pełne zaufanie, składał swój podpis, nie patrząc i nie wnikając w treść dokumentu.

Wiaczesław Jegorowicz Sołomatin całe życie poświęcił służbie Liderowi. Była ona żarliwa i ofiarna. Gdy skończył czterdzieści pięć lat, nagle obudziła się w nim ambicja. Z goryczą pojął, że Lider nie dostrzega jego zasług, bo do pierwszych szeregów pchają się zuchwalcy i aroganci, tymczasem on, Sołomatin, zawsze uważał za swój obowiązek uczciwie wykonywać powierzone zadania i nie przechwalał się na każdym kroku swoimi sukcesami. Wciąż czekał, aż Lider zwróci nań uwagę i powie: „Ach, Sławka, Sławka, przeżyliśmy razem całe życie, ramię przy ramieniu, zawsze byłeś dla

mnie niezawodnym oparciem. Gdyby nie ty, niczego bym nie osiągnął”. Pod warunkiem, ma się rozumieć, że te słowa usłyszy cały kraj, a nie tylko Wiaczesław Jegorowicz. To by wystarczyło, żeby przestał uważać swoje życie za zmarnowane. Ale Lider milczał.

Sołomatin zajmował obecnie skromne stanowisko w administracji prezydenta. I nadal najbardziej na świecie pragnął, żeby Lider, który został prezydentem, go zauważył i docenił. Bo przecież on, Sołomatin, poniósł tyle wyrzeczeń, porzucił tyle przytulnych mieszkań, do których przywykł, przeżył tyle awantur z żoną z powodu ciągłych przeprowadzek albo zmian miejsc pracy. Wszystko to miałoby sens, gdyby wreszcie udało mu się zostać zaufanym prezydenta. Człowiekiem, którego nazwisko i twarz zna cały kraj. Wtedy powiedziałyby, że nie na darmo to wszystko.

Ale podczas pierwszej kadencji prezydenta Sołomatin nie zdołał przedrzeć się do swojego Lidera. Niewiele mu zabrakło. Teraz cała nadzieja w tym, że prezydent zostanie wybrany po raz drugi. Dlatego Sławka musiał dołożyć starań. Przez całe życie robił wszystko sam, na nikogo nie licząc. Poza tym był naprawdę oddany Liderowi i gotów dla niego na wszystko.



Odkąd Sława Sołomatin jeszcze jako student trafił do ekipy Lidera, niemal zawsze powierzano mu naukę i oświatę. Nie wiadomo, czy było to dziełem przypadku, czy może komuś na tym zależało, tak czy inaczej, gdziekolwiek mu towarzyszył, stale zajmował się uczelniami oraz instytucjami naukowo-badawczymi, albo pracując na stanowisku kierownika działu kadr czy na etacie sekretarza organizacji partyjnej, albo pełniąc nadzór z ramienia organów partyjnych. Toteż analizując swoje skromne możliwości wsparcia prezydenta w kampanii wyborczej, skupił się na problemach czeczeńskich, a nie na sprawach gospodarczych. Bo w stołecznych instytucjach naukowych miał sporo kontaktów oraz znajomości i ani przez chwilę nie wątpił, że to właśnie instytucje naukowe, a nie komisje utworzone przez prezydenta, wykonają całą robotę. Tak wyglądała praktyka w czasach Breżniewa, tak było i teraz.

Musiał zatem dokonać wyboru między instytutami, które będą pracować na rzecz komisji Rady Prezydenckiej, a tymi, które staną się kopalnią genialnych pomysłów dla ministrów na czele z premierem. Członkowie Rady Prezydenckiej to przeważnie ludzie niesubordynowani – naukowcy, specjaliści, eksperci. Akademicy i profesorowie. Demokraci i liberałowie. Walczący o prawa człowieka i budujący państwo prawa. Sołomatin wiedział, że sobie z nimi nie poradzi.

Z ministrami było jednak inaczej. Kiedyś Wiaczesław Jegorowicz pracował w stołecznym aparacie gorkomu partii w wydziale odpowiedzialnym za naukę, więc nieźle znał instytucje naukowo-badawcze w Moskwie i dość dobrze się orientował, gdzie najlepiej prowadzić prace nad interesującymi go zagadnieniami. Z całkiem zrozumiałych powodów większa część owych instytucji podlegała ministrom siłowym. Nic w tym przecież dziwnego, że analiza wojny czeczeńskiej odbywa się przede wszystkim w instytutach pracujących na rzecz Ministerstwa Obrony, MWD, FSB i Ministerstwa Sytuacji Nadzwyczajnych.

W owych resortach, jakkolwiek nazywały się dawniej, wpływy partyjne były zawsze wyjątkowo silne, więc znalezienie znajomych nie stanowiło żadnego problemu. Saulak jeszcze nie wyszedł z kolonii karnej, odsiadywał ostatnie dni wyroku, a Sołomatin już zrobił rozeznanie. Za najbardziej obiecujące z punktu widzenia swoich celów uznał dwa instytuty, z których jeden podlegał MWD, a drugi Ministerstwu Spraw Nadzwyczajnych. W obu pracowali specjaliści od rozwiązywania konfliktów, a takie problemy jak kryzys czeczeński stanowiły duże osobne zagadnienia, którymi zajmowały się zespoły składające się z politologów, socjologów, prawników, wojskowych, ekonomistów, a nawet psychologów i psychiatrów. Jednym słowem, w obu instytutach każdy problem analizowano szczegółowo i wnikliwie, czego nie dało się powiedzieć o innych instytucjach naukowych, których potencjał intelektualny był do dyspozycji członków rządu.

Teraz Wiaczesław Jegorowicz musiał zdecydować, który instytut ma większe szanse na sukces. Wiedział, na co zwrócić uwagę i czemu się przyjrzeć. Szefowie jednego byli ludźmi starej daty, szlify

zawodowe zdobywali w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, gdy panowały zasady: kto pierwszy doniósł, ten ma więcej oleju w głowie; kto przekaże lepsze wieści, ten zostanie ulubieńcem. Ale była też trzecia zasada, która tak naprawdę stanowiła pierwszą: kto doniósł, ten ma rację.

Komendant drugiego instytutu (nie dyrektor, ponieważ oba podlegały resortom siłowym, a co za tym idzie pracownicy chodzili w mundurach) był w podeszłym wieku, za to jego zastępcy mieli po czterdzieści dwa, najwyżej czterdzieści trzy lata i nie zależało im na pochwałach ministra ani całego rządu. Mieli ciekawą pracę naukową, stopnie doktorów habilitowanych i tytuły profesorów, rozległą wiedzę i dwadzieścia lat stażu, co dawało im prawo do emerytury, więc w razie obopólnego niezadowolenia, zarówno z ich strony, jak i ze strony ministerstwa, bez żalu ściągnęliby mundury i odetchnąwszy z ulgą, zaczęliby zarabiać na życie, dając wykłady i pisząc demaskatorskie artykuły dla prasy. Owi młodzi zastępcy za nic nie będą wyrywać sobie z rąk końcowego dokumentu, żeby koniecznie złożyć na nim podpis, zanim trafi do komisji pod przewodnictwem premiera.

Z tego względu Wiaczesław Jegorowicz skupił uwagę na instytucji naukowej, w której średni wiek kadry kierowniczej był o wiele wyższy. Komendant zdążył wprawdzie zdobyć stopień doktora habilitowanego, gdy rozpowszechnił się zwyczaj obrony na podstawie referatu i całokształtu prac. Nigdy nie udało mu się napisać prawdziwej rozprawy, o czym wszyscy wiedzieli i dlatego uśmiechali się pod nosem, gdy otworzył przewód habilitacyjny, i jawnie zrywali boki ze śmiechu, niewybrednie żartując, gdy tydzień po obronie zaczął szukać znajomości, żeby zdobyć tytuł akademika. Było to w czasach, gdy akademie zaczęły się pojawiać jak grzyby po deszczu, rozdając na prawo i lewo tytuły akademików. Godności te nikogo do niczego nie zobowiązywały, nie łączyły się z dodatkami do wynagrodzeń i nie podnosiły wartości naukowej habilitantów. Są jednak ludzie, którzy lubią, gdy na oficjalnym dokumencie mogą napisać: „Akademik Chołujkin”. No więc niech sobie piszą na zdrowie i się cieszą. Nie płyną z tego żadne korzyści, ale co to komu szkodzi?

Sędziwy komendant miał czterech zastępców. Tak naprawdę było ich więcej, ale czterej zajmowali się nauką, każdy z nich stał na czele wydziału specjalizującego się we własnej problematyce naukowej i składającego się z katedr oraz laboratoriów. Sołomatin nie brał pod uwagę zastępców do spraw kadr oraz mniej znacznych. W pierwszej połowie 1996 roku sytuacja wyglądała następująco.

Komendant postanowił wykorzystać resztę urlopu, która mu została z ubiegłego roku, i wyjechał nad morze do resortowego sanatorium. Obowiązki powierzył jednemu z czterech zastępców kierujących wydziałami naukowo-badawczymi. A konkretnie sześćdziesięciodwuletniemu doktorowi nauk Pribyłowowi, który już ze dwadzieścia lat robił habilitację. Gdy z ministerstwa przyszło polecenie, by pilnie przygotować obszerny materiał analityczny z wyszczególnieniem sposobów wyjścia z kryzysu czeczeńskiego, pełniący obowiązki komendanta instytutu Pribyłow przekazał je innemu zastępcy, któremu podlegała grupa politologów zajmujących się kryzysami i tego rodzaju tematyką. Ów zastępca nazwiskiem Siergun, nieco młodszy, bo pięćdziesięciosiedmioletni, też miał pachnący naftaliną stopień doktora i z uporem rozповідаł, że lada chwila będzie bronił habilitacji, ale od tak dawna kierował wydziałem nauki, że nauczył się robić to wyśmienicie, za to całkiem zapomniał, czym jest sama nauka.

Jak słusznie przewidział doświadczony Wiaczesław Jegorowicz Sołomatin, na poziomie zarządzania był tylko jeden problem: kto podpisze dokument końcowy? Zastępca komendanta instytutu, pod którego bezpośrednim zwierzchnictwem przygotowano dokument? Zastępca komendanta instytutu, pełniący oficjalnie jego obowiązki? Czy sam komendant, którego nie ma w Moskwie i którego w najbliższym czasie się nie spodziewano, no ale dla dobra sprawy...

Sołomatin przewidywał, że im więcej ludzi zaangażuje się w konflikt, tym łatwiej będzie manipulować stronami, nie pozwalając im zawrzeć ugody i kompromisu. A zatem pierwszą rzeczą, którą należało zrobić, to powiadomić przebywającego nad morzem komendanta o pilnym i bardzo odpowiedzialnym zadaniu, które zważyło się na instytut. Wiaczesław Jegorowicz nie zrobił tego, ma się rozumieć, osobiście, po co miał pokazywać całemu światu, że go to

interesuje? Tak czy inaczej, komendant się dowiedział i od razu zaczął wydzwaniać do Pribyłowa, któremu powierzył swoje obowiązki.

– Igorze Nikołajewiczu, jeszcze dzisiaj wracam do Moskwy – oznajmił rzeczowym tonem. – Niech pan zwoła na jutro na szesnastą wszystkich zastępców i zaprosi... – w tym miejscu wymienił nazwiska paru najważniejszych pracowników. – Utworzymy grupę roboczą w celu przygotowania dokumentu, będę jej przewodniczył.

Pribyłowa omal nie trafiła apopleksja ze złości. Skąd szef się dowiedział? Pribyłow liczył na to, że podczas jego nieobecności wyśle dokument ze swoim podpisem. On, Pribyłow, nie jest głupcem, też wpadł na pomysł, by utworzyć grupę roboczą. No bo o co tutaj chodzi? Ktoś niedoświadczony nawet się nie domyśli. A chodzi o to, że pracownicy naukowcy, świetnie zorientowani w problemie, z należytych pietyzmem przygotowują dokument, napiszą pismo przewodnie na papierze firmowym, że niby przesyłam materiał analityczny dotyczący problemu, z wyrazami szacunku, p.o. komendanta Pribyłow. I co pomyśli osoba, która otrzyma dokument? No właśnie. Pomyśli, że w instytucie pracują znakomici fachowcy, których należy nagrodzić. No tak! Oni, szlag by ich trafił, to fachowcy, a co z nim, z Pribyłowem? W tym problem. Dlatego musi koniecznie utworzyć zespół roboczy pod swoim przewodnictwem. Musi zwołać wszystkich szefów i kierowników naukowych instytutu, po czym im oznajmić, że nasze kochane ministerstwo przydzieliło nam trudne i odpowiedzialne zadanie, które dostało z kolei od naszego kochanego premiera. Dlatego nakazuję (a jednak to dobrze, że resort jest zmilitaryzowany!) utworzyć zespół roboczy w składzie: ja osobiście, a potem wyliczyć pracowników katedry albo zakładu zajmującego się wyżej wymienionym problemem, włączyć też dwóch czy trzech profesorów, którzy się znają na rzeczy. Sposób przygotowania dokumentu pozostanie ten sam: pracownicy naukowcy – od najmłodszego do najstarszego stopniem – będą siedzieć w dzień i w nocy i główkować, potem przygotowują dokument i mu go przyniosą. On zaś przeczyta, a nawet uda, że poprawia. Pribyłow umiał to robić, podobnie jak komendant. Poprawki polegały na tym,

że na niektórych stronach zmieniano kolejność akapitów, słowo „tak” w paru miejscach zastępowało słowo „bardzo” (na przykład, określenie „tak znaczący zwrot” przyjmowało postać „bardzo znaczący zwrot”), a wyrażenie „w zasadzie” zastępowało sformułowanie „w gruncie rzeczy”. Potem dokument zostanie przepisany z uwzględnieniem wniesionych poprawek, ale nawet nie to jest najważniejsze. Najważniejsze, że w piśmie przewodnim pojawi się zdanie: przesyłam materiał analityczny przygotowany przez zespół roboczy pod kierownictwem doktora nauk Pribyłowa. Oto całe sedno. I ważny szef, który otrzyma dokument, spojrzy nań i powie: „Ten Pribyłow to mądry facet. Zebrał zespół fachowców, potrafił ich zmobilizować, sam też, jak widać, swobodnie porusza się w temacie”. To właśnie należało udowodnić. A raczej zorganizować.



Zespół roboczy utworzono, a jego przewodniczącym został, rzecz jasna, sam komendant. Pribyłow nie mógł się z tym pogodzić. Zbyt długo zajmował stołek zastępcy, chciał wreszcie poczuć, jak to jest być komendantem. Wybrał się więc do swojego znajomego w ministerstwie, który miał kontakty na samej górze.

Pogawędzili o różnych sprawach – siostrzeniec Pribyłowa kończył w tym roku szkołę i chciał się dostać do resortowej uczelni, toteż troskliwy wujek zapytał ustosunkowanego znajomego, czy zaczęły się już przyjęcia i czy chłopak może się poddać badaniom lekarskim. Potem westchnął ciężko i pokręcił głową.

– To przykre, że nasz szef rozwali całą robotę! W naszym instytucie pracuje wielu zdolnych i kompetentnych ludzi, ale czy pod jego kierownictwem może się coś udać?

– Chwileczkę. – Urzędnik ministerialny się zaniepokoił. – O czym ty mówisz?

– O naszym komendancie. Już dawno przeczuwał, że możemy dostać to zadanie, więc szybko wziął urlop i wyjechał. Wiedział, że sobie nie poradzi. W ogóle się na tym nie zna, ale boi się przyznać. Za każdym razem, gdy ma wysłać dokument, przetrzymuje go

tygodniami, a wiesz dlaczego? Bo nie rozumie ani słowa z tego, co tam napisane, i strasznie się boi, że coś jest nie tak. Właśnie dlatego pojechał teraz nad morze, nie chce przygotowywać dokumentu na temat Czeczenii. Ale znalazł się jakiś kretyn, który mu doniósł, że przyszło zadanie. Możesz sobie wyobrazić, jak mu to było nie na rękę? Liczył, że nie będzie o niczym wiedział, a gdy wróci, pracownicy mu zameldują, że przygotowali dokument, bo przyszło takie polecenie. Więc jeśli w dokumencie coś jest nie tak, to nie jego wina, ponieważ nie brał w tym udziału, wyciągnie jednak konsekwencje od podwładnych. Wygodnie, prawda? A teraz co ma zrobić? Skoro się dowiedział, nie może udawać, że nie miał o niczym pojęcia. Wsiadł w samolot i przyleciał, żeby wszystko osobiście nadzorować, w końcu zadanie jest priorytetowe, nie da się zaprzeczyć. Utworzył zespół roboczy pod swoim kierownictwem. A sam zażywa walerianę i z przerażeniem czeka następnego ranka. Szkoda go, przecież nie chciał się angażować w tę pracę, sam po cichu przyznaje, że jej nie podoła. Ciekawe, kto go tak wystawił?

– Dlaczego wystawił? – zdziwił się urzędnik. – Nikt nie wystawiał twojego szefa. To całkiem naturalne, że przełożony dowiedział się o zadaniu, które otrzymał jego wydział. Co w tym zakulisowego?

– Chodzi o to, że podczas jego nieobecności ja jestem komendantem. Ja, rozumiesz? Więc doskonale wiem, co się dzieje w moim instytucie. To ja, a nie ktoś z ministerstwa, powinienem zdecydować, czy powiadomić komendanta, który jest na urlopie. Już miesiąc temu razem z komendantem ustaliliśmy, że gdy tylko pojawi się prawdopodobieństwo otrzymania tego zadania, on od razu idzie na urlop i wyjeżdża, a dokument przygotowuje zespół roboczy pod moim kierownictwem, bo ja w odróżnieniu od niego znam się na tej tematyce. Jeżeli on będzie w Moskwie, nikt nie zrozumie, dlaczego nie stoi na czele zespołu opracowującego ważny dokument. A tak – żadnych pytań. No i po co go powiadomiono, możesz mi wyjaśnić? Przez ten telefon znalazł się pod ścianą. Teraz nie może zostać w sanatorium, musi zareagować, natychmiast przyjechać i objąć przewodnictwo zespołu. Więc to zrobił. I kto na tym wygrał?

– Nie rozumiem, czemu się tak żołądkujesz. – Urzędnik wzruszył ramionami. – Jeżeli z racji funkcji musi pokierować zespołem, niech

zrobi to oficjalnie, a ty, skoro się na tym znasz, przygotujesz wszystkie materiały. Nazwisko przewodniczącego zawsze figurowało tylko nominalnie, szefowie nigdy niczego nie robili.

– Ten numer się wam nie uda – spokojnie odparł Pribyłow. – Mam na głowie habilitację, pracuję nad częścią empiryczną, zależy mi na dobrym imieniu. Jeżeli otrzymam polecenie, obejmę kierownictwo zespołu. Ale jeżeli to komendant oficjalnie nim pokieruje, nie będę miał z tego żadnego pożytku. Jestem, mój drogi, już w takim wieku, że nie zamierzam na nikogo harować. Musisz więc przyjąć do wiadomości, że nasz instytut nie wykona zadania. Skompromitujemy się przed ministerstwem, a ono przed rządem.

– Dziwny tok rozumowania – zauważył urzędnik. – Przecież teraz ty kierujesz instytutem, pełnisz obowiązki komendanta. I tak spokojnie mi mówisz, że twój instytut nie wykona zadania ministerstwa i rządu? Czy to znaczy, że jesteś złym komendantem i nie radzisz sobie z zarządzaniem?

– Skoro to ja jestem komendantem, powinienem pokierować zespołem – twardo oznajmił Pribyłow. – Wtedy osobiście odpowiem za dokument końcowy i mogę ci zagwarantować, że będzie przejrzysty i rzeczowy. Ale jeśli zespołowi przewodniczy nasz akademik, to mając w sobie krzytną przyzwoitości, powinniście wydać mu polecenie przerwania urlopu. Wtedy to on, a nie ja, poniesie odpowiedzialność za nieudaną pracę. Musisz zrozumieć, że wystawiacie nie tylko jego, lecz i mnie. Nie pozwalacie mi stanąć na czele zespołu i zorganizować pracy w celu przygotowania dokumentu, zamierzacie też obarczyć mnie odpowiedzialnością za niepowodzenie. Wasze wspaniałe decyzje, mój drogi, prowadzą donikąd.

– W sumie masz rację – wycedził urzędnik w zamyśleniu.

Nazajutrz komendant dowiedział się z trzeciej ręki, że w związku z przygotowaniem dokumentu na temat kryzysu czeczeńskiego ktoś w ministerstwie bardzo aktywnie intryguje przeciwko instytutowi. Akademik zaczął tracić nerwy, informacje, które do niego docierały, były niepełne i sprzeczne, a termin przygotowania dokumentu nieubłaganie się zbliżał... Na widok miny Pribyłowa domyślił się, że może zapomnieć o jego pomocy i wsparciu. Całą nadzieję pokładał

w Siergunie, drugim zastępcy, któremu podlegali przygotowujący dokument politolodzy i specjaliści od konfliktów.



Piotr Pawłowicz Siergun też chciał dostać swój kawałek tortu. Tyle że jego interes nie był tak wyrachowany jak Pribyłowa. Pragnął stanąć na czele własnego sektora naukowego i kierować zespołem specjalistów zajmujących się problemami, które wynikają z jego specyfiki. Żadne inne problemy go nie interesowały, nie chciał ich rozwiązywać ani za pieniądze, ani za stanowiska. Pragnął sławy naukowca, którą mógł zdobyć tylko w jeden sposób: tworząc i rozwijając samodzielny sektor naukowy, który zajmie się analizą konfliktów etnicznych w wielonarodowościowych społeczeństwach. Piotrowi Pawłowiczowi też, ma się rozumieć, bardzo zależało, żeby w piśmie przewodnim znalazła się uwaga, że dokument opracował zespół roboczy kierowany przez doktora nauk Sierguna. Żeby potem, gdy zacznie upominać się o własne laboratorium albo nawet instytut, wszyscy powiedzieli: to ten Siergun, który doradzał w sprawie przerwania wojny w Czeczenii; to ci ludzie, którzy pracowali z Siergunem, to jego szkoła. Wtedy łatwiej będzie o własny instytut, finansowanie i kadry.

Nie miał jednak pojęcia, co zrobić, żeby jego nazwisko znalazło się w piśmie przewodnim. Nic mu nie przychodziło do głowy.

Tamtego dnia wracał do domu metrem, drogi były śliskie, więc rano nie zaryzykował jazdy samochodem. Było już dość późno, kwadrans po dziesiątej, ale oddalwszy się parę metrów od budynku instytutu, odwrócił się i popatrzył w okna czwartego piętra – paliło się w nich światło, to znaczy, że ktoś jeszcze pracował. Nie było w tym, rzecz jasna, nic dziwnego, przynajmniej raz w miesiącu ministerstwo przydzielało im jakąś pilną sprawę, więc wszyscy pracowali, nie patrząc na zegarek, bo chodzili w mundurach i można im było powiedzieć: „Nie wróćcie do domu, póki nie skończycie roboty”. Więc nie wracali, przykładali się, harowali.

Instytut znajdował się w centrum Moskwy, w gąszczu krętych, źle wybrukowanych uliczek, na których co rusz gasły latarnie, więc

nietrudno było wpaść do dziury i złamać nogę. W okolicy były trzy stacje metra, ale droga do każdej z nich była równie daleka i uciążliwa.

Piotr Pawłowicz uważnie wpatrywał się w chodnik, starając się nie pośliznąć ani nie potknąć, dlatego nie zauważył, skąd wziął się ten mężczyzna. Może szedł z naprzeciwka, może go wyprzedził, a może podszedł z boku.

– Piotr Pawłowicz? – zapytał głębokim, dobrze postawionym głosem.

– Zgadza się – bezwiednie odparł Siergun, ze zdziwieniem podnosząc wzrok na nieznanego.

Stał przed nim wysoki, elegancko ubrany mężczyzna w tym samym wieku co on, bez nakrycia głowy, z gęstymi siwymi włosami i wyrazistymi ciemnymi oczami.

– Czy mógłbym zabrać panu chwilę? To nie potrwa długo, chyba że sam pan zechce.

– Bardzo przepraszam – stanowczo rzekł Siergun, który nosił mundur z naramiennikami pułkownika. – Już późno, a ja się śpieszę. Poza tym chyba się nie znamy. Jeżeli ma pan do mnie sprawę, proszę przyjść do biura.

– Ale to przecież niemożliwe – ugodowo zaproponował siwowłoso nieznanemu. – Do instytucji, w której pan urzęduje, nie da się wejść bez przepustki. Mam tylko dowód, a to stanowczo za mało, żeby się dostać do pańskiej twierdzy. Nie mogę też do pana zadzwonić, bo nie znam pańskiego telefonu.

Lepiej będzie wysłuchać go tutaj, niż dawać numer telefonu, a potem głowić się, jak się go pozbyć, pomyślał Siergun.

– Dobrze, niech pan zreferuje sprawę w drodze do metra – ustąpił.

– Pan wybaczy, ale chyba jestem źle wychowany – oschle zauważył siwowłoso osobnik. – Potrafię rozmawiać, tylko patrząc komuś w oczy, jak przystoi mężczyźnie. Nie umiem tego robić, gdy ktoś spuszcza wzrok i myśli tylko o tym, jak się nie pośliznąć i nie upaść.

Siergun poczuł nagle sympatię do tego mężczyzny, tak niepodobnego do zabieganych petentów, usiłujących podsunąć mu dokumenty do podpisu, gdy się śpieszył i z góry było wiadomo, że ich nie przeczyta. Rozejrzał się dokoła i zobaczył w pobliżu plac

zabaw dla dzieci. Dzisiaj latarnie się paliły, na ulicy było dość jasno, panował duży ruch, więc Siergun nie dopatrzył się niczego groźnego ani naganego w tym, że posiedzi parę minut na ławce i wysłucha mężczyzny, którego otaczała aura powagi.

– Usiądźmy – zaproponował, pokazując brodą ławkę.

Ruszyli w tamtą stronę, usiedli, Piotr Pawłowicz umieścił na kolanach swoją dyplomatkę i odwrócił się do nieznanego, który z każdą chwilą wydawał się coraz sympatyczniejszy, mimo że nie robił ani nie mówił nic szczególnego.

– Słucham pana – powiedział, a raczej usiłował powiedzieć, bo nagle zaczął mu się plątać język.

Już miał się zdziwić, ale zrezygnował. Ciepłe palce siwego mężczyzny łagodnie dotknęły jego dłoni i Siergun poczuł spokój i błogość, jakby przed chwilą wziął kąpiel, położył się do łóżka i zawiązał w ciepłą puchową kołdrę. Nie było w tym nic dziwnego. To zupełnie naturalne, że głos tego mężczyzny będzie mu teraz mówił, jak ma postępować. On, Piotr Pawłowicz, będzie go oczywiście słuchał, nie inaczej.

– Kiedy ma pan oddać dokument przewodniczącemu zespołu roboczego?

– Dziewiętnastego, w poniedziałek.

– Kiedy należy przekazać ministrowi ostateczną wersję?

– W środę, dwudziestego pierwszego.

– W jakiej fazie przygotowania jest obecnie dokument?

– Są wszystkie materiały, należy je tylko połączyć w całość.

– Ile czasu to zajmie?

– Sporo.

– A konkretnie?

– Trudno powiedzieć. Ale postaramy się szybko z tym uporać, mamy duże doświadczenie.

– Niech pan słucha uważnie, Piotrze Pawłowiczu. Musi pan przygotować dokument znacznie pręcej. Rozumie pan? Dwa dni przed czasem. I mi go przynieść. Może być na dyskietce. Potem przez kolejne dwa dni nikomu go pan nie pokaże ani nie powie, że jest gotowy. Może pan to zrobić?

– Nie wiem. To trudne. Osoba, która przepisze ostateczną wersję,

będzie wiedziała, że dokument jest gotów. Każdy będzie się zastanawiał, dlaczego nie przekazuję go przełożonym.

– Proszę powiedzieć, że zabrał go pan do domu, żeby uważnie przeczytać. Dokument jest bardzo ważny, więc nie będzie w tym nic dziwnego. Musi pan to zrobić, Piotrze Pawłowiczu. Musi. I zrobi. Da mi pan materiał w piątek, szesnastego lutego. Tego dnia zabierze pan do domu dyskietkę z gotowym tekstem. Podejdę do pana na ulicy i ją odbiorę. Do szesnastego lutego zostały trzy dni. Przez cały ten czas będzie pan w transie, w który pana wprowadziłem. Będzie pan chodził do pracy, wykonywał swoje obowiązki, podejmował decyzje, ale wciąż będzie pan pamiętał, że jestem częścią pana, częścią pańskiej świadomości, i czuwam nad tym, żeby zrobił pan to, co kazałem. Nie powie pan nikomu o naszym spotkaniu, ale będzie pamiętał, co ma zrobić. I zrobi pan, co w jego mocy, żeby nie przekroczyć wyznaczonego terminu. Wszystko jasne?

– Tak – odrzekł Siergun tępo.

∴

W piątek, szesnastego lutego, Piotr Pawłowicz Siergun znowu spotkał w drodze do domu tamtego mężczyznę z siwymi włosami i wyrazistymi ciemnymi oczami i oddał mu dyskietkę, na której był zapisany sześćdziesięciostronicowy materiał analityczny. Tym razem nieznamy miał dużą torbę, z której wyjął laptopa, otworzył go, włożył i sprawdził dyskietkę. Siergun przyniósł to, co miał przynieść. Rifinius właściwie niczego nie podejrzewał, nawet mu nie przyszło do głowy, że człowiek, którego wprowadził w trans hipnotyczny, może nie posłuchać polecenia, ale na wszelki wypadek musiał sprawdzić. A nuż dyskietka ma jakieś sprytne zabezpieczenie i nie można jej skopiować? A nuż Siergun się pomylił i zabrał inną dyskietkę? Różne rzeczy mogą się zdarzyć... Rifinius weźmie nośnik, wyprowadzi Sierguna z transu, a co potem, gdy się okaże, że odtwarzanie zostało zablokowane?

Wszystko było jednak w porządku.

– Nigdy pan sobie nie przypomni, jak wyglądam – mówił Karl Rifinius, patrząc na Sierguna i trzymając go za rękę. – Ale będzie

pan pamiętał, co zaszło. Będzie pan pamiętał, że oddał mi dyskietkę z materiałem na dwa dni przed wręczeniem dokumentu przełożonym. I nigdy nie będzie się pan dziwił ani oburzał, gdy usłyszysz, że ktoś wykorzystuje ten materiał. Będzie pan mówił, że to zwyczajny zbieg okoliczności. Bo przecież taka sama myśl może zaświtać różnym osobom. Ktoś po prostu wpadł na to przed panem, to normalne, takie rzeczy zdarzają się w świecie nauki. Żadnego oburzenia ani zdziwienia. Żadnych komentarzy. Chcę, żeby rozumiał pan to, co robię, tylko wtedy będzie pan w stanie mi zaufać. Mogę wyczyścić panu pamięć i nigdy pan sobie nie przypomni, że się spotkaliśmy i że przekazał mi pan dyskietkę. Ale jutro przyjdzie pan do biura i znowu będzie pracował nad tym materiałem, a parę dni później usłyszysz w mediach, że ktoś przypisał sobie autorstwo rozwiązań opisanych w dokumencie. Oburzy się pan, rzecz jasna, i zacznie wymachiwać pięściami, szukać zdrajcy wśród pracowników, tego, kto dopuścił do wycieku informacji. Ale nikogo pan nie znajdzie. Skrzywdzi pan niewinne osoby, nastawi przeciwko sobie podwładnych, a w końcu się okaże, że sam pan to zrobił. I będzie pan skończony jako naukowiec, przełożony i oficer. Dlatego musi pan pamiętać to, co się wydarzyło, i nie robić głupstw. Jeżeli będzie się pan właściwie zachowywał, nikt się o niczym nie dowie. Jeżeli mnie pan nie posłucha, tylko pan na tym ucierpi. Bo nie przypomni pan sobie mojej twarzy i nigdy mnie nie rozpozna. W efekcie trafi pan do szpitala psychiatrycznego. Wierzy mi pan?

– Tak – wyszeptał Siergun. – Wierzę.

– Zrobi pan to, co powiedziałem?

– Tak, zrobię.

– Niech pan powtórzy, co ma zrobić.

– Nie znam pana, nie pamiętam, jak pan wygląda. Nigdy się nie spotkaliśmy. Oddałem komuś dyskietkę, ale nie pamiętam, komu i po co. Nie wolno mi o tym mówić.

– Świetnie, Piotrze Pawłowiczu. Zaraz wyprowadzę pana z transu, niech pan idzie za mną powoli, nie śpieszy się, znam drogę, proszę mi zaufać...

[\[9\]](#) Rajkom (rajonnyj komitet) – komitet rejonowy.

[\[10\]](#) WŁKSM (Wsiesojuznyj leninskij kommunističeskij sojuz mołodioži) –
Wszeczwiązkowy Leninowski Komunistyczny Związek Młodzieży, w skrócie Komsomoł.

[\[11\]](#) Gorkom (gorodskoj komitet) – komitet miejski.

[\[12\]](#) Komsorg (komsomolskij organizator) – organizator komsomolski.

Rozdział 9

Grigorij Walentinowicz Czincow był bliski paniki. Ze sceny jeden po drugim schodzili najlepsi i najbardziej zaufani współpracownicy Malkowa, jego podpora – finansowa oraz ideologiczna. Ni z tego, ni z owego odebrał sobie życie Jurcew. Zażył jakąś truciznę na bankiecie. Świadkowie co prawda mówią, że od początku wyglądał nieciekawie, co rusz chwycił się za głowę. Potem zagadnął jednego z bankierów o kredyt, ale ten mu odmówił. Jurcew odszedł dosłownie dwa kroki, wyjął z kieszeni truciznę i wsunął do ust. A zresztą może sam się nie otruł, może to robota konkurencji. Nieżyjący Oleg Iwanowicz miał twardą rękę, oj, twardą, dla nikogo nie znał litości, więc ktoś z nim wyrównał rachunki.

Tego samego wieczoru Lonia Izotow, marionetkowy deputowany, dostał małego rozumu po pijaku. Wepchnął pod koła własną żonę! Diabeł go chyba podkusił! A może był chory z zazdrości? Siedzi teraz w celi, na niewiele zda mu się immunitet, gdy na oczach setki ludzi ukatrupił małżonkę. Ależ z niego kretyn, jak Boga Kocham kretyn!

A Siemionow, skończony tuman, rozbił się samochodem. Już jako młody chłopak szalał na drogach i w ogóle się nie zmienił. Wszyscy muszą przestrzegać zasad, tylko on ma je w nosie. Nachlać się i za kierownicę, jedynie tyle potrafi.

Ale to się wydarzyło trzy dni temu. A wczoraj, po tym jak telewizja pokazała występy prezydenta w rodzinnych stronach, Żeńka Szabanow się powiesił. No i kto uwierzy, że sam to zrobił?! Ktoś musiał mu pomóc, to pewne. Szabanow przeholował, on też nie znał umiaru. Wciąż mu powtarzano: „Działaj z rozmysłem, ostrożnie, zanim postawisz krok do przodu, zrób dwa kroki w tył”. A on? Dorwał się do koryta, zapomniał o wszystkim, zrobił cyrk

z prezydenckiej wizyty. Tylko głupiec się nie domyśli, że to robota tego samego człowieka. Kto ułożył harmonogram pobytu? Szabanow. Kto poradził prezydentowi, żeby rano pojechał na cmentarz odwiedzić groby rodziców? Ten, kto wiedział, że w tym rejonie mróz nie słabnie przed jedenastą, więc jeżeli w dzień ma być minus dwadzieścia, to znaczy, że przed południem będzie minus trzydzieści, a potem trochę się ociepli. Kto dba o wygląd i wizerunek prezydenta? Szabanow. To on nie poradził prezydentowi, żeby włożył buty na grubej podeszwie. Z tego właśnie powodu prezydent przez godzinę spacerował po cmentarzu w trzydziestostopniowym mrozie, mając na nogach lekkie skórzane pantofle. A kto szlifował tekst wystąpienia? Szabanow. Mało było kretynowi zabawy, to jeszcze zrobił hecę z wystąpienia głowy państwa. Lepiej by sobie kupił bilet do cyrku, skoro tak lubi tarzać się ze śmiechu i nie potrafi żyć bez żartów.

Prezydent ma przecież nie tylko wrogów, ale też zwolenników, i to niemało, oj, niemało. To oni namierzili Żeńkę Szabanowa. Szkoda, naprawdę szkoda. Grigorij Walentinowicz miał swojego człowieka w otoczeniu prezydenta. Bez niego wszystko się skomplikuje. Ale z drugiej strony dobrze mu tak. Sam sobie winien.

Czincow snuł podobne rozważania jeszcze dzisiejszej nocy, po tym jak wczoraj późnym wieczorem dowiedział się o śmierci Szabanowa. Ale po południu jego myśli pobiegły w zupełnie innym kierunku. Bo w ciągu dnia, koło drugiej, dotarła do niego straszliwa wiadomość: członek ekipy Malkowa, wyznaczony przezeń na ministra spraw wewnętrznych w razie zwycięstwa w wyborach, padł ofiarą szaleńca, który zaatakował przyszłego ministra tuż koło jego domu i parę razy do niego strzelił. Szaleńca, rzecz jasna, natychmiast zatrzymano, do zdarzenia doszło o dziesiątej rano, więc na ulicy było pełno ludzi. Ale to, co się stało, już się nie odstanie: przyszły minister spraw wewnętrznych wyzionął ducha jeszcze przed przyjazdem milicji i pogotowia.

Nagle Grigorij Walentinowicz pomyślał, że wszyscy, którzy bali się wypuszczenia Pawła Saulaka z kolonii karnej, jeden po drugim wypadają z gry. Ci, w których interesie przeprowadzono czystkę w kierownictwie wielu rejonów kraju parę lat temu. Ci, co najwięcej

się obłowili, zamieniając owe rejony w punkty przeładunkowe, przez które odbywał się tranzyt broni i narkotyków. Czyżby ktoś się dowiedział i zaczął umyślnie pozbywać się konkurencji?

A gdzie tam, przerwał sobie Czincow. To niemożliwe. Jurcew sam się zabił, wszyscy to widzieli. Izotow też bez niczyjej pomocy wepchnął żonę pod auto. Jeżeli ktoś chciał się policzyć, to z nią, a nie z nim. Siemionow sam spowodował wypadek, nikogo innego nie było w wozie. Szabanow? Tak, ten raczej sam się nie powiesił, ale pewnie maczali w tym palce ludzie z ekipy przeciwnika. Zemścili się za to, że wystawił prezydenta. A ten ostatni, do którego strzelał szaleniec? No cóż, szaleńcy do wszystkiego są zdolni. Muszę wybić sobie z głowy głupie myśli, stwierdził stanowczo Grigorij Walentinowicz. Nic się nie dzieje. To tylko zbieg okoliczności.

Jednakże nie tak łatwo pozbyć się wątpliwości. Pierwsze podejrzenie padło oczywiście na Saulaka. Ale już parę minut później Czincow ochłonął i się roześmiał. Co ma do tego Paweł? Po co mu takie rzeczy? Można by to zrozumieć, gdyby żądał pieniędzy za milczenie. Jaką korzyść odnosi, sprzątając tych ludzi? Żadnej. Nic złego mu nie zrobili, więc nie musi wyrównywać z nimi rachunków. Fakt, że nawiązał kontakt i zaproponował płatną pomoc, świadczy tylko o tym, że jest człowiekiem trzeźwo myślącym, praktycznym i pozbawionym bzdurnych sentymentów. Nie, kto jak kto, ale Paweł Saulak nie ma z tym nic wspólnego.

Myśl, że w ekipie Malkowa ubyłoby pięciu ludzi, była jednak niepokojąca. W dodatku zabrakło tych, którzy najwięcej wykładali na kampanię wyborczą. Za Malkowem stoi kapitał kryminalny zbity na handlu bronią, narkotykami i żywym towarem. Prawie za każdym kandydatem stoi jakiś brudny kapitał, różnią się tylko stopniem nielegalności. Jedni kandydaci na prezydenta mają za sobą ropę i gaz, inni przemysł ciężki, zbrojeniowy czy banki. Każde ugrupowanie kieruje się własnymi interesami, każde chce mieć swojego prezydenta, tutaj wszystko jasne.

Kiedyś, w czasach władzy radzieckiej, istniała grupa ludzi, która tworzyła luki na granicach oraz w urzędach celnych i brała duże łapówki, gdy ktoś chciał z nich skorzystać. W warunkach głębokiego deficytu towarów kwitła spekulacja, sprytni kombinatorzy kręcili się

tam i z powrotem, wyjeżdżając do krajów dawnego obozu socjalistycznego i szmuglując do Rosji artykuły pierwszej potrzeby – kosmetyki, ubrania, sprzęt gospodarstwa domowego oraz inną drobnicę, ale dużymi partiami. Byli też tacy, którym udawało się dotrzeć do upragnionego świata kapitalistycznego. Potem, na początku lat dziewięćdziesiątych, problem towarów się rozwiązał, ale luki pozostały i pojawiło się pytanie, jak je efektywnie wykorzystać. Za Malkowem stali akurat ludzie, którzy mieli dobrze opłacone kontakty w urzędach celnych i na granicach.

Z drugiej strony, po wyjściu z podziemia nielegalni biznesmeni zaczęli się gorączkowo zastanawiać, w co zainwestować uciulany przez lata kapitał, żeby nie ucierpiała na tym wspólna sprawa. Posiadacze luk spiknęli się z ludźmi zarabiającymi na produkcji i sprzedaży lewych wyrobów z trykotu. Skoro są pieniądze z wyrobu trefnych trykotów oraz luki na granicach i w urzędach celnych, utworzone w czasach, gdy znajdowali się amatorzy nielegalnych wypraw do Polski i Bułgarii po artykuły pierwszej potrzeby, dlaczego by nie połączyć sił? Przedstawiciele obu grup spotkali się na negocjacjach, napili dobrego koniaku, posiedzieli w saunie i się dogadali. My mamy świetne możliwości, żeby nielegalnie przekroczyć granicę i przewieźć każdy towar. Ale brak nam pieniędzy na zakup drogich produktów, co pozwoliłoby wykorzystać kontakty z rozmachem, a nie dla drobnicy, o której aż wstyd mówić. Żeby ze smutkiem nie oglądać się na bezsensownie przeżyte lata. Z drugiej strony, wy, szanowni panowie, siedzicie na forsie, ale nie macie możliwości, żeby ją poważnie zainwestować w coś naprawdę intratnego. I dokonać nie jednorazowej operacji, choćby nawet zyskowej, tylko czerpać regularne przychody, bez niepokoju spoglądając w jasną, zasobną przyszłość.

Zaproszona strona uznała wywody za logiczne, argumenty zaś za istotne. Krótko mówiąc, zawarto porozumienie. I zaczęto przygotowywać bazy wypadowe w pobliżu dostępnych luk na granicy. Po przejściu przez nią towar przez pewien czas miał leżeć w dobrze zakonspirowanym i chronionym magazynie, póki zaufani ludzie nie przygotują odpowiednich dokumentów, nie zmienią opakowań i nie opracują nowej trasy. Ładunek przyjedzie w dużym

kontenerze, ale opuści magazyn małymi partiami zakontraktowanymi przez konkretnego nabywcę. Podczas wstępnych rozmów handlujący trykotami nalegali, żeby zrezygnować z wszelkich baz i magazynów, bo szybkie pozbycie się towaru daje gwarancję bezpieczeństwa. Należy przyjąć go przez lukę i od razu się pozbyć, popchnąć dalej. Jednakże właściciele luk byli innego zdania, wiedzieli, rzecz jasna, że sprzedaż hurtowa jest bezpieczniejsza, ale też przynosi mniej pieniędzy, natomiast detaliczna – ryzykowniejsza, ale bardziej dochodowa.

– Zrozumcie – przekonywał przedstawiciel handlujących trykotami – przy zbyciu dużej partii zawsze trzeba pamiętać, że nabywca nie jest ostatnim ogniwem łańcucha. Odbiorca weźmie część towaru, a resztę zacznie wciskać każdemu jak leci. My zaś nie jesteśmy w stanie sprawdzić, gdzie trafił nasz produkt. Nie możemy też liczyć na to, że nabywca będzie dokładnie sprawdzał swoich klientów. Prędzej wpadniemy, niż zarobimy. Lepiej zainwestować w system bezpieczeństwa, postawić odpowiednich zarządców na straży i spokojnie pracować. A zresztą skoro rozpoczynamy nowy biznes, mam na myśli żywy towar, będziemy potrzebować magazynów. Nie możemy przecież przemycać po jednej osobie. Trzeba ich gdzieś trzymać, póki nie zbierze się cała partia. Najlepiej, jeśli miejsce będzie niedaleko luki.

Po krótkim namyśle handlujący trykotami się zgodzili. Na czele przedsięwzięcia stało siedem osób: czterej właściciele luk i trzech handlujący trykotami. To właśnie oni w swoim czasie skontaktowali się z Władimirem Wasiljewiczem Bułatnikowem, prosząc, by oczyścić potrzebne im tereny. Gdy robota została wykonana, kapitał zaczął zarabiać i system okrzepł, zlikwidowali generała lejtnanta. Po co im człowiek, który wie aż tyle o ich sprawach? Ludzie ze zbędną i niebezpieczną wiedzą nie są nikomu potrzebni. Tylko zawadzają.

Teraz z całej siódemki zostali tylko dwaj mężczyźni. Kandydat na prezydenta Siergiej Gieorgijewicz Malkow i niejaki Gleb Armienakowicz Mchitarow, który miał obiecane stanowisko ministra finansów w razie zwycięstwa Malkowa w wyborach.

Paweł zlecił Garikowi i Rifiniusowi pracę z Mchitarowem. Właściwie nie był zwolennikiem działań zespołowych, przez długi czas członkowie jego grupy się nie znali, gdyż Saulak rozsądnie uważał, że tak jest bezpieczniej. I chodziło nie tylko o niepotrzebną wiedzę, która w danym wypadku nie przynosiła żadnego pożytku, ale też o ryzyko wywołania zazdrości, ekscytacji czy ducha konkurencji. Takie rzeczy nie są pożądane, stanowią tylko przeszkodę.

Jednak w dziewięćdziesiątym pierwszym roku Paweł potrzebował dwóch osób do wykonania zadania. Długo łamał sobie głowę, ale nic nie wymyślił – jeden wykonawca nie mógł sobie poradzić. Wtedy poznał Garika Asaturiana z Karlem Rifiniusem vel Konstantinem Riewienką. Naruszenie zasad ograniczyło się do tej jednej znajomości: obaj mężczyźni nadal nie wiedzieli o istnieniu Rity i Miszy Łarkina, podobnie jak Rita i Michaił Dawidowicz nie wiedzieli ani o nich, ani o sobie.

Mchitarow mieszkał w Petersburgu, mając pod swoją pieczęcią port kaliningradzki i rejon Wyborgu, gdzie przebiegała granica z Finlandią. Garik i Karl wybrali się tam Czerwoną Strzałą^[13], wykupując dwuosobowy przedział w wagonie sypialnym. Obaj mężczyźni mieli odmienną konstrukcję psychofizyczną: przed czekającym go zadaniem Garik dużo jadł, ale tylko niektóre rzeczy, a Rifinius przeciwnie, starał się jeść jak najmniej, pił za to dużo wody mineralnej. Gdy tylko pociąg ruszył z peronu Dworca Leningradzkiego w Moskwie, Asaturian od razu otworzył walizkę i zaczął wykladać na stolik duże jaskrawoczerwone papryki, okazałe pęczki koperku, pietruszki, kolendry i bazylii, długie zielone ogórki i jajka na twardo. Starannym, wyćwiczonym ruchem usunął ogonki i gniazda nasienne z papryk, obrał jajka i wsunął je do papryk. Potem połączył pęczki czterech gatunków ziół i też je tam umieścił. Jedną z tak przygotowanych papryk wziął do ręki, odgryzł kawałek i z wyrazem błogości na twarzy przymknął oczy. Rifinius obojętnie przyglądał się tym kulinarnym poczynaniom, popijając małymi łykami wodę mineralną ze szklanki.

Do przedziału zajrzała konduktorka – sympatyczna grubaska z wesołymi oczami i uroczymi dołkami w policzkach.

– Co panom podać? Herbatę, kawę, kanapki, herbatniki, wafelki?

– Ja poproszę herbatę – powiedział Karl.

– Ja to samo, kochana. – Garik puścił do niej oko. – A nie znalazłaby się czasem jakaś cytrynka?

– Dla dobrego człowieka wszystko się znajdzie – ze śmiechem odparła grubaska.

Garik kątem oka zauważył, że Rifinius zmienił się na twarzy, i domyślił się, że ten postanowił sprawdzić, jak będą się dogadywać podczas pracy. W końcu do tego potrzeba wprawy, a ich jedyny wspólny występ odbył się dość dawno...

– Niech pani będzie tak miła i mnie też zaliczy do dobrych ludzi – powiedział Karl i Garik zauważył, że jego towarzysz zmienił tempo wypowiedzi, intonację, a nawet częstotliwość oddechu. Potrafił szybko się skupić na tej grubasce.

Ciekawe, na co zareagowała, obiecując mi cytrynę do herbaty, pomyślał Garik. Na słowo „kochana” czy na to, że do niej mrugnąłem? Jeżeli na miłe słówko, to znaczy, że jest słuchowcem, a jeżeli na mrugnięcie – wzrokowcem. Karl przystąpił do pracy, stawiając na mówienie i oddychanie, więc już się zorientował, co i jak. Bystrzak z niego.

– Zaliczę pana do grupy poważnych – zażartowała konduktorka.

– A więc dla poważnych ma pani inną ofertę? – podjął Garik, starając się mówić tak samo rytmicznie jak ona. – W takim razie muszę się zastanowić, czy nie przejść z grupy dobrych do poważnych. Co mi pani radzi? Niech pani spojrzy na mojego kolegę wprawnym kobiecym okiem i powie, dlaczego ja zawsze mam pecha.

Konduktorka posłusznie przesunęła wzrok na Rifinusa, a wtedy obaj wzięli ją w obroty. Karl pracował oczami i twarzą, ruchem brwi, rąk, gestami i mimiką, a Garik nie przestawał rozprawiać, usiłując nie wypaść z rytmu narzuconego przez jej oddech i sposób mówienia.

– Tyle lat jeżdżę z nim w delegacje i za każdym razem to samo. On dostaje ciekawe propozycje, a mnie nikt nie zauważa. Jakby tego było mało, wszystkie moje kobiety prędzej czy później uciekają do niego...

Karl zrobił ledwo zauważalny gest i Garik umilkł. Konduktorka

nadal stała, oparta plecami o drzwi, i wpatrywała się w Karla. Chyba nie zauważyła, że Garik przestał mówić.

Pauza była bardzo krótka, jedynie ktoś doświadczony, znający się na rzeczy, mógł ją zauważyć. Garik znowu się odezwał.

– Zaraz wróci pani do swojego przedziału, zrobi nam herbaty z cytryną i napisze coś na dwóch kartkach. Na jednej fragment ulubionej piosenki, a na drugiej ulubionego wiersza. Obie kartki przyniesie nam pani razem z herbatą. Proszę iść.

Konduktorka się odwróciła, z trudem otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Parę minut później wróciła z tacą, na której były dwie szklanki herbaty i dwie złożone na pół kartki. Garik i Karl po nie sięgnęli. Ulubioną melodią konduktorki okazała się piosenka o niebieskim wagonie ze znanej kreskówki, a ulubionym wierszem – *Niepotrzebnie tak długo modliłem się o miłość Nadsona*. Garik schował kartki, wyprowadził grubaskę z transu i zamknął za nią drzwi.

– Ciekawe połączenie, prawda? – powiedział Karl w zamyśleniu. – Prosta dziecięca piosenka i mało znany wiersz poety, którego nie przerabia się w szkole i o którym mało kto już pamięta. Pewnie nasza przyjaciółka miała ukochanego, który usiłował jej wpoić zamiłowanie do wysublimowanej poezji, ale nie znał się na twórczości pieśniarskiej i nie potrafił zmienić jej prymitywnych upodobań. Może to był jego ulubiony wiersz, a ona nauczyła się go na pamięć, bo jest bardzo krótki. No i w kółko go powtarza, bo nie może zapomnieć tamtego mężczyzny.

Garik nie odpowiedział, z apetytem pałaszując następną faszerowaną paprykę. Papryki były trzy, więc gdy się z nimi uporał, Karl dopił już herbatę i smętnie ssał cytrynę, którą wyjął ze szklanki.

– Nie wie pan, dlaczego pracujemy razem? – zapytał Asaturian, sięgając po wystygłą herbatę. – Zapowiadają się jakieś komplikacje?

– O ile wiem, nie są przewidziane. – Rifinius wzruszył ramionami. – Musimy tylko pamiętać o jedności przestrzeni psycholingwistycznej.

– O czym? – Garik wybałuszył oczy. – Co pan plecie?

– Mchitarow to zruszczony Ormianin, więc pan, Garri, może z łatwością znaleźć słowa kluczowe, które trafią do jego

podświadomości. Ja nie zdołam tego zrobić. W pewnych wypadkach świetne efekty przynosi wykorzystanie ojczystego języka obiektu, zwłaszcza jeśli go dawno nie używał. Posłużenie się słowami i pojęciami, które nierozzerwalnie wiążą się z wczesnym dzieciństwem, przenosi człowieka w stan zależności, podległości i bezwzględного posłuszeństwa, panujących w jego relacjach z rodzicami w tamtym okresie. Pan zna ten język, a ja nie. Dlatego Paweł Dmitrijewicz powierzył panu to zadanie. Z drugiej strony, Mchitarow zwracał się parę razy do lekarzy, skarżąc się na bezsenność i rozdrażnienie. Nie wykluczam, że może to być efektem anomalii psychicznych, w tej sytuacji musimy zastosować szczególną metodę pracy. Dlatego Paweł Dmitrijewicz zaprosił mnie do wykonania zadania, chciał, żebym okiem specjalisty przyjrzał się Mchitarowowi i w razie potrzeby dokonał stosownej korekty wybranej metody.

– Teraz rozumiem. – Garik skinął głową. – Zje pan ogórka? Świetnie oczyszcza organizm. Widzę, że pije pan tylko wodę, więc pewnie też się pan oczyszcza?

– Ależ skąd. – Rifinius uśmiechnął się wyrozumiale. – To po prostu nawyk. Nie ma żadnego leczniczego celu.

Garik dokończył ogórka, a Karl dopił wodę z wysokiej butelki. Tematy już im się wyczerpały, więc koło wpół do drugiej poszli spać. A rano punktualnie o ósmej dwadzieścia dziewięć Czerwona Strzała wtoczyła się pod dach Dworca Moskiewskiego w Sankt Petersburgu.



Siergiej Gieorgijewicz Malkow był gubernatorem dużego obwodu. Nie miał tutaj, rzecz jasna, baz wypadowych. Kierował się żelazną zasadą: nie należy kalać własnego gniazda. Do Moskwy wpadał dość często w sprawach zarówno służbowych, jak i osobistych, ale Misza Łarkin wolał popracować z nim warunkach domowych. Paweł zaś przyznał mu rację. Moskiewska milicja ma dość problemów i bez Malkowa, wystarczy im Jurcew i szaleniec. Właśnie dlatego Łarkin pojechał za prezydentem w jego ojczyste strony i rozprawił się z Szabanowem z dala od Moskwy. Wrócił, odespał podróż, nabrał sił

i dzień później wybrał się na ziemię rodzinną Malkowa.

Siergiej Gieorgijewicz był mężczyzną tęgim, wiecznie spoconym i łysiejącym, twarz miał jak księżyc w pełni, z zimno połyskującymi niebieskimi oczkami, które zazwyczaj ciepłe i przyjacielskie, potrafiły ciskać błyskawice. Dzieci były uderzająco podobne do tatusia: chorobliwie otyłe, rozlane, ślamazarne. Miały tylko inne charaktery. Syn uczył się w jedenastej klasie i był wielokrotnym zwycięzcą olimpiady z literatury, języka obcego oraz historii w republice, latem zamierzał zdawać na uniwersytet. Nie sprawiał kłopotów rodzicom. Natomiast córka była zupełnie inna, przyprawiała ich o ból głowy.

Urodziła się w czasach, gdy w radzieckich kinach triumfy święciły filmy o markizie Angelice i jej licznych kochankach. Nic więc dziwnego, że nazwano ją Angeliką, imię było wtedy modne. Dziewczyna nie wyrosła jednak na seksowną blondynkę ze zmysłowymi ustami i kształtną figurą, tylko na grubą, szpetną i niesłychanie rozpuszczoną pannę. Wcześniej zrozumiała, że daleko jej do ideału kobiecego piękna, i postanowiła zrekompensować niedobór udawaniem seksualnego powabu. „Co za różnica, czy jestem ładna – mówiła koleżankom. – Ważne jest to, że chłopcy lubią się ze mną bzykać”. Koleżanki jej wierzyły, bo na własne oczy widziały, że na imprezach wciąż zaszywa się gdzieś z chłopcami, podczas gdy atrakcyjniejsze dziewczęta podpierają ściany. Skąd miały wiedzieć, że Angelika oferuje płci przeciwnej szeroki wachlarz przynęt, na który łowi łatwowiernych głupców. Zazwyczaj posługiwała się historyjką o zakładzie.

– Znam dwie osoby – mówiła konspiracyjnym szeptem – które się założyły na nasz temat.

– Jak to? – dziwił się chłopak.

– Ano tak. Jedna z nich mówi, że się ze mną prześpisz, a druga uważa, że nie dasz rady.

– Niby dlaczego nie dam rady? – oburzał się młody mężczyzna.

– Bo jestem gruba i nieładna. Podobno ci nie stanie. W grę wchodzi spore pieniądze. Jeżeli nie uda mi się zaciągnąć cię do łóżka, wygrana przejdzie mi koło nosa. Więc posłuchaj, jaki mam pomysł. Zaraz pójdziemy do sąsiedniego pokoju, nie bój się, pomogę ci, znam się na tym. Nie ma też żadnego ryzyka, bo zawsze się

zabezpieczam, nie musisz się martwić. Tutaj wciąż ktoś zagląda, więc na pewno doniesie tamtej osobie, że ci się udało. A pieniądze, które wygram, podzielimy na pół. Zgódź się, forsa jest nie do pogardzenia.

Czy ktoś widział mężczyznę, który by się nie zgodził w takich warunkach? Kobieta sama się prosi, w razie potrzeby obiecuje pomoc, to znaczy, że nie będzie się naśmiewać i drwić, gdy pojawią się problemy. Sama się zabezpiecza, więc żadnych pretensji. I jeszcze zapłaci.

Angelika zaczęła się zabawiać z chłopcami w wieku piętnastu lat i na swoje seksualne kaprysy wydawała wszystkie pieniądze, które udawało jej się wyciągnąć od zamożnych rodziców. Ale jako siedemnastolatka zaszła w ciążę i mamusia, wlepiwszy jej parę policzków, zaciągnęła ją do lekarza na aborcję. Gdy miała dwadzieścia lat, rozwiodła się już z drugim mężem i została narkomanką. A gdy skończyła dwadzieścia pięć, obawiano się wypuszczać ją z domu. Była obłąkana na punkcie trzech rzeczy: obfitego i smacznego jedzenia, seksu w każdej postaci oraz heroiny. Ta ostatnia była chyba najniebezpieczniejsza, bo wiązała się z dużymi wydatkami, tymczasem rozpieszczona Angelika nie uznawała żadnych przeszkód stojących na drodze do realizacji swoich pragnień. Bez wahania miażdżyła je z bezwzględny cynizmem i z siłą dywizji czołgów.

Misza Łarkin zjawił się z ogromnym bukietem róż na progu willi gubernatora. Czekano na niego, bo zapowiedział się przez telefon, ucinając sobie długą pogawędkę z matką Angeliki.

– Nazywam się Arkadij Grinberg – przedstawił się grzecznie. – Poznałem Angelikę parę lat temu, gdy występowałem w waszym mieście.

– Jest pan aktorem?

– Niezupełnie – wyznał. – Muzykiem, gram w orkiestrze symfonicznej. Niedawno dowiedziałem się od znajomych, że Angelika bardzo się zmieniła. Nie wiem, czy pani rozumie, co mam na myśli...

– Rozumiem, i to świetnie. – Gubernatorowa się uśmiechnęła. – Teraz muszę siedzieć w domu i jej pilnować. Wystarczy jednak, że wyjdę na chwilę, a ona natychmiast ucieka i za każdym razem nikt

nie wie, czym się to skończy. Widzi pan, Arkadiju, niczego przed panem nie ukrywam, całe miasto trąbi o naszym nieszczęściu. Nic nie możemy na to poradzić.

– Aż trudno uwierzyć. – W jego głosie zabrzmiały strach i zdziwienie. – Gdy byliśmy razem, miałem wrażenie, że Angelika naprawdę mnie kocha. Jestem niemal pewien, że mógłbym obudzić w niej dobroć, która w niej jest i zawsze była. Nie mogła przecież zniknąć. Po prostu nie każdy potrafi ją dostrzec.

– Sądzę, że się pan myli. – Żona Malkowa westchnęła ze smutkiem. – W mojej córce nie ma już nic dobrego. Zabrzmi to okropnie, ale czasami modlę się do Boga, żeby umarła.

– Nie powinna pani tak mówić! – gorąco zaprotestował Łarkin. – Nie wolno opuszczać rąk. W każdym człowieku jest coś dobrego. Jestem pewien, że gdy porozmawiam z Angeliką i przypomnę jej naszą miłość, ona od razu się zmieni. Tak silne emocje nie przemijają bez śladu.

– Dobrze, niech pan spróbuje – pozwoliła gubernatorowa, nawet nie kryjąc niedowierzania i obojętności.

Misza zjawił się więc, żeby „spróbować”. Nie przypadkiem przedstawił się jako Arkadij Grinberg, znał siłę magii nazwisk i narodowości w Rosji. Młody człowiek z takim nazwiskiem musi być przyzwoitym Żydem. I oczywiście muzykiem. W żadnym razie narkomanem.

Wręczył kwiaty pani domu – postawnej, ale bynajmniej nie otyłej kobiecie ze zwiędłą, ale miłą twarzą, po czym został zaprowadzony na piętro, gdzie Angelika czatowała w swoim pokoju, aż będzie się mogła wyszliznąć. Ostatnim razem udało jej się ukraść złoty łańcuch należący do ojca, który ten pozostawił po porannym masażu. Za łańcuch dostała tyle heroiny, że mogła przez parę dni się nie martwić.

Misza wszedł do pokoju i skrzywił się pogardliwie. Angelika ważyła ze sto dwadzieścia kilogramów, w dodatku wyglądała bardzo niechlujnie. Michaił od razu się domyślił, że dziewczyna jest na haju, ale na lekkim, który powoli ustępuje. To dobrze, pomyślał, bo jeśli przeniknie do odurzonej narkotykami świadomości, zanim Angelika oprzytomnieje, już dzisiaj będzie można załatwić sprawę.

– Hej – powiedziała córka gubernatora wstrętnym piskliwym głosem. – Coś ty za jeden?

Łarkin się odwrócił, upewnił, że drzwi są szczelnie zamknięte, i podszedł na palcach do szerokiego łóżka, na którym wylegiwała się opasała dziewczyna.

– Jestem twoim księciem, ślicznotko – powiedział cicho. – Spałaś długie lata, czekając na mnie. W końcu przyszedłem. Zaraz zacznę cię budzić, a ty się ockniesz i rozpoczniesz życie, jakie zdarza się tylko w bajkach. We śnie męczyły cię koszmary, dlatego było ci tak źle i ciężko. Rozumiesz?

– A jakże – odparła Angelika. – Najpierw zamierzasz mnie bzyknąć, a potem zbudzić czy odwrotnie?

– Wszystko naraz. – Łarkin uśmiechnął się czarująco. – Zaraz się rozbierzesz i zacznę cię budzić. Zobaczysz, że ci się spodoba.

– Dobrze – zgodziła się posłusznie. – A właściwie kim ty jesteś? Znamy się?

– Oczywiście.

Misza usiadł na krawędzi łóżka i wziął ją za rękę. Palce Angeliki były pulchne i lepkie. Wolną dłonią przesunął jej parę razy przed oczami, potem przyłożył ją z tyłu głowy.

– Oczywiście, że się znamy – powiedział, starając się naśladować rytm jej głosu i oddechu. – Jestem muzykiem, nazywam się Arkadij. Arkadij Grinberg. Parę lat temu występowałem tutaj z orkiestrą, wtedy się do siebie zbliżyliśmy. Bardzo mnie kochałaś. Ja ciebie też. Potem jeszcze parę razy przyjeżdżałem, żeby się z tobą spotkać. A potem mnie przepędziłaś. Właśnie tak: to nie ja cię rzuciłem, tylko ty kazałaś mi się wynosić...

Dwie godziny później wyszedł z pokoju Angeliki, delikatnie zamknął za sobą drzwi i zszedł na parter, gdzie siedziała matka młodej kobiety.

– To okropne, prawda? – zapytała z udręką, podnosząc wzrok na Łarkina. – Pewnie się pan nie spodziewał, że jest aż tak źle. Podejrzewam, że się panu nie udało.

– Ma pani rację – przytaknął markotnie. – Z trudem mnie sobie przypomniała. Mój Boże, mój Boże, jak mogło do tego dojść!

Dramatycznym ruchem chwycił się za głowę.

– Ale wydaje mi się, że jest pewna nadzieja – powiedział, uznając, że dość już okazywania smutku i rozpaczy. – Udało mi się dotrzeć do tego, co w niej jeszcze nie zgasło. I chyba zrobiło jej się wstyd. Tylko odrobinę, rzecz jasna, przykro mi to mówić, ale narkomani są całkiem pozbawieni wstydu i wrażliwości, ona jednak jeszcze niezupełnie je utraciła... Ach, gdybym mógł zostać tutaj i ją codziennie odwiedzać! Jestem przekonany, że mógłbym jej pomóc. Czuję, że to by się udało.

– Co więc stoi na przeszkodzie?

– Muszę wyjechać.

– Kiedy?

– Za tydzień.

– Nie może pan zostać?

W głosie żony gubernatora dała się słyszeć słaba nadzieja. A nuż ten sympatyczny żydowski muzykant uratuje jej córkę, a zarazem ich wszystkich?

– Niestety nie. Za dziesięć dni muszę lecieć z orkiestrą do Australii. Ale może gdy wrócę... Postaram się tak wszystko zaplanować, żeby zatrzymać się tu jak najdłużej. Chcę zrobić dla Angeliki, co tylko w mojej mocy.

W tym samym czasie na schodach rozległy się ciężkie kroki. Oboje podnieśli głowy i zobaczyli dziewczynę, która szła w ich stronę, przyzwoicie ubrana, umyta, a nawet uczesana.

– Napije się pan herbaty? – zapytała światowym tonem.

Gubernatorowa spojrzała na gościa oszołomiona, nigdy nie słyszała, żeby jej córka zwracała się do kogoś w ten sposób.

– Dziękuję, Angeliko Siergiejewno – odparł Łarkin na tę samą modłę. – Jest pani bardzo miła, ale muszę iść. Mam nadzieję, że pani mama chętnie dotrzyma pani towarzystwa.

– Szkoda, że musi nas pan opuścić – powiedziała Angelika wolno i uprzejmie. – W takim razie odprowadzę pana. Mamo, pożegnasz się z naszym gościem?

– Nie, nie – gubernatorowa się poderwała – ja też pana odprowadzę.

Obie wyszły przed dom i stały obok siebie, póki Łarkin, ścigany czujnym wzrokiem ochroniarzy, nie znalazł się za ogrodzeniem willi.



Matka nie mogła ochłonąć ze zdumienia. Po wyjściu gościa Angelika nie próbowała zamknąć się w swoim pokoju na górze, ale została na parterze razem z matką i zaproponowała, że chętnie jej w czymś pomoże. Matka, starannie dobierając słowa, odrzuciła ofertę pomocy. Angelika nigdy niczego nie robiła, więc można było przypuszczać, że nic nie potrafi i nie poradzi sobie z najprostszym zajęciem.

– Tak mi wstyd, mamó – powiedziała dziewczyna. – Zachowywałam się skandalicznie. I prowadziłam skandaliczne życie. Jakbym spała i śniły mi się koszmary. A teraz się obudziłam. Obiecuję, że wszystko się zmieni.

Głos miała cichy i niewyraźny, ale matki to nie zaniepokoiło. Córka chodziła za nią krok w krok i wciąż o coś pytała.

– A gdzie tata? Kiedy wróci? Chcę go przeprosić za wszystko, co zrobiłam. Czuję się okropnie, więc chcę przeprosić, żeby zrzucić z siebie ten ciężar.

O czwartej ze szkoły wrócił młodszy syn, szybko zjadł obiad i poszedł do swojego pokoju. Teraz nie zejdzie do dziewiątej, aż do kolacji będzie ślezczał nad książkami i się uczył. Koło ósmej rozległ się odgłos podjeżdżającego samochodu, trzasnęły drzwi.

– Ojciec wrócił – oznajmiła matka z uśmiechem.

Zaraz potem kula z pistoletu roztrzaskała jej głowę. Nieszczęsna kobieta nie widziała, jak jej gruba i ociężała córka wypadła do przedpokoju, a gdy w drzwiach pokazał się Malkow, znowu nacisnęła spust i wystrzeliła jeszcze parę razy.



Łarkin czekał w hotelu na wieczorne wydanie wiadomości. Postanowił nie wyjeżdżać z miasta, zanim się nie przekona, że osiągnął zamierzony cel. Niewykluczone, że dzisiaj nie wszystko się uda i jutro będzie musiał wrócić do willi, żeby to i owo poprawić. Właśnie na wypadek tej niepożądaney, ale całkiem możliwej sytuacji

obliczona była wzruszająca scena zbiorowego pożegnania: córka i matka stoją obok siebie i machają muzykantom Grinbergowi. Jutro ochrona wpuści go bez problemu, nie będzie musiał uprzedzać gospodarzy o wizycie.

Wszystko się jednak udało. Spiker telewizyjny, z trudem opanowując podniecenie, komentował zdjęcia zrobione przez dziennikarzy w willi gubernatora i koło niej. Żona gubernatora leży z dziurą w głowie w kuchni. Bezkształtne cielsko jej męża zajmuje cały przedpokój. Gruba Angelika z olimpijskim spokojem siedzi w fotelu w salonie w otoczeniu lekarzy i milicjantów. Na niskiej ławie przed nią pistolet.

– Skąd pani wzięła broń? – pyta ją wysoki mężczyzna ubrany po cywilnemu, widocznie śledczy z prokuratury.

– Należy do tatusia – odpowiada dziewczyna dziwnie piskliwym głosem. – Tata ma dużo broni, więc ją znalazłam i schowałam.

– Po co ją pani wzięła?

– Nie wiem. Nie pamiętam. Dzisiaj sobie przypomniałam i postanowiłam zabić oboje.

– Za co? Za co zabiła pani swoich rodziców, Angeliko?

– Żeby mi nie przeszkadzali. Bo wiecznie: tego nie wolno, tamtego nie wolno, nie dawali pieniędzy... Znudziło mi się.

Nagranie wideo się skończyło, teraz na ekranie znowu pojawiła się twarz spikera.

– Ta straszliwa tragedia jeszcze raz nam przypomina, że nie ma nic ważniejszego od walki ze złem, jakim jest szerząca się narkomania. Narkotyki nikogo nie oszczędzają, ani tych, którzy je zażywają, ani ich bliskich, ani nawet ludzi, którzy są im obcy. Jutro każdy z nas może się stać ofiarą narkomana.

No i załatwione, pomyślał Michaił Dawidowicz, rozkładając pościel i szykując się do snu. Jutro można wracać do domu.



Ze stron gazet nie zniknęły jeszcze złośliwe komentarze na temat deputowanych Dumy Państwowej, którzy wpychają swoje żony pod koła przejeżdżających samochodów, gdy pojawiły się mrożące krew

w żyłach informacje o tragicznej śmierci kandydata na prezydenta, zastrzelonego przez córkę narkomanekę. Przeczytawszy o tym w gazecie, Wiaczesław Jegorowicz Sołomatin odetchnął z ulgą. Szabanow zszedł z placu boju, więc o jednego rywala mniej. Los strzeże Lidera, wspiera go w niełatwej, ale słusznej walce. Wielkie dzięki mu za to.

Tego samego dnia prezydent publicznie oznajmił, że powołane przez niego komisje do pracy nad kwestią czeczeńską przekażą wnioski pod koniec tygodnia. O ile mu wiadomo, zaproponują siedem rozwiązań wyjścia z kryzysu, ale on, prezydent, ma już ósme, własne rozwiązanie. Sołomatin triumfował. Udało mu się jednak dotrzeć z owym rozwiązaniem do Lidera, który go zauważył. A nawet podziękował. Wiaczesław Jegorowicz nie przepuścił okazji, rzecz jasna, i przypomniał prezydentowi dawną znajomość. Ten oczywiście uśmiechał się przyjacielsko i udawał, że pamięta i nigdy nie zapomni, było jednak widać, że sobie nie przypomina. Ale to nieważne, najważniejsze, żeby teraz zauważył i już nie zapomni.

Wygląda na to, pomyślał Wiaczesław Jegorowicz, że Wołodka Bułatnikow nie bez powodu chwalił Saulaka. Trzeba przyznać, że chłopak zna się na swojej robocie. Jak mu się udało zdobyć dokumenty, nie robiąc przy tym hałasu i zamieszania? Diabli go wiedzą. Szkoda, że Bułatnikow nie żyje. Kiedyś można się było do niego zwrócić z każdym problemem, a on zawsze znalazł rozwiązanie, nie było dla niego rzeczy niemożliwych, wystarczyło zapłacić. Gdyby tak zatrudnić Pawła na stałe! Ale Sołomatin wiedział, że mu się nie uda. Saulak wyslizguje się z rąk, jest nieuchwytny, w ogóle się nie pokazuje. Kontaktuje się tylko telefonicznie, pieniądze za robotę odebrał ze skrytki.

...Sołomatin mieszkał w tym samym domu co Bułatnikow. Obaj przeprowadzili się do nowo wybudowanego bloku, który zasiedlono urzędnikami wyższego szczebla i partyjnymi działaczami, nic więc dziwnego, że wysokiej rangi naczelnik z KGB i funkcjonariusz gorkomu partii zostali sąsiadami. Szybko zawarli znajomość, wymieniając się narzędziami do montowania zamków, wbijania kołków rozporowych i mocowania żyrandoli. Odwiedzali się zarówno sami, jak i z żonami, przez pewien czas syn Sołomatina wytrwale

zabiegał o względy córki kagebowca i zaprzyjaźnione rodziny ze śmiechem omawiały szanse spowinowacenia się.

A potem Wiaczesławowi Jegorowiczowi powinęła się noga. Popełnił fatalny błąd, wybierając kolejną przyjaciółkę. Kobieta okazała się bezwzględna i nieustępliwa, stanowczo zażądała, by partyjny kochanek się rozwiódł. Okazywała zarazem namiętne uczucie, które kategorycznie nie pozwalało jej żyć bez ukochanego i nakazywało dobrowolnie rozstać się ze światem w razie niemożności połączenia się z mężczyzną życia. Napomykała też, nienatrętnie, ale całkiem jednoznacznie, że napisze w liście pożegnalnym, który na pewno trafi do rąk kompetentnych organów, dlaczego nie chciała dłużej żyć. Ta nieodległa perspektywa nie cieszyła Sołomatina. Wyglądało na to, że wszyscy się dowiedzą o jego małżeńskiej zdradzie. A więc będzie musiał zapomnieć o karierze partyjnej.

Któregoś wieczoru Wiaczesław Jegorowicz, łyknąwszy sobie dla kurażu, podzielił się swoim kłopotem z sympatycznym sąsiadem. Przez całe życie, mówił, był bardzo ostrożny w kontaktach z kobietami, a teraz wpadł. Słyszając to, Władimir Wasiljewicz odchrząknął, pocmokał i powiedział, że nie ma sytuacji bez wyjścia i jeśli działacz partyjny Sołomatin jest gotów wesprzeć moskiewski zarząd KGB w sprawie wykluczenia niektórych towarzyszy z szeregów KPSS^[14], to on, Bułatnikow, pomoże mu rozwiązać jego problem.

Krótko potem bliska znajoma nagle przestała dzwonić do Wiaczesława Jegorowicza, a na jego telefony głosem pełnym napięcia i poczucia winy odpowiadała, że uświadomiła sobie, iż nie miała racji, więc nie będzie niczego już żądać. A w ogóle dla dobra szczęśliwej radzieckiej rodziny powinni się rozstać. No cóż, Sołomatin podzielał ten punkt widzenia. Rzeczywiście tak było najlepiej.

Dręczyła go jednak ciekawość. Bardzo chciał się dowiedzieć, jak Bułatnikowowi udało się tak szybko i bezboleśnie załatwić sprawę. Usiłował wybadać sąsiada, ale ten tylko chytrze się uśmiechał i milczał.

Pewnego dnia, wracając z żoną z teatru, dwie dzielnice od domu zobaczył sąsiada, który stał przy jakimś samochodzie i rozmawiał

z wysokim, szczupłym mężczyzną. Bułatnikow go zauważył, ale udał, że nie widzi i nie przerwał rozmowy. Nazajutrz Sołomatin odwiedził Władimira Wasiljewicza przy okazji kolejnego państwowego święta – Dnia Żołnierza Straży Granicznej – i gdy wychylili parę kieliszków, powiedział:

– Ciekawe, czy tacy odrażający faceci jak twój wczorajszy znajomy nie mają problemów z babami. Aż ciarki przechodzą po plecach na jego widok.

– Daruj sobie – surowo odparł Bułatnikow. – Jest moją prawą ręką. Los go nie oszczędzał, ale chłopak się nie poddał, przetrwał wszystkie przeciwności. Teraz znowu ze mną pracuje, co prawda już nielegalnie. Nawiasem mówiąc, to właśnie jemu zawdzięczasz pomyślnie załatwienie sprawy ze swoją ślicznotką.

W tym momencie Sołomatin nie wytrzymał, przyczepił się do sąsiada, opowiedz, mówi, jak to się odbyło, bo zaraz umrę z ciekawości tu, na tym krześle. Nie wiadomo, czy dlatego że panowie sporo wypili, czy dlatego że lekceważące słowa na temat najbliższego współpracownika poruszyły Bułatnikowa, w każdym razie zdradził, że młodej kobiecie pokazano zdjęcia, na których uprawiała ognisty seks z zupełnie obcym mężczyzną. To znaczy nie z Sołomatinem. Zdjęcia mocno podważyły wysuniętą przez nią tezę dotyczącą szaleńczego afektu, gorącej namiętności i niemożności życia bez jedynej mężczyzny, Wiaczesława Jegorowicza. W ten sposób uparta kobieta straciła swoją kartę przetargową: szansę, by poruszyć sumienie Sołomatina i obudzić w nim najlepsze uczucia.

– To dopiero zdzira! – z uniesieniem zawołał Wiaczesław Jegorowicz. – A ja uwierzyłem, że naprawdę mnie kocha, dałem się nabrać jak głupiec, było mi przykro, myślałem, że zmarnowałem jej życie.

– To już przeszłość. – Bułatnikow próbował ostudzić jego gniew. – Nie myśl tymi kategoriami. Sprawa załatwiona i tylko to się liczy. Nie miej do niej żalu.

Sołomatin o nic więcej nie zapytał, ale będąc człowiekiem niegłupim i bystrym, domyślił się, że kobieta była mu jednak wierna, a zdjęcia to jakaś sprytna sztuczka szczupłego, brzydkiego pomocnika Bułatnikowa imieniem Paweł.

Z biegiem lat przyjaźń między sąsiadami krzepła, Bułatnikow nie był już tak powściągliwy jak na początku, zwłaszcza pod wpływem alkoholu, więc Sołomatinowi udało się dowiedzieć, że Paweł Saulak dużo może i dokonuje prawdziwych cudów, wykonując polecenia Bułatnikowa. Wprawdzie sąsiad nie zdradził, jaki charakter miały owe polecenia, trzymał język za zębami, ale bardzo chwalił Pawła.

Gdy generał lejtnant zginął, pierwszą osobą, o której pomyślał Sołomatin, był właśnie Paweł. Na gwałt potrzebował takiego pomocnika. Wykorzystał swoje kontakty, żeby zdobyć namiary Saulaka, ale zanim zdążył mu złożyć propozycję, Pawła aresztowano za szczególnie rażący występki chuligański, a niedługo potem trafił do kolonii karnej. Sołomatin był jednak cierpliwy. Umiał czekać i niezachwianie wierzył w swoją gwiazdę.



Anton Andriejewicz Minajew grubą kreską przekreślił ostatnie nazwisko u góry listy. Przez chwilę w zamyśleniu spoglądał na kartkę leżącą przed nim na biurku, a potem zdecydowanie porwał ją na drobne kawałki i spalił w popielniczce. Pierwsza część operacji Stella została zakończona. Szkoda tylko, że Paweł gdzieś znikł...

[13] Luksusowy pociąg nocny z Moskwy do Petersburga.

[14] KPSS (Kommunističeskaja partija Sowietskogo Sojuza) – Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego.

Część 3

Nie przeszkadzajmy katu

Rozdział 10

Uralskie mrozy dały w kość Nasti Kamińskiej. W Moskwie od razu rozbolało ją gardło i dostała kataru, co jednak nie oznaczało, że zostanie w łóżku i nie pójdzie do pracy. Wciąż było mnóstwo bieżącej roboty, więc siedzenie w domu na zwolnieniu stanowiło niedopuszczalny luksus nie tylko dla niej, ale też dla każdego funkcjonariusza wydziału do walki z przestępczością przeciwko życiu i zdrowiu.

Podróż do Samary po Pawła Saulaka pozostawiła po sobie przygnębiające wrażenie, mimo że nic złego się nie stało i Nastia wywiązała się z zadania: wywiozła Pawła, sprzątnęła go prześladowcom sprzed nosa i przekazała w ręce generała Minajewa. Coś jednak wciąż ją niepokoiło, pozbawiało snu i spokoju.

Parę dni po powrocie naczelnik wydziału, pułkownik Gordiejew, na kolejnej naradzie operacyjnej z posępną miną oznajmił:

– No cóż, moi drodzy, rozpoczął się przedwyborczy wyścig. Mamy wysyp arcyważnych trupów. Na naszym terenie wyzionął ducha groźny mafioso z południa. Są podstawy, by przypuszczać, że ktoś mu w tym pomógł. Nastazjo, zostań po naradzie, musimy porozmawiać.

Gdy wszyscy pobiegli do swoich spraw, Nastia nie ruszyła się ze swego kącika, siedziała skulona, ściskając w ręce chusteczkę do nosa. Wiktor Aleksiejewicz popatrzył na nią ze współczuciem i pokręcił głową.

– Leczysz się jakoś?

– E tam. Nigdy się nie leczę.

– Pewnie dla zasady?

– Oczywiście. Organizm musi wiedzieć, że nie może liczyć na

pomoc z mojej strony. Bo jeszcze zacznę myśleć, że będę go trzymać w domu pod kołdrą i faszerować tabletkami, żeby łatwiej mu było zwalczyć chorobę. Nic z tego, sam sobie musi poradzić. Nie zamierzam go rozpieszczać.

– Ostra jesteś. – Gordiejew się uśmiechnął. – Skąd bierzesz te niedorzeczne teorie?

– Nie wiem. – Roześmiała się. – Zawsze pan mówił, że mam nierówno pod sufitem.

– To prawda. Posłuchaj, dziecko, mówi ci coś nazwisko Jurcew?

– To ten mafioso, który rzekomo się otrul?

– Owszem.

– Mnie osobiście nic. Ale Stasow się z nim zetknął. Wspominał coś na ten temat.

– Zaraz pewnie powiesz, że nie lubisz plotkować... – z drwiną powiedział Gordiejew.

– Nie lubię – przytaknęła Nastia. – Ale głośno tego nie powiem. Pan pyta, więc odpowiadam. Lepiej jednak zasięgnąć języka wśród ruopowców^[15] albo zapytać Zatocznego. To ich broszka.

– Jeszcze zdążę się do nich zwrócić. Na razie wal, co wiesz.

– Właściwie niewiele. Latem Stasow odpoczywał na południu z córką, a jego ekszona pracowała na festiwalu filmowym, który akurat się tam odbywał. Jurcew był jednym ze sponsorów, wyłożył pieniądze i zarabiał na reklamach. Zwłaszcza że kręciło się tam mnóstwo wczasowiczów szukających rozrywki, a restauracje i kasyna w mieście należą do niego. Kiedy Stasow stanął mu na drodze, Oleg Iwanowicz próbował go usunąć...

Relacja ze znajomości prywatnego detektywa Stasowa, w tamtych czasach jeszcze podpułkownika milicji, z groźnym mafiossem Jurcewem zajęła Nasti prawie pół godziny. Wiktor Aleksiejewicz słuchał uważnie, prawie w ogóle nie przerywając, tylko czasami pytał o to i owo.

– Innymi słowy, Jurcew był wszechwładnym bossem tamtej części wybrzeża – podsumował. – To oczywiście nie nasza sprawa, niech się nią zajmie wydział do walki z przestępczością zorganizowaną. Ale czuję przez skórę, że będą chcieli utworzyć zespół i poproszą, żebyśmy kogoś przysłali. Pójdiesz?

– No wie pan, Wiktorze Aleksiejewiczu?!

Nastia się skrzywiła i zaczęła pocierać nos. Wypróbowany sposób nie pomógł, więc zmrużyła oczy, przycisnęła chusteczkę do nosa i kichnęła.

– Co „no wie pan”? Dlaczego nie lubisz pracować w zespole, Nastazjo?

– Pewnie nie mam kolektywistycznej natury. Nie jestem kołchoźnicą, raczej samotną rolniczką. Niech mnie pan nie wysyła do zespołu, bardzo proszę – jęknęła żałośnie.

– Ja też tego nie chcę. – Pułkownik się uśmiechnął. – Ale jeśli nie ciebie, to kogo?

– Na przykład Kolę Siełujanowa.

– W porządku, zastanowię się. Posłuchaj no, czy twój Stasow...

– Nie jest mój, tylko nasz wspólny. Niech pan nie przesadza.

– No dobrze, niech będzie nasz Stasow. Jak sądzisz, zdradzi nam szczegóły historii z Jurcewem?

– A czemu nie? Nie ma nic do ukrycia.

– W takim razie poproś, żeby tutaj przyjechał, dobrze?

Nastia wiedziała, co naczelnik ma na myśli. Ktokolwiek zostanie oddelegowany do zespołu, jeśli ten oczywiście powstanie, musi wiedzieć trochę więcej niż koledzy z RUOP-u. Między wydziałami i służbami zawsze panował duch rywalizacji, osobowość szefów decydowała, czy był zdrowy i konstruktywny, czy zamieniał się w chorobliwą zazdrość. Napięcie mogło rozładować tylko wyjaśnienie przestępstwa z pominięciem kolegów. Gordiejew nigdy nie próbował ciągnąć kołdry do siebie, ale czasami sukcesy podwładnych, będące solą w oku szefów i pracowników innych wydziałów, stawały się atutami w służbowych gierkach, w które Wiktor Aleksiejewicz musiał grać z uwagi na zajmowane stanowisko. Chociaż, Bóg mu świadkiem, chętnie by ich uniknął, gdyby dano mu choć niewielką szansę.

Stasow zgodził się przyjechać na Pietrowkę, ale uprzedził, że może być dopiero po południu. W wieku trzydziestu ośmiu lat przeszedł na emeryturę i pracował teraz jako szef służby ochrony w agencji filmowej Syriusz. Odkąd dostał licencję na prowadzenie prywatnej działalności detektywistycznej i ochroniarskiej, był całkiem

zadowolony z życia. Koło piątej wpadł do pokoju Nasti, zwalisty, niemal dwumetrowy, zielonooki i radosny, wnosząc do zadymionego pomieszczenia zapach mroźnego słonecznego dnia i niespożytej energii.

– Co się przytrafiło najdroższemu Olegowi Iwanowiczowi? – zapytał, biorąc od Nasti kubek gorącej kawy. – Doigrał się, kochanieńki?

– Uhm. – Nastia kiwnęła głową. – Otruł się. Rzekomo.

– To mi się podoba – burknął Władisław.

– Co ci się podoba? Że się otruł?

– Nie, podoba mi się twoje znaczące „rzekomo”. Chcesz powiedzieć, że tacy bogaci i szczęśliwi macherzy jak on dobrowolnie nie rozstają się z życiem?

– Mniej więcej. Masz inne zdanie na ten temat?

– Różnie bywa, Nastiusza. Jeśli jednak chodzi o Jurcewa, to chyba masz rację, wywarł na mnie wrażenie człowieka przywiązanego do życia i niepoddającego się depresji. Ale rozmawiałem z nim najwyżej dwie godziny. W jakich okolicznościach do tego doszło?

– Jurcew przyleciał do Moskwy, żeby wziąć udział w imprezie dla potentatów naftowych. Nawet opłacił przejazd i pobyt w Rosji paru zagranicznym gościom honorowym. Bankiet odbywał się w hotelu Rossija. Jurcew był uprzejmy, rozmawiał ze znajomymi, potem chyba źle się poczuł, bo gwałtownie zbladł, otarł pot z czoła i wyszedł z sali. Po pewnym czasie wrócił, ale wyglądał rześko i zdrowo. Znowu zaczął się przechadzać, zagadując znajomych. W pewnym momencie przerwał rozmowę, odszedł na bok i wyciągnął tabletki z kieszeni, wyglądał przy tym bardzo nieciekawie. Wsunął jedną pod język i niemal natychmiast upadł. Umarł jakieś dziesięć minut później. I to właściwie wszystko.

– Jakie tabletki zażył?

– Z trucizną, rzecz jasna, a niby jakie? Miał ze sobą całą torebkę, znaleziono ją na podłodze obok ciała. Wyrób niefabryczny. Skoro działają u nas podziemne laboratoria produkujące narkotyki, to i z trucizną nie ma problemu. Ją też można produkować. Pytanie, po co nosił ze sobą tabletki, w dodatku w takiej ilości. Zamierzał wytruć wszystkich uczestników bankietu, jak szczury w piwnicy?

– A co z torebką, w której były tabletki?

– Nic, Wład. Zrobiono ją z kartki wyrwanej z notesu Jurcewa. Nieźle, co?

– Lepiej być nie może. – Stasow pokręcił głową. – I czego w tej sytuacji oczekuje ode mnie twój szef?

– Podejrzewam, że chce pograć w berka z ruopowcami. Opowiadam dalej. Sekcja zwłok wykazała, że Jurcew nie cierpiał na żadne poważne dolegliwości, serce oraz inne narządy miał w zadowalającym stanie, stosownym do wieku, więc nie wiadomo, dlaczego źle się poczuł i co go nagle rozbolało. Jakies pół godziny przed śmiercią zażył nieznane lekarstwo z grupy benzodiazepin: nozepam, tazepam, diazepam czy coś w tym rodzaju. Te preparaty nie mają działania przeciwbólowego i nie stosuje się ich w przewlekłych chorobach. Pytanie: po co zażył ten lek?

– A po co się go zażywa? – zapytał Stasow. – Zdaje się, że ma działanie uspokajające i przeciwlękowe. Facet musiał się zdenerwować.

– To możliwe – przyznała Nastia. – Tylko nikt nie wie, z jakiego powodu. Uczestnicy bankietu, których udało się złapać, nie powiedzieli nic sensownego na ten temat. Jurcew z nikim się nie kłócił ani nikogo nie atakował, na bankiecie panowała miła atmosfera. Pojawia się jednak inne pytanie: skąd wziął benzodiazepinę? Nie znaleziono przy nim ani opakowania, ani buteleczki. To znaczy, że miał w kieszeni jedną tabletkę? Wierz mi, Stasow, to wykluczone. Gdy człowiek wie, że ma kłopoty ze zdrowiem i może potrzebować leku, nosi go przy sobie w stosownej ilości. Po prostu wkłada opakowanie do torby czy do teczki, żeby mieć lek pod ręką. Nie mogę uwierzyć, że Jurcew za każdym razem przed wyjściem z domu brał ze sobą jedną tabletkę.

– Racja. Czyli że musiał ją od kogoś dostać.

– No właśnie. Zrobiło mu się niedobrze, wyszedł do holu, żeby posiedzieć w ciszy i chłodzie, poskarżył się komuś na złe samopoczucie i ktoś życzliwy dał mu lekarstwo. Ale nikt z uczestników bankietu tego nie widział. Dlaczego?

– Dlatego że lekarstwo dała mu osoba, która na nim nie była. Ktoś przypadkowy.

– Daj spokój, Stasow – obruszyła się Nastia. – Masz wybujałą

wyobraźnię. Naprawdę wierzysz w możliwość pojawienia się przypadkowej osoby na bankiecie, na który każdy gość przyjechał z co najmniej jednym ochroniarzem? W dodatku żeby wejść, należało mieć specjalne zaproszenie. Mysz by się nie prześliznęła. Zebrali się tam przecież magnaci naftowi, biznesmeni i mafiosi.

– Założmy. Jak zatem to wyjaśnisz?

– Nie wiem. – Westchnęła. – Będę się nad tym głowić. Może mi coś podpowiesz, jesteś przecież mądry.

– Nie podlizuj się. – Stasow się roześmiał. – Ile osób było na bankiecie?

– Ze sto. Domyślam się, co ci chodzi po głowie. Dobrze wiesz, że to nierealne. Tylko Docenko umie pracować w ten sposób, ale on jest jeden, a ich setka. Do tego jeszcze ochrona. To przecież dwa miesiące roboty.

Stasow nie odpowiedział, tylko mrugnął łobuzersko. Logika była oczywista. Niech funkcjonariusze wydziału do walki z przestępczością zorganizowaną zajmą się badaniem kryminalnych kontaktów Jurcewa, jego rywali i partnerów w biznesie. A ludzie Gordiejewa będą prowadzić ciche, żmudne, rutynowe czynności, przesłuchując świadków i próbując się dowiedzieć, czy nie widzieli kogoś obcego. To prawda, że na tego rodzaju bankietach nie wszyscy się znają, ale od czego są wywiadowcy? Zwłaszcza tacy jak Misza Docenko, który słynie z umiejętności rozmawiania ze świadkami.



W ciągu kolejnych dwóch dni Nastia Kamieńska zdołała uporać się z przeziębieniem. Od razu odzyskała humor i pogрузyła się w analizę informacji zdobytych w sprawie dziwnej śmierci Olega Iwanowicza Jurcewa. Zespół co prawda powstał, ale Gordiejew dotrzymał słowa i włączył do niego Siełujanowa, zostawiając Nastię w spokoju. Jednakże ów święty spokój nie potrwał długo.

– Mamy nowego trupa – oznajmił Wiktor Aleksiejewicz, wchodząc do jej pokoju i siadając na wolnym krześle.

– Czyjego?

– Ważnego urzędnika z Prokuratury Generalnej. Nie dalej jak

wczoraj rano. Nie łudź się, leserko, góra go nie zabierze. Sprawcę zatrzymano na miejscu.

– W takim razie po co jestem potrzebna? – zdziwiła się Nastia. – Coś pana niepokoi?

– Absolutnie nic. Jest tam milion świadków. Sprawca zastrzelił ofiarę przed domem. W biały dzień i na oczach zdumionych widzów. Ale nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego to zrobił.

– Wariat? Czy może udaje?

– Tym niech się zajmą lekarze. Chcę, żebyś go „przymierzyła” do innych nierozwiązanych spraw zabójstw. I dowiedziała się, skąd wziął broń.

– A co mówi? Że znalazł albo dostał pocztą?

– O to właśnie chodzi, dziecko, że facet nie mówi nic mądrego. Plecie takie bzdury, że przykro słuchać.

– Tak? Na przykład?

– Że ukradł pistolet sąsiadowi.

– A kim jest sąsiad?

– Wyobraź sobie, że milicjantem. I nikt mu nie ukradł pistoletu.

– Na pewno? Może kłamie?

– Kto wie? Posłałem Korotkowa, żeby pogadał z sąsiadem, ty zaś zajmij się strzelcem psychopata. Mamy w Moskwie dziesiątki podobnych zabójstw. Przyjrzyj się, może coś odkryjesz. Jeśli to naprawdę szaleniec, niewykluczone, że nie pierwszy raz dokonał bohaterskiego czynu. Nic więc dziwnego, że sprawy pozostały niewyjaśnione. Sama wiesz, że najtrudniej szukać szaleńców.

Oczywiście, że Nastia o tym wiedziała. Już w dawnych czasach dochodzenie w sprawie zabójstwa zaczynało się od znalezienia odpowiedzi na pytanie: *Qui prodest?* Kto odniósł korzyść? Kto buchnął kapelusz, ten zakatrupił ciotkę, jak twierdziła niezapomniana Eliza Doolittle. W dodatku korzyść oznacza nie tylko interes materialny, ale też komfort psychiczny. Zabójstwa z zemsty albo z zazdrości również przynoszą zabójcy określoną korzyść: negatywny bodziec znika z powierzchni ziemi. Motyw wskazuje zabójcę, to proste. Gdy nie można ustalić, kto skorzystał na śmierci ofiary, sytuacja się komplikuje. Zabójca i jego cel się nie znają, ofiarę wybrano przypadkowo, no i szukaj teraz wiatru w polu...

Wieczorem Nastia wyjęła z sejfu i rozłożyła na biurku kopie swoich notatek analitycznych dotyczących niewyjaśnionych spraw. Na początek postanowiła ograniczyć się do trzech ostatnich lat. Potem, w razie potrzeby, weźmie na celownik poprzednie.

W notatkach sprawy nierozwiązanych zabójstw były podzielone na grupy. Zazwyczaj Nastia stosowała różne kryteria klasyfikacji. Były grupy, w których przestępcę ktoś zauważył, oraz takie, w których nikt go nie widział. Innym kryterium selekcji był sposób zabójstwa. Utworzenie grupy determinowała na przykład osobowość ofiary, miejsce popełnienia zabójstwa, pora roku, dzień tygodnia i tak dalej. W osobnej grupie znalazły się zabójstwa popełnione z tak zwanym szczególnym okrucieństwem, gdy do ofiary wielokrotnie strzelano albo zadano jej liczne rany kłute, oraz zabójstwa pospolite.

Do zabójstwa urzędnika z Prokuratury Generalnej doszło rano w miejscu publicznym. Strzelając tak wiele razy, można było zabić ze cztery osoby. Sprawcą okazał się dwudziestoczteroletni mężczyzna średniego wzrostu, o niezdrowo nabrzmiałej twarzy. No i co my tutaj mamy? – pomyślała Nastia, przeglądając notatki.

Znalazła dwie sprawy zabójstw, gdy ktoś widział sprawcę i opisał go jako młodego mężczyznę średniego wzrostu o nabrzmiałej twarzy. Do pierwszego zabójstwa doszło wiosną dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Ktoś z bliska strzelił do mężczyzny, na pierwszy rzut oka całkiem zwyczajnego, który okazał się jednak sprytnym szantażystą. Śledztwo skupiło się na osobach, którym mógł grozić, ale nie udało się wpaść na trop zabójcy. Pistolet, z którego został zastrzelony, znaleziono, ale nie stwierdzono na nim żadnych odcisków palców: morderca starannie go wytarł.

Drugie zabójstwo wydarzyło się później, pod koniec dziewięćdziesiątego czwartego roku. Akta sprawy też zawierały zeznania na temat mężczyzny o nabrzmiałej twarzy, tyle że tym razem narzędziem zbrodni był nóż. Ten przypadek Nastia zostawiła na później, postanawiając przyjrzeć się śmierci szantażysty. Ciekawe, gdzie był i co robił wiosną dziewięćdziesiątego trzeciego roku zatrzymany dziś rano zabójca? Nie da się tego ustalić precyzyjnie, marzenie ściętej głowy. Ale może się na przykład okazać, że tamtego dnia mężczyzna nie mógł popełnić zabójstwa

w Moskwie, wtedy można go będzie z czystym sumieniem zostawić w spokoju.

Nastia drgnęła, gdy tuż na jej uchem rozdzwonił się telefon.

– Ej, kochanie, wybierasz się może do domu? – zapytał mąż.

– Może – odparła, nie odrywając wzroku od rozłożonych kartek na biurku. – A czemu, już pora?

– Właściwie nie nalegam, ale wolałbym, żebyś wróciła.

– A co, jestem ci potrzebna? – zapytała głupio.

– Oczywiście, że nie. – Aleksiej się roześmiał. – Po co? Mam przez ciebie same kłopoty. Ale nawiasem mówiąc, Asieńko, zaprosiliśmy twojego brata, będzie tutaj za pół godziny. Co ty na to?

– Ojej, Losza, przepraszam! – jęknęła. – O wszystkim tutaj zapomniałam. Dobrze, już biegnę. Chwileczkę, a dlaczego powiedziałaś, że Sasza będzie za pół godziny? To znaczy, że przyjdzie sam, bez Daszki?

– Daszeńka siedzi tu już od dawna. Podczas gdy ty i twój brat udajecie, że jesteście strasznie zapracowani, twój mąż i żona Saszy was zdradzają.

– Oboje naraz?

– Nie, tylko ja – prychnął Aleksiej. – Ja cię zdradzam, a Daszeńka jest wierna jak Penelopa. Jedziesz czy nie?

– Jadę, Loszyk, już się ubieram. Poproś Sanię, żeby mnie zabrał sprzed metra, dobrze?

Szybko włożyła notatki do sejfów i zaczęła się ubierać. Ależ niezręcznie wyszło! Raz od wielkiego dzwonu zaprosili do siebie brata z żoną, a ona, Nastia, się spóźnia. Nikt oczywiście się nie obrazi, mimo to...

Gdy wyszła z metra na stacji Szczołkowskaja, od razu zobaczyła samochód brata.

– Cześć, Sanieczka – powiedziała, siadając koło niego. – Przepraszam za kłopot.

– Daj spokój. – Aleksander Kamieński się roześmiał. – Czego się po tobie spodziewać?!

Pocałował siostrę, potem się odsunął i przyjrzał uważniej.

– Jesteś jakaś... – Zająknął się, szukając odpowiedniego słowa.

– Co? Coś ci się nie podoba?

– Nie o to chodzi... Wydajesz się nieswoja. Nawet nie wiem, jak to opisać. Niepodobna do siebie. Nieprzyjemności?

– Raczej nie. – Wzruszyła ramionami.

– Więc humor ci dopisuje?

– Jak najbardziej.

– Nie kłamiesz?

– Nie. No co ty, Sasza, uspokój się! Wszystko w porządku.

– Nie, coś jest nie tak – powiedział, uruchamiając silnik. – Czuję.

Gdy byli w połowie drogi, nagle Nastia powiedziała:

– Masz rację, Sania. Coś ze mną nie tak.

– Jesteś chora? – z niepokojem zapytał brat.

– Nie, to co innego. Niedawno byłam w delegacji...

– Pamiętam. Loszka wspominał. I co?

– Poznałam bardzo dziwnego mężczyznę. To mnie dręczy.

– Rany boskie! – jęknął Aleksander. – Czyżbyś się zakochała?!

Nastia nie wytrzymała i parsknęła śmiechem, tak nedorzeczne wydało jej się podejrzenie brata.

– Co ci tak wesoło? Nie waż się mnie straszyć.

– Nie bój się, nie zakochałam się. Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

– A co ci przeszło?

– Tego właśnie nie potrafię zrozumieć. Dlatego się martwię. Wiesz, mam takie nieprzyjemne uczucie, że coś widziałam, coś bardzo ważnego, ale się tym nie przejęłam. I to mnie dręczy.

– Niepokoję detektywa? To możliwe – wielkodusznie uznał Kamiński. – Byleby tylko Loszka na tym nie ucierpiał.

– No jasne – rzuciła Nastia. – Jego cierpienia są dla ciebie ważniejsze od moich.

– Męska solidarność. – Brat się uśmiechnął. – Jesteśmy na miejscu. Ruszajmy na górę, bo jestem głodny jak wilk. Gdy przyjechałem, twój mąż pichcił coś wyjątkowo smacznego. Nie wpuścił mnie do kuchni, ale po całym mieszkaniu rozchodził się bardzo apetyczny zapach.

Zapach był rzeczywiście kuszący, oboje poczuli go już na klatce schodowej. Dasza wybiegła do przedpokoju i rzuciła się Nasti na szyję.

– Ależ się za tobą stęskniłam, Nastieńko!

Naprawdę? – pomyślała Nastia, obejmując szwagierkę. Przecież widziałyśmy się dwa tygodnie temu. Sanieczka skończył osiem miesięcy, więc wpadłam do nich z życzeniami. Nastia nie wątpiła jednak w szczerść Daszy. Młoda kobieta nie była zdolna do oszustwa. Właśnie dlatego Nastia tak bardzo ją kochała.

– Z kim zostawiłaś mojego jedyne go bratanka? – zapytała, ściągając kurtkę i umieszczając ją na wieszaku.

– Z babcią.

– Z którą?

Dasza kiwnęła brodą w stronę męża.

– Z teściową.

– Czyżby nasz wspólny tatuś wymigiwał się od opieki nad wnukiem?

– Co ty mówisz, Nastiu? – powiedziała Dasza z wyrzutem. – Paweł Iwanowicz jest bardzo troskliwym dziadkiem, wciąż nam pomaga. Jesteś na niego zła, że nie pomagał twojej mamie, gdy byłaś mała?

– Zdaje się, że mojej mamie nie pomagał też w moim wychowaniu – zauważył Aleksander. – Bez przerwy był w delegacjach. Nie bez powodu powiadają, że pierwsze dziecko to ostatnia lalka, a pierwszy wnuk to pierwsze dziecko. Pewnie tak jest. Zobaczysz, Asieńko, co się stanie, gdy ty będziesz miała dziecko. Dziadek nie odstąpi wnuka na krok.

– Wątpię. – Nastia uśmiechnęła się ugodowo, czując, że rozmowa zmierza w niewłaściwym kierunku. – Moje dziecko będzie drugim wnukiem Pawła Iwanowicza. A to zupełnie co innego.

– Czy wyście poszaleli? – rozległ się z kuchni zagniewany głos Aleksieja. – Będziecie tak stać w przedpokoju i omawiać rodzinne dramaty Kamińskich? Siądziemy wreszcie do stołu?

Aleksiej gotował znakomicie, podał też wyborne trunki, więc jakieś dwadzieścia minut później wszyscy się odprężyli i zapanował wesoły nastrój. Ale Nastia zauważyła, że siedząca obok niej Dasza przygląda się każdemu kęsowi i wygląda, jakby za każdym razem się zastanawiała, czy powinna go zjeść. Alkoholu w ogóle nie tknęła, chociaż wznosiła toasty razem z resztą towarzystwa.

– Dario! – powiedziała Nastia surowo. – Coś ty wymyśliła?

Przeszłaś na dietę?

– Nie – wymamrotała zmieszana Dasza, odwracając oczy.

– W takim razie dlaczego w ogóle nie jesz? Tysiące razy ci powtarzałam, żebyś nie ważyła się schudnąć, póki karmisz piersią.

– Nie karmię – jeszcze ciszej szepnęła Dasza. – Już od dwóch miesięcy.

– Co?! Chcesz powiedzieć...

Dasza kiwnęła głową i oblała się rumieńcem.

– Zwariowałaś! – syknęła Nastia z irytacją. – Sanieczka ma dopiero osiem miesięcy. Nie poradzisz sobie z dwójką. Jak ty to sobie wyobrażasz?

– Dam radę. – Dasza uśmiechnęła się promiennie. – Nie martw się. Zaopiekuję się też twoim dzieckiem, gdy się pojawi. Przecież nie zwolnisz się z pracy, a ja i tak siedzę w domu. Nie złość się na mnie, proszę. Bardzo chciałabym mieć małą Nastieńkę.

– Na tym się przecież nie skończy. Potem będziesz chciała mieć małego Aloszeńkę, już mi to obiecałaś. A potem kolejne dziecko. Sańka wie?

– No oczywiście! Pierwszy na to wpadł.

– Jak to pierwszy? – Nastia nie zrozumiała. – Wcześniej niż ty?

– No tak. Masz pojęcie? Pewnego dnia obudził się rano, popatrzył na mnie i mówi: „Daniu, chyba będziemy mieli małą Nastieńkę”. Najpierw mu nie uwierzyłam, pomyślałam, że żartuje. Ale parę dni później stwierdziłam, że miał rację. Prawda, że to niesamowite?

– Rzeczywiście – przyznała Nastia. – Gratuluję, Daszuniu. Wam obojgu.

Panie rozmawiały o swoich sprawach, korzystając z tego, że mężowie głośno i burzliwie omawiali szanse różnych kandydatów w prezydenckich wyborach. W obecności Daszy na Nastię zwykle spływały błogość i ukojenie. Ale nie dzisiaj. Niepokój, który się zalał podczas podróży z Pawłem Saulakiem, nie przestawał jej dręczyć, a ona nie potrafiła temu zaradzić.

∴

Przez całe życie prześladowały ją trzy sny. Pierwszy – gdy jej się

śniło, że umiera – pojawiał się, gdy miała kłopoty z sercem albo z krążeniem. Drugi był o tym, że stoi na wąskim, śliskim szczycie urwiska i wie, że zaraz spadnie, bo nie zdoła z niego zejść. Potem do głowy przychodzi zbawienna myśl, że przecież jakoś się tutaj dostała, więc może zejść tą samą drogą. W innej wersji tego nieprzyjemnego snu Nastia szła nago ulicą. I znowu na ratunek przychodziła myśl, że skoro udało jej się dotrzeć tu bez ubrania i nic się nie stało, to może zdoła też wrócić. Ale przerażenie, które ją ogarniało we śnie, za każdym razem było równie silne, podobnie jak ulga, gdy sobie uświadamiała, że sytuacja nie jest jednak bez wyjścia.

Trzeci sen nie był straszny, tylko przykry. Śniło jej się, że zbliżają się egzaminy końcowe w szkole, a ona niektórych na pewno nie zda, bo się nie uczyła. Najzabawniejsze było to, że będąc absolwentką klasy matematyczno-fizycznej (do której uczęszczała razem z Aleksiejem), śniła, że nie zda fizyki i matematyki. W szóstej klasie (w każdym śnie akurat w szóstej, nie w innej) przestała się w ogóle uczyć, nawet nie otwierała podręczników. Nic nie umie i o niczym nie ma pojęcia. Więc to niemożliwe, żeby zdała egzaminy. We śnie zaczyna sobie wyrzucać: oto do czego doprowadziło ją lenistwo, powinna była od początku się uczyć, a ona udawała głupią i teraz będzie musiała za to zapłacić. Gorączkowo szuka rozwiązania (może pójść na korepetycje albo załatwić zwolnienie z uwagi na stan zdrowia, albo wymyślić coś jeszcze innego), ale go nie znajduje i bardzo żałuje swojego postępowania. Żal bywał tak głęboki i nieznośny, że Nastia zdobywała się na wysiłek i się budziła.

Dzisiaj znowu przyśnił jej się trzeci sen. Ocknęła się, wysunęła spod kołdry i na palcach przekradła do kuchni, starając się nie obudzić Aleksieja. Było parę minut po czwartej, sobota. Pora, by wreszcie się wyspać! Ale sen pierzchł na dobre.

W kuchni było zimno, więc zapaliła gaz w kuchence, żeby nie zmarznąć. Zrobiła sobie kawę, wiedząc, że powrót do łóżka nie ma sensu: i tak nie zaśnie, tylko obudzi Loszkę, przewracając się z boku na bok. Nagle poczuła głód. Sięgnęła do lodówki, wyjęła talerz z cielecymi kotletami – popisowym daniem męża, ukroiła sobie grubą pajdę chleba i zaczęła jeść w zamyśleniu, popijając kanapkę

gorącą kawą. Ciekawe, czemu Saulak nie może jej wyjść z głowy? Co w nim takiego szczególnego? A raczej: Co z nim nie tak?

Ma zdolności hipnotyczne? Takich jak on są tysiące. Każdy porządny psychiatra posługuje się hipnozą w celach leczniczych. Skryty? Tak jakby ona, Nastia, była wylewna! Trudny do rozszyfrowania? A kto powiedział, że Anastazja Kamińska jest najmądrzejsza, najprzenikliwsza i musi koniecznie wszystko i wszystkich rozumieć? Na świecie jest mnóstwo ludzi i rzeczy, których nie rozumie. I nigdy się tym nie przejmowała. Więc co jest nie tak? Co?

– Wpadłaś, łakomczuchu – usłyszała za plecami głos Aleksieja. – Głód w nocy to zły znak, kochanie. Nie jesteś przypadkiem chora?

– Miałam nieprzyjemny sen. – Uśmiechnęła się ze skruchą. – Obudziłam cię? Przepraszam, słoneczko.

– Nie szkodzi, mam wolne, zdążę się jeszcze wyspać. A co ci się przyśniło?

– Tylko się nie śmiej, Losza, przyśniło mi się, że jestem w dziesiątej klasie, czekają mnie egzaminy z fizyki i matematyki, a ja nic nie umiem.

– Co?! – Aleksiej wybuchnął tak ogłuszającym śmiechem, że Nastia mimo woli wciągnęła głowę w ramiona i się skuliła. – Ty miałabyś nie zdać z fizyki? Przecież radziłaś sobie lepiej ode mnie, a ja, dzięki Bogu, dochrapałem się tytułu profesora. Skąd te nedorzeczne myśli?

– No i proszę, nie minął nawet rok – zauważyła filozoficznie. – Dwa dni temu Gordiejew też mnie tak wyzywał. Czyżbyście się zmówili? A może naprawdę upadłam na głowę?

– Po prostu nie panujesz nad sobą, Asieńko – powiedział Aleksiej, poważniejąc. – Dobrze cię znam i widzę, że od pewnego czasu źle sypiasz: niespokojnie i czujnie. Jeśli nie podoba ci się jakiś sen, podejmujesz nadludzki wysiłek, żeby się obudzić. Zgadza się? Ale zamiast się obudzić, powinnaś zacząć myśleć. Gdybyś nie wpadała w panikę, przyszłoby ci do głowy proste rozwiązanie. W szkole musiałaś być pytana i wzywana do tablicy. A zresztą regularnie pisaliśmy przecież sprawdziany. I oddawaliśmy zadania do sprawdzenia. Więc gdybyś naprawdę niczego nie umiała, już dawno

by cię wyrzucono. A ty dotarłaś do dziesiątej klasy. Jaki z tego wniosek? Gdybyś spróbowała go wyciągnąć we śnie, wszystko byłoby w porządku. A ty uciekasz jak ostatni tchórz.

– Daj spokój, Loszyk, do diabła ze snem. Nie to jest ważne – powiedziała Nastia z westchnieniem.

– A co twoim zdaniem jest ważne?

– Dlaczego mi się przyśnił.

– Tak, to bardzo ciekawe.

Aleksiej przysunął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko Nasti. Sięgnął po jej kawę, upił łyk i odstawił kubek na miejsce.

– No więc dlaczego przyśniły ci się te matematyczno-fizyczne brednie?

– To znaczy, że w gdzieś podświadomości tkwi myśl, że popełniłam błąd. Coś źle zrobiłam. I teraz za to płacę. Ale nie mam pojęcia, gdzie i w czym się pomyliłam!

Z irytacją uderzyła pięścią w stół i skrzywiła się, czując ból w ręce.

– A wiesz przynajmniej, jaki jest sens owej zapłaty?

– Też nie.

– Więc może ci się tylko wydaje, Asieńko? Nie widzisz błędu, podobnie jak jego skutków.

– Może masz rację – przyznała. – Ale nie może mi się wydawać bez powodu, Losza! Coś jednak się wydarzyło. Coś ważnego. A ja nie potrafię powiedzieć co. I miotam się jak histeryczka w klimakterium.

– Dobrze już, dobrze, histeryczko, rozumiem. Położymy się jeszcze czy robimy pobudkę?

– A która godzina?

– Wpół do szóstej.

– Boże, tak wcześnie! Cała sobota zmarnowana. Dlaczego gdy trzeba iść do pracy, oczy mi się same zamykają, a gdy mogę spać do południa, zrywam się w środku nocy?

– Spróbujmy się jeszcze przespać. Ale wypijaś już kawę... W takim razie chodźmy na spacer.

– No co ty? – Nastia wlepiła zdumiony wzrok w męża. – O wpół do szóstej w sobotę, w lutym? Jestem oczywiście wariatką, ale nie aż taką.

– A dlaczego nie? – spokojnie zaproponował Losza. – Jest zimno,

świeże powietrze, puste ulice, wszyscy śpią, nawet właściciele psów. Pełen romantyzm. Pospacerujemy z godzinkę, wrócimy, spałaszujemy śniadanie i zabierzemy się do pracy. Ja na przykład mam referat do napisania. A ty?

– Ojej, Loszeńka, co ja mogę mieć? Oczywiście zabójstwa: do wyboru, do koloru.

– Będziesz potrzebowała komputera?

– Dzisiaj nie. Raczej jutro. Dzisiaj będę się zastanawiać, przeglądać papiery, wyteżać szare komórki.

– No widzisz. A więc koniecznie musisz się przejść, żeby przewietrzyć głowę. Chodźmy, Asieńko, chodźmy, nie ma dyskusji.

Losza ma pewnie rację, pomyślała Nastia, niechętnie wstając i sięgając po ubranie. Trzeba się przejść, gdy na dworze jest jeszcze ciemno, cicho i pusto, nic nie odwraca uwagi i nie irytuje. Loszeńka, słoneczko, jak to dobrze, że się ze mną ożeniłeś.

Gdy godzinę później wrócili, Nastia wyraźnie odzyskała humor, ze smakiem zjadła to, co zostało po wczorajszej wizycie gości, i z niezadowoleniem pomyślała, że morzy ją sen. Żeby się nie rozleniwic, szybko sprzątnęła naczynia ze stołu i rozłożyła na nim stos notatek, który przyniosła z pracy.

Niemal do dziesiątej w mieszkaniu panowała cisza, którą zakłócało tylko delikatne stukanie klawiszy: Aleksiej pisał referat. Nastia była pochłonięta zestawianiem faktów, szczegółów oraz zeznań świadków. Jednakże koło dziesiątej błogi spokój przerwał dzwonek telefonu.

– Znowu nie słuchasz wiadomości, Nastazjo – oznajmił pułkownik Gordiejew.

– Oczywiście, że nie – przyznała.

– A szkoda. W Petersburgu zastrzelił się pewien działacz. Sądzę, że to cię powinno zainteresować.

– Kto taki?

– Niejaki Gleb Armienakowicz Mchitarow.

– Nigdy o nim nie słyszałam.

– Twoja polityczna niekompetencja, Nastazjo, graniczy z bezczelną ignorancją. To doprawdy niedopuszczalne! Rozumiem, że masz swoje zasady, ale to już chyba przesada. Krótko mówiąc, Mchitarow należy do ekipy Malkowa, kandydata na prezydenta. Jego nazwisko chyba

słyszałaś?

– Owszem.

– Urzędnik prokuratury, którego szaleniec zastrzelił na ulicy, był członkiem tej samej ekipy. Chwytasz?

– To dopiero! – Nastia aż gwizdnęła. – Ruszył odstrzał rywali?

– Chyba tak. Ale nie wszystko wygląda tragicznie. Zdaje się, że Mchitarow naprawdę się zastrzelił. Jutro będzie wiadomo nieco więcej, ale na razie nie stwierdzono żadnych śladów przemocy. A więc tak, moja droga. Za godzinę będę miał na biurku listę najbliższych współpracowników Malkowa. Do tego czasu powinnaś stawić się w pracy. Zrozumiano?

– Tak jest.

Nastia odłożyła słuchawkę i pobiegła się ubrać.

≡

W wagonie było ciepło i pusto. Nastia usiadła w kącie i od razu ogarnęła ją nieprzewyciężona senność. To skutek nieprzespanej nocy, pomyślała apatycznie, walcząc z opadającymi powiekami i usiłując za wszelką cenę nie zasnąć. Gdy wysiadła na stacji metra Czechowskaja, zrobiło jej się tak słabo, że weszła do najbliższej kafejki i wypła kolejny kubek kawy. To ją postawiło na nogi. Wchodząc do budynku GUWD, czuła się już całkiem rześka.

Okazało się, że gabinet Gordiejewa jest zamknięty, widocznie Wiktor Aleksiejewicz gdzieś wyszedł. Nastia otworzyła swój pokój, rozebrała się i nagle ze zdziwieniem stwierdziła, że myśl o czekającej pracy sprawia jej przyjemność. Jura Korotkow miał jednak rację, mówiąc, że nierozwiązane zadanie smakuje jej lepiej niż najśłodszy cukierek.

Wystarczyło, że pomyślała o Korotkowie, by ten natychmiast się zjawił. Podobnie jak Nastia lubił pracować w soboty, mimo że z nieco innego powodu. Mógł wyrwać się z domu.

– Pączek cię wezwał? – zapytał. – Zdaje się, że pilnie cię potrzebuje. Poszedł do generała, a mnie zostawił, żebym cię przypilnował i nie pozwolił uciec, w razie gdybyś zastała zamknięte drzwi. Mam pewien pomysł, Aśka, mogę ci go sprzedać.

– Co chcesz w zamian?
– Odrobinę miłości i przyjaźni, jak zwykle. Na co innego mogę liczyć?

– Wał, co wymyśliłeś.

– Pamiętasz, z kim się ożenił Stasow?

– Z Tatianą. Czemu?

– Aleś ty tępa, Asiu. No a gdzie pracuje Tatiana?

– Racja. Masz głowę, Korotkow!

Żona Stasowa mieszkała w Petersburgu i była śledczą. Nastia szybko wybrała jego numer. Na szczęście miał komórkę, więc można się było do niego dodzwonić o każdej porze dnia i nocy, bez względu na to, gdzie się znajdował.

– Możesz zatelefonować do żony, Wład? – zapytała Nastia, od razu przechodząc do rzeczy.

– Mogę. A po co?

– W Petersburgu zastrzelił się pewien działacz nazwiskiem Mchitarow. Jak sądzisz, czy w związku z tym mogłabym mieć prośbę do Tatiany?

– Nie wiem – powiedział Stasow szczerze. – Tania raczej nie lubi, gdy ktoś wtyka nos w jej sprawy. Jako śledcza jest okropnie zasadnicza i bardzo wrażliwa na punkcie swojej niezawisłości.

– Wobec tego wyjaśnię w dwóch słowach. Niedawno zginął w Moskwie urzędnik Prokuratury Generalnej. Zabójca został zatrzymany, symuluje niepoczytalność. Z pewnych źródeł wiadomo, że urzędnik i Mchitarow z Petersburga należą do ugrupowania politycznego Malkowa. Warto by się przyjrzeć okolicznościom śmierci Mchitarowa. Może ktoś mu pomógł się zastrzelić. W tym właśnie tkwi sedno.

– Rozumiem, nie jestem głupi. – Stasow się uśmiechnął. – Gdzie teraz jesteś?

– W pracy.

– Oddzwonię – rzucił krótko i się rozłączył.

Zanim Stasow oddzwonił, zjawił się Gordiejew. Miał naburmuszoną minę i wyglądał na obrażonego.

– Jesteś na miejscu? To dobrze. Usiądź, dziecko, i uważnie mnie wysłuchaj. Przed chwilą wpłynęło zawiadomienie, że Malkow też

został zabity. Nie w Moskwie, tylko w swoim mieście.

– Ożeż w mordę! – Korotkow nie wytrzymał. – Kto go kropnął?

– Wyobraź sobie, że córka. Zastrzeliła ojca i matkę. Stuknięta narkomanka. Tu masz listę najaktywniejszych działaczy ugrupowania, z którego Malkow kandydował w wyborach prezydenckich. Za godzinę czekam na wnioski. Jurij, ciebie to też dotyczy.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju, nie mówiąc nic więcej.

[\[15\]](#) RUOP (Regionalnoje uprawlenie po borbie s organizowannoj priestupnostju) – Wydział Regionalny do walki z przestępczością zorganizowaną.

Rozdział 11

Lista aktywnych członków ugrupowania, które wysunęło i popierało Siergieja Georgijewicza Malkowa, okazała się dość długa. Nastia i Korotkow podzielili ją między siebie i zasiedli przy telefonach. Jakies czterdzieści minut później obraz się wyklarował. Deputowany Dumy Państwowej Leonid Michajłowicz Izotow przebywa w areszcie za śmiertelny zamach na żonę. A więc wypadł z gry. Biznesmen Siemionow zginął w wypadku samochodowym. On też wypadł. Plus Mchitarow, który się zastrzelił, oraz pracownik prokuratury Łuczenkow, zabity przez nieznanego szaleńca. A na czele grupy gubernator Malkow, zastrzelony przez córkę.

– Dorzuciłabym jeszcze Jurcewa – powiedziała Nastia w zamyśleniu. – Siemionow handlował ropą, a Jurcew jest powiązany z potentatami naftowymi, nie bez powodu zaproszono go do hotelu Rossija.

– Ale na liście go nie ma – zaproponował Korotkow.

– Jasne, że nie! Jego dossier waży pewnie z pięć kilogramów. Niby po co kandydat na prezydenta miałby się afiszować z człowiekiem, którym interesuje się milicja? Nie potrafię tylko zrozumieć, co łączy tych sześciu. Dwaj – Łuczenkow i Malkow – zostali zabici. A reszta? Może to przypadkowy zbieg okoliczności? Nie mam pojęcia, jak można kogoś zmusić, żeby wepchnął żonę pod koła samochodu. Albo jechać pod prąd ulicą jednokierunkową. Zabij mnie, ale nie wiem. Można kogoś zmusić, żeby się zastrzelił czy otruł, jednym słowem, odebrał sobie życie, historia kryminalistyki zna takie przypadki. A raczej nie zmusić, tylko nakłonić. Co jednak mogło się przytrafić Izotowowi i Siemionowowi?

– A więc mamy dwa zabójstwa, dwa samobójstwa i dwa

niezrozumiałe przypadki – podsumował Korotkow. – Stasow jeszcze nie dzwonił?

– Nie. Zobaczmy, może Tatiana powie coś ciekawego. No dobrze, Jurik, wystarczy już tego biadolenia, chodźmy do Pączka. Akurat mija wyznaczona godzina.

– Słabiutko. – Gordiejew sceptycznie pokręcił głową, wysłuchawszy wywodów Nasti i Korotkowa. – Jakie macie propozycje?

– Sprawdzić tych, którzy mieszkają w Moskwie – natychmiast odparł Korotkow.

– Nie rozśmieszaj mnie! – prychnął Gordiejew. – Ilu ich jest na liście? A nas ilu jest? No właśnie. Oczekuję od was pomysłów, a nie decyzji organizacyjnych. Na liście jest setka osób. Przecież nie wszyscy zostaną usunięci z gry. Istnieje jakieś kryterium wyboru ofiar. Musicie je odkryć, zamiast proponować mi rzeczy oczywiste i niewykonalne. No?

– Nie będę szukać kryterium, póki się nie dowiem, jaką grupę obejmuje – z uporem stwierdziła Nastia. – Co się przydarzyło Izotowowi i Siemionowowi? Czy można ich do niej zaliczyć?

– I jak zamierzasz to zbadać? Radzę ci, żebyś zrobiła odwrotnie. Weź tamtych czterech, którzy nie budzą wątpliwości, poszukaj tego, co ich łączy, a potem sprawdź, czy kryterium pasuje do niejasnych przypadków.

– Dzięki temu ich nie rozwikłałam. Wiktorze Aleksiejewiczu, w tych sprawach nie ma nic pewnego. Dlaczego szalencie zastrzelił Łuczenkowa? Dlaczego córka gubernatora postanowiła zabić rodziców? Co łączy tę parę zabójców?

– A rzeczywiście, co ich łączy? – powtórzył Gordiejew. – Mów, tylko szybko.

– Są obłąkani.

– No i masz odpowiedź.

– Nie, to mnie nie przekonuje. – Nastia nie ustępowała. – Dwoje pomyleńców w różnych miastach... Nie.

– Nie masz racji, dziecko – powiedział Wiktor Aleksiejewicz niespodziewanie łagodnym głosem. – Z jakiegoś powodu boisz się powiedzieć mi prawdę. Niepotrzebnie. Czy choć raz obsztorcowałem cię za twoje pomysły? Czy mówiłem, że są głupie i mało wiarygodne?

Czego się przestraszyłaś?

Nastia się uśmiechnęła. Naczelnik przejrzał ją na wylot. Nic się przed nim nie ukryje. Oczywiście, że się bała. To, że w krótkim czasie Gordiejew i Aleksiej oznajmili, że przychodzą jej do głowy nedorzeczne myśli, zrobiło na niej duże wrażenie. Nawet zbyt duże. Ogarnięta niepokojem, zaczęła się w siebie wsłuchiwać.

– Przecież to ty zawsze mi powtarzałaś, że nie ma rzeczy niemożliwych – ciągnął Gordiejew. – A jeśli coś wydaje się nieprawdopodobne, trzeba po prostu szukać wytłumaczenia. No więc go szukaj. Po to tu jesteś, a nie po to, żeby zajmować się różnymi głupstwami, jak na przykład powszechną ochroną sprzymierzeńców Malkowa. Zrobimy tak, moje dzieci. Wezwiecie Miszę Docenkę i włączycie go do sprawy. Oficjalnie zajmujemy się Jurcewem i Łuczenkowem. Niech Michaił zacznie pracować z uczestnikami bankietu w hotelu Rossija i z zatrzymanym zabójcą. Mieliśmy wielkie szczęście, moi drodzy, że obie sprawy powierzono Kostii Olszańskiemu. Wprawdzie ich nie połączono, ale zrobiono słusznie. Na razie nie widać żadnego związku między Jurcewem i Łuczenkowem. Porozmawiam z Kostią i go uprzedzę, że nie wolno mu oddać żadnej z nich. Znacie przecież ten zwyczaj: jeden śledczy zaczyna sprawę, potem sto razy jest przekazywana, aż wreszcie ktoś ją rad nierad kończy. Oba zabójstwa muszą pozostać w tych samych rękach. Biorę to jednak na siebie, nie musicie się martwić. Wszystko zrozumieliście? To do roboty. I nie spuszczać nosa na kwintę.

– No pewnie, nie spuszczać – przedrzeźniając szefa, powiedziała Nastia markotnie, gdy wrócili z Korotkowem do jej pokoju. – Łatwo się mówi. Niedługo chyba zwariujemy. Żeby chociaż Stasow wreszcie zadzwonił.

Ale Stasow odezwał się dopiero wieczorem.

– Wybierasz się do domu? – zapytał bez wstępów.

– Masz babo placek! Nazywasz się Czistiakow?

– Co ma do tego twój mąż?

– To, że równo dobie temu, wczoraj wieczorem, zadzwonił do mnie do pracy i zapytał o to samo.

– To znaczy, że cię kontroluje? – Władisław się roześmiał. – I trzyma krótko?

- Nie, to normalny facet. Ale do domu, rzecz jasna, się wybieram.
- W takim zaraz po ciebie przyjadę. Jestem niedaleko.
- Dodzwoniłeś się do Tatiany?
- Słyszałaś: zaraz przyjadę.

Stasow zjawił się pół godziny później. Gdy Nastia wsiadła do auta, na tylnym siedzeniu zobaczyła jego córkę Lilę. No tak, pomyślała, dzisiaj sobota, dzień rodzicielski rozwiedzionych ojców.

- Cześć. - Skinęła głową dziewczynce.
 - Dzień dobry, ciociu Nastiu - grzecznie odparła Lila, która za miesiąc kończyła dziewięć lat.
 - Gdzie byliście? - zainteresowała się Nastia. - W jakimś ciekawym miejscu?
 - Uhm - potwierdził Stasow, uruchamiając silnik. - Pokazywałem dziecku, jak się kręci zdjęcia do filmu.
 - No i co? Podobało ci się?
 - Nie za bardzo - spokojnie odparła Lila. - W książkach lepiej to opisują. A na żywo nic ciekawego.
 - Które książki dla dzieci opowiadają o tym, jak się kręci film? - zdziwiła się Nastia.
 - Nie dla dzieci, tylko dla dorosłych - wyjaśnił Stasow. - Lila już dawno nie czyta książek dla dzieci.
 - No to co czyta? Kto jest twoim ulubionym pisarzem, Lilu?
 - Moja macocha.
 - Co takiego?! - Nastia ze zdumienia upuściła papierosa, którego wyjęła z paczki i zamierzała zapalić.
 - Moja macocha. Ciocia Tania. Ona pisze najlepiej.
- Zaskoczona Nastia odwróciła się do Stasowa.
- Twoja Tatiana pisze książki? Przecież jest śledczą.
 - Łączy dwie profesje. W ciągu dnia jest śledczą, a wieczorem pisze książki. Kryminały. Lila je uwielbia.
 - Piękną macie rodzinę! - Nastia westchnęła. - Żaden satyryk by tego lepiej nie wymyślił.
- Odwieźli Lilę do Sokolników, gdzie mieszkała jej matka - ekszona Stasowa, i ruszyli w stronę szosy Szczołkowskiej, gdzie mieszkała Nastia.
- Nie dręcz mnie, Stasow - rzuciła błagalnym tonem. - Co

powiedziała Tatiana?

– Dużo ciekawych rzeczy, ale nie do druku. Dobrze zna Mchitarowa, facet już od dawna jest na oku, podejrzewany o przemyt przez północno-zachodnią granicę, ale nic mu nie można udowodnić. Na razie to tylko dane operacyjne, nikogo nie złapano za rękę. Mchitarow zastrzelił się ze swojej broni w mieszkaniu. Była tam jeszcze żona i dorosły syn. I żadnej obcej osoby. Żona i syn mówią, że w przeddzień spotkał się z jakimiś biznesmenami z Chabarowska, a po rozmowie był pochmurny i nieswój. Odrętwiały i trochę dziwny. Dzień później się zastrzelił. Taka to historia, Nastazjo Pawłowno.

– Wygląda na szantaż? Groźbę zdemaskowania?

– Owszem – przyznał Stasow.

– A co to za biznesmeni? Ustalono ich tożsamość?

– To akurat jest najciekawsze. Po samobójstwie Mchitarowa przeczesano wszystkie hotele, żeby ich znaleźć. I wyobraź sobie, że nie znaleziono. Ale to jeszcze nie koniec, minęło niewiele czasu. Za dzień, dwa się wyjaśni. Może nie zatrzymali się w hotelu. Lotnisko też oczywiście zostanie poddane kontroli, nie ma jednak pewności, że ich namierzemy. Mogli nie lecieć bezpośrednim rejssem z Chabarowska, tylko przyjechać na przykład pociągiem albo samochodem z Moskwy. Albo z innego miasta.

– Czyżby nikt nie znał ich nazwisk? – zdziwiła się Nastia. – Na przykład żona. Od kogoś się przecież dowiedziała, że są z Chabarowska.

– Od Mchitarowa. Nic więcej jej nie powiedział.

– Ale chyba ich widziała?

– Tutaj, Nastazjo Pawłowno, sprawa wygląda jeszcze ciekawiej. Żona Mchitarowa wróciła do domu koło ósmej wieczorem. Wysiada z windy na swoim piętrze, a tam stoją dwaj faceci. Weszli do windy i pojechali na dół. W mieszkaniu żona widzi, że mąż niesie filizanki z salonu do kuchni. „Miałeś gości?” – pyta. Mchitarow odpowiada, że owszem, biznesmenów z Chabarowska. „Czy to nie ich spotkałam przy windzie? Jeden wysoki, siwy, postawny, w podeszłym wieku, a drugi niepokaźny, chyba z Kaukazu”. „Nie – mówi Gleb Armienakowicz – to na pewno nie byli moi goście. Obaj są młodymi

Rosjanami, nie pochodzą z Kaukazu”. Na tym stanęło. A dzisiaj rano, gdy zaczęto wypytywać sąsiadów, okazało się, że mężczyźni, których widziała żona Mchitarowa, nikogo nie odwiedzali. W każdym razie nikt się nie przyznał, że ich zna.

– Może szukali jakiegoś mieszkania i przez pomyłkę znaleźli się na tym piętrze? – zasugerowała Nastia.

– Może. – Stasow kiwnął głową. – Ale wywiadowcy z Petersburga stanęli na uszach i znaleźli w końcu wyrostka, który bawił się z psem przed domem. Chłopak ich widział, gdy wchodzili do środka. Nie koło ósmej, ale znacznie wcześniej, bo chociaż nie miał zegarka, pamięta, że gdy wrócił do domu, obejrzał film *Helena i chłopcy*, który zaczyna się o siedemnastej z minutami.

– No to mamy zagadkę – podjęła Nastia. – Co robili w domu przez niemal trzy godziny, skoro nikogo nie odwiedzali? Albo dlaczego osoba, do której przyszli, skrzętnie to ukrywa? Jest też trzecia możliwość. Że byli to złodzieje, którzy wtargnęli do pustego mieszkania. Nigdy nie słyszałam jednak o złodziejach, którzy okradaliby mieszkanie przez trzy godziny, w ogóle się nie śpiesząc. A zresztą chyba nie mieli żadnych toreb. Najwyżej pieniądze i brylanty w kieszeniach.

– Nikt nie zgłosił kradzieży. Są wprawdzie mieszkania, których właściciele gdzieś wyjechali.

– I ostatnie pytanie. Jeśli ci dwaj odwiedzili jednak Mchitarowa, dlaczego facet okłamał żonę?

– Sama sobie odpowiedz na to pytanie.

– Odpowiem. Grozili, że zdradzą tajemnicę, która mogłaby zrujnować życie całej jego rodzinie – żonie i dzieciom. Po rozmowie z nimi postanowił się zabić, ale nie mógł pozwolić, żeby ktoś wpadł na ich trop i odkrył głęboko skrywaną tajemnicę. Nie chciał, żeby ktokolwiek dowiedział się o jego kontaktach. Nawiasem mówiąc, Wład, z twoim znajomym Jurcewem mogło być podobnie. Przydybali go na bankiecie i postawili ultimatum: albo dobrowolnie zażyjesz truciznę, albo ujawnimy tajemnicę.

– Widzę, Nastazjo, że masz bogatą wyobraźnię. – Stasow się roześmiał. – Masz pojęcie, kim był Jurcew? Czy ktoś mógł go nastraszyć? Całe wybrzeże wie, że to groźny mafioso, wszyscy czują

przed nim respekt i się trzęsą. A on żyje sobie z tym wygodnie i nie musi się martwić o honor i pomyślność rodziny. Już od paru lat milicja przypatruje się i jemu, i Mchitarowowi, ale nie potrafi ich na niczym przyłapać. Co niby można nagłośnić? Że są wampirami i wyrastają im kły w nocy? Tego twoim zdaniem się przestraszyli? Reszta ich sekretów jest dobrze znana.

– Powiedziałeś mądrą rzecz, Stasow. Czyżbyś sądził, że Jurcew i Mchitarow niczym się od siebie nie różnią dla organów ścigania?

– Owszem.

– W takim razie dlaczego jeden trafił na oficjalne listy ekipy Malkowa, a drugi nie?

– Ciekawe. A który nie trafił?

– Jurcew. Ale Mchitarow tam figuruje. Szczerze mówiąc, sądziłam, że udział Jurcewa w kampanii wyborczej Malkowa jest tajemnicą, bo wszyscy wiedzą, kto to taki. Ale skoro Mchitarow jest taki sam... Wobec tego nic już nie rozumiem. Wygląda na to, że się pomyliłam i Jurcew nie ma nic wspólnego z tą historią. To po prostu zbieg okoliczności.

– Znasz mój stosunek do zbiegów okoliczności, Nastiu. Nie lubię ich i w nie nie wierzę. Zwłaszcza w sytuacji, gdy dwaj przebiegli, przywiązani do życia macherzy w tym samym czasie popełniają samobójstwo, i to bez wyraźnych powodów.

– W takim razie odpowiedź jest jedna. Łączy ich nie kandydatura Malkowa, ale coś innego. Jeśli coś ich w ogóle łączy.

Stasow zatrzymał się koło domu Nasti.

– Wejdiesz? – zaproponowała. – Loszka się ucieszy.

– Nie, Nastiusza, dziękuję. Innym razem. Pozdrów Czistiakowa.

– Pozdrowię.

Uśmiechnęła się i pomachała mu ręką.

≡

Niedziela minęła względnie spokojnie. Nastia nie pojechała do pracy, cały dzień przesiedziała w kuchni, w zamyśleniu kreśląc na kartce jakieś schematy upstrzone strzałkami i dziwnymi zygzakami. Nie znalazła, rzecz jasna, odpowiedzi na wiele swoich pytań, za to

ułożyła plan gromadzenia informacji, które pozwolą je uzyskać.

Poniedziałek zaczął się jednak burzliwie. Nastia przyszła do pracy wcześniej i wzięła z dyżurki rejestr zdarzeń z dwóch ostatnich dni. I od razu natknęła się na informację o zwłokach mężczyzny bez dokumentów. Wiek koło pięćdziesięciu pięciu lat, wzrost sto osiemdziesiąt trzy centymetry, włosy siwe, oczy ciemne. Opis ciała wzbudził w niej niepokój. Mężczyzna w podeszłym wieku, wysoki, postawny, siwy. Bardzo podobny do tego, którego opisała Mchitarowa.

Nastia popędziła do Gordiejewa, a po rutynowej, codziennej naradzie ruszyła z Korotkowem do Kryłatskiego, do komisariatu, w którym znajdowały się materiały dotyczące ciała.

Mężczyznę znaleziono w pasie leśnym niedaleko szosy Rublowskiej. Został zastrzelony z pistoletu, który leżał niedaleko. Zabawny znak czasu, pomyślała Nastia. Dziesięć lat temu, gdy dostęp do broni był ograniczony, każdy egzemplarz był na wagę złota. Przestępcy zabijali nawet milicjantów, żeby im zabrać pistolet. A teraz, gdy bez problemu można nabyć broń każdej marki, bo po kraju przewala się olbrzymia liczba pistoletów pochodzących z kradzieży albo z przemytu, bandyci porzucają broń po dokonaniu zbrodni, chcąc się pozbyć dowodu.

Nastia i Korotkow wzięli zdjęcie zabitego mężczyzny, po czym wrócili na Pietrowkę. Najpierw musieli skontaktować się ze Stasowem.

– Wład, jak dać w Petersburgu zdjęcie do rozpoznania, żeby nie wkopać twojej żony? – zapytała Nastia.

– To zależy, czyje to zdjęcie.

– Wysokiego mężczyzny w podeszłym wieku, siwego, o ciemnych oczach.

– Boże, Nastazjo Pawłowno, a gdzie znalazłaś tego osobnika? Myślisz, że w całym SNG^[16] jest tylko jeden taki?

– Nie, Władik, są ich tysiące. Ale martwy jest na razie tylko jeden.

– Aha. Już go ktoś sprzątnął. Teraz będziesz czekać na trupa niepokąźnego mieszkańca Kaukazu?

– Zaczekam, jestem cierpliwa. No więc co z Petersburgiem?

– Muszę zadzwonić do Tani.

- Dobrze, zadzwoń. Zaczekam.
- Masz doprawdy anielską cierpliwość! – żartobliwie rzucił do słuchawki Stasow.



Późnym wieczorem Nastia przyjechała na Dworzec Leningradzki. Stasow do niej oddzwonił i powiedział, że Tatiana podejmuje się załatwić wszystko po cichu, bo dobrze zna wywiadowców, którzy prowadzą sprawę Mchitarowa. Historyjka będzie następująca: tożsamości mężczyzny nie ustalono, ale z danych operacyjnych wynika, że był niedawno w Petersburgu, widziano go niedaleko ulicy Żukowskiego. To znaczy akurat tam, gdzie mieszkał Mchitarow. Zdjęcie należało przekazać przez lejtnanta Wiesiołkowa, który miał dzisiaj jechać z Moskwy do Petersburga pociągiem numer cztery o dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt dziewięć, wagon siódmy. Wiesiołkow nie ma na sobie, rzecz jasna, milicyjnego munduru, wiadomo jednak, w którym będzie przedziale.

Nastia szła wolno peronem, wypatrując numeru wagonu. Przewaga Czerwonej Strzały polegała na tym, że skład podstawiano na długo przed odjazdem, więc można było bez pośpiechu odszukać swoje miejsce, wnieść bagaż, rozebrać się, położyć na troskliwie przygotowanym przez konduktorę pośłaniu, a nawet zasnąć, nie czekając, aż pociąg ruszy. Nastia też przyszła wcześniej.

Oto i siódmy wagon. Korytarz jasno oświetlony, więc widać, że ktoś jest w przedziale. Czyżby lejtnant Wiesiołkow był już na miejscu?

Nastia pokazała konduktorze legitymację służbową, weszła do wagonu i zapukała do drzwi czwartego przedziału.

- Chwileczkę! – rozległ się męski głos.

Zaraz potem drzwi się otworzyły i wyjrzał przez nie młody mężczyzna, który nie wyglądał jednak na lejtnanta. Nastia z żalem pomyślała, że widocznie się pomyliła, bo to nie Wiesiołkow.

- Przepraszam – powiedziała uprzejmie – szukam Giennadija Pietrowicza. To nie pan?

- Nie, to nie ja. A z kim mam przyjemność, jeśli wolno zapytać?

- Nie wolno. – Nastia grzecznie się uśmiechnęła. – Jestem kobietą.

Czy to nie wystarczy? Powiedziano mi, że Giennadij Pietrowicz ma miejsce w tym przedziale, ale niestety nie wiem, jak wygląda.

– Może lepiej wyjdźmy na peron – stanowczo powiedział mężczyzna nieprzypominający lejtnanta.

Nastia wzruszyła ramionami i w milczeniu ruszyła w stronę wyjścia. Czując na plecach spojrzenie idącego za nią mężczyzny, przyśpieszyła kroku. Na peronie nieznajomy wyjął papierosa, zapalił i mrużąc oczy, przyjrzał się Nastii uważnie.

– Po co pani Giennadij Pietrowicz?

– Mam do niego sprawę.

– Jaka?

– Pan wybaczy – obruszyła się. – Skąd to przesłuchanie? Podróżujecie razem?

– Przypuśćmy.

– Nie, szanowny panie, niczego nie będziemy przypuszczać. Sądząc z pańskich pytań, Giennadij Pietrowicz jest w przedziale. Więc niech pan tam wróci i mu powie, że Tatiana Grigorjewna Obrazcowa prosiła, żebym mu przekazała przesyłkę.

– Proszę mi ją dać, oddam Giennadijowi.

– Nie słyszy pan? Ma pan jakieś problemy ze słuchem?

– Giennadij nie może wyjść. Niech pani da przesyłkę.

– Skoro on nie może wyjść, to znaczy, że ja mogę wejść. Długo będziemy się spierać?

– Wejść też pani nie może.

Do diabła, zakląła w myślach Nastia. Przecież konwojują zatrzymanego! Że też od razu na to nie wpadłam. Nic dziwnego, że nie wolno mi wejść do środka. Biedaczek siedzi pewnie przykuty kajdankami do Wiesiołkowa. Potem, gdy konduktor sprawdzi bilety, przykują go do stolika, a na razie siedzą obok siebie, jak papużki nierozłączki.

Nastia wyjęła z torebki legitymację i pokazała ją rozmówcy.

– Niech pan posłucha – powiedziała łagodnie. – Sto razy widziałam te wasze sekrety. Ale naprawdę muszę przekazać parę słów Wiesiołkowowi. Więc proszę wyświadczyć mi tę grzeczność.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko i z wyraźną ulgą. Widocznie zatrzymany to niezłe ziółko, więc boją się komplikacji. Ale

profesjonalny nawyk wziął górę nad uprzejmością.

– Poproszę o pani torebkę – powiedział twardo, choć z pewnym zmieszaniem.

Nastia posłusznie rozpięła wszystkie zamki i mu ją wręczyła. Wiedziała, że w niewyraźnym świetle nocnego peronu nie da się odróżnić prawdziwej legitymacji od podrobionej, więc chłopak musi sprawdzić, czy Nastia nie ma przy sobie broni. A nuż nie jest żadnym majorem milicji, tylko przestępczynią, współniczką i zjawiała się, by uwolnić zatrzymanego kumpla? Takie rzeczy się zdarzają.

– Teraz kieszenie – powiedział, oddając torebkę.

Nastia podniosła ręce, pozwalając mu się przeszukać. Pasażerowie, którzy ich mijali, zerkali ze zdziwieniem i szybko szli dalej.

– Chodźmy – rzucił w końcu.

Znowu ruszyli do wagonu. Wywiadowca wszedł do przedziału, a niedługo potem pokazał się Wiesiołkow.

– Pani do mnie?

– Jeżeli nazywa się pan Giennadij Pietrowicz Wiesiołkow.

– Słucham panią...

Teraz trudno było jednak rozmawiać na korytarzu. Do wagonu wciąż napływali nowi pasażerowie, a Nastia i Wiesiołkow tarasowali wąskie przejście. Musieli wyjść na peron. Konduktorka obrzuciła ich podejrzliwym spojrzeniem: Kobieta najpierw wsiadła do pociągu, potem wyszła z pasażerem na peron, tamten ją przeszukał, teraz znowu wyszła z drugim... Diabli wiedzą, co to ma znaczyć!

– Tatiana Grigorjewna Obrazcowa prosiła, żebym przekazała panu tę kopertę. Jutro ją odbierze.

– Co jest w środku?

– Czy to ma jakieś znaczenie? – zdziwiła się Nastia. – Chyba pan widzi, że nie bomba.

– Muszę wiedzieć. Proszę otworzyć.

Słusznie, pomyślała Nastia. Brawo, lejtnancie Wiesiołkow. Dobrze cię wyszkolono. Nigdy nie przyjmuj kopert od nieznajomych, gdy nie wiesz, co jest w środku. To jedno z przykazań wywiadowcy.

Otworzyła kopertę i wyjęła zdjęcie nieznajomego mężczyzny.

– Tylko to. Nic więcej.

– Czy Tatiana Grigorjewna wie, co ma z tym zrobić?

- Tak.
- Niczego nie przekazać ustnie?
- Nie. Tylko moje gorące podziękowanie.

Wiesiołkow podszedł do okna sąsiedniego wagonu, żeby obejrzeć zdjęcie w lepszym świetle. Konduktorka szóstego wagonu, sympatyczna grubaska, która szeptała o czymś z konduktorką z siódmego, zerknęła na nich z niezadowoleniem, potem wydała zdławiony krzyk i chwyciła Wiesiołkowa za rękaw.

- Kto jest na tym zdjęciu?

Wiesiołkow posłał Nastii szybkie spojrzenie i odsunął rękę.

- A o co chodzi?

- Wydaje mi się, że ten mężczyzna jechał niedawno w moim wagonie. Postawny, uprzejmy. Mogę zobaczyć?

Nastia lekko skinęła głową, więc Wiesiołkow wręczył zdjęcie kobiecie.

- O Boże! - Klasnęła w ręce, wpatrując się w twarz na zdjęciu. - Ależ on jest martwy!

- To prawda - potwierdziła Nastia. - Rozpoznaje go pani? Jechał w pani wagonie czy jest tylko do kogoś podobny?

- To on. Było ich dwóch. On i sympatyczny Ormianin. Jechali razem w dwuosobowym przedziale sypialnym.

Nastia wpadła w panikę. Do odjazdu pociągu brakowało zaledwie paru minut, zaraz bezcenny świadek wyślizgnie się z rąk i trzeba będzie czekać, aż znowu zjawi się w Moskwie. Czerwona Strzała to pociąg petersburski, konduktor jedzie z Petersburga do Moskwy i z powrotem, potem odpoczywa. Gdyby było odwrotnie, pulchna konduktorka już pojutrze rano byłaby w Moskwie, a tak...

W ciągu paru minut Nastia zrobiła rzecz niemożliwą: wyciągnęła mnóstwo informacji z osłupiałej kobiety i zmusiła ją do złożenia solennej obietnicy, że zadzwoni, gdy tylko znowu będzie w Moskwie. Pociąg ruszył, konduktorka stała w przedsionku i zachłystując się z przejęcia, opowiadała o pasażerach, na których zwróciła uwagę, a Nastia najpierw szybko szła, potem biegła obok pociągu, bojąc się uronić choć słowo. Nawet nie podejrzewała, że potrafi tak szybko biegać.

- Niech pani zadzwoni! - rzuciła w ślad za kobietą, gdy peron się

skończył i nie można już było biec. – Koniecznie! To bardzo ważne!

– Zadzwoń... – dobiegło z oddalającego się wagonu.

Nastia z trudem uspokoiła oddech i powlokła się z powrotem. Serce waliło jej jak młotem, w ustach wyschło, nogi się ugiwały. Ale idąc peronem, uśmiechała się zadowolona. Chyba coś się zaczyna kleić.



Nikt nie lubi codziennej bieganiny, wszyscy się na nią skarżą, mówią, że zabiera czas, nie pozwala normalnie pracować, zmusza do zajmowania się nudnymi głupstwami zamiast potrzebnymi i ważnymi rzeczami. Nastia Kamieńska jednak wiedziała, że powszednia krzątanka ma pewną wspaniałą zaletę: pomaga pokonać nerwowe oczekiwanie. Gdyby nie mnóstwo drobnych, a także nieco poważniejszych spraw, Nastia chyba umarłaby ze stresu, czekając na wyniki z Petersburga.

– Nie wrócę do domu, Stasow – uprzedziła Władysława – póki do mnie nie zadzwonisz. Jeśli trzeba, będę czekać do nocy.

– A w domu nie możesz? – zadrwił Stasow.

– Nie mogę. W pracy mi łatwiej, bo wciąż coś odwraca uwagę.

Spraw było rzeczywiście dużo, każdy wywiadowca prowadził parę naraz i w każdej z nich Nastia miała swój udział, który musiała odpracować. Dała Miszy Docence odbitkę pośmiertnego zdjęcia nieznanego mężczyzny, żeby ją pokazał uczestnikom bankietu, i niecierpliwie czekała, czy ktoś sobie czegoś nie przypomni. Zdyscyplinowany Michaił dzwonił co dwie godziny, ale wiadomości nie były pocieszające. Żaden przesłuchiwany nie widział owego mężczyzny. Co prawda jeszcze nie wszystkich przesłuchano.

Stasow zadzwonił parę minut po dziesiątej.

– Zdradź mi swój sekret, Nastazjo Pawłowno – wesoło zawołał do słuchawki. – Jak ci się udaje bezbłędnie znajdować ludzi na podstawie tak mglistych znaków szczególnych? Na dodatek w krótkim czasie.

– Podziękuj nie mnie, tylko zabójcy. A czemu, Wład? Czy to znaczy, że się udało?

– Zgadłś. Zawsze ci się udaje, Nastiu. Żona Mchitarowa od razu

go rozpoznała. Nie miała żadnych wątpliwości. Wybrała jego zdjęcie spośród ośmiu okazanych. Moja Taniuszka przesyła ci pozdrowienia i gratulacje. Wiesiołkow jej powiedział, że jesteś wspaniałą biegaczką. Przez okno widział, jak stanęłaś w zawody z pociągiem. Wywarłaś piorunujące wrażenie na nieszczęsnym chłopaku. Po jego pełnych zachwytych opowieściach Taniuszka sądzi, że jesteś milicyjną supermenką, i ma okropne kompleksy.

– Powiedz jej, że już po trzech metrach dostaję zadyszki. Za pociągiem biegłam wyłącznie ze strachu: znalazł się wspaniały świadek, który znika wprost na moich oczach. W tej sytuacji nawet żółw pomknąłby jak strzała. Niech więc twoja żona wyzbędzie się kompleksów. Poza tym jest śledczą i to w ogóle nie jest jej potrzebne. Szczerze mówiąc, mnie też. Od dziesięciu lat pracuję w wydziale kryminalnym, a wczoraj pobiegłam pierwszy raz. Jak dotąd doskonale sobie radziłam na siedząco.

– No dobrze, zrozumiałem, że jesteś cierpliwa i nie lubisz się ruszać. Coś mi się zdaje, że dzisiaj będę musiał cię odwiedzić do domu. Już wpół do jedenastej. Późna pora dla samotnej kobiety. W dodatku czuję się winny, że przeze mnie tak długo zostałeś w pracy, czekając na telefon. Przepraszam, Nastiusza, ale naprawdę nie mogłem zadzwonić wcześniej.

– Nie szkodzi – odparła wielkodusznie. – Jak mnie odwiedzisz, to ci wybaczę.



Minęło parę dni, zanim zjawiała się konduktorka Wiera. W tym czasie sprawa prawie nie ruszyła z miejsca. Co prawda nikt z ekipy Malkowa, teraz już byłej, nie ucierpiał. Nie udało się też ustalić tożsamości mężczyzny zabitego w Kryłatskim.

Wiera przyjechała na Pietrowkę, chociaż Nastia wcale jej o to nie prosiła. Była gotowa spotkać się z nią gdziekolwiek, choćby u samego diabła, byleby tylko szczegółowo ją o wszystko wypytać. Ale Wiera, zacinając się i płacząc, zdradziła, że chciałyby zobaczyć legendarny MUR^[17]. Nastia nie oponowała, tak było nawet lepiej. Umówiła się z chłopcami, że po rozmowie z Wierą spróbują zrobić

portret pamięciowy drugiego towarzysza podróży – niepokaźnego Ormianina, jak wyraziła się konduktorka.

– Nawiasem mówiąc, skąd ta pewność, Wieroczko, że to był akurat Ormianin, a nie Gruzin albo na przykład Azerbejdżanin?

– Co też pani mówi? – zdziwiła się Wiera. – Przecież oni się różnią. Jak można ich pomylić?

Nastia wyjęła z sejfu plik zdjęć, wybrała piętnaście, na których były twarze mieszkańców Kaukazu, i zaproponowała, żeby Wiera spróbowała określić ich narodowość. Kobieta bez trudu wykonała zadanie i popełniła tylko jeden dopuszczalny błąd, nazywając Azerbejdżaninem mężczyznę pochodzącego z Armenii, którego babcia urodziła się w Baku. Wnuk był do niej bardzo podobny.

– Gdzie się pani tego nauczyła? – zapytała Nastia z zachwytem.

– Nigdzie. – Wiera uśmiechnęła się rozbrajająco. – To przyszło samo. Konduktorzy mają wyćwiczone oko.

Nastia zerknęła na zegarek: wpół do piątej, rozmawia z Wierą już bite dwie godziny.

– Mam do pani prośbę – powiedziała. – Napijemy się teraz herbaty, obie jesteśmy dzisiaj bez obiadu, a potem pójdziemy do laboratorium i spróbujemy zrobić portret pamięciowy tego Ormianina.

Wiera natychmiast sięgnęła do swojej olbrzymiej torby.

– Mam chleb i pasztet w puszkach. Może zjemy? – zaproponowała nieśmiało.

Spałaszowały po dwie grube kromki świeżego chleba razowego, suto posmarowane fińskim pasztetem, popiły herbatą i już wychodziły do laboratorium, gdy do pokoju wpadł Korotkow.

– Proszę! – zawołał, kładąc jakieś zdjęcie przed Nastią. – Podziwiał!

Zdjęcie przedstawiało martwego mężczyznę o wyraźnie kaukaskim typie urody.

– Kto to jest? – zapytała Nastia, ze zdziwieniem patrząc na Jurę. – Też bez dokumentów?

– Nie, ten akurat występuje w pełnej gali. Ma dowód osobisty, wizytówki i notes. Ale na wszelki wypadek pokaż swojemu gościowi.

– Wiero, niech pani rzuci okiem. – Nastia podsunęła zdjęcie konduktorce.

Kobieta zerknęła i od razu skinęła głową.

– To on. Boże, to znaczy, że i jego zabito? Jak to możliwe?

– My również tego nie wiemy – odparł Korotkow ze złością. – A niech was, moje panie, same się opychacie i nie pomyślcie, żeby nakarmić głodnego faceta.

– Że też ci nie wstyd, Jura – powiedziała Nastia z wyrzutem.

– Ojej, nic nie szkodzi. – Wiera się zakrzętnęła, znowu otwierając przepastną torbę i wyjmując z niej chleb oraz kolejną puszkę pasztetu. – Proszę się częstować, mam jeszcze parę puszek.

– Dziękuję, Wiero Michajłowno. – Korotkow do niej mrugnął. – Jest pani aniołem dobroci i ma gołębie serce, w odróżnieniu od Anastazji Pawłowny, która często żałuje mi nawet kubka kawy. Jest zachłanna, co poradzić? Prawdziwy Gobseck w spódnicy.

Wiera domyśliła się, że Jura żartuje, i mimo zmieszania roześmiała się łobuzersko.

Korotkow zręcznie otworzył puszkę, pociągając zawleczkę, odkroił pajdę chleba i zaczął wyjadać pasztet łyżeczką prosto z puszki.

– Ależ pan głodny. – Konduktorka pokiwała głową, patrząc na Jurę ze współczuciem i litością pomieszanymi z niemal macierzyńską czułością. Czasami matki patrzą w ten sposób na swoich dorosłych synów, którzy wrócili z pracy i łapczywie pochłaniają troskliwie przygotowany obiad. Nastia zrobiła mu kawę.

– Pij, szantażysto. – Uśmiechnęła się. – Kompromitujesz mnie przed świadkiem.

– Wiera Michajłowna nie jest świadkiem – wymamrotał z pełnymi ustami. – Jest ochotniczką, a więc jedną z nas. Swoi nie wystawiają sobie rachunków.

Ależ z niego cwaniak! – pomyślała Nastia. Umie postępować z ludźmi, nie da się zaprzeczyć. Pewnie zaraz o coś poprosi.

Nie myliła się.

– Wiero Michajłowno, skoro udało nam się panią znaleźć i nam pani pomaga... – zaczął.

– ... to może popyta pani konduktorów z innych składów, czy nie widzieli któregoś z tych mężczyzn w drodze powrotnej? – podjęła Nastia. – Najprawdopodobniej podróżowali do Moskwy Czerwoną Strzałą w wagonie sypialnym.

– Czemu nie? – chętnie zgodziła się Wiera. – Dacie mi ich zdjęcia,

żebym mogła pokazać?

– Nie, Wieroczko, zdjęcia nie są potrzebne. Nie wszyscy są tak odważni jak pani. – Korotkow jej schlebił. – Zobaczą denatów i się przestraszą. Niech pani nikomu nie mówi, że oni nie żyją, tylko ich opisze. Dobrze? Jeśli ktoś ich widział i zapamiętał, niech koniecznie do pani zadzwoni. Albo do Anastazji czy do mnie. Zostawię pani swój telefon.

Gdy Wiera się pożegnała, Korotkow od razu zajął jej miejsce.

– A więc tak, Asiu. Nasz nieboszczyk to Garri Robertowicz Asaturian, drobny, ale prężny handlarz. Kawaler. Zameldowany na ulicy Podbielskiego. Ciało znaleziono dzisiaj niedaleko Chimok. Szacunkowy czas zgonu: wczoraj późnym wieczorem.

– Przyczyna zgonu?

– Domyśl się. Jesteś przecież najbardziej domyślna z nas wszystkich.

Nastia pograżyła się w zadumie. Najłatwiej było powiedzieć: rana postrzałowa. Skoro dwa zabójstwa się ze sobą nie łączą, najprawdopodobniej tak właśnie było. Ale jeśli to robota jednego człowieka, w dodatku doświadczonego, sposób zabójstwa musi być inny, żeby żadnemu cwanemu gliniarzowi nie przyszło do głowy ich połączyć. Biała broń? Możliwe, ale trudno w to uwierzyć. Profesjonaliści tego nie lubią: na ubraniu i rękach zostaje krew, a przecież z miejsca zabójstwa trzeba uciec, ktoś może zauważyć zakrwawione ubranie. Czymś ciężkim w głowę? Możliwe, całkiem możliwe. Ale to też niepodobne do profesjonalisty.

– Czy Asaturian ma samochód? – zapytała nagle.

– A niech cię!

Korotkow otworzył usta ze zdumienia.

– Jak się domyśliłaś?

– Czego?

– Że chodzi o samochód.

– Jeszcze się nie domyśliłam, tylko zapytałam. Więc gdzie ten samochód?

– Tam, koło ciała.

– Jasne. Ile razy go przejechano?

– Chyba dwa. Tam i z powrotem. Powiedz, Aśka, jak się

domyśliłaś?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Chyba przypadkiem. Ciekawe, jak to się stało, że Asaturian dał się zabić własnym samochodem. Był nieprzytomny?

– To wykaże sekcja zwłok – burknął Jura. – Dobrze, że się zjawiłem w porę, razem z ciałem przywiozłem lekarzom sądowym butelkę, żeby zajęli się sprawą poza kolejnością. Siedzą po uszy w robocie, z niczym nie nadążają. Spójrz, jak czasy się zmieniają! Dawniej żywi stali w kolejce po fińskie buty i wędzoną kiełbasę, a teraz martwi czekają w kolejce na sekcję. Aśka, czy ty się nigdy nie boisz? Czasami mam wrażenie, że nasza rzeczywistość powoli przeradza się w koszmar. Zmiany następują stopniowo, niezauważenie, człowiek się adaptuje i niby nie zauważa wokół siebie nic dziwnego. A potem nagle sobie przypomina, jak żył jeszcze całkiem niedawno, zaledwie parę lat temu, i wpada w popłoch. Jak teraz wygląda nasze życie? Bez przerwy zajmujesz się statystyką, więc powinnaś to zauważyć.

– Zauważam. – Nastia kiwnęła głową. – W tamtych czasach, o których mówisz, w Moskwie dochodziło średnio do trzech, czterech zabójstw tygodniowo. A teraz mamy siedem, osiem dziennie. Nie wiem, jak nam się w ogóle udaje wykrywać sprawców. Moim zdaniem to po prostu cud. Ale jeśli będziemy siedzieć i narzekać, więcej cudów nie będzie.

– No oczywiście – burknął Korotkow – wiedziałem. Nigdy nie dasz pofilozofować, pogadać o życiu. Znowu chcesz mnie gdzieś wysłać, tak?

– Ma się rozumieć. Po pierwsze, musisz porozmawiać ze śledczym. Nawiasem mówiąc, zameldowałaś Gordiejewowi o Asaturianie?

– Nie martw się, wpadłem na to. Sprawę poprowadzi Olszański.

– Po drugie, otwieramy notes Garriego Robertowicza i zaczynamy metodycznie przesłuchiwać wszystkich jego znajomych.

– Którzy twoim zdaniem znają jego zabójcę? – sceptycznie dokończył Jura.

– Którzy moim zdaniem mogą znać drugiego zabitego mężczyznę, jego tożsamości jeszcze przecież nie ustaliliśmy. A przy okazji, Wiera powiedziała, że zachowywali się jak starzy, dobrzy znajomi. Rzekomo jeździli razem w delegacje. Asaturian nawet zażartował, że wszystkie

jego kobiety prędzej czy później uciekają do wysokiego, okazałego siwego mężczyzny. To oczywiście mógł być głupi żart, ale zazwyczaj nikt tak nie żartuje z mało znanymi i przypadkowymi towarzyszami podróży. Zgodzisz się ze mną?

– Nie we wszystkim.

– No to mnie popraw.

– W ten sposób rzeczywiście nikt nie żartuje. Ale w całej tej historii nie ma nic zwyczajnego. Dobra, idę poczytać notes Asaturiana, pewnie jest ekscytujący.

Wyszli razem z pokoju. Nastia wybierała się do laboratorium, żeby zrobić jeszcze jedną odbitkę zdjęcia Asaturiana. Niech Misza Docenko spróbuje pokazać ją gościom, którzy byli w sali bankietowej hotelu Rossija, gdy otrął się tam Oleg Iwanowicz Jurcew.

[\[16\]](#) SNG (Sodrużestwo Niezawisimych Gosudarstw) – Wspólnota Niepodległych Państw.

[\[17\]](#) MUR (Moskowskij ugołownyj rozysk) – Moskiewski Wydział Kryminalny.

Rozdział 12

Wizyta w Instytucie Psychiatrii Sądowej zawsze pozostawiała po sobie nieprzyjemny osad. Litość, którą budzili w Nastii nieszczęśni, niemający wpływu na swoje choroby ludzie, walczyła z przerażeniem na myśl o tym, że popełnili okrutne i krwawe zbrodnie. Nie dotyczyło to, rzecz jasna, wszystkich pacjentów. Byli tacy, którzy nie cierpieli na żadne dolegliwości, znajdowali się tylko pod obserwacją. Niektórzy symulowali, udawali pomyleńców. Część ciężko chorych nie popełniła żadnego odrażającego przestępstwa, trafiła tutaj za głupią kradzież czy chuligański czyn. Ale bez względu na to, co sobie mówiła Nastia i jakie argumenty przytaczała, za każdym razem, gdy mijała hol i wchodziła na wewnętrzny dziedziniec, jej sercem targają sprzeczne uczucia: litość i wstręt.

Kirił Bazanow, który zastrzelił urzędnika Prokuratury Generalnej i został zatrzymany na miejscu przestępstwa, też był tutaj. Dokładne sprawdzenie jego zeznań dotyczących sposobu nabycia broni nie wniosło nic sensownego. Sąsiad Bazanowa rzeczywiście pracował w milicji i miał służbową broń, która mu jednak nie zginęła, była na swoim miejscu. Sąsiad miał jeszcze jeden pistolet, oficjalnie zarejestrowany, ale jego też nikt nie ukradł. Zawsze należało oczywiście pamiętać, że milicjant może mieć furę broni, i nawet jeśli oficjalnie przyznaje się tylko do dwóch pistoletów, to wcale nie oznacza, że rzeczywiście są tylko dwa. Mogło ich być pięć albo dziesięć. Jednak bez względu na to, ile pistoletów miał sąsiad, Bazanow raczej nie mógł żadnego ukraść. Milicjant był człowiekiem doświadczonym i przezornym, wychowywał dwóch synów i doskonale wiedział, jak należy przechowywać broń, zwłaszcza gdy w domu są dzieci. W szafie wnękowej był ukryty wysoki, ogniotrwały

sejf, w którym znajdowały się broń i naboje. Milicjant dmuchał na zimne i trzymał tu nawet noże myśliwskie. Sejf był na zamek cyfrowy i wymyślny klucz, więc nie sposób było go rozpruć bez łomu i palnika.

Lekarka przywitała Nastię życzliwie, panie dobrze się znały, nie pierwszy raz pracowały razem.

– Nie postawiłam jeszcze diagnozy, ale niemal na pewno mogę stwierdzić, że nie mamy do czynienia z ciężką chorobą psychiczną. Bazanow jest poczytalny, doskonale wie, co zrobił. Zgodnie z dokumentacją medyczną przesłaną z jego przychodni cierpi na upośledzenie umysłowe w stopniu lekkim. Nie mam pojęcia, co mu się przydarzyło tamtego dnia – powiedziała, przeglądając kartę pacjenta.

– A co mówi?

– Że słyszał głos, który mu kazał to zrobić. Proszę, tutaj mam zapisane, co powiedział: „Głos kazał mi go zabić”.

Lekarka wręczyła Nasti zapis rozmowy.

Pytanie: To znaczy kogo? Głos podał panu nazwisko i adres?

Odpowiedź: Powiedział, że mam zabić tamtego mężczyznę.

Pytanie: Jakiego mężczyznę? Dlaczego był pan pewien, że głos polecił panu strzelić akurat do tamtego mężczyzny, a nie do innego?

Odpowiedź: Poprzedniego dnia przechodziłem tamtędy i zobaczyłem podjeżdżający samochód, z którego wysiadł mężczyzna. Wtedy głos mi powiedział: „To bardzo zły człowiek, chce wyrządzić krzywdę najpierw tobie, potem twoim bliskim, a na końcu całej ludzkości. Musisz go powstrzymać. Zobacz, ma czarne włosy, a na skroni znamię – to znak grzechu i szatana. Weźmiesz pistolet i go zastrzelisz, gdy tylko nadarzy się okazja. Musisz to zrobić dla siebie, dla swoich bliskich i dla całej ludzkości”. Dlatego go zabiłem.

Pytanie: Znał pan jego nazwisko?

Odpowiedź: Nie.

Pytanie: Wiedział pan, gdzie pracuje i czym się zajmuje?

Odpowiedź: Nie, wtedy nie wiedziałem. Powiedziano mi dopiero

w komisariacie.

Pytanie: Czy kiedykolwiek przedtem słyszał pan głos, który nakazywał panu coś zrobić?

Odpowiedź: Nie... Nie przypominam sobie czegoś podobnego.

Pytanie: A po tym zdarzeniu? Głos nic panu nie powiedział?

Odpowiedź: Nie.

Pytanie: Jak pan sądzi, co się z panem działo? Może pan to jakoś wyjaśnić?

Odpowiedź: Nie, nie mogę. Nie wiem, jak to się stało. Nie rozumiem dlaczego. Chyba zwariowałem. Rozum mi się pomieszał.

– No i widzisz – powiedziała lekarka, składając notatki i wsuwając je z powrotem do teczki. – Bazanow nie potrafi znaleźć logicznego wytłumaczenia swojego czynu, nie uważa go za zwyczajny i normalny. W dodatku podejrzewa u siebie chorobę psychiczną, a to jeden z pierwszych objawów zdrowia. Człowiek, który naprawdę jest chory, nie uważa się za chorego, stąd wszystkie problemy. Światowa psychiatria nie miałaby problemów, gdyby naszemu choremu można było powiedzieć: „Jesteś niezdrów, kolego, wydaje ci się, że słyszysz głos, więc gdy następnym razem ci powie, żebyś zabił lekarza, pamiętaj, że to oznaka choroby, połóż się do łóżka, przykryj kołdrą i nie ulegaj jego podszeptom”. Kłopot polega na tym, że ludzie chorzy są pewni swego i uważają, że nic im nie dolega. Właśnie dlatego są niebezpieczni. Nie wiadomo, co głosy każą im zrobić, nikt nie jest w stanie tego przewidzieć.

– A więc uważasz, że Bazanow nie stanowi takiego przypadku?

– Jestem tego pewna – odparła lekarka. – Nie wiem, co się mogło stać. Przypuszczam, że chłopak po prostu kłamie, symuluje stan niepoczytalności. Ktoś go wynajął, żeby popełnił zabójstwo, i poradził, żeby w razie wpadki posłużył się historyjką o głosie. Zbrodnia dokonana przez szaleńca to zupełnie co innego niż zabójstwo na zlecenie. Ale ja w to nie wierzę, Nastiu. Dzisiaj nie ma już takich głupców. Gdy ktoś zabije na zlecenie, ma szansę pozostać przy życiu. Niezależnie od tego, jak wysoki będzie wyrok, sprawca wyjdzie kiedyś na wolność. Biorąc pod uwagę fakt, że Bazanow

cierpi na oligofrenię, nie dostanie najwyższego wymiaru kary. Za zabójstwo w stanie niepoczytalności trafi do szpitala psychiatrycznego, i to na zawsze. Stąd się nie wychodzi, wszyscy doskonale to wiedzą. Nawet jeśli ktoś wyjdzie, to ogłupiały i z zanikiem mięśni. Nie znam człowieka, który dobrowolnie by na to przystał. W kolonii karnej jest ciężko i strasznie, ale to wciąż życie. A w szpitalach, w których przetrzymuje się niepoczytalnych zbrodniarzy, nie ma żadnego życia. Są tylko przerażenie, ból i cierpienie. Gdy leki zrobią swoje, pacjent obojętnieje i staje się rośliną.

Dwudziestoczteroletni Kiriłł Bazanow był niewykwalifikowanym robotnikiem w fabryce obuwia. Skończył szkołę specjalną dla upośledzonych umysłowo. O żadnych studiach nie było, rzecz jasna, mowy, ale bardzo chętnie przyjęto go do wojska, mimo że wcale się tam nie nadawał. Dobroduszny, ustępny, zdyscyplinowany – jak takiego nie przyjąć? Komisja wojskowa nie znalazła przeciwwskazań. Zdarzały się wprawdzie nagłe ataki niekontrolowanego gniewu... Chłopak nie był jednak pamiętliwy, uspakajał się równie szybko, jak denerwował. Nad wyraz uległy i podatny na sugestię, pod tym względem nie różnił się od innych oligofreników. Po wyjściu z wojska zatrudnił się w fabryce, bo nie zdobył żadnych szczególnych umiejętności. Nie było takiej siły, żeby oligofrenik, wprawdzie upośledzony tylko w lekkim stopniu, został płatnym zabójcą. Nasz kraj słynie oczywiście z tego, że we wszystkim przoduje i jest niepodobny do innych. Kosmos, balet, pomysł rozcieńczania paliwa, bijatyka w parlamencie – na wielu polach jesteśmy twórczy i jedyni w swoim rodzaju. Ale nie na aż tak wielką skalę...

Z Instytutu Psychiatrii Sądowej Nastia Kamieńska wyszła zupełnie skołowana. Śmierć urzędnika Prokuratury Generalnej Łuczenkowa z każdą chwilą wyglądała na coraz bardziej przypadkową. Ale kryterium, jak niewzruszenie wierzyła Nastia, musi być jedno. Jeżeli uznać zabójstwo Łuczenkowa za nieszczęśliwy wypadek, tak samo należy potraktować zabójstwo Malkowa, którego ni stąd, ni zowąd zastrzeliła córka narkomanka. Tylko co wtedy mamy? Jurcew i Mchitarow popełnili samobójstwa, deputowany Izotow zabił żonę, biznesmen Siemionow zginął w wypadku samochodowym,

drastycznie naruszając zasady ruchu ulicznego. Nic nie pasuje. Zupełnie nic. Żadnego związku, każdego spotkało inne nieszczęście, każdy popełnił inny grzech i dostał to, na co zasłużył.

Jest wprawdzie coś jeszcze. Dwaj mężczyźni, którzy zjawili się w domu Mchitarowa. Na razie nie udało się ustalić, do kogo przyszli, ale całkiem możliwe, że do Gleba Armienakowicza. Mchitarow popełnił samobójstwo, krótko potem zginęli obaj mężczyźni. Niech więc ten, kto sądzi, że tutaj też nie widać żadnego związku, rzuci w nią, Anastazję Kamińską, ciężkim kamieniem.



Rita znowu została sama, ale tym razem nie czuła strachu i przygnębienia jak poprzednio. Tym razem wszystko wyglądało inaczej.

Paweł powiedział, że przez pewien czas nie będą się widywać. Ale po pierwsze, obecne rozstanie nie będzie tak długie jak tamto dwuletnie. Paweł obiecał, że zjawi się za jakiś miesiąc. A po drugie, wróci do niej, nie może nie wrócić, bo oboje darzą się gorącym uczuciem.

– Znowu wyjeżdżasz? – zapytała Rita ze smutkiem.

– Nie, kochanie, będę niedaleko. Ale nie możemy się spotykać. Muszę załatwić ważną sprawę i nie przyjdę, póki jej nie skończę. Za to potem już się nie rozstaniemy. Zgoda?

Paweł uśmiechał się pogodnie, ale Rita czuła, że jest spięty i skupiony. Zawsze wyczuwała jego stan, w jednej chwili odgadywała najdrobniejsze wahania nastroju. Może dlatego że bardzo go kochała, a może z uwagi na swoje umiejętności, którymi obdarzyła ją natura.

Minęły cztery dni i Ritę znowu pochłonęła codzienna krzątanina. Pracowała w banku na zmiany, raz rano, raz po południu i co drugą sobotę. Z jakiegoś powodu sądziła, że Paweł zjawi się po południu, więc gdy szła na drugą zmianę, nie mogła usiedzieć na miejscu, wyobrażała sobie, że w pustym mieszkaniu bez przerwy dzwoni telefon. Gdy zaś pracowała od rana, o drugiej wyskakiwała na ulicę i pędziła do mieszkania, żeby czekać na ukochanego. Przypominała

wiernego psa, którego właściciel porzucił na dworcu i który całymi tygodniami i miesiącami cierpliwie wypatruje każdego pociągu.

Tego dnia pracowała rano. Po drodze z pracy wpadła do sklepu, chwyciła to, co było pod ręką, i niemal biegiem ruszyła do domu. Wciąż myślała o Pawle, nie potrafiła nie myśleć, toteż przestała zwracać uwagę na wiele rzeczy, oddając się wspomnieniom i rozpamiętując czułą, namiętą dwutygodniową miłość. Dlatego nie zauważyła, że klucz w zamku nie przekręcił się za pierwszym razem, a gdy w końcu się przekręcił, ostro i nieprzyjemnie zazgrzytał. Ktoś doświadczony i uważny uznałby to za wyraźny sygnał, że drzwi otwierano podrobionym kluczem albo wytrychem i uszkodzono zamek. Ale Rita, mimo że teoretycznie o tym wiedziała, nie była w stanie tego dostrzec i podjąć środków ostrożności. Otworzyła drzwi i weszła do mieszkania. Gdzieś z boku przemknął cień, coś wbiło jej się w szyję i dziewczyna zaczęła się dusić. Torby z zakupami wysunęły się z palców i upadły na podłogę, rozległo się głucho plaśnięcie – rozbiło się trzydzieści jaj. Pozbawiony tlenu mózg szybko się wyłączył.

Mężczyzna starannie ułożył na podłodze martwe ciało młodej kobiety, otworzył jej torebkę, wyjął flakonik perfum i zacisnąwszy go w ręce obciążonej rękawiczką, ostrożnie uchylił drzwi na schody. Pora była odpowiednia, bo ci, co pracowali, byli jeszcze w pracy, a ci, co nie pracowali, zrobili już zakupy i krzatali się teraz w kuchni, szykując obiad. Zabójca odwrócił się w progu, zdjął nakrętkę z flakonika i gwałtownymi ruchami skropił podłogę w przedpokoju, tam, gdzie przed chwilą stał. Na szczęście udało mu się pokonać całkiem naturalną ciekawość i nie zajrzał ani do pokoju, ani do kuchni. Tylko w przedpokoju są jego ślady i zapach. A teraz i tam ich nie będzie.

Opróżniwszy flakonik, zamknął drzwi, starając się, by zamek nie szczęknął głośno, zszedł po schodach i znikł.



Nastia i Jura Korotkow schodzili nogi, szukając znajomych Garriego Robertowicza Asaturiana i wypytując ich o wysokiego siwego

mężczyznę w wieku około pięćdziesięciu pięciu lat, z wyrazistymi czarnymi oczami. Nikt go nigdy nie widział i nie pamiętał, żeby Garik o nim wspominał. Nie było go też oczywiście wśród osób, których dane figurowały w notesie Asaturiana.

– To chyba jakieś czary! – Korotkow rozłożył ręce. – Zdaniem konduktorki z rozmowy biznesmenów wynikało, że regularnie, od wielu lat podróżują razem służbowo. Jak to możliwe, że nikt z otoczenia Asaturiana o tym nie wiedział?

– Obaj kłamali. – Nastia smętnie machnęła dłonią. – Nawijali kobiecie makaron na uszy.

– Ale po co? – zdziwił się Korotkow. – Nie widzę logiki, Asiu. To, że ludzie, którzy się dobrze znają, ukrywają bliską znajomość, mogą jeszcze zrozumieć. Miewaliśmy z tym do czynienia. Ale odwrotnie? To się nigdy nie zdarzyło. Skoro się nie znają i nie utrzymują bliskich kontaktów, nie ma też żadnych podejrzeń, bo zmowa nie istnieje. Przypomnij sobie, ile mieliśmy spraw, w których się okazywało, że jacyś figuranci ukrywają przed nami swoją znajomość, udają obcych.

– No a tutaj jest akurat na odwrót – cierpliwie tłumaczyła Nastia. – Udają starych przyjaciół, których łączy praca, bo jeśli na tej podstawie ktoś zacznie ich szukać, to nigdy nie znajdzie. A naprawdę w pociągu zobaczyli się pierwszy raz. Może drugi.

Jura już chciał zaoponować, ale nie zdążył. Szli długim korytarzem budynku na Pietrowce 38, wracając z kolejnej nieudanej wyprawy do znajomych Asaturiana, gdy wpadł na nich Kola Siełujanow.

– O, jesteście, a ja obleciałem wszystkie zakamarki w pogoni za wami. Szorujcie do Pączka, naczelnik bardzo się gniewa. Polecili pilnie was znaleźć.

Kola już miał ich minąć, ale Jura chwycił go mocno za rękaw.

– Ekscelencja jest sam? Czy przyjmuje ważnych gości?

– Jakich gości! Misza, biedaczysko, tłumaczy się za was.

Jura i Nastia przyśpieszyli kroku, chwilę później stali już przed szefem, błyskającym purpurową ze złości łysiną. Misza Docenko, wysoki czarnooki sympatyczny chłopak, z zakłopotaną miną siedział przy stole konferencyjnym.

– Zapraszam – burknął Wiktor Aleksiejewicz, kiwnąwszy głową

wchodzącym. – Michaiłowi już pogratulowałem, teraz kolej na was. Mamy kłopoty, moi drodzy. Spokojnie, to nie wasza wina. Wdepnęliśmy w kolejne gówno, przepraszam za brzydkie słowo w obecności damy. Przed chwilą dzwonił Kostia Olszański, dostał wyniki ekspertyzy chemicznej tabletek, które zażył Jurcew. Historia jest długa, nie ma czasu, żeby ją dokładnie przytaczać, podam wam tylko wniosek: preparat o natychmiastowym śmiertelnym działaniu powstał w specjalnym laboratorium GRU^[18] jeszcze na początku lat osiemdziesiątych. Nie jesteście małymi dziećmi, więc wiecie, że szybko działające trucizny zawsze wykorzystywano w szpiegostwie. Skład preparatu jest identyczny z tym, który opracowano w laboratorium. Technologia produkcji nieco się różni. Nie ma jednak żadnego wpływu na śmiertelne działanie tabletek. Widocznie tam, skąd wyszła ta partia, jest inny sprzęt. To wszystko, zmęczyłem się, już od pół godziny gadam jak nakręcony. Dalej, Stasienko, teraz twoja kolej.

– To znaczy, że tabletki, które zażył Jurcew, nie zostały zrobione w GRU – podjęła Nastia. – Opracowano tam skład i technologię, a potem ktoś to wykorzystał. Albo ukradł dużą partię preparatu, poddał ją szczegółowej analizie i przeprowadził szereg prób, albo gwizdnał dokumentację. Druga wersja wydaje mi się bardziej prawdopodobna. To łatwiejsze i bezpieczniejsze. Nie trzeba nawet kraść dokumentacji, wystarczy znaleźć człowieka, któremu można zapłacić, żeby ją skopiował w miejscu pracy. Zresztą żeby odtworzyć drogą doświadczalną skład i technologię, potrzeba naprawdę olbrzymiej ilości preparatu, tamto laboratorium GRU pewnie tak dużo nie produkowało. Po co wywiadowi aż tyle trucizny o natychmiastowym działaniu, że można nią wytruć całą Moskwę? To raczej drobna produkcja, dla konkretnych osób, w celu ochrony swoich i likwidacji wrogów. Zresztą gdyby można było ukraść większą partię, wykorzystano by ją zgodnie z przeznaczeniem, zabijano by ludzi, a nie użyto do badań. Eksperci powiedzieliby nam, że Jurcew zażył tabletki opracowane i produkowane przez GRU do szpiegowskich operacji. A zatem ktoś ukradł dokumentację i zaczął je wytwarzać. Może to jakieś podziemne laboratorium do produkcji narkotyków. Pracują tam farmaceuci i chemicy, dla których

przygotowanie trucizny na podstawie dokumentacji to bułka z masłem. Jedno pytanie, Wiktorze Aleksiejewiczu. Skąd właściwie nasi kochani chemicy sądowi tak dobrze znają działalność GRU? Bo żeby powiedzieć: „Tak, tabletki są te same, tylko zrobione nieco inaczej”, trzeba bardzo dobrze znać zarówno ich skład, jak i technologię produkcji.

– Masz rację. – Gordiejew kiwnął głową z aprobatą. – Jednego ze specjalistów pracujących w laboratorium grzecznie „poproszono”, żeby odszedł na emeryturę w związku z ukończeniem sześćdziesiątego roku życia. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiono, nie wolno pozbywać się takich specjalistów, trzeba ich za wszelką cenę trzymać, żeby nie daj Boże nic nie wyciekło i wiedza nie trafiła do obozu wroga. Ale widocznie zaczęły się jakieś przetasowania kadrowe, jego stanowisko komuś się spodobało, może usiłowano kogoś wcisnąć, może wyrównywano rachunki, tak czy inaczej faceta wysiudano. No a nasze centrum ekspertyz kryminalistycznych go przechwyciło. Nie jesteśmy zadufani w sobie, przyda nam się nawet sędziwy starzec, jeśli nie brak mu wiedzy, no a sześćdziesięcioletni mężczyzna to jeszcze młodzieniaszek. Kiedy w dziewięćdziesiątym roku pewna szanowana niewiasta odebrała sobie życie, znaleziono przy niej tabletki, które od razu skierowano do ekspertyzy. Właśnie wtedy ów specjalista je rozpoznał. Pomysł jest nasz, mówi, tylko wykonanie inne, choć też bardzo dobre. Odtworzył z pamięci skład i technologię. Mówiłem przecież, że to skarb, a nie ekspert.

– Widział też tabletki Jurcewa? – zapytała Nastia z nadzieją.

– Nie, Stasienko, tutaj mieliśmy pecha. – Gordiejew rozłożył ręce. – Staruszek umarł. Chociaż co z niego za staruszek? Gdy przyszedł do nas w osiemdziesiątym ósmym, skończył sześćdziesiątkę, a umarł w ubiegłym roku. No to sobie policz, ile miał lat. Ale zostawił oczywiście notatki. Pojawia się zatem pytanie, jak tabletki trafiły do Jurcewa.

– A jak trafiły do tamtej kobiety w dziewięćdziesiątym roku? Udało się to ustalić?

– Niestety. – Gordiejew westchnął. – Sprawa pozostała nierozwiązana. Ustalono, że ofiara sama zażyła truciznę. Ale to, moje dzieci, nie jest jeszcze najgorsze. Dzisiaj wypłynęła informacja, którą

przez pewien czas starannie ukrywano. Człowiek z otoczenia prezydenta popełnił samobójstwo. To sprawia, że w mojej głowie rodzą się niewesołe myśli.

– Chce pan powiedzieć, że ktoś się rozprawił z ludźmi Malkowa i zaczął przerzedzać szeregi ekipy prezydenckiej?

– A ty jakbyś to skomentowała? – cierpko zapytał pułkownik. – Sądysz, że jest inaczej?

– Jeszcze nie wiem. Kiedy to się stało?

– Szesnastego lutego, nazajutrz po historycznym wystąpieniu naszego prezydenta.

– W takim razie nie pasuje – zauważyła Nastia. – Dzisiaj jest już dwudziesty szósty. Jeśli to robota tej samej szajki, to w ciągu dziesięciu dni sprzątnęliby z pięć, sześć osób. Potrzebowali przecież zaledwie tygodnia, żeby uporać się z ekipą Malkowa. Nadal nie rozumiem, Wiktorze Aleksiejewiczu. Jeżeli produkcja tabletek z trucizną odbywa się na wielką skalę, do czego są wykorzystywane? Wygląda na to, że uśmiercono nimi tylko dwie osoby. Zadano sobie sporo trudu, zdobyto dokumentację, ryzykowano, dołożono starań i po co? W ciągu tych wszystkich lat użyto ich zaledwie dwukrotnie. Nie wierzę.

– Spodziewałem się, że w końcu o to zapytasz. – Gordiejew się uśmiechnął. – Masz rację, że nie wierzysz. Dwa przypadki dotyczą Moskwy. A w całym kraju? W całym SNG? Informacje nie wszędzie teraz docierają, wszystkie kontakty uległy zniszczeniu. Zadzwoiłem na chybił trafił do kolegów z dwóch różnych obwodów Rosji. Każdy miał przypadki samobójstwa z użyciem nieznannej substancji trującej w tabletkach. Ponieważ fakt samobójstwa był niezbity, nikt bliżej się nie przyglądał i nie interesował, skąd ofiara wzięła tabletki. A nawet co to za tabletki. Eksperci stwierdzili, że to szybko działająca trucizna, i na tym stanęło. Nikt niczego nie potrzebuje, żeby to diabli wzięli! Nikt nie jest ciekaw! Nawet jeśli wszyscy, łącznie z Jurcewem, odebrali sobie życie bez niczyjej pomocy, gdzieś przecież siedzi ten drań, co produkuje tabletki i dostarcza je chętnym. Ale nikogo to nie obchodzi. Nikt nawet nie ruszy tyłka.

Znowu się zdenerwował i Nastia się domyśliła, dlaczego był wytrącony z równowagi, gdy weszła do pokoju. Pewnie to samo

mówił Miszy Docence.

Michaił też nie miał dla niej dobrych wieści. Nikt z uczestników bankietu nie widział ani wysokiego siwego mężczyzny z dużymi czarnymi oczami, ani niepokąźnego sympatycznego Ormianina. Pojawił się za to mężczyzna, którego ten i ów zauważył, ale nikt go nie znał. Średniego wzrostu, przy kości, długie, kręcone włosy, okulary z przyciemnianymi szklami. Ale na razie było to jeszcze bardzo mgliste...

∴

Zbliżała się już siódma wieczór, gdy Nastia i Korotkow opuścili gabinet Gordiejewa. Jura poszedł z Nastią do jej pokoju.

– Czemu twoi lekarze milczą? – zapytała kobieta, włączając grzałkę, żeby zrobić kawę. – Przecież się zaklinałeś, że zrobią sekcję Asaturiana poza kolejnością.

– Z choinki się urwałaś, Asieńko? – oburzył się Jura. – Dałem im przecież tylko jedną butelkę, a to oznacza „w następnej dekadzie”. Tak naprawdę sekcja zwłok poza kolejnością kosztuje z pięć butelek. Nie stać mnie na to.

– Dobrze, zajmiemy się na razie Szabanowem. Chociaż nikt nam o nim nic nie powie. W końcu był przybocznym Jego Wysokości. Coś mi się zdaje, że już dawno nie mieliśmy takich kłopotów. Trupy zwalają nam się na kark jeden po drugim, z niczym nie nadążamy, a to, co robimy, nic nie daje. Do tej pory nie ustaliliśmy tożsamości siwego faceta. Ani okoliczności zgonu Asaturiana. Ze śmiercią Jurcewa to samo. Nie wiadomo, dlaczego Bazanow zastrzelił Łuczenkowa. A teraz jeszcze ten Szabanow...

Tyradę Nasti przerwało brzęczenie wewnętrznego telefonu.

– Anastazjo Pawłowno – rozległ się głos Miszy Docenki – ktoś dzwoni do Jury z miasta.

– Niech go tutaj połączą – szybko rzucił Korotkow.

Chwilę później zabrzączał drugi aparat, Jura chwycił słuchawkę i słysząc głos po drugiej stronie, mrugnął do Nasti. Z jego skąpych wypowiedzi trudno się było domyślić, o czym mowa. Wreszcie odłożył słuchawkę i uśmiechnął się szeroko.

– No proszę, a narzekałaś, że lekarze nie dzwonią. Teraz wszystko jasne. W płucach i we krwi Asaturiana znaleziono gaz paraliżujący.

– Naprawdę? – Nastia omal nie podskoczyła na krześle. – Przeczuwałam coś podobnego. Ktoś strzelił do niego z pistoletu gazowego, skierował strumień prosto w twarz. Potem zabójca usiadł za kierownicą i spokojnie przejechał biedaka. A raczej najpierw ściął go z nóg, potem zawrócił, włączył światła, żeby lepiej widzieć, i starannie przejechał ciało, żeby mieć pewność. Wysiadł z auta i znikł. Proste i genialne. Żadnych krzyków, pościgu, bijatyki, powalaniego krwią ubrania. Czysto i ładnie. Boże, ależ trafił nam się łajdak. Chciałabym zobaczyć jego gębę.

– Na razie popatrz na grzałkę – poradził Korotkow. – Woda wylewa się na podłogę.

Nastia klasnęła w rękę. Woda rzeczywiście już dawno się zagotowała, a teraz bulgotała w wysokim ceramicznym kubku, chlapiąc na podłogę. Nastia gorączkowo wyszarpnęła wtyczkę z gniazdka, mimo to w naczyniu pozostało niewiele wody.

– Dobra, dla ciebie wystarczy – powiedziała zmieszana. – Zaraz zagotuję więcej. Ale ze mnie gapa.

– Pij sobie, pij. – Jura się uśmiechnął. – Przecież umrzesz bez kawy. Ja cierpliwie poczekam.

Byli w świetnej komitywie, mimo że różnili się charakterami. Niewykluczone, że właśnie dlatego się zaprzyjaźnili. Jura był kochliwy i lekkomyślny, Nastia spokojna i zrównoważona. Korotkow łatwo pogrążał się w rozpacz, ale potrafił się błyskawicznie pozbierać, otrząsnąć i z zakasnymi rękawami rzucić w wir pracy. Nastia łatwo godziła się z niepowodzeniami, dokładnie je analizowała, szukając popełnionych błędów i odsiewając ziarna pożytecznego doświadczenia. Musiało wydarzyć się wiele rzeczy naraz, żeby wpadła w rozpacz. Ale jeśli się poddała słabości i depresji, to na poważnie i na długo, nie pomagały radosne i przyjemne niespodzianki, pocieszenia i tłumaczenia, wesołe i naprawdę dowcipne anegdoty. Snuła się cicha i przygnębiona, każdy drobiazg doprowadzał ją do łez, mówiła zaś tak wolno i miarowo, jakby wygłaszała przygotowany tekst. Tylko jedna rzecz potrafiła ją wyprowadzić z depresji: musiała sobie uświadomić, że jej

stan utrudnia pracę całemu otoczeniu. Gdy tylko zauważała, że sprawa zaczyna kuleć, otrząsała się i mówiła sobie: „Dosyć, Kamińska, wystarczy, bierz się w garść i jazda do roboty”. Podejmowała wysiłek, nabierała powietrza do płuc, wstrzymywała oddech, po czym łyzy natychmiast wysychały, Nastia znowu mówiła zwyczajnie, z ożywieniem i barwnie, a to, co jeszcze niedawno wywoływało atak smutku, uznawała za śmieszne i niewarte uwagi. Walka z depresją trwała niekiedy nawet parę godzin, ale tylko własnymi siłami Nastia odzyskiwała równowagę ducha. Zewnętrzne oddziaływania nie skutkowały.

Zdarzało się, że w jednej chwili głowy Nasti i Jury zaprzętała ta sama myśl. Teraz też pili kawę w milczeniu, pogrążeni w zadumie, ale gdy tylko Jura się odezwał, przerywając ciszę, Nastia od razu dokończyła zdanie, jak gdyby doskonale znała bieg jego myśli.

– Asaturian ma nawet notes... – zaczął Korotkow.

– A tamten drugi, który tak naprawdę był pierwszy, bo zginął wcześniej, nie ma zupełnie nic. Puste kieszenie. Tylko portfel z pieniędzmi. Powiedz, Jura, jesteś przecież facetem, czy to możliwe, żeby w kieszeniach nie było nic prócz pieniędzy? W przypadku kobiety to możliwe w sytuacji, gdy biegnie do najbliższego sklepu po chleb i chwyta tylko portmonetkę i reklamówkę. Natomiast jeżeli bierze torebkę, ma w niej różne rzeczy. W portmonetce też zresztą jest to i owo. Bilet miesięczny, jakiś rachunek, wizytówki, skrawek kartki z telefonem albo adresem, rozkład jazdy kolejki podmiejskiej. Niektóre panie noszą nawet dowód osobisty w portmonetce. A mężczyźni?

– Tak samo. – Korotkow się uśmiechnął. – Oni też mają w portfelu całe archiwum. I zawsze noszą coś w kieszeniach: chustkę do nosa, grzebień, papierosy, zapalniczkę, prezerwatywy. Ostatnio, idąc z duchem czasu, wsuwają do kieszeni dyskietkę albo kasetę z audiobookiem.

– Wygląda więc na to, Jurik, że ten, kto zabił Asaturiana, nie miał nic przeciw temu, żeby milicja od razu poznała tożsamość ofiary. Zdaje się, że zabójcy było to obojętne. Ale jeżeli sprzątnął też siwego faceta, dlaczego zrobił, co tylko mógł, żeby utrudnić jego rozpoznanie?

– Chcesz powiedzieć, że zabójców było dwóch i ofiary zostały zabite z różnych powodów?

– Nie, Jura. Chcę powiedzieć, że z siwym facetem jest coś nie tak. Różni się od Asaturiana, i to diametralnie. Szukając kontaktów Garriego Robertowicza, tylko tracimy czas. Zmuszono nas, byśmy się tym zajęli, sprowokowano nas, a my się poddaliśmy i poszliśmy na pasku przestępcy, jak dwoje głupców. Podsunęto nam szeroki krąg znajomości energicznego biznesmena, doskonale wiedząc, że owi ludzie nigdy nie doprowadzą nas do zabójcy. Sytuacja z siwym facetem wydaje się inna. Albo jest zbyt mocno powiązany z zabójcą, więc po ustaleniu tożsamości ofiary natychmiast dotrzemy do przestępcy, albo jest coś jeszcze. Ale coś jest, Jurka, to pewne. Czuję przez skórę.

– Tobie to dobrze. – Korotkow westchnął z zawiścią. – Wciąż jeszcze coś czujesz w związku z pracą. A ja czuję, że mam w głowie mętlik, istny groch z kapustą. No to co, idziemy do domu?

– Idziemy – przytaknęła Nastia. – Dzisiaj już nic nie zdziałamy.

Ubrali się, wyszli razem na ulicę i nieśpiesznie ruszyli w stronę metra. Zazwyczaj Nastia wsiadała na Twerskiej, ale ponieważ nie lubiła brnąć w kałużach i w błocie, wolała wsiąść na Czechowskiej, która była bliżej Pietrowki, i dopiero potem przesiąść się na Twerską. Tymczasem Jura pociągnął ją w zupełnie inną stronę.

– Chodźmy na Teatralną – powiedział głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Pobędziemy trochę na świeżym powietrzu.

Nastia posłusznie powlokła się obok niego. Właściwie już otwierała usta, żeby kategorycznie odmówić, gdy nagle przypomniała sobie, że przyjaciółka Jury niedługo ma urodziny. Pewnie Korotkow zamierza kupić jej prezent i chce, żeby Nastia doradziła mu w sklepie.

Domysły Nasti okazały się słuszne. Jura zajrzał najpierw do sklepu z galanterią skórzaną, potem do Bieriozki^[19] oraz innych sklepów na Twerskiej. W końcu wybrali razem dla Ludmiły ładny komplet posrebrzanej biżuterii z malachitem, a Nastia kupiła sobie kilka par rajstop. Skoro już idę pieszo, niech będzie z tego jakiś pożytek, myślała, kupując jeszcze mydło, pastę do zębów i szampon. Wystarczy na jakieś dwa miesiące, przynajmniej przez pewien czas nie trzeba się będzie martwić.



Paweł czuł się nieciekawie, ale wiedział, że złe samopoczucie niebawem minie, musi być tylko cierpliwy. Jak wszyscy członkowie grupy, on też miał dar, ale jego zdolności były o wiele słabsze. Potrafił wprowadzić klienta w stan odrętwienia, sprawić, by się rozluźnił i nie oponował, ale to wymagało od niego tak olbrzymiego i straszliwego wysiłku, że potem długo odzyskiwał siły. Nawet Rita umiała to robić całkiem swobodnie. No a o tym, żeby zmusić kogoś do zrobienia czegoś, tłamsząc jego wolę i narzucając swoją, Paweł mógł tylko pomarzyć. A co tu mówić o Miszy Łarkinie, który potrafił właściwie wszystko.

Paweł urodził się na Węgrzech, w rodzinie attaché wojskowego, więc dzieciństwo spędził w wąskim świątku radzieckiej ambasady. Ojciec, oficer kadrowy, od wczesnych lat wdrożył syna do dyscypliny i potrafił wpoić mu myśl, że raz na zawsze ustanowiony porządek to rzecz zdrowa, racjonalna i dla wszystkich korzystna. Chłopiec uwierzył. W dodatku szczerze, bo z każdym dniem przekonywał się o słuszności ojcowskich słów.

W tamtych czasach nosił imię Władimir, nazwisko też miał zupełnie inne. Był zdolnym, wesołym i towarzyskim chłopcem, od razu nauczył się mówić po rosyjsku i po węgiersku, toteż rodzice posłali go nie do rosyjskiej szkoły przy ambasadzie, tylko do miejskiej, węgierskiej, co prawda najbardziej renomowanej, w której uczyły się dzieci partyjnej elity. Wołodia nawiązał mnóstwo przyjaźni, często odwiedzał kolegów z klasy, dzięki czemu jego rodzice zyskali słuszny powód, by zawrzeć bliższą znajomość z rodzicami przyjaciół syna.

W tamtych latach ambasadorem ZSRR w Węgierskiej Republice Ludowej był mężczyzna, który w niedalekiej przyszłości miał stanąć na czele KGB i zniszczyć życie miłego, towarzyskiego chłopca, syna attaché wojskowego. Ale czy ktoś mógł to wtedy przewidzieć...

Po Węgrzech była Czechosłowacja, skąd rodzina Wołodi już na dobre wróciła do Moskwy w 1968 roku po zakończeniu Praskiej Wiosny. Wołodia miał siedemnaście lat, akurat skończył szkołę,

swobodnie mówił po węgiersku i po czesku. Czekala go Wyższa Szkoła KGB. Żeby być jednak przyjętym, musiał odbyć służbę wojskową. Nie miał nic przeciw temu, był dobrze rozwinięty fizycznie, zdrowy i zdyscyplinowany.

Wojsko nie wydało mu się czymś strasznym. Służył chętnie, a nawet z przyjemnością. Nie irytowały go rzeczy, które wyprowadzały z równowagi innych żołnierzy. Pobudka i wstawanie o wyznaczonej godzinie, rozgrzewka, wyczerpujące ćwiczenia sportowe i treningi, wkuwanie rozkazów oraz instrukcji, mycie podłóg – wszystko to przychodziło mu lekko, nie stanowiło najmniejszego problemu. Właśnie w ten sposób żył od urodzenia, do tego wdrażał go ojciec. Okazywanie bezwzględności posłuszeństwa starszym, żelazna dyscyplina i przestrzeganie ustalonego rozkładu dnia. Nie trzeba o niczym myśleć ani podejmować decyzji, wszystko zostało obmyślane i postanowione przez innych, wystarczy tylko wykonywać polecenia. Wołodi było to na rękę. Miał żywą i bogatą wyobraźnię, jego dusza była owym „mrocznym kamiennym domem z zamkniętymi na głucho okiennicami, w którego ponurych komnatach odbywały się uczty”, jak pisał Kretschmer o ludziach tego pokroju. Dlatego cieszył się, że nie spoczywa na nim obowiązek podejmowania drobnych codziennych decyzji, pochłaniających czas, uwagę i siłę, których potrzebował, by żyć w swoim własnym olśniewającym świecie wewnętrznym.

Po wojsku była Szkoła Wyższa, w której Wołodia nie miał żadnych problemów ani z dyscypliną, ani z nauką. Był bystry, miał dobrą pamięć i zdolności do języków obcych. Dawny ambasador ZSRR w Węgierskiej Republice Ludowej w 1967 roku został szefem KGB, a ponieważ z ojcem Wołodi łączyła go bliska przyjaźń, młody oficer po ukończeniu uczelni dostał pracę w centralnym aparacie resortu. Dzięki znajomości rzadkich języków był często zapraszany przez szefa do udziału w ważnych rozmowach, podczas których pełnił funkcję tłumacza.

Pewnego dnia Wołodia przypadkiem się dowiedział, że w jego resorcie działa tajne laboratorium, które zajmuje się wykorzystaniem hipnozy oraz innych nietradycyjnych technik oddziaływania w specjalnych celach. Poczuł ciekawość, więc znalazł sposób, żeby

tam zajrzeć i zobaczyć, nad czym trwają prace.

– Proszę – powiedziano mu. – Oto specjalny encefalograf, nasz ostatni wynalazek. Pozwala na poczekaniu określić, czy ktoś ma potencjał i czy warto z nim pracować. Chcesz spróbować?

– No jasne – odparł Wołodia z zapalem.

Włożono mu hełm i podłączono czujniki. Coś zabrzęczało i zapiszczało, potem wszystko ustało i mógł zdjąć hełm.

– Masz pewne predyspozycje – oznajmił znajomy pracownik laboratorium. – Ale chyba o nich nie wiedziałeś i w ogóle nad sobą nie pracowałeś. Fale mózgowe są dość silne, nie potrafisz jednak kierować ich w żadaną stronę.

– Oczywiście, że nie – potwierdził zmieszany Wołodia. – A jak to się robi?

– Można się tego nauczyć, opracowujemy specjalną metodę, która to ułatwia. Bo nie wystarczy mieć dar. Trzeba umieć nim pokierować, inaczej będzie tkwił w organizmie niepotrzebny i niewykorzystany. Powinieneś ćwiczyć i doskonalić swoje umiejętności. Powiem ci coś, o czym pewnie nie słyszałeś – ciągnął przyjaciel. – Natura dość hojnie wyposaża ludzi w bioenergetyczny potencjał oraz inne zdolności. Dla niej to norma, a nie szczególny przypadek. Tyle że nikt nigdy tego ludziom nie mówił i jeśli nagle ktoś odkrywał w sobie dar, uważano to za coś niezwykłego. Czasami uznawano taką osobę za świętą i ją kanonizowano, niekiedy widziano w niej zagrożenie i palono na stosie, bywały przypadki, że ktoś zostawał lekarzem, szamanem, znachorem, tabibem – wszędzie inaczej. Chodzi jednak o to, że tego rodzaju zdolności uważano za wyjątkowe, niezwykłe i nieprzeciętne. Wielu w nie nie wierzyło i uważało za szarlatanerię. A dlaczego? Ano dlatego że dar ujawniał się przypadkiem, to znaczy rzadko. Jeszcze rzadsza i bardziej przypadkowa była sytuacja, w której jego właściciel świadomie się nim posługiwał. Obecny rozwój techniki sprawił, że można określić bioenergetyczny potencjał każdego człowieka. Okazało się, że jest wysoki nie tylko u osób wybitnych, ale u prawie co siódmego czy co ósmego człowieka. U co czwartego czy piątego jest dość wysoki, powyżej średniej. Ze wszystkich osób obdarzonych w ten sposób przez naturę tylko jedna na dziesięć tysięcy potrafi coś z tym zrobić.

Reszta w ogóle nie wie, że ma jakiś dar, wszyscy wokół się tylko dziwią, że tym ludziom stale pękają naczynia w dłoniach, że w ich obecności zaczyna boleć głowa albo odwrotnie, ból mija. Mogę ci dużo powiedzieć na ten temat. Najważniejsze jest jednak to, że opracowaliśmy specjalny system treningu, który pozwala maksymalnie wykorzystać posiadane zdolności. Więc jeśli chcesz, to proszę, przyjdź na kurs.

Wołodia zaczął odwiedzać tajne laboratorium. Był osobistym tłumaczem szefa, osobą zaufaną i synem jego bliskiego przyjaciela, więc laboratorium nie miało przed nim tajemnic. Najważniejszym osiągnięciem twórców metody było połączenie wykorzystania bioenergetyki z tradycyjną, istniejącą od wieków techniką hipnozy. Wyniki były bardzo dobre. Wołodia nie tylko nauczył się w pełni wykorzystywać ów skromny dar, którym obdarzyła go skąpa natura, ale opanował też metodę. Wiedział, że posiadanie wrodzonego daru to tylko połowa, a nawet jedna czwarta sukcesu. Nikt nie ma na to żadnego wpływu. Najważniejsze było to, żeby wiedzieć, jak trenować i się doskonalić. Bo zgodnie z tym, co powiedział przyjaciel, co czwarty czy piąty wybraniec natury ma potencjał powyżej średniej, a co siódmy czy ósmy – bardzo wysoki. Ale tylko niektórzy potrafią ćwiczyć i szlifować swoje umiejętności.

Szef wiedział, rzecz jasna, o jego pasji, to on pozwolił mu odwiedzać laboratorium. Widząc, że Władimir spędza tam sporo czasu, z pobłażliwym uśmiechem zapytał:

– Po co ci to, mój chłopcze? Co chcesz zyskać?

– Nic – odparł tamten szczerze. – A nuż się przyda? Na przykład zgubię klucz od sejfu. Wtedy nie trzeba będzie rozcinać go palnikiem i wzywać fachowca, bo otworzę go wzrokiem.

Prosty żart sprawił, że obaj parsknęli gromkim śmiechem. Szef był wyrafinowanym intelektualistą, nawet pisał wiersze, ale preferował niewyszukany humor, bez podtekstów. Żart Wołodi przypadł mu więc do gustu.

Potem szef utworzył wydział do pracy operacyjnej w krajach obozu socjalistycznego. Jedną z pierwszych osób, którą postanowił tam wysłać, był oczywiście Wołodia.

– Wybieraj, w której grupie chciałbyś pracować: czeskiej czy

węgierskiej – zaproponował nowo upieczonemu majorowi, okazując wielkoduszność i życzliwość. – Znasz oba języki jak swój ojczysty.

Władimir usiłował obrócić sprawę w żart. Propozycja była niespodziewana i w gruncie rzeczy w ogóle mu się nie spodobała. Ale szef okazał się uparty, a nawet bezwzględny.

– Nie mogę tego zrobić, proszę zrozumieć – tłumaczył rozgorączkowany Władimir. – Nie mogę pracować przeciwko ludziom, u których się wychowałem. To przecież rodzice moich szkolnych kolegów, znają mnie od małego, bywałem na urodzinach ich dzieci! Poza tym są przecież przyjaciółmi mojego ojca!

– Twój ojciec, niech mu ziemia lekka będzie, pracował, a nie się z nimi przyjaźnił. Nadszedł czas, żebyś to zrozumiał, synku. Oni są katolikami, to znaczy, że myślą inaczej i w każdej chwili mogą się stać naszymi wrogami. Twój ojciec nigdy o tym nie zapominał. Właśnie dlatego posłał cię nie do szkoły przy ambasadzie, tylko do węgierskiej, w mieście, żeby dzięki tobie ich poznać, przeniknąć do tamtego środowiska i wprowadzić do niego naszych funkcjonariuszy. Musisz kontynuować jego dzieło.

– To dlaczego inni pracownicy ambasady nie posyłali dzieci do szkół w mieście? – z niedowierzaniem zapytał Władimir. – Dlaczego tego nie robili, skoro to tak ważne dla wspólnej sprawy?

Szef się uśmiechnął, ale nieznacznie, samymi kącikami warg.

– Bo ich dzieci były tępe, leniwe i niczym się nie interesowały. Nie miały zdolności do języków i nie nauczyły się węgierskiego, dlatego mogły chodzić tylko do rosyjskiej szkoły przy ambasadzie. Ty zaś byłeś zdolny, języki obce zawsze przychodziły ci z łatwością. Gdy zauważyliśmy z ojcem twoje predyspozycje, postanowiliśmy się nimi posłużyć. Mam nadzieję, że nie masz do nas żalu, synku? Dzięki temu byłeś przecież jedynym dzieckiem w naszej placówce dyplomatycznej, które mogło bez przeszkód spacerować i jeździć po mieście i okolicach, odwiedzać przyjaciół i koleżanki, podczas gdy reszta wychodziła albo wyjeżdżała tylko z rodzicami, większą część czasu spędzając w murach ambasady. W odróżnieniu od nich ty naprawdę spędziłeś dzieciństwo i młodość na Zachodzie, w pełnym znaczeniu tego słowa. Nie pora się odwdzięczyć za ten prezent, przyjacielu?

– Bardzo proszę... mnie nie zmuszać. Gotów jestem pracować w każdym innym kraju. Tylko nie na Węgrzech czy w Czechosłowacji.

– Albo Węgry, albo Czechosłowacja – odparł szef zimno. – Wybieraj. Żal i nienawiść ścisnęły serce Wołodi. Zrobiono go zakładnikiem dziecięcych zabaw, gdy jeszcze siedział na nocniku. A teraz chcą go do reszty wykorzystać. Nienawiść paliła mu wnętrzności i skórę, usiłując znaleźć ujście. Podniósł wzrok i popatrzył na szefa. Tylko przez chwilę. Ale to wystarczyło.

– Nie będę pracował ani na Węgrzech, ani w Czechosłowacji – wolno i dobitnie oznajmił półgłosem, po czym wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi.

Nic się nie stało, ziemia się nie rozstała, nie poraził go piorun. Nawet nie został zwolniony. Szef przestał go wzywać i niczego mu już nie proponował.

Trzy miesiące później podczas dyżuru w resorcie Władimir odebrał telefon ze szpitala KGB z prośbą o przysłanie oficera znającego języki obce. Okazało się, że pogotowie przywiozło mężczyznę, który zasłabł na ulicy, prawdopodobnie został ciężko pobity, ale nie miał dokumentów i nie mówił po rosyjsku, tymczasem jego wygląd i ubranie świadczyły o tym, że pochodził z Zachodu, a nie z krańców wielkiego, potężnego i wielonarodowościowego ZSRR. Pilny dyżurny wysłał Władimira, żeby rozeznał się w sytuacji.

W szpitalu zaprowadzono go do poczekalni i poproszono, żeby zaczekał. Chwilę później do pomieszczenia wpadło trzech osiłków, którzy wykręcili mu ręce, ściągnęli spodnie i obnażywszy pośladki, zaaplikowali końską dawkę chloropromazyny. W tamtych czasach tak zaczynało się leczenie chorych w stanie psychozy, niebezpiecznych i agresywnych.

Parę dni później lekarz uznał, że pacjent jest już wystarczająco nafaszerowany lekami i można z nim porozmawiać.

– Dlaczego mnie tutaj przetrzymujecie? – zapytał przerażony Władimir. – Zapewniam, że zaszła jakaś straszliwa pomyłka. Wzięliście mnie za kogoś innego.

– Jak to za innego? – odparł lekarz łagodnym i dobrotliwym tonem. – Jest pan przecież...

Zaglądnąjąc do karty, podał nazwisko, imię, patronimik i rok urodzenia Władimira, jego adres domowy, telefon, rangę i stanowisko w KGB.

– Tak, to ja – przyznał tamten. – Ale dlaczego, za co? Co się stało?

– Siedział pan, kochaniutki, w pracy i wpatrując się w sejf, oznajmił, że próbuje otworzyć go wzrokiem. Sam pan chyba przyzna, że tego nie można uznać za normalne zachowanie. Jest pan chory, więc będziemy pana leczyć.

Wołodia już nie pytał, co się stało i dlaczego się tutaj znalazł. Szef szybko i gładko rozprawił się z nim za nieposłuszeństwo, za dziecinną próbę moralizatorstwa. I za ostatnie spojrzenie, które sprawiło, że doświadczonego agenta oblało gorąco, nie mógł ruszyć ani ręką, ani nogą i nagle zapragnął powiedzieć:

– Oczywiście, synku, będziesz pracował w Chinach. To ciekawy kraj. A na Węgry i do Czechosłowacji pošlemy innych specjalistów. Masz rację, nie możesz przeciwko nim pracować.

W tamtej chwili szef był pewien, że jeśli wypowie te słowa, wszystko od razu stanie się łatwe i proste. A on poczuje się znakomicie...

Trwało to trzy sekundy. Szef ich jednak nie wybaczył.

Władimir został w szpitalu. Decyzją przełożonego miał wyjść stamtąd za parę lat jako zupełny inwalida, wycieńczony i na wpół oszalały, który nic nie pamięta i nie wie. Tak by się stało, gdyby nie Władimir Wasiljewicz Bułatnikow. Generał zabrał Władimira ze szpitala, zanim lekarze zdążyli go okaleczyć. Zabrał całkiem legalnie, nie wykradł ani nie wywiózł pod osłoną nocy. Wystarał się o zwolnienie. Ze względu na stan zdrowia Władimir został oczywiście relegowany z KGB. Przekroczył próg szpitala niedaleko stacji metra Oktiabrskoje pole w stopniu majora, zdrowy i w pełni sił, a wyszedł trzy miesiące później, będąc nikim. Ledwo powłóczył nogami i co rusz się potykał. Nic prawie nie widział, bo leki, którymi go szpikowano, sprawiły, że zaczęła mu się odklejać siatkówka. Był osłabiony i wymizerowany. Ale głowa nadal pracowała normalnie. Co prawda za sprawą leków pojawiły się kłopoty z pamięcią.

Bułatnikow go odchuchał. Podsuwał witaminy i zdrową żywność z rynku, wyprowadzał na spacer, wolno przechadzał się z nim po

parku, trzymając za łokieć. Zaprosił do domu okulistę, który zajął się siatkówką.

Od razu zdradził Włodzirowi swój plan. Pechowy pacjent, dawny major KGB będzie musiał zniknąć, jego miejsce zajmie mężczyzna o innym nazwisku i z innym życiorysem. Stanie na czele grupy ludzi, hojnie obdarzonych przez naturę, nauczy ich wykorzystywać posiadany dar i będzie nimi kierował. Bułatnikow potrzebuje akurat Włodzirowa, bo tylko on łączy w sobie cechy i właściwości niezbędne do realizacji pomysłu. Zna metodę treningu, no i sam problem. Nieobca jest mu też praca operacyjna, ma odpowiednie wykształcenie i wprawę. Niczego innego nie potrafi, nie ma innego zawodu, no a pracy go pozbawiono. W dodatku niezasłużenie, w podły sposób, zadając podstępny cios w plecy. A przede wszystkim nad wyraz cynicznie, posługując się niewinnym żartem, na który sobie pozwolił w nieoficjalnej rozmowie. Poza tym Włodzirow jest samotny, ojciec odumarł go parę lat temu, a matka całkiem niedawno, nie ma rodzeństwa, żony ani dzieci. Jego zniknięcie nikogo więc nie zmartwi ani nie zasmuci.

Tak pojawił się Paweł Saulak. A potem cała grupa – młoda i naiwna Rita Dugieniec, nieszkodliwy oszust Misza Łarkin, spekulant Garik Asaturian i psychiatra Karl Fridrichowicz Rifinius, którego zgubiła słabość do kobiet. Bułatnikow ich znalazł i wyciągnął z kłopotów, ale pracował z nimi wyłącznie Paweł. Nie wolno mu było nawet wspominać imienia Włodzirowa Wasiljewicza. Paweł pracował z każdym indywidualnie, surowo przestrzegając zasad metody, którą opracowano w tajnym laboratorium. I przekonał się, że naprawdę się sprawdza. Nawet Rita, która potrafiła tylko zmusić sąsiada, żeby wylał wódkę do zlewu, nauczyła się zdumiewających rzeczy. Na przeszkodzie stała tylko jej dobroć i naiwność. Nie potrafiła wmówić ludziom tego, co zagrażało ich życiu, jeśli wiedziała, że to niebezpieczne. Na myśl, że swoim działaniem może kogoś skrzywdzić, natychmiast traciła siły i zdolności do pracy.

– Nie potrafię wysłać nikogo na śmierć – mówiła z poczuciem winy.
– Wybacz, Pasza. To mnie przerasta. W końcu to wielki grzech.

Paweł nie nalegał. Po co łamać psychikę dziewczyny? Starał się

przydzielać jej mniej skomplikowane zadania, a także wykorzystywać w sytuacjach, gdy treść sugestii nie świadczyła o zamiarze spowodowania śmierci. Tak jak w przypadku Siemionowa. Rita nie miała pojęcia, do czego go nakłania. Nigdy nie prowadziła samochodu i słabo znała zasady ruchu drogowego. Była święcie przekonana, że każe mu jechać określoną trasą o wyznaczonej godzinie. Dziesiątki razy wykonywała podobne zadanie i nie widziała w nim nic niebezpiecznego ani nagannego.

Dziewiętnastoletnia Rita nie miała poczucia winy, naiwna i zakochana, od razu zaczęła mówić Pawłowi na ty. Pod tym względem była jedyna w grupie. Trzej mężczyźni, lepiej zdający sobie sprawę z uwikłania i zależności od Pawła, byli z nim na pan. Dobrze wiedzieli, że Saulak jest ich szefem i pracodawcą, a oni jego podwładnymi. Tylko Rita widziała w Pawle pięknego księcia, który jest tak dobry, że dał jej mieszkanie, umożliwił skończenie technikum ekonomicznego, w dodatku płacił za drobne przysługi. Boże, ona go przecież strasznie kocha, ma wobec niego tak olbrzymi dług wdzięczności, że gotowa jest pomagać nawet za darmo!

Wtedy Paweł nie rozumiał wielu rzeczy. Dopiero teraz, po dwuletniej odsiadce, otworzyły mu się oczy.

Tydzień temu zapowiedział Ricie, że zjawi się za jakiś miesiąc. Tak właśnie planował: w ciągu miesiąca załatwi sprawę i wróci. Ale po tygodniu niespodziewanie zaczął tęsknić. Nie, nie kochał Rity. Nigdy nikogo nie kochał. Wystarczało mu własne towarzystwo, a potrzeby ciała zaspokajał z kobietami, płacąc im albo za darmo, byle bez słów i zobowiązań. Po raz pierwszy znalazł się w sytuacji, gdy nikt nie podjął za niego decyzji. Po wyrzuceniu z KGB zyskał nowego szefa w osobie Bułatnikowa. Znowu codzienna dyscyplina, wszystkie myśli skierowane ku temu, by jak najlepiej wykonać rozkaz czy zadanie. Bułatnikow szukał zleceniodawców, przydzielał Pawłowi zadanie, a potem płacił. Po jego śmierci Paszka ukrył się w kolonii karnej, gdzie panowała ta sama, rozpisana na godziny i minuty dyscyplina, oparta na porządku, hierarchii i zasadach. Po wyjściu na wolność od razu trafił do Minajewa, który dał mu zadanie. Wszystko było jak przedtem: dostał zadanie – wykonał je – otrzymał pieniądze.

A teraz? Teraz Paweł nie ma szefa, nikt nim nie steruje, nikt mu

nie mówi, które zadania powinien wykonać, a które nie, ile żądać za nie pieniędzy. Czuje się więc nieswojo, jest zagubiony, nie może tak żyć. Nie potrafi. Nigdy go nie uczono, jak rozporządzać własnym życiem. Cudzym owszem, i to niejednym. Ale nie swoim. Najpierw byli surowi i wymagający rodzice, potem wojsko, skoszarowana uczelnia, stanowisko oficera, potem o wszystkim zdecydował Bułatnikow, a po jego śmierci sąd i naczelnik kolonii karnej.

Dlatego Paweł czuje mimowolny pociąg do Rity, która jest jeszcze bardziej bezbronna i zagubiona. Sądzi, że przy niej zdobędzie pewność siebie. Skoro za nią odpowiada, owa odpowiedzialność stanie się drogowskazem, który mu podpowie, jaką decyzję powinien podjąć. Rita go potrzebuje, więc może przynajmniej to go oświeci i pokaże, jak ma dalej żyć.

Niespodziewanie za nią zatęsknił. Dzwonił do niej wczoraj i dzisiaj, chyba ze dwadzieścia razy, rano, wieczorem i w nocy, ale dziewczyna nie odbiera telefonu. Paweł miał jej służbowy numer, bał się jednak dzwonić do banku. To przeczyło jego zasadom i mogło się okazać niebezpieczne. W domu telefon odbiera tylko ona. W banku jest pełno ludzi, on zaś nie ma ochoty, by ktoś usłyszał, że dzwoni do niej mężczyzna. Rita jest oczywiście posłuszna i nigdy nie zdradzi nikomu jego imienia, ale jeżeli Paweł do niej zadzwoni, w dodatku bez uprzedzenia, dziewczyna może stracić nad sobą kontrolę i pod wpływem emocji odezwać się do niego po imieniu. A tego by nie chciał.

Dlaczego Rita nie odbiera telefonu? Gdyby to się zdarzyło dwa lata temu, wcale by się nie zmartwił. Jest wolna, na pewno spotyka się z mężczyznami, może u któregoś nocuje. Nic w tym dziwnego. Ale teraz, po dwóch tygodniach spędzonych razem, Rita nie mogła nocować u innego mężczyzny. Paweł był tego pewien. Więc gdzie jest?

Z trudem wstał z kanapy, na której leżał, i wyszedł na ulicę. Automat telefoniczny był niedaleko, przed wejściem na pocztę. Paweł wrzucił żeton i znowu wybrał numer dziewczyny. Tym razem ktoś odebrał, ale głos był męski.

– Halo! – powiedział mężczyzna. – Słucham! Halo!

– Dzień dobry – rzekł Paweł spokojnie, chociaż wszystko w nim

dygotało. – Mogę rozmawiać ze Swietłaną Jewgienijewną?

– Ze Swietłaną Jewgienijewną? – powtórzył mężczyzna, jakby się wahał. – Wyszła na chwilę. Może zadzwoni pan jeszcze raz? Czy coś jej przekazać?

– Dziękuję – tak samo spokojnie odparł Paweł. – Proszę jej przekazać, że dzwonił Martynienko. Zadzwonię później, jeśli pan pozwoli.

Odwiesił słuchawkę i oparł się plecami o ścianę kabiny. A więc to tak. Rity nie ma w domu, a w jej mieszkaniu jest obcy mężczyzna. Ani kochanek, ani znajomy. Ani człowiek, który ma prawo się tam znajdować i doskonale wie, czyje to mieszkanie. To ktoś zupełnie obcy, ktoś, kto nie wie, że pod tym numerem nie ma i nie może być żadnej Swietłany Jewgienijewny, w przeciwnym razie powiedziała by Pawłowi, że to pomyłka, że ta osoba tu nie mieszka. Tymczasem on tego nie wie.

Ricie przytrafiło się coś złego.

W tej samej chwili Paweł przypomniał sobie nagle inną kobietę, którą już zdążył wykreślić z pamięci. Przypomniał sobie tę, która go uratowała. Nastię.

[18] GRU (Głównoje razwiedywatielnoje uprawlenije) – Główny Zarząd Wywiadowczy (wywiad wojskowy).

[19] Sklep dewizowy, odpowiednik polskiego Peweksu.

Rozdział 13

Generał Minajew nie wierzył własnym uszom, słysząc w słuchawce głos Pawła. Coś podobnego, to się nazywa fart! Myślał, że Paweł go unika, i już się zastanawiał, czy nie zacząć go szukać, tymczasem on, gołąbeczek, sam dzwoni. A jednak to prawda, że Anton Andriejewicz urodził się pod szczęśliwą gwiazdą. W każdej chwili mógł wezwać Pawła, nawet nie wiedząc, gdzie ten przebywa, do tego służył uzgodniony sposób kontaktu. Jednakże wezwanie mogło go zaniepokoić, a tego Minajew nie chciał. Znacznie lepiej, że Paweł zadzwonił z własnej inicjatywy.

– Gdzie się pan podziewał, Pawle? – zapytał przyjaźnie, starając się nie zdradzić radosnego podniecenia i zainteresowania. – Już zaczynałem się martwić, że coś się panu stało.

– Odpoczywam. Spełniłem pańskie warunki, więc chyba mam prawo do przerwy, prawda?

– Ależ oczywiście – pośpiesznie zapewnił Minajew. – Proszę odpoczywać. Nasza umowa nadal obowiązuje. Wykonał pan moje zadanie i może korzystać z mieszkania, samochodu i dokumentów.

– Antonie Andriejewiczu, potrzebna mi kobieta, która przywiozła mnie z Samary.

– Co to znaczy potrzebna? – Minajew się zaniepokoił. – Po co? Ma pan jakieś kłopoty?

– Spodobała mi się. Chcę się z nią spotkać i poznać bliżej. Teraz mam na to czas. Niech mi pan da jej telefon.

– Ale... – Minajew się zmieszał. Nie spodziewał się takiej prośby, nie był na nią przygotowany, więc nie wiedział, jak zareagować. – Widzi pan, to nie takie proste.

– Dlaczego? Przecież się znamy, nie jestem kimś obcym.

– Gdyby chciała, żeby pan zadzwonił, zostawiłaby panu swój telefon. Skoro tego nie zrobiła...

– Niech pan posłucha, Antonie Andriejewiczu – przerwał Paweł oschle. – Przecież nie mogę jej szukać na podstawie nazwiska, które miała w lewym dowodzie. Nawiasem mówiąc, byłem zaskoczony, że nie odwiódł jej pan od tego nieopatrznego kroku. Chce pan, żeby wpadła w tarapaty?

Minajew skulił się w sobie. Saulak ma świętą rację, ale mu jej przecież nie przyzna! Jeśli Paweł zacznie rozpytywać i szukać Anastazji Pawłowny Saulak, w dodatku przez milicję, dziewczyna rzeczywiście będzie miała problemy.

– No dobrze – powiedział niechętnie. – Niech pan pisze.

Podyktował Pawłowi jej domowy numer.

– A przy okazji, kim ona naprawdę jest? – zainteresował się Saulak.

– No cóż... – Minajew uśmiechnął się pod nosem. – To jej zawodowa tajemnica, sama ją panu zdradzi, gdy zechce.

Już podjął decyzję i się uspokoił. W końcu Paweł wykonał zadanie, więc nic się nie stanie, gdy się teraz dowie, że to milicja pomogła go przywieźć z Samary. Przedtem mógł się przestraszyć, wpaść w gniew i zerwać z haczyka. Teraz już wszystko jedno. W dodatku trzeba go znaleźć. Przynajmniej wiadomo, że będzie się kręcił koło tej dziewczyny.



Dzień zaczął się niespokojnie i bardzo pracowicie. A koło południa Gordiejew wezwał Nastię i kazał jej natychmiast jechać do ministerstwa.

– Mają tam jakieś ciekawe informacje na temat seryjnych zabójstw, zorientuj się, o co chodzi.

– Kto mnie do nich dopuści?! – Nastia machnęła ręką z rezygnacją.

– Strzegą ich jak źrenicy oka. Sami nie potrafią zrobić z nich pożytku, ale innym też nie dadzą.

– Konowałow wszystko załatwi. Jest nam przecież winien przysługę za to, że przywiozłaś Saulaka z Samary. Dogadałem się z nim,

pokaże ci wszystkie materiały.

Na miejscu się okazało, że generał Konowałow jest nieuchwytny. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami Nastia miała uzyskać dostęp do materiałów, jednakże umowa z Gordiejewem nie przewidywała, że Aleksander Siemionowicz będzie siedział kamieniem w swoim gabinecie i przyjmie ją poza kolejnością. Cierpliwie czekała więc w sekretariacie, a Konowałow gdzieś wychodził, wracał, prosił sekretarkę, żeby niezwłocznie kogoś wezwała, znowu wychodził, wracał w towarzystwie i Nastia musiała czekać, aż kolejny interesant opuści gabinet. Wreszcie przed piątą udało jej się dostać do środka. Na nic już nie miała ochoty, nie interesowały jej seryjne zabójstwa, żal jej było jedynie zmarnowanego czasu.

– Niech pani siada – ostrym i niezbyt uprzejmym tonem polecił generał, pokazując krzesło. – I szybko to przejrzy. Tworzymy zespół, który zajmie się tymi sprawami. Może pani dołączyć.

Niedbale rzucił jej akta, a sam pograżył się w lekturze jakichś papierów. Nastia zaczęła przeglądać dokumenty. Nie znalazła w nich niczego nowego. Niewyjaśnione sprawy seryjnych zabójstw popełnionych w latach 1992–1993. Wszystko to już czytała. Były też tutaj zabójstwa dzieci z Uralska. Po co jej to? Dlaczego dopiero teraz postanowiono utworzyć zespół? Ministerstwo już dawno monitoruje sprawy, dopiero teraz się obudzili?

Aha, o to chodzi! Teraz jasne, dlaczego góra wszczyna raban. W jednym z obwodów, gdzie w 1992 roku zabito sześć młodych dziewcząt, znaleziono ciało mężczyzny. Bardzo ciekawe. W swoim czasie zabójstwa dziewcząt połączono w serię, bo sprawca wyjmował każdej ofierze kolczyk z ucha i wsuwał go jej do ust. Zabity mężczyzna też miał kolczyk w ustach. Najpierw uznano, że to robota tego samego szaleńca. Po przeprowadzeniu badań daktyloskopijnych oraz różnych porównawczych ekspertyz nagle ze zdumieniem stwierdzono, że ślady linii papilarnych zabitego mężczyzny znajdowały się przy ciałach dziewcząt. Nasuwał się wniosek, że to on był owym szaleńcem. W takim razie kto go zabił? Kimkolwiek była ta osoba, na pewno wiedziała, kogo i za co zabija. Kolczyk w ustach mężczyzny nie był przypadkowy. Wiele mówił.

Nastia przewróciła kartkę. Informacja z Uralska głosiła, że

znaleziono ciało mężczyzny, któremu wycięto na piersi prawosławny krzyż. Taki sam, jaki widniał na ciałach jedenastu chłopców zabitych trzy lata temu. A odciski palców mężczyzny znaleziono niegdyś na torbach i tornistrach zabitych dzieci. Nieźle! Ludowy mściciel i tutaj się postarał! Można mu pozazdrościć wiedzy. Milicja już od trzech lat szuka zabójcy, a on go znalazł. I to nie jednego, lecz dwóch.

Akta nie zawierały nic więcej. Nastia zamknęła teczkę, w milczeniu czekając, aż generał Konowałow raczy się do niej zwrócić.

– Przeczytała pani? – zapytał, nie podnosząc głowy znad dokumentów.

– Tak.

– Ciekawe?

– Owszem – odparła powściągliwie.

– I co? Ma pani jakiś pomysł?

– Mam. – Nastia nieznacznie się uśmiechnęła. – Ale nie mogę go ujawnić w tym gabinecie.

– Tak?

Aleksander Siemionowicz w końcu uniósł głowę, zdjął okulary i zaszczyił Nastię spojrzeniem.

– A w którym gabinecie, za pozwoleniem, może go pani ujawnić? Gordiejewa?

– Nie, tam też nie. Za tego rodzaju pomysły Gordiejew zwolni mnie bez odprawy.

– Dobrze, dość tego kokietowania, niech pani mówi, o co chodzi – zażądał szef resortu.

– Nie przeszkadzajmy katu – powiedziała Nastia spokojnie. – On chyba lepiej od nas wie, kogo należy ukarać. Problem polega tylko na tym, kto wykona egzekucję.

– Jasne. – Generał skinął głową. – W ogóle to pani nie szokuje?

– Szokuje. Ale tylko w sytuacji, gdy egzekucję wykona samozwańczy kat. Jeśli natomiast zrobi to państwo, moje poczucie sprawiedliwości będzie usatysfakcjonowane. Pozwólmy katu pokazać drogę do domu ofiar i nie przeszkadzajmy mu ich szukać. Egzekucji dokonamy sami. Będzie to co prawda wymagało wyrzeczenia się pewnych zasad, ale rozumiem, że nie zamierza pan za nie ginąć.

– Zależy za jakie.

– Jeżeli uda nam się namierzyć kata, nie zatrzymamy go, póki nie pokaże nam wszystkich ofiar. Przestępca pozostanie na wolności, a my będziemy musieli to tolerować. W dodatku nie wolno nam go spłoszyć. Bo jeśli doprowadzi nas do ofiary, a ona jutro zostanie aresztowana, kat się zaniepokoi i nie pokaże nam kolejnej. Na pańskim miejscu zacząłabym jednak od czegoś innego.

– Od czego?

– Od kadr. Od składu osobowego komend milicji w tych regionach. Skąd kat może wiedzieć, kto popełnił serię zabójstw? Moim zdaniem odpowiedź nasuwa się sama. To nasz funkcjonariusz. W sprawach pojawiło się mnóstwo informacji operacyjnych, albo pojedynczych, albo mało przekonujących z punktu widzenia śledczego, albo takich, które nie mogły posłużyć jako dowód, bo zostały zdobyte w sposób pozaprocesowy lub nielegalny. Sam pan przecież wie, Aleksandrze Siemionowiczu, jak czasem bywa. Zebrano na kogoś całe dossier, cały kraj wie, że to przestępca, ale nie można go aresztować i wsadzić. Brakuje dowodów. Ten milicjant czekał cierpliwie na sprawiedliwość, a potem postanowił sam ją wymierzyć. Może zabito mu kogoś bliskiego. Albo został zwolniony za czyn popełniony podczas pracy nad tymi sprawami.

– Na przykład?

– Na przykład zatrzymał zabójcę i nie panując nad emocjami, dotkliwie go pobił. Prokurator uznał zatrzymanie za nielegalne i kazał zwolnić zabójcę. Nasz milicjant mógł z pianą na ustach dowodzić, że to właśnie jest szaleniec, który wykończył dziewczęta albo dzieci, ale prokurator przejrzał papiery, naradził się ze śledczym i wypuścił mordercę z uwagi na brak wystarczających dowodów. A naszego milicjanta wyrzucono z roboty za użycie przemocy i bezprawne zatrzymanie. To możliwe?

– Oczywiście – przyznał Konowałow. – Rozumiem Gordiejewa.

– W jakim sensie? – Nastia osłupiała.

– Rzeczywiście nikt prócz pani nie byłby w stanie przywieźć Saulaka z Samary. Chodzi mi o to, że nikt nie potrafiłby wymyślić, jak to zrobić. Nie chce pani czasem zmienić miejsca pracy?

Nastia posmutniała. Nawet nie przyszło jej do głowy, że rozmowa

może przybrać tak banalny obrót. Wyciągnąć pomysł, oszacować, czy się przyda, a potem zaproponować, żeby Nastia porzuciła swój zespół. Tak jakby rozzębieni pracownicy byli potrzebni tylko w ministerstwie, a na Pietrowce wystarczali średniacy. Raptem z sympatią pomyślała o innym generale, który miał tę samą rangę co Konowałow, ale kierował innym resortem w ministerstwie. Iwan Aleksiejewicz Zatoczny znał ją o wiele dłużej i o wiele lepiej niż Konowałow i Nastia ani przez chwilę nie wątpiła, że bardzo chętnie by ją zatrudnił, umieścił w swoim sztabie i powierzył prowadzenie informacyjno-analitycznych spraw, bo to umiała robić najlepiej i najbardziej lubiła. Ale Iwan Aleksiejewicz nigdy nie zaproponował, żeby porzuciła swój zespół, pułkownika Gordiejewa, wiernego i życzliwego przyjaciela Jurę Korotkowa, skorego do śmiechu miłośnika żartów i kawałów, a przy tym niezawodnego Kole Siełujanowa, rozczulającego i obowiązkowego Miszę Docenkę oraz całą resztę. Tylko raz, parę miesięcy temu, gdy w stosunku do Nasti wszczęto dochodzenie służbowe z powodu powiązań z mafijnymi strukturami, Zatoczny powiedział: „Niech się pani nie martwi, Anastazjo. Nawet jeśli się okaże, że pani szefom brakuje piątej klepki i proponują, żeby pani odeszła, nie zostanie pani bez pracy. Obiecuję”. Na szczęście szefowie poszli po rozum do głowy i skończyło się na dochodzeniu.

Generał Konowałow wciąż patrzył na nią pytająco i nieco ironicznie.

– Nie chce pani u mnie pracować? – zapytał znowu, ale teraz już wprost.

– Bardzo przepraszam – odparła Nastia obojętnym tonem.

– Ależ niech pani nie przeprasza. – Generał nagle poweselał. – Znam Gordiejewa od wielu lat. I wiem, że nikt od niego nie odchodzi na własną prośbę. Zdarza się, że ktoś odchodzi, bo nowe stanowisko łączy się z mieszkaniem albo ze znaczącą podwyżką. Ale jeżeli jest choćby niewielka szansa, by zostać, to zostaje. Pani szef jest człowiekiem wyjątkowym, cieszę się, że pani to rozumie. No to jak, wejdzie pani do zespołu zajmującego się sprawami zabójstw, o którym wspomniałem?

– Zależy, co każe mi pan robić.

– A co by pani chciała?

– Aleksandrze Siemionowiczu, przeraża mnie pańska dobroć – zażartowała Nastia. – Gdy arcyważny przełożony pyta maluczkiego podwładnego: „Co byś chciał?”, to idzie na deszcz. Albo zapowiada się zimne lato.

– Dosyć. – Generał się skrzywił. – Już od dawna nie jest pani małą dziewczynką, której zalety trzeba reklamować na każdym kroku i przy każdej nadarzającej się okazji udowodniać, że jest mądra i bystra. Całe ministerstwo zna pani nazwisko i niektóre sukcesy. Nawiasem mówiąc, krążą plotki na pani temat. A nawet legendy, choć niektórzy wygadują też podłe oszczerstwa. Najwyższy czas, żeby się pani o tym dowiedziała. Już dawno należy się pani awans i nawet jeśli podoba się pani praca u Gordiejewa, to wcale nie oznacza, że inni mają panią traktować jak pierwszego lepszego oficera. Stanowisko to wyłącznie pani sprawa i wybór. Ale gdy w grę wchodzi nasza renoma, to już zupełnie co innego. Dlatego nie powinna pani stroić sobie żartów, nazywając mnie arcyważnym przełożonym, a siebie maluczką podwładną. Gordiejew mówił, że nie sposób pani zmusić, by zrobiła to, czego nie chce. Nie pomagają żadne rozkazy. Taka postawa nie przystoi oczywiście oficerowi i raczej nie powinienem pani za nią chwalić. Ale to sprawa dyscypliny i zmartwienie pani przełożonego. Jednakże nie chciałbym pani niczego narzucać. Dlatego pytam: Czym chciałaby się pani zająć?

Nastia uśmiechnęła się z satysfakcją, usiłując nie roześmiać się głośno, ale nie potrafiła się opanować i parsknęła śmiechem.

– Sprytnie mnie pan podszedł, Aleksandrze Siemionowiczu. Najpierw pokazał pan pyszne ciastko w postaci zagadkowych zabójstw, potem nie szczędził mi pan komplementów, wychwalając mój rzekomy geniusz, nie zapominając też zaznaczyć, że nie będzie mnie pan naciskał i dokonywał zamachu na moją niezależność. No i proszę, przejął pan nade mną władzę.

– To znaczy, że się pani zgadza?

– No a co mam zrobić, Aleksandrze Siemionowiczu?! Oczywiście, że się zgadzam. Niech mi pan da materiały dotyczące kadr w obwodach, w których doszło do seryjnych zabójstw. Na tym będzie polegał mój wkład w pracę.

– Ależ, Anastazjo Pawłowno, to przecież strasznie nudne. Niech pani przygotuje pytania, każę jakiemuś urzędnikowi, by zajął się wykazami. A pani powinna robić coś bardziej twórczego.

– Nie zrozumiał pan, Aleksandrze Siemionowiczu. – Nastia westchnęła. – Niczego pan nie zrozumiał. Żaden urzędnik nie poradzi sobie z materiałami.

– Z góry posądza ich pani o niesumienność? – Konowałow uniósł brwi i po raz pierwszy podczas rozmowy w jego głosie zabrzmiało rozdrażnienie.

– Mogą sobie być po tysiackroć sumienni, ale ich praca nic nie da. Nawet najnudniejsze zadanie staje się wyjątkowe, gdy człowiek kieruje się hipotezą, którą wymyślił i którą chce sprawdzić. A podczas pracy do głowy przychodzą wciąż nowe koncepcje. To jest najbardziej twórcze w działalności operacyjnej. Tymczasem urzędnicy, których posadzi pan nad wykazami, nie wpadną na żaden pomysł, przeglądając nazwiska, numery rozkazów i zajmowane stanowiska. Bo za tym wszystkim nie stoi ich koncepcja, nie ma w tym krztyny ich wyobraźni, jest tylko głupie polecenie głupiego szefa, żeby pomogli jakiejś głupiej Kamieńskiej.

– Dobrze. Uprzedzano mnie, że potrafi pani być ostra i nieprzyjemna. Ale przynajmniej jest pani przekonująca. Jakich informacji pani potrzebuje?

Nastia szybko wymieniła informacje kadrowe, które mogą jej się przydać.

– I jeszcze numery telefonów funkcjonariuszy z każdego regionu, do których o każdej porze dnia i nocy będę mogła zadzwonić, żeby o coś zapytać.

– W najbliższych dniach wszystko pani dostanie – obiecał Konowałow, żegnając się. – Proszę się kłaniać ode mnie Gordiejewowi.

Nastia postanowiła wrócić do pracy, mimo że było już późno. Pułkownik siedział w swoim pokoju, zza drzwi dobiegał jego gromki i niecierpliwy głos: kłócił się z kimś przez telefon. Nastia ostrożnie uchyliła drzwi i zajrzała do środka. Ku jej zdziwieniu oprócz szefa był tam też Korotkow.

– Wejdz – szeptem powiedział Jura. – Mamy nowiny. A ty?

– Ja też, ale nie dotyczą naszych spraw. Pączek oddał mnie w najem.

– Komu?

– Zabiera mnie ministerstwo, a konkretnie Konowałow.

– Na długo?

– To zależy. Co nie znaczy, że tutaj nie będę pracować. Znasz przecież zasadę szefów: najważniejsze rzeczy musicie zrobić w czasie pracy, a to co jest mniej ważne, ale też ważne – w czasie wolnym. Resztę róbcie, kiedy tylko chcecie, byleby nie zawalić roboty. Nowe zadanie nie zwalnia mnie więc ze starych. A co na naszym podwórku?

– Poznaliśmy tożsamość Siwego.

– Niemożliwe! Naprawdę?

– Wygląda na to, że tak. Słyszysz, jak Pączek wyklóca się z okręgiem? Mają tam dokładne instrukcje na wypadek znalezienia ciał bez dokumentów. My zaś grzecznie siedzimy na Pietrowce i czekamy, aż wykonanie instrukcji przyniesie spodziewane efekty. Dzisiaj się jednak okazało, że w okręgu nie zamierzali niczego robić. Wysłali ciało do kostnicy i czekali, aż pojawi się komunikat poszukiwawczy. Widzisz, co za obiboki? Chcieli czekać, aż ktoś się połapie i przybiegnie na milicję, żeby zgłosić zaginięcie siwego faceta. A przecież wiadomo, że milicja strasznie nie lubi takich zgłoszeń, za każdym razem ktoś próbuje przekonać petenta, że zaginiona osoba wyszła na spacer i wróci za tydzień. Krótko mówiąc, wszczynają sprawę jakieś dwa tygodnie po zgłoszeniu zaginięcia, ale z tym też bywa różnie. Po pewnym czasie przychodzi komunikat ze zdjęciem i opisem ubrania. Nasi przyjaciele w Kryłatskim uznali, że zaczekają na tę słodką chwilę. Masz pojęcie, jak Pączek się wściekł?

– Kto zgłosił zaginięcie naszego Siwego? Krewni?

– Wyobraź sobie, że sąsiedzi. Okazuje się, że facet ma dwa psy, setery irlandzkie. Ktoś musi je wyprowadzać i karmić. Tymczasem nikt tego nie robi. Więc zaczęły szczekać i wyć. A potem już tylko skomlały z przerażenia. Sąsiedzi się zaniepokoiли, w końcu to samotny człowiek, więc skoro psy tak się zachowują, to znaczy, że musiało go spotkać nieszczęście. No i mieli rację.

W tej samej chwili Wiktor Aleksiejewicz skończył wreszcie

tłumaczyć wydziałowi okręgowemu, co o nim myśli, rzucił słuchawkę na widełki i otarł łysinę olbrzymią chustką do nosa.

– Jesteś nareszcie – burknął, ale bez gniewu. – Bo już myślałem, że zostałeś tam na zawsze. I co, Siemionycz cię przekabacił?

– Próbowałem. Ale jestem twarda. Nie dałem się.

– A jeśli chodzi o zespół? Odmówiłaś?

– Zgodziłam się. Przecież to ciekawe. A co, nie powinnam była?

– Powinnaś, powinnaś. – Wiktor Aleksiejewicz pokiwał głową z roztargnieniem, jakby praca Kamieńskiej w zespole powołanym przez ministerstwo w ogóle go nie obchodziła.

Ze wstępnych danych wynikało, że mężczyzna, którego zabito w Kryłatskim, to Konstantin Fiodorowicz Riewienko, kawaler pozostający bez pracy. Zdaniem sąsiadów Riewienko był człowiekiem cichym i spokojnym, nigdy nie spraszał hałaśliwego towarzystwa. Umebłowanie mieszkania świadczyło o tym, że był dość zamożny, ale bez przesady charakteryzującej nuworyszy. Drogie i zadbane strzelby zdradzały zamiłowanie do polowań, podobnie jak dwa psy myśliwskie. W mieszkaniu nie znaleziono damskich rzeczy, z czego można było wysnuć wniosek, że jeśli kobiety się nawet pojawiały, to nie bawiły długo. Riewienko rzeczywiście krótko przed śmiercią opuścił Moskwę na trzy dni, bo zostawił sąsiadowi klucz, prosząc, żeby ten zajął się psami.

– Nic nie rozumiem – powiedziała Nastia z przygnębieniem. – Co może łączyć Riewienkę z cwany Asaturianem? Kim on w ogóle jest?

– Rozmarzyłaś się. – Korotkow żartobliwie rozłożył ręce. –

Podziękuj, że mamy nazwisko i adres. Z Riewienką jest coś nie tak. Podczas przeszukania mieszkania znaleziono bardzo skromny zbiór dokumentów. Rachunki za mieszkanie, energię elektryczną i telefon oraz dwie książeczki oszczędnościowe – depozyt rublowy i konto walutowe. Nic więcej. Załóżmy, że dowód miał przy sobie i przestępca nie omieszkał go zabrać. Ale co z resztą?! Żadnego dyplomu ukończenia szkoły, żadnej książeczki pracy czy świadectwa urodzenia – nic. Albo wszystko gdzieś chował, albo ktoś to ukradł.

– Albo w ogóle tego nie było.

– Jak to?

– Ano tak. Nie było i koniec. Nie podoba mi się ta historia, Jurik.

Trzeba jak najprędzej zbadać życiorys Riewienki. Czuję, że spędzimy długie tygodnie, ślęcząc nad tym zabójstwem.

Przed wyjściem Nastia wpadła do dyżurki po komunikaty. Dzisiaj rano nie zdążyła ich przejrzeć i zamierzała zrobić to w domu. Aleksiej wyjechał do Żukowskiego, w mieszkaniu jego rodziców zaczął się remont, więc musiał pomóc poprzemienić meble, żeby zrobić miejsce dla robotników. Siedząc w wagonie metra, Nastia cieszyła się na myśl o cichym, samotnym wieczorze i już marzyła, że wypije kawę, zje parę kanapek, po czym usiądzie do komputera, żeby opracować komunikaty. W wagonie było luźno, miejsca obok Nasti były wolne, więc nie potrafiła pokonać pokusy. Wszystko, co dotyczyło pracy, budziło w niej ciekawość, była niecierpliwa jak dziecko. Z poczuciem winy rozejrzała się na boki, jakby zamierzała zrobić coś nieprzyzwoitego, po czym wyjęła z torby spięte spinaczem zadrukowane kartki. Kradzieże, napady, rozboje, ciała, zgłoszenia zaginięcia... Nie wczytywała się uważnie, wzrok jak zwykle ślizgał się po liniijkach, wyławiając kluczowe słowa. To jednak wcale nie oznaczało, że Nastia nieuważnie czytała komunikaty. Wszystko od razu notowała w pamięci, by w odpowiedniej chwili przywołać i wykorzystać.

Miała szczęście, bo nie musiała czekać na autobus, nawet nie zdążyła zmarznąć na przystanku. W domu od razu postawiła wodę na kawę, zrobiła sobie kanapki i usiadła w kuchni, wyciągając nogi na taborecie i trzymając w jednej ręce chleb z serem, a w drugiej dokumenty. Godzinami mogła czytać lakoniczny tekst składający się z rutynowych zwrotów, jego lektura wciągała ją bardziej niż najlepsza powieść przygodowa. Dzwonek telefonu oderwał ją od tego zajęcia.

– Anastazja Pawłowna? – usłyszała nieznany męski głos.

– Tak, słucham.

– Mówi Saulak.

– Paweł? – zapytała zdumiona, bo się go w ogóle nie spodziewała. – Skąd ma pan mój numer?

– Dostałem od Minajewa. Mam nadzieję, że się pani nie pogniewa.

– Jeszcze nie wiem – odparła zwięźle. – A o co chodzi?

– Mam do pani prośbę... A raczej propozycję. Chciałem panią

wynając, jeśli można.

– To będzie raczej trudne – łagodnie powiedziała Nastia, gorączkowo się zastanawiając, jak powinna się zachować. – A co właściwie się stało?

– Jeszcze nie wiem, możliwe, że nic. Widzi pani, moja dziewczyna... Krótko mówiąc, nie mogę jej znaleźć.

– Przepraszam, Pawle, ale to nie moja specjalność. Pańskie zaufanie mi oczywiście pochlebia, ale nie zajmuję się śledzeniem niewiernych żon. Niech się pan zwróci do agencji detektywistycznej, tam panu pomogą.

– Nie rozumie pani. – W jego głosie zabrzmiało zniecierpliwienie. – O nic jej nie podejrzewam. Ale boję się, że coś jej się stało.

– Dlaczego pan tak myśli?

– Nie odbiera telefonu. Nawet w nocy. Tylko niech mi pani nie mówi, że nocuje u innego mężczyzny. Zbyt dobrze ją znam.

– Może telefon się popsuł. Był pan u niej?

– Ja... Widzi pani, nie ma mnie w Moskwie. Wyjechałem w interesach.

– Więc chce pan, żebym do niej pojechała?

– No właśnie. Może to pani zrobić? Zapłacę za kłopot, ile pani zechce.

– Bzdura! Czy ona pracuje?

– Tak. Ale nie mam telefonu do pracy. Proszę zrozumieć, ona czekała na mnie dwa lata, zatrzymałem się u niej po powrocie. Nawet mi do głowy nie przyszło, żeby ją pytać o służbowy telefon.

– No dobrze, przypuścimy, że pojedę, a ona otworzy mi drzwi. Co dalej? Co mam jej powiedzieć?

– Jeśli jest w domu, niech się pani dowie, czy wszystko w porządku i dlaczego nie odbiera telefonu. Nastiu...

W słuchawce zapadła cisza. Anastazja niecierpliwie czekała, aż Paweł powie coś jeszcze.

– Proszę – rzucił wreszcie. – Niech pani to zrobi. Zapłacę.

Chciała odmówić, ale nagle znowu ogarnął ją dziwny niepokój, którego nie mogła się pozbyć od powrotu z Samary. Co ją tak dręczy? Może dzięki tej dziewczynie, przyjaciółce Pawła, sprawa się wyjaśni?

– Dobrze – powiedziała z westchnieniem. – Niech pan podyktuje adres, telefon i nazwisko.

– Margarita Siergiejewna Dugieniec, bulwar Sewastopolski 44...

– Co pan powiedział? – przerwała Nastia. – Margarita Siergiejewna Dugieniec?

Widziała to nazwisko w komunikacie. Przed chwilą, dziesięć minut temu. Szybko przejrzała leżące na stole kartki. Tak, to ona: Dugieniec M. S., bulwar Sewastopolski 44.

– Lepiej będzie, jak pan wróci do Moskwy.

– Dlaczego?

– Niech mi pan wierzy, że tak będzie lepiej. Bo już jutro milicja zacznie pana szukać.

– Ale dlaczego?

– Pańskiej dziewczynie rzeczywiście przytrafiło się coś złego. Nie żyje. Niech pan posłucha...

Ale w słuchawce rozległ się tylko zduszony ni to krzyk, ni to jęk, a potem długi sygnał. Paweł rzucił słuchawkę.

A to dopiero! Pierwsze, co przychodzi do głowy: Paweł zabił Margaritę i teraz próbuje się dowiedzieć, czy milicja znalazła ciało. To się często zdarza. Ale... Czy Paweł Saulak może zachowywać się tak rutynowo i głupio? Trudno w to uwierzyć.

Telefon znowu zadzwonił.

– Przepraszam – rozległ się głos Pawła – ja... Puściły mi nerwy. Jak to się stało?

– Nie dziwi pana, skąd o tym wiem?

– Tak... Nie potrafię zebrać myśli. Rita... No rzeczywiście, skąd pani wie?

– Czyżby pański przyjaciel Minajew nie powiedział panu, że pracuję w wydziale kryminalnym?

– Nie. Dał mi tylko telefon. Co się przytrafiło Ricie?

– Ktoś ją udusił. Niech mi pan wierzy, Pawle, że powinien pan wrócić. Jest pan pierwszą osobą, na którą padnie podejrzenie, bo był pan karany. Wrócił pan po odbyciu wyroku, dwa tygodnie później pańska dziewczyna została znaleziona martwa, a pan przebywa nie wiadomo gdzie. Cała milicja stanie na nogi, w końcu pana znajdą i przywiozą w kajdankach do Moskwy. Tego pan chce? Niech pan jak

najprędzej wróci i się ujawni. Przynajmniej uniknie pan dodatkowych kłopotów.

– Tak, ma pani rację. – Jego głos brzmiał spokojniej, widocznie pierwszy szok minął. – Wróć. Jutro. Tak rzeczywiście będzie lepiej. Nastiu...

– Tak?

– Naprawdę pracuje pani w milicji?

– Naprawdę.

– Mogę się z panią spotkać po przyjeździe?

– Oczywiście. Ma pan mój telefon, więc proszę zadzwonić.

– Chodzi mi o to, czy mogę się z panią zobaczyć, zanim zgłoszę się w komisariacie.

– Tak. Kiedy będzie pan w Moskwie?

– Jutro koło jedenastej.

– W takim razie proszę zadzwonić do pracy. Niech pan zapisze numer. Obiecuję, że do dwunastej nikomu o panu nie powiem. Ale jeśli się pan nie zjawi, będę musiała to zrobić. I machina pójdzie w ruch. Mam nadzieję, że pan to rozumie.

– Rozumiem. Przyjadę, niech się pani nie martwi. Do jutra.

Nastia powoli odłożyła słuchawkę. No cóż, Nastazjo. Nie dość ci kłopotów, wiesz, wciąż szukasz przygód. A jeśli on nie przyjedzie? I wykorzysta czas, który mu dałaś, żeby się ukryć, zaszyć, przyczaić? Jeśli go źle oceniłaś i się okaże, że myśli jak zwyczajny bandzior? Nie, to niemożliwe. Nawet gdyby Paweł był najgorszym draniem, na pewno nie brak mu rozumu. Nie zachowa się tak głupio.

„Niech będę przeklęty, gdybym miał kiedykolwiek cię skrzywdzić”.

„Pamiętaj, co ci powiedziałem”.

⋮

Czar cichego, samotnego wieczoru prysł. Nastia zaczęła się denerwować, wciąż na nowo rozpamiętując rozmowę z Pawłem i zastanawiając się, czy postąpiła słusznie i nie popełniła błędu. Spała kiepsko, przewracała się z boku na bok, była zła na siebie i na cały świat. Co rusz usiłowała sobie przypomnieć twarz Saulaka, ale przed oczami pojawiały się tylko osobne elementy – małe oczka

w obramowaniu wyblakłych rzęs, wysokie czoło, zapadnięte policzki, wąskie usta, cienki i długi nos. Z jakiegoś powodu nie tworzyły całości.

Rano Nastia wstała rozbita i ponura, nawet gorąca kawa i lodowaty sok nie poprawiły jej humoru. Na Pietrowce od razu zamknęła się w swoim pokoju z twardym postanowieniem, że zabierze się do roboty, ale wszystko leciało jej z rąk. Żeby jak najprędzej nadeszło południe, myślała, Paweł i tak nie przyjedzie. Niepotrzebnie mu uwierzyłam. Oszuka mnie, to pewne. Ale dałam słowo i muszę go dotrzymać. Niech jak najprędzej będzie dwunasta, wtedy z czystym sumieniem zadzwonię do wydziału, który zajmuje się zabójstwem Margarity Dugieniec. Niech złączą go szukać. Może jeszcze nie jest za późno i nie zdąży uciec daleko.

Ale Paweł zadzwonił kwadrans po jedenastej.

– Jestem na lotnisku – powiedział. – Gdzie mam przyjechać?

≡

– Problem polega na tym, że nie mam alibi – powiedział.

Siedzieli w kawiarni na piętrze miejskiego lotniska. Nastia miała wrażenie, że Paweł jest jeszcze bardziej wyczerpany i chory niż wtedy, gdy zjawił się przed bramą kolonii karnej.

– Dlaczego? Mówi pan, że wyjechał z Moskwy tydzień temu. Wtedy Margarita była cała i zdrowa. Ekspertyza wykazała, że zabito ją przed trzema dniami. Gdzie pan był cały tydzień?

– Nie rozumie pani. Mogę przedstawić dowody, ale mam inne dokumenty. Owszem, byłem w różnych miastach, nie wyrzuciłem biletów na samolot, zatrzymywałem się w hotelach, tyle że nie pod swoim nazwiskiem.

– No tak, oczywiście. – Nastia się uśmiechnęła. – Skoro tak bacznie pana obserwowano, gdy wyszedł pan na wolność, trudno przypuszczać, żeby się pan posługiwał prawdziwymi dokumentami. Minajew wyświadczył panu przysługę?

Paweł kiwnął głową.

– Więc chyba pani rozumie, że nie mogę go wystawić i tego ujawnić. Właściwie wyjechałem tylko dlatego, że nadal ktoś mnie

szuka. Dwa tygodnie spędziłem w Moskwie u Rity, nie mogłem jej nie odwiedzić. A potem wyjechałem, gdy zdałem sobie sprawę, że robi się niebezpiecznie. Nie powinienem był w ogóle się z nią spotykać. Ale bardzo tęskniłem...

Nastia zerknęła na niego z niedowierzaniem, ale nie skomentowała jego słów. Paweł Saulak nie sprawiał wrażenia człowieka, który może tak strasznie tęsknić do kobiety, że zapomni o własnym bezpieczeństwie. Ale kto wie... W końcu Nastia wcale go nie zna. Niekiedy z pozoru chłodni i obojętni mężczyźni okazują się zdolni do namiętnej i ofiarnej miłości.

– Więc jak udowodnimy pańskie alibi? – zapytała. – Jeśli nie chce pan zawieść zaufania Minajewa, ma pan tylko jedno wyjście: powiedzieć, że ukradł pan dowód osobisty i wkleił do niego swoje zdjęcie. Albo kupił go pan od jakiegoś mężczyzny na bazarze. Niech się pan uderzy w piersi i przyzna do tego, czego nie zrobił.

– To rada aktorki oszustki czy funkcjonariuszki milicji?

– Raczej frajerki – odparła Nastia ze wzburzeniem. – Skończonej frajerki, która nie wiadomo czemu usiłuje pana wyciągnąć z kłopotów. A jeśli to jednak pan zabił swoją dziewczynę? Tymczasem ja sobie ucinam z panem pogawędkę przy kawie.

– Niech pani da spokój – cicho powiedział Saulak. – Przecież doskonale pani wie, że jej nie zabiłem.

– Skąd mam wiedzieć? Dlaczego powinnam panu wierzyć?

– Wie pani. I mi wierzy.

– Tylko niech pan nie próbuje ze mną swoich sztuczek – odparła Nastia z gniewem. – I mnie nie urabia. Ja też mam swój zawodowy honor. Nie po to zadałam sobie tyle trudu, wywożąc pana z Samary, żeby niecały miesiąc później oddać na pastwę śledczego i kolejnego sądu. Proszę mi powiedzieć, co pan robił w ostatnim tygodniu, najlepiej godzina po godzinie. Kiedy wyjechał pan z Moskwy? Tylko dokładnie. Godzina, numer lotu, najdrobniejsze szczegóły.

Paweł znowu siedział z przymkniętymi oczami i zdawał dokładną relację ze swoich zajęć w ciągu minionego tygodnia, a Nastia, odsunawszy wystygłą kawę i mizerną kanapkę, robiła notatki na skrawku kartki.

– W Białgorodzie zatrzymałem się w hotelu Junost, przez dwa dni

wyjeżdżałem za miasto, żeby pospacerować. Potem, w poniedziałek wieczorem, się rozchorowałem i cały wtorek przeleżałem w pokoju. W środę poczułem się lepiej i znowu pojechałem za miasto...

– Czy ktoś może potwierdzić, że cały wtorek spędził pan w hotelu?
– przerwała mu Nastia.

To było ważne. Margaritę Dubieniec zabito właśnie we wtorek.

– Recepcjonistka na piętrze i pokojówka. Pokojówka przyszła posprzątać pokój koło jedenastej, gdy mnie zobaczyła, przeprosiła i powiedziała, że przyjdzie później, żeby mi nie przeszkadzać. Wróciła po jakichś dwóch godzinach. Powiedziałem, żeby się nie krępowała i posprzątała. Leżałem, więc się zaniepokoiła i zapytała, czy nie wezwać lekarza. Podziękowałem. Włączyła odkurzacz, a ponieważ bardzo bolała mnie głowa, wyszedłem do holu, w którym dyżurowała recepcjonistka. Kobieta okazała się miłą, poczęstowała mnie herbatą, podczas gdy pokojówka sprzątała pokój...

– Jak pan sądzi, zapamiętały pana?

– Sądzę, że tak. W każdym razie pokojówka. Gdy wczoraj spotkałem ją na korytarzu, zapytała, jak się czuję.

– Rozpoznają pana na zdjęciu?

– Raczej tak.

– Dobrze. – Nastia zdecydowanie wstała. – Niech pan tutaj posiedzi i nigdzie się nie rusza. Muszę zadzwonić. Ale uprzedzam, że moje zaufanie nie jest bezgraniczne. Jeśli się okaże, że mnie pan oszukuje...

Przerwała, szukając odpowiednich słów. Miała wielką ochotę powiedzieć coś w stylu „zgnije pan w więzieniu” albo „nigdy panu tego nie wybaczę”, ale owe zapewnienia brzmiały jak z taniego melodramatu.

– To co? – bardzo poważnie zapytał Paweł.

– Nic – odparła ostro. – Byłoby jednak lepiej, gdyby mnie pan nie oszukiwał.

– Wszystko pani zapomniała – powiedział znowu poważnie.

– A co powinnam pamiętać?

– To, co pani powiedziałem. Że nigdy pani nie skrzywdzę.

Znowu zamknął oczy, skrzyżował ręce na piersiach i odchylił się na oparcie. Przez krótką chwilę Nastia miała wrażenie, że nie wrócili

jeszcze z Moskwy, że podróż z Samary do stolicy nadal trwa i nie wiadomo, gdzie i jak się skończy. Wszystko wyglądało tak samo: jego poza, nieprzenikniona twarz przypominająca maskę, mur niedowierzania i obcości, który wyrósł między nimi.

Anastazja otrząsnęła się i wyszła z kawiarni, żeby poszukać telefonu. Gdy wróciła dwadzieścia minut później, zastała Pawła w tej samej pozycji.

– Ma pan mieszkanie w Moskwie? – zapytała, siadając przy stoliku.

Skinął głową w milczeniu, nie otwierając oczu.

– Musi pan tam zostać i nigdzie nie wychodzić. Załatwiłam, że pańskie lewe dokumenty nie będą nigdzie figurować. Teraz pojedziemy zrobić panu zdjęcie, a potem wróci pan do domu. Nasz człowiek poleci dzisiaj do Biełgorodu i pokaże je pracownikom hotelu, w którym się pan zatrzymał. Jeśli pana rozpoznają i potwierdzą pańskie słowa, może pan uznać, że się udało. Będzie pan tylko musiał stawić się na przesłuchanie, żeby opowiedzieć o swojej dziewczynie, o jej trybie życia i znajomych. To wszystko, potem nikt pana nie ruszy.

– Będę mógł znowu wyjechać?

– Tak się panu pali?

– Na razie nie mogę zostać w Moskwie.

– Chyba się pan nie boi? – zapytała Nastia z kpina.

– Nie chcę, żeby pani trud poszedł na marne – odparował tak samo drwiąco. – Nie po to ciągnęła mnie pani przez pół Rosji z czterema przesiadkami, żeby ktoś mnie kropnął przed upływem miesiąca.

Wyszli z budynku lotniska i pojechali na prospekt Nachimowski, gdzie czekali na nich milicjanci, którzy prowadzili sprawę zabójstwa Margarity Dugieniec.



Grigorij Walentinowicz Czincow ze smutkiem skonstatował, że chyba został bez pracy. Poczytał niemałe wysiłki, żeby uknuć intrygę w interesach ekipy Malkowa, a ta się rozpadła. Widocznie nie obeszło się bez rywali, zawsze znajdują się chętni na smaczny kawałek kryminalnego tortu. Szkoda, bo Malkow dobrze płacił. Czincow

może, rzecz jasna, zaproponować swoje usługi komuś innemu, musi tylko wybrać pewnego i dzianego chlebobawcę. Niedawno zaproponowano mu negocjacje z ważnym biznesmenem, który też chce spróbować sił w walce o prezydencki fotel.

Siedząc w samochodzie, Grigorij Walentinowicz zastanawiał się, jakie ma teraz możliwości i co powinien obiecać nowemu chlebobawcy. Szkoda, że Saulak zerwał się z haczyka. Wykonał zadanie, po czym oznajmił, że chce wyjechać i odpocząć. Co prawda obiecał, że niedługo się zjawi, ale kiedy to będzie? Malkow nie kazał go przyciskać ani irytować, zgodził się na przerwę. Teraz Czincow żałuje tej pochopnej decyzji. Gdyby dali Pawłowi kolejne zadanie, kusząc dużymi pieniędzmi, nigdzie by nie wyjechał, zostałby w Moskwie i regularnie się kontaktował. A teraz szukaj wiatru w polu! Byliśmy głupi, że go wypuściliśmy, ze złością myślał Czincow. Wszystko przez Malkowa, który dmuchał na zimne. Powinien był pilnować swojej córki wariatki. O nią należało się martwić, a nie o Pawła. Teraz już za późno... Niczego nie da się naprawić.

Za kierownicą srebrzystego audi siedział Sierioża, jeden z tamtych dwóch mężczyzn, którzy pojechali po Pawła do Samary. Czincow nie lubił sam prowadzić, wolał drzemać na tylnym siedzeniu podczas jazdy. Nagle samochód gwałtownie zahamował, co wywołało grymas niezadowolenia na twarzy Grigorija Walentinowicza.

- Co się stało? - zapytał gniewnie.
- To ona - powiedział Sierioża, pokazując ręką w prawo.
- Co za ona?
- Tamta kobieta, która przyjechała po Saulaka.
- Gdzie?! - Czincow drgnął.
- O tam, w czarnej kurtce, bez czapki. Teraz wchodzi do sklepu.
- No to podjedź i zaparkuj niedaleko - polecił Czincow.

Zatrzymali się po paru metrach. Szyby w samochodzie były przyciemniane, więc Grigorij Walentinowicz mógł obserwować ulicę bez obawy, że go ktoś zauważy. Odwrócił się i przez tylną szybę zaczął przyglądać się wejściu do sklepu. Krewna Pawła! Bardzo dobrze. Zaprowadzi ich do niego. A nawet jeśli nie, można z nią przecież pogadać. Niewykluczone, że ona też wiele potrafi. Czincow

nie miał właściwie pojęcia, jak pracuje Saulak, ale jedno wiedział na pewno: umie wpływać na ludzi. Grigorij Walentinowicz był wielkim entuzjastą różnych cudów, z zachwytem i z drżącym sercem czytał o Dżunie, o bułgarskiej wieszczce Wandze, o jasnowidzach, którzy na podstawie zdjęcia potrafią stwierdzić, czy człowiek żyje, gdzie teraz jest, a nawet jak się nazywa. Czincow wierzył w nadprzyrodzone rzeczy i był przekonany, że Paweł Saulak jest kimś takim. Cudotwórcą, magiem i czarodziejem. Skoro natura potrafi obdarzyć tak wspaniałym darem, to może jego krewna też nie jest go pozbawiona. W końcu oboje mają te same geny.

Grigorij Walentinowicz lubił hazard, jego zdaniem ruletka stanowiła miniaturowy model życia. Mozolna praca i nudne, żmudne zajęcia nie mają sensu, skoro wystarczy dobrze obstawić i bez żadnego wysiłku, za jednym zamachem zgarnąć cały milion. Trzeba czekać na cud, wtedy na pewno się zdarzy. Taki wykonawca jak Saulak albo ktoś do niego podobny to właśnie ów cud, który pozwoli się wzbogacić, wystarczy tylko podjąć grę z politykami, którzy stracili rozum w pędzie do władzy. To cud porównywalny z wygraną, kiedy wypadnie zero.

Gdy kobieta w czarnej kurtce wyszła ze sklepu, Czincow zlustrował ją wzrokiem. Nie wygląda na milionerkę, o której wspominali Nikołaj i Sierioża. Chodzi pieszo, zamiast zadawać szyku samochodem. Zresztą może to czysty przypadek. Na przykład oddała auto do warsztatu. Albo mieszka gdzieś niedaleko. Albo Paweł nim jeździ. Czincow dotknął ramienia kierowcy.

– Złapię taksówkę, bo nie mogę się spóźnić na spotkanie, a ty nie spuszczaaj oka z kobiety, która tam idzie. Jak ona się nazywa? Zdaje się, że Anastazja Pawłowna Saulak. Baaardzo ciekawa osoba!

Rozdział 14

Roboty zebrało się tyle, że Nastia z przerażeniem myślała: Jeszcze pięć minut i się poddam. Co pół godziny coś się działo: a to wzywał ją Gordiejew i wydawał nowe polecenia, a to wpadali koledzy z informacjami dotyczącymi prowadzonych spraw, w dodatku bez przerwy dzwonił telefon. Nastia nie wiedziała, w co ręce włożyć, nawet nie pamiętała, kiedy ostatnio coś jadła. Jakby tego było mało, pod koniec dnia zjawił się goniec z ministerstwa i rzucił jej na biurko opasłe teczkę z materiałami, o które prosiła generała Konowałowa. Okazało się, że w całym tym zamieszaniu zapomniała o tajemniczym kacie!

Do tej pory nie udało się ujawnić pochodzenia trucizny, którą zażył Jurcew. Za to analiza drogi życiowej siwego mężczyzny zabitego w Kryłatskim, Konstantina Fiodorowicza Riewienki, dała bardzo dziwne, ale po trosze spodziewane rezultaty. Riewienko był zameldowany w Moskwie dopiero od dziesięciu lat, wcześniej mieszkał w Estonii. Próby ustalenia, czym się zajmował przed przeprowadzką do Moskwy i czy ma krewnych w Estonii, natrafiły na głuchy opór. Niezależne nadbałtyckie państwo nie chciało spełnić prośby Moskwy i odmawiało prowadzenia rozmów telefonicznych po rosyjsku. Z kolei dokładne przeszukanie mieszkania (w tym miejscu zaczęły się niespodzianki) nie dało nic prócz paczuszki tabletek. Takich samych. A raczej na pewno takich samych. W każdym razie ekspertyza wykazała, że skład tabletek, które skierowano do badania w sprawie Jurcewa i Riewienki, jest identyczny, nie ma też żadnych wątpliwości, że zrobiono je w tym samym czasie i w tych samych warunkach technologicznych. No i dobrze, z ulgą westchnęła Nastia, coś się przynajmniej wyjaśniło. Samobójstwa

Jurcewa i Mchitarowa można połączyć, dorzucając tam ciała Riewienki i Asaturiana. Dobrane towarzystwo!

Funkcjonariusz wydziału kryminalnego, który wrócił z Biełgorodu, posępnie oznajmił, że pracownicy hotelu Junost bez wahania rozpoznali mężczyznę na zdjęciu i potwierdzili, że cały wtorek (tego dnia zabito Margaritę Dugieniec) spędził w swoim pokoju.

– Co za pech! – burknął wywiadowca z irytacją. – Mieliśmy świetną hipotezę. Karany przestępca wychodzi na wolność i mści się na przyjaciółce, która nie dochowała mu wierności. I koniec sprawy.

– Daj spokój – powiedziała Nastia pokrzepiająco. – Czyżbyście nie mieli innych pomysłów?

– Mamy, ale jest z nimi huk roboty. Na przykład zabójstwo na tle rabunkowym. Kto prócz ofiary może wiedzieć, czy coś zginęło? Mieszkała sama, nie zapraszała przyjaciółek, wołała je odwiedzać. Twój Saulak na nic się nie zda, bo skoro nie było go dwa lata, skąd może wiedzieć, czy Dugieniec nie miała jakichś cennych rzeczy. Jest jeszcze jedna hipoteza, o którą aż się prosi. Dugieniec była starszym kontrolerem w banku, prowadziła konta oszczędnościowe, więc mogła ujawniać tajemnice wkładów. Dlatego została sprzątnięta. Zrobili to ci, dla których nie chciała pracować, albo ci, których tajemnice sprzedawała. Ale wnioskując z umeblowania mieszkania i ze zgromadzonych rzeczy, nie zarabiała dużo na boku. Ech, do diabła, szkoda, że Saulak się wywinął!

Nastia go rozumiała. A jednocześnie trudno jej było ukryć radość. Bardzo nie chciała, by się okazało, że Paweł ją oszukał. Nie dlatego że czuła do niego sympatię i chciała go uchronić przed śledztwem i sądem. Wręcz przeciwnie, Saulak budził w niej niepokój, wyczuwała otaczającą go aurę niebezpieczeństwa. Był jej obcy, chwilami wydawał się istotą z obcej planety. Nastia nie chciała jednak poczuć się oszukana, w dodatku akurat przez niego. Może dlatego że nie miała ochoty mu wierzyć, lecz z jakiegoś powodu wierzyła.

– Musi pan zostać w Moskwie jeszcze ze dwa, trzy dni, na wypadek gdyby trzeba było coś jeszcze wyjaśnić – powiedziała.

– Potem mogę wyjechać?

– Jeśli nic się nie wydarzy, to chyba tak.

Spotkali się na prospekcie Lenina. Nastia musiała przedtem wpaść do ministerstwa na Żytnią, bo sekretarka Konowałowa zadzwoniła z informacją, że czeka na nią paczka. Nastia ją zabrała, ale nie otworzyła, bo była już spóźniona na spotkanie z Saulakiem.

– Podrzucić panią? – zapytał, pokazując brodą lśniącego saaba.

– Nie trzeba, pojedę metrem. – Pokręciła głową. Myśl, że znajdzie się sam na sam z Pawłem w niedużej, zamkniętej przestrzeni, we wnętrzu auta budziła niewytłumaczalną obawę. Boże, czyżbym aż tak się go bała? Tego jeszcze brakowało, pomyślała z niezadowoleniem.

Nagle Paweł chwycił ją za rękę i mocno ścisnął nadgarstek.

– Szybko do samochodu – rzucił cicho.

Nastia chciała się obejrzeć, ale z jego miny wyczytała, że lepiej nie tracić czasu. Zanurkowała do ciepłego, luksusowego saaba, który wciąż jeszcze pachniał nowością. Paweł błyskawicznie wskoczył za kierownicę i ruszył z piskiem opon. Była godzina szczytu, więc Nastia nie miała pojęcia, jak Saulak zamierza przed kimś uciec, poruszając się zatłoczonymi arteriami. Widocznie doskonale znał jednak Moskwę, bo pędził wąskimi zaułkami, lawirował między domami i przecinał podwórza. Nastia nie znosiła szybkiej jazdy, przez całe życie panicznie się bała, że ulegnie wypadkowi, więc siedziała skulona, zacisnąwszy powieki i wciągnąwszy głowę w ramiona. Wreszcie samochód zaczął jechać płynniej, Paweł zwolnił i Nastia doszła do wniosku, że może otworzyć oczy i odetchnąć.

– Co to było? – zapytała, oglądając się i usiłując odgadnąć, gdzie są. Nie знаła tego miejsca, ale wnioskując z licznych dymiących kominów, była to jakaś przemysłowa dzielnica na obrzeżach przy MKAD-zie^[20].

– Czyżby pani nie zauważyła? Nasi przyjaciele z Samary. Zdaje się, że nazywają się Nikołaj i Siergiej. Nie wiem jak pani, ale ja nie zamierzam się z nimi spotkać. Chociaż niewykluczone – uśmiechnął się nieprzyjemnie – że to pani ściągnęła mi ich na głowę.

– Po co? – Nastia obojętnie wzruszyła ramionami. Niedawny strach wywołany szaleńczą jazdą jeszcze do końca nie ustąpił, więc nawet nie pomyślała, że mogłaby się obrazić za tę uwagę. – Przecież znam pański adres. Nie potrzebuję komplikacji.

– To prawda. Ale kieruje się pani szczególną logiką, wszystkiego można się po pani spodziewać. Może do tej pory ukrywa pani przed nimi, że pracuje w milicji, i wciąż odgrywa aferzystkę. W tej sytuacji nie może mieć pani mojego adresu, bo przecież przed wszystkimi skutecznie się ukrywam.

– Zapomniał pan, że aferzystka nosi pańskie nazwisko i ukrywa się pan przed nią tak samo jak przed całą resztą. Proszę powściągnąć wodze wyobraźni.

– Oni nie mogli mnie namierzyć – powtórzył Paweł z uporem.

– I co dalej?

– To znaczy, że namierzyli panią. A przecież uprzedzałem, że posługiwanie się moim nazwiskiem może być niebezpieczne. Chyba że jest pani odważna i niczego się nie boi?

Nastia zerknęła na niego zdziwiona, po czym parsknęła śmiechem.

– Z czego się pani cieszy? – zapytał Paweł z niezadowoleniem. – Nie widzę w tym nic śmiesznego.

– To dlatego że jeszcze pan nie wie, czym jest prawdziwy strach...

∴

– To dlatego że jeszcze pan nie wie, czym jest prawdziwy strach – odparła.

Saulak drgnął. Już drugi raz słyszał z jej ust tę zagadkową opinię. Pierwszy raz w Uralsku, gdy byli w sklepie. Wtedy chciał zapytać, co Nastia ma na myśli, ale akurat nadeszła ich kolej przy kasie i rozmowa się urwała. A teraz znowu... Ostatnio często wspominał te słowa i żałował, że nie zapytał.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– Człowiek, który kiedyś naprawdę się bał, potrafi ze wszystkiego się cieszyć, dopóki jeszcze żyje. Udało nam się wymknąć pościgowi i uniknąć wypadku, więc się cieszę.

– Bardzo się pani przestraszyła?

– Owszem – przyznała.

Sięgnęła do torby po papierosy, Paweł zaś wbił wzrok w ciemność za szybą. Czyżby Anastazja miała rację? Może to prawda, że ani razu, nigdy w życiu nie czuł prawdziwego, potwornego,

paraliżującego strachu?

Chyba tak właśnie było. Przez długi czas żył z przeświadczeniem, że nic złego nie może mu się przytrafić. Podczas zabaw koledzy wciąż się przewracali, nabijali sobie guzy, łamali ręce albo nogi, on jednak wychodził bez szwanku. Mama mówiła, że strzeże go Anioł Stróż. Właściwie po raz pierwszy powiedziała to matka jego szkolnego kolegi Ernő, zagorzała katoliczka, mama Pawła tylko potem powtarzała. Nawet gdy trafił do szpitala, Anioł Stróż nie pozwolił mu, żeby stracił rozum i stał się rośliną, przysłał Bułatnikowa, żeby go ocalił. Ale ta kobieta siedząca obok niego w samochodzie jest chyba zupełnie inna. Milczy, pali papierosa, widać, że drżą jej palce.

Czyżby ci dranie na nią polowali? Paweł wolałby wierzyć, że Nastia sama jest sobie winna, popełniła błąd, wpisując jego nazwisko do fałszywego dowodu. Ale tak naprawdę to nie jej wina. Przecież nie wiedziała... Minajew powinien był ją uprzedzić, ale tego nie zrobił. Zapomniał? Nie pomyślał? Nie przewidział? Jednakże ostatecznie to on, Paweł Saulak, jest winien. Gdyby przez te lata nie robił tego, co robił, nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby polować na kobietę noszącą jego nazwisko. Musi coś dla niej zrobić. Uratowała go, więc teraz jego kolej. Rity nie potrafił ocalić... Czyżby ponosił winę i za jej śmierć? Bzdura, zachnął się, wykluczone. Głupi przypadek. Możliwe, że była to próba rabunku albo gwałtu. Nie, tylko nie przez niego. Skoro go nie namierzyli, to znaczy, że Rity też nie mogli namierzyć. A zresztą kto mógłby ją zabić z powodu Pawła? Nikt. Zawsze dbała, żeby ludzie, z którymi nawiązywała kontakt podczas zadania, nie mogli sobie przypomnieć jej wyglądu. Paweł stale z nią jeździł i starannie pilnował, żeby nie było żadnych zainteresowanych obserwatorów.

– Co pani teraz zamierza? – zapytał Nastię.

– Pojechać do domu.

Jej głos był beznamiętny i spokojny, ale Paweł wychwycił w nim lekkie napięcie.

– Nie boi się pani?

– Boję, ale co to zmienia? Przecież nie mogę siedzieć tutaj wiecznie. Tak czy inaczej muszę wrócić do domu, a jutro pójść do pracy.

– Odwiozę panią.

– To miło z pańskiej strony. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy i jak się stąd wydostać.

– Mieszka pani sama?

– W tej chwili tak.

– A więc nikt na panią nie czeka?

– Nie. Chce pan zapytać, czy w razie kłopotów ktoś mi pomoże?

– No... Mniej więcej.

– Nie. Mąż przyjedzie dopiero za parę dni. Jest u rodziców.

– Więc może zawiozę panią gdzie indziej. Na przykład do przyjaciół.

– Nie mam przyjaciół, u których mogłabym przenocować.

– Więc do rodziców. Ma pani rodziców?

– Mam, ale nie chcę ich denerwować. Od razu się domyślą, że coś się stało.

– No to zabiorę panią do siebie, dobrze? Do tamtego mieszkania, o którym nikt nie wie.

– A jutro rano odwiezie mnie pan do pracy? Pańska propozycja jest zupełnie nierealna.

– Dlaczego nierealna?

– Dlatego że wolę spać we własnym łóżku, odbierać telefony i nie tłumaczyć się mężowi z podejrzanych noclegów u nieznanomych mężczyzn.

– Czyżby był zazdrosny?

– Jest normalny, ale wszystko ma swoje granice. Nie zamierzam ich naruszać. Jeśli powiem mężowi, dlaczego nie nocuję w domu, oszaleje z niepokoju i wzburzenia.

– W takim razie ma pani tylko jedno wyjście – powiedział Paweł. – Odwiozę panią do domu i zostanę u pani. To chyba nic nadzwyczajnego, w końcu nocowaliśmy już razem.

Anastazja odwróciła się i popatrzyła nań uważnie.

– Mówi pan serio?

– Jak najbardziej. Jest pani przecież rozsądna, więc chyba rozumie, że to jedyne wyjście. Nie może pani zostać sama.

Nastia znowu umilkła, zapaliła drugiego papierosa.

– Wie pan, na czym polega różnica między nami? – zapytała nagle.

– Poza tym, rzecz jasna, że pan jest mężczyzną, a ja kobietą.

– Na czym?

– Pan jest praktykiem myślącym taktycznie, a ja strategiem i analitykiem. Po co uciekał pan z prospektu Lenina? To było głupie i nierozważne. W efekcie siedzimy tutaj i próbujemy wymyślić, jak wybrnąć z tej sytuacji. Pańskim zadaniem była ucieczka przed prześladowcami i świetnie pan sobie z tym poradził. Ale ja mam zupełnie inne zadania.

– Niby jakie?

– Ja bym nie uciekała. Ucieczka powoduje mnóstwo komplikacji. No dobrze, uciekliśmy. I co dalej? Skazuje mnie pan na to, że będę musiała się ukrywać, trząść ze strachu, uciekać. Nie myśli pan konstruktywnie i nie stawia przed sobą strategicznych celów.

– A pani stawia? – Uśmiechnął się.

– Oczywiście. Gdyby mi pan powiedział, że zauważył naszych znajomych, wymyśliłabym, jak wywieść ich w pole. Nasłabym na nich swoich kolegów, którzy by ich zatrzymali, a potem skłonili do mówienia. Sprowokowałabym facetów do działania, które ściągnęłoby im na kark milicję. Ale najpierw sami byśmy ich poobserwowali i dowiedzieli się, dla kogo pracują. A teraz? My jesteśmy tutaj, a oni nie wiadomo gdzie. Najadłam się strachu, ale nie dostałam odpowiedzi na żadne pytanie. Same straty, żadnego plusa.

– Przepraszam – powiedział oschle. – Myślałem przede wszystkim o pani bezpieczeństwie, a nie o strategicznych celach. Nadal nalegam, żeby nie była pani sama, przynajmniej dzisiaj.

Nastia nie odpowiedziała, więc Paweł uznał jej milczenie za zgodę.

– Gdzie pani mieszka?

– Przy szosie Szczołkowskiej.

Na miejsce dotarli dość szybko, na MKAD-zie nie było korków. Aż do samego domu już się nie odezwali.

⋮

– Niech pan wejdzie – ze znużeniem powiedziała Nastia, otwierając drzwi do mieszkania. – Chociaż nie jestem pewna, czy postępuję słusznie. Byłoby chyba lepiej, gdyby wrócił pan do siebie. Dziękuję za odwiezienie. Teraz już nic mi się nie stanie.

Paweł krytycznym wzrokiem zlustrował drzwi.

– Nie ma nawet sztab – zauważył. – Zamek też lichutki. Muszę powiedzieć, że jest pani lekkomyślna.

– Tutaj nie ma czego ukraść.

– No jak to, a co z panią? Nie boi się pani o siebie?

– Boję, ale szkoda mi pieniędzy na drzwi. To nie ma sensu. Ktoś może mnie przecież zaatakować na ulicy, jeśli oczywiście zechce. Niech się pan rozbiera, skoro pan przyszedł.

Każda minuta spędzona z Pawłem wywoływała niemal fizyczny ból. Wielka szkoda, że Loszki nie ma w Moskwie! Chociaż nie, to dobrze, że jest u rodziców. Aleksiej znał Nastię na wylot, w jednej chwili by się domyślił, że coś jest nie tak.

Paweł rozebrał się, wszedł do pokoju i od razu zaczął studiować widok z okna, a Nastia zajęła się kolacją. Co by naprędce przygotować? Wyjęła z zamrażarki udka z kurczaka i włożyła je do mikrofalówki, żeby się rozmroziły. Z dwóch ogórków i trzech pomidorów można zrobić całkiem niezłą sałatkę, a jeśli do garnka z kurczakiem wrzucić grubo pokrojone ziemniaki i wlać trochę śmietany, za piętnaście minut będzie danie przypominające duszoną pieczeń. Niespodziewanie się okazało, że w chlebaku, który już od trzech dni był pusty, nic się nie pojawiło. Trudno, uznała Nastia, obejdziemy się bez chleba.

– Halo! – zawołała. – Zasnął pan tam?

– Bynajmniej – odparł Paweł. – Rozkoszuję się widokiem luksusowego auta marki Audi, które właśnie podjechało pod dom.

– Ma pan słabość do zagranicznych wozów? – zapytała z kpiną.

– Nie, raczej do pasażerów.

Nastia rzuciła nóż, którym kroić włoszczyznę do sałatki, i podbiegła do okna w kuchni. Z ósmego piętra, na dodatek w ciemności, niczego nie wypatrzyła.

– Co pan tam może widzieć? Jest przecież ciemno.

– Nieopatrznie zatrzymali się pod latarnią i nawet wysiedli na chwilę. Potem się zreflektowali i przestawili samochód. Więc proszę przyjąć moje gratulacje, znają już pani adres.

– Niekoniecznie – słabo zaoponowała Nastia. – Mogli wysledzić pański samochód.

Stała tyłem do drzwi, więc drgnęła, gdy tuż obok usłyszała głos Pawła. Mężczyzna potrafił poruszać się bezszelestnie.

– Niech się pani nie łudzi. – Uśmiechnął się. – Bez pomocy milicji nie da się odszukać samochodu w olbrzymiej Moskwie w ciągu dwóch godzin. Nawet z pomocą stróżów prawa nie zawsze się to udaje.

Nastia odwróciła się od okna i znowu zabrała do sałatki. Paweł oparł się plecami o ścianę i ją obserwował.

– Kiepsko pani idzie – zauważył w końcu. – Denerwuje się pani?

– Nie mam wprawy – odparła krótko, wsypując posiekaną pietruszkę i koperek do miski z pomidorami i ogórkami.

– Pewnie długo mieszkała pani z troskliwą mamą?

– Przeciwnie, długo mieszkałam sama, przywykłam do prostych dań.

– A co na to mąż? Nie gotuje mu pani?

– To on przeważnie gotuje. Niech pan posłucha, coś się tutaj nie zgadza. Oni znają mój adres, to znaczy, że namierzili mnie nie dzisiaj, tylko wcześniej. Skoro tak, to musieli odkryć, gdzie pracuję, i się zorientować, że żadna ze mnie przestępczyni i aferzystka. A zatem nie przedstawiam dla nich żadnej wartości. Z tego wniosek, że to pan jest im potrzebny, nie ja. Depczą mi po piętach, bo czekają, aż się spotkamy. Nie sądzi pan?

– To możliwe.

– W takim razie nie musi mnie pan ochraniać.

– Chce pani, żebym sobie poszedł?

Nastia podniosła głowę i na niego spojrzała, ale Paweł wciąż unikał jej wzroku.

– Owszem – powiedziała spokojnie. – Co oczywiście nie znaczy, że pokazuję panu drzwi. Zjemy kolację, a potem wróci pan do domu.

Paweł usiadł na taborecie, krzyżując ręce na piersiach.

– Jest pani niekonsekwentna. Najpierw mówi, że żal pani wysiłku, który włożyła, żeby mnie wywieźć z Samary, a potem oddaje na pastwę tych dwóch łotrów. Gdy opuszczę pani dom, trafię prosto w ich łapy. Czy to pani nie martwi?

– Ucieczka jest pańskim żywiołem. Dzisiaj się o tym przekonałam.

– A nie boi się pani, że się pomyliła? A nuż się okaże, że gdy

odjadę, oni tutaj zostaną? Niech pani sobie przypomni Uralsk. Zagroziła pani, że pójdzie na spacer, a ja zostanę sam bez broni. Wtedy chroniła mnie pani obecność. Póki jestem tutaj, nie ośmielią się wejść do środka. Ale zaraz po moim odjeździe staną w drzwiach. I co pani zrobi?

Nastia skończyła doprawiać sałatkę i usiadła przy stole naprzeciwko Pawła. Ma rację, myślała. Nie do końca rozumiem, co się tutaj dzieje, ale czuję, że Paweł ma rację. Dlaczego nie próbują się wdrzeć, gdy on jest u mnie? Nie mam pojęcia, ale Paweł chyba wie, co mówi. Muszę się zastanowić. Jeżeli chcą dopaść jego, nie mnie, to wyrzucając go na ulicę, postępuję podle. To tak jakbym kierowała zwierzynę wprost na myśliwego... Paweł ma rację, że jestem niekonsekwentna. Ale Bóg jeden wie, jak bardzo nie chcę zostać z nim sama do rana! Jego obecność mnie drażni, jak zgrzyt metalu po szkłe. Coś podobnego, spędziłam z nim trzy dni, zanim dotarliśmy do Moskwy, i nic takiego nie czułam. Pewnie dlatego że miałam zadanie, które musiałam wykonać niezależnie od własnych pragnień, emocji i subiektywnych odczuć. Musiałam i koniec. Czy mi się podobało, czy nie. A teraz nikt mi nie każe tolerować jego obecności, uległam jego argumentom, pozwoliłam, by mnie przekonał, i zadręczam się, usiłując odpowiedzieć sobie na pytanie, czy nie popełniłam błędu. Stąd emocje.

– Dobrze – powiedziała oschle. – Może pan zostać. Tylko będzie pan musiał spać na podłodze, nie mam łóżka polowego.

– Niech się pani nie martwi, posiedzę w kuchni.

– I nie będzie pan spał?

– Mogę nie spać. To nie jest konieczne. Zresztą mogę spać na siedząco w fotelu albo na krześle. Proszę się nie przejmować.

Rozległ się melodyjny dźwięk: mikrofalówka dyskretnie oznajmiła, że pieczeń gotowa. Nastia niechętnie wstała, sięgając po talerze i sztućce. Straciła apetyt, zapach kurczaka duszonego w śmietanie budził w niej obrzydzenie, ale wiedziała, że musi coś zjeść, inaczej zemdleje z osłabienia. Wpychając w siebie jedzenie, próbowała się odprężyć i myśleć o pracy, mężu, o czymkolwiek, byle nie o siedzącym naprzeciwko mężczyźnie. Są ludzie, do nich zaliczał się przede wszystkim jej mąż Aleksiej, w których towarzystwie Nastia

mogła milczeć, nie odczuwając przy tym dyskomfortu. W obecności Pawła czuła się nieswojo i niezręcznie, nie potrafiła się rozluźnić. Podobnie czuje się człowiek w za ciasnym ubraniu, gdy nie może rozpiąć guzików, poluzować paska i usiąść w fotelu, wyciągnąwszy nogi.

Saulak też jadł bez apetytu, wbijając posępny wzrok w talerz. Usiłował być jednak uprzejmy.

– Dziękuję, wszystko było bardzo smaczne.

Nastia w milczeniu zebrała talerze, włożyła je do zlewu i zrobiła herbatę. Paweł podszedł do okna.

– No i co tam? – zapytała bez zainteresowania.

– Samochód wciąż stoi.

– A pasażerowie?

– Nie widać. Może siedzą w środku, a może krążą wokół domu albo czekają na klatce schodowej. Ale to dobry znak.

– Dlaczego? – zdziwiła się.

– Skoro są tutaj, to znaczy, że jeszcze niczego nie podłożyli pod mojego saaba. Gdyby się wynieśli, pomyślałbym, że czeka mnie niespodzianka w postaci bomby.

Wypili herbatę, w ogóle się do siebie nie odzywając. Napięcie rosło i Nastia ledwo potrafiła się powstrzymać, żeby nie stłuc paru talerzy. Nie miała ochoty na pogawędkę, więc zaczęła się zastanawiać, co by tu zrobić, żeby znaleźć się w innym pomieszczeniu niż Paweł. On mógłby siedzieć w pokoju, niech nawet włączy sobie telewizor, a ona ulokuje się w kuchni i czymś się zajmie, popracuje albo poczyta.

– Pójdę już – raptem powiedział Saulak, wstając. – Nie będę się naprzykrzać. Widzę, że nie może pani znaleźć sobie miejsca.

Nastia drgnęła i podniosła głowę.

– Dokąd się pan wybiera?

– Wszystko jedno. Do domu albo gdziekolwiek. Ma pani rację, nie powinienem tutaj zostać.

– Dlaczego się pan rozmyślił?

– Bo z trudem znosi pani moją obecność. Nie potrafi pani tego nawet ukryć. Przepraszam. To był zły pomysł.

Nastia poczuła olbrzymią ulgę, ale już chwilę później zrobiło jej się wstyd. Co ona wyprawia? Bardzo często miała do czynienia

z niemiłymi ludźmi, ale zawsze udawało jej się oddzielić rzeczy ważne od nieistotnych, emocje od interesów. Nie minął miesiąc, odkąd ocaliła Pawła przed tymi dwoma typami, używając całej swojej wyobraźni i pomysłowości, bo uznała to za konieczne i słuszne. A teraz? Paweł znalazł się w podobnej sytuacji, ona jednak odmawia mu pomocy. Dlaczego? Tylko dlatego że teraz nikt jej nie kazał, by mu pomogła?

– Niech pan zostanie – powiedziała, starając się, by jej słowa zabrzmiały życzliwie i łagodnie. – I się na mnie nie gniewa. Nie należę do rozmownych osób, wtedy, podczas naszego pierwszego spotkania, tylko udawałam gadułę. Więc proszę nie brać sobie do serca mojego milczenia. Szczerze mówiąc, poczułabym się lepiej, gdyby to i owo mi pan wyjaśnił. Kim są ci ludzie, którzy kręcili się koło nas w Samarze i których zobaczył pan dzisiaj? Nie wierzę, że ich pan nie zna. Dlaczego pana obserwują? Czego chcą? Jestem pewna, że doskonale zna pan odpowiedzi na moje pytania, ale nic pan nie mówi i to mnie niepokoi.

Nastia zrobiła pół kroku – tyle potrzebowała, by to powiedzieć. Kolejne pół robi w myślach. Doświadczony agent nie może się zachowywać tak jak Saulak. Paweł nie powinien był uciekać, nawet nie próbując się dowiedzieć, kim są jego prześladowcy. Zawodowiec wymyśliłby jakąś sztuczkę, żeby ich rozszyfrować. Ale Paweł tego nie zrobił. To znaczy, że nie chodzi o żadne tajemnice, tylko o chęć uniknięcia kontaktu. To pierwsza rzecz, owe pół kroku, które Nastia Kamieńska zrobiła, by tak rzec, z podniesioną przyłbicą. Druga rzecz podobała jej się znacznie mniej. Paweł wie nie tylko to, kim są ci ludzie i skąd się wzięli. Nie jest impulsywnym i niedoświadczonym głupcem, który na widok podejrzanych typów bierze nogi za pas, żeby ocalić własną skórę. Spędził trzy dni z Anastazją w drodze z Samary do Moskwy, spotkał się z nią po zagadkowej śmierci Rity, sam zwrócił się do niej o pomoc, innymi słowy, poznał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że ona nigdy nie będzie uciekać na złamanie karku przed nieznaną sytuacją, raczej pójdzie do samego piekła, gdzie będzie rozglądać się z ciekawością, zastanawiając się, jak je zamienić w chłodnię. Podczas podróży tak właśnie się zachowywała, co rusz prowokując prześladowców i przyglądając się, jak zareagują,

żeby na tej podstawie wyciągnąć wnioski. A gdy w barze Paweł musiał wyjść do toalety, nie posłużyła się żadną sprytną sztuczką, tylko podeszła do prześladowców i bezczelnie ich zagadnęła, mówiąc, że depczą Pawłowi po piętach od samej kolonii karnej. To, że Paweł niemal siłą wepchnął Nastię do samochodu, by Nikołaj i jego młody wspólnik jej nie dopadli, wiele mówiło: nie tylko doskonale wiedział, kim są, nie chciał też, żeby Nastia się dowiedziała. Nie chciał, żeby zrobiła to, co potem szczegółowo opisała, wyrzucając mu, że nie jest dalekowzroczny i nie pozwolił jej rozwiązać strategicznego zadania. Nastia zrozumiała to jeszcze w samochodzie, gdy poirytowana wytykała Pawłowi, że postąpił pochopnie i w sposób nieprzemyślany. Mówiąc to, obserwowała go uważnie. Paweł Saulak nie był mężczyzną, który przełknąłby bez słowa zarzuty wysuwane przez kobietę, gdy owe zarzuty dotyczyły jego profesji, a nie na przykład nieumytych naczyń. To, że w milczeniu jej wysłuchał, nie zaprzeczył, nie przytoczył żadnych argumentów na swoją obronę, a nawet ją przeprosił, świadczy tylko o jednym: jest gotów wiele znieść, byleby tylko Nastia nigdy się nie dowiedziała, kim są ich prześladowcy. Gotów jest udawać, że ją przed nimi chroni. Teraz Nastia była absolutnie pewna, że tak naprawdę Paweł pilnował, by Nikołaj i Siergiej się z nią nie skontaktowali.

Zastanawiała się, jak Saulak zareaguje na jej słowa. Nie wierzyła, że powie prawdę, ale była ciekawa, jakich użyje wykrętów. W końcu ona wyświadcza mu przysługę, pozwalając zostać u siebie na noc, więc on nie może po chamsku powiedzieć, że to nie jej sprawa. Nastia z góry wiedziała, że usłyszy wymijające kłamstwo, ale wierzyła, że jego treść odsłoni nieco osobowość Pawła. Sama mu przecież powiedziała, że nie należy dociekać, czy ktoś powiedział prawdę, tylko się zastanowić, dlaczego w danej sytuacji uznał za konieczne i słuszne powiedzieć akurat to, co powiedział, dopiero wtedy prawda wyjdzie na jaw.

– No cóż, nie chciałbym wdawać się w szczegóły na temat pracy pod kierownictwem Bułatnikowa – odparł Paweł, nadal nie patrząc na Nastię. – Na pewno zdaje sobie pani sprawę, że generał lejtnant, szef resortu w tak potężnej instytucji, miał do czynienia z bardzo delikatnymi i drażliwymi sytuacjami, więc nawet teraz, ponad dwa

lata po jego śmierci uważam, że nie mogę nagłaśniać tego, co wiem. Chodzi o cudze tajemnice, liczę, że pani to zrozumie.

Tak, skomentowała w myślach Nastia, wykręty już mamy. Brakuje jeszcze kłamstwa.

– Wcale nie żądam, żeby ujawnił pan swoje tajemnice zawodowe. Interesują mnie jedynie ci dwaj, którzy z godnym pozazdroszczenia uporem usiłują się z panem spotkać. Wie pan, co mnie najbardziej intryguje? Że została tylko połowa naszych prześladowców. „Futrzana czapka” dała nam spokój, podobnie jak mój adorator. Obaj już się za panem nie uganiają. Ale ci dwaj osobnicy są nad podziw wytrwali. Nie wierzę, że nie potrafi pan tego wytłumaczyć. Jeśli wyjaśnienie istnieje, ale pan nie chce mi go zdradzić, nasuwa się wniosek, że próbuje mnie pan oszukać i jest ze mną nieszczerzy. Zwrócił się pan do mnie, gdy potrzebował pomocy, żeby odszukać swoją dziewczynę, i potem, gdy chciał pan udowodnić alibi, nie nagłaśniając przy tym pikantnych szczegółów współpracy z generałem Minajewem. Byłam panu potrzebna, teraz też mnie pan potrzebuje, traktuje jak rzecz, której nie trzeba niczego tłumaczyć, bo rzecz to rzecz, ma sprawnie funkcjonować i nie zadawać pytań.

– Sądzę, że to czysty przypadek – odparł Paweł. – W Jekaterynburgu wszyscy czterej nas zgubili, a w Moskwie znaleźli nas tylko ci dwaj. Moim zdaniem problem nie polega na tym, że tamci przestali się mną interesować, a Nikołaj i jego przyjaciel Sierioża są bardziej nieustępliwi. Wszyscy się mną interesują, tylko oni mieli więcej szczęścia. Już mówiłem, że dobrze się zaszyłem, właśnie po to wyjechałem z Moskwy. Gdybym teraz nie wrócił z powodu Rity, toby mnie nie znaleźli.

– Chyba pan zapomina – łagodnie przypomniała Nastia – że znaleźli nie pana, tylko mnie. Pana dopiero potem. Skoro znają mój adres, to znaczy, że namierzyli mnie przed naszym dzisiejszym spotkaniem. Ciekawe, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby nie było pana teraz w Moskwie.

Twarz mu drgnęła i Nastia się domyśliła, że dotknęła nieprzyjemnej prawdy. Na początek wystarczy, uznała. Muszę przyhamować, niech Paweł złapie oddech. Nic i nikt cię nie zmieni, Nastazjo. Pół godziny temu byłaś gotowa krzyczeć ze złości i oddać

wszystko, co masz, byleby tylko Saulak się stąd wyniósł. A teraz podjęłaś grę i złość ustąpiła jak ręką odjął. Twoje zamiłowanie do rozwiązywania zadań kiedyś cię zgubi.

– Zresztą słusznie się mówi, że historia nie zna trybu przypuszczającego. Dlatego nie ma sensu rozważać, co by było, gdyby... Chce pan jeszcze herbaty?

– Nie, dziękuję. Chciałem powiedzieć...

– Tak?

– Nie musi mnie pani zabawiać rozmową. Proszę się zachowywać tak jak zwykle. Niech pani nie zwraca na mnie uwagi.

Ach, cóż za delikatność, odparła Nastia w myślach. Widocznie nie chcesz ze mną rozmawiać. Może się boisz? Nie spodobał ci się, Pawle Dmitrijewiczu, kierunek, w którym potoczyła się rozmowa? Dobrze, możemy pomilczeć.

Szybko umyła naczynia i poszła do pokoju, zostawiając Pawła w kuchni. Wreszcie była sama, mogła więc otworzyć kopertę, którą zostawił dla niej generał Konowałow. W środku było zaledwie parę kartek: kserokopie dokumentów, z których jednoznacznie wynikało, że tajemniczy kat wykonał wyrok na jeszcze jednym przestępcy, który pod koniec 1992 roku zabił rodzinę deputowanego znanego ze swoich demokratycznych poglądów. Ofiar było pięć – deputowany, jego żona, dwoje dzieci w wieku trzech i ośmiu lat oraz sędziwa matka deputowanego, która przyjechała go odwiedzić. Wszystkie ofiary zastrzelono z pistoletu, który zabójca zostawił na piersi deputowanego, kierując lufę w stronę jego podbródka. Kat, żegnając się ze swoją kolejną ofiarą, zadbał o to, żeby ułożyć pistolet na ciele w ten sam sposób co zabójca ponad trzy lata temu.

Do zdarzenia nie doszło w żadnym z obwodów, w których odnotowano dwa poprzednie przypadki, więc należało zwrócić się o dokumenty kadrowe z kolejnego regionu. Teraz przyjęta hipoteza wydała się Nasti niezbyt prawdopodobna. Można było założyć, że znalazł się milicjant, który podczas dochodzenia w sprawach okrutnych zabójstw w dwóch regionach pracował i tam, i tam. Ale w trzech? To chyba za dużo. W grę wchodzi raczej wyciek informacji operacyjnych z komend trzech regionów. Dane takie trafiają do kata, który postanawia na własną rękę wymierzyć sprawiedliwość. Może

pracują tam jego przyjaciele. A może zwyczajnie kupuje potrzebne informacje. Dzisiaj łatwo przekupić milicjanta. Niedawno przeprowadzono w Moskwie eksperyment, który wykazał, że spośród siedmiu patroli tylko jeden podczas dyżuru zajmował się tym, czym powinien, reszta od razu ruszyła do prywatnych handlarzy po haracz i zwoziła rzeczy do mieszkania, które w tym celu wynajęto.

Nastia siedziała na kanapie z podwiniętymi nogami i rozłożywszy dokumenty, pograżyła się w głębokiej zadumie, zapominając o czasie. W mieszkaniu było cicho, tak cicho, jakby nikogo w nim nie było, więc nic nie przeszkadzało jej snuć rozważań. Kiedy się ocknęła, było już grubo po północy. Szybko włożyła kartki do koperty, zerwała się z kanapy i poszła do kuchni. Paweł siedział w swojej ulubionej pozycji: odchylony do tyłu i oparty o ścianę, z rękami założonymi na piersiach i zamkniętymi oczami. Twarz miał nieruchomą, gałki oczne pod cienkimi powiekami się nie poruszały, więc Nastia pomyślała, że śpi.

– Mogę pościelić panu na podłodze – powiedziała szeptem.

Saulak natychmiast otworzył oczy.

– Nie trzeba, już mówiłem, że mogę spać na siedząco.

– Lubi pan robić z siebie ofiarę? – zapytała Nastia z kpina. – Nadal będzie pan odgrywał supermena, który może nie jeść, nie pić i nie spać? Też mi cyborg.

– Niech pani robi, jak uważa – odparł Paweł spokojnie. – Jeżeli pani woli, żebym leżał na podłodze koło kanapy, nie mam nic przeciwko temu. Jeżeli denerwuje panią moja obecność, to posiedzę w kuchni. Doceniam pani pomoc i nie chcę sprawiać niepotrzebnych kłopotów.

No proszę, pomyślała Nastia. I jak po tej tyradzie mam cię zostawić w kuchni?! Przecież toby znaczyło, że twoja obecność naprawdę mnie irytuje. Do diabła, będę musiała pozwolić, żebyś leżał na podłodze koło kanapy, ale może to nawet lepiej, bo w tej sytuacji nie będę musiała nasłuchiwać dźwięków z kuchni i gorączkowo się zastanawiać, co tam robisz, czy nie ostrzysz ogromnego noża z niecnym zamiarem, by mi poderznąć gardło.

Wyciągnęła z pawlacza materac, rzuciła go na środek pokoju, wyjęła z szafy poduszkę, koc i pościel, po czym poszła pod prysznic.

Gdy wróciła, Paweł leżał pod kocem na materacu. Na poduszkę naciągnął poszewkę, ale prześcieradło i poszwa na koc leżały starannie złożone na fotelu. Nastia zauważyła, że był tam też pulower Pawła, nie dostrzegła jednak innych części ubrania, więc się domyśliła, że położył się, nie rozbierając, tak samo jak ona, gdy nocowała z nim w hotelu.

Zgasiła światło i wsunęła się pod kołdrę. O tym, żeby zasnąć, nie mogło być mowy, więc zwinąwszy się w kłębek, ponownie oddała się rozmyślaniom na temat kata, tego, jak go namierzyć, a także na temat Pawła i dwóch prześladowców. Saulak leżał nieruchomo, jednak Nastia nie potrafiła zignorować jego obecności. Od czasu do czasu udawało jej się zdrzemnąć, ale sen był płytki i niespokojny, więc co chwila raptownie się budziła i czuła coraz gorzej. W końcu zrezygnowała z bezowocnych prób wypoczynku i zaczęła nasłuchiwać budzika, który był nastawiony na wpół do siódmej.

Gdy tylko elektroniczny dzwonek zaterkotał, od razu przycisnęła guzik, wstała i poszła do łazienki. Opuściła ją piętnaście minut później, ale Pawła nie było już w mieszkaniu. Podeszła do okna i spojrzała w dół. Na ulicy nie zauważyła ani czarnego saaba Saulaka, ani srebrzystego audi. Ze zdziwieniem wzruszyła ramionami i poszła zaparzyć sobie kawę. Po bezsennej nocy ciążyła jej głowa, myśli snuły się wolno i apatycznie.

Kończyła właśnie drugi kubek kawy, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Drgnęła i zanim poszła otworzyć, zerknęła przez okno. Przed domem stał saab Pawła.

– Przepraszam – powiedział mężczyzna chłodno, wchodząc do mieszkania. – Musiałem coś sprawdzić. Chciałem się przekonać, czy nasi znajomi nie podłożyli mi ładunku wybuchowego pod samochód. Przy okazji trochę ich odciągnąłem, żeby mogła pani spokojnie pojechać do pracy.

– A po co pan wrócił? – zdziwiła się Nastia.

– Chciałem się pożegnać. Jutro, a może nawet dzisiaj znowu wyjeżdżam. Pewnie się nie zobaczymy w najbliższym czasie, chyba że znowu coś się wydarzy. Okazała mi pani gościnność, więc nie chcę być nieuprzejmy. Poza tym obiecałem, że rano odwiozę panią do pracy.

Ale z ciebie cwaniak! Przecież poderwałeś się skoro świt tylko z jednego powodu: żeby odciągnąć ode mnie tych dwóch osobników. Dlaczego nie chcesz, żebym się z nimi spotkała? Dlaczego tak się boisz, że się dowiem, kim są?

– Nie ma takiej potrzeby. – Uśmiechnęła się. – Pojadę do pracy metrem. Zje pan ze mną śniadanie?

Pokręcił głową.

– Skoro nie chce pani, żebym ją odwiózł, pójdę już.

– Niech pan idzie. – Nastia skinęła głową, szczerze zawijając się w szlafrok: w przedpokoju było o wiele zimniej niż w kuchni, gdzie już prawie od godziny włączone były wszystkie palniki.

– Do widzenia.

– Życzę powodzenia, Pawle.

– Niech pani uważa na siebie.

– Postaram się. Pan też.

– Niech pani będzie ostrożna.

– Pan też. – Nastia uśmiechnęła się, myśląc, że Paweł znowu nie mówi do niej po imieniu. Pan Saulak ma jednak dziwne zwyczaje!

Zamknąwszy za nim drzwi, podeszła do okna i stała tam, póki nie zobaczyła, że wsiadł do auta i odjechał. Dopiero wtedy niemal fizycznie poczuła, że zaczęło ją opuszczać napięcie wywołane jego obecnością.

[\[20\]](#) MKAD (Moskowskaja kolcewaja awtodoroga) – Moskiewska Obwodnica Samochodowa.

Część 4

Czarny kot w ciemnym pokoju

Rozdział 15

Przyjrząwszy się bliżej działalności tajemniczego kata, Nastia od razu dokonała niewielkich odkryć. Po pierwsze, do sprawy zabójstwa deputowanego, mimo że nadzorowanej przez ministerstwo, nie powołano specjalnego zespołu, bo przestępstwo nie zostało zaliczone do kategorii seryjnych. Po drugie, liczba decyzji kadrowych w niektórych obwodach była znacznie wyższa niż w tych, gdzie również doszło do seryjnych zabójstw. I po trzecie, kat dokonał egzekucji trzech ofiar w regionach, w których Nastia zaobserwowała zwiększoną liczbę decyzji kadrowych.

Praca była niewiarygodnie żmudna, wymagała uwagi, staranności i dobrej pamięci. Wszystkie wieczory, nie mówiąc już o dniach wolnych, Nastia spędzała przy komputerze, sporządzając listy, schematy, tabele i programy do opracowania danych. W końcu zaczęła mieć wrażenie, że zna na pamięć nazwiska milicjantów w dziesięciu komendach obwodowych Rosji. Wciąż żądała od Konowałowa nowych danych i dostawała od niego grube teczki oraz długie arkusze wydruków. Minęły niemal dwa tygodnie, zanim dokonała czwartego niewielkiego odkrycia, które okazało się jednak najważniejsze.

Odwiedziła Konowałowa w ministerstwie, zabierając ze sobą dyskietkę: pamiętała, że w gabinecie generała jest komputer, choć prawdę mówiąc, nie zauważyła, żeby Aleksander Siemionowicz kiedykolwiek z niego korzystał. Tym razem nie musiała długo czekać, generał przyjął ją niemal natychmiast.

– Proszę spojrzeć – powiedziała Nastia, włączając komputer i wsuwając do niego dyskietkę. – To mapa Rosji. Na niebiesko zaznaczyłam obwody, w których są sprawy nierozwiązanych

seryjnych zabójstw. Na czerwono obwody, w których w dziewięćdziesiątym trzecim roku doszło do znacznych zmian kadrowych w komendach milicji.

– A na czarno? – zainteresował się Aleksander Siemionowicz.

– Do tego jeszcze dojdę. Po kolei. W tamtej teczce, od której właściwie wszystko się zaczęło, znajdowały się materiały z dwunastu seryjnych zabójstw, zgadza się?

– Owszem – potwierdził szef resortu.

– Oto one, dwanaście niebieskich kółek. Obok pięciu z nich są kółka w czerwonym kolorze. Nic to panu nie przypomina?

– Na razie nie. A co powinno przypominać?

– Historię światową – zażartowała Nastia. – Na przykład podpalenie Reichstagu albo epizody walk z rodzącym się chrześcijaństwem.

– Nie może pani prościej? – Konowałow się skrzywił.

– Mogę – ustąpiła szybko. – W pięciu regionach dochodzi do serii okrutnych zabójstw, po czym następują intensywne przetasowania kadrowe w milicji. W pozostałych siedmiu regionach, gdzie też odnotowano okrutne zabójstwa, nie dokonano gruntownych zmian kadrowych. Czy jako przełożony może pan to jakoś wyjaśnić?

– Żadne wyjaśnienia nie są tu potrzebne. – Konowałow wzruszył ramionami. – Jedno nie łączy się z drugim.

– Ach tak? W ogóle? Już pan zapomniał, że równo przed rokiem w związku z zabójstwem znanego dziennikarza telewizyjnego ni z tego, ni z owego wymieniono szefa GUWD i prokuratora w Moskwie, a nasz minister dostał nawet wotum nieufności w parlamencie? Nie pamięta pan?

– No dobrze, załóżmy, że to się jakoś łączy. Chcę usłyszeć pani wyjaśnienia i propozycje.

– Proszę tylko o trochę cierpliwości, Aleksandrze Siemionowiczu. Ustaliliśmy, że w pięciu regionach, gdzie doszło do przestępstw popełnionych przez szaleńców, zmieniła się kadra kierownicza komend milicji, a w ślad za tym mniej więcej siedemdziesiąt procent ich składu. Niech pan teraz zwróci uwagę na czerwone kółka. Spośród dziesięciu regionów, w których nastąpiły istotne zmiany kadrowe, w pięciu, jak ustaliliśmy przed chwilą, doszło do seryjnych zabójstw. A w pozostałych pięciu? Co spowodowało, że tam też

dokonano wymiany milicjantów? Okazało się, że w dwóch z nich też są sprawy nierozwiązanych przestępstw, wprawdzie nie połączono ich w serię, ale wywołały żywy oddźwięk społeczny. Tylko w trzech regionach w okresie poprzedzającym wymianę kadr nie wydarzyło się nic szczególnego. Zaznaczyłam je na czarno. Teraz proszę zobaczyć, co wyszło. Bierzymy pod uwagę dwa współczynniki: wymianę milicyjnych kadr i nierozwiązane sprawy ciężkich przestępstw, o których wiedzą mieszkańcy obwodu. W siedmiu regionach kraju mamy do czynienia z dwoma współczynnikami. W pięciu obwodach są seryjne zabójstwa, w dwóch nie seryjne, ale też bardzo głośne, i we wszystkich siedmiu prawie całkowita wymiana kadr na kluczowych stanowiskach. Czy do tej pory wszystko jasne?

– Oczywiście. – Konowałow się uśmiechnął.

– Jedźmy dalej. W trzech z siedmiu regionów zauważono osobnika, którego nazwaliśmy katem. Pytanie, czy jego działalność wiąże się z owymi dwoma współczynnikami, które przed chwilą wymieniałam. Jeżeli tak, to kolejne ofiary będą w pozostałych czterech regionach, a więc tam właśnie należy go szukać. Rozumie pan? Następnym razem pojawi się nie w przypadkowym regionie, gdzie jest nierozwiązana sprawa ciężkiego przestępstwa, tylko w jednym z tych oto czterech. – Końcem ołówka dotknęła paru miejsc na ekranie komputera. – Jeżeli zdołamy przeanalizować wszystkie materiały operacyjne i wziąć pod obserwację osoby, które podejrzewano o przestępstwa, ale nie udowodniono im winy, w ten niewymyślny sposób znajdziemy kata, bo kierując się swoją logiką, powinien pojawić się przynajmniej w pobliżu jednej z nich.

– To rozsądne – przyznał Konowałow. – Dotarła pani do jakichś personaliów? Udało się pani ustalić grono naszych funkcjonariuszy, w którym można by szukać kata?

– Parę rzeczy udało mi się zrobić – powiedziała Nastia, naciskając klawisze na klawiaturze – ale wyniki są orientacyjne. Oto lista numer jeden, jest tutaj wykaz funkcjonariuszy, którzy pracują od pięćdziesiątego drugiego roku do chwili obecnej we wszystkich trzech regionach, gdzie już pokazał się kat. Jak pan widzi, wykaz jest skromny, obejmuje zaledwie trzy osoby, ale to zrozumiałe.

W ciągu czterech lat można zmienić miejsce pracy pięć czy sześć razy, to się zdarza, ale żeby przenieść się do innego obwodu? To wymaga szczególnego charakteru i szczególnych okoliczności. Dalej, lista numer dwa. Funkcjonariusze z trzech regionów, którzy w interesującym nas okresie zostali zwolnieni za działania niezgodne z prawem, przeważnie za użycie siły wobec zatrzymanych i aresztowanych, za bezpodstawne aresztowania i tak dalej. Wykazy są długie, ale musi pan pamiętać, że z tych powodów bardzo często zwalnia się ludzi w okresie masowych czystek, co akurat miało miejsce podczas intensywnych roszad kadrowych. Dlatego zrobiłam dwie dodatkowe listy już w porządku chronologicznym. Na liście numer trzy są ci, których zwolniono po pierwszym seryjnym zabójstwie, zanim mianowano nowego komendanta. Lista numer cztery obejmuje zwolnionych po mianowaniu nowego kierownictwa, to znaczy już w okresie czystki.

– Na którą listę pani zdaniem należy zwrócić szczególną uwagę? – zapytał Aleksander Siemionowicz.

– Jeżeli kierować się przyjętą logiką, to na pierwszą i trzecią. Ale nie jestem pewna, Aleksandrze Siemionowiczu. Siedząc tutaj, w pańskim ciepłym gabinecie, wymyśliłam sobie, że kat jest funkcjonariuszem milicji, dawnym albo obecnym, i ma dostęp do materiałów operacyjnych dotyczących przestępstw. Ktoś dał mu po łapach, gdy już prawie schwytał szaleńca. A on, widząc bezsilność organów ścigania, postanowił rozprawić się z zabójcami. Skąd bierze informacje dotyczące pozostałych przestępstw? Od swoich kolegów, którzy są milicjantami w innych obwodach Rosji. Może kiedyś się z nimi uczył albo pracował. Ale to, Aleksandrze Siemionowiczu, tylko jedna hipoteza. Jest też druga, podobna do pierwszej. Kat nie jest milicjantem, ani dawnym, ani obecnym, ma jednak kolegów w organach ścigania, i to wielu. We wszystkich trzech regionach. To możliwe, jeżeli uczyli się razem, skończyli tę samą uczelnię. Oto lista numer pięć, na której funkcjonariusze wszystkich regionów zostali podzieleni na grupy w zależności od uczelni, którą skończyli. Lista nie jest jednak za bardzo przydatna, zrobiłam ją na wszelki wypadek. I wreszcie lista numer sześć. Wykaz milicjantów, którzy spełniają parę interesujących nas kryteriów. Na przykład zwolniono

ich przed czystką kadrową i mają kolegów w innych komendach. Albo do tej pory pracują, mają kolegów w innych komendach i zajmują się interesującymi nas przestępstwami. I tak dalej. Lista nie jest krótka, ale da się z nią pracować.

– No to podsumujmy. – Konowałow skinął głową. – Proponuje pani wziąć pod obserwację dwie grupy ludzi: wszystkich figurantów, którzy pojawili się w niewyjaśnionych sprawach ciężkich przestępstw, oraz osoby z szóstej listy. Dobrze zrozumiałem?

– Bardzo dobrze.

– Więc skąd bierze się pani przygnębienie? – zdziwił się generał. – To kwestia zmęczenia?

– Nie o to chodzi. Wprawdzie dobrze mnie pan zrozumiał, ale nie jestem pewna, czy mam rację.

– Niech się pani nie martwi, pani hipoteza nie jest jedyna, sprawdzamy też inne.

– W takim razie trzeba zrobić coś jeszcze: zobaczyć, czy ofiarami kata nie interesowali się funkcjonariusze zajmujący się sprawami tych przestępstw. Nie mam takich danych, a bez nich nie wiem, czy zmierzam we właściwym kierunku.

– Dobrze, wydam polecenie i jutro otrzyma pani informacje.

Po wyjściu z ministerstwa Nastia pojechała do domu. W metrze próbowała poczytać książkę, ale w głowie wciąż rozbrzmiewały nazwiska, nazwiska, nazwiska... Jak natrętna piosenka. Usiłowała myśleć o innych sprawach, ale nie potrafiła. Zastanawiała się, co jeszcze powinna sprawdzić i porównać, czego się dowiedzieć. Nie mogła ani na chwilę zapomnieć o działalności tajemniczego kata, bo sytuacja była szczególna.

W domu czekał na nią Aleksiej, co budziło nadzieję, że w końcu uda jej się oderwać od pracy.

– Wcześniej dzisiaj wróciłaś – zdziwił się Losza. – Jeszcze nie zapadła noc, a ty już jesteś w domu. Ogłosiłaś strajk? Odmówiłaś wykonywania obowiązków?

Nastia z apetytem zjadła przygotowaną przez męża kolację i nawet nie oburzyła się z powodu włączonego telewizora w pokoju. Aleksiej lubił słuchać wiadomości, siedząc w kuchni i układając pasjansa, dlatego włączał telewizor na pełen regulator. Nastia nie znosiła

głośnych dźwięków, ale dzisiaj była w pogodnym nastroju, więc nie narzekała.

Umyła już naczynia i z przyjemnością myślała o gorącym prysznicu i miękkim łóżku, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Na progu stał Michaił Docenko, jak zwykle czarujący i atrakcyjny, jednakże siniak pod okiem i szrama na policzku nie dodawały mu uroku.

– Nieźle! – gwizdnęła Nastia, oglądając Miszę od stóp do głów. – Kto pana tak urządził, Miszeńka? Ale zaraz, najpierw musi się pan umyć i doprowadzić twarz do porządku, potem pan opowie.

Misza spędził w łazience dłuższą chwilę, zmywając z twarzy błoto i zaschniętą krew i przemywając zadrapania wodą utlenioną, za to gdy wyszedł, wyglądał o niebo lepiej. Nastia od razu postawiła przed nim pełny talerz i kubek gorącej herbaty.

– Niech się pan naje, Misza, a potem mi wszystko opowie. Wciąż zajmuje się pan tym samochodem?

– Już nie – oznajmił Docenko, łapczywie pochłaniając kotlet schabowy z modrą kapustą. – Zdobyłem jego numer rejestracyjny. Niedawno.

– I za to pana pobito?

– Zależy, jak na to patrzeć. – Misza się uśmiechnął. – Trochę rzeczywiście oberwałem, ale to napastnicy uciekli z miejsca bijatyki, nie ja. Boże, Anastazjo Pawłowno, w przestępczym świecie jest teraz pełno głupców! Czasami aż się dziwię, dlaczego nie możemy schwytać tych wszystkich łobuzów, skoro jest wśród nich tylu idiotów?

– Wytłumaczę panu, Miszeńka. – Nastia się uśmiechnęła. – Bo wśród nas też nie brakuje głupców. Zastanawiał się pan nad tym, czym przestępcy różnią się od innych ludzi?

– No... – Docenko się zachnął. – To przecież oczywiste.

– Nie, Misza, wcale nie oczywiste. Szkoda, że już pan wszystko zapomniał. Ale to wina pracy.

– O czym pani mówi?

Docenko odłożył widelec i wbił zdumiony wzrok w Nastię.

– Pamięta pan, jak się poznaliśmy?

– Przyjechała pani na delegację do Omska i przyszła na uczelnię. A nasza grupa akurat zdawała egzamin.

– Zgadza się. Gdy nadeszła pańska kolej, zaczął pan referować zagadnienie dotyczące osobowości przestępcy. Odpowiadał pan poprawnie, gładko, zgodnie z tym, co było w podręczniku i w różnych monografiach. Egzaminator słuchał, a potem zapytał: „No to czym tak naprawdę różni się osobowość przestępcy od osobowości normalnego człowieka, gdyby miał pan to ująć w dwóch słowach?”. Domyśliłam się, że pana prowokuje, by znowu zaczął się pan rozwodzić na temat złego wychowania, braku zasad moralnych, ograniczonych zainteresowań, wyrachowanego nastawienia i tak dalej. A pan, Miszeńka, się uśmiechnął, wzruszył ramionami i odparł: „Jeśli w dwóch słowach, to różnica polega tylko na tym, że jeden popełnił przestępstwo, a drugi nie”. Wtedy zrozumiałam, że musi pan pracować w naszym zespole. Bo myśli pan logicznie i nie pozwala autorytetom zbić się z tropu. A teraz mnie pan rozczarowuje.

– Dlaczego?

– Dlatego że się pan dziwi, gdy nie powinien tego robić. Przestępcy są częścią społeczeństwa, i to wcale nie najgorszą. Milicja z kolei nie jest częścią najlepszą, tak zwaną elitą. Jeśli więc w społeczeństwie pojawiło się sporo niewykształconych i niezbyt mądrych ludzi, z tą samą częstotliwością zasilają szeregi przestępców, jak i milicjantów. Co się zaś tyczy ludzi utalentowanych, zdolnych i mających świetne przygotowanie zawodowe, to zupełnie naturalne, że swoją wiedzę i siły wykorzystują tam, gdzie im więcej płacą, to znaczy w działalności prywatnej, w biznesie, a nie w naszych biednych organach. Stąd wniosek, że ludzi nierozgarniętych i głupich jest wśród przestępców tyle samo co wśród nas, milicjantów, to znaczy, że nie górujemy nad nimi intelektem. Mądrych i zdolnych jest wśród nich więcej, w związku z czym to oni nieubłaganie zyskują intelektualną przewagę. Oto i cała arytmetyka. No dobrze, zostawmy to. Co z samochodem?

– Miałem poszukać ludzi, którzy mogli zauważyć pod pani oknami srebrzyste audi. Znalazłem ich sporo, ale nikt nie zapamiętał numeru rejestracyjnego, a o to pani przecież chodziło. No więc pomyślałem, że muszę poszukać świadka wśród złodziei aut. W dzielnicy, w której jest dużo zagranicznych wozów, grupa złodziei

samochodowych korzysta z lokalnego naganiacza, to on przygląda się samochodom, właścicielom, alarmom, garażom i tak dalej. Sama mnie pani tego uczyła, zgadza się?

Nastia uśmiechnęła się i kiwnęła głową. Rzeczywiście kiedyś mówiła Michaiłowi, że statystyka to wielka rzecz, bo za umownymi olbrzymimi cyframi kryją się drobne zabawne szczegóły i jako przykład przytoczyła kradzieże samochodów. „Niech pan zobaczy – mówiła, pokazując Miszy tablele z danymi statystycznymi. – W tych dzielnicach sprawcy kradzieży samochodów są wykrywani, uprowadzone auta odnajdują się w jakichś sześćdziesięciu procentach, to bardzo wysoki wskaźnik wykrywalności. No a w tych dzielnicach udaje się rozwiązać tylko co dziesiątą sprawę kradzieży samochodu, to znaczy, że wykrywalność wynosi dziesięć procent. Skąd ta różnica? Musi pan od razu wysunąć co najmniej dwie hipotezy. Pierwsza: tam, gdzie wykrywalność jest wyższa, milicja skutecznie reaguje na tego rodzaju przestępstwa. Druga: tam, gdzie wykrywalność jest niższa, przestępcy działają z większym rozmysłem i są zorganizowani, nie podchodzą do samochodów z nowoczesnymi alarmami, nie próbują włamać się do strzeżonych garaży, nie kradną samochodów, jeśli ich właściciele jeszcze nie śpią i co rusz wyglądają przez okno. Innymi słowy, te grupy korzystają z pomocy naganiacza wywodzącego się z mieszkańców dzielnicy, on zaś najpierw przyjrzy się każdemu samochodowi i pozna zwyczaje jego właściciela”.

– Więc oczywiście zainteresował się pan kradzieżami aut w dzielnicy przy szosie Szczołkowskiej – zasugerowała Nastia.

– Ma się rozumieć. A ponieważ do kradzieży dochodzi tutaj często, a sprawców wykrywa się rzadko, zaryzykowałem wizytę w komisariacie i jak gdyby nigdy nic poprosiłem, żeby mnie skontaktowano z naganiaczem. Najpierw nasi koledzy po fachu stanęli okoniem, udawali, że nie rozumieją, o co mi chodzi, ale to normalne, tak zwykle bywa. Potem ich przekonałem. Dali mi namiary na chłopaka, tylko błagali, żebym mu nie powiedział, że o nim wiedzą. Okazuje się, że niedawno wzięli go na warsztat, przez niego chcą dotrzeć do całej grupy, no a ja wchodzę im w paradę.

Michaił uśmiechnął się tak czarująco i promiennie, że od razu było wiadomo, w jaki sposób udało mu się namówić milicjantów, żeby

zorganizowali mu spotkanie z naganiaczem.

– No więc dwoilem się i troilem, powiedziałem mu, że jest ważnym świadkiem, a tamci faceci w srebrzystym samochodzie marki Audi to groźni przestępcy, których trzeba koniecznie znaleźć i przymknąć, bo inaczej świat się zawali. Gość się łamał i za nic nie chciał przyznać, że obserwował zarówno audi, jak i czarnego saaba, który stał obok. Nawiasem mówiąc, saab mu się bardziej podobał, był nowszy, a przede wszystkim pusty – a w audi przez całą noc siedzieli pasażerowie – no i rocznik jest niezły: dziewięćdziesiąty pierwszy. Więc gdyby nie ludzie z audi, tej samej nocy buchnęliby saaba pani znajomego.

– A numer? Niechże się pan nade mną zlituje – jęknęła Nastia.

– Facet go zapamiętał. A raczej udał, że zapamiętał. Oj, Anastazjo Pawłowno! – Misza nie wytrzymał i parsknął śmiechem, w tej samej chwili krzywiąc się z bólu: świeża szrama na policzku dawała o sobie znać przy każdym ruchu mięśni twarzy. – Gdyby pani widziała tę scenę! Gość zachowywał się jak przedszkolak. „Zapamiętałeś numer rejestracyjny?” – pytam. A on się wierci, waha, rozgląda na boki i wreszcie bąka, że zapamiętał, ale nie ma pewności, więc żeby sobie odświeżyć pamięć, musi pójść za potrzebą w krzaki. „No to idź – mówię – proszę bardzo”. Facet odszedł na bok, odwrócił się do mnie plecami, ja zaś mu się uważnie przyglądam i widzę, że wyjmuje notes z kieszeni i go kartkuje. Rozumie pani? Rejestruje każdy samochód, zapisuje numer rejestracyjny, markę, kolor, adres właściciela i pozostałe dane, które przekazuje grupie. Ale przecież nie może wyjąć notesu w mojej obecności. Bez niego jest zwyczajnym świadkiem, który zapamiętał numer rejestracyjny zaparkowanego samochodu. A z notesem od razu staje się współnikiem, naganiaczem. Udawałem, rzecz jasna, że niczego nie widzę, zapisałem numer, który mi podyktował, pożegnałem się i poszedłem zadzwonić do GAI. Ale w tym momencie zaatakowali mnie jacyś kretyni. Widocznie jego kolesie, tylko nie wiem, czy od aut, czy jacyś inni. Naganiacz odszedł najwyżej sto metrów. Gdy rzucili się do bitki, zawrócił i wrzasnął, żeby mnie nie ruszali. Krótko mówiąc, wszystko błyskawicznie się skończyło, ale poniosłem jednak pewne straty.

Nastia zabrała pusty talerz i podsunęła Michaiłowi koszyczek z herbatnikami i keksem.

– Proszę się częstować, Miszeńka. Niech się pan nie krępuje. Świetnie pan sobie poradził. Zdążył pan zadzwonić do GAI?

– Nie. Gdzie miałem iść z pokiereszowaną twarzą? Na komisariat? Wyśmialiby. Chciałem, co prawda, zadzwonić z automatu, ale nie miałem żetonu, a byłem niedaleko Szczołkowskiej. Nie gniewa się pani, że tutaj wparowałem?

– Słusznie pan zrobił. Niech mi pan da numer i napije się herbaty, a ja zadzwonię.

Pół godziny później Docenko wyszedł. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, z twarzy Aleksieja natychmiast znikł szeroki uśmiech gościnnego gospodarza.

– Jak mam to rozumieć? – zapytał Nastię. – Co to za samochód, który przez całą noc stał pod domem?

– Przecież słyszałeś. – Usiłowała się wykręcić. – Srebrzyste audi, rocznik dziewięćdziesiąty pierwszy.

– Przestań, Asiu – powiedział Aleksiej z gniewem. – Znowu się w coś wpakowałaś? Co się dzieje?

– Ależ nic się nie dzieje, uspokój się, na miłość boską – odparła, z trudem ukrywając irytację. – To się wydarzyło prawie dwa tygodnie temu, w tym czasie nic mi się nie stało. Więc teraz też się nie stanie.

– W takim razie dlaczego próbujesz ich odszukać?

– No a czemu nie? – szczerze zdziwiła się Nastia. – Jestem przecież ciekawa, co to za ludzie i dlaczego całą noc spędzili pod moimi oknami.

– Znowu kłamiesz, Asiu. – Mąż machnął ręką ze znużeniem. – Co wieczór jakiś samochód parkuje pod domem, ale nigdy się nim nie interesujesz. Czyżby ktoś cię śledził?

– Teraz już nie. W każdym razie już ich nie widzę.

– A przedtem?

– Przedtem mnie śledzono. Ale niezbyt natrętnie. A zresztą nie jestem pewna, czy to akurat mnie śledzono.

– W takim razie kogo?

– Mężczyznę, z którym wracałam z delegacji na początku lutego.

Aleksiej umilkł, ze skupieniem tasując talię kart. Zamierzał ułożyć

pasjansa, lubił to zajęcie, bo pomagało mu się skoncentrować, a zarazem oderwać od nieprzyjemnych myśli. Dzięki pasjansowi pozbywał się rozdrażnienia i stresu, toteż sięgał po karty za każdym razem, gdy tylko zaczynał się denerwować, podobnie jak jego żona sięgała po papierosa. Nastia uważnie obserwowała, jak odliczył cztery razy po po jedenaście kart i ułożył ze stosików „studnię”, to znaczy umieścił je tak, by spoczywały prostopadle do siebie. Potem z każdego stosika odkrył wierzchnią kartę i położył ją obok, odkrył następną i pozostawił na miejscu, nigdzie nie przekładając. Kiedyś jej tłumaczył, że stosiki nazywają się kolumnami roboczymi, a leżące obok karty to karty bazowe. Można na nich układać rosnąco kolejne w jednym kolorze, na kolumnach zaś niczego się nie układa, karty z kolumn można tylko odkrywać i przekładać. Między kolumnami wolno kłaść tylko króle i zbierać na nich w porządku malejącym karty tego samego koloru... Nastia nie miała pojęcia, jak się w tym wszystkim nie pogubić, ale Aleksiej z pasją oddawał się sztuce układania pasjansów i nawet kupował specjalne podręczniki w nadziei, że znajdzie jakiś bardzo skomplikowany i długi układ, który na dodatek bardzo rzadko wychodzi.

– Czy dobrze zrozumiałem, że tamten mężczyzna, z którym wracałaś z delegacji, nocował tutaj dwa tygodnie temu? – zapytał nagle.

Nastia drgnęła. Skąd Losza się dowiedział? Chociaż właściwie mógł się domyślić. Przecież przed chwilą powiedziała, że pasażerowie z audi śledzili raczej Pawła, a nie ją. Więc jeśli przez całą noc tkwili przed jej domem, to znaczy, że mężczyzna, którego śledzili, spędził tę noc tutaj. Loszka jest bardzo bystry, w końcu ma stopień doktora habilitowanego i tytuł profesora. Nagle Nastia pomyślała, że nigdy nie usiłowała wywieść w pole męża. Znali się od dziewiątej klasy i już pierwszego dnia raz na zawsze uznała, że Alosza Czistiakow jest od niej o wiele mądrzejszy i zdolniejszy. Od tamtej pory minęło dwadzieścia lat, teraz Nastia ma już trzydzieści pięć, Loszka niedawno skończył trzydzieści sześć, a ona ani razu nie zwątpiła w jego intelektualną przewagę. Pewnie dlatego nie próbowała go oszukać. Każde oszustwo opiera się na założeniu, że ten, kogo się chce oszukać, jest głupszy.

– Tak – odparła obojętnym głosem, nie odrywając oczu od jego długich, silnych palców, które przekładały karty na stole. – Dobrze rozumiałeś. Nocował tutaj.

– Więc gdyby Misza nie wpadł do nas przypadkiem i nie wspomniał o samochodzie, który stał przez całą noc pod oknami, nic byś mi nie powiedziała?

– Raczej nie. To sprawy służbowe, po co miałabym ci zawracać głowę?

– Chcesz powiedzieć, że obcy mężczyzna w mieszkaniu nocą to sprawa służbowa?

– Owszem, to właśnie chcę powiedzieć.

– Jest twoim kolegą?

– Prawie. Ale niezupełnie.

– Możesz nieco jaśniej?

– Odsiedział dwa lata za chuligaństwo. Z tego względu nie mogę go oczywiście uznać za kolegę. Ale kiedyś przez wiele lat zajmował się czymś w rodzaju pracy operacyjnej.

– Nie pytam, Asiu, dlaczego spędził u ciebie noc. Jesteś dorosłą, rozsądną kobietą, więc skoro coś robisz, widocznie uważasz, że to słuszne. Jeśli nagle zapragniesz mnie zdradzić, zrobisz to, nie pomogą żadne sceny, namowy i groźby. Raz już przez to przechodziliśmy, więc mam pewne doświadczenie. Przeprowadziłaś tego mężczyznę na noc, więc pewnie musiałaś to zrobić. Ale nie rozumiem, dlaczego dowiaduję się o tym przypadkiem i to od zupełnie obcego człowieka, od Miszy Docenki. Fakt, że próbowałaś to przede mną ukryć, sugeruje, że chodzi o coś więcej, że to nie tylko sprawy służbowe.

– Losza...

– Zaczekaj, pozwól mi powiedzieć. Ta rozmowa jest równie nieprzyjemna dla mnie, jak dla ciebie, więc skończmy ją jak najprędzej. Proszę cię, Asiu, nie zmuszaj mnie, żebym cię podejrzewał. Nie jestem pewien, czy wiesz, co to są męki zazdrości. Myślę, że nie. Ale ja wiem, i to bardzo dobrze. Więc jeśli milczę i nic nie mówię, to nie znaczy, że niczego nie zauważam i nie czuję. Doskonale widziałem, co się z tobą działo dwa miesiące przed naszym ślubem. Zauważyłem też, że po miesiącu wszystko

bezpowrotnie minęło. Ale nawet się nie domyślasz, co przeżyłem w ciągu tego miesiąca. Dlatego bardzo cię proszę, nie zmuszaj mnie, żebym przeżywał to od nowa, zwłaszcza jeśli nie ma ku temu żadnych podstaw. Wierzę, że mężczyzna, o którym mowa, nie jest twoim kochankiem. Po prostu ci wierzę i koniec. Bo tak powiedziałaś. Ale widziałem, jaka byłaś odmieniona po tamtej podróży, dobrze pamiętam rozmowy, które prowadziliśmy w kuchni. Zastanawiałaś się, czy nie popełniłaś błędu, czy nie płacisz za jego następstwa. Ale nic konkretnego mi nie powiedziałaś, zmuszając mnie, żebym się domyślał, co to za błąd. Ten facet nocował tutaj i gdybyś sama mi o tym powiedziała, w ogóle bym się tym nie przejął. Ale ty chciałaś to przede mną ukryć, czym sprawiłaś mi przykrość. Zrozum, Asiu, nie żądam od ciebie wyjaśnień. Proszę tylko, żebyś więcej tak nie robiła. Nie ukrywaj przede mną czegoś, czego nie trzeba ukrywać. Nie zmuszaj mnie, żebym gubił się w podejrzeniach i był zazdrosny, skoro nie ma ku temu realnych podstaw.

– Dobrze, nie będę – odparła Nastia potulnie, myśląc, że racja jest po stronie męża. Ona zaś nie ma nic na swoją obronę.

⋮

Nazajutrz rano, ledwo Nastia przekroczyła próg swojego pokoju na Pietrowce, wezwał ją Gordiejew. Ściągnęła więc kurtkę, rzuciła ją na biurko, przyglądziła szczotką włosy potargane w metrze i pobięła do szefa.

– Mam dla ciebie cztery wiadomości – powiedział Wiktor Aleksiejewicz. – Jedna zła, druga bardzo zła, choć niepozbawiona miłego elementu, trzecia neutralna, a czwarta po prostu wspaniała. Wybieraj, od której mam zacząć.

– Od najgorszej – odparła z westchnieniem. – Rano mam jeszcze siły, żeby przyjąć ją mężnie i z godnością.

– Wczesnym rankiem dzwonił Siemionycz. Kat znowu się uaktywnił.

– Cholera! – wyrwało się Nasti. – Nie zdążyliśmy się ogarnąć. Gdzie tym razem?

– Tam gdzie przewidziałaś. To właśnie jest ten miły element. Siemionycz powiedział, że wskazałaś jeszcze cztery obwody, w których kat powinien się pokazać. Więc czeka na ciebie po południu, przekaże ci nowe dane.

– Jasne. Teraz poproszę o złą wiadomość.

– Tenże Siemionycz, który już nie może się bez ciebie obejść – Gordiejew nie potrafił powstrzymać się od złośliwości – prosił, by ci powiedzieć, że w materiałach operacyjnych nie figuruje żadna ofiara kata. We wszystkich sprawach przewaliły się dziesiątki ludzi, ale żadna z trzech ofiar – ani ta z kolczykiem w ustach, ani z krzyżem na piersi, ani z pistoletem – nigdy tam nie trafiła. Rozumiesz, dziecko? Nigdy.

– To znaczy, że się pomyliłam – spokojnie podsumowała Nastia. – No cóż, wynik negatywny to też wynik, bo na jego podstawie można wyciągnąć pozytywne wnioski. A więc nasz kat najprawdopodobniej nie jest milicjantem. Tyle roboty na nic! Przykra sprawa. Ależ jestem głupia. Mogłam od razu to sprawdzić, ale dopiero wczoraj na to wpadłam.

Ze złości policzki zaczęły jej płonąć, a głos zadrżał. Ale pułkownik Gordiejew udał, że niczego nie zauważył, i nie zaczął jej pocieszać. Zbyt dobrze znał Anastazję.

– A teraz na co ma pani ochotę? – zapytał wesoło.

– Poproszę coś neutralnego na pocieszenie.

– Samochód, który stał w nocy pod twoim balkonem, należy do pana Grigorija Walentinowicza Czincowa, pracownika aparatu Dumy. To drobna płotka, nie ma dużej władzy, potem scharakteryzuję go bliżej. No cóż, Stasienko, jesteś gotowa na dobre wiadomości? Czy może wolisz jeszcze coś gównianego dla kontrastu?

– Nie trzeba, wystarczy. – Nastia się roześmiała, uporawszy się już z atakiem złości wywołanym własną niedomyślnością.

– Zdjęcie Kirilla Bazanowa, znajdującego się obecnie w Instytucie Psychiatrii Sądowej, pokazano świadkom zabójstwa szantażysty. Gratuluję, dziecko, trafiłaś w sam środek tarczy.

– Rozpoznali go? – zawołała Nastia. – To niemożliwe, chyba mnie pan nabiera. Nie zdarzają się szczęśliwe zbiegi okoliczności.

– Masz ci los! – Wiktor Aleksiejewicz rozłożył ręce. – Jak to nie

zdarzają, skoro jeden z nich widać na kilometr. A zresztą nie mam pewności, czy ten akurat jest szczęśliwy. Skąd wygrzebałaś zabójstwo szantażysty?

– Ze swoich archiwów. Chyba pan wie, że prowadzę prywatne archiwum niewyjaśnionych spraw zabójstw i gwałtów z ostatnich dziesięciu lat.

– A po co ci ono?

– Potrzebuję do pracy. – Wzruszyła ramionami. – Analizuję dane, które udało się zebrać w sprawie, dzielę przestępstwa ze względu na różne właściwości. Jakby sam pan nie wiedział! Po zabójstwie Łuczenkowa i zatrzymaniu Kiriłła Bazanowa przejrzałam archiwa pod kątem nieznanego sprawcy, który przypominałby Bazanowa. No i znalazłam szantażystę. Zabójstwo też na ulicy, w biały dzień, przy użyciu pistoletu.

– A więc chcesz powiedzieć, że na okrągło wykorzystujesz swoje archiwum? – zainteresował się Gordiejew.

– Ależ tak. Wprowadzam tam dane na temat każdej nierozwiązanej sprawy, tworzę też nowe kategorie... Wie pan – powiedziała ze śmiechem – chyba przypominam zwariowanego filatelistę, który co wieczór otwiera swoje klasery i albumy, wyjmuje lupę i pęsetę i zaczyna delektować się swoimi skarbami, przekładać i układać je na nowo. Ja też zabawiam się tymi zabójstwami w każdej wolnej chwili. Jestem jak skąpy rycerz kryminalistyki.

– A więc mam rację, że nie chodzi o szczęśliwy zbieg okoliczności – zdecydowanie orzekł pułkownik. – To efekt żmudnego wieloletniego wysiłku. Zasłużyłaś sobie na szczęście, w nagrodę zdradzę ci najbardziej wstrząsającą wiadomość dzisiejszego poranka.

– Piątą? – zdziwiła się Nastia. – Mówił pan, że są tylko cztery.

– To dalszy ciąg czwartej. Więc się przygotuj i nie zemdlej z wrażenia. Nasz Kiriłł Bazanow, jak się domyślasz, ma rodziców, którzy są w szoku, odkąd się dowiedzieli o wyczynach swojej latorośli. Jak to się mówi, nic tego nie zapowiadało. Młody człowiek był cichy i posłuszny, stronił od złego towarzystwa, z umiarem sięgał po alkohol. Był wprawdzie wybuchowy i nadpobudliwy, ale po pierwsze, nie każdego dnia, a po drugie, ten stan szybko mijał. Rodzice Bazanowa zostali poproszeni o odtworzenie okresu,

w którym doszło do zabójstwa szantażysty, chodziło o kwiecień dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Minęły trzy lata, to oczywiście sporo, ale nic nie wiadomo... Może Kiryłł poznał kogoś w tym czasie albo zaczął szastać pieniędzmi – krótko mówiąc, rutynowy zestaw pytań. Bazanow urodził się w siedemdziesiątym drugim roku, więc jesienią dziewięćdziesiątego dostał powołanie do wojska, wrócił w listopadzie dziewięćdziesiątego drugiego, a wiosną dziewięćdziesiątego trzeciego spędził w Moskwie. No i tutaj, Stasienko, zaczynają się niejasne osobliwości albo osobliwe niejasności, nie wiem, jak się wyrazić. Matka naszego Bazanowa pamięta, że dwunastego kwietnia dziewięćdziesiątego trzeciego roku Kiryłł rozbił szklanekę w mieszkaniu, w dodatku tak nieszczęśliwie, że skaleczył się w prawą dłoń. Podobno niósł herbatę z kuchni do swojego pokoju, potknął się i przewrócił przed drzwiami, całym ciężarem ciała padając na rozsypane odłamki szkła. Matka dobrze pamięta, że wydarzyło się to dwunastego kwietnia, bo tego dnia cały kraj świętował Dzień Kosmonautyki, a Kiriusza, gdy był jeszcze małym chłopcem, bardzo się interesował kosmosem. Zresztą jak każdy chłopiec. Tyle że z wiekiem prawie wszystkim to przechodzi, on jednak zatrzymał się w rozwoju. Więc gdy matka smarowała mu rękę jodyną, chłopak mało nie płakał z bólu, a ona mu tłumaczyła: „Kiroczka, kochanie, jakiś ty niewytrzymały na ból. To nie przystoi mężczyźnie. Zobacz, kosmonauci niczego się nie boją, są bardzo dzielni, więc i ty możesz trochę pocierpieć. Bądź mężny, dzisiaj jest przecież twoje ulubione święto”. Świadcami sceny byli ojciec Bazanowa, jego młodsza siostra i sąsiadka, która była pielęgniarką, więc ją wezwano, żeby obejrzała ranę i sprawdziła, czy nie zostały w niej drobinki szkła. Twój przyjaciel Jura Korotkow zjawia się w Instytucie Psychiatrii, prosi Bazanowa, żeby mu pokazał dłonie, widzi ślady po wypadku, łatwo je zauważyć, bo skaleczenia były głębokie. No i pyta: „Co się stało, bracie?”. Zgadnij, co Bazanow mu na to.

– No co?

– Nic, Stasienko. Nie pamięta.

– Jak to nie pamięta? – Nastia się zachmurzyła. – Jak można tego nie pamiętać?

– On jednak nie pamięta. Korotkow go pyta, czy pamięta, jak wrócił z wojska. Owszem, opowiada, jak przyjechał do Moskwy, jak spotkał się z rodzicami, pamięta nawet to, jaką sukienkę miała na sobie matka i jak była uczesana siostra. Pamięta też, jak witali nowy dziewięćdziesiąty trzeci rok. I jak świętowali ósmego marca. Ale nie pamięta, że skaleczył się w rękę w połowie kwietnia. A co robili w majowe święta, znowu pamięta. Jakby go ktoś zaczarował. Nawiasem mówiąc, jeden ze specjalistów mi mówił, że oligofrenicy mają doskonałą pamięć, mogą z łatwością cytować długie fragmenty książek, dzięki temu udaje im się skończyć szkołę, a nawet uczelnię. Bazanow chyba nie ma problemów z pamięcią. Luka dotyczy tylko połowy kwietnia. A pamiętasz, kiedy załatwiono szantażystę?

– Owszem – odparła Nastia zdrętwiałymi wargami. – Zabito go dwunastego kwietnia. Rano, koło jedenastej. Co z tego wynika? Atak ostrej psychozy, zabójstwo, a potem amnezja?

– Twoim zdaniem to niemożliwe?

– Możliwe. Ale nie pasuje. Jeżeli to choroba, po zabójstwie Łuczenkowa amnezja powinna się rozwinąć, a Bazanow powinien zapomnieć to, co się łączyło z zabójstwem. Tymczasem on wszystko pamięta. W szczegółach. Na dodatek bardzo dokładnie, w ogóle się nie płacze w zeznaniach.

– Może zaczekaj z wnioskami, najpierw mnie wysłuchaj. Nie powiedziałem ci jeszcze wszystkiego. Gdybyś nie była tak pochłonięta pracą w zespole Siemionycza, dowiedziałabyś się wcześniej. Musisz wiedzieć, że Korotkow całymi dniami ugania się po mieście, żeby zdobyć informacje, a ty wcale się nimi nie interesujesz, jakbyś zapomniała, że oprócz twojego kata są też inne przestępstwa. Te sprawy też trzeba wyjaśnić. No więc ze trzy tygodnie temu matka naszego Kiroczki Bazanowa zobaczyła syna w towarzystwie jakiegoś sympatycznego mężczyzny. Syn go jej nie przedstawił, więc nie wie, jak się nazywa. Ale twarz wydała jej się znajoma. Wyteżyła pamięć i sobie przypomniała, że kiedyś go już widziała, i to razem z Kiroczką. Właściwie nie razem, tylko w tym samym miejscu. Było to dość dawno, krótko przed tym, jak Kiroczka pokaleczył sobie rękę.

– Krótko, to znaczy kiedy? – uściśliła Nastia.

– No w przeddzień. Mama pyta więc Kiriuszę, kim jest ten znajomy, bo wydaje się bardzo miły. A on nie wie, o kogo chodzi. Mama mu na to, że chodzi o tego, z którym szedł w stronę parku, i zna go chyba od dawna, bo widziała ich razem ze trzy lata temu. A w oczach ukochanego syna zdziwienie i kompletna pustka. Nie udało jej się niczego z niego wyciągnąć, ale trzeba przyznać, że się nie przykładała, bo po pierwsze, nie miało to dla niej większego znaczenia, a po drugie, nigdy nie zapomina, że syn jest oligofrenikiem i choć stwierdzono u niego upośledzenie umysłowe w stopniu lekkim, chłopak nie rozwija się normalnie, więc próżno by się spodziewać, że obszernie i szczegółowo wszystko wyjaśni. Ale nasz Korotkow też go o to zapytał. Jest znacznie cierpliwszy i bardziej zasadniczy niż mama Kiroczki, więc wsiadł na biedaka, używając całego kunsztu operacyjnego popartego entuzjazmem. No i Kiroczka przypomniał sobie tego miłego pod każdym względem faceta. Wprawdzie z trudem. Zaczepił go na ulicy, mówi, poprosił, żeby mu rozmienić sto tysięcy. Bazanow wyszedł akurat z pracy, a tutaj ktoś do niego podchodzi. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął pieniądze, przeliczył, jak na złość miał banknoty o niskich nominałach, więc wciąż się mylił w obliczeniach. W końcu się okazało, że brakuje mu jakichś piętnastu tysięcy rubli, wtedy facet go przeprosił i schował swój banknot. Przez pewien czas szli razem w tę samą stronę. I to wszystko. Kiriuł widział go pierwszy raz w życiu, nigdy przedtem się nie spotkali, więc nie wie, dlaczego mama mówi, że jest jego starym znajomym. Ale to, dziecko, jeszcze nie wszystko. Wiesz, co w tym najciekawszego? Popatrz.

Gordiejew podsunął Nasti kartkę.

– Masz, przeczytaj. Od razu sprawdzimy, czy masz dobrą pamięć. Potraktuj to jak egzamin ze spostrzegawczości.

– Co to jest? – zapytała, biorąc kartkę do ręki.

– Wypis z protokołu przesłuchania matki Bazanowa. No czytaj, czytaj.

Nastia przebiegła wzrokiem tekst. Od razu poznała pismo Korotkowa – duże, nieładne, ale bardzo wyraźne. „To był mężczyzna koło czterdziestki, smagły, z długimi, kręconymi włosami, jak piosenkarz z Maszyny Wriemieni. Tak, racja. Nazywa się

Makarewicz, dziękuję, że mi pan podpowiedział. Tyle że ten miał duże zakola. I okulary z przyciemnianymi szklami. Niewysoki, niższy od Kiroczki, a on ma metr siedemdziesiąt trzy. Ubrany porządnie, drogo, ale nie wyzywająco. Mieszkaniec Kaukazu? Nie, raczej nie wyglądał na kogoś stamtąd. Ludzie z Kaukazu noszą się, wie pan, fantazyjnie, mają bordowe albo zielone marynarki, długie płaszcze, jak z żurnala mody. Właściwie... nie, oni mają szczególny gust, jeśli chodzi o ubrania, a ten mężczyzna, mimo że smagły i ciemnowłosy, nie pochodził z Kaukazu”.

– To dopiero – rzekła Nastia cicho, kładąc kartkę na kolanach. – Ale mnie pan załatwił. To przecież ten sam mężczyzna, którego widziano w hotelu Rossija, gdy zmarł Jurcew.

– No cóż, zaczekajmy z ostatecznymi wnioskami – łagodnie zauważył Gordiejew. – Jeszcze nie wiadomo, czy to ten sam facet, choć wygląd na to wskazuje. Dzisiaj po południu zjawi się tutaj matka Bazanowa i paru uczestników bankietu, spróbujemy zrobić portret pamięciowy, potem podsunie my go Bazanowowi, razem z kilkoma innymi, i poprosimy, żeby wskazał mężczyznę, który chciał, by mu rozmienił pieniądze. Na razie się tym nie frasuj, to robota Docenki. Ty zaś, dziecko, przemyśl następującą rzecz: Bazanow nie jest oczywiście gigantem myśli, przeciwnie, mimo to w jego czynach i słowach powinna być jakaś elementarna logika. No wiesz, całkiem elementarna, na poziomie zdrowego rozsądku. Przyjrzyj się, gdzie kłamie, a gdzie mówi prawdę, i pomyśl, co z tego wynika i jak to sprawdzić. Siemionycz wzywa cię na trzecią, więc przed wyjściem wpadnij do mnie i zamelduj.

Nastia wróciła do swego pokoju, powiesiła do szafy kurtkę, którą rzuciła niedbale na biurko, włączyła grzałkę, żeby zrobić sobie kawę, i w zamyśleniu zaczęła wyciągać ze swojej pojemnej torby dokumenty, które zabrała wczoraj, jadąc do ministerstwa na spotkanie z generałem Konowałowem, nieoficjalnie zwanym przez Wiktora Aleksiejewicza Gordiejewa Siemionyczem. Ogarnięta nagłą furją, z gniewem podarła i wyrzuciła do kosza długie arkusze wydruków z wykazami i tabelami, które tak sumiennie i wytrwale opracowywała na komputerze w domu. Kretynka! Skończona kretynka! – szeptała zapamiętale, przedzierając na pół kolejny

zwinięty w rulon arkusz. Dlaczego pomyślałam o tym dopiero wczoraj? Powinnam była się domyślić, że od razu należy to sprawdzić. Najpierw powinnam była się upewnić, że ofiary kata należały do grupy figurantów pojawiających się w sprawach, ale coś się nie kleiło i nie pasowało. A ja z góry przyjąłam, że tak jest i na tym zbudowałam hipotezę dotyczącą milicjanta, który postanowił na własną rękę wymierzyć sprawiedliwość. Zarozumiała gęś! Zmarnowałam dwa tygodnie, cała robota na nic. W tym czasie mogłam zrobić mnóstwo pożytecznych rzeczy, tymczasem straciłam dwa tygodnie diabli wiedzą na co. Powinnam za to wylecieć na bruk!

Gniewne słowa skończyły się razem z niszczonymi dokumentami. W tym samym czasie zagotowała się woda w wysokim ceramicznym kubku. Nastia zrobiła sobie mocną kawę, zapaliła papierosa i zaczęła się powoli uspokajać. Ręce jeszcze wprawdzie się trzęsły, serce biło jak oszalałe, ale złość minęła, ustępując miejsca poszukiwaniom racjonalnych wniosków. Bądź co bądź, powiedziała sobie Nastia Kamińska, gdybym nie zajęła się sporządzaniem list milicjantów, tobym nie odkryła, że w paru obwodach nastąpiła znacząca wymiana kadr, zaczęła się jakieś trzy, cztery miesiące po przestępstwach, których sprawcy są teraz metodycznie likwidowani przez kata. Gdybym się tego nie dowiedziała, nie potrafiłabym wskazać obwodów, w których kat niedługo się pojawi. Nowa ofiara dowodzi, że czekają nas jeszcze co najmniej trzy zabójstwa. Trzeba ocalić ofiary. I znaleźć kata. Wszyscy powinni ponieść karę za swoje czyny. Szkoda, rzecz jasna, że ofiara nie należała do grupy figurantów, bo to poważnie utrudnia zarówno poszukiwania, jak i ochronę. Szkoda też, że każdy może się okazać katem, że to nie nasz funkcjonariusz, bo znacznie trudniej namierzyć osobę znikąd. Ale przynajmniej wiadomo, gdzie się pokaże. Oczywiście nie na sto procent, ale z dużą dozą prawdopodobieństwa...

Rozdział 16

Na początku marca za miastem było zdumiewająco ładnie. Mróz zelżał, słupek rtęci w termometrach nie spadał poniżej minus ośmiu stopni, a w ciągu dnia sięgał zera, ale śnieg, który w mieście topniał i zamieniał się w brązową breję, pod Moskwą wciąż cieszył oko bielą. Dzisiaj Grigorija Walentinowicza Czincowa czekało kolejne spotkanie z nowymi pracodawcami. Poprzednim razem, gdy Siergiej zobaczył na ulicy kobietę będącą krewną Pawła i dlatego Czincow musiał dotrzeć taksówką na miejsce spotkania, omówiono tylko ogólne kierunki i warunki współpracy. Tym razem usługi Czincowa były potrzebne nie po to, żeby wykluczyć rywali z gry, ale po to, żeby przeciągnąć na swoją stronę pewne ugrupowania polityczne, a co za tym idzie – ich elektorat. Tak więc hasło, które odtąd towarzyszyło Grigorijowi Walentinowiczowi w snuciu ulubionych intryg, brzmiało: „Przyłącz się do nas, bo skończysz marnie”.

Informacja, że zabójczy wywiad z Aleksandrem Ratnikowem załatwił właśnie Czincow, dotarła do jego nowych pracodawców i spowodowała, że uznali go za obrotnego i wpływowego. Wiązali z nim pewne plany. Tyle że co tak naprawdę może im zaproponować? Niestety nic. To znaczy nic takiego, czego nie może zaproponować ktoś z doświadczeniem w tej dziedzinie.

Sierioża i Nikołaj śledzili krewną Pawła najpierw tylko do jej mieszkania. Gdy nazajutrz gdzieś wyszła, zgubili ją w metrze. Idioci! W ciągu ostatnich paru lat rozjeżdżali się samochodami, już zapomnieli, co to takiego moskiewskie metro w godzinach szczytu. Tymczasem nie wolno im było się zbliżać do obserwowanej kobiety, bo mogła ich przecież rozpoznać, w Uralsku przez niemal pół godziny siedziała przy ich stoliku, prowadziła pijackie rozmowy.

Potem ją oczywiście znaleźli, śledzili w drodze z domu do budynku GUWD na Pietrowce i tego samego dnia odkryli, że spotyka się z Pawłem. Ale Saulak, cwany sukinsyn, ich zauważył i usiłował uciec. Spędził noc u Anastazji, czy jak tam ona naprawdę się nazywa, a rano się wymknął. I przepadł nie wiadomo gdzie. Sierioża i Kola niemal przez dwa tygodnie nie odstępowali Anastazji, ale nie doprowadziła ich do Pawła. Teraz Czincow wie, że Saulak gdzieś się przyczaił i przez dłuższy czas się nie zjawi. Nie da się go znaleźć. Upadła też nadzieja, że kobieta się przyda. Wygląda na to, że pracuje w Głównym Urzędzie Spraw Wewnętrznych, bo udaje się tam każdego ranka. Co ją łączy z Pawłem? A zresztą to przecież jego krewna, więc co za różnica, gdzie pracuje. Wiadomo, dlaczego się z nim spotyka. Ale szkoda, że nie można jej wykorzystać, nawet jeśli jest taka jak Saulak.

Skoro jednak Czincow nie może się posłużyć Pawłem ani tamtą kobietą, co zaproponuje nowym pracodawcom? Zabrzmi to smutno, ale nie ma w zanadrzu nic szczególnego. Najzwyklejszy zestaw usług. A oni liczą na to, że potrafi i może znacznie więcej. Na tym polega jego wartość. Wywiad z Ratnikowem stał się jego wizytówką. Co za niefart, szlag by to trafił!

Samochód skręcił z szosy na polną drogę i parę minut później zatrzymał się przy wysokim, solidnym ogrodzeniu. Siedzący za kierownicą Sierioża lekko zatrał i niemal w tej samej chwili przez furtkę wyszedł umięśniony mężczyzna w mundurze moro. Wziął od Czincowa dokument potwierdzający jego status deputowanego, odszedł parę kroków i powiedział coś do mikrofalówki, po czym szeroka brama otworzyła się, pozwalając, by samochód wjechał na teren strzeżonej posesji.

Przed wejściem Grigorij Walentinowicz zobaczył jeszcze jednego ochroniarza, był tak samo napakowany jak poprzedni i miał na sobie podobny mundur. Samochody zaparkowane przed domem świadczyły o tym, że Czincow nie przyjechał pierwszy. Drugi ochroniarz też obejrzał dokumenty gościa, zanim go wpuścił do środka. Wreszcie Czincow mógł wejść. Pośpiesznie się rozebrał, czując nieprzyjemne ssanie w żołądku. Podczas pierwszej wizyty u nowego pracodawcy czuł się znacznie pewniej, bo Sierioża śledził

kobietę, która mogła doprowadzić do Pawła, istniała nawet szansa, że uda się ją nakłonić do współpracy. A dzisiaj co powie? Jakie obietnice złoży? Jakie polecenia będzie mógł wykonać? Powinien się wycofać, ale już za późno. Szykują się niezłe pieniądze, szkoda z nich rezygnować. Musi coś wymyślić na swoje usprawiedliwienie. Może powiedzieć o Pawle? Nie. Paweł jest nicią prowadzącą do innych przestępstw i brudnych sprawek, w których Grigorij Walentinowicz maczał palce. A zresztą gdyby się przyznał, że jego atutem jest Paweł Saulak, pracodawca wpadnie na pomysł, żeby go odszukać i zatrudnić, Czincow nie będzie mu już potrzebny. Nie, nie wolno wspominać o Pawle. Tylko jak w takim razie wyjaśnić, że jeszcze niedawno Czincow mógł załatwić wszystko, a dzisiaj nie może?

Gości było niewielu, zaledwie trzech, razem z Czincowem czterech. Pracodawca przedstawił Grigorija Walentinowicza, poznał go z pozostałymi gośćmi. Ich miny powiedziały Czincowowi, że oni też wiedzą o Ratnikowie. To sprawiło, że do reszty stracił humor.

– Wiemy, że wszelkie próby prezydenta, by rozwiązać konflikt czeczeński, są blokowane przez siły, którym zależy na dalszej wojnie. Ugrupowań jest sporo, każde ma swój interes. Trzy są najważniejsze. Pierwsza grupa czerpie dochody z handlu bronią. Druga ma dostęp do pieniędzy z budżetu Rosji na odbudowę Czeczenii. Trzecia kontroluje rafinerie na jej terenie i eksportuje ropę za granicę. Wszystkie siły się skonsolidowały i robią, co mogą, żeby wojna się nie skończyła. Dzisiaj dotarła do nas informacja, że w najbliższym czasie Dudajew zamierza przypuścić szturm na Grozny. Będzie tam wtedy dowódca wojskowy wysokiej rangi. Jeżeli do szturmu dojdzie w jego obecności, nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko przejąć dowodzenie i pokazać, na co go stać. Nic sensownego, rzecz jasna, nie zdoła zrobić i straci reputację świetnego stratega. Nie wolno zapominać, że ucierpi na tym cała armia. Jeżeli uda nam się ocalić reputację dowódcy, będzie nam wdzięczny. To oczywiste, że w tym celu należy zrobić tylko jedno: sprawić, by wyjechał z Groznego co najmniej parę godzin przed rozpoczęciem szturmu. Nie możemy jednak zdradzić, że znamy godzinę ataku. Dowódca to człowiek nieprzewidywalny, może się połapać, skąd mamy informacje.

– A naprawdę je mamy? – odezwał się tęgi mężczyzna w nieco pogniecionym garniturze.

– Będziemy mieli. – Pracodawca uśmiechnął się nieznacznie. – Ale nie powinniśmy się z tym afiszować. Potrzebujemy innego pretekstu. Gdy będzie już po wszystkim, dowódca się dowie, kto mu pomógł uniknąć hańby. A może nawet śmierci, w razie gdyby szturm się przeciągnął i zaostrzył. To bardzo delikatna operacja, panowie, natury psychologicznej. Wojskowi to ludzie dumni, nikomu nie wybaczą oskarżenia o zawodową ignorancję. Podobna myśl nawet nie powinna mu przyjść do głowy.

– Proponuję inne rozwiązanie – włączył się do rozmowy przystojny mężczyzna koło pięćdziesiątki. Przedstawiając go Czincowowi, pracodawca podał jego imię i patronimik: Anton Andriejewicz. –

Wszyscy wiedzą, że dowódca należy do ekipy prezydenta. Jeżeli uda nam się wbić klin między niego a innych szefów Ministerstwa Obrony, wojskowi się na niego obrażą i odwrócą od prezydenta. W efekcie przystaną do nas, jako że uosabiamy taki stan rzeczy, w którym armia cieszy się szacunkiem i poważaniem. Ale zgadzam się, że warto wykorzystać sytuację związaną ze szturmem Groznego.

– Przygotował pan plan? – zainteresował się pracodawca.

– W ogólnych zarysach. – Anton Andriejewicz kiwnął głową. – Ale do tego potrzebny jest człowiek ze sztabu wojskowego Dudajewa. Mamy takiego?

– Znajdziemy. Niech pan przedstawi swoją koncepcję, Antonie Andriejewiczu.

– Specsłużby strony rosyjskiej otrzymały jak wiadomo informację, że szturm Groznego jest planowany na dwudziestego trzeciego lutego. Wojska zostały postawione w stan gotowości, ale do szturm nie doszło. Z obozu Dudajewa wyciekła informacja, że przełożono go na dziesiątego marca. Specsłużby zameldowały o tym dowództwu armii. Trzeba się dogadać z Dudajewem, żeby szturm zaczął się wcześniej. Musimy poznać dokładny termin jego rozpoczęcia. Musi to być dzień, gdy nasz dowódca znajdzie się w Czeczenii. Parę godzin przed szturmem wyjedzie stamtąd, należy to załatwić bardzo delikatnie. Sądzę, że pomoc pana Czincowa okaże się tutaj nieoceniona. Drugim etapem operacji będzie publiczna wypowiedź

któregoś z ważnych zwierzchników, że specsłużby zawiodły. Musimy się trochę przyłożyć i oznajmić, że wywiad Ministerstwa Obrony poniósł fiasko. A potem napomknąć w prasie, że specsłużby stanęły na wysokości zadania i ustaliły godzinę rozpoczęcia szturm. To z kolei zasugeruje, że nasz dowódca dał nogę z Groznego, ponieważ nie chciał kierować armią i bał się, że cały świat zobaczy jego zawodowy upadek. Potem nie zostanie mu nic innego, jak tylko oddać GRU na pożarcie opinii publicznej. Będzie miał przecież jedynie dwa wyjścia: albo się przyznać do tchórzostwa, albo potwierdzić, że wywiad pracuje kiepsko. To pierwsze, jak słusznie pan zauważył, jest wykluczone. Pozostaje drugie. Dowódca zrzuci wszystko na wywiad, zarówno swój, jak i nasz, to znaczy FSB. Będzie żądał usunięcia kierownictwa i gruntownego zreformowania pracy specsłużb. Zacznie wydawać swoich przyjaciół i współtowarzyszy. Wtedy się od niego odwróci i przejdą do nas.

– Kuszące. – Pracodawca pokręcił głową. – Ale dlaczego wyklucza pan trzecie rozwiązanie? Dowódca może przyznać, że specsłużby zrobiły, co do nich należy, ale on musiał koniecznie wyjechać z Groznego. I poda jakiś istotny powód. Całkiem uzasadniony. Bo tak naprawdę bez niego nie wyjedzie przecież w pośpiechu. I nie dojdzie do żadnego konfliktu. Wywiad nie zawiódł, a dowódca nie jest tchórzem. Co wtedy?

– Dlatego musimy się postarać, by powody pośpiesznego wyjazdu z Groznego nie zostały podane do publicznej wiadomości. Zresztą o ile wiem, nasz przyjaciel Grigorij Walentinowicz jest wielkim znawcą w tej materii. Niech to będzie jego wkład we wspólną operację. Ja zaś zadbam o ostrą krytykę pod adresem specsłużb z ust ważnych osobistości. Kąśliwe wzmianki w brukowej prasie weźmie na siebie pan Turyszew. – Anton Andriejewicz kiwnął brodą w stronę tęgiego mężczyzny w pogniecionym garniturze. – To jego broszka. A wyjazd dowódcy z Czeczenii będzie stanowił pańskie zadanie, Grigoriju Walentinowiczu. Da pan radę? Zresztą nie ma chyba potrzeby pytać, wszyscy znają pańskie zdolności w tak delikatnych sprawach. Oczywiście, że da pan radę. Ale musimy działać niezwłocznie, panowie. Czasu zostało niewiele, pojutrze dowódca wyjeżdża do Czeczenii i według wstępnych prognoz spędzi

tam około czterech dni.

Drzwi do pokoju się uchyliły i stanął w nich kolejny ochroniarz, ale już nie w mundurze, tylko w zwyczajnych spodniach i mocno dopasowanym golfie, pod którym prężyły się twarde mięśnie. W ślad za nim przez otwarte drzwi napłynęły nęcące zapachy smażonego mięsa i ostrych marynat.

– Stół gotowy – oznajmił, patrząc na pracodawcę w oczekiwaniu dalszych poleceń.

– No cóż. – Mimo masywnej sylwetki mężczyzna zerwał się lekko z fotela. – Zapraszam na kolację. Jeżeli propozycję Antona Andriejewicza przyjmujemy za podstawę, jak kiedyś lubiono mówić, szczegóły omówimy przy stole. Zapraszam!

Eleganckim, a zarazem władcym gestem pokazał drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju. Przy stole Czincow znalazł się koło Antona Andriejewicza. Turyszew z czwartym gościem usiedli po drugiej stronie, pracodawca u szczytu. Czincow nieco się uspokoił. Zadanie, które mu przydzielono, wydało mu się realne, więc zaczął już obmyślać sposoby jego wykonania. Ale nagle atmosfera się zaogniła.

– A przy okazji – powiedział siedzący naprzeciwko Czincowa Turyszew. – Sądzę, że kogoś takiego jak nasz Grigorij Walentinowicz możemy wykorzystać znacznie lepiej. Mógłby zrobić o wiele więcej.

– Tak? – Pracodawca opuścił widelec, który podnosił do ust razem z soczystym kawałkiem wieprzowiny.

– Moim zdaniem nieprzyjemne wzmianki w brukowej prasie – ciągnął Turyszew – są niezupełnie tym, czego potrzebujemy, by zadać tak potężny cios. Efekt byłby o wiele większy, gdyby jeden z szefów specśłużb udzielił wywiadu, w którym dobitnie by oznajmił, że nasz dowódca został powiadomiony o godzinie szturmu na Grozny rankiem tamtego dnia, gdy tak pośpiesznie opuścił Czeczenię. Że niby on nic nie sugeruje i nie zarzuca nikomu tchórzostwa, jedynie broni się przed publicznymi atakami, które obiecał nam zorganizować szanowny Anton Andriejewicz. No a wnioski obywatele wyciągną sami. Jeśli zaś nie wyciągną, pomogą im środki masowego przekazu. Mgliste domysły pismaków to jedno, czym innym jest porównanie i analiza wypowiedzi paru szefów, w dodatku

wypowiedzi publicznych, a nie zakulisowych plotek. To wygląda o wiele bardziej przekonująco, zapewniam panów. A zresztą historia na pewno rozejdzie się nie tylko u nas, ale też za granicą. Oddźwięk będzie bardzo duży. Przypomnijcie sobie, panowie, ile było krzyku wokół wywiadu z Ratnikowem.

No i zaczęło się! – pomyślał z przerażeniem Czincow. Tylko tego mi brakowało. Ratnikowa załatwił Paweł, żeby go diabli wzięli. Ja tego nie ugryzę.

– Co panowie na to? – Pracodawca wyraźnie się ożywił. – Bardzo dobry pomysł. Przedyskutujmy go.

Czincow wlepił oczy w talerz, za wszelką cenę udając, że dyskusja szczególnie go interesuje. Tymczasem każde wypowiedziane słowo było dla niego jak gwóźdź do trumny.

– Coś mi się zdaje, że pomysł nie przypadł panu do gustu – cicho powiedział siedzący obok Anton Andriejewicz.

– To prawda – odparł Grigorij Walentinowicz żywo.

– Ale dlaczego? Nie wierzy pan w skuteczność takiego rozwoju wypadków? A może widzi pan jakieś rafy, których obecni jeszcze nie zauważyli?

– Nie jestem pewien, czy będę mógł należycie wszystko zorganizować – wymijająco odparł Czincow. – Nie przywykłem pracować w pośpiechu. Potrzeba sporo czasu, żeby przygotować taki wywiad. Rozumie pan?

– Po trosze. – Anton Andriejewicz kiwnął głową. – Chce pan powiedzieć, że aby zmusić szefa specsłużb do pożądanego przez nas wypowiedzi, trzeba go najpierw bardzo długo przygotowywać. Dobrze pana zrozumiałem?

– No właśnie – przyznał uradowany Grigorij Walentinowicz. – Należy mu się przyrzec, nie mówiąc już o tym, że trzeba go wybrać spośród wielu innych. Trzeba też przeanalizować jego życie i przygotować broń, która sprawi, że będzie musiał zrobić to, czego chcemy. To kwestia miesięcy, a nie dziesięciu dni.

– A ile czasu zabrało panu przygotowanie Ratnikowa, jeśli wolno zapytać?

– Cztery miesiące – bez zmruczenia oka skłamał Czincow.

– Doprawdy?

Mężczyzna odwrócił głowę i z ciekawością zerknął na sąsiada przy stole. Jego spojrzenie sprawiło, że Grigorij Walentinowicz poczuł się nieswojo. Czyżby Anton Andriejewicz mu nie uwierzył? Czemu miałby wątpić? Może zna prawdę? Skąd?

– Tak, niech pan sobie wyobrazi, że cztery miesiące – potwierdził stanowczo. – I to w sytuacji, gdy miałem bardzo dobrych pomocników.

– No a teraz? Co się z nimi stało?

– Nie ma ich. – Grigorij Walentinowicz uśmiechnął się znacząco. – Chyba pan wie, jak rozpadła się ekipa, dla której do niedawna pracowałem. Moi pomocnicy pochodzili stamtąd. Mnie niestety nie podlegają, więc teraz nie mam do nich dostępu.

– A może wystarczą panu nasi pomocnicy?

– Czy ja wiem? – niejasno odparł Czincow. – Jeszcze nie znam ich możliwości i umiejętności. Zresztą w ciągu dziesięciu dni nikomu nie uda się wykonać tego zadania. Nie, Antonie Andriejewiczu, to nierealne. Nie chcę pana wprowadzać w błąd i udawać, że potrafię zrobić wszystko, nawet to, czego tak naprawdę nie potrafię. Sprawa, którą się zajmujemy, jest poważna, więc musimy pracować z szeroko otwartymi oczami. Proszę przekonać swoich przyjaciół, że budują zamki na lodzie, licząc na ten wywiad. Za mało czasu.

– Dobrze, jestem gotów przyznać panu rację. Ale czy podjąłby się pan zorganizowania wywiadu, gdybym znalazł panu kompetentnego pomocnika?

– Przecież panu powiedziałem, Antonie Andriejewiczu: nawet z najlepszymi pomocnikami to zajmie grubo ponad miesiąc.

– No cóż, wrócimy jeszcze do naszej rozmowy. – Mężczyzna się uśmiechnął. – Teraz oddajmy należny szacunek mistrzostwu kucharza.

Tymczasem ogólna rozmowa zeszła na tematy finansowania. Grigorij Walentinowicz nadstawiał ucha, domyślając się, że chodzi o zadanie, które miał wykonać.

– Grigoriju Walentinowiczu – zwrócił się do niego pracodawca – wszyscy jesteśmy ludźmi trzeźwo myślącymi i nie żądamy, żeby podzielał pan nasze polityczne przekonania. Zaprosiliśmy pana jako specjalistę i eksperta, zamierzamy godziwie opłacić pańskie usługi.

Jesteśmy więc gotowi omówić warunki.

– Chodzi o zorganizowanie wyjazdu dowódcy z Czeczenii? – z niewinną miną zainteresował się Czincow.

– Nie, mam na myśli wywiad z wybranym szefem specsłużb.

– Grigorij Walentinowicz uważa, że to niemożliwe – włączył się Anton Andriejewicz. – Jestem skłonny przyznać mu rację. Zadanie wymaga bardzo długiego, żmudnego przygotowania, które zabierze ponad dziesięć dni.

– To żaden argument. – Pracodawca się skrzywił. – Im trudniejsze zadanie, tym wyższe honorarium, to właśnie gotowi jesteśmy przedyskutować. Grigoriju Walentinowiczu, na ile wycenia pan zadanie?

– Gdybym miał dość czasu oraz biegłych pomocników – odparł Czincow z wahaniem – szacowałbym, że... No powiedzmy, że pięćset tysięcy dolarów.

– To znaczy, że tyle zapłacono panu za wywiad z Ratnikowem? – uściślił gość, którego nazwiska Czincow nie pamiętał.

– Owszem – odparł stanowczo i znowu skłamał. Malkow zapłacił za Ratnikowa zaledwie dwieście tysięcy. Ale Malkowa już nie ma, więc nikt nie zarzuci Czincowowi kłamstwa.

– A więc biorąc pod uwagę napięte terminy, proponujemy dwa razy tyle. Czy to panu odpowiada?

Milion! Cały milion cudownych szeleszczących zielonych dolarów! Czincowowi zaparło dech z wrażenia. Myślał, że zaczną się targować i obniżyć wysokość honorarium, więc zamierzał się uprzeć przy pięciuset tysiącach, podkreślając trudności związane z brakiem czasu. Miał wielką nadzieję, że kwota ich przestraszy i sami zrezygnują z pomysłu. A tymczasem... Milion! Mój Boże! Jak teraz się wycofać?

– Tak, to mi odpowiada – odparł bezwiednie, zanim pomyślał, w co się wplątuje.

– I gwarantuje pan wykonanie zadania?

– Tak, gwarantuję – powiedział, czując, że wszystko wokół rozplątywa się i wiruje w szalonym tańcu.

Co on robi?! Czemu się zgadza? Idiota! Ale czy można się oprzeć milionowi dolarów?

– A jeśli coś się nie uda? – ciągnął dociekliwy gość po drugiej stronie stołu, siedzący obok Turyszewa.

– Wtedy nie dostanę honorarium. – Czincow uśmiechnął się skąpo, dając do zrozumienia, że to przecież oczywiste.

– Nie, to niemożliwe. Dołożymy wszelkich starań, przygotowując poprzednie etapy operacji, zainwestujemy olbrzymie pieniądze, a na ostatnim etapie okaże się, że niepotrzebnie, bo Grigorijowi Walentinowiczowi coś nie wyszło. Nie możemy się na to zgodzić – zaproponował Anton Andriejewicz. – Przed chwilą się od niego dowiedziałem, że przygotowanie Ratnikowa zajęło mu cztery miesiące. Chyba panowie przyznają, że trudno się spodziewać, by podobna praca została wykonana w ciągu dziesięciu dni. Byłoby to nierozsądne z naszej strony. Proponuję wrócić do pierwszej koncepcji i wykorzystać prasę z pomocą pana Turyszewa. A Grigorij Walentinowicz niech się zajmie organizacją wyjazdu dowódcy z Groznego.

– Nawiasem mówiąc – wtrącił Turyszew – kto miałby się tym zająć, gdyby pan Czincow wziął na siebie wywiad? O tym nie pomyśleliśmy.

– Pan Czincow zrobi to, co mu powierzymy – rzekł pracodawca oschle. – I za każde wykonane zadanie dostanie honorarium. Chyba zapomnieliście, panowie, że zaprosiliśmy go tutaj jako wykonawcę. Do nas należy wskazanie celów, opracowanie planu operacji i znalezienie pieniędzy na jej realizację, do niego zaś wykonanie. Zgadza się, szanowny Grigoriju Walentinowiczu? Jeśli pan sądzi, że nie wiemy, z jakich źródeł pochodziły pieniądze, którymi zmarły gubernator Malkow opłacił pańskie usługi, to się pan grubo myli. Wiemy i w razie potrzeby zdołamy udowodnić. A więc na ile wycenia pan pracę związaną z odwołaniem dowódcy z Czeczenii?

Rozwój wypadków przestraszył Czincowa. Przyparli go do muru, teraz nie ma odwrotu.

– Dwieście tysięcy – wybąkał zdrętwiałymi wargami.

– Doskonale. Czyli że doszliśmy do porozumienia. Proszę pamiętać, Grigoriju Walentinowiczu, że jeśli nie zapracuje pan na te pieniądze, wszystko, co włożył pan sobie do kieszeni przez ostatnie pół roku, zostanie skonfiskowane przez organy ścigania. Zadbamy o to.

Malkow i Jurcew zapłacili panu brudnymi pieniędzmi, my zaś łatwo udowodnimy, że je pan od nich przyjął. Mam nadzieję, że wszystko jasne?

– Oczywiście. Sądzę, że nie będzie żadnych problemów – odparł Czincow, zdając sobie sprawę, że robi kolejny krok w drodze na szafot. I to wielki.



Samochód Antona Andriejewicza jechał z przodu, więc Czincow kazał siedzącemu za kierownicą Sierioży, żeby go nie wyprzedzał. Gdy się rozstawali, mężczyzna rzucił półgłosem:

– Niech pan jedzie za mną. Musimy pogadać.

Samochody Turyszewa i nieznanego gościa zniknęły w oddali, tymczasem Anton Andriejewicz i nieodstępujący go Czincow jechali niezbyt prędko, mimo że pusta wieczorna szosa pozwalała poruszać się o wiele szybciej.

Auto z przodu skręciło w prawo i zjechało na polną drogę.

– Za nim – poleciał Czincow.

Zatrzymali się jakieś dwieście metrów za zakrętem. Anton Andriejewicz wysiadł, kiwając dłonią na Czincowa. Obaj odeszli parę metrów i zaczęli nieśpiesznie przechadzać się tam i z powrotem.

– Wydaje mi się, że znalazł się pan w niekomfortowej sytuacji – zaczął Anton Andriejewicz.

– Owszem – posępnie przyznał Czincow. – I to delikatnie mówiąc.

– A więc nie ma szans na to, żeby zadanie zostało wykonane?

– Są, ale bardzo niewielkie. Przecież panu tłumaczyłem...

– Tak, pamiętam – przerwał mu Anton Andriejewicz. – Czas, pomocnicy i tak dalej. Mogę spróbować pana wesprzeć, jeśli pan chce.

– W jaki sposób? – Czincow się ożywił.

– Załatwię ten wywiad.

– Więc dlaczego nie powiedział pan tego wcześniej? Panu powierzono by zadanie. I zarobiłby pan duże pieniądze. Nie rozumiem.

– Wytłumaczę. – Mężczyzna uśmiechnął się wyrozumiale. – Utało

się, że jako polityczny sprzymierzeniec powinienem robić wszystko dla idei, a nie dla pieniędzy. Pan zaś jest specjalistą i pracuje dla pieniędzy, a nie dla idei. Gdybym powiedział, że mogę wykonać zadanie, nie dostałbym honorarium. Chwyta pan?

– Tak, oczywiście.

– Poza tym wolałbym, żeby moi przyjaciele nie dowiedzieli się o moich możliwościach. To tak, jakbym wszystkim powiedział, że mam doskonałego dentystę, bliskiego przyjaciela, który jest wyjątkowo dobry i bierze niedrogo od znajomych. Wszyscy od razu zaczęliby mnie prosić, żebym załatwił im dobrego stomatologa za niewielkie pieniądze, przedstawiając mu ich jako swoich znajomych. Rozumie pan? A ja musiałbym się zgodzić, bo nie wypadałoby odmawiać, ale pozbawiłbym swojego przyjaciela godziwych zarobków, zmuszając, by tracił czas dla moich znajomych, którzy mało płacą. Mógłby przecież leczyć innych pacjentów, którzy płaciliby żadaną stawkę. Ludzie, jak pan wie, są dość bezceremonialni i mają nieprzyjemny zwyczaj przyciskania kogoś do muru, żądając usług i przysług. Jednym słowem, mogę załatwić sprawę wywiadu, ale nie chcę się afiszować. No i pracować za darmo. Więc może się dogadamy?

– Jakie są pańskie warunki? – zapytał Czincow, czując, jak nieśmiała nadzieja wlewa w niego życiodajne siły.

– Zajmie się pan organizacją wyjazdu dowódcy z Czeczenii i zainkasuje honorarium w wysokości dwustu tysięcy dolarów. Ja zaś załatwię wywiad, który będzie pan jedynie firmował, więc po otrzymaniu honorarium od razu mi je pan przekaże. To wszystko.

Milion odpływał, kołyszając się na falach i machając rączką w pożegnalnym geście. Grigorij Walentinowiczowi zobaczył w wyobraźni ten sugestywny, na dodatek barwny obraz.

– Mam panu oddać cały milion? – zapytał na wszelki wypadek, łudząc się, że przynajmniej część cudownych zielonych banknotów się rozmyśli, zawróci i popłynie z powrotem do brzegu.

– To panu nie odpowiada? – zdziwił się Anton Andriejewicz. – W takim razie jestem gotów wysłuchać pańskiej propozycji.

– Wydaje mi się, że nieujawnienie pańskiej tajemnicy też jest coś warte – zauważył Czincow.

– A nieujawnienie pańskich tajemnic nie ma ceny? Zgadza się pan, żeby pochodzenie pieniędzy, które otrzymał pan od Malkowa, zostało upublicznione i stało się podstawą do wszczęcia dochodzenia karnego? Grigoriju Walentinowiczu, obaj będziemy milczeć i w ten sposób się rozliczymy. A milion mi pan odda. Jeśli to panu nie odpowiada, nie musi pan przyjmować mojej pomocy. Przecież nie nalegam. I nie obrażę się, daję słowo.

– Nie, nie, zgadzam się. – Czincow westchnął. – Wszystko mi odpowiada. Umowa stoi.

– No to świetnie. – Anton Andriejewicz się uśmiechnął. – Wobec tego możemy wracać.

Wsiadając do samochodu, Czincow poczuł ulgę. Z milionem będzie musiał się oczywiście pożegnać, ale szczerze mówiąc, nie zarobiłby go bez Pawła. Jego zaś nie udałooby mu się odszukać i skłonić do pracy w ciągu dziesięciu dni. Za to dwieście tysięcy za wyjazd dowódcy z Groznego jest całkiem realne!

⋮

Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew w zamyśleniu spoglądał na Jurę Korotkowa, analizując informacje, które przed chwilą usłyszał. Korotkow miał się dowiedzieć, kim jest Grigorij Walentinowicz Czincow, z czego żyje i dlaczego dwaj mężczyźni jeżdżący jego samochodem z uporem stają na drodze Anastazji Kamieńskiej. Okazało się, że Czincow pracuje w aparacie Dumy Państwowej, a dwaj mężczyźni jeżdżący jego srebrzystym autem marki Audi, rocznik dziewięćdziesiąty pierwszy, to Siergiej Jakowlew i Nikołaj Obidin. Jura ich rozpoznał, to właśnie oni byli w Samarze i w Uralsku. A więc najpierw interesowali się Saulakiem, a nie Anastazją. Wygląda na to, że Anton Andriejewicz Minajew, mówiąc swojemu przyjacielowi, generałowi Konowałowowi, że zacznie się polowanie na Saulaka, miał na myśli właśnie Czincowa i jego chłopców. Do tego momentu wszystko pasowało.

A potem Korotkow oznajmił, że Czincow wybrał się za miasto, żeby odwiedzić dobrze znanego człowieka polityki. Niby to nic takiego, ale o tej samej porze gościł też u niego Anton Andriejewicz Minajew. Na

dodatek w drodze powrotnej do Moskwy Minajew i Czincow zatrzymali się, żeby o czymś porozmawiać. To się bardzo nie spodobało pułkownikowi Gordiejewowi. Skoro na samym początku Minajew zdeklarował się jako przeciwnik Czincowa, dlaczego teraz znaleźli się w jednym szeregu? Wiktor Aleksiejewicz nie znosił politycznych intryg, ale nie mógł pozwolić, żeby w ich efekcie Nastia stała się krzywda. Przecież Saulak od początku stanowił przeszkodę. A Nastia pomogła go wywieźć sprzed nosa ludzi Czincowa. Więc jeśli Minajew i Czincow się dogadali, kto wie, czy to się nie odbije na Kamieńskiej?

– Ale przecież Anastazja spełniała prośbę Minajewa – powiedział Korotkow. – Facet miałby jej odpłacić czarną niewdzięcznością?

– Kto go tam wie. – Wiktor Aleksiejewicz pokręcił głową bez przekonania. – Teraz panuje moda na wydawanie przyjaciół i pomocników. Biję się z myślami, czy powiedzieć Nastazji o Minajewie. Może jeszcze poczekać, jak sądzisz?

– Ja bym powiedział. A nuż wpadnie na jakiś pomysł.

– Wpadnie na pomysł – powtórzył pułkownik, przedrzeźniając Korotkova. – No pewnie, tobie tylko to przychodzi do głowy. Przyzwyczyłeś się traktować ją jak maszynkę do pomysłów. A nie pomyślałeś, że się przestraszy? Pamiętaj, że ona też ma nerwy. Jakbyś się poczuł, gdybyś się dowiedział, że ktoś może cię wykorzystywać jak pionka w grze między Dumą a FSB?

– Nieszczególnie – przyznał Korotkow. – Ale niech pan mnie do niej nie porównuje, Aśka jest inna. Im trudniejsza sprawa, tym większą czuje ciekawość. Ona rozumuje zupełnie inaczej.

– Tu nie chodzi o trudność, tylko o niebezpieczeństwo – z irytacją odparł Gordiejew. – Dobrze, podjąłem decyzję. Na razie ani słowa Nastazji. Gdzie Siełujanow?

– W terenie. – Korotkow wzruszył ramionami. – Gdzie niby miałby być? Wykonuje zadanie.

– Jak się zjawi, od razu do mnie. Obaj. I milcz, Korotkow, na miłość boską. Wiem, że od lat przyjaźnisz się z Nastazją i masz wstrętny nawyk zwierzania jej się i dzielenia się nowinami. Jak piśniesz choćby słowo na temat Minajewa i Czincowa, wyrzucę cię na zbity pysk z roboty. Jasne?

Po wyjściu Korotkowa Wiktor Aleksiejewicz przez dłuższą chwilę siedział pogrążony w rozmyślaniach, potem zdecydowanym ruchem wstał, włożył płaszcz, zamknął pokój i opuścił budynek na Pietrowce.

⋮

- Jak ci się podoba moja Anastazja? – zapytał Wiktor Aleksiejewicz.
- Nie masz żadnych uwag co do jej pracy?
- Można pomyśleć, że przyjechałeś, by o to zapytać – odparował Konowałow. – Nie ściemniaj, Wiktor. Jaką masz do mnie sprawę?
- Nie, Aleksandrze Siemionowiczu, to ty masz sprawę, nie ja. Ale przez wzgląd na naszą starą przyjaźń i to, że jesteś w końcu moim szefem, choć nie bezpośrednim, sam do ciebie przyjechałem.
- No, no – powiedział Konowałow z zainteresowaniem. – Posłuchamy.
- Czemu wystawiasz moją dziewczynę, he? Czy po to powierzyłem jej twoje zadanie? Postępujesz nieuczciwie.
- Możesz jaśniej? – Szef resortu się zaniepokoił.
- Jaśniej się nie da – odparł Gordiejew z gniewem. – Sam nic nie rozumiem. Kim jest ten twój Minajew?
- Jak to kim? Przecież się poznaliście.
- Od dawna go znasz?
- Ze sto lat. Niewiele krócej. O co chodzi, Wiktorze?
- O to, Aleksandrze Siemionowiczu, że twój Minajew poprosił o ochronę dla Pawła Saulaka, powołując się na knowania jakichś wrogów. Uwierzeliśmy mu, wysłaliśmy Anastazję na ratunek, polecenie zostało wykonane, dziewczyna odstawiła Saulaka prosto w objęcia generała Minajewa. W drodze się okazało, że jacyś ludzie rzeczywiście nie spuszczały oczu z Saulaka, i to ani przez chwilę. W dodatku do tej pory się nim interesują, nadal go szukają i deptają mu po piętach. A teraz nagle się dowiaduję, że pracują dla dobrego znajomego Minajewa. Obaj panowie biorą udział w jakichś politycznych spotkaniach i prowadzą poufne rozmowy, ukrywając się przed niepowołanym wzrokiem. Więc nie mogę się oprzeć nieprzyjemnemu wrażeniu, Aleksandrze Siemionowiczu, że twój

koleś z FSB wodzi cię za nos. A przy okazji mnie. Że zwyczajnie wystawił moją dziewczynę.

– Zaczekaj, Wiktorze, zaczekaj. Jesteś pewien tego, co mówisz?

– Na sto procent.

– Kim jest ten mężczyzna, z którym Minajew prowadzi poufne rozmowy?

– Niejaki Czincow z Dumy Państwowej. Nie słyszałeś o nim?

– Nie. – Konowałow pokręcił głową.

– Zobacz, jaką mamy sytuację. Skoro Minajew i Czincow należą do tej samej ekipy, czemu miało służyć kłamstwo, że Pawła ktoś szuka? Szukali go przecież ludzie Czincowa, którzy nie stanowią żadnego zagrożenia dla Minajewa. A skoro Minajew chciał uratować Saulaka właśnie przed Czincowem, widocznie prowadzą między sobą jakąś grę. Moja dziewczyna została w nią wplątana. Weźmy inną hipotezę. Minajew i Czincow dogadali się dopiero teraz. W chwili gdy Saulak wychodził z kolonii karnej, rzeczywiście byli w innych drużynach. W takim razie dlaczego ludzie Czincowa nadal ją śledzą? Dlaczego siedzą przez całą noc w samochodzie pod jej oknami?

Tutaj Wiktor Aleksiejewicz oczywiście przesadził. Wiedział, że ludzie Czincowa, Jakowlew i Obidin, przestali się interesować Anastazją. Ale umyślnie wyolbrzymił zagrożenie, licząc na to, że zaniepokoi Konowałowa. Nie podobał mu się bliski związek generała Minajewa z człowiekiem, którego tak niedawno przedstawiał jako swojego wroga.

– Zrozum, Aleksandrze Siemionowiczu, wysłałem Anastazję do Samary, bo zgodnie z twoim zapewnieniem wyglądało na to, że ktoś chce sprzątnąć Saulaka. Innymi słowy, obaj, a raczej ja, idąc za twoją sugestią, zareagowałem jak normalny milicjant: skoro szykuje się zabójstwo, a ja o tym wiem, moim obowiązkiem jest mu zapobiec. Albo przynajmniej postarać się to zrobić. Jeżeli jednak to tylko kłamstwo, jeżeli nie planowano żadnego zabójstwa, po co się sprężaliśmy? To znaczy, że pracowaliśmy w ciemno dla obcego gościa? Daliśmy się oszukać jak nierozumne dzieci? Powiedz mi, po co Anastazja pojechała do Samary? W jakim celu, skoro tak naprawdę Pawłowi Saulakowi nic nie groziło? Co za tym wszystkim stoi?

– A jeśli zagrożenie jednak istniało?

– Jeśli istniało, to dlaczego Minajew gra teraz w drużynie przeciwnika? Przecież wiesz, jakie obowiązują zasady w tej rozgrywce. Gdy dawni wrogowie zaczynają się dogadywać, na znak zgody idą na pewne ustępstwa. Nie słyszałeś, Aleksandrze Siemionowiczu, jak to się odbywa? No to ci powiem. Jeden drugiemu mówi: „Kiedyś twój człowiek zrobił mi świństwo, zaszkodził w pewnej sprawie. Narobił kłopotów. Jak mi go oddasz, ukarzę go ku swojej uciechu, a innym dla postrachu”. No i tak się dzieje, możesz mi wierzyć. Ja zaś bardzo bym nie chciał, żeby potraktowano w ten sposób moją Anastazję.

– Minajew to porządny facet i świetny profesjonalista, Wiktorze. Nie wierzę, żeby uknuł jakąś brudną intrygę. Zabij mnie, ale nie wierzę. Może się mylisz? Jesteś pewien swoich informacji?

Generał Konowałow wiedział, jak i o co należy pytać. Człowiek może być pewien tylko tych informacji, które sam zdobył. Tylko tego, co zobaczył na własne oczy, usłyszał na własne uszy, dotknął własnymi rękami. Cała reszta to kwestia zaufania do osoby, która dostarczyła informacji. Czy pułkownik Gordiejew był absolutnie pewien Korotkowa? Czy dałby sobie rękę uciąć, że Jura się nie pomylił? Czy mógł przysiąc, że naganiacz pracujący dla złodziei samochodów, z którym rozmawiał Misza Docenko, podał właściwy numer rejestracyjny auta? Tak, numer był raczej prawdziwy, bo Jura Korotkow na własne oczy widział ludzi, którzy jeździli tym samochodem i potrafił ich rozpoznać. Takie zbiegi okoliczności się nie zdarzają. A jeśli ich z kimś pomylił? Przecież Anastazja nie widziała ich w Moskwie i nie może potwierdzić, że Korotkow ma rację. No i czy w ogóle doszło do spotkania za miastem u znanego polityka, które Minajew i właściciel samochodu opuścili razem? Czy naprawdę to Minajew i Czincow zatrzymali się późnym wieczorem na drodze i o czymś rozmawiali? A może Jura się pomylił i chodziło o kogoś innego? Ach, gdyby Gordiejew widział to wszystko sam, na własne oczy! Wtedy o wiele bardziej stanowczo rozmawiałby z Konowałowem.

– Możesz uznać, że to zwyczajne informacje operacyjne – powiedział oschle. – Oceniając ich wiarygodność, trzeba zakładać

ten sam co zwykle poziom błędu i domniemań. Czyżby wydały ci się całkowicie niewiarygodne?

– Moim zdaniem to raczej nieporozumienie. – Konowałow uchylił się od odpowiedzi. – Ludzie mogą się spotkać przypadkiem i nawet zaprzyjaźnić, nie podejrzewając, że kiedyś stali po przeciwnych stronach. Sam wiesz, że takie rzeczy się zdarzają. Nie chciałbym, żebyś podejrzewał Minajewa o coś brzydkiego.

– Możesz za niego ręczyć?

– Tak... Sądzę, że tak – odparł Aleksander Siemionowicz twardo.

Wiktor Aleksiejewicz wrócił na Pietrowkę zadowolony z wyniku rozmowy. Był pewien, że najdalej wieczorem Aleksander Siemionowicz Konowałow skontaktuje się z Antonem Andriejewiczem Minajewem i poinformuje go o rozmowie z pułkownikiem z MUR-u. Nie, Gordiejew wcale nie podejrzewał szefa resortu o dwulicowość. Ale przypuszczał, że rozmowa go zaniepokoi i sprawi, że Konowałow zechce pogawędzić z Minajewem, choćby po to, by się upewnić, że Gordiejew nie ma racji. A zarazem po to, żeby przestrzec Antona Andriejewicza przed Czincowem. Zdaje się, że to ten sam człowiek, którego ludzie zamierzali rozprawić się z Pawłem w Samarze. Stara przyjaźń...

Pod wieczór zjawił się Kola Siełujanow. Obaj z Korotkowem stawili się u Gordiejewa.

– No cóż, moi drodzy – prosto z mostu zaczął pułkownik. – Bierzemy pod lupę generała Minajewa. Przyjrzyjcie się, jak będzie się zachowywał, z kim się spotka. Ten człowiek mi się nie podoba, więc chcę wiedzieć o nim wszystko. I ani słowa Anastazji. Zabiję, jeśli się wygadacie. Nie uruchamiamy procedury obserwacji zewnętrznej. O zamiarze śledzenia generała z FSB musielibyśmy zameldować i zaczekać na zgodę. Wtedy jednak wszystko by się wydało, a tego nie potrzebujemy. Nie kryje się za tym żadne realne przestępstwo karne, działamy na własne ryzyko, nielegalnie i po partyzancku. Chodzi o naszą Anastazję, więc musicie się postarać, chłopcy. Korotkow, wprowadź Kolę w temat. To wszystko, możecie odejść.

Koło ósmej Gordiejew uporał się z pilną robotą i już miał wezwać do siebie Kamieńską z meldunkiem dotyczących bieżących spraw,

ale się rozmyślił i sam do niej poszedł. Anastazja siedziała przy biurku zawalonym stosami dokumentów, blada, z sińcami pod oczami. Ale te jej błyszczały i Gordiejew się domyślił, że to oznaka zmęczenia, a nie choroby.

– Masz coś ciekawego? – zapytał dziarsko.

– Parę rzeczy – odparła z uśmiechem, prostując się i rozcierając zdrętwiałe plecy.

Gdy zdała szczegółowe sprawozdanie z postępów w pracy, Gordiejew już po raz któryś z kolei zdziwił się, że Kamińska nigdy nie odpuszcza. On pewnie nie zdołałby tak długo ślęczeć nad papierami, informacjami, cyframi i schematami. Zawsze rozpierała go energia i wielogodzinne siedzenie w gabinecie nie było tym, co lubił najbardziej. Tymczasem Anastazja potrafiła godzinami tkwić przy biurku, pochłonięta zajęciem, które wymagało skrupulatności i uwagi.

– Jak postępują prace w zespole Konowałowa? Już przestałaś się martwić?

– A czemu? Było widać, że się martwię?

– I to jak. – Gordiejew się uśmiechnął. – Ale tylko ja to zauważyłem. Znam cię jak zły szeląg. Gdy mówisz obojętnym, lekkim tonem, a ręce ci drżą, to znaczy, że zaraz zaczniesz rozbijać naczynia albo drzeć brudnopis. Przyznaj się, rozbiłaś parę kubków?

– Nie. – Nastia się uśmiechnęła. – Nie mam ich dużo, więc o nie dbam.

– No to podarłaś notatki na drobne kawałki.

– Na duże – uściśliła. – To akurat się zgadza.

– Ale już ci przeszło?

– Oczywiście. Teraz opracowuję nowe koncepcje. Próbuję wyjść nie od życiorysu, ale od charakteru. Wie pan, teraz to modne: rekonstrukcja osobowości przestępcy na podstawie cech popełnionych przestępstw. Przydaje się zwłaszcza wtedy, gdy przestępstw jest parę.

– Uległaś modzie? Dawniej się to nie zdarzało – zauważył Wiktor Aleksiejewicz.

– Nie miałam wyjścia. – Rozłożyła ręce. – Złość mnie ogarnia na myśl, że kat kręci nam się pod samym nosem. Jestem niemal

pewna, że nie pomyliłam się co do obwodów. Jego następna ofiara, jeśli oczywiście dojdzie do zabójstwa, pojawi się w jednym z trzech pozostałych obwodów. To bardzo przykre, gdy się wie, gdzie się pojawi, i nie można nic z tym zrobić. Pomyliłam się co do ofiar i najwyraźniej co do potencjalnych przestępców. Ale nie co do miejsca!

– Czyżby żal ci było ofiar? I zwyrodnialca, który uśmiercił jedenaścioro dzieci, i tamtego, który zabił jedenaście dziewcząt? Nie poznaję cię, dziecko. Niech ich ten kat wykończy, świat będzie choć trochę czystszy.

W oczach Gordiejewa pojawiły się figlarne błyski, umyślnie prowokował Nastię, mówiąc oczywiste głupstwa, niewybaczalne dla profesjonalisty. Nie wolno zrzucać się funkcji karzącej na rzecz samozwańcych katów, podobnie jak nie wolno pozwalać, żeby ją sobie sami przypisywali. Nastia ani przez chwilę nie wątpiła, że Gordiejew żartuje, ale podjęła grę.

– No tak, ma pan rację, nie przeczę – powiedziała. – Ale później musimy go schwytać, prawda? Musimy. Choćby po to, żeby zapytać: skąd, mój drogi, dowiedziałeś się tego, czego milicja z siedmiu obwodów plus rosyjskie ministerstwo nie mogła się dowiedzieć przez trzy lata? Zaraz, zaraz. – Nagle spoważniała i zerknęła na szefa zupełnie inaczej. – Powiedziałam właśnie coś mądrego, nawet tego nie zauważając.

– Niby co? Na razie nie usłyszałem żadnej mądrej myśli.

– Dlaczego kat zabija ich właśnie teraz i po kolei? Wszystkie zbrodnie popełniono dwa i pół roku, najdalej trzy lata temu! Mniej więcej wtedy. Kiedy się dowiedział, kto je popełnił? Mówię niejasno, tak?

– Owszem. – Gordiejew skinął głową. – Denerwujesz się, dziecko. Uspokój się i zacznij od samego początku.

Wiktor Aleksiejewicz zauważył, że Anastazji drżą palce, w których nerwowo zaciskała papierosa. Wiedział, że nagła myśl i zaskakujące przypuszczenie sprawiają, że Kamińska zaczyna się denerwować. Jakby rzeczywiście nie miała nic ważniejszego i ciekawszego od pracy.

– Dobrze, zacznijmy od początku. Jeśli dobrze obliczyłam, od

ostatniego przestępstwa minęło dwa i pół roku. Pytanie: Kiedy kat się dowiedział, kto jest winien wszystkich przestępstw? Dlaczego zabija ich jednocześnie? Zaczynam podejrzewać, że dopiero teraz się o tym dowiedział, w dodatku od razu o wszystkich. Bo jeśli się dowiadywał i znajdował sprawców jednego po drugim, dlaczego nie rozprawiał się z nimi niezwłocznie, w miarę poznawania tożsamości? Dlaczego to trwało aż tyle czasu? Jeśli nie zwlekał, to znaczy, że ktoś inny, nie kat, szukał informacji i je zbierał, a teraz je mu ujawnił. Może go nawet wynajął, żeby rozprawił się z draniami. Ale nie rozumiem, dlaczego informacje nie dotarły do milicji. Czyżby kat i jego zleceniodawca aż tak nas nienawidzili?

– Może próbował, ale usłyszał, że nie ma wystarczających dowodów.

– On zaś uważał, że jest ich pod dostatkiem. I najwyraźniej się nie pomylił. Ślady linii papilarnych jego ofiar odpowiadają śladom znalezionym na miejscach poszczególnych zbrodni. Jest też inna hipoteza: Kat wynajął kogoś, żeby odszukał siedmiu zabójców. Gdy tamten wykonał robotę i dostarczył wyniki, sam wkroczył do akcji. Nie, Wiktorze Aleksiejewczu, tu trzeba pogrzebać. Coś w tym jest, że kat zabija swoje ofiary niemal jednocześnie. Gdy zrozumiem, dlaczego to robi, na pewno go namierzę.

– Oby tak było – powiedział Gordiejew pokrzepiającym tonem. – Aha, zapomniałem ci powiedzieć, że dzwonił Siemionycz i prosił, żebyś stawiała się u niego jutro o dziesiątej.

– Nie powiedział po co?

– Zdaje się, że prosiłaś o jakieś informacje.

– A rzeczywiście, zapomniałam – zreflektowała się Nastia. – Utonęłam w papierkowej robocie. To prawda, prosiłam o wszystkie materiały dotyczące tamtych serii. Nie o podsumowania, ale o pierwotne dokumenty. Również na temat ofiar kata. Wolę sama przeczytać, niż polegać na powtarzaniu cudzych słów.

– Masz rację – przyznał Wiktor Aleksiejewicz. – Zbieraj się, idziemy do domu. Już późno.

– Dobrze. – Nastia zaczęła posłusznie zbierać dokumenty i wkładać je do teczek i szuflad. – A przy okazji, nie wysłał pan gdzieś przypadkiem Korotkowa?

– Czemu pytasz? – Gordiejew się zaniepokoił.

– Drań obiecał mnie odwieźć do domu, mam ciężką torbę. I się gdzieś zawieruszył. Może powinnam poczekać? A nuż wróci?

– Nie wróci – burknął pułkownik. – Wierz mi, że nie wróci. Lepiej na niego nie czekaj.

– Szkoda. – Nastia westchnęła. – Będę musiała sama wszystko taszczyć.

– Czemu nie jeździsz samochodem? Przecież macie samochód, a ty świetnie prowadzisz.

– Po pierwsze, Loszka go bardziej potrzebuje, bo przecież co rusz musi wpadać do Żukowskiego, do pracy albo do rodziców.

– A po drugie?

– A po drugie nie lubię samochodu i się go boję. Nerwy mnie zawodzą. Zresztą nie znam się na nim. Nawet nie wiem, co ma pod maską, więc jeśli się popsuje, nie zdołam go naprawić. Wolę korzystać ze środków transportu miejskiego. Jadę sobie spokojnie, rozmyślam, wpadam na różne głupie pomysły, a jak dobrze pójdzie, to nawet czytam.

– Wiesz, co ci powiem, moja droga? Udajesz głupią i pięknymi słówkami tuszujesz własne lenistwo. Prowadzenie samochodu i dbanie o niego to wysiłek, przyznaję. Ty zaś nie lubisz się wysilać, chcesz sobie usiąść w metrze i niech cię wiezie.

– Niech wiezie – potulnie przyznała Nastia. – Od tego właśnie jest. A pan by mnie tylko krytykował.

Wyszli razem z budynku i ruszyli w stronę metra. Myśli Gordiejewa uparcie krążyły wokół generała Minajewa i jego związku z Czincowem. Żeby tylko Korotkow i Siełujanow dobrze się spisali. Minajew ma duże doświadczenie w pracy operacyjnej, śledzenie go nie jest łatwe, w każdej chwili może zauważyć ogon. A wtedy awantura gotowa. Wiktor Aleksiejewicz nie da, rzecz jasna, skrzywdzić chłopców, weźmie winę na siebie, przyjmie uderzenie. Byleby tylko Anastazja nie ucierpiała w tej niezrozumiałej, ale brzydko pachnącej grze.

Rozdział 17

Był to jeden z tych rzadkich dni, gdy wczesna pobudka nie wzbudziła w Nastii przerażenia pomieszanego z paniką. Po pierwsze, świt następował już dość szybko, więc wstawanie nie było tak męczące, a po drugie, czekał ją tradycyjny spacer w parku Izmajłowskim w towarzystwie Iwana Aleksiejewicza Zatocznego, szefa resortu do walki z przestępczością zorganizowaną. Znali się od roku, tyle samo trwały spacer, podczas których prowadzili nieśpieszne i niezobowiązujące rozmowy o niczym. Chociaż czasami omawiali też sprawy zawodowe. Nastia wiedziała, że wiele osób wie o tych spacerach i dopatruje się w nich czegoś nieprzyzwoitego, ale Iwan Aleksiejewicz jej poradził, żeby nie zwracała uwagi na plotki i starała się obrócić je na swoją korzyść.

Prawie zawsze towarzystwa dotrzymywał im syn generała Maksim, który chciał się dostać na jedną z uczelni MWD, więc gorliwie szlifował formę, żeby zdać egzamin z wychowania fizycznego. Nastia pamiętała, że jeszcze latem chłopak był przygarbiony i nieco nalany, a jego sprawność fizyczna pozostawiała sporo do życzenia. Ale pod niestrudzoną i bezlitosną kontrolą ojca zamienił się w silnego mężczyznę z imponującymi bicepsami i umięśnionymi łydkami.

– Słyszałem, że Konowałow próbował ściągnąć panią do swojego resortu.

Do tej pory omawiali zupełnie neutralne sprawy, zmiana tematu okazała się tak niespodziewana, że Nastia nie od razu zorientowała się, o co chodzi.

– To prawda. – Skinęła głową.

– A pani odmówiła. Ciekawe czemu? Nie chce pani pracować w jego resorcie? Czy może on się pani nie podoba?

– Powiedziałabym inaczej. Chcę pracować na Pietrowce i podoba mi się Gordiejew. A lepsze jest wrogiem dobrego.

– Mogę zawrzeć z panią układ? – zapytał Zatoczny.

– Niech pan spróbuje. – Nastia się uśmiechnęła.

– Jeżeli kiedykolwiek zechce pani odejść od Gordiejewa, proszę pomyśleć przede wszystkim o mnie. Umowa stoi? To nie oznacza obietnicy, że nieodwołalnie przejdzie pani do mojego resortu. Ale zanim rozpatrzy pani inne propozycje, proszę pomyśleć o pracy u mnie.

– Mówi pan tak, jakby był pewien, że chętni, by mnie zatrudnić, ustawią się w kolejce. Oprócz Konowałowa nikt nawet mi nie proponował, żebym zmieniła pracę.

– Bo wszyscy znają Gordiejewa i wiedzą, że próba przejęcia jego kadr kończy się fiaskiem. Nikt od niego nie odchodzi na własną prośbę.

Tak, to samo powiedział Konowałow. Słowo w słowo.

– Do czego jestem panu potrzebna, Iwanie Aleksiejewiczu? Przystępczość zorganizowana ściśle łączy się z ekonomią, a ja się na niej nie znam. Już panu mówiłam, że dostaję mdłości, gdy słyszę te wszystkie ekonomiczne mądrości.

– Mogę łatwo udowodnić, że nie ma pani racji. Zajmie mi to dziesięć minut, chce pani?

– No tak, znowu zacznie mnie pan przekonywać, że można otworzyć pięć mądrych książek i przyswoić sobie podstawy, a potem wystarczy rok, żeby zgłębić szczegóły. Już mi pan to mówił. Nie jestem ciekawa.

– Da mi pani dziesięć minut? Jestem gotów się założyć o karton soku pomarańczowego.

– Dobrze. Słucham. Lubię sok pomarańczowy.

– Ja też. I jestem pewien, że będzie pani musiała mi go kupić. A więc tak, Anastazjo. W naszym resorcie trwa praca operacyjna zmierzająca do wykrycia dużej zorganizowanej grupy przestępczej, która zarabia na przemyśle narkotyków, broni i żywego towaru. Zajmujemy się nią prawie od roku, ale to normalne. Doskonale pani wie, że potrzeba lat, by rozpracować grupę zorganizowaną.

– Oczywiście. – Nastia skinęła głową.

– Nasza grupa ma bazy przeładunkowe w paru obwodach. Dokładnie w siedmiu. Mam je wymienić?

Nastia gwałtownie się zatrzymała i odwróciła do Zatocznego.

– Mówi pan serio?

– Ma się rozumieć. No to jak, wymienić regiony czy nie trzeba?

– Nie trzeba, wierzę panu na słowo. Wygląda na to, że wtargnęłam na pański teren?

– No cóż, ciągnie tam panią własny interes, serie zabójstw. Więc proszę się nie obwiniać za to, że pani nie wiedziała.

– No a co z Konowałowem?! – zawołała Nastia z irytacją. – On też nie wiedział? Wleźliśmy na pański teren, na którym prowadzona jest praca operacyjna, płączemy się panu pod nogami, przeszkadzamy. Może już coś udaremniliśmy?

– Jeszcze nie zdążyliście. – Zatoczny się uśmiechnął. – Niech pani nie ma pretensji do Siemionycza, od wieków się u nas przyjęło, że nie wie lewica, co czyni prawica. Nie krzyczymy przecież na cały głos, że zajmujemy się tymi regionami. Ale przyzna pani, że wyszło ciekawie? Gdyby pracowała pani u mnie, a nie w wydziale kryminalnym, liczne zbrodnie, które spędzają pani sen z powiek, znacznie wcześniej połączyłyby się z moimi przemytnikami. Po to, żeby wytypować regiony, w których działa nasz sławetny kat, wcale nie trzeba znać podstaw teorii ekonomicznej. Wystarczy być po prostu Kamieńską. No i co, wygrałem swój sok?

– Jaki pan chce? Jaffę czy Wimm-Bill-Danna?

– J 7.

– Rozłożył mnie pan na łopatki, Iwanie Aleksiejewiczu. Proszę zobaczyć, co mamy: Ktoś wykorzystuje sytuację z szaleńcami i seryjnymi zabójstwami, żeby wywołać awanturę i wymienić zwierzchnictwo organów ścigania. To możliwe?

– Czemu nie? W każdym razie potwierdzają to pani informacje na temat zmian kadrowych.

– Widział je pan?

– Nawet czytałem. Wyprosiłem od Konowałowa. Nawiasem mówiąc, zrobiły na nim piorunujące wrażenie.

– Niech pan da spokój. – Nastia machnęła ręką. – Wszystko na darmo. Miałam nadzieję, że drogą analizy przesunięć kadrowych

namierzę kata, tymczasem on chyba w ogóle nie należy do grona milicjantów. Tyle roboty na nic. Iwanie Aleksiejewiczu...

– Tak? Co chciała pani powiedzieć?

– Nic, głupstwo.

– A jednak?

– Przecież powiedziałam, że głupstwo. To niemożliwe.

– Nie poznaję pani, Nastieńko. Kto jak nie pani mówił, że nie wolno myśleć w ten sposób. Kto jak nie pani setki razy mi powtarzał, że wszystko jest możliwe. Trzeba tylko znaleźć wytłumaczenie. Więc co chciała pani powiedzieć?

– Chciałam zrozumieć, co było najpierw, a co potem. Wyszukiwano regiony, w których doszło do głośnych niewyjaśnionych zabójstw, wywoływano awanturę, pod tym pretekstem wymieniano szefów i mianowano nowych, marionetkowych, a potem zakładano bazy w tych regionach. Tak?

– Możliwe. W każdym razie to wielce prawdopodobne.

– A nie odwrotnie?

– Nie rozumiem. – Zatoczny stanął, przerywając miarowy chód, i odwrócił się ku Nasti. – Nie rozumiem, co ma pani na myśli.

– A jeśli najpierw wybrano regiony?

– Żartuje pani! Jak to możliwe?

– A jednak pan nie wierzy.

– Ależ, Nastieńko, trudno w to uwierzyć. To już graniczy z fantazją. Wybrać region nadający się do przestępczych celów, a potem czekać, aż wydarzy się tam coś nadzwyczajnego, żeby wywołać awanturę? To nieprawdopodobne. A jeśli się nie wydarzy? Można przecież czekać latami.

– Iwanie Aleksiejewiczu, ma pan zbyt dobre mniemanie o ludziach. Jest pan romantykiem?

– A pani?

– Raczej cynikiem. Jestem gotowa uwierzyć, że wszystkie głośne seryjne zabójstwa popełniono specjalnie. Rozumie pan? Umyślnie. Były częścią planu. Z tego wynika, że istnieje człowiek, który o tym wie i zna tych, co zorganizowali i popełnili zbrodnię. Opierałam się na założeniu, że poszukiwanie zabójców jest dla kata kwestią wyjaśnienia zbrodni. Dlatego próbowałam go znaleźć wśród

milicjantów i błędnie myślałam, że jego ofiary są figurantami, o których można przeczytać w materiałach operacyjnych. Tymczasem może to tylko kwestia wiedzy. Brzmi niewiarygodnie, prawda?

– Ba – prychnął Zatoczny. – Nie brak pani fantazji. No cóż, niech pani kontynuuje swój wywód. Kim jest ten pani kat i dlaczego w takim razie likwiduje najemnych zabójców?

– Boi się, że zostanie zdemaskowany.

– A dlaczego akurat teraz zaczęło mu to przeszkadzać? Przecież do zabójstw doszło dawno temu. No i po co urządza rytualne gry? Dobrze, zabił i koniec. Po co wciąż pokazuje, że to właśnie ludzie, którzy popełnili kiedyś przestępstwa? Dla kogo całe to przedstawienie?

– Muszę pomyśleć – odparła Nastia bardzo poważnie. – Nie potrafię od razu odpowiedzieć.

– Więc niech pani myśli – zgodził się Zatoczny. – Ale żeby lepiej się pani myślało, powiem coś jeszcze. Zajmując się sprawami przemytu, trafiliśmy na ludzi, którzy z pewnością panią zainteresują.

– Na przykład na kogo?

– Na niejakiego Olega Iwanowicza Jurcewa. Słyszała pani o nim?

– Iwanie Aleksiejewiczu, niech mnie pan nie dręczy – jęknęła Nastia błagalnie. – Tylko od razu dobije. Kto jeszcze? Mchitarow? Izotow? Malkow? Łuczenkow?

– A nawet Siemionow. Cała ekipa Malkowa z nim na czele. Według naszych danych odpowiadają za poszczególne regiony. Są kimś w rodzaju kuratorów.

– Ale ich jest sześciu – szybko zauważyła Nastia. – A regionów siedem. Chyba że się mylę?

– Siedem. Więc powinien być jeszcze jeden kurator. Na razie go nie znamy. Dlatego, kochana Anastazjo Pawłowno, proszę o przyjacielską przysługę. Niech pani namierzy siódmego kuratora. Wtedy będziemy kwita. Podrzuciłem pani informacje na temat zbrodni, więc niech pani też mi pomoże.

– Przecenia mnie pan. – Nastia pokręciła głową. – Wątpię, czy zdołam to zrobić. Przecież w ogóle się nie orientuję w pańskich sprawach.

– Niech pani spróbuje. Nie jestem przecież pani szefem, nie wymierzę kary za niewykonanie zadania.

– Wygląda na to, Iwanie Aleksiejewiczu, że kat najpierw rozprawił się z kuratorami, a dopiero potem zabrał się do zabójców. Nadal jednak nie rozumiem, po co to robi.

– Ja też nie mam pojęcia. – Zatoczny westchnął. – Najpierw pomyślałem, że konkurencyjna firma likwiduje kuratorów, by zająć ich miejsca. Potem doszedłem do wniosku, że to nie robota konkurencji, ale sprawka szefa szajki, który jest niezadowolony z aktywności rywali. Nawet zakładałem, że kuratorzy urządzili przewrót pałacowy, chcąc obalić przywódców, a oni w porę się zorientowali i stłumili bunt w zarodku. A teraz w ogóle nie wiem, co mam myśleć. Napisałem raport, wysłałem swoich ludzi do zespołu Konowałowa. Miejmy nadzieję, że dojdziemy do czegoś wspólnym wysiłkiem.

Oboje zawrócili i ruszyli w stronę wyjścia z parku. Aleją zbliżał się ku nim Maksim, kończąc pięciokilometrowy bieg.

– Brawo – pochwalił go ojciec. – Mieścisz się w normie. Możesz odpocząć dziesięć minut.

– Ciociu Nastiu, a ty się mieścisz w normie? – zapytał chłopak, truchtając wokół nich.

– A skąd, ja w ogóle się w niczym nie mieszczę, chyba tylko w swoich dzinsach – zażartowała Nastia. – Dla takich jak ja jeszcze nie wymyślono norm. Niedawno musiałam gonić odjeżdżający pociąg, potem przez dwie godziny serce waliło mi jak młotem.

– No to jak możesz pracować w wydziale kryminalnym? – zdziwił się Maksim.

– Jakoś mi się udaje. Mam wyrozumiałego szefa.

– Bzdury – przerwał jej Zatoczny. – Niech pani nie mąci chłopakowi w głowie. Pani szef nie ma z tym nic wspólnego. Zapamiętaj, Maksimie, że jeśli chcesz, by patrzono przez palce na twoje niedostateczne przygotowanie fizyczne, musisz mieć szczególne zdolności. Gdy będziesz tak mądry i utalentowany jak Anastazja Pawłowna, wtedy będziesz mógł sobie pozwolić na to, żeby się nie mieścić w normie. Ale nie wcześniej. A w ogóle nie zapominaj, że jesteś mężczyzną. Od ciebie wymaga się czego innego.

Maksim się zatrzymał, zrobił parę ćwiczeń oddechowych, po czym zrównał się z ojcem i Nastią.

– Wam, kobietom, to dobrze – powiedział z westchnieniem.

Zatoczny skrzywił się z niezadowoleniem, a Nastia pomyślała, że w domu Maksim będzie musiał wysłuchać pouczającego wykładu. Generał sam wychowywał syna i nie puszczał płazem żadnego niesłusznego sądu, za każdym razem nie żałując czasu na drobiazgowy i rzeczowy wyjaśnienia, dlatego Maksim nie ma racji. Kiedyś Nastia była świadkiem takiej rozmowy, więc wiedziała, że w takich wypadkach Iwan Aleksiejewicz nie szczędzi dosadnych i mocnych słów.

Czterdzieści minut później dotarli do stacji metra i się pożegnali: Zatocznicy mieszkali niedaleko, a Nastia musiała pojechać na Szczołkowską. Po spacerze czuła się rześko, humor jej się poprawił, bo czekało ją kolejne zadanie intelektualne, a to zdaniem Jury Korotkowa smakowało Nasti Kamińskiej bardziej niż najśłodszy cukierek. Ale zanim się obłożyła papierami, zadzwoniła do Zatocznego.

– Iwanie Aleksiejewiczu, siódmy numer to Jewgienij Szabanow, zmarły spec od wizerunku prezydenta. Facet wciąż mi nie pasował. Tamtych sześciu łatwo połączyło się w grupę, a Szabanow został z boku, bo niby należy do ekipy prezydenta. Długo się z nim męczyłam i nie wiedziałam, co zrobić.



Michaił Dawidowicz Łarkin lubił komfort, wygodę, ciepło i spokój. Nie znosił niepotrzebnej bieganiny i bardzo nie lubił, gdy rozwój sytuacji wytrącał go z równowagi. Dobrze wiedział, że nerwowość i pośpiech negatywnie oddziałują na szczególny dar, którym obdarzyła go natura. Kiedyś gorliwie pracował pod okiem Pawła Saulaka, skrupulatnie analizował metody treningu, nie folgując sobie ani na jotę, gdy wymagały długich, nużących i monotonnych ćwiczeń. W końcu osiągnął prawdziwe mistrzostwo i bardzo je sobie cenił. Jak dowodziła wieloletnia praktyka, wszelkie nieprzyjemności i choroby natychmiast osłabiały jego zdolności.

Pojawienie się mężczyzny, który pretendował do roli nowego szefa, było dla Łarkina właśnie taką nieprzyjemnością. Dobrze pamiętał agenta, który go zwerbował i z którym rozmawiał tylko raz: w pokoju kierownika wydziału KB, gdzie wówczas pracował. Gdy przeszedł pod kuratelę Pawła, pocieszał się myślą, że prawdę o nim zna tylko dwóch ludzi: agent, który go skierował do Saulaka, oraz sam Saulak. Tymczasem się okazało, że jest jeszcze ktoś trzeci. To sprawiło, że Łarkin w jednej chwili stracił grunt pod nogami. Trzeci mężczyzna był bardzo niebezpieczny, jako że pokazał mu pełen zestaw kompromitujących go materiałów, od nagrania pierwszej rozmowy z agentem, w której Misza łatwowiernie wyznał swoje małe sekrety dotyczące otrzymania dyplomu wyższej uczelni, po zapisy wideo jego poczynań podczas realizacji niektórych zadań Pawła i efektów pracy. Wszystko razem robiło wstrząsające wrażenie. Misza nigdy przedtem nie widział obciążających go materiałów, więc zrobiło mu się niedobrze. Chyba nigdy wcześniej nie czuł się tak paskudnie.

– Nie przekażę nikomu, rzecz jasna, owych nagrań, jeśli ze zrozumieniem potraktuje pan sytuację – powiedział trzeci mężczyzna.

Misza zawsze chwycił wszystko w lot. To, że nie miał zdolności do nauk ścisłych, wcale nie oznaczało, że był głupi. Wprost przeciwnie.

– Czego pan ode mnie żąda? – zapytał.

– Wykonania niektórych moich poleceń, niczego więcej. Będzie pan dla mnie pracował tak samo jak dla Pawła.

– A jeśli on wróci?

– Co znaczy „jeśli”? – Tamten uśmiechnął się łagodnie. –

Oczywiście, że wróci, może pan być pewien. Wtedy znowu będzie pan dla niego pracował. Nie rezygnując ze współpracy ze mną i nie informując go o tym. To właściwie wszystko. Wybór należy do pana, Michaile Dawidowiczu. Aha, jeszcze jedno. Proszę mnie niezwłocznie powiadomić o powrocie Pawła Dmitrijewicza. Martwię się o pańskie bezpieczeństwo, więc gdy tylko Saulak się zjawi, zrobię wszystko, byśmy się nie spotkali na progu pańskiego gościnnego mieszkania. Jaka więc będzie pańska odpowiedź?

– Zgadza się – odparł Łarkin z westchnieniem. – Nie pozostawia mi pan wyboru.

– Po co te gorzkie słowa, Michaile Dawidowiczu? – Jego rozmówca pokręcił głową z wyrzutem. – Wybór jest zawsze. Może pan odmówić i stanąć przed wymiarem sprawiedliwości.

To oczywiste, że taki wybór nie uśmiechał się Miszy. Czy po to latami budował swój komfortowy i wygodny światek, żeby teraz trafić za kratki? Nie, nie i jeszcze raz nie.

– Co mam zrobić?

– Na razie nic. Niech pan odpoczywa, nabiera sił, podtrzymuje formę. Niedługo się z panem skontaktuję i przydzielę zadanie.

– Jest pan pewien, że mu podołam?

– Oczywiście. Już pan to robił, i to z powodzeniem. Ze mną będzie się panu pracowało o wiele lepiej niż z Pawłem, bo otrzyma pan wszelkie niezbędne informacje na temat mężczyzny, z którym będzie się pan musiał spotkać. Więc niech się pan szykuje i pozbędzie niepotrzebnych wątpliwości.

Rozmowa odbyła się cztery dni temu. Od tego czasu Misza Łarkin siedzi w domu, a właściwie nie siedzi, tylko leży na wygodnej, miękkiej kanapie, z rękami założonymi za głowę, wpatrując się w sufit. To wszystko mu się nie podoba, oj, nie podoba. W dodatku nie ma się kogo poradzić, Paweł się nie kontaktuje i nie wiadomo, gdzie go szukać. Ani adresu, ani telefonu. Tak było zawsze. W razie nieprzewidzianych okoliczności Misza nigdy nie mógł znaleźć szefa. Kiedyś, wiele lat temu, Paweł mu oznajmił:

– Mimo że jesteś specjalistą wysokiej klasy, zawsze pamiętaj, że może się znaleźć ktoś lepszy. Natura hojnie cię wyposażyła, ale jest wspaniałomyślna i obdarza wielu, w dodatku niektórym daje o wiele więcej niż reszcie. Zakładam, ty też powinieneś mieć to na uwadze, że twój dar nie jest najpotężniejszy. Więc jeśli ktoś z większym darem stanie przeciwko nam, z łatwością cię zmusi, żebyś wyznał, co wiesz. Wypaplasz wszystko, nim mrugniesz okiem. Dlatego powinieneś wiedzieć jak najmniej.

Inny na jego miejscu może i zacząłby oponować. Ale nie Łarkin. Nieraz widział, jak ludzie zdradzają najskrytsze tajemnice pod jego wpływem.

Czy powinien odszukać teraz Pawła? I poprosić go o radę? A jeśli mężczyzna się dowie i rozgniewa? I użyje wszystkich okropnych

nagrań, magnetofonowych i na kasecie wideo? Michaił chłodno kalkulował, kto jest dla niego niebezpieczniejszy: Paweł czy nowy znajomy. I wciąż dochodził do wniosku, że nie Paweł. Chociaż jeśli istniały kopie materiałów, to właśnie on może je mieć. Co wtedy? W razie odmowy pracy dla trzeciego mężczyzny zostaną nagłośnione. Gdy Paweł się dowie, że Misza pracuje dla kogoś innego, też może mu zrobić świństwo. I tak źle, i tak niedobrze.

Pozostawało jedno: mieć nadzieję, że uda się jakoś wykaraskać. Sługa dwóch panów! No i co z tego? Literatura światowa milion razy wykorzystywała podobny motyw i zawsze kończyło się tym, że sprytny sługa nabijał w butelkę swoich chlebobawców i wychodził zwycięsko z opresji. Nie bez powodu się mówi, że pokorne ciele dwie matki ssie. Może zaryzykować?

Dzwonek telefonu wyrwał go z głębokich rozmyślań.

– Chcę się zapisać na wizytę – rozległ się histeryczny kobiecy głos.
– Najlepiej na jutro, jeśli można. Mam pilną sprawę, sytuacja jest wyjątkowa.

Jasne. Dowiedziała się o zdradzie męża, w dodatku przed chwilą, parę godzin temu. I od razu zaczęła obdzwaniać przyjaciółki i opowiadać o „tym szubrawcu”, a któraś z nich poradziła jej pójść na wizytę do znanego psychoterapeuty, który błyskawicznie ją uleczy. Wyjątkowa sytuacja! Można by pomyśleć, że to pierwszy przypadek zdrady w dziejach ludzkości. Praca z podobnymi paniusiami nie sprawiała Miszy żadnego kłopotu, po dwóch spotkaniach kobiety odzyskiwały równowagę ducha. A płaciły tysiąc dolarów za seans.

– To pomyłka – grzecznie powiedział Misza do słuchawki. – Pewnie dzwoni pani do Michaiła Dawidowicza? Ma teraz inny numer.

– Jaki? – zapytała oszukana kobieta.

– Nie wiem. Założono nam nową ATS^[21] i zmieniono wszystkie numery. Teraz to mój numer.

– W takim razie skąd pan wie, że dzwonię do Michaiła Dawidowicza? – zapytała podejrzliwie.

– Nie jest pani pierwsza – odparł Misza życzliwie. – Bez przerwy ktoś do niego wydzwania. Wszyscy chcą się zapisać na wizytę.

– Wobec tego Michaił Dawidowicz powinien był zostawić panu swój

nowy telefon. – Kobieta nie ustępowała. – Żeby go pan podał tym, co zadzwonią.

– Muszę panią rozczarować. Michaił Dawidowicz nie pytał mnie o radę. Podobnie jak pani. Miłego dnia.

Odłożył słuchawkę i wykrzywił usta w cierpkim grymasie. Pieniądze same się pchają do kieszeni. Ale Paweł kategorycznie zażądał, żeby Łarkin zamknął praktykę psychoterapeutyczną. Ostatecznie i nieodwołalnie. Więc Misza nie odważy się go nie posłuchać. Paweł może przecież lada dzień wrócić. Tak właśnie powiedział: „Znowu wyjeżdżam, ale tym razem nie na długo, najwyżej na dwa tygodnie”. Dwa tygodnie minęły, jego jeszcze nie ma, ale może się zjawić w każdej chwili.

Michaił tęsknie pomyślał o Kotku – sympatycznej, namiętnej dziewczynie imieniem Gala, pulchnej i apetycznej. Może zadzwonić, żeby wpadła?! Jest prostoduszna, dobra i szczerą, w jej obecności Łarkin się relaksuje. W łóżku też mu odpowiada: nie ma zbyt dużych wymagań, więc nie trzeba się wysilać i tracić czasu. Dziewczyna nie oczekuje, że Misza będzie ogierem, dzięki niemu ma poczucie własnej wartości. Dlaczego nie? Widzi w nim interesującego, dojrzałego mężczyznę (choć Łarkin uważał, że jest jeszcze młody), z wykształceniem i pieniędzmi. „Patrzcie, z kim jadę!” – przypomniał sobie powiedzenie ze znanego filmu Felliniego. Więc może naprawdę warto zadzwonić? Niechby przyjechała.

Łarkin przewrócił się na bok i sięgnął po telefon stojący na podłodze koło kanapy.

– Kotku – zagruchał do słuchawki. – Niespodziewanie mam wolny wieczór. Co ty na to?

Jak to co?! Oczywiście, że zaraz będzie. Co ma przywieźć? Coś do jedzenia? Naturalnie, że wie, co Miszeńka lubi, więc kupi po drodze. Mimo różnych swoich wad Łarkin pragnął być jednak dżentelmenem. Kobiety nie powinny za niego płacić, nie jest przecież alfonsiem.

– Oddam ci pieniądze, jak przyjedziesz, więc nie oszczędzaj – polecił. – Potrzebujemy tego, co najlepsze.

No tak. Musi osłodzić sobie oczekiwanie smakołykami i namiętными uściskami Kotka. Bo zupełnie nie wiadomo, co

przyniesie jutro.



Podczas gdy Michaił Dawidowicz Łarkin denerwował się i zamartwiał, leżąc na miękkiej kanapie, pułkownik Gordiejew i dwaj pracownicy jego wydziału łamali sobie głowę, jak go znaleźć. Albo przynajmniej się dowiedzieć, kim jest. Tylko Jura Korotkow obserwował spotkanie generała Minajewa z nieznanym mężczyzną w ciemnych okularach, więc nie mógł śledzić obydwu. Pozostawało czekać, aż Anton Andriejewicz znowu spotka się z tym mężczyzną.

– Minajewowi nie spodobało się, że odwiedziłem jego przyjaciela Aleksandra Siemionowicza – oznajmił Gordiejew Korotkowowi i Siełujanowowi. – Od razu skontaktowałem się z kumplami na górze i zainteresowałem się, czy nie złożyliście wniosku o poddanie go obserwacji zewnętrznej. Uważa nas za smarkaczy, chce złapać za rękę. Widocznie nie ma czystego sumienia. Nie szkodzi, teraz niech się głowi, skąd wiemy o jego przyjaźni z Czincowem.

– To pewne, że coś ich łączy? – zapytał Korotkow. – A może spotkanie było jednak przypadkowe?

– Gdyby było przypadkowe, Minajew nie zaniepokoiłby się i nie zacząłby sprawdzać, czy nie przydzieliliście mu anioła stróża. Wiemy, że nie wolno nam tego robić, on też to wie, więc chce nas przyłapać na nielegalnej operacji. Po co mu to, skoro jest czysty? Gdy ktoś się szamocze jak ryba na haczyku, to zawsze coś znaczy. Umyślnie pojechałem do Konowałowa i powiedziałem mu o swoich podejrzeniach. To normalny, uczciwy facet, musiał przekazać naszą rozmowę swojemu druhowi, bo przecież darzy go zaufaniem. Ja zaś chciałem zobaczyć, co z tego wyjdzie. No i zobaczyłem. Przekonałem się, że Minajew narobił w gacie, przepraszam za ordynarne sformułowanie. Może jego związek z Czincowem nie ma przestępczego charakteru, niewykluczone, że próbuje mnie dopaść z innego powodu. Ale to znaczy, że ów powód istnieje. Anton Andriejewicz jest w coś zamieszany. Albo dopiero knuje jakąś intrygę. No i chowa asy w rękawie.

– Kieruje się dziwną logiką. – Kola Siełujanow wzruszył ramionami.

– Najpierw prosi nas o pomoc, chce, żebyśmy mu przywieźli Saulaka z Samary, a potem zamierza robić nam świństwa. To nie przystoi mężczyźnie.

– Za to zdarza się na każdym kroku – zauważył Korotkow. – Facet idzie z duchem czasu: obłąskawić, wykorzystać, a potem wyrzucić jak niepotrzebną rzecz. Pooglądaj sobie telewizję, wszyscy tak robią. Na prawo i lewo wydają swoich.

– Masz rację, synku – powiedział Wiktor Aleksiejewicz, a w jego głosie zabrzmiała wyraźna groźba. – Masz rację, choć to bolesne. Szanowny generał Minajew wykorzystał nas jak darmową siłę roboczą. Prośba Konowałowa to dla mnie rozkaz, nie mogłem jej nie spełnić, ale przeczuwałem, że to się źle skończy. No i tak się stało. Teraz, gdy Minajew zrozumiał, że stanowimy dla niego zagrożenie, chce nam związać ręce. Najpierw mnie, bo jako szef wydałem wam cichy rozkaz. A zarazem wam, bo jesteście wykonawcami nielegalnego polecenia. Dobrze, że miałem dość oleju w głowie, by nie wciągać w to Nasti, bo i ona miałaby kłopoty. Ale musimy rozważyć co innego, moi drodzy.

Umilkł i zaczął przechadzać się po wąskim, długim pokoju. Jura i Nikołaj się nie odzywali, wiedzieli, że gdy naczelnik jest pogrążony w zadumie, nie wolno mu przeszkadzać.

– Jura ma słuszość, mówiąc, że w razie potrzeby ludzie bez wahania i żalu zdradzają swoich. Nie dla śmiechu czy dla rozrywki, ale właśnie w razie potrzeby. Trzeba się więc zastanowić, jaką pilną potrzebę chce zaspokoić generał Minajew. Na pewno nie zepsuł mu się samochód ani nie przecieka sufit w mieszkaniu. Po co mu as w postaci naszych nielegalnych działań? Chce nas, moi drodzy, przycisnąć, w dodatku tak, żeby nam zamknąć usta. A potem dobić. Wyśle do swoich zwierzchników raport z informacją, że jest obserwowany. Dostanie obstawę z FSB, która się dowie, kto mu depcze po piętach. Przyłapią was, moi drodzy, na gorącym uczynku. Wtedy wezwą mnie na miękki, puszysty dywanik i zaczną maglować. W tej sytuacji będę musiał coś im powiedzieć, złożyć wyjaśnienia. Będę miał dwa wyjścia. Albo powiedzieć prawdę, doskonale wiedząc, że pół godziny później moje mgliste podejrzenia i posiadane informacje dotrą do Minajewa. Albo powiedzieć nieprawdę, czyli po

prostu skłamać. Dlatego musimy ją wymyślić, uzgodnić szczegóły i wykuć na pamięć. Żeby nie było żadnych rozbieżności.

– Bardzo dobrze, Wiktorze Aleksiejewiczu. – Kola Siełujanow nagle się ożywił. – Niech nas nakryją. Puścimy im jakąś lipę.

– A nie boisz się, że wylecisz z roboty? – Gordiejew przymrużył oczy. – Nie mówiąc już o tym, że ja też mogę dostać kopniaka w tyłek. Nie żal ci mnie starego, łysego i schorowanego?

– Trzeba wymyślić coś takiego, że mucha nie siada. Może trzymajmy się wersji, że obserwowaliśmy mężczyznę w ciemnych okularach, którego cechy wyglądu pojawiły się w szeregu niewyjaśnionych spraw zabójstw. Okularnik skontaktował się z nieznanym mężczyzną, więc powlekliśmy się za nim jak osły za marchewką. I nie mamy pojęcia, kim tak naprawdę jest. Co wy na to?

– Lubisz rozrabiać, Nikołasza. – Jura Korotkow westchnął. – Ciekawe, kto nam uwierzy, że szwendamy się za nieznanym mężczyzną już któryś dzień z kolei i nie znaleźliśmy czasu, żeby ustalić jego tożsamość. A jeśli ustaliliśmy, to mieliśmy obowiązek zameldować, że to generał z FSB, wtedy od razu dostalibyśmy rozkaz: „Nie ruszać”. Regulamin zabrania.

– Stop! – Gordiejew podniósł rękę. – Macie rację, chłopcy. Jeżeli góra się dowie, jak długo chodzicie za Minajewem, nie ręcą za wasze głowy. Ale jeśli się nie dowie? Zastanówmy się, czy tutaj nie jawi się pewna szansa. Jesteście pewni, że was nie przyuważył?

Obaj niepewnie wzruszyli ramionami.

– Robiliśmy, co mogliśmy – wybąkał Siełujanow.

– I nie ma was kto zastąpić – w zamyśleniu wycedził pułkownik. – Nie możemy wciągać nikogo w aferę, bo sami balansujemy na krawędzi. Potrzebujemy na gwałt tego kudłatego typa w okularach. Ma na sumieniu Jurcewa i naiwnego Bazanowa. Jeżeli to w ogóle on, a nie ktoś podobny. Jak go dopaść?

Jura i Nikołaj wyszli z gabinetu Gordiejewa niemal godzinę później i znalazłszy się w swoim pokoiku, od razu nastawili wodę na herbatę i zaczęli rozkładać na biurku lekko sczerstwiałe kanapki z koszmarnie drogą, ale smaczną kiełbasą, które przynieśli wcześniej z bufetu.

– Szkoda, że nie możemy powiedzieć Aśce – poskarżył się Siełujanow. – Ona na pewno wymyśliłaby coś mądrego.

– Pączek dał mi jasno do zrozumienia, że nie zachowuję się po koleżeńsku – powiedział Korotkow, łapczywie pochłaniając przygotowany posiłek. – Że niby traktuję ją jak maszynkę do pomysłów, a ona ma przecież nerwy, nie tylko umysł. Szef nie chce, żeby dostała zawału ze strachu.

– No cóż, trudno nie przyznać mu racji. Chociaż właściwie nie zauważyłem, żeby Aśka była szczególnie strachliwa. A ty?

– Zauważyłem. – Jura kiwnął głową. – Okropny z niej tchórz, sama to przyznaje. To dlatego że kojarzy lepiej od nas, przewiduje sytuację pięć kroków naprzód i od razu widzi konsekwencje, które mogą się na nią zważyć.

– Co prawda, to prawda. Mądryemu biada. – Westchnął Kola. – Po co sypiesz tyle herbaty, potworze? Nie robimy przecież czifiru^[22], tylko normalną herbatę.

– Niech będzie mocniejsza. Weźmiemy trochę esencji, dolejemy więcej wrzątku i wyjdzie dobra herbata. A resztę zostawimy na jutro, nie będziemy musieli zaparzać.

– Ale z ciebie kutwa! – powiedział Siełujanow z podziwem. – Chyba nauczyłeś się lenistwa od naszej Aśki. Lepiej przejąłbyś jakieś pozytywne cechy. A przy okazji, Jurik, na śmierć zapomnieliśmy o Stasowie.

– Dlaczego zapomnieliśmy? – zdziwił się Jura.

– Pączek powiedział, że nie ma nas kto zastąpić, a nie zamierza wciągać ludzi z zewnątrz w nielegalną operację.

– Kończ te swoje wygłupy, Nikołasza...

– Ale posłuchaj, Jurik – przerwał mu Siełujanow. – Pączek się o niczym nie dowie. Możemy powiedzieć Stasowowi, że trzeba pomóc Aśce, jestem pewien, że nie odmówi.

– I od razu pobiegnie jej o tym zameldować.

– My przecież nie pobiegliśmy – zaoponował Kola.

– My to co innego – rzekł Korotkow z naciskiem. – Siedzimy jak na szpilkach i walczymy z pragnieniem, żeby jej o wszystkim powiedzieć. Może zaprzeczysz? Jest nas dwóch, więc się wzajemnie powstrzymujemy. A on? Wygada się po pięciu minutach.

– Można go odpowiednio poprosić – rzekł Siełujanow z uporem. – Jest przecież zawodowcem, powinien to zrozumieć. Z drugiej strony nasze zasady go nie obowiązują, bo to prywatny detektyw, śledzi tego, kogo mu klient zleci. Prawo go nie dotyczy.

– No i co powie, jak go przyhaczą? Wezmą go przecież za frak i zażądają pokazania umowy z klientem, na podstawie której obserwuje Minajewa. Nie, Nikołasza, to afera czystej wody. Za nic.

– Zaczekaj, Jurik, czemu od razu torpedujesz moje genialne pomysły? A jeśli będzie miał umowę?

– Ty ją z nim podpiszesz? – drwiąco zapytał Korotkow.

– Żarty się ciebie trzymają – wybąkał oburzony Nikołaj, popijając gorącą herbatę. – Ciągłe byś się tylko nabijał...



Nastia uwielbiała tabele i schematy. Miała problem, żeby zapamiętać informacje przekazywane w luźnej i nieokreślonej formie, gdy wciąż należało wracać do początku tekstu, kartkować strony i szukać odpowiednich fragmentów. Jeśli natomiast umieszczono je w kolumnach tabeli albo w polach schematu, stawały się czytelne i łatwo je było analizować. Po porannym spacerze z Zatočnym Nastia przez cały dzień analizowała materiały dotyczące zbrodni kata, umieszczając w tabelach mnóstwo odrębnych informacji, poczynając od miejsca i czasu popełnienia zabójstw, a kończąc na śladach linii papilarnych znalezionych na miejscu przestępstwa.

Pod wieczór wszystkie tabele i schematy były gotowe. Nastia rozłożyła je na podłodze, usiadła z podwiniętymi nogami na środku pokoju i zaczęła przyglądać się wynikom.

Jeśli chodzi o czas, nie widać żadnego systemu. Każde z czterech zabójstw zostało popełnione o innej porze. Jeśli wziąć pod uwagę miejsce, też nic się nie powtarza. Ale nad sposobem warto się zastanowić. Wszystkie ofiary uduszono, w dodatku nie rękami, tylko sznurem. Co jeszcze je łączy?

Osobowość ofiary? Nic wspólnego poza tym, że ślady ich linii papilarnych znaleziono na miejscach niewyjaśnionych zbrodni. Ale to nie podlega analizie, jako że od tego się wszystko zaczęło. Co

jeszcze?

Jest jedna ciekawa rzecz. Tam, gdzie znaleziono ofiary kata, teren pozostał nienaruszony. Mówiąc prościej, w żadnym z czterech przypadków nie stwierdzono śladów walki. Może wiązało się to z tym, że ofiary zostały zabite nie tam, gdzie znaleziono ich ciała. Druga hipoteza: ofiary dobrze znały sprawcę, nie spodziewały się po nim niczego złego i ufnie odwracały się doń plecami.

Nastia sięgnęła po tabelę z danymi dotyczącymi czasu zgonu (oszacowanego przez ekspertów medycyny sądowej) i czasu znalezienia ciała. Potem wzięła tabelę, w którą wpisała miejsca, gdzie znaleziono ofiary kata. Czy to możliwe, że pomiędzy chwilą nastąpienia zgonu a znalezieniem ciała ofiarę przeniesiono i zostawiono tam, gdzie ją znaleziono?

W pierwszym przypadku ciało znaleziono dwadzieścia minut po zabójstwie. Na dodatek w miejscu, w którym znajdowało się wówczas co najmniej ze sto osób. Czy w tej sytuacji można było przenieść ciało? Wykluczone.

W drugim przypadku śmierć nastąpiła o dziesiątej rano, ciało znaleziono w piwnicy o wpół do czwartej po południu. Czyżby zabójca przewiózł i przeniósł ciało w biały dzień? Wątpliwe.

W trzecim przypadku ciało zabójcy deputowanego i jego rodziny zostało znalezione w mieszkaniu ofiary. Zabity był człowiekiem młodym, prowadził jednak niefrasobliwy styl życia, więc nie od razu się zorientowano. Ciało przeleżało cztery dni, toteż nie dało się ustalić czasu zgonu z dokładnością co do godziny. Ale gdyby kat zabił go w innym miejscu, a potem przewiózł ciało do mieszkania, nie dałby rady zrobić tego po cichu. Zwłaszcza w ciągu dnia. A więc w nocy. Ale w nocy bardzo wyraźnie słychać każdy szmer... Trzeba zadzwonić i zapytać, czy przesłuchano mieszkańców domu na tę okoliczność.

I przypadek czwarty, ostatni. Tym razem ofiarą był mężczyzna, który, jak wszystko na to wskazuje, popełnił serię okrutnych zabójstw, uśmiercając samotnych starszych ludzi. Ciało znaleziono na placu zabaw dla dzieci wczesnym rankiem, śmierć nastąpiła koło drugiej w nocy. Niby nic szczególnego, ale w pobliżu zwłok było parę niedopałków, a ekspertyza jednoznacznie wykazała, że jest na nich

ślina zabitego. Innymi słowy, zanim go zamordowano, siedział sobie na placu i palił papierosa. To raczej niemożliwe, żeby kat okazał się tak przewidujący, by zabrać niedopałki z miejsca zabójstwa i podrzucić je przy piaskownicy. Oczywiście różne rzeczy się zdarzają...

Nastia zapisała jeszcze jedną uwagę w notesie: zapytać, czy nie znaleziono na ławkach włókien z ubrania ofiary. Jeżeli mężczyzna rzeczywiście siedział przez pewien czas na placu zabaw dla dzieci, powinny tam być włókna z jego ubrania. Chociaż może nie siedział, tylko stał, przechadzał się tam i z powrotem. W takim razie powinny zostać liczne nakładające się ślady butów.

Nastia wyjęła z teczki kserokopię protokołu oględzin miejsca zdarzenia. Nie, ani słowa o licznych śladach butów ofiary. Owszem, ślady były, ale nie w nadmiarze, ciągnęły się od skraju placu do „grzybka”, koło którego leżało ciało. Było tam też mnóstwo innych śladów, jak teraz stwierdzić, które należały do zabójcy? Ile znaleziono niedopałków? Sześć. Wypalenie jednego papierosa zabiera pięć do siedmiu minut. A więc trzydzieści, czterdzieści minut. Plus przerwy między papierosami, łącznie jakieś pół godziny. Ofiara spędziła co najmniej godzinę na placu zabaw. Więc musiała siedzieć. Muszą być włókna z ubrania.

Jakkolwiek było, wygląda na to, że wszystkie ofiary kata zostały zabite tam, gdzie je znaleziono. Więc dlaczego pozwoliły, by je uduszono, i w ogóle się nie broniły?

Jęcząc i trzymając się za plecy, Nastia wyprostowała nogi i wstała. Musi zadzwonić, żeby zapytać o szczegóły, w końcu Aleksander Siemionowicz Konowałow dał jej wszystkie potrzebne telefony, by mogła zwrócić się o niezbędne informacje. Aleksiej był w kuchni, z upodobaniem czytał nowy kryminał, co rusz sięgając ręką do wiklinowego koszyka z serowymi krakersami.

– Jesteś głodna? – zapytał, nie odrywając oczu od książki.

– Jeszcze nie. Przyszłam zrujnować nasz skromny budżet rodzinny.

Mogę?

– Pewnie. A w jaki sposób?

– Mam parę pilnych telefonów międzymiastowych.

– Uhm – mruknął Losza, przewracając stronę. – Dzwon. Rachunki

przyjdą dopiero za miesiąc.

– Czyżbyśmy się mieli odkuć w ciągu miesiąca? – zainteresowała się Nastia.

– Nie wiem, może w końcu dostanę wypłatę. Przecież obiecują. Bierz telefon i zmiataj, jestem teraz w bardzo ciekawym miejscu. Jak będziesz miała ochotę na kolację, zawołaj.

Nastia zabrała telefon na długim sznurze i szczelnie zamknęła drzwi do pokoju, żeby nie przeszkadzać mężowi w rozszyfrowaniu krwawej tajemnicy. Pół godziny później wiedziała już to i owo, jej hipoteza się potwierdziła: wszystkie ofiary zostały zabite tam, gdzie je znaleziono. A więc musiały mieć wspólnego znajomego, którego się nie bały, którego znały i któremu pozwalały podejść blisko. A nawet odwracały się do niego plecami. Żeby to sprawdzić, potrzeba czasu: należy zebrać informacje na temat znajomych wszystkich czterech osób i znaleźć punkt styczny. Mało kto zajmuje się dzisiaj tak obszerną i żmudną robotą, podstawy wywiadu dawno odeszły w zapomnienie.

Nastia wróciła do kuchni i włączyła gaz pod czajnikiem.

– Nie pij kawy przed kolacją, bo stracisz apetyt – mruknął Aleksiej, wciąż jeszcze pochłonięty lekturą kryminału.

– Umrę z głodu, zanim skończysz – oburzyła się Nastia. – I to ma być mąż. Po co się ze mną ożeniłeś?

– Jak to po co? – W końcu podniósł głowę i z wesołym zdumieniem wlepił oczy w żonę. – Żeby czytać twoje książki. Masz ich całą furę, przeważnie kryminały, które uwielbiam. Nie zabraknie mi ich aż do emerytury. A im szybciej zamorzę cię głodem, tym szybciej będę miał całą tę bogatą bibliotekę do wyłącznej dyspozycji. No dobra, nie jęcz, zaraz będzie kolacja.

Nastia się nad nim ulitowała.

– Poczytaj sobie jeszcze piętnaście minut, sama przygotuję.

– Nie!

Aleksiej od razu odłożył książkę i zerwał się przestraszony.

– Chcę jeszcze trochę pożyć. A ty możesz nas z łatwością otruć. Mieszkamy razem niemal od roku, ale wciąż nie nauczyłaś się dobrze smażyć ziemniaków.

– No to świetnie – powiedziała ucieszona Nastia, od razu zajmując

miejsce męża i sięgając po książkę, którą przed chwilą czytał. – Tatiana Tomilina. Kto to taki?

– Nie wiesz? – Losza się do niej odwrócił. – To żona twojego Stasowa.

– Przecież ona się nazywa Obrazcowa. To chyba pseudonim?

– Uhm.

– No i jak pisze? Nieźle?

– Przeczytaj. Przyda ci się.

– Ale jak ci się podoba, Loszyk? Dobrze się czyta?

– Bardzo dobrze. Jej powieści to klasyczne kryminały bez pornografii i bestialskich scen. Jest tajemnica, intryga i napięcie, a pod koniec rozwiązanie. Co prawda finał bywa przeważnie smutny. Nie daje nadziei.

– A jakbyś chciał? Żeby zatriumfowała sprawiedliwość, a zdemaskowany przestępca poprosił na końcu o szklankę wody i ochrypłym głosem powiedział: „Jesteście górą, przyznaję”?

– No... Coś w tym rodzaju. Bardzo bym chciał, żeby zwyciężyli czerwoni.

– Loszeńka, Tatiana jest śledczą. Kto jak nie ona ma wiedzieć, że w naszych czasach czerwoni niemal nigdy nie odnoszą całkowitego zwycięstwa. Píše na podstawie smutnego doświadczenia, a nie o tym, co zna ze słyszenia.

– Nie – odparł Aleksiej z uporem, zręcznie oprawiając rybę i obtaczając ją w mące i w jajku. – Istnieją prawa gatunku. No i w ogóle prawa literatury. Literatura nie powinna wiernie odtwarzać życia, inaczej po co w ogóle byłaby potrzebna? Jeżeli w książce jest tak jak w życiu, po co ją czytać? Można popatrzeć przez okno i zobaczyć to samo. Autor kryminału nie powinien opisywać, jak pijany wujek Wasia pobił się o butelczynę z pijanym wujkiem Pietią i go zabił. Bo na co dzień obaj bez przerwy się okładają, w tym zabójstwie nie ma niczego niezwykłego i nikt nie chce o tym czytać. Chociaż z punktu widzenia wiernego odtwarzania rzeczywistości literatura powinna opisywać najczęściej spotykane zabójstwa. Pamiętasz, jak nas uczono w szkole? Odtwarzanie typowych zjawisk w typowych okolicznościach. Realizm. Komu on potrzebny? Pełno go w telewizji. W dzisiejszej rzeczywistości całkowite i bezwarunkowe

zwycięstwo dobra nad złem się nie zdarza. O tym właśnie chciałbym poczytać. Żeby nie stracić bojowego ducha.

– Aleś się rozochocił! – Nastia się uśmiechnęła. – Zresztą chyba masz rację. Klasyczny kryminał rzeczywiście ukazuje niezwykłą zbrodnię, taką, którą rzadko się spotyka. A nawet jeśli nie rzadko, to przynajmniej nie każdego dnia. Nikt nie pisze o banalnych zabójstwach, pozbawionych tajemnicy i zagadki. Tymczasem ponad połowa zabójstw jest banalna.

– No właśnie – podjął Aleksiej. – Zastanawiałaś się, dlaczego westerny są tak niesłychanie popularne? Bo są w nich źli i dobrzy faceci. Na końcu dobrzy pokonują złych. A widz się cieszy, że ludzie, których obdarzył sympatią, stanęli na wysokości zadania i zwyciężyli. Dobro zatriumfowało.

– Boże – westchnęła Nastia – obudził się w tobie moralizator. Co mnie czeka w przyszłości?

– W najbliższej przyszłości czeka cię smażony karp z warzywami. Zostaw, proszę, w spokoju moją książkę, i tak ci jej nie dam, póki nie skończę. I nie patrz na mnie jak królik na węża, bo nie dam się wzruszyć. Jak chcesz poczuć się społecznie przydatna, to obierz marchew i zetrzyj ją na grubej tarce. To jedyna rzecz, którą mogę ci powierzyć, tutaj nie da się niczego zepsuć prócz twojego manikiuru.

Nastia posłusznie wstała i zabrała się do ucierania marchwi. Loszka ma rację, że ona nie umie i nie lubi gotować. Nadal nie wie, na jakim oleju i ogniu należy smażyć ziemniaki, żeby miały smaczną, chrupiącą skórkę. O mięsie nawet nie ma co wspominać. Dobrze, że Loszka kupił mikrofalówkę, w niej przynajmniej nic się nie przypala, chociaż smak potraw nie jest oczywiście ten sam. Gdy męża nie ma w domu, a trzeba koniecznie przyrządzić coś ciepłego, Nastia zawsze posługuje się kuchenką mikrofalową. On zaś woli gotować na gazie, no i robi to znakomicie. Bóg nie poskąpił mu zdolności!

Nastia cierpliwie ucierała marchew na grubej tarce, próbując myśleć o kacie i jego ofiarach, ale bez przerwy coś ją rozpraszało, przeszkadzało jak brzęczenie natrętnej muchy. Niepokoila ją jakaś nieokreślona myśl, może rzucone przypadkiem słowo coś jej przypomniało... Powoli odtwarzała w pamięci całą rozmowę

z mężem. Zwycięstwo dobra nad złem. Odtwarzanie typowych zjawisk w typowych okolicznościach. Realizm. Pijani wujkowie Wasia i Pietia. Banalne zabójstwo. Tajemnica, intryga, rozwiązanie. Społeczna przydatność: zetrzeć marchew. Gdzieś tutaj... Co może być ciekawego w marchwi, którą trzeba obrać i zetrzeć na grubej tarce? Ale na pewno coś tu było... Nie patrz na mnie jak królik na węża, bo i tak nie dam ci książki, póki jej nie skończę. Jak królik na węża. Królik wie, że wąż zaraz go połknie, ale nie może nic zrobić. Wąż hipnotyzuje go wzrokiem, wprowadzając w stan odrętwienia.

No oczywiście. O to chodzi. Boże, Paweł! Tam, w Samarze, patrzył na nią, a ona czuła się jak królik hipnotyzowany przez węża. Ręce i nogi zrobiły się ciężkie, nieposłuszne, Nastia miała ochotę całkowicie poddać się woli Pawła, zrobić tak, jak on sobie życzy, czuła, że dzięki temu świat stanie się cudowny.

Rzuciła marchewkę i gorączkowo wycierając ręce w fartuch, pobiegła do pokoju. Jak zwykle w takich sytuacjach potrzebna kartka nie chciała się znaleźć, chociaż Nastia dobrze pamiętała, że wsunęła ją do niebieskiej teczki. A może do zielonej? Do licha z nią, trzeba sprawdzić w tabeli. Tak, do pierwszej zbrodni tajemniczego kata doszło czwartego lutego w Uralsku. Koło jedenastej wieczorem. W barze Karawela. W piwnicy. Jak się nazywał tamten bar, do którego poszli z Pawłem po tym jak opuścili duszną piwiarnię? Dlaczego nie zapamiętała nazwy?! Gdyby człowiek wiedział, że upadnie, toby usiadł. Spokojnie, Nastazjo, nie gorączkuj się, nie zwróciłaś uwagi, ale był tam przecież Korotkow. On na pewno nie jest tak gapowaty jak ty. Zatrzymał przypadkowy samochód, żeby za tobą pojechać, i niewykluczone, że rozmawiał z kierowcą. W rozmowie, jeśli była całkiem zwyczajna, musiała paść nazwa albo baru, albo ulicy, na której Korotkow śledził swoją niewierną ukochaną.

– O co chodzi? – dobiegł z kuchni głos Aleksieja. – Obijasz się?

– Wybacz, kochanie – krzyknęła. – Znowu mam gardłową sprawę. Pięć minut, dobrze?

Losza rzucił coś w odpowiedzi, ale ona już nie słyszała, szybko wybierając domowy numer Korotkowa. Jury nie było, jego żona Lala niezadowolonym tonem oznajmiła, że przez cały dzień jest w pracy.

Ale w pokoju na Pietrowce też nikt nie odbierał. Nastia ze smutkiem odłożyła słuchawkę i powlokła się do kuchni. Warzywa już się dusiły w garnku, po całym mieszkaniu rozchodził się aromatyczny zapach, a Losza znowu siedział z nosem w książce napisanej przez żonę Władysława Stasowa. Nastia usiadła naprzeciwko męża, wyciągnęła nogi i zapaliła papierosa.

... Paweł źle się poczuł i wyszedł do toalety. Nie było go dłuższy czas. A przedtem wyraźnie kogoś szukał. Nastia już wtedy zwróciła na to uwagę. Najpierw szukał w piwiarni, a potem w barze. I wydawało się, że znalazł osobę, której szukał. Dlaczego się na tym nie skupiła? Dlaczego od razu zapomniała? Bo w tamtej chwili najważniejszą rzeczą było wywieźć go sprzed nosa ludzi Czincowa. Znaleźli się w Uralsku przypadkiem, więc była pewna, że Paweł nie planuje niczego złego. Jak mógłby to robić, skoro mieli jechać do Jekaterynburga? Wygląda na to, że Paweł znalazł tego, kogo szukał i poszedł go zabić, a ona, major milicji, starszy oficer wydziału kryminalnego, siedziała dwadzieścia metrów od miejsca zbrodni i osłaniała zabójcę. Przecież gdyby go nie osłaniała, gdyby nie przysiadła się do ludzi Czincowa, żeby odwrócić ich uwagę pijacką gadaniną, Sierioża i Nikołaj na pewno poszliby za Pawłem. I nie byłoby żadnego zabójstwa. Do diabła! Nie do wiary!

Ależ nie, to niemożliwe. Bzdury. Nie, Nastia się myli, to wcale nie był bar o romantycznej nazwie Karawela. Poszła z Pawłem do zupełnie innego baru na innej ulicy. I Saulak nikogo nie zabił. Naprawdę źle się poczuł, przecież to było widać. W hotelu, zanim się wybrali do miasta, też był chorobliwie blady, czoło co rusz miał zlane potem. Paweł nie zabił. To jedynie zbieżność czasu.

Nagle Nastia poczuła, że strach łapie ją za gardło, zachłysnęła się dymem i zaczęła kaszleć. Potem, nocą, Paweł ją poprosił, żeby przy nim posiedziała. Przysięgał, że nigdy jej nie skrzywdzi. Skąd ten nagły sentymentalizm? Wiedział, że zrobił ją niemal współniczką zbrodni i dlatego prosił o wybaczenie? A w samolocie, gdy byli już niedaleko Moskwy, trzymał ją za rękę, masował jakieś miejsce związane ze zmysłem równowagi. Nastia siedziała, trzymając zabójcę za rękę, nawet się rozluźniła i zdrzemnęła. A niedawno pozwoliła mu spędzić noc w swoim mieszkaniu. Noc z mordercą! No, Kamieńska,

ostro pogrywasz.

Chwileczkę, Anastazjo, ofuknęła się. To tylko twoje podejrzenia. Jeszcze nie wiadomo, czy to ten bar. A jeśli nawet ten, możliwe, że zbrodnię popełniono po waszym wyjściu. Przecież nie pamiętasz dokładnie, o której stamtąd wyszliście. Nie patrzyłaś na zegarek. A jeśli to jednak tamten bar i czas się zgadza, to przecież nie dowodzi, że Paweł jest zabójcą. Nie przesadzaj. Zastanów się spokojnie jeszcze raz, sprawdź wszystkie szczegóły.

Nastia usiłowała przekonać samą siebie. Im bardziej się starała, tym większą zyskiwała pewność: Paweł Saulak jest katem.

[\[21\]](#) ATS (Awtomaticzeskaja telefonnaja stancija) – centrala telefoniczna.

[\[22\]](#) Mocny napar herbaty.

Rozdział 18

Anton Andriejewicz zdjął garnitur, przebrał się w spodnie od dresu i sweter i już się zabierał do kolacji, gdy rozległ się dzwonek do drzwi.

– Nie wstawaj, otworzę – powiedziała żona, machnąwszy ręką w stronę nakrytego stołu.

Z przedpokoju dobiegły go głosy, jeden należał do żony, drugi był kobiecy, ale nieznajomy. Pewnie sąsiadka, pomyślał. Po sól albo zapalki. Już nalał sobie pełen talerz barszczu, gdy w kuchni zjawiła się żona.

– Mogę cię prosić na chwilę, Antonie?

Minajew skrzywił się z niezadowoleniem, postawił talerz na stół i ruszył do przedpokoju. Kobieta, którą zobaczył, od razu mu się spodobała. Młoda, koło trzydziestki, w spodniach i długiej płóciennej kurtce. Miała sympatyczną, ale raczej nieśmiałą twarz.

– Dzień dobry – powiedziała niepewnie. – Mieszkam obok, w sąsiednim domu. Mam prośbę... a raczej propozycję. Nawet nie wiem, jak zacząć...

– Śmiało – zachęcił ją Minajew. – Nie gryziemy. Co się stało?

– Na szczęście jeszcze nic. – Kobieta uśmiechnęła się słabo. – Chodzi o to, że mam sześćioletnią córkę, w tym roku poszła do pierwszej klasy. Pewnie się pan domyśla, że teraz ma dużo koleżanek, wciąż bawi się z nimi na naszym skwerze. Tymczasem okna mojego mieszkania wychodzą na drugą stronę, nie widać z nich skweru. Więc przez cały czas się denerwuję. Chyba pan rozumie... Ona jest jeszcze mała. Na dodatek musi przejść przez ulicę, żeby dotrzeć do szkoły. Gdybyśmy mieszkały w państwa domu, nie musiałyby przechodzić przez ulicę.

– Rozumiem – przerwał jej Minajew. – Chce się pani zamienić.

– I to bardzo. – Kobieta skinęła głową. – Chodzę po wszystkich mieszkaniach, szukam, czy ktoś się nie zgodzi. Wybór jest oczywiście niewielki, sam pan wie...

Anton Andriejewicz domyślał się, o co jej chodzi. Oba domy były identyczne, na każdym piętrze nie było dwóch jednakowych mieszkań. Wszystkie różniły się metrażem, położeniem pokoi, rozmiarami kuchni oraz innymi cechami. Gdyby ktoś chciał się zamienić bez dopłaty i nic też nie stracić, musiałyby to załatwić tylko z mieszkańcami takiego samego mieszkania. W domu Minajewa było osiem pięter, więc jeśli nie liczyć parteru i ostatniego piętra, które były najtańsze, do zamiany nadawało się tylko siedem mieszkań. Tak, ta uroczą mamusią miała niewielkie szanse.

– Ile mieszkań już pani odwiedziła? – zapytał.

– Wszystkie – przyznała smętnie. – Państwa mieszkanie jest ostatnie. Byłam już tutaj wcześniej, ale nikt nie otwierał.

– Musimy się zastanowić – powiedział Anton Andriejewicz. – Rozumiem pani problem, ale propozycja nas zaskoczyła...

– No i musimy obejrzeć pani mieszkanie – wtrąciła żona.

– Jest identyczne. Nie proponowałabym, gdy było mniejsze. Co prawda zrobiłam gruntowny remont.

– A więc chce pani powiedzieć, że jeśli się zgodzimy na zamianę, będziemy musieli dopłacić?

– No... – Kobieta znowu się uśmiechnęła, tym razem ze zmieszaniem i niepewnie. – To byłoby pożądane. Wydałam sporo, moje mieszkanie jest teraz warte znacznie więcej niż państwa. Ale jeśli nie chcecie dopłacić, trudno... Dziecko jest dla mnie ważniejsze.

– Chwileczkę – przerwał Minajew. – Jest pani zamężna?

– Nie. Mieszkam tylko z córką. To ma jakieś znaczenie?

– Żadnego. Pomyślałem, że jeśli ma pani męża, wolałbym z nim omówić transakcję, dzięki temu uniknęłyby pani rozmów na tematy handlowe. Ale skoro nie ma pani męża, to...

– Nie mam – powtórzyła stanowczo. – Więc mogę liczyć, że się państwo zastanowicie?

– Oczywiście – szybko odparł Minajew. – Zrobimy tak: Pani zostawi nam swoje zamiary, a my wpadniemy obejrzeć mieszkanie. I wtedy

przejdziemy do konkretów.

– Dobrze. – Kobieta uśmiechnęła się promiennie. – Dom numer sześć, mieszkanie dwadzieścia dziewięć, trzecie piętro. Nazywam się Ira. Kiedy mogę się państwa spodziewać?

– Zajrzemy jeszcze dzisiaj – obiecał Minajew. – Zjem tylko kolację, jeśli pani pozwoli.

– Cudownie. – Ucieszyła się. – Będę czekać. Dziękuję.

– Niech pani jeszcze nie dziękuje – powiedziała żona Antona Andriejewicza. – Przecież jeszcze niczego nie uzgodniliśmy i nie obiecaliśmy. Obejrzymy mieszkanie i dopiero potem podejmiemy decyzję.

– Mimo to dziękuję. – Sąsiadka się uśmiechnęła. – Inni nawet nie chcieli rozważyć mojej propozycji. Nikt nie ma ochoty się przeprowadzać, to zrozumiałe. Pakowanie rzeczy, dźwiganie mebli – komu to potrzebne?

– Ona ma rację – powiedziała żona Minajewa, gdy za Iraw zamknęły się drzwi i oboje wrócili do kuchni. – Pakować rzeczy, taszczyć meble, a potem się rozpakowywać i wszystko ustawiać – kto się zgodzi? To tylko kłopot. Gdyby chociaż miała większe mieszkanie.

– Ale zrobiła gruntowny remont – zauważył Anton Andriejewicz, z apetytem pochłaniając lekko ostygły, ale bardzo smaczny barszcz.

– Zdajesz sobie w ogóle sprawę, ile to może kosztować?

– Nie, a ile?

– Dużo, Nata, dużo. A zresztą zapewniam cię, że przeprowadzki nie da się porównać z remontem. Przeprowadzka to dwa, trzy dni zamieszania, zwłaszcza że nie do innego miasta, tylko do sąsiedniego domu. A remont to co najmniej miesiąc, może nawet dłużej. Irocza nie wygląda na kombinatorkę, można się z nią potargować i dopłacić o wiele mniej, niż wynosi rzeczywista wartość remontu. To może być korzystna transakcja. Chodźmy obejrzyć mieszkanie. Możemy zażądać od niej rachunku za remont i wyjść od tej kwoty. Gdy zechcemy go zrobić sami, będziemy musieli zapłacić o wiele więcej. Co jest na drugie?

– Bitki z duszoną kapustą.

– Nałóż. Albo nie, bitki zjem później. Ubieraj się, idziemy zobaczyć mieszkanie.

– Tak ci się pali? – Żona uśmiechnęła się porozumiewawczo.

– Oczywiście. Jeśli to korzystny interes, trzeba się śpieszyć, póki Ira nie dogadała się z kimś innym.

Minajewowie szybko się ubrali i ruszyli do sąsiedniego domu.

Standard mieszkania był naprawdę wysoki. Włoska armatura w łazience, ładne płytki, podwieszane sufity, wykładzina na podłodze, olbrzymie lustro w przedpokoju i w łazience. Marzenie, a nie mieszkanie. Minajew zazdrosnym okiem zlustrował oba pokoje – nie, żadnych śladów mężczyzny. Uroczą Iroczką chyba nie skłamała, naprawdę jest sama. To dobrze. Bo gdyby powiedziała nieprawdę i miała męża albo stałego partnera, fakt, że podjęła się negocjacji dotyczących zamiany mieszkania, mógł świadczyć o tym, że chce wzbudzić współczucie i litość swoją samotnością. Innymi słowy, toby znaczyło, że wcale nie jest naiwna i prostolinijna i należy na nią uważać. Na szczęście chyba tak nie jest. Naprawdę jest samotną, choć dobrze sytuowaną matką, proszę, jaki odwaliała remont.

Ira oprowadzała ich po mieszkaniu, pokazując każdy zakamarek, otwierając drzwiczki szafek i demonstrując, jak po remoncie wszystko stało się funkcjonalne i wygodne. Rzeczywiście, Minajew zauważył, że wewnątrz szaf wyglądało inaczej niż w jego mieszkaniu: zamiast półek zamontowano szuflady. Dzięki temu gdy otwierało się szafę w obecności gości, widać było nie pościel czy bieliznę, często poupychaną w nieładzie, tylko ładne szuflady z wymyślnymi rączkami. Przechowywanie rzeczy też było praktyczniejsze, bo nic się nie mieszało.

Z każdą chwilą mieszkanie coraz bardziej podobało się Antonowi Andriejewiczowi. Pod koniec wizyty już chciał się zamienić.

– No cóż, porozmawiajmy o pieniądzach – powiedział. – Ile pani sobie życzy za remont? Biorąc pod uwagę, rzecz jasna, że zrobiła go pani po pierwsze, nie dzisiaj, to znaczy już od pewnego czasu mieszka pani w wyremontowanym mieszkaniu, a po drugie, nie wszystko tutaj odpowiada naszym upodobaniom, więc będziemy musieli to i owo przerobić, to znaczy zainwestować pieniądze.

– Remont kosztował mnie dwadzieścia tysięcy dolarów.

– Oho! To chyba remont z czystego złota! – prychnęła żona Antona

Andriejewicza. – Wybrała pani najdroższą firmę na rynku? My zrobilibyśmy ten remont najwyżej za dziesięć tysięcy. Zastanów się, Antonie, teraz będziemy musieli otworzyć kiesę, bo nasza sąsiadka okazała się rozrzutna. Nie wiem, nie wiem... – Z wahaniem pokręciła głową.

– Zgadzam się na dziesięć – powiedziała Ira cicho. – To oczywiste, że nie musicie państwo przepłacać. Jeżeli uważacie, że remont jest wart dziesięć tysięcy, niech tak będzie.

– Ale biorąc pod uwagę to, co przed chwilą powiedziałem, gotowi jesteśmy dopłacić pani najwyżej sześć tysięcy – powiedział Minajew surowo, z satysfakcją odnotowując, że żona znakomicie odegrała swoją rolę. – Będziemy musieli wymienić wszystkie płytki w łazience i w kuchni, bo nie cierpimy różu. No i jeszcze inne rzeczy.

– Oczywiście – powiedziała Ira jeszcze ciszej. – Jeśli zgadzacie się państwo na zamianę, niech będzie sześć tysięcy. Gdy Aniułka idzie się bawić, serce mi staje w gardle. Nie mogę jej nie puścić, bo przecież chce się spotkać z koleżankami, a nie zawsze mogę jej towarzyszyć. To mnie doprowadza do szału, rozumiecie państwo? Niech będzie sześć tysięcy, bylebym tylko mogła się przeprowadzić.

Przez ułamek sekundy Minajewowi zrobiło się żal Iry. Oszacował, że remont rzeczywiście wart był pieniędzy, które zapłaciła. Zamierzają naciągnąć tę miłą kobietę na czternaście tysięcy dolarów. Żadnych płytek, ma się rozumieć, nie wymienią, te też są bardzo ładne. I w ogóle nie wydadzą ani kopiejki na przeróbki. Wszystko, co trzeba, Anton Andriejewicz zrobi sam, to dla niego nic trudnego. No cóż, należy dbać o swoje interesy. Komu potrzebna ta zamiana? Jej. No to niech płaci.

Ustalili, że w najbliższym czasie załatwią niezbędne formalności, po czym się pożegnali.



Nastia nigdy nie lubiła partyzantki w pracy. Wywoływanie awantur nie było w jej stylu, zawsze uważała, że naczelnicy są po to, by się ich radzić i pytać o zgodę. Zwłaszcza jeśli naczelnikiem jest ktoś taki jak Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew. Parę razy próbowała działać na

własną rękę i własne ryzyko, ale ani razu nic dobrego z tego nie wyszło. Toteż spędziwszy noc z niedzieli na poniedziałek z myślami o Pawle Saulaku, od razu poszła do Gordiejewa, żeby się podzielić swoimi wątpliwościami.

– Znamy nazwisko, które figuruje w jego nowych dokumentach, więc możemy wysłać list gończy, ale...

– Coś cię niepokoi? – zapytał Gordiejew,

– Nie jestem pewna, czy Saulak jest katem. Chciałabym go odszukać i z nim porozmawiać.

– Ciekawe o czym? – Pułkownik uniósł brwi. – Zapytasz go, czy nie zabił czterech osób? No to ci powie, że nie. I co dalej?

– Wiedziałabym, o czym porozmawiać z Pawłem. Na przykład o jego ukochanej Margaricie Dugieniec. Znalazłabym jakiś sposób, żeby się upewnić w swoich podejrzeniach. Wiktorze Aleksiejewiczu, jeśli Saulak jest katem i uda mi się ściągnąć go do Moskwy, zanim zrealizuje swój plan, to przynajmniej go powstrzymamy. Ma na koncie cztery ofiary, jeśli spełnią się moje przewidywania, zabije jeszcze trzy.

– I nawet się domyślasz, gdzie to się stanie?

– Owszem. Jeśli, rzecz jasna, nie mylę się w najważniejszej kwestii. Ale nie zdołamy upilnować trzech olbrzymich obwodów Rosji. Zwłaszcza że moim zdaniem zabójca spędza w miejscu przestępstwa najwyżej dwadzieścia cztery godziny. Gdzieś się przyczaja, potem przyjeżdża do wybranego miasta, szybko znajduje ofiarę, zabija ją i natychmiast wraca do bazy. Jeżeli obstawimy trzy obwody, możemy się znaleźć w sytuacji, że będziemy szukać czarnego kota w ciemnym pokoju. Zwłaszcza że kota tam nie ma.

– Więc co proponujesz?

– Można zacząć od zdjęć. Mamy zdjęcia Saulaka, ponieważ pracował w naszych strukturach. Trzeba spróbować ustalić, czy ktoś nie widział go razem z zabitymi. W centralnej kartotece są odciski jego palców, pobrano mu je dwa lata temu, gdy został aresztowany. Trzeba je porównać ze śladami linii papilarnych znalezionymi na miejscu przestępstw. Musimy ustalić, skąd Saulak zna ofiary. Skąd mógł wiedzieć, że to właśnie one popełniły straszliwe zbrodnie. Gdy to odgadniemy, zorientujemy się, kto jeszcze może o tym wiedzieć.

Wyciągniemy od tej osoby nazwiska kolejnych trzech ofiar. Dalej wszystko jest proste. Ale na to potrzeba czasu, Wiktorze Aleksiejewiczu. Konieczna jest zwłoka. Dlatego chcę coś wymyślić, żeby powstrzymać Pawła i go zmusić, żeby przyjechał do Moskwy. Gdy będziemy gotowi, żeby ochronić tych, których zamierza zabić, wtedy go wypuścimy. Niech jedzie to zrobić. Przyłapiemy go na gorącym uczynku i już nam się nie wymknie.

– Nieźle pomyślane. – Gordiejew skinął głową. – Naprawdę nieźle. Podoba mi się. Ale jest sporo „ale”. A jeśli się okaże, że to nie on jest katem?

– Niewykluczone – przyznała Nastia. – Bardzo możliwe, że to nie on. Nie należy jednak zmieniać planu. Musimy za wszelką cenę powstrzymać kata, póki nie namierzemy jego potencjalnych ofiar. Schwytemy tego, kto się zjawi, żeby je zabić. Jeżeli to Saulak, wiem, jak go ściągnąć do Moskwy, a jeśli to ktoś inny, będę musiała jeszcze pogłównkować.

– Czemu nie chcesz wysłać za nim listu gończego?

– Bo nie jestem pewna, czy informacje o swoich ofiarach dostaje od funkcjonariusza milicji. Jeżeli za Pawłem stoi jakiś milicjant, który go powiadamia o nieschwytych zabójcach, nasz list gończy nic nie da. Milicjant uprzedzi Pawła i pomoże mu się ukryć. A przecież w chwili obecnej nie mamy niczego, co moglibyśmy pokazać Saulakowi. Ani dowodów rzeczowych, ani zeznań świadków. Wyślemy list gończy, Paweł zostanie aresztowany i odeskortowany do Moskwy. Co dalej? Nie będziemy go mogli o nic oskarżyć, bo wszystko to tylko moje domysły i niczym niepoparte podejrzenia. A jeśli Saulak ma współnika? Żeby odwrócić podejrzenia od Pawła, popełni kolejne zabójstwo, i to w chwili, gdy ten będzie składał zeznania w Moskwie. Tak wygląda sytuacja.

– Nie wiem, dziecko – odparł z wahaniem Gordiejew. – W zasadzie podoba mi się to, co mówisz. Jest w tym ziarno racjonalizmu. Ale jedna rzecz mnie niepokoi. I to bardzo.

– Jaka?

– Nie domyślasz się?

– Domyślam. Wiktorze Aleksandrowiczu, musimy zdecydować, co poświęcić. Chce pan powiedzieć, że podczas gdy będę ściągać

Saulaka do Moskwy, on zdąży jeszcze kogoś zabić? Innymi słowy, realizacja mojego pomysłu może doprowadzić do jeszcze jednej ofiary? Ale przecież to samo może się zdarzyć, gdy wyślemy za nim list gończy. Kto wie, może właśnie w tej chwili morduje swoją następną ofiarę. Ale jeśli wyślemy list gończy, przywieziemy Saulaka do Moskwy, nie zdołamy niczego udowodnić i będziemy musieli go wypuścić, na pewno zabije tych, których jeszcze nie zabił, tylko nieco później. Jeżeli zrobimy to, co proponuję, po wyjeździe z Moskwy nikogo już nie zabije. Następna, piąta ofiara jest nieunikniona, bez względu na to, czy go zwabimy, czy odszukamy. Prawdopodobnie nas uprzedzi. Za to uratujemy szóstą i siódmą.

– Dobrze, przekonałaś mnie. Za dwie godziny czekam na plan. Teraz zajmijmy się inną sprawą. Co z zabójstwami Jurcewa, Łuczenkowa i innych?

Nastia milczała ze wzrokiem utkwionym w błyszczący blat stołu konferencyjnego. Z niczym nie nadążała, dzieląc czas pomiędzy pracę w zespole Konowałowa a pracę związaną z analizowaniem dziesiątków innych przestępstw, z której nikt jej nie zwolnił.

– Jasne – podsumował Gordiejew. – Wygląda to bardzo źle. Jesteś wolna. Za dwie godziny chcę cię widzieć z planem.

Nastia z posępną miną opuściła gabinet i ruszyła do siebie. Po drodze jednak się rozmyśliła się i poszła do Jury Korotkowa.

– Szukałam cię wczoraj – powiedziała, otwierając drzwi. – Twoja ślubna powiedziała, że jesteś w pracy.

– Przepraszam. – Uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Lalka mi powiedziała, że dzwoniłaś, ale wróciłem bardzo późno, więc uznałem, że nie będę cię budził. A co chciałaś?

– Tylko się nie dziw. Pamiętasz, jak w Uralsku poszłam z Saulakiem do baru? Pilnowałeś nas wtedy z jakimś przypadkowym kierowcą.

– Pamiętam. I co?

– Nie pamiętasz, jak się nazywała ulica?

– Zdaje się, że prospekt Mira. Czemu pytasz?

Prospekt Mira. Niech to diabli. Bar Karawela, gdzie znaleziono pierwszą ofiarę, też był na prospekcje Mira.

– A jak się nazywał bar?

– Coś morskiego. Żagiel czy Fala... Po co ci to? Postanowiłaś oddać się nostalgicznym wspomnieniom o panu Saulaku?

– A może Karawela?

– No tak, Karawela. Ale co się stało, Asiu? Masz dziwną minę.

– Nic, Juroczka. Dostałam reprimendę od Pączka za Jurcewa i resztę.

– Nie przejmuj się. – Korotkow machnął ręką. – Czy to pierwszy raz? Tak naprawdę Pączek nigdy się na ciebie nie gniewa, nawet gdy cię beszta, to raczej w celach wychowawczych. Nigdy nie posądza cię o lenistwo. I nie wykręcaj się, cwaniaro, od moich pytań. Zadałem je i czekam na odpowiedź.

– W barze doszło do zabójstwa. Akurat wtedy, gdy byłam tam z Pawłem. Albo mniej więcej w tym czasie. Nawiasem mówiąc, przez cały czas tkwiłeś na ulicy. Wyteż pamięć i sobie przypomnij, kto wtedy wchodził i wychodził.

– Żądasz rzeczy niemożliwej, kochana. – Jura rozłożył ręce. – To było ponad miesiąc temu. A zresztą wypatrywałem ciebie i waszych obserwatorów, nikim innym się nie interesowałem.

– Obserwatorów – w zamyśleniu powtórzyła Nastia. – Obserwatorów. To jest myśl, Korotkow. Nie pozwól, by przepadła.

– O co ci chodzi?

– Pogłówkuj.



Władisław Stasow po raz kolejny przekonał się, że jego córka wciąż jest prymuską, wysłuchał mnóstwa komplementów od wychowawczyni i z poczuciem głębokiej satysfakcji opuścił budynek szkoły, w którym spędził ponad godzinę na zebraniu z rodzicami. Jego ekszona Margarita nigdy nie chodziła na zebrania. Dziwnym trafem za każdym razem miała jakieś pilne zajęcia.

Stasow podszedł do swojego samochodu i już miał wyjąć kluczyki, żeby otworzyć drzwi, gdy z boku podeszli doń trzej młodzi mężczyźni z ponurymi minami. Można nawet powiedzieć, że z nieprzyjaznymi. Jeden z nich mocno chwycił Stasowa za ramię, drugi wyrwał mu z prawej ręki kluczyki od samochodu, a z lewej dyplomatkę, trzeci

zaś cichym, ale dobitnym głosem oznajmił:

– Będzie pan musiał pojechać z nami.

– Daleko? – zainteresował się Władisław.

Właściwie pytał tylko pro forma. Domyślał się, dokąd będzie musiał pojechać.

– Nie bardzo. – Tamten uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Ale nie radzę stawiać oporu. Jest nas trzech, mamy też stosowne dokumenty. A pan?

– Ja właściwie też. – Stasow usiłował wzruszyć ramionami, ale stalowa dłoń, która wpiła mu się w biceps, znacznie ograniczała swobodę ruchów. – Z jakiej racji mam z wami jechać?

Jego oczom ukazała się legitymacja służbowa z czarodziejskim napisem: Federalna Służba Bezpieczeństwa. Tak, z tymi facetami próżno by dyskutować. Trudno, co ma być, to będzie.

Stasow posłusznie ruszył do samochodu zaparkowanego parę metrów dalej. Typ, który mu pokazał legitymację, usiadł za kierownicą, a Władisław znalazł się na tylnym siedzeniu, mocno ściśnięty z obu stron przez dwa krzepkie, muskularne ciała. Droga rzeczywiście nie zabrała dużo czasu. Jakies piętnaście minut później samochód zatrzymał się przed wejściem do kamienicy. Stasow wspinał się na piąte piętro w towarzystwie trzech milczących nieznanym z legitymacjami FSB, po czym wszedł z nimi do mieszkania. Nie zaproponowano mu, żeby zdjął kurtkę, od razu wepchnięto go do przestronnego, ładnie umeblowanego i jasno oświetlonego pokoju. Na widok Stasowa podniósł się przystojny mężczyzna koło pięćdziesiątki i popatrzył nań z kpiną.

– Pomyślałem, że oszczędzę panu trudu włączenia się za mną i marnowania benzyny. Lepiej się poznamy i rozwiążmy wszystkie problemy. Niech pan usiądzie i powie, dlaczego mnie śledzi.

– A nie mogę postać? – spokojnie zapytał Stasow.

W tej samej chwili dwie pary rąk siłą umieściły go w niskim, miękkim fotelu. Tak niskim i miękkim, że nie było szans, by się z niego poderwać. Stasow miał prawie dwa metry wzrostu, więc kolana długich nóg sięgały mu niemal pod brodę.

– Może pan postać – z tym samym uśmiechem odparł generał Minajew – ale na siedząco będzie lepiej. Od tyłu lat służy pan

w milicji i nie zna elementarnych zasad? Kto panu pozwolił śledzić funkcjonariusza FSB? Co to za samowola?

– Myli się pan – powiedział Stasow, zastanawiając się, czy ma przy sobie wszystkie niezbędne dokumenty. Chyba tak. Spodziewał się, że sytuacja przybierze w końcu nieprzyjemny obrót, dlatego starał się być w pełnej gotowości.

– W czym się mylę?

– Nie śledzę funkcjonariusza FSB. Nigdy tego nie robiłem.

– Wykręca się pan jak dziecko? Wstyd, panie podpułkowniku.

– Znowu się pan myli. Nie jestem podpułkownikiem i nie pracuję w milicji.

– A więc jeździ pan nie swoim samochodem?

– Ależ skąd, swoim. Mam pokazać dokumenty?

Stasow już sięgał do kieszeni, ale jeden z osiłków chwycił go za rękę.

– Bez nagłych ruchów, Władisławie Nikołajewiczu – powiedział Minajew surowo. – Sami wyjmemy pańskie dokumenty i je obejrzymy.

Zrobił nieznaczny gest, po czym zręczne palce wyjęły z kieszeni Stasowa notes oraz dokumenty.

– I co tam, Igorze? – niecierpliwie zapytał Minajew.

– Dokumenty wozu są na jego nazwisko. Właściciel: Władisław Nikołajewicz Stasow.

– No i widzi pan, jak nieładnie wyszło – z wyrzutem powiedział Minajew. – Po co pan kłamie?

– Nie kłamie. Już od pół roku nie pracuję w milicji. Przeszedłem na emeryturę.

Stasow uśmiechnął się w duchu. Z doświadczenia wiedział, że przepływ informacji pozostawia wiele do życzenia. Agenci ustalili jego tożsamość w GAI na podstawie numeru rejestracyjnego auta. Kadry MWD mają informację, że Stasow nie jest już funkcjonariuszem milicji, ale nikomu nie przyszło do głowy, żeby ją przekazać do GAI. Według danych GAI Stasow nadal jest podpułkownikiem milicji. I będzie nim jeszcze długo, póki nie zmieni samochodu. Rejestrując nowe auto, poda oczywiście nazwę firmy, w której pracuje. Ale kiedy to będzie...

– W takim razie co pana upoważnia do tego, żeby mnie śledzić?
– Śledzę, bo tak mi się podoba. – Stasow pozwolił sobie na szeroki uśmiech. – Nikt mi nie może zabronić chodzić wybranymi ulicami. Nawet wtedy, gdy pan nimi chodzi. Nie wiem, kim pan jest, ale jeszcze raz powtarzam: Nie zajmuję się śledzeniem funkcjonariuszy FSB.

– Jak w takim razie nazywa się to, co pan robi? Może raczy się pan wytłumaczyć? Jestem generałem FSB, depcze mi pan po piętach, w dodatku nawet się pan nie wypiera. Więc jak się to pańskim zdaniem nazywa?

Władysław parsknął śmiechem.

– Mówi pan poważnie? Jest pan generałem FSB?

– Niech pan przestanie pajacować. – Minajew podniósł głos, nie kryjąc złości i rozdrażnienia. – Niech pan nie udaje, że o tym nie wiedział.

– Ależ naprawdę nie wiedziałem. Słowo daję.

– Dlaczego mam panu wierzyć? I właściwie dlaczego mnie pan śledzi?

– Na zlecenie klienta. Jestem prywatnym detektywem. Powierzono mi zadanie, więc je wykonuję. To się panu nie podoba?

– Ma pan licencję na prowadzenie działalności detektywistycznej?

– Oczywiście. Jest w notesie. Niech pan każe swojemu Igorkowi, żeby poszukał.

Minajew zerknął w stronę Igora, który stał za plecami Stasowa. Ten znowu zaczął szeleścić kartkami.

– Zgadza się, Antonie Andriejewiczu – rozległ się jego głos. –

Znalazłem licencję. Wydano ją w sierpniu dziewięćdziesiątego piątego roku.

– Kim jest pański klient?

– Chyba pan żartuje, Antonie Andriejewiczu. – Stasow znowu się uśmiechnął. – Nie wolno mi ujawniać tajemnicy. Gdybym to zrobił, pan pierwszy przestałby mnie szanować.

– Niech pan posłucha. – Głos Minajewa znowu stał się spokojny i cierpliwy. – Wydaje mi się, że nie rozumie pan powagi sytuacji. Myśli pan, że to zabawa? Powtórzę, jeśli pan nie zrozumiał: Jestem generałem FSB. Pracuję w kontrwywiadzie. Jeśli stwierdzam, że

jestem śledzony, mam podstawy przypuszczać, że to się wiąże z moją działalnością służbową. Więc albo zaraz mi pan udowodni, że tak nie jest, w co, szczerze mówiąc, bardzo wątpię, albo będziemy kontynuować rozmowę nie tutaj, tylko w oficjalnej scenerii. Dlatego będzie pan musiał podać mi nazwisko swojego klienta.

– Nie mogę. – Stasow westchnął. – Chciałbym, ale prawo mi zabrania. Niech się pan postawi w mojej sytuacji.

Przez chwilę Minajew milczał, uśmiechając się nieprzyjemnie i przechadzając tam i z powrotem po pokoju. Podczas rozmowy stał, górując nad Stasowem, który siedział w niskim fotelu. Chwył był stary, obliczony na wywarcie psychologicznego nacisku, ale nie zrobił spodziewanego wrażenia na Władisławie.

– Może zajrzeć do dyplomatki, Antonie Andriejewiczu? – znowu odezwał się Igor.

– Zajrzyj. – Generał skinął głową.

Stasow usłyszał szcęk zamków za plecami, po czym znowu dobiegł go szelest kartek. Ucieszył się ze swojej przezorności: umowę umieścił na samej górze, żeby nie przeglądano wszystkiego. Bo na samym dnie, pod stertą dokumentów, była koperta, której jeszcze nie należało pokazywać generałowi. Minajew wziął kartkę od Igora, przebiegł ją wzrokiem i się roześmiał.

– Mój Boże! Kto by pomyślał! Ach, ta Irocza!

Stasow odetchnął. Do tej pory wszystko szło zgodnie z planem. Właśnie takiej reakcji się spodziewali.

∴

Uroczą sąsiadka, która pragnęła wprowadzić się do mieszkania Minajewów, wynajęła prywatnego detektywa! Nie do wiary! Na pierwszy rzut oka wydawała się spokojna jak trusia.

– Co pańska klientka usiłowała ustalić, zlecając panu moją obserwację? – wesoło zapytał Minajew, niefrasobliwie rzucając umowę na biurko.

– Wydaje mi się, że niepokoi ją kwestia dopłaty, którą uzgodniliście. Irina Wieniaminowna powiedziała, że wartość waszych mieszkań znacznie się różni, więc musi pan dopłacić jej pewną

kwotę, ale nieoficjalnie. A ponieważ w ogóle pana nie zna i nie jest pewna, czy może panu zaufać, zwróciła się do mnie z prośbą, żebym się dowiedział, czy nie jest pan, mówiąc bez ogródek, oszustem. Czy nie prowadzi pan jakichś nielegalnych operacji. No i w ogóle, czy jest pan uczciwym człowiekiem.

– No i co, dowiedział się pan?

– Antonie Andriejewiczu, ponieważ teraz wiem, gdzie pan pracuje, problem sam się rozwiązał. Myślę, że gdyby pan powiedział o tym Irinie Wieniaminownie, nie wydawałaby pieniędzy na moje usługi.

– No cóż – wielkodusznie rzekł Minajew – cieszę się, że nieporozumienie się wyjaśniło ku obopólnemu zadowoleniu. Sądzę, że teraz może pan z czystym sumieniem oznajmić Irocze, że nie zamierzam jej oszukać i że dostanie całą kwotę. Mam nadzieję, że nie ma pan co do tego wątpliwości?

– Żadnych – zapewnił go Stasow. – I dziękuję, że zaoszczędził mi pan wysiłku i czasu, decydując się na rozmowę. To postawa godna mężczyzny.

Nagle Stasow zrobił dziwną minę, jakby coś mu przyszło do głowy.

– Antonie Andriejewiczu – powiedział niepewnie – to, co od pana usłyszałem, sprawiło, że spojrzałem na pewne rzeczy innymi oczami. Możemy porozmawiać na osobności?

To się Minajewowi nie spodobało. Co to znaczy na osobności? Po co? Jakie sekrety może mieć generał FSB i emerytowany podpułkownik milicji?

– Sprawdziłeś broń, Igorze?

– Tak jest, Antonie Andriejewiczu. Nie ma broni.

– Dobrze, zostawcie nas.

Wszyscy trzej wymienili niezadowolone spojrzenia, po czym opuścili pokój. Minajew został sam na sam z gościem.

– No więc o co chodzi?

Stasow milczał ponuro, jakby próbował zebrać myśli. Potem podjął decyzję.

– Jak pan na pewno zauważył, obserwuję pana już od trzech dni. W tym czasie zauważyłem coś ciekawego. Nie przywiązywałem do tego szczególnej wagi, bo nie wiedziałem, że pracuje pan w kontrwywiadzie. Ale teraz, gdy się dowiedziałem, sądzą, że

powiniennem panu o tym powiedzieć. Ktoś pana śledzi, Antonie Andriejewiczu. I nie chodzi tu o mnie.

– Śledzi?

Minajew gwałtownie się zatrzymał, przerywając miarowy spacer po pokoju, i wlepił oczy w Stasowa.

– Kto?

– Jeśli pozwoli mi pan sięgnąć po dyplomatkę, pokażę zdjęcia. Zauważyłem tych ludzi już pierwszego dnia i na wszelki wypadek sfotografowałem. W świetle zadania, które otrzymałem od Iriny Wieniaminowny, sądziłem, że skoro jest pan śledzony, to pewnie z powodu wrogich relacji z jakimiś zbirami. Jeśli zatem jest pan uwikłany w tego typu relacje, może się pan okazać niezbyt uczciwym człowiekiem. Dlatego poświęciłem trochę uwagi pańskim prześladowcom, żeby się dowiedzieć, czym się zajmują.

Stasow chciał wstać z fotela, ale Minajew dał mu znak, że ma się nie ruszać. Nawet teraz wolał nie tracić przewagi, patrząc z góry na detektywa. Zresztą kto wie, co jest w dyplomatce. Igor powiedział, że nie ma broni, mimo to... Generał wziął czarną skórzaną dyplomatkę, podszedł z nią do biurka i otworzył.

– Na samym dnie jest koperta ze zdjęciami.

Minajew szybko znalazł kopertę i wyjął z niej fotografie. Od razu rozpoznał ludzi Czincowa. Jeden z nich, młodszy, prowadził samochód, gdy Czincow przyjechał na negocjacje za miastem. Drugi, starszy, towarzyszył Czincowowi podczas ich drugiego spotkania parę dni temu. Też siedział za kierownicą. Widocznie Grigorij Walentinowicz nie lubi sam prowadzić. Cholerny bufon! Zdjęcia przedstawiały obu sługusów Czincowa pod domem Minajewa, a także na prospekcie Kutuzowa, koło budynku, w którym poprzedniego dnia generał załatwiał swoje sprawy. W kadrze znalazł się też jego samochód.

Co z tego wynika? Czincow kazał swoim ludziom go śledzić? Skończony głupiec. Kretyn. Na co liczy? Na to, że pozna wykonawcę, którego Minajew zamierza zatrudnić, żeby zorganizować wywiad wart milion dolarów, przekupi go i zgarnie cały milion? Śmieszny dyletant. Zarozumiały łajdak. Ze złości Minajewowi spocły się dłonie.

– Nie znam tych ludzi – wycedził. – Ale dziękuję, że mnie pan uprzedził. Sam się tym zajmę.

– To jeszcze nie wszystko, Antonie Andriejewiczu. Niech pan obejrzy pozostałe zdjęcia. Ci ludzie wczoraj i przedwczoraj odwiedzili budynek Głównego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Ponieważ przepracowałem tam wiele lat, bez problemu wszedłem do środka i upewniłem się, że nie są milicjantami. Zostali wezwani. Wygląda na to, że śledzą pana jacyś kryminaliści. Sądzę, że powinien pan o tym wiedzieć.

Minajew gorączkowo przerzucił resztę zdjęć. Tak, zgadza się. Co to wszystko znaczy, do diabła? Widocznie Stasow ma ukryty aparat, sfotografował ich nawet na korytarzach Pietrowki. O, tutaj młody chłopak wchodzi do pokoju i nawet widać numer na drzwiach. Starszy siedzi na krześle na korytarzu, widocznie czeka na swoją kolej.

– Władisławie Nikołajewiczu, wygląda pan na zawodowca, więc musi pan mieć jakąś hipotezę, która to wszystko tłumaczy – powiedział wolno Minajew, usiłując nie zdradzić zaniepokojenia. – Chciałbym, żeby się pan ze mną podzielił swoimi przypuszczeniami. Bóg widzi, że nie mam pojęcia, skąd to zainteresowanie pary opryszków moją osobą.

– No cóż, ja tym bardziej nie wiem. – Stasow rozłożył ręce. – Skoro wyjaśniliśmy wszystkie kwestie, Antonie Andriejewiczu, myślę, że na mnie już czas. Chyba nie ma pan do mnie pretensji. Proszę się też nie gniewać na Irinę Wieniaminownę, to samotna i bezbronna kobieta, boi się zostać oszukana. Co by zrobiła, gdyby się okazało, że jest pan nieuczciwy? Zamiana została sfinalizowana, Irina się przeprowadziła, a pieniędzy nie ma. Jakby pana zmusiła do ich oddania?

– Oczywiście, oczywiście – mamrotał Minajew, słuchając piąte przez dziesiąte, zajęty własnymi myślami.

Stasow powiedział, że bez problemu dostał się na Pietrowkę. Pracował tam wiele lat. Ma mnóstwo przyjaciół i znajomych. Nie można pozwolić, by tak po prostu odszedł. Nie wolno. Trzeba natychmiast wyjaśnić sytuację.

– Władisławie Nikołajewiczu – powiedział stanowczo – mogę pana

prosić o przysługę? Jako zawodowiec zrozumie pan moją prośbę.

– Słucham.

Stasow już wstał z niskiego fotela, więc teraz górował w pokoju niczym dwumetrowa kolumna.

– Nie mógłby się pan dowiedzieć, korzystając ze swoich kontaktów, w jakiej sprawie wezwano tamtych dwóch na Pietrowkę? Może coś się wyklaruje. Chyba pan rozumie, z racji mojego stanowiska...

– Nie musi się pan tłumaczyć. – Stasow się uśmiechnął. – Jako zawodowiec rozumiem pana niepokój. Chce pan, żebym już teraz się tym zajął?

– Jeśli to nie kłopot.

– W takim razie ja też mam do pana prośbę. Czy któryś z pańskich chłopców mógłby podstawić tu mój samochód? Został koło szkoły, do której chodzi moja córka. Nie chciałbym tracić czasu.

– Ależ oczywiście – z ulgą odparł Minajew, zadowolony, że nie musiał długo przekonywać Stasowa. – Niech pan da kluczyki, wyślę Igora.

– Kluczyki mi odebrano. – Stasow lekko się uśmiechnął. – Ale nie mam żalu. Gdy chodzi o generała FSB, wszystkie chwytaki są dozwolone.

Minajew wysłał Igora po samochód i wrócił do pokoju, w którym Stasow już wydzwaniał do swoich znajomych. Generał czuł się coraz bardziej nieswojo. Dlaczego Czincow otacza się kryminalistami? Rozum mu odebrało? Jest tak niefrasobliwy, że nie sprawdza swoich totumfackich, a oni za jego plecami zajmują się ciemnymi sprawkami?

– Sania? – zapytał Stasow, wybrawszy kolejny numer. – Witam, mówi Stasow. W porządku, dziękuję. Jakoś leci. Już późna pora, więc nie będę cię długo męczył. Nie wiesz, kto teraz zajmuje pokój, w którym kiedyś siedział staruszek Waganow? Wparowałem tam jak gdyby nigdy nic i natknąłem się na nieznanego faceta. Wyszło niezręcznie. Dałem staruszkowi na przechowanie moją teczkę, trzymał ją w sejfie, gdy odchodziłem na emeryturę. Jest mi teraz potrzebna, przyszedłem po nią, a tu masz... Co? Siełujanow? Nie, nie znam. Jak ma na imię? Kola? Dobra, dzięki.

– Swietka? Cześć, tu Stasow. Daj mi po starej znajomości telefon

Siełujanowa. Ależ skąd, Swieta, to nasze męskie sprawy. Nie gniewaj się, kotku, przecież widzisz, że znam na pamięć twój telefon. Dziękuję, moja śliczna.

– Nikołaj? Dobry wieczór. Nazywam się Stasow, do niedawna pracowałem w RUOP-ie. Wybacz, że niepokoję cię w domu, ale mam mały kłopot...

Minajew z napięciem wsłuchiwał się w słowa Stasowa, próbując odgadnąć, co mówią ludzie po drugiej stronie słuchawki. Wreszcie Władisław skończył rozmawiać i się do niego odwrócił.

– Faceci nazywają się Jakowlew i Obidin. Przesłuchiowano ich w związku z jakąś historią w hotelu Rossija. Zabójstwo bossa świata przestępczego. Chodziło też o coś, co się wydarzyło w Samarze. Nic to panu nie mówi?

– Nie. – Minajew wzruszył ramionami, siląc się na obojętność. – Wcale. Nie mam pojęcia, czego ci dwaj ode mnie chcą. No cóż, Władisławie Nikołajewiczu, dziękuję za pomoc.

Odprowadziwszy Stasowa, generał znowu wrócił do pokoju. Lokal był konspiracyjny, więc powinien się ubrać i pojechać do domu. Ale nie miał siły. Ludzi Czincowa wezwano w związku z Samarą i z hotelem Rossija. To mogło oznaczać tylko jedno: szukano Pawła Saulaka, bo udało się go powiązać z zabójstwem Jurcewa. Niewykluczone, że również z innymi.

Nikt nie może jednak znaleźć Pawła. Pod żadnym pozorem. Trzeba jak najprędzej się tym zająć.

∴

Po śmierci Rity i wyjeździe do Moskwy Paweł już nie wrócił do Biełgorodu, mimo że miasto mu się podobało. Teraz mieszkał zupełnie gdzie indziej, zatrzymał się nie w hotelu, tylko u samotnego emeryta. Tutaj też nie mógł narzekać: staruszek nie był wścibski, nie czepiał się drobiazgów, postawił tylko jeden warunek: żadnych pańienek i żadnego alkoholu. Z tym Paweł nie miał problemów. Bez kobiet mógł się obejść tak długo, jak długo było trzeba, a jeśli chodzi o alkohol, po pobycie w szpitalu sprawy się skomplikowały. Bez względu na okoliczności nie czuł już potrzeby, by się napić.

Dom, w którym zamieszkał Paweł, był solidny i zadbane, w odróżnieniu od trzydziestoarowej posesji. Pokoje i pomieszczenia piwniczne wyglądały schludnie, ale sad był zarośnięty i zdziczały. Widocznie grzebanie w ziemi nie pociągało gospodarza, mimo że chętnie przesiadywał wśród drzew w starym bujanym fotelu. Wyjaśnił Pawłowi, że lubi naturę pierwotną, nieoszepeconą uprawą.

Paweł prowadził cichy i uregulowany tryb życia, prawie nigdzie nie wychodził, uzgodniwszy z właścicielem, że będzie też płacił za wyżywienie. Wstawał wcześnie, jadł śniadanie i wracał do swojego pokoju, tłumacząc się, że zbiera siły po długiej chorobie. Wystarczyło spojrzeć na jego wycieńczoną szarą twarz z zapadniętymi policzkami, żeby w to uwierzyć. Gospodarz naturalnie wierzył, starał się zapewnić syte posiłki swojemu cichemu lokatorowi i nie narzucał się z rozmowami. Wieczorami oglądali razem telewizję: wiadomości, jakiś film, a o wpół do dwunastej program *Kalendarzyk*. Okazało się, że starszy pan nigdy przedtem nie oglądał tej audycji, ale Paweł mu poradził, żeby zerknął z ciekawości, bo jest warta uwagi. Potem Aleksander Pietrowicz nabrał ochoty. Podobało mu się zwłaszcza to, że każdy mógł zadzwonić do studia, nawet z zagranicy, i powiedzieć coś śmiesznego albo przerażającego. Był nawet konkurs na najciekawszą wiadomość tygodnia. Aleksander Pietrowicz nie mógł się nadziwić, że ludzie potrafią dzwonić z zupełnymi głupstwami, i dobrze się bawił, komentując telefony uszczypliwie i celnie, a zarazem zrędliwie, jak to starsza osoba.

Dzisiaj już obejrzelili wiadomości na pierwszym programie i kolejny odcinek serialu o agencji detektywistycznej *Księżycowe Światło*, potem przełączyli na kanał NTW, tam też obejrzelili prawie cały odcinek serialu o doktor *Quinn*. Zanim zaczął się *Kalendarzyk*, Aleksander Pietrowicz poszedł nastawić wodę na herbatę: podczas ulubionego programu lubił popijać aromatyczny ziołowy napar.

– Szkoda, Pasza, że nie chcesz mojej herbaty – poskarżył się już po raz któryś z kolei. – Ma właściwości lecznicze, wypróbowałem na sobie jej działanie. A ty wciąż jesteś blady i wycieńczony, strach na ciebie patrzeć. Nie wiem, na co chorowałeś w tej swojej Moskwie, ale widzę, że choroba musiała być długa i ciężka. Jak zamierzasz odzyskać siły, skoro nie jesz ani nie pijesz niczego zdrowotnego?

Myślisz, że pomoże ci tylko leżenie i spanie?

– Niech pan nie przesadza, Aleksandrze Pietrowiczu. – Paweł zmusił się do uśmiechu. Rozmowa powtarzała się co wieczór i okropnie go drażniła, ale panował nad sobą i nie okazywał irytacji. Starszy pan był miły, kto wie, jak długo będzie musiał u niego mieszkać. – Sumiennie zjadam wszystko, co mi pan gotuje. Nie powinien pan narzekać. A jeśli chodzi o herbatę, to proszę się nie gniewać, ale nie przywykłem dodawać niczego do esencji, lubię herbatę czystą, naturalną.

Na ekranie pojawił się znajomy przerywnik, więc Aleksander Pietrowicz usadowił się wygodnie na kanapie, oczekując dobrej zabawy. Parę minut później zaczęły się telefony do studia, tęgi, długowłosy gospodarz programu nacisnął przycisk.

– Proszę mówić.

– Halo! – rozległ się w studiu daleki kobiecy głos.

– Tak, jest pani na antenie, proszę mówić.

– Halo!

– Słuchamy panią, proszę mówić.

– Halo, słyszy mnie pan?

– Słuchamy, tak, proszę mówić.

– Dzwonię z Murmańska – nieśpiesznie oznajmiła kobieta, widocznie spodziewając się w odpowiedzi huraganu braw.

Paweł ledwie panował nad nerwami. Niekończące się rozmowy telefoniczne doprowadzały go niemal do szału. Gotów był zabić gospodarzy programu odbierających telefony, bo słuchali przeważnie siebie, a nie rozmówców. Nie pozwalali dojść do słowa osobie, która się dodzwoniła do studia, przerywając nieśmiało próby rozpoczęcia rozmowy swoimi „proszę mówić, tak, jest pani na antenie, słuchamy panią, proszę mówić”. Z drugiej strony rozmówcy też często nie dopisywali. Zgodnie z zamysłem autorów programu dzwoniący mieli opowiadać zabawne, straszne, wstrząsające i niewiarygodne zdarzenia, tymczasem dzwoniono z głupstwami, nawet nie po to, by zrelacjonować coś ciekawego, tylko z zamiarem ustosunkowania się do jakiegoś faktu albo by zadać pytanie gospodarzowi. Ta kobieta z Murmańska też pewnie nudzi się podczas długiej nocy polarnej, więc postanowiła zdobyć sławę w całym kraju. Niech wszyscy

usłyszą jej głos, mniejsza o to, z jakiego powodu.

– Niech pan sobie wyobrazi – ciągnęła wolno – że dzisiaj w naszym Murmańsku banany podrożały niemal dwukrotnie, a pomarańcze półtora raza. Nie wiem, co sobie myśli nasz rząd, skoro pozwala na taki skandal. Już od trzech miesięcy nie dostajemy pensji, a ceny wciąż idą w górę...

Paweł wyłączył się na chwilę, usiłując stłumić wzbierającą falę złości. Dlaczego, no dlaczego wokół jest tyle głupoty, bezmyślności i złego smaku?!

– Też mi nowina – burknął Aleksander Pietrowicz, jakby usłyszał myśli Pawła. – Czy ona w tym swoim Murmańsku myśli, że w Moskwie do tej pory panuje rozwinięty socjalizm, nie ma podwyżek cen i banany są po dwa ruble? Ceny wszędzie rosną. Po co z tym dzwonić?

Paweł kiwnął głową w milczeniu. Gdy niedorzeczne telefony zdziwiły starszego pana po raz pierwszy, próbował mu wyjaśnić, co kieruje ludźmi: chęć zabrania głosu, pragnienie bycia zauważonym, nuda, no i zwyczajna głupota, to znaczy brak rozumu. Aleksander Pietrowicz przyznał mu rację, ale widocznie nie mógł się pogodzić z tym, że niektórzy myślą inaczej. Skoro on, siedemdziesięciodwuletni mężczyzna, wie, jak odróżnić ciekawą wiadomość od całej reszty, dlaczego tylu jego rodaków tego nie potrafi? Przecież to bardzo proste! Już pierwszego dnia Paweł zauważył, że jego gospodarz to człowiek o nieprzeciętnym umyśle, który nie uważa się jednak za kogoś wyjątkowego i żąda od innych, by tak samo jak on oceniali usłyszane informacje.

– Halo! – zawołał gospodarz programu irytującym, piskliwym głosem. – Proszę mówić.

– Dzisiaj w Moskwie doszło do zabawnego zdarzenia – rozległ się w studiu głęboki męski głos. – W tramwaju numer dwadzieścia siedem na odcinku między Akademią imienia Timiriaziewa a ulicą Sobolewską do wagonu wpadły dwa tresowane pudle. Przejechały trzy przystanki, zabawiając pasażerów, wykonując różne sztuczki, w dodatku bardzo skomplikowane, potem stanęły na tylnych łapach i obeszły cały wagon. Okazało się, że do obroży miały przymocowane woreczki, więc roześmiani pasażerowie hojnie wrzucali tam

pieniądze. Na ulicy Sobolewskiej pudle wyskoczyły z tramwaju, a ja przez okno zobaczyłem, że przebiegły na drugą stronę ulicy i usiadły na przystanku tramwajowym. Widocznie zamierzały jechać z powrotem w stronę Akademii Timiriaziewa.

– Nie do wiary! – wrzasnął długowłosey gospodarz programu. – To rzeczywiście niesamowite zdarzenie. Do najstarszego zawodu świata, jakim jest żebractwo, najpierw wdrożono ludzi starszych, inwalidów i dzieci, a teraz dołączyły też tresowane zwierzęta. Jestem pewien, że ta wiadomość będzie główną kandydatką do nagrody Wiadomości Tygodnia.

Paweł zamknął oczy i skrzyżował ręce na piersiach. W tej pozycji czuł się najlepiej. Zamknięty i odgradzony od świata. Nikogo nie widział i do siebie nie dopuszczał, przebywając w swoim azylu.

– No proszę – mruknął Aleksander Pietrowicz. – Cuda tresury. Pewnie to były pudle cyrkowe. Jak sądzisz, Pasza?

– Chyba tak.

Tramwaj numer dwadzieścia siedem. Dwa pudle. Przejechały trzy przystanki. 27. 2. 3. Potem wyskoczyły i zmierzały jechać z powrotem. Dwa-siedem-dwa-trzy. Cyfry kodu oznaczającego, że musi jak najprędzej wrócić do Moskwy. Coś się stało i generał Minajew informuje Pawła, że jego obecność w Moskwie jest nie tylko pożądana, ale niezbędna. Wydarzyło się coś ważnego. Może znaleziono zabójcę Rity?

Po wykonaniu zadania Minajewa i opuszczeniu stolicy Paweł co wieczór oglądał program *Kalendarzyk*, bo umówili się z Antonem Andriejewiczem, że będą się kontaktować właśnie w ten niewyszukany sposób: wykorzystując telefony do studia. Program emitowano pięć razy w tygodniu, od poniedziałku do piątku, więc można było skutecznie przekazać wiadomość. Paweł miał oglądać program, zwracając uwagę tylko na telefony do studia i analizować liczby, które podawali rozmówcy. Istniało parę kodów cyfrowych, każdy z konkretnym przekazem. „Ukryj się, jesteś poszukiwany”. „Pilnie się skontaktuj”. „Uważaj, grozi ci niebezpieczeństwo”. „Natychmiast wracaj”.

Natychmiast wracaj.

Rozdział 19

Była to jedna z klasycznych mistyfikacji, którymi często się posługiwano. Parę lat temu zespół Wiktora Aleksiejewicza Gordiejewa dzięki podobnemu zagranu ściągnął do Moskwy killera z dużym stażem, Galla, i przyłapał go na gorącym uczynku podczas próby zabicia Nasti Kamieńskiej. Namierzono mężczyznę, który miał kontakt z Gallem, i zaaranżowano sytuację, w której musiał zatrudnić zabójcę. Ponieważ Gall mieszkał w Petersburgu, należało go wezwać do Moskwy. Potem drogą skomplikowanych zabiegów sprowokowano go, żeby spróbował zabić Anastazję Kamieńską, w dodatku osobiście, nie powierzając zadania współnikom. Po zatrzymaniu zabójcy Nastia dziękowała w myślach opatrznosci, że nie ma skłonności do siwienia. Mogła bowiem całkiem osiwieć, spędzając parę godzin sam na sam z mężczyzną, który przyszedł, żeby ją zabić, i nawet tego nie ukrywał.

Całkiem niedawno, stosując podobną kombinację, udało im się zatrzymać innego zabójcę, ale oba przypadki były łatwiejsze niż operacja, którą prowadzili w chwili obecnej. Wtedy zabójcy byli zależni od osób, które wzywały ich do Moskwy. Zadanie polegało na tym, żeby zmusić „chlebodawcę”, by wezwał zabójcę, bo to, że ten przyjedzie, nie ulegało wątpliwości. Teraz należało nie tylko zmusić generała Minajewa, żeby wezwał Pawła Saulaka, ale też zyskać pewność, że Paweł go posłucha. Tymczasem pewności nie było. Pozostawała tylko nadzieja.

Mieszkającą w sąsiedztwie Minajewa młodą aktorkę Iroczkę Asłanową znalazł pomysłowy i żywiołowy Kola Siełujanow. To on, zamknąwszy się w swoim mieszkaniu, przygotował zdjęcia, sprytnie montując różne ujęcia, by wyglądało na to, że Jakowlew i Obidin

naprawdę włóczę się za generałem. Siełujanow był wielkim miłośnikiem fotomontażu i świetnie opanował tę sztukę. Zdjęcia zrobione na Pietrowce były jednak oryginalne, bo pomocników Czincowa naprawdę wezwano i to Siełujanow z nimi rozmawiał. Generał Minajew mógł mieć znajomych w GUWD, toteż tę część operacji należało przygotować bardzo wiarygodnie, żeby oszustwo pod żadnym pozorem nie wyszło na jaw.

Jura Korotkow miał jednak rację. Mimo namów i przestróg Stasow powiedział o wszystkim Anastazji. W dodatku od początku nie ukrywał swojego zamiaru.

– Zrozumcie, chłopcy – mówił Jurze i Nikołajowi. – Gdy się prowadzi skomplikowaną operację, nie wolno zdawać się na przypadki. Nie możemy niczego ukrywać przed Nastią, bo przez głupie nieporozumienie wszystko się może posypać. Dziewczyna powie jedno niepotrzebne słowo, zrobi nieopatrzny krok i całą sprawę diabli wezmą.

– Gordiejew zabronił – apatycznie oponowali wywiadowcy. – Pourywa nam głowy, jeśli się przed nią wygadamy.

– No to milczcie. Ja się wygadam. Mnie nikt nie ukarze.

Długo stawiali opór, ale tylko po to, żeby mieć czyste sumienie. W końcu to było oczywiste, że Władisław ma rację.

Irocza Asłanowa zaczęła prowadzić z Minajewem grę dotyczącą zamiany mieszkań i szybko zawarła ze Stasowem umowę, która miała być ich glejtem. Została za to wynagrodzona specjalną ochroną mieszkania w PCO[23], zaświadczeniem o okresowym przeglądzie technicznym samochodu i komplementami na temat swojego talentu.

Zaraz potem Stasow przykleił się do Antona Andriejewicza, nie usiłując szczególnie się ukrywać, ale też nie pchając się w oczy. Wszystko powinno wyglądać naturalnie. Pod koniec drugiego dnia Władisław się domyślił, że Minajew go zauważył, rano trzeciego dnia zjawili się agenci, a po południu rozegrała się scena w konspiracyjnym lokalu generała. Sprawa potoczyła się lepiej, niż oczekiwał Stasow, który całkiem poważnie brał pod uwagę, że zostanie pobity. I jak mawiał wielki Ostap Ibragimowicz[24], „możliwe, że nogami”. Obeszło się bez bicia. Władisław wychodził ze

skóry, udając zdziwienie i zakłopotanie, gdy się dowiedział, że mężczyzna, którego śledzi na zlecenie Iriny Wieniaminowny Asłanowej, jest ni mniej, nie więcej, tylko generałem FSB. Potem przyszła kolej na scenę „Zawodowa solidarność” albo „Nie mogę milczeć”. Haczyk był w trzecim akcie. Zgodnie ze scenariuszem aktorzy mieli kierować się dewizą „Ty mnie, ja tobie”, ale tutaj dużo zależało już od samego Minajewa. Plan mógł się nie powieść. Generał mógł się nie przestraszyć. I nie poprosić Stasowa o pomoc. Mógł zwyczajnie nie uwierzyć. Zrobić, co mu przyjdzie do głowy.

Na szczęście nie zrobił. Dwadzieścia lat pracy wywiadowczej nie poszło na marne, Władisław Stasow zawsze słynął z umiejętności wykonywania powierzonych mu zadań. Był pomysłowy, elastyczny, błyskotliwy, bezbłędnie odgadywał nastrój rozmówcy i tok jego rozumowania. Gdyby pracownikom wydziału kryminalnego przyznawano Oscary za artyzm, bez wątpienia odszedłby na emeryturę jako laureat.

Tymczasem odszedł na emeryturę jako nikomu nieznany podpułkownik.



Pawła Saulaka wypatrywano na wszystkich dworcach i lotniskach. Nie zamierzano go zatrzymywać. Chciano tylko odnotować przyjazd i prowadzić dalszą obserwację. Minajewa powierzono opiece Koli Siełujanowa. Generał mógł teraz rozpoznać Stasowa, a Korotkow nie chciał się ujawniać, bo Minajew w każdej chwili mógł się spotkać z Czincowem, który na pewno zjawi się w towarzystwie albo Jakowlewa, albo Obidina, doskonale pamiętających Jurę z Samary i z Uralska.

Nazajutrz po spotkaniu ze Stasowem generał odwiedził dom w zaułku Grafskim. Siełujanowowi udało się ustalić piętro, ale znajdowały się tam cztery mieszkania, więc nie wiadomo było, do którego wszedł Anton Andriejewicz. Upewniwszy się, że po opuszczeniu mieszkania Minajew udał się do siebie, Kola spokojnie zawrócił i pojechał do komendy milicji okręgu aleksiejewskiego. Już półtorej godziny później wiedział, kto zajmuje owe cztery mieszkania,

a dziewczęta z biura adresowego obiecały, że mu pomogą ze zdjęciami. Lokatorami dwóch z czterech mieszkań okazali się rdzenni moskwianie, pozostałych dwóch przyjezdni, którzy jednak wprowadzili się dawno i przynajmniej raz zdążyli wymienić dowód albo zdjęcie.

Siedząc w ciepłym pokoju, Siełujanow mężnie walczył ze snem, głodem i chęcią sięgnięcia po alkohol. Właśnie w tej kolejności. Bo najbardziej chciało mu się spać. A skoro nie wolno spać, to chociaż coś zjeść. A jeśli i tego nie wolno, to nalejcie mi szklankę wódki, żebym od razu zapomniał i o śnie, i o jedzeniu. I w ogóle o wszystkim. O dzieciach, które ekszona zabrała do innego miasta do nowego męża. O pustym, olbrzymim mieszkaniu, do którego nie chce się wracać, bo jest tam tylko kurz, nuda i samotność. I nigdy nie pachnie smacznym jedzeniem. Oczywiście z wyjątkiem dni, gdy zjawia się, by przemocować, serdeczny przyjaciel Jurka Korotkow, w którego mieszkaniu panuje ciasnota, nerwowa atmosfera i choroba. O nudzie, a tym bardziej samotności nie ma tam mowy. Jurka lubi dobrze zjeść i umie przygotować pyszne rzeczy, tymczasem on, Siełujanow, potrafi tylko jeść. Z gotowaniem u niego krucho. Ale w odróżnieniu od większości wywiadowców zmuszonych, by żywić się od przypadku do przypadku tym, co wpadnie w rękę, i potrafiących jeść wszystko, co dostają, Kola Siełujanow nie potrafił jeść tego, czego nie lubił. Nie potrafił się zmusić, by zjeść coś niesmacznego. Nawet gdy był bardzo głodny. Dlatego pił. Najpierw żeby zagłuszyć miłość do żony i tęsknotę do dzieci. Potem żeby zagłuszyć głód. Potem żeby nie płakać z samotności. A w końcu się przyzwyczaił. Ale znał swoją normę i ściśle jej przestrzegał. W pracy ani kropli. Tylko wieczorem w domu. Szklanka podzielona na trzy porcje. Dwieście pięćdziesiąt gramów na trzy razy.

– Kola, śpi pan? – rozległ się nad uchem Siełujanowa dziewczęcy głosik.

Nikołaj ocknął się, ze zdziwieniem konstatuując, że rzeczywiście zasnął. Z zakłopotaniem spojrzął na młodą kobietę, która stała przed nim z plikiem fiszek. Zgrabna, niewysoka, w szarych spodniach od munduru, niebieskiej koszuli wpuszczonej w spodnie, z cienką talią podkreśloną paskiem. Z naramiennikami lejtnanta.

Figura: oczu nie można oderwać. Buźka, co prawda, nie dopisała. I to bardzo.

Siełujanow wziął od niej fiszki z naklejonymi w rogu zdjęciami i od razu natknął się na znajomą twarz. Nie, nie żeby znajomą, nigdy nie widział tego mężczyzny. Ale go znał. Długie, kręcone włosy, wysokie zakola. Ciemne okulary. Michaił Dawidowicz Łarkin.

Nikołaj poczuł, że olbrzymi ciężar spadł mu z ramion. To koniec, teraz może iść do domu i położyć się spać. Spać. Spać. Potem coś zje. I znowu będzie spał. Łarkin pojawił się w historiach z Jurcewem i z Bazanowem. Można mu przydzielić oficjalną obserwację, w ogóle tego nie ukrywając i nikogo nie oszukując. Pawła pilnują ludzie Konowałowa. Łarkin zostanie zatrzymany przez GUWD. A Minajewa można sobie odpuścić. Nie jest już potrzebny. Nie warto go śledzić.

Nikołaj podniósł zmęczone oczy na stojącą przed nim młodą kobietę.

– Jak pani na imię? – zapytał raptem.

– Wala. – Dziewczyna uśmiechnęła się w odpowiedzi. Uśmiech był tak samo nieładny jak twarz.

– Jest pani zamężna?

– Nie.

Nie zdziwiła się, słysząc pytanie. To się spodobało Siełujanowowi.

– A dzisiaj jest pani zajęta?

– Wieczorem? – sprecyzowała.

– I wieczorem, i w nocy. Do rana.

Nikołaj wyrażał się bardzo precyzyjnie, składając propozycje. Aluzje i niedomówienia były jego zdaniem niegodne mężczyzny.

– Do rana jestem wolna – odparła bardzo poważnie. – Ale chyba nie ma sensu, żeby się pan ze mną wiązał.

– Dlaczego? Jest pani chora na AIDS?

Oczy, nie zamykajcie się. Muszę jeszcze dotrzeć do domu. I dogadać się z tą brzydką, ale bardzo apetyczną Waleczką, żeby mnie odwiozła, nakarmiła i została na noc.

– Nie, jestem zdrowa. Ale mam trudny charakter.

– Jak to się objawia?

– Nie znoszę rzeczy należących do innych kobiet.

Zabrzmiało to jednoznacznie. Jeśli twoja żona jest w delegacji, a ty

kombinujesz szybki numererek na boku, to nie zapraszaj mnie do siebie i w ogóle niczego nie proponuj. Siełujanow się uśmiechnął.

– W moim mieszkaniu już od czterech lat nie ma ani jednej kobiecej rzeczy. Jest tam dużo miejsca, książek, kurzu i samotności. Prowadzi pani samochód, Waleczko?

– Oczywiście. – Skinęła głową. – Chyba nauczyłam się tego, zanim zaczęłam czytać. Mój ojciec jest instruktorem jazdy.

– Więc odwiezie mnie pani do domu? Bo oczy same mi się zamykają.

– Odwiozę.

– I przygotuje mi kolację?

– Jeśli jest z czego.

– A jeśli nie? Nie pamiętam, ale chyba niczego nie mam.

– A więc trzeba zrobić zakupy po drodze. Co jeszcze przewiduje program?

– Nie chcę pani oszukiwać, dlatego nic więcej nie obiecuję. Jestem śmiertelnie zmęczony. Nie obrazi się pani?

– Czy wyglądam na seksoholiczkę? – Uśmiechnęła się znowu.

Tym razem jej uśmiech wydał się Siełujanowowi czarujący. Ciekawe dlaczego na początku mu się nie spodobała? Głupiec z niego, nie zna się na kobiecej urodzie.

– Nie – powiedział bardzo poważnie i łagodnie. – Nie wygląda pani na seksoholiczkę. Ale jest pani kobietą, której na gwałt potrzebuję. Proszę mi nie odmawiać.

– Nie odmawiam.

– Ile ma pani lat, Walu?

– Dwadzieścia cztery.

– Jestem od pani starszy o trzynaście lat. O całe trzynaście długich lat, wypełnionych brudem, krwią, trupami, cierpieniami, wódką i przekleństwami. Nie odstręcza to pani?

– Zobaczymy – odparła z uśmiechem. – Jak mi się nie spodoba, zastanowimy się, co dalej.

Nikołaj zadzwonił do pułkownika Gordiejewa, wysłuchał podziękowań, otrzymał pozwolenie na powrót do domu, po czym z trudem dowłókł do samochodu swoje ciało, ociążałe po paru dobach nieprzerwanej pracy, zwałił się na tylne siedzenie i zapadł

w sen, ledwo zdążywszy podać adres Walentinie siedzącej za kierownicą.

Obudził się rześki i wesół, ale długo nie mógł się zorientować, gdzie jest i dlaczego nie ma czucia w nogach. Gdy oprzytomniał, stwierdził, że leży na tylnym siedzeniu swojego samochodu i jest troskliwie przykryty kocem. Zerknął na zegarek i się przeraził: druga w nocy. Nieźle sobie pospał! Umysł powoli zaczął pracować, Nikołaj przypomniał sobie dziewczynę z biura adresowego, która miała go odwiedzić do domu. Odwiozła czy tylko zamierzała? Wyjrzał na ulicę: samochód stał pod domem. A koc? Skąd się wziął? To przecież jego koc, zawsze leży na kanapie w dużym pokoju, Korotkow się nim przykrywa, gdy zostaje na noc.

A gdzie dziewczyna? Straciła nadzieję, że go obudzi, obraziła się i odjechała? Pewnie tak właśnie było. Cóż za niezręczna sytuacja! Stop. A koc? Nie wiadomo. Dobra, nie ma sensu tutaj siedzieć, trzeba ruszać do domu.

Wjechawszy windą na swoje piętro, Siełujanow stwierdził, że nie ma w kieszeni kluczy od mieszkania. To go nieprzyjemnie zaskoczyło. Ale zaraz potem koc, który dziwnym trafem przewędrował z kanapy do samochodu, połączył się z kluczami i uradowany Nikołaj wdusił przycisk dzwonka. Drzwi niemal od razu się otworzyły. Wala, ubrana w jego stare spodnie dresowe i starą koszulkę, stała przed nim ze ścierką w rękach.

– Obudziłeś się? – Uśmiechnęła się łagodnie. – Masz tu brud nie do opisanego. Kiedy ostatnio sprzątałeś?

– Nigdy – przyznał Siełujanow, ciesząc się, że wszystko w porządku, dziewczyna się nie obraziła i go nie zostawiła. – Przed rozwodem robiła to żona, ja wciąż nie mam czasu. Nie gniewasz się?

– Czemu?

– No jak to? Zaprosiłem cię, a potem zasnąłem.

– Nie zaprosiłeś mnie przecież jako gościa, tylko jako pomoc domową. Miałam cię odwiedzić do domu, przygotować coś do jedzenia i zrobić zakupy. To twoje słowa?

– Zgadza się. – Siełujanow jeszcze bardziej się stropił. – Ale na sprzątanie się nie umawialiśmy.

– To moja inicjatywa. Za to należy mi się duży tort.

Nagle Kola poczuł błogość i spokój, już dawno nie było mu tak dobrze. Odkąd flirtował ze swoją przyszłą żoną. Gdy się pobrali, jego życie zamieniło się w piekło wypełnione obsesyjną zazdrością. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Siedem dni w tygodniu. Dwanaście miesięcy w roku. Żona była niebywale, uderzająco piękna, więc Kola nie mógł uwierzyć, że wyszła za niego z miłości, wszędzie wietrzył podstęp, ciągle ją podejrzewał o interesowność, zdradę i kłamstwo. Nawet gdy zabrała dzieci i od niego odeszła, nadal ją kochał i szalał z zazdrości. Po czterech latach mu przeszło, ale radość i błogość już nie powróciły. A teraz...

Gdy znalazł się w kuchni, domyślił się, że w drodze do domu musieli zahaczyć o sklep. Na kuchence stały cztery duże garnki, pod każdym tlił się płomień.

– Gdy zobaczyłam twoje gospodarstwo, od razu wiedziałam, że chodzisz wiecznie głodny. Postanowiłam, że przygotuję ci jedzenie chociaż na tydzień – wyjaśniła Wala, wchodząc za nim do kuchni. –

W tym garnku jest zupa, tutaj pieczeń barania z ziemniakami. Tutaj duszone mięso z warzywami, zrobisz sobie do tego ryż albo makaron. Tutaj masz rybę, usmażyłam ją, a potem dusiłam w śmietanie. Na co masz teraz ochotę?

– Na pieczeń. Nie, na duszone mięso. Nie, na rybę. – Siełujanow się pogubił, czując zawroty głowy z głodu. – Na wszystko. Mam wrażenie, że mogę zjeść konia z kopytami. Zacznijmy od zupy, a potem zobaczymy.

Zjedli po talerzu zupy. Potem nagle na siebie spojrzeli. Jednocześnie wstali od stołu i ruszyli do sypialni.

Rano Nikołaj Siełujanow po raz pierwszy od wielu lat stwierdził, że zbudził się szczęśliwy.



Raporty z obserwacji Michaiła Łarkina trafiły na biurko Gordiejewa trzykrotnie w ciągu dnia. Mężczyzna zachowywał się niezrozumiale i chaotycznie, spacerował ulicami, wchodził do sklepów, zwłaszcza dużych, ale niczego nie kupował. Odwiedzał tanie bary, pił wstrętną, na pół wystygłą kawę, apatycznie przeżuwał dzieła sztuki kulinarnej

proponowane klientom, znowu włóczył się ulicami. Wyglądało na to, że jego wędrówka nie ma żadnego celu. Najpierw podejrzewano, że Michaił Dawidowicz krąży wokół pewnego miejsca, może szuka okazji, by się z kimś spotkać albo przekraść do skrytki, w końcu zaczął się szwendać po wizycie agenta kontrwywiadu Minajewa, więc nie można wykluczyć szpiegowskich pasji. Jednakże owo podejrzenie nie znalazło potwierdzenia. Łarkin odwiedził Sokolniki, park Gorkiego, WDNCH^[25], bazar w Końkowie i stację metra Pietrowsko-Razumowskaja. Potem nagle zaczął unikać zatłoczonych miejsc, błędził cichymi alejami Pierścienia Bulwarowego, przesiadywał na ławkach. Krótko mówiąc, trudno było cokolwiek zrozumieć.

Piątego dnia Michaił Łarkin przestał krążyć po mieście. Odnotowano jedno spotkanie, bardzo krótkie, z młodym mężczyzną w przedziale wiekowym od dwudziestu siedmiu do trzydziestu lat, po którym Łarkin z widoczną ulgą wrócił do domu, do zaułku Grafskiego. Mężczyznę od razu prześwietlono, ale informacje na jego temat wprawiły w zdziwienie Gordiejewa i jego pracowników. Witalij Kniaziew handlował hot dogami i piwem w kiosku mieszczącym się w zaułku przy stacji metra Nowokuznieckaja. Klienci zaglądali tam sporadycznie i byli przeważnie ci sami, wypatrzyli kiedyś kiosk z paroma stolikami, miejsce było spokojne, ruch nieduży, hot dogi gorące, piwo zimne, w menu znajdowała się też sałatka warzywna. Do Kniaziewa wpadali pracownicy pobliskich instytucji, wymieniali parę zdań ze sprzedawcą, opowiadali sobie kawały. Co ten chłopak mógł mieć wspólnego z Łarkinem?

Postanowiono zaczekać, aż sprawa się wyjaśni. Ale nic się nie wyjaśniało. Łarkin znowu tkwił w domu. To znaczy, że krótka dwuminutowa rozmowa z Kniaziewem zwieńczyła jego długie przechadzki po mieście. Co w tym sprzedawcy tak niezwykłego?

≡

Saulak wrócił do Moskwy i na wszelki wypadek prosto z lotniska zadzwonił do Minajewa. Kto wie, może nie powinien się zatrzymywać w jednym ze swoich mieszkań – ani w tym, w którym był zameldowany jako Saulak, ani w tamtym, figurującym na Kustowa,

który wrócił z Belgii po rozwodzie z uroczą żoneczką.

– Dobrze, że pan przyjechał – powiedział ucieszony Minajew. – Jest mi pan bardzo potrzebny. Proszę jechać do domu, do tamtego mieszkania, którego adres znajduje się w pańskich prawdziwych dokumentach, i przez jakiś czas nigdzie nie wychodzić. Nie powinien pan opuszczać mieszkania, póki nie powiem.

– Dlaczego?

– Dlatego. To nie jest rozmowa na telefon, Pawle Dmitrijewiczu. Niech pan jedzie do domu, zamknie się tam i siedzi jak mysz pod miotłą. Proszę nie odbierać telefonów. I niech pan do nikogo nie dzwoni. Pojutrze równo o dwunastej proszę wyjść z mieszkania. O dwunastej zero pięć koło apteki przejedzie samochód, białe żiguli. Gdy zwolni, wsiądzie pan do środka. Kierowca przywiezie pana do mnie. Jeżeli będzie się pan trzymał instrukcji, nie przyklei się do pana żaden cień, a gwarantuję, że niejeden będzie próbował.

Paweł nie zadał więcej żadnych pytań, posłusznie pojechał na ulicę Cziriepanowów, gdzie w jednym ze starych wielkopłytowych ośmiopiętrowych wieżowców znajdowało się jego mieszkanie. Uważnie wsłuchał się w siebie i stwierdził, że kontakt z Minajewem i wezwanie do Moskwy go ucieszyły. Znowu wszystko zaczynało się układać: pojawił się szef, który będzie mu dawał rozkazy i stawiał przed nim zadania, a on, Saulak, będzie się starał jak najlepiej je wykonywać. Minajew już wcześniej, zaraz po wyjściu Pawła z kolonii karnej, próbował nim sterować, ale wtedy sytuacja była nieco inna. Paweł miał własne zadanie, które uważał za priorytetowe, toteż udawał człowieka krnąbrnego i nieustępliwego, który nie uznaje niczyjego przywództwa. Ale po wykonaniu zlecenia Minajewa i zlikwidowaniu zabójców Bułatnikowa przeżywał ciężkie chwile. Przywykł komuś podlegać. Przywykł, że ktoś inny podejmował decyzje. Zawsze rządził nim strateg, który określał zadania na przyszłość, a Paweł musiał je sumiennie wykonywać, co zresztą robił przez całe życie, poczynając od bezwzględności wobec ojca, a kończąc na przestrzeganiu regulaminu kolonii karnej. Ale ostatnie tygodnie... Saulak nie miał złudzeń i wiedział, że nie potrafi samodzielnie budować życia. Potrzebuje szefa, przewodnika. Chlebodawcy. Będzie mu służył jak wierny pies. Do diabła, choćby

nawet Minajewowi. Musi tylko skończyć zaczęłą sprawę, ma już niewiele do zrobienia, potem może się oddać do dyspozycji Antona Andriejewicza. I znowu wszystko stanie się jasne i proste jak dawniej.

W pustym mieszkaniu na ulicy Cziriepanowów nie było nawet chleba. Gdy Paweł wyjeżdżał, nie wiedział, kiedy wróci, dlatego skrupulatnie wyrzucił wszystko, co może się zepsuć albo spleśnieć, umył i wyłączył lodówkę. W drodze z lotniska kupił trochę jedzenia, wystarczy na parę dni, potem się zobaczy. Pojutrze jedzie przecież do Minajewa, a stamtąd kto wie dokąd. Może do drugiego mieszkania, zapisanego na Kustowa, a może zupełnie gdzie indziej. Wszystko zależy od tego, co się stało, z jakiego powodu Minajew go wezwał do Moskwy.

W domu Paweł od razu wziął prysznic, potem rozłożył kanapę i się położył. Niemal bez przerwy czuł olbrzymie osłabienie i nieustanną potrzebę odpoczynku. Wiedział, że nie jest to wynikiem jakiejś dolegliwości, na zdrowie nie narzekał, nie licząc wątroby, która od czasu do czasu nieprzyjemnie się odzywała. Saulak był niezwykle wytrzymały, potrafił godzinami chodzić i biegać, przez parę dni nie jeść i nie spać. Ale hipnoza odbierała mu siły. Natura nie była hojna, obdarzając go umiejętnością oddziaływania na ludzi. Osiągnięcie nawet niewielkiego efektu wymagało olbrzymiego napięcia, które go wyczerpywało do cna.

Leżąc na kanapie, wodził wzrokiem po pokoju, ciesząc się, że udało mu się ocalić bibliotekę rodziców. Teraz można wprawdzie bez problemu kupić każdą książkę, nawet najbardziej rozchwytywaną. Ale wtedy, trzydzieści czy czterdzieści lat temu, dobre książki były na wagę złota, podobnie jak wydania subskrybowane. W tamtych czasach, które rodzina spędziła za granicą, co miesiąc dostawali w ambasadzie cienką broszurę: parę kredowych kartek z tytułami i cenami nowych książek, które pojawiły się w różnych radzieckich wydawnictwach. Broszura nazywana była białą listą. Ojciec zakreślał długopisem interesujące go publikacje i zwracał broszurę do Rosji. Podczas służby na Węgrzech i w Czechosłowacji skompletował w ten sposób olbrzymią bibliotekę. Przed ucieczką do kolonii karnej Paweł zadbał o to, żeby zostawić ją w dobrych rękach.

Wystarał się o oficjalną opiekę nad znajomym bibliofilem, zabrał go z komunalnego mieszkania, pełnego uciekinierów i przyjezdnych z prowincji, i zameldował u siebie. Wiedział, że zostawia mieszkanie i książki zaufanej osobie. Modlił się tylko o to, żeby staruszek nie umarł w ciągu dwóch lat. Na szczęście mężczyzna dożył chwili uwolnienia Pawła, a Minajew, podczas gdy Saulak dochodził do siebie w jego letniskowym domku, szybko wszystko zorganizował. Paweł znowu został zameldowany w mieszkaniu – ponieważ opiekę przyznano mu zgodnie z prawem i miał na swoim utrzymaniu starszą osobę, z łatwością otrzymał moskiewskie zameldowanie, mimo że był karany. Anton Andriejewicz zatroszczył się też o lokum dla starszego pana, więc dawne mieszkanie na ulicy Czieriepanowów znowu wróciło w wyłączne posiadanie Pawła.

Już miał odsunąć kołdrę, żeby wstać i wziąć jakąś książkę, ale się rozmyślił. Dobrych książek, których czytanie przynosi spokój i zapomnienie, jest za dużo. Nie pora na to. Najpierw rozwikła problem Minajewa. Potem doprowadzi do końca rozpoczętą sprawę. Potem wszystko potoczy się zwyczajowym trybem, Anton Andriejewicz, który zajął miejsce Bułatnikowa, będzie mu przydzielał zadania, a on będzie je wykonywał, powierzając poszczególne ogniwa operacji Łarkinowi, Garikowi albo Karłowi. Rity już nie ma. Szkoda. Kto ją zabił? I dlaczego?

Paweł bezwiednie sięgnął do kieszeni po notes, w którym miał zapisany telefon Anastazji. Może już znaleziono zabójcę Rity? Aha, Minajew nie kazał korzystać z telefonu. Dobrze, to może poczekać. Dziwne czasy nastały w jego życiu. Wszystko musi odkładać na potem. Zadzwoń, żeby zapytać o Ritę – potem. Czytać ulubione książki – potem. Życ pewnie też potem.

Ciekawe, kiedy nastąpi owo mgliste potem?



Do drugiego spotkania Michaiła Dawidowicza Łarkina ze sprzedawcą hot dogów Witalijem Kniaziewem wywiadowcy szykowali się tak, jak kiedyś cały kraj szykował się do październikowego jubileuszu. Spotkanie odbyło się w mieszkaniu Łarkina w zaułku Grafskim,

trwało trzy i pół godziny. Dwa dni później na biurko pułkownika Gordiejewa trafiły dwie kasety: wideo i magnetofonowa. Sprzęt do nagrywania skompletowano, skąd się dało, a za rusztowanie na kółkach, którego użyto, żeby poutykać wszystko w ścianach, trzeba było zapłacić gotówką, wyskrobując z kieszeni dziesięciotysięczne banknoty.

Na ekranie odtwarzacza Łarkin spokojnie rozmawiał z Kniaziewem. Rozmowa była wprawdzie jednostronna: przeważnie mówił Łarkin, a Kniaziew od czasu do czasu rzucał parę słów. Za to obserwowanie Kniaziewa okazało się ciekawe. Mężczyzna miał bardzo żywą mimikę, na początku rozmowy z twarzy nie schodził mu głupkowaty uśmiezek, co rusz parskał śmiechem, robił miny i mrugał porozumiewawczo do Łarkina. Jednym słowem, sprawiał wrażenie kompletnego idioty. Kretyńskie zachowanie powoli znikło, twarz się wygładziła, Kniaziew już się nie śmiał i nie wykrzywiał. Siedział w fotelu naprzeciwko Łarkina rozluźniony, z rękami na poręczach, przymknąwszy oczy, i miarowo się kiwał w takt słów Michaiła Dawidowicza. Potem wolno wstał i położył się na kanapie, wyciągając się na plecach. Z boku wydawało się, że śpi, ale co chwila podnosił to jedną, to drugą rękę i robił jakieś niezrozumiałe gesty, po czym Łarkin kiwał głową z aprobatą i Kniaziew opuszczał rękę. I tak na trzech kasetach.

Potem nagranie wideo odtworzono ponownie i włączono magnetofon, próbując połączyć dźwięk z obrazem. Przez pół godziny rozmowa toczyła się o niczym. Na ekranie Kniaziew uśmiechał się i mrugał, a z magnetofonu dobiegało:

– Taki ekstra chłopak jak ty pewnie nie ma problemu z dziewczynami, co?

– No jasne. Wszystkie laski są moje.

– O tym właśnie chcę z tobą porozmawiać, Witaliju. Wydaje mi się, że jesteś bystry i można na tobie polegać. Chcę ci powierzyć pewną sprawę, bo ufam ci jak nikomu innemu.

– Ma się rozumieć. – Znowu uśmiezek i mrugnięcie.

– Więc jeśli się dogadamy, możemy zbić niezłą kasę. Wierz mi, ty masz sporo znajomych dziewczyn, a ja pomysły, co zrobić, żeby zarobić na nich duże pieniądze. No to jak, zgoda?

– Pewnie!

Mniej więcej trzydzieści minut później wypowiedź Łarkina przybrała inną formę, ale temat się nie zmienił.

– Jeśli będziesz mnie słuchać, wszystko się uda. Będzie super. Musisz mi zaufać i uwierzyć, że chcę twojego dobra, dlatego musisz mnie słuchać. Bo tylko ja wiem, co jest dla ciebie dobre, a co złe. Jeżeli będziesz posłusznym narzędziem w moich rękach, razem dokonamy rzeczy niemożliwych. Staniemy się najsilniejsi i najbogatsi, wszyscy będą nam schodzić z drogi. Ale żeby tak się stało, musisz mnie słuchać. Musisz zapomnieć o tym, co jest w tobie indywidualne i osobiste, musisz pozbyć się swoich myśli i odczuć i mi zaufać...

Kniaziew już nie pajacował, siedział spokojnie, od czasu do czasu kiwając głową. Potem położył się na kanapie, a Łarkin ciągnął:

– Od tej chwili będziesz słuchał tylko mnie. W twojej głowie nie będzie już żadnej własnej myśli. Będzie rozbrzmiewał w niej mój głos, który będzie ci wydawał polecenia, a ty będziesz je wykonywał...

I godzinę później:

– Jutro musisz zabić mężczyznę, który o ustalonej godzinie wyjdzie z pewnego mieszkania. To konieczne, żebyśmy mogli przystąpić do interesu, który nam przyniesie majątek. Mężczyzna może nam przeszkodzić, więc trzeba go zabić, zanim zaczniemy działać. Jutro pojedziesz na ulicę Czieriepanowów, znajdziesz blok numer dziewiętnaście, wejdiesz do klatki numer trzy na czwarte piętro i zaczekasz. Punktualnie o dwunastej z mieszkania wyjdzie mężczyzna...

– Ulica Czieriepanowów dziewiętnaście, klatka numer trzy to adres Saulaka! – niemal krzyknęła Nastia. – To znaczy, że przyjechał? A Łarkin zamierza go zabić rękami tego kretyna?

Gordiejew gwałtownie wyłączył magnetofon i rzucił się do telefonu. Przez parę minut w jego gabinecie panował taki hałas, że trzeba było zatykać uszy.

– Twoi ludzie chyba śpią! – krzyczał do generała Konowałowa. – Po co kazałeś im pilnować dworców i lotnisk? Żeby się tam zabawiali z panienkami? Saulak przyjechał, wiedzą o tym jego kolesie, ja o tym

wiem, ale ty nie. A miałeś przecież dowiedzieć się pierwszy. Twoje szczęście, Aleksandrze Siemionowiczu, że jest u mnie kobieta, bo powiedziałbym ci parę brzydkich słów. Przez twoich leni cała operacja omal nie legła w gruzach! Jak mogliście go przegapić, pytam? Mielście jego zdjęcia, znaliście oba nazwiska, tymczasem przeszedł koło was, jakbyście byli ślepi. Skąd wiem? Nie twoja sprawa, Aleksandrze Siemionowiczu. Z tamtej informacji, którą ci przekazałem, też nie potrafiłeś zrobić użytku. Podesłałem ci do zespołu swoją najlepszą pracownicę, wykonała dla ciebie huk roboty i po co? Żebyś zniszczył wszystko na ostatnim etapie, bo nie zadbałeś, żeby rozgarnięci chłopcy pilnowali punktów transportowych? Mam w nosie, że to ludzie Szczupłowa, a nie twoi. Powinieneś był osobiście skontrolować, kogo Szczupłów wyznaczył. Zapomniałeś wszystkich zasad wywiadowcy w swoim ciepłym fotelu?

Nastia wiedziała, co szef ma na myśli. Sprawa, którą wywiadowcy przyjmują i prowadzą od samego początku, myśląc o niej przez całe dni i noce, tracąc apetyt i ochotę na sen, staje się dla nich tak ważna, że nikogo do niej nie dopuszczają, nie sprawdzwszy uprzednio wiarygodności i rzetelności pomagierów. Dochodzenie jest pracą twórczą, owocem udręki i radości, jak książka dla pisarza czy obraz dla malarza. Czy to możliwe, żeby pisarz z lekkim sercem porzucił książkę, pierwszemu lepszemu powierzając napisanie trzech ostatnich rozdziałów? Że niby, jak napisze, tak będzie dobrze. Jeśli już się zdarzy, że pisarz z obiektywnych przyczyn nie może dokończyć książki, szuka najzdolniejszego literata, długo i dokładnie objaśnia swój zamysł i szczegółowo instruuje, co powinno się znaleźć w ostatnich rozdziałach. Dyktuje, co tylko może, a resztę sto razy czyta i sprawdza. W pracy operacyjnej jest podobnie: Jeżeli trzeba powierzyć komuś część sprawy prowadzonej w pocie i znoju, wywiadowca nie żałuje czasu ani sił, żeby wszystko wyjaśnić, uprzedzić o możliwych pomyłkach i komplikacjach. I podejrzliwie się przypatruje, próbując zyskać pewność, że nowy pomocnik nie zniszczy tego, co do tej pory osiągnięto, nie szcędząc sił i zdrowia. Konowałow nie może oczywiście wskazywać palcem, którego podwładnego generała Szczupłowa należy włączyć do pracy. Szczupłów jest panem swojego resortu. Ale Konowałow mógł przecież

wysłać swoich ludzi na dworce, żeby zobaczyli, jak pracują orły Szczupłowa, i sprawdzili, czy się nie objają i nie udają głupich. Zauważywszy nieprawidłowości, powinien był napisać raport, zażądać zwiększenia dyscypliny, wyznaczenia innych, bardziej doświadczonych funkcjonariuszy. Jest wiele sposobów, by skontrolować, czy partner nie rujnuje operacji! Tymczasem generał Konowałow tego nie zrobił, co wyrzucał mu teraz, krzycząc do słuchawki, purpurowy z gniewu Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew.

Nastia niemal całkowicie straciła zainteresowanie gwałtowną telefoniczną pyskówką, myślała o naiwnym Kniaziewie i upośledzonym umysłowo Bazanowie. Im dłużej myślała, tym lepiej rozumiała, co się wydarzyło w ciągu ostatniego miesiąca. Ale to było potworne! I zupełnie niewiarygodne...

≡

Paweł Saulak znał wartość nie tylko minut, ale też sekund. Więc skoro Minajew wyznaczył godzinę, o której białe żiguli miało go zabrać sprzed apteki, nie wolno mu było zaburzać scenariusza. Za pięć dwunasta stał w przedpokoju gotów do wyjścia. Z kuchni sączyła się cicha muzyka: zostawił włączone radio, żeby usłyszeć sygnał czasu. Gdy wybiła pełna godzina, przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi na klatkę schodową.

I od razu coś się stało. Nie potrafił powiedzieć co. Na schodach było pełno nieznanomych ludzi, coś puknęło, szczęknięło i zaterkotało. Paweł bezwiednie zamknął i otworzył oczy. Na półpiętrze poniżej trzej zwaliści mężczyźni trzymali czwartego zakutego w kajdanki. Na schodach stali jeszcze dwaj, w rękach jednego z nich Paweł zauważył pistolet z tłumikiem. Na wyższym podeście zobaczył dwóch mężczyzn z kamerą. Domyślił się pochodzenia odgłosów: puknięcie – wystrzał z pistoletu z tłumikiem, szczęknięcie – kajdanki, terkot – kamera. Ale razem? Co się tutaj dzieje?

– Paweł Dmitrijewicz Saulak? – zwrócił się do niego agent, który stał na stopniu koło zatrzymanego. – Właśnie zatrzymaliśmy mężczyznę, który usiłował pana zastrzelić. Chce pan złożyć zeznania czy pojedzie z nami na Pietrowkę?

Pojechać na Pietrowkę? Złożyć zeznania? A co z białym żiguli, które miało zawieźć Pawła do Minajewa? Zerknął na zegarek. Gdyby pobiegł, mógł jeszcze złapać samochód przejeżdżający koło apteki. Ale kto mu pozwoli stąd odejść...

Od razu pojawiło się następne pytanie: Próbowano go zabić? Kto? Zresztą pytanie było retoryczne. Półtora miesiąca wcześniej sam mówił, że nie zdziwi się, jeśli pół Rosji stanie w kolejce, żeby go zabić. Ciekawe, jak milicja wpadła na trop zamachu. No cóż, dobrze się spisali, nie zasypiają gruszek w popiele. Wszystko to oczywiście wydarzyło się nie w porę. Wizyta na Pietrowce też mu się nie uśmiecha, ale jest nadzieja, że spotka tam Anastazję. Ona zawsze go rozumiała. I doskonale wie, że nie brak chętnych, by go zabić. Widziała na własne oczy w Samarze. Z jej pomocą Paweł będzie mógł się wyplątać z tej historii. Przecież dzisiaj nie mają go o co oskarżyć. Byleby tylko ludzie, którzy nasłali na niego zabójcę, nie wymiękli, i nie wypłynęła dawna historia.

– Wszystko mi jedno – powiedział, nawet nie próbując wziąć się w garść. W końcu przed chwilą się dowiedział, że ktoś chciał go zabić. Jak w tej sytuacji może zachowywać spokój?! – Róbcie, co uważacie za stosowne. A kim jest ten mężczyzna?

– Niejaki Witalij Siergiejewicz Kniaziew. Zna go pan?

Agenci trzymający Kniaziewa gwałtownie nim potrząsnęli, zmuszając, by podniósł głowę. Teraz Paweł mógł spojrzeć mu w twarz.

– Nie. – Saulak pokręcił głową. – Pierwszy raz go widzę.

Nagle poczuł osłabienie, nogi się pod nim ugięły, potworne zmęczenie połączyło się z myślą o śmierci, która właśnie zajrzała mu w oczy. Paweł oparł się plecami o ścianę i wolno osunął na zimną kamienną podłogę.

≡

Nastia nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak bardzo się denerwowała. Szykowała się do rozmowy z Pawłem i wciąż nie mogła się zdecydować, jak ją poprowadzić. Od czego zacząć? Jakie karty najpierw wyłożyć? Które pokazać od razu, a które schować na

później? W głowie miała gonitwę myśli, nie mogła się skoncentrować, to zaś wprawiało ją w irytację i jeszcze większe zdenerwowanie.

Dowiedziawszy się, że Kniaziew został zatrzymany podczas próby zabicia Saulaka i wszyscy razem jadą na Pietrowkę, zaczęła krążyć po pokoju, a potem gorączkowo walić pięścią w ścianę, za którą znajdował się pokój Miszy Docenki. Chłopak natychmiast zjawił się przestraszony.

– Co się stało, Anastazjo Pawłowno?

– Niech się pan uważnie rozejrzy, Miszeńka, i zabierze stąd wszystkie przedmioty, którymi można zrobić komuś krzywdę.

– Czemu? – zdumiał się Docenko.

– Bo Saulak opanował umiejętność hipnozy. Co będzie, jeśli mu się nie oprę? Każe mi oddać broń służbową, a ja ją oddam? Co wtedy?

– Gdzie ma pani broń?

– W sejfie.

– No to proszę mi ją dać. Zabiorę do swojego pokoju. Ma pani nóż?

– Tak, w biurku.

– Nóż też wezmę.

Misza wyszedł, zabierając wszystko, co jego i Nastii zdaniem mógł wykorzystać Saulak, wprowadziwszy ją w stan odrętwienia. Mijały minuty, Nastia powoli zaczęła się uspokajać. Paweł już wypróbował na niej swoje zdolności, a ona sobie poradziła. Więc teraz też nie powinno być źle.

[23] PCO (Punkt centralizowanej ochrony) – Punkt Ochrony Centralnej.

[24] Postać z powieści *Dwanaście krzesel* Ilfa i Pietrowa.

[25] WDNCH (Wystawka dostiżenij narodnogo choziajstwa) – Wystawa Osiągnięć Gospodarki Narodowej, centrum wystawowe.

Rozdział 20

Początkowo planowano zatrzymać Łarkina, gdy przyjdzie na spotkanie z Kniaziewem po zabójstwie Pawła. Michaił Dawidowicz kazał Kniaziewowi, by zaraz po zabiciu Saulaka pojechał na Nowokuzniecką, otworzył kiosk i jak gdyby nigdy nic sprzedawał hot dogi.

– Otworzysz kiosk i będziesz spokojnie pracować. Nigdzie nie odchodź, póki się nie zjawię. Przyjdę koło trzeciej. Gdy tylko mnie zobaczysz, przeproś klientów, jeśli akurat będą, zrób półgodzinną przerwę i idź za mną wzdłuż torów tramwajowych.

Zamysł był oczywisty. Od razu po zabójstwie Łarkin chciał wyprowadzić Kniaziewa z transu i wyczyścić mu pamięć. Chłopak nigdy nie przypomni sobie kędzierzawego, tęgiego mężczyzny w ciemnych okularach, który zaczepił go na ulicy i zaprosił do domu, roztaczając przed nim plany szybkiego wzbogacenia się z pomocą dziewcząt. Nigdy sobie nie przypomni, że był na ulicy Czieriepanowów i strzelał do mężczyzny, który o wyznaczonej godzinie opuścił mieszkanie. Byłoby oczywiście najlepiej, gdyby Kniaziew przyjechał po zabójstwie do Łarkina, a ten zająłby się nim w ciszy i spokoju. Jeśli jednak coś pójdzie nie tak, Kniaziew może mieć ogon, który przywlecze się za nim prosto do zaułka Grafskiego. Łarkin nie mógł ryzykować. Dlatego kazał Witalijowi wrócić do kiosku na Nowokuznieckiej. Zamierzał tam przyjechać, żeby wymazać z jego pamięci co trzeba.

Przydałby się chociaż magnetofonowy zapis tego, jak Łarkin będzie wmawiał nieszczęsnemu handlarzowi, że nigdy się nie spotkali i nie było żadnego zabójstwa. Ale jeśli pozwolić Łarkinowi, by skończył robotę, Kniaziew nawet nie musi składać zeznań. Przecież niczego

sobie nie przypomni. Poza tym już został zatrzymany za usiłowanie zabójstwa, więc teraz nikt nie pozwoli mu zdjąć kajdanek i wyprowadzić do kiosku na Nowokuzniecką, żeby sprzedawał hot dogi. Chociaż na zdrowy rozum zeznania Kniaziewa nie są warte funta kłaków, więc na jedno wychodzi. Jeżeli jest jeszcze w transie, nie można go przesłuchiwać. Jeżeli pozwolić Łarkinowi, by wyprowadził go z transu, chłopak wszystko zapomni. Nastia skonsultowała się ze specjalistami, którzy zgodnie ją zapewnili, że prawdziwy mistrz hipnozy, a Łarkin na takiego wygląda, koduje świadomość za pomocą pewnych słów, żeby nikt prócz niego nie mógł wyprowadzić delikwenta z transu. To właśnie mogło się przydarzyć Kiryłowi Bazanowowi. Po zabójstwie szantażysty Łarkin się z nim spotkał, wyprowadził z transu i wyczyścił pamięć, dlatego chłopak zupełnie nie pamiętał tamtego dnia. A po zabiciu Łuczenkowa Michaił nie zdążył dotrzeć do Kiryła, którego zatrzymano na miejscu przestępstwa, gdzie sumiennie, choć wyraźnie zdziwiony, opowiadał o głosie, który mu kazał...

A zatem Kniaziew jest marnym świadkiem. Niczego nie zdradzi, a jeśli nawet to zrobi, nikt tego nie udowodni. Jedyne dowody to nagrania, na których widać i słyhać, że Łarkin wprowadza Witalija w trans i każe mu zabić mężczyznę wychodzącego z mieszkania na czwartym piętrze w domu numer dziewiętnaście na ulicy Czieriepanowów. I nagranie wideo, które pokazuje, jak Kniaziew sumiennie wykonuje wszystkie nakazane czynności. Warto by mieć też nagranie, na którym Łarkin wyprowadza go z transu. Jednakże z punktu widzenia prawa sytuacja jest kiepska. Brak precedensów. Jak zakwalifikować czyny Kniaziewa i Bazanowa? Żadna ekspertyza nie potwierdzi, że są niepoczytalni. Prawo zaś nie mówi nic o hipnozie. Dlatego gdyby nawet udało się udowodnić, że w stosunku do Bazanowa i Kniaziewa użyto hipnozy, nie zwolni ich to od odpowiedzialności. Albowiem prawo mówi wyraźnie: „Nie ponosi odpowiedzialności karnej ten, kto podczas popełnienia czynu szkodliwego społecznie znajdował się w stanie niepoczytalności, to znaczy nie zdawał sobie sprawy ze swojego postępowania albo kierowała nim przewlekła choroba psychiczna, chwilowe zakłócenie czynności psychicznych, upośledzenie umysłowe czy inny

chorobliwy stan”. Innymi słowy, wszelkie zakłócenia muszą nosić znamiona choroby. Tymczasem hipnoza nią nie jest. To, co człowiek robi podczas transu hipnotycznego, poczytuje mu się za winę. Prawnicy obronią ze sto dysertacji, zanim wymyślą rozwiązanie tego rodzaju przypadku. Ale zatrzymani nie mogą tak długo czekać. Trzeba jakoś zdecydować o ich losie...

Co zarzucić Łarkinowi? Za co można go pociągnąć do odpowiedzialności? Nikogo nie zabił, nawet nie zbliżał się do ofiar. Nie da się udowodnić hipnozy. Że coś mówił? Pani też może coś powiedzieć, kto pani broni, nie ma jednak żadnej pewności, że ktoś pani posłucha i robi to, co mu pani każe. Łarkina też nikt nie posłuchał. A w ogóle nic szczególnego nikomu nie mówił. Zwyczajna rozmowa psychoterapeutyczna. Usuwał stres. Co, nie wolno? Ach, nagranie. To tylko eksperyment. Udawał głupiego. Mącił w głowie naiwnemu Kniaziewowi. Poszedł i zabił? Co też pani mówi? Niemożliwe! Kogo? Mężczyznę mieszkającego na ulicy Czieriepanowów? Coś podobnego. A to kretyn. Ależ Łarkin podał pierwszy lepszy adres. W ogóle nie zna mężczyzny, który tam mieszka.

Gordiejew i śledczy Olszański mało nie ochrypli, spierając się, co zrobić z Łarkinem. Był pod stałą obserwacją i w każdej chwili można go było zatrzymać, tyle że nikt nie wiedział, czy należy to zrobić, i jaki przyjąć plan w razie aresztowania. O nic nie można go było oskarżyć. To znaczy, że nie uda się go też złamać. Jeśli zaś wziąć pod uwagę jego niezwykle zdolności, wydaje się raczej mało prawdopodobne, że nawet najbardziej niezawodna i wyrafinowana metoda przesłuchania odniesie jakiś efekt.

W końcu postanowiono zostawić Łarkina na razie w spokoju.



– Proszę wejść, Pawle Dmitrijewiczu – powiedziała Nastia życzliwie. Udało jej się zapanować nad sobą, uspokoić i przygotować do rozmowy z Pawłem.

– Chyba czuwa nad panem opatrność. – Uśmiechnęła się. – A więc nie na darmo wyłaziłam ze skóry, żeby przywieźć pana z Samary.

Gdyby pan dzisiaj zginął, byłoby mi przykro. Zna pan mężczyznę, który usiłował pana zabić?

– Nie. Twarz nieznajoma. Nazwisko też słyszę po raz pierwszy.

Nastia widziała, że Paweł nie kłamie. Zauważyła też, że jest wyczerpany i ledwo się trzyma na nogach.

– Ale może ma pan jakieś podejrzenia: kim jest, kto go wysłał, czyje zadanie wykonywał?

– Już pani mówiłem, Anastazjo, że nie brak osób, które mi źle życzą.

– Nie dziwi to pana, że w ich gronie znalazł się pański opiekun?

Saulak się zachmurzył. Znowu omijał Nastię wzrokiem, patrząc to na ścianę ponad jej głową, to na podłogę, to na okno.

– Kogo ma pani na myśli?

– Antona Andriejewicza Minajewa. To on wysłał zabójcę do pana. Chciałabym wiedzieć, czym pan wobec niego zawinił.

– Myli się pani.

W jego głosie znowu zabrzmiała wyższość, jak wtedy gdy się poznali w Samarze.

– Nie, Pawle Dmitrijewiczu, nie mylę się. Generał Minajew spotkał się z pośrednikiem. On zaś znalazł wykonawcę, Kniaziewa, i wysłał go do pana z pistoletem w kieszeni. Mam zdjęcia i nagrania, które to potwierdzają. Niechże pan zrozumie, że my tutaj na Pietrowce nie jesteśmy wszechpotężnymi bogami, więc nasi agenci nie mogli znaleźć się przypadkiem w pańskim domu, w chwili gdy zjawił się tam Kniaziew, żeby pana zabić. Interesowaliśmy się pośrednikiem i dlatego odnotowaliśmy jego kontakt z Minajewem. To pana nie przekonuje?

– Nie. Nie sądzi pani, że nasza rozmowa stała się bezprzedmiotowa?

Nie wierzy jej. A może od razu przyznał Nasti rację, ale z jakiegoś powodu nie może pokazać, że się z nią zgadza. Musi oczywiście obstawać przy tym, że Anton Andriejewicz Minajew jest czysty jak łąza. „Odstrzał” ekipy Malkowa zaczął się parę dni po powrocie Pawła do Moskwy. I skończył się dwa dni przed jego wyjazdem do Biełgorodu. Minajew musi mieć z tym związek. A gdzie Minajew, tam Paweł. Obaj będą więc twierdzić, że są niewinni, i z uporem trwać

przy swoim. Nie szkodzi, Pawle Dmitrijewiczu, zaraz dam ci mata.

– Przedmiotem naszej rozmowy jest kolejność ofiar. Chyba zdaje pan sobie sprawę, że jest na końcu listy?

I co teraz, Pawle Dmitrijewiczu? Główniej. Spróbuj zgadnąć, co miałam na myśli. Za nic nie zgadniesz. I uruchomi się mechanizm projekcji. Zaczynasz mówić o tym, co cię najbardziej niepokoi. No dalej, mów.

– A kto pani zdaniem jest pierwszy?

Kręcisz, Pasza. „Zgadnij, jakie to słowo? Kończy się na literę... – No to powiedz, na jaką literę się zaczyna”. Dobrze, powiem ci, kto był na początku listy. I tak niczego nie zrozumiesz. Bo ta osoba jest pierwsza na dwóch listach: twojej i mojej.

– Pierwszy był generał Bułatnikow. Sądziłam, że to oczywiste.

– Dużo osób jest na tej krwawej liście?

– Skończmy tę zgadywanke, Pawle Dmitrijewiczu. Doskonale pan wie, o czym mowa. I nadal kryje pan Minajewa, jakby był pańskim dobroczyńcą. Generał zlecił pana zabójstwo, rozumie pan? Zwerbował pańskiego pomocnika, nie mam pojęcia, jak mu się to udało, szantażem czy pieniędzmi, ale sprawił, że pański pomocnik nasłał na pana killera.

– Nie ma na to dowodów – powiedział Saulak obojętnie. – Nie wiem, o jakim pomocniku mowa. I w ogóle pani nie wierzę.

– A szkoda – odparła Nastia niemal wesoło. – Może obejrzymy film? Sam pan zobaczy, jak Michaił Dawidowicz Łarkin wprowadza pańskiego niedoszłego zabójcę w trans hipnotyczny i go namawia, żeby pana uśmiercił. Podaje mu nawet pański adres, żeby się przypadkiem nie pomylił.

– Bzdury – wycedził Paweł.

≡

Ukrywanie znajomości z Miszą byłoby nierozsądne z jego strony, wszystkie kobiety, które odwiedzały Łarkina, widziały Pawła. Jeśli je odszukano, nie było sensu się wypierać.

– Bzdury – powiedział z namysłem. – To prawda, że znam psychoterapeutę Łarkina, ale nie aż tak blisko, by miał powód mnie

zabić. A zresztą nie dawałem mu swojego adresu. Wątpię, żeby sam mógł go gdzieś zdobyć. Przecież nie zna nawet mojego nazwiska.

– A widzi pan, to znaczy, że ktoś mu dał pański adres. Ktoś, kto znał pańskie nazwisko, wiedział, że wrócił pan do Moskwy i punktualnie o dwunastej miał opuścić mieszkanie. Zabójca nie czekał na pana, Pawle Dmitrijewczu. Wszedł do budynku za pięć dwunasta. Ma pan jeszcze jakieś wątpliwości?

Saulak nie miał wątpliwości. Ale przecież nie mógł przyznać, że z powodu tajemnicy, która łączyła go z generałem, stał się dla niego niebezpieczny.

– Nie przekonała mnie pani. Nie wiem, czemu Minajew chciałby mnie zlikwidować. Nie szczędził starań, żeby mnie wyciągnąć z Samary. O czym pani doskonale wie. – W tym miejscu pozwolił sobie na lekki uśmiech. – Zrobił, co tylko mógł, żebym przeżył.

– Dobrze, założmy. A Rita?

– Co Rita? – Drgnął zaskoczony.

– Margarita Dugieniec należała do pańskiej grupy?

– Nie rozumiem, o co pani chodzi. Rita była moją narzeczoną.

Serce zaczęło mu walić jak oszalałe. Dlaczego Anastazja o to zapytała? Co wie?

– Jedno nie wyklucza drugiego. Mogła być pańską narzeczoną, a zarazem pomocnicą.

– Nie miałem żadnych pomocników – powiedział z rozdrażnieniem.

– Co pani sobie ubzdurzyła?

– Naprawdę?

Jej głos dobiegał jakby z oddali. Saulak domyślił się, że z powodu gwałtownego skoku ciśnienia ma zatkane uszy.

– W takim razie opowiem panu pewną historię. Nie zna jej pan. Wcale. Dlatego sądzę, że pana zaciekawi.

Anastazja zaraz zacznie mówić o Bułatnikowie i o ekipie Malkowa. Pewnie zdobyła jakieś informacje i będzie próbowała sklecić z nich gładką historyjkę, w której nic nie będzie pasowało. No dobrze, niech opowiada, w tym czasie Paweł nieco ochłonie.

– Generał Minajew zawsze nienawidził swojego szefa i starszego towarzysza Bułatnikowa. Nie cierpiał go. Dostawał szału z nienawiści i gniewu. Zazdrościł mu, bo nie rozumiał, jak zdobył

pieniądze i władzę. Dlatego postanowił to zbadać. No i co, Pawle Dmitrijewiczu, ciekawa opowieść?

Paweł spojrzał na nią zmieszany. Tego się nie spodziewał. Mówiła rzeczy, o których nie miał zielonego pojęcia.

– Proszę dalej – odparł powściągliwie, starając się nie okazywać zaciekawienia.

– Wykorzystując różne zabronione chwyt, Anton Andriejewicz się dowiedział, że Bułatnikow korzysta z pańskiej pomocy, pan zaś stoi na czele grupy. Nie zdołał jednak ustalić, kim są ci ludzie oraz ilu ich jest. Mimo że bardzo się starał. Ale dowiedział się, jak działa pański zespół, jakie stosuje metody pracy. I doszedł do wniosku, że to złoty interes. Postanowił go przejąć. Jak pan sądzi, co zrobił najpierw?

– Nie – szybko odparł Paweł. – To niemożliwe. Nie wierzę pani.

– Ale dlaczego? Pańska natychmiastowa reakcja sugeruje, że już pan wie, co zrobił pański obecny opiekun, generał Minajew. Zorganizował zabójstwo Bułatnikowa. To on, a nie Malkow, był inspiratorem zbrodni. To on podsunął ludziom Malkowa informację, która sprawiła, że się zaniepokoił i szybko zlikwidowali generała, bo choć wiele razy im pomógł, wiele też o nich wiedział. Ale na skutek drobnego błędu ktoś ze wspaniałej siódemki Malkowa dowiedział się o udziale generała Minajewa w zabójstwie jego szefa, przyjaciela i mentora. A niedługo po śmierci Bułatnikowa pan, Pawle Dmitrijewiczu, czując, że grunt pali się panu pod nogami, ukrył się w kolonii karnej. I genialny plan Antona Andriejewicza się nie powiódł. Bo Minajew bardzo liczył na to, że zapłonie w panu ogień szlachetnej zemsty. Albo przynajmniej zechce pan poznać prawdę o śmierci swojego szefa. I wykorzysta do tego grupę. Anton Andriejewicz miał pana na oku i sądził, że wszystkich namierzy. Ale pan, Pawle Dmitrijewiczu, nie spełnił jego oczekiwań, nie szukał prawdy i zemsty, tylko zachował daleko idącą ostrożność i się ukrył. Podczas gdy odsiadywał pan wyrok za chuligaństwo, Minajew nie tracił czasu. Już wcześniej zrobił duplikaty wszystkich kluczy Bułatnikowa, jako że ten nigdy się nie pilnował w obecności ulubionego ucznia i zastępcy, niefrasobliwie zostawiał klucze na biurku i tak dalej. Po śmierci Bułatnikowa Anton Andriejewicz

zdobył wszystkie kompromitujące materiały, dzięki którym kontrolowano grupę. W tym również pana, prawda? A gdy minęły długie dwa lata i wrócił pan do Moskwy, trochę pana nastraszył. Był mu pan potrzebny, wręcz niezbędny, bo tylko pan znał nazwiska i adresy członków zespołu. Ponieważ materiały znajdujące się w tajnym sejfie Bułatnikowa zawierały informacje jedynie o tym, co i jak robili pańscy ludzie. Nie było tam żadnych nazwisk ani adresów. Minajew zaś ich potrzebował, żeby przejąć kontrolę nad wszystkimi członkami. Bez pana nie mógł niczego zrobić. Toteż dołożył wszelkich starań, żeby wrócił pan cało do Moskwy. No jak, zgadza się?

– Pani opowieść przypomina nedorzeczną bajkę – powiedział Paweł.

Ale już się zorientował, że to, co powie, nie ma żadnego znaczenia. Anastazja wie o wszystkim. Wie nawet więcej od niego. Ale jak? Skąd? Czyżby Minajew się wygadał? Nie, to niemożliwe.

– Jedźmy dalej – niewzruszenie ciągnęła Nastia. – Minajew zaczął pana namawiać do zemsty na zabójcach swojego przyjaciela i mentora. Mogę sobie wyobrazić, jakich użył słów. To samo mówił moim przełożonym. Że jest oficerem i mężczyzną, że nie może puścić płazem śmierci zwierzchnika, któremu zawdzięcza karierę. Moim szefom powiedział, że z pańską pomocą chce się dowiedzieć, kto zabił Bułatnikowa. A co panu powiedział? Że wie, kto go zabił, i chce się zemścić? Tak? W gruncie rzeczy chciał upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: sprzątnąć tych, którzy wiedzieli o jego udziale w zabójstwie Bułatnikowa, i zmusić pana do ujawnienia grupy. I wszystko mu się udało.

– Bzdury – powtórzył Paweł stanowczo.

Czuł szum w uszach, co oznaczało, że wciąż ma wysokie ciśnienie. Siedział tak jak zwykle, odchylony na oparcie, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Tylko nie zamykał oczu.

– Bzdury? – powtórzyła Nastia drwiąco, kładąc przed nim kartkę. – No to niech pan spojrzy.

Paweł sięgnął po kartkę. Było na niej sześć nazwisk. Malkow. Siemionow. Izotow. Łuczenkow. Mchitarow. Jurcew. Sześć nazwisk. Nie było tylko Jewgienija Szabanowa, specja od wizerunku

prezydenta.

– Tutaj jest tylko sześciu. Ale był jeszcze siódmy. Jestem niemal pewna, że chodzi o Jewgienija Szabanowa, i wierzę, że pan to potwierdzi. A teraz proszę zerknąć tutaj.

Znowu gwałtownym ruchem podsunęła mu jakieś zdjęcia. Paweł spojrział i zdrętwiał z przerażenia. Rita. Garik Asaturian. Karl. Nie żyją. Wszyscy nie żyją. Ten drań ich odszukał i zabił. Oszczędził tylko Miszę Łarkina. Misza jest najlepszy i pozbawiony zasad, więc Minajew się nim zadowolił. Mój Boże, więc to wszystko prawda?

Nagle poczuł ogromne zmęczenie i ogarnęła go apatia. Anastazja wie o wszystkim. Bawi się z nim jak kot z myszą.

– Czego pani ode mnie chce? – zapytał ze znużeniem. – Czemu mi pani to wszystko mówi?

– Chcę, żeby pan odpowiedział na parę pytań. Jak się panu udało przechytrzyć ludzi Malkowa? Przecież próbowali pana dorwać, gdy tylko opuścił pan kolonię. Przez niemal trzy tygodnie mieszkał pan w Moskwie i likwidował jednego po drugim. A oni? Dlaczego pana nie tknęli? Czymś się pan wykupił? Chcę wiedzieć czym. Dlaczego przestali na pana polować? Dalej. Kim jest Riewienko? Dlaczego Minajew zrobił, co tylko w jego mocy, żeby utrudnić ustalenie jego tożsamości? Podejrzewam, że kiedyś Riewienko nazywał się inaczej i Minajew nie chciał, żeby to wyszło na jaw. Anton Andriejewicz wolałby, żeby ciała Riewienki nigdy nie zidentyfikowano.

– To wszystko?

– Nie, Pawle Dmitrijewiczu. Nie wszystko. Chcę wiedzieć, jak i dlaczego Minajew wezwał pana do Moskwy? Jak pana znalazł? Gdzie pan wtedy był? Czym tłumaczył pilne wezwanie?

– Nie zdążyłem z nim porozmawiać. Gdyby wasi ludzie nie przywieźli mnie tutaj, teraz siedziałbym u Minajewa. Akurat się do niego wybierałem.

– Już panu powiedziałam, Pawle Dmitrijewiczu, że jest pan ostatni na liście. Minajew chciał pana zabić. I nadal chce to zrobić. Nie miał najmniejszego zamiaru czegokolwiek panu tłumaczyć. Wezwał pana do Moskwy i kazał Łarkinkowi znaleźć kogoś, kto pana zabije, gdy będzie pan wychodził z mieszkania. Punktualnie o dwunastej. Jeszcze to do pana nie dotarło? Nie jest mu pan już potrzebny.

Anton Andriejewicz zapewnił sobie bezpieczeństwo, znalazł pańską grupę, przyjrzał się członkom, pozbył się najsłabszych, pozostawiając przy życiu najlepszego. Mogę udowodnić, że Asaturian i Riewienko byli w Petersburgu i zajęli się Mchitarowem, wskutek czego tamten się zastrzelił. Łarkin zajął się Jurcewem, podsunął mu lek uspokajający, który okazał się trucizną o natychmiastowym działaniu. Riewienko też miał takie tabletki, znaleźliśmy je w jego mieszkaniu. Nawiasem mówiąc, chciałabym też usłyszeć od pana historię pochodzenia preparatu. Tenże Łarkin stoi za śmiercią Malkowa i Łuczenkowa. Spodziewam się, że powie mi pan, co się stało z Izotowem i Siemionowem. Kto się nimi zajmował? Pańska narzeczona Margarita? Czy ktoś inny?

Paweł podjął decyzję. Już mu na niczym nie zależy. Nie doprowadził swojej sprawy do końca, ale była to jedyna rzecz, której teraz żałował. Cała reszta nie miała znaczenia ani sensu. Ta kobieta z jasnymi oczami i bladą twarzą, siedząca przed nim w ciasnym, zimnym pokoju, ta kobieta, która czekała na niego przed bramą kolonii karnej i odwiozła do Moskwy, wie zbyt dużo. Paweł chciał teraz tylko jednego: wrócić do domu. Albo przynajmniej stąd wyjść.

– Chce pani powiedzieć, że Ritę zabił Anton Andriejewicz Minajew?
– zapytał sztywno. – Nie mogę w to uwierzyć.

– Dosyć, Pawle. Już dawno uwierzył pan w to, co mówię. Proszę nie próbować chować głowy w piasek. Ale możemy się ułożyć.

– Mam się ułożyć? Z panią? W kwestii czego?

– Wszystkiego. Złoży pan zeznania, które pozwolą nam rozmawiać z Minajewem. Powie mi pan całą prawdę, wyjawiając wszystkie szczegóły.

– A co w zamian?

– Uniknie pan odpowiedzialności za zabójstwa, które sam popełnił.

– Nie rozumiem – odparł zimno. – Przed chwilą zażarcie pani twierdziła, że ani ja, ani moi ludzie nie popełniliśmy zabójstw własnoręcznie. Sama pani sobie przeczy.

– Pasza...

Nastia wyprostowała się i popatrzyła na niego z litością i współczuciem. Jej spojrzenie sprawiło, że Pawłowi zrobiło się nieswojo.

– Czemu to robisz, Pasza? – zapytała cicho i ze smutkiem. – Przecież wiesz, że ci nieszczęśnicy nie są niczemu winni. Łarkin się nimi zajmował, tak? Najlepszy i najbardziej bezwzględny członek pańskiej grupy. Ma najwięcej krwi na rękach, dlatego Minajew go wybrał. Łarkina najłatwiej kontrolować. Gdybyś go zabił, potrafiłabym to zrozumieć. Ale czemu zabijasz tych, którzy na dobrą sprawę nie są niczemu winni?

W tej samej chwili Saulak zrozumiał, że Anastazja czyta mu w myślach. Usłyszała je. I gotowa jest go wypuścić, jeśli wyzna prawdę. Może tak rzeczywiście będzie lepiej...

– Więc mogę uważać, że się ułożyliśmy? – wycedził.

– Tak.

– Obiecuję pani?

– Tak.

– Pozwoli mi pani stąd odejść, jeśli powiem o wszystkim?

– Tak. Mam nadzieję, że dobrze się zrozumieliśmy.

– Ja też mam taką nadzieję. Co najpierw chce pani usłyszeć?

– Odpowiedź na pytanie: Dlaczego pan to robi?

Dlaczego to robi? Czy można wyjaśnić wszystko w paru słowach? Od wielu lat pracował dla Bułatnikowa, ale nigdy nie widział rozpacz osób po śmierci bliskich zabijanych na jego zlecenie. Był robotem, automatem, bezduszną maszyną. Zazwyczaj wykonywał rozkazy i był zadowolony, że nie musi podejmować żadnych decyzji. W Uralsku, gdzie znalazł się przypadkiem, włączył telewizor i niespodziewanie zobaczył oczy matek i ojców, którym z woli Bułatnikowa odebrano dzieci. Z oczu wзираł tak przejmujący smutek i ból, że decyzja przyszła sama. Musi zabić ludzi, których śmierć ukozi bezdenną rozpacz. Nie ma żadnego znaczenia, że tak naprawdę zabójcy nie są winni. Ani to, że winni są ci, co zlecali owe serie nieludzkich przestępstw, oraz ci, co je organizowali: Bułatnikow, Łarkin i on, Paweł Saulak. Znaczenie ma tylko jedno: straszliwie cierpiący rodzice muszą się dowiedzieć, że zabójca ich dzieci został ukarany. Może wtedy odzyskają spokój. Łarkin go przecież informował, kim się zajmował w każdym przypadku. Paweł zawsze kontrolował pracę swojej grupy. Jeździł razem z Łarkinem i przyglądał się tym, z których tamten czynił bezwolne narzędzie.

Właśnie dlatego robił wszystko, żeby udział jego ofiar w dawnych zabójstwach wyszedł na jaw. Rachuby okazały się słuszne. Wszystko potoczyło się tak, jak zaplanował. Tyle że nie przyniosło mu to ulgi. Już po pierwszym zabójstwie wiedział, że robi nie to, co trzeba. Ale nigdy nie zmieniał swoich decyzji. Ta zaś, może nawet niesłuszna, okrutna i podła, była jak rozkaz, któremu należało wszystko podporządkować. Skoro nie ma nikogo, kto by pokierował życiem Pawła, niech zastąpi go cel, któremu będzie służyć. Tak niewiele zostało do zrobienia...



Nastia wróciła do domu ledwie żywa. Dzisiejsze spotkanie z Pawłem okazało się tak wyczerpujące, że teraz, gdy było już po wszystkim, miała ochotę się rozplakać. Zrezygnowała z kolacji, troskliwie przygotowanej przez męża, i od razu wślizgnęła się pod kołdrę, nasuwając ją pod brodę i odwracając się do ściany. Aleksiej nie próbował narzucać się z rozmową, cicho siedział w kuchni, układał pasjansa i tylko raz wszedł do pokoju, żeby zaproponować gorącą herbatę. W odpowiedzi Nastia burknęła coś niewyraźnie, nawet na niego nie patrząc.

Przed północą rozległ się dzwonek telefonu. Losza odebrał, potem zajrzał do pokoju.

– To Gordiejew, Asiu. Podejdiesz czy powiedzieć, że już śpisz?

Nastia wstała w milczeniu i bosy poczłapała do kuchni.

– Chyba się pomyliliśmy, dziecko – rozległ się głos Wiktora Aleksiejewicza.

Pomylili się. A więc Paweł zrobił to, co zamierzał. Dobrze się z Nastią zrozumieli.

– Saulak odebrał sobie życie. Otruł się tymi samymi tabletkami, które znaleziono u Jurcewa i Riewienki. Nie powinniśmy byli wypuszczać go do domu.

– Ale tak właśnie planowaliśmy – odparła Nastia apatycznie. –

Wezwać go do Moskwy i zatrzymać pod jakimkolwiek pretekstem, póki się nie dowiemy, kim są jego następne ofiary. Dzięki Minajewowi zdobyliśmy pretekst i wszystko mogło się udać.

– Mogło. – Gordiejew westchnął. – Ale się nie udało. Za to teraz Minajew nam się nie wymknie. Mamy na niego kupę materiału. Jutro rano zamelduję zwierzchnictwu i jeśli wszystko pójdzie dobrze, wieczorem prokuratura postawi mu zarzuty. A jednak szkoda, że wypuściliśmy Saulaka.

– Szkoda – przyznała Nastia.

Nieprawda. Po co miałyby żyć? Zamęczyłby siebie i innych. Gdy ktoś ma tak wykoślawione życie, sąd ani kara go nie zmienią. Kat wykonał egzekucję na swojej ostatniej ofierze. Ostatniej na długiej liście. I nie należało mu w tym przeszkadzać.

⋮

– Wiadomością numer jeden we wszystkich programach informacyjnych jest trwający szturm na Grozny – mówiła ładna czarnowłosa prezenterka. – Media żywo omawiają dymisję ministra obrony. Zdaniem ekspertów z resortów siłowych niespodziewany szturm na czeczeńską stolicę świadczy o tym, że działania specsiłżb okazały się nieskuteczne. Nasi korespondenci na Kremlu donoszą o kolejnych przetasowaniach kadrowych w otoczeniu prezydenta. Nowym doradcą został Wiaczesław Sołomatin, dotąd mało znany w kręgach politycznych. Nieoficjalne źródła podają, że to właśnie jemu prezydent zawdzięcza swoje stanowisko dotyczące sposobu wyjścia z kryzysu czeczeńskiego. Głowa naszego państwa nie poparła ani szefów resortów siłowych, ani demokratów. Kolejna informacja nadeszła z rosyjskiej prokuratury. Po aresztowaniu pełniącego obowiązki prokuratora generalnego przedstawianie zarzutów ważnym zwierzchnikom organów ścigania stało się najwyraźniej dobrą tradycją. Dzisiaj postawiono w stan oskarżenia generała Antona Minajewa, zastępcę jednego z wydziałów FSB. Ja już się z państwem żegnam, po bloku reklamowym jak zwykle nadamy wiadomości sportowe. Miłego wieczoru.

Spis treści

Część 1. Powrót

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Część 2. Operacja Stella

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Część 3. Nie przeszkadzajmy katu

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Część 4. Czarny kot w ciemnym pokoju

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20